PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY PIERWSZY. — TOM LXXXIV.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1904.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1904.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ [1].

PAPIESTWO JAKO WSZECHWŁADZA PAŃSTWOWA.

Poruszała niedawno umysły w świecie słowiańskim sprawa Braci Solúnskich z powodu ich stanowiska, zajętego na Morawach, wobec rozterki wśród chrześcijaństwa w stuleciu dziewiątem. Wśród głosów, zabieranych w tej sprawie, ten i ów wypowiadał poglądy ogólniejsze, nie związane ściśle ze sprawą, tylko z nią spokrewnione. Tych to poglądów dotyczą uwagi niniejsze, spisane z powodu, również tylko ubocznie związanego z treścią sprawy poprzedniej. O ile myśli pokrewne z poprzedniemi należą do nich jako ciąg dalszy, o tyle niniejsze uwagi mogą być jeszcze na czasie.

Nie od dziś trwoga przed wszechwładztwem Rzymu porusza umysły: liczne narody chrześcijańskie tą trwogą odstręczone od papieży, usunęły się od stosunków z nimi międzykościelnych, i tak boczą od łacińskiego Kościoła, jego obrzędów i języka, że nawet samej nazwy — z łacińska wymówionej — chrześcijan katolików nie uznają za stosowną, jak tylko dla nas, a dla siebie ją zmieniają przez wymowę grecką na miano kafolików. Otóż ci kafolicy w samej rzeczy nabyli o wszechwładztwie papieskiem pojęć, zdolnych odstręczać: widzą w niem nie mniej nie więcej tylko rękę wyciągniętą na cały ród ludzki, aby zagarnąć nad nim świeckie berło wszechświatowego mocarstwa.

[1] Niniejszym nagłówkiem zaczynamy serye rozpraw z dziedziny, która dla wszystkich umysłów przedstawia dzisiaj doniosłą aktualność. Rozprawy, przez różnych autorów pisane, zamieszczać będziemy w miarę i w porządku, jak będą napływać.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Kiedy słyszymy tak wyrażoną trwogę przed papiestwem, darmo usiłujemy w niej wykryć jakiś pierwiastek rzeczowy w przymieszce wytworów wyobraźni. Darmo kafolików pytamy wyraźnie, czy zarzutem swoim nie mierzą tylko w duchowe pierwszeństwo i kościelne zwierzchnictwo biskupa rzymskiego? — Nie! odpowiadają; duchowne zwierzchnictwo nie dotyka nas tak żywo, jak uroszczone prawo do wszechwładztwa świeckiego. Ależ chyba, — zapytujemy dalej, — zarzut ten godzi w świecką władzę papieża, jako udzielnego pana na rzymskiej stolicy z krajem okolicznym? — Nie! odpowiadają znowu i poważnie stawiają zarzut przeciw zamachom Rzymu na udzielny byt mocarstw wszystkich na świecie.

Darmo wtedy świadczymy, że nam wychowanym w posłuszeństwie takiem, jakiego wymaga od członków Kościoła jego Głowa w Rzymie, nam przywykłym żyć według wyroków Rzymu w zakresie wiary i obyczajów i zżytym z wieloma, którzy za prawa Rzymu cierpią i umierają, nam ani nikomu z naszych bliskich nigdy nikt nie przynosi z Rzymu ani rozkazu, ani nauki, rady, wskazówki czy zachęty, żebyśmy dla papieża rościli prawo wszechwładnego mocarza do świeckich rządów nad narodami. Wszelkie świadectwa nasze wobec kafolików uchodzą za podstęp wojenny i czczy wybieg równie niegodny wiary, jak w naszych oczach uchodzi za pomysł niegodny uwagi obawa przed świecką wszechwładzą papieża.

Daremnie przemawiamy wyrazami coraz szczerszemi i nakoniec przyznajemy, że dłużej nie zdołamy już grzecznie powstrzymać wybuchów śmiechu, do jakiego nas pobudza zarzut równie bezpodstawny. Przecież nie Chińczykami jesteśmy, żeby — jak oni swojego cesarza — tak uważać swojego papieża za najwyższego suzerena całej ziemi, a wszystkich władców za jego lenne książęta. Możemy nakoniec wzbudzić wiarę, że nie kłamiemy umyślnie, ale podejrzywać nas będą o nieuctwo i powtarzać, że sami nie jesteśmy wtajemniczeni w tajemne zabiegi papieża o berło wszechświata.

I już nie wiemy, czy otwierać usta, czy choćby tylko do uśmiechu je składać w odpowiedzi, czy za całą odprawę zamilknąć, aby pogrzebać sprawę w obojętnej pogardzie. Ale ani taka

odprawa, długo dawana, nie obala zarzutu: coś żywotnego w nim tkwi... wypłynął gdzieś z jakiegoś źródła, do którego kafolicy przywiązali wagę raz i już na wieki: na wszelką odprawę zżymają ramionami albo powtarzają, że strzedz się muszą, bo nikt im nie przywróci stanowiska państwowego, jeżeli im papież wydrze byt udzielny, gdyby ich rząd pozwolił władykom przyznać przed sobą pierwszeństwo biskupowi rzymskiemu.

I niejeden kafolik wyraża te obawy z okiem tak szczerze przejętem trwogą, że żywo przedstawia, z jakim wyrazem twarzy w 15-m stuleciu musiał Bazyli Ciemny usłyszeć nie własne imię, tylko papieskie naprzód wymienione przy nabożeństwie, po powrocie metropolity Izydora z Florencyi. Struchlał o swoje prawa mocarskie i wezwał władyków, żeby wybierali innego metropolitę.

I Turcy, u których wyznanie należy do ustroju narodowego i państwowych czynników, dali posłuch Markowi efezkiemu, który, jak to dowodnie opisuje Pitzipios, podszepnął im, że tylko pozornie dzierżyć mogą berło nad Grekami, póki ci słuchają w Rzymie kościelnego źwierzchnika. Po upadku tedy Carogrodu patryarcha, chociaż w rządach zawsze wierny duchowi Bessariona, przed sułtana wezwany, aby zdał sprawę z greckiego wyznania, wyznał zasady wiary, ale o pierwszeństwie biskupa rzymskiego nie wspomniał, aby Turkom na rzeź nie wydać owczarni, jakoby skrycie poddanej berłu obcego mocarza. Tak to zaszkodziły dziełu florenckiemu rozpostarte na Wschodzie poglądy na kościelną władzę, jakoby związaną ze świecką, i na wyznanie, jakoby państwowy czynnik w stosunkach narodów. Z braku wtedy wzmianki o pierwszeństwie Kościoła rzymskiego uroili sobie niechętni Grekom prawo do wniosków o odszczepieństwie patryarchy, o przeważnym wśród duchowieństwa wschodniego duchu Marka z Efezu, o powszechnem odstępstwie od zgody chrześcijańskiej. Zaszkodził Marek tej zgodzie, ale nie bezpośrednio przez swoje zasady i wpływy na Greków, tylko wyzyskał trwogę przed wszechświatowem mocarstwem w Rzymie, aby Turcy zamknęli Kościołom wschodnim drogę do stosunków z papieżem.

Trwoga ta ledwo tam nie zdołała wykorzenić dzieła florenckiego, gdzie sami królowie jej nie podzielali: na Węgrzech i w Pol-

sce od wieków wiedzieli, że dzierżą berło jako mocarze udzielni, a nie jakoby wasale rzymskiego wszechwładcy.

Z jakiego tedy źródła wypłynęła ta trwoga?

Następstwa jej przybierają rozmiary doniosłe w dziejach zgody i rozłamu na łonie chrześcijaństwa. A źródło tej trwogi musi ciągle sączyć jej wątek strumieniem siłnym, którego zatkać nie można ani zaspokoić umysłów. Nie zdołają przekonać dowody, składane z całym wysiłkiem, aby zachować powagę, choć to trudno w rozprawie nad zarzutem, zdolnym tak rozśmieszyć... Ani szczery śmiech, już dłużej niepowstrzymywany, nie może okazać, co właściwie sądzimy o naukowej podstawie tego zarzutu... Ani pożytku nie widać żadnego z tej jakby rozpaczy w swoim rodzaju, która bezsilna do dalszych rozpraw z nieprzekonanym przeciwnikiem, bezradnie umyśliła pogrzebać jego zarzut w cichej pogardzie.

Ale czy pora obecnie szukać tych źródeł i odkopywać zarzut pogrzebany? O to najpierw spytać się wypada.

Jeżeli nie pora milczeć dłużej, kiedy żywcem pogrzebany zarzut pod ziemią nurtuje i szkodzi ciągle, tedy spytać się dalej wypada, co za żywotną siłę przechowuje w sobie ta trwoga?

Jeżeli nakoniec tym sokom żywotnym można korzeń przeciąć, tedy zostaje pytanie, jak należy z tym zarzutem skończyć już ostatecznie?

I.

Różne objawy pojednawczego nastroju umysłów przemawiają za tem, że można z pożytkiem dziś dać głos sprawie, która nawet kiedy milczeć musi, wywierać nie przestaje wpływu na umysły.

Jednym z pierwszych pracowników w duchu pojednawczym był kardynał Hergenroether. Nie wywieszał nad sobą żadnej chorągwi z godłem ugodowem, ale dlatego wygrzebywał z niepamięci różne zarzuty, miotane stąd i z owąd na Carogród i na Rzym w średnich wiekach, aby skorzystać z nastroju umysłów znacznie uspokojonych już w wieku dziewiętnastym. Mógł tedy wydać kilka potężnych tomów o Focyuszu a tak przedmiotową

prawdę wyłożyć, że i od Greków zbierał pochwały i w Rzymie znalazł krzesło wśród świętego kolegium. Poprzednicy jego trudno przypuścić, żeby zdobyli takie stanowisko w wiekach dawniejszych a nie uchodzili u zapalczywszych czytelników za podejrzanych o odszczepieństwo, gdyby tak samo, jak on, pisali wobec łacinników o greckich, przynajmniej niektórych, zarzutach. Za obowiązek w owych wiekach gorączkowych poczytywali pisarze tak na Wschodzie jak na Zachodzie iść ławą ze swoimi na zbitą nawałę przeciwników, nie brać z dobrej strony ani słówka w ustach nieprzyjaciela, nie zostawić bez odprawy żadnego zarzutu na kogoś ze swoich: w braku innej odprawy trzeba było zabić zarzut szyderstwem i pogrzebać pogardą.

Umysły ochłonęły. Hergenroether zaczął na przeciwników spoglądać wyrozumiale, przestał bronić ślepo każdego ze swoich. Przyznał szczerze Grekom, że słusznie zarzucali niejeden wybryk łacinnikom w różnych czasach; np. słusznie ganili niejednego biskupa, który na wojnę jeździł po rycersku mieczem bronić ojczyzny; albo też słusznie potępiali tych krzyżowców, którzy w Carogrodzie pozwalali sobie na bezprawia niegodne chrześcijan; także mieli prawo zarzucać niektórym misyonarzom, iż na własną rękę wbrew woli papieża narzucają Wschodowi zwyczaje i obrzędy zachodnie i t. p. Przeciwnie swoim nie przyznaje Hergenroether prawa do wszystkich zarzutów, któremi obsypywali Greków; np. usuwa podstawę z pod zarzutu najdrażliwszego, mianowicie herezyi co do Ducha świętego: wszak Doktorów Kościoła Bernarda i Tomasza nie mamy prawa piętnować przezwiskiem heretyków, iż przeciw czci Niepokalanego Poczęcia wystąpili: jeden przeciw świętu, drugi przeciw samej prawdzie, bo żyli o wiele wieków przed dogmatem. Otóż tak samo powstał i na rozłam między chrześcijaństwem wpłynął spór o Ducha świętego wcale niedogmatyczny wówczas, nie wyznaniowy jeszcze, tylko naukowy, teologiczny. To też Mikołaj 1-y papież wystąpił nie z powodu jakiejś herezyi albo kacerstwa przeciw Focyuszowi, tylko z powodu św. Ignacego, którego stolicę Focyusz objął niekanonicznie. Ani Jan 8-y, kiedy patryarchą uznał Focyusza, od niego nie żądał, żeby odstąpił od swojego poglądu na dodatek »i od Syna«: przeciw temu

poglądowi słowem nie zastrzegł się Jan 8-y, a tylko przeciw misyom w Illiryku, przeciw wyborowi laika na patryarchę, przeciw zgorszeniu, wywołanemu poprzednio przez niekanoniczny krok Focyusza.

Słowem, dlatego kardynał Hergenroether odgrzebał pytania dawno zarzucone, aby wśród spokoju umysłów w łagodnem świetle przedstawić chwilę rozłamu w chrześcijaństwie i niejako zapytać: czyż nie zbyt błaho powody waśni wyglądają wobec powodów, które orędują za zgodą?

Dlatego także z drugiej strony spotykamy katolików na drodze pojednawczej. Kilkadziesiąt lat ostatnich czyta prace metropolity Makarja moskiewskiego, protojereja Malcewa berlińskiego, profesorów Suworowa, Sołowiewa i innych, którzy nawzajem z nas zdejmują różne klątwy, jakiemi dawniejsze czasy burzliwe okładały nas za rzekome herezye łacińskie. Czytamy teraz u Makarego, że wiele tych »herezyi« wyrosło przez posłuchy i pogłoski z nasienia bardzo nikłego, albo powstały z czyichś słów i błędów osobistych, przypisanych niesłusznie ogółowi. Czytamy u Malcewa, że rzymski Kościół pokazuje zupełnie dowodnie swój początek w hierarchii apostolskiej i chybaby przez dogmat nieomylności sprawił jakąś przeszkodę do zgody Kościołów, ale i to niekoniecznie, bo mógłby rozumieć nieomylność jako przymiot właściwie całego Kościoła, wyjawiany ustami jego w Rzymie. Czytamy u Suworowa, że pierwszeństwo Kościoła rzymskiego

po 1-sze: skądby i odkądby nie powstało, stanowi czynnik dodatni dla chrześcijaństwa, za świadectwem samych antypapistów;

po 2-gie: skądby nie powstało, już zupełnie oczywiście istniało w dobie tuż poapostolskiej;

po 3-cie: przy niewypowiedzianie zachowawczym zmyśle pierwszych chrześcijan, powstać nie mogło jako nieznany jeszcze apostołom stosunek nowy i dopiero później wprowadzony, musiało nastąpić zaraz z pierwszym zawiązkiem Kościoła za Chrystusa i apostołów.

I te rzeczy drukują się w rosyjskich książkach cenzuralnych.

Carogrodzki patryarcha rozpisuje listy do wszystkich cerkwi prawosławnych i do rozwagi podaje im myśl wspólnego soboru,

aby roztrząsnąć między innemi także sprawę kalendarza poprawnego. Dość jeszcze świeżo taka myśl uchodziłaby za objaw nienawistnego latynizmu.

Gorączka wzajemnych zarzutów i niechęci spadła już o jakąś widzialną część stopnia; tak to przyznać trzeba jak i to, nieszczęściem, że stoi jeszcze na stopniu bardzo wysokim, bo ją podsycają spory narodowe między Słowiańszczyzną wschodnią i zachodnią.

Gdzie te spory w grę nie wchodzą, tam widzimy na wyspie greckiej zgodę przywróconą w sposób wprost niespodziany. Kipiały tam umysły w średnich wiekach: w żarze rozpraw zasypywały się dowodami nie zawsze rozumnemi, często zbyt dobitnemi, aż gorączka zaczęła opadać. Wszyscy na małej wysepce potrzebowali jedni drugich, choćby dla towarzyskich stosunków. Waśń im zaciężyła. Rozejm cichy nastał na kilkadziesiąt lat. Po rozejmie następne pokolenia zaczęły kłaniać się sobie, bywać u siebie, najprzód odwiedzać się w domach, potem Grecy zachodzili na nabożeństwa łacińskie, a po latach przystępowali już do Sakramentów w kościołach. Kiedy łacinnicy urządzali pochody nabożne, Grecy ze swoich świątyń wychodzili naprzeciw z ikonami; łacinnicy nawzajem z chorągwiami brali udział w pochodach greckich. Nakoniec i jedni i drudzy udzielali sobie nawzajem Sakramentów, jedni u drugich odprawiali Msze. Uczestnictwo w Sakramentach nastąpiło zupełne.

Poprzednik obecnego tam dziś biskupa łacińskiego, kiedy przyjechał z Włoch, zdumiony tym, jak nazywał, stanem zamętu pojęć, co rychlej wystosował list do Rzymu i przerażony pytał się, co ma począć ze swoją owczarnią całą, która przez uczestnictwo w Sakramentach z odszczepieńcami wpadła w klątwę? Rzym odpisał, że w klątwę nikt nie wpadł, że odszczepieńców żadnych niema, że miłość zatarła różnice, że wróciły stosunki z przed czasów odszczepieństwa, że pielęgnować trzeba te stosunki z miłością i tylko wdzięcznie Pana Boga błogosławić.

Cóż tedy z klątwą? Czy Rzym ją zniósł za uczestnictwo w sakramentach z kafolikami? Wcale tej klątwy nie zniósł, uznał tylko, że warunki były tam wyjątkowe, więc wyspiarze w klątwę nie

wpadli. Rzym w tym wypadku dowodnie pokazał, że na drodze pojednawczej nie boi się iść do ostatniego kresu możliwego.

A cóż z różnicami wyznaniowemi?

To samo z niemi się stało, co było za czasów Focyusza. Nim Mikołaj papież stanął za Ignacym przeciw Focyuszowi, wiedział Carogród, jak w Rzymie wierzą i żyją, a o różnicach we wierze nie wiedział. Wziął Mikołaj udział w sporze między Ignacym a Focyuszem: już Carogród słyszał o błędach wyznaniowych, za które trzeba Mikołaja strącić z papiestwa. Po śmierci Ignacego nic nie miał następca Mikołaja przeciw patryarszemu dostojeństwu Focyusza: już Carogród przeciw Rzymowi nie słyszał zarzutów wymienionych; a Focyuszowi za jego poglądy na Ducha św. ani Mikołaj przedtem, ani Jan potem nie wytykali herezyi: zarzucili postępek niekanoniczny, którego ostatecznie nikt nie zdoła uprawnić.

Tak i na wspomnianej wyspie: miłość wróciła i załatwiła zaraz sprawę różnic wyznaniowych. Dziwi to może niejednego z nas, bo przywykliśmy na owe różnice spoglądać jakby na poważną przeszkodę do zgody. A jednak świeżo zabrał głos Leon 13-y, w którymś z ostatnich lat przed śmiercią, kiedy pisał list do nowozałożonego seminaryum duchownego w Atenach. Nakazał przełożonym, aby kleryków wychowywali w duchu zgodliwym a nie w swarliwym nastroju względem innych chrześcijan. Poparł ten nakaz wyrazem nadziei, że duch miłości ku wszystkim chrześcijanom spełni, czego pragnął i pragnie Chrystus, aby wszyscy byli jednym Kościołem. Tu właśnie wypowiedział wyraźnie i dodał, że pojednawczemu dziełu miłości nie mają przeszkadzać różnice wyznaniowe, g d y ż l e d w o s ą j a k i e... *(quum vix sint aliqua discrimina in dogmate...)*

Cóż te słowa znaczyć mogą?

Tu wypada sięgnąć po kilka wskazówek do apologii chrześcijaństwa, mianowicie w sprawie wiary trzeba uprzytomnić tu zasady: jak silnie wierzyć mamy? w co wierzymy? na czyjej powadze opieramy wiarę?

Silna wiara wykluczyć od siebie nie może zarzutów błahych, ale z rozsądnym zarzutem stać nie może.

Od paruset lat potępił Kościół naukę, że *assensus fidei supernaturalis stat cum dubio prudenti, ne Deus sit locutus,* czyli potępił naukę, jakoby można zarazem wyznawać prawdę z wiary nadprzyrodzonej i przytem wątpić rozsądnie, czy to Bóg tę prawdę objawił, a nie człowiek wynalazł.

Z błahych, dziecinnych powodów albo bez powodów właściwie żadnych może człowiek wątpić, o czem bądź chce, choćby o tem, czy istnieje i sam i świat naokoło niego. Taka wątpliwość błaha, bezmyślna może jakąbądź drogą wcisnąć się do wyobraźni raczej, niż do rozsądku, i nie przeszkadza człowiekowi być w rozumie przekonanym o sobie i świecie. Takiej wątpliwości błahej, niejako nerwowej, nie wyklucza od siebie umysł, zupełnie przeświadczony o prawdzie, czy ją nabędzie własną pracą naukową, czy ją przyjmie na słowo jakiejś powagi, bądź ludzkiej, bądź Boskiej. Doświadczamy tego niezliczone razy i prawie codziennie. Możemy wtedy powiedzieć o sobie, że jesteśmy w jakimś stanie niedostrojonym... coś się plącze po myślach i niepokoi... rozsądek każe nie zważać na te obawy... niby wątpimy a właściwie nie wątpimy... nieprzyjemny to stan, ale nie może jeszcze zachwiać umysłem, zmienić rzeczy postanowionej, zmniejszyć wiary w świadectwo Chrystusowe. Zatem nie potępił Kościół nikogo, ktoby twierdził, że można zarazem wyznawać prawdę z wiary nadprzyrodzonej i przytem doznawać błahych wątpliwości, czy Bóg tę prawdę objawił a nie ludzie ją wynaleźli.

Inna rzecz z wątpliwością rozsądną o powadze czyjegoś świadectwa. Kiedy mamy poważną obawę, czy ktoś nas nie zwodzi, wtedy zupełnie to już dla nas niemożliwa rzecz powiedzieć sobie, że jesteśmy do głębi duszy przekonani o prawdzie słów świadka... Możliwa wtedy rzecz przemódz się do czynu, zamknąć oczy na źródło słusznej obawy, pójść ślepo za przewodnikiem niejako na los szczęścia. Możliwe to i nieraz rozsądne, kiedy sprawa nagli i wymaga szybkiego wyboru drogi. Ale w dziedzinie zasad i prawd naukowych, kiedy nic nie nagli, umysł badacza zawiesza sąd i wyznaje, że jeszcze nie uznaje prawdy za pewną, póki o niej wątpi rozsądnie.

Słowem: zarzut podmiotowo rozsądny przeszkadza do wiary i potrzebuje rozsądnej odpowiedzi, aby ustąpić przed wiarą.

Z taką tedy siłą wiary co uznajemy za prawdę? W co wierzymy?

W prawdę, którą Chrystus za żywota na ziemi objawił apostołom.

Aby uznać prawdę za dogmat, musi Kościół niewątpliwie wiedzieć, że tę prawdę ma przekazywaną od wieków z pokolenia na pokolenie aż od samych apostołów. Ze śmiercią ostatniego apostoła został zapieczętowany cały skarbiec prawdy, którą Chrystus objawił. Odtąd chrześcijaństwo ma tę prawdę tylko przechowywać, rozumieć i brać za prawidło czynów, a nie może w niej nic zmieniać, dodawać, przetwarzać.

Stąd wynika, że dogmat potrzebuje ciągu świadectwa dziejowego, od apostolskich czasów. Aby z wiary nadprzyrodzonej uznać za prawdę np. Niepokalane Poczęcie, trzeba zbadać ściśle cały ciąg niezliczonych świadectw, podawanych przez wieki od początków chrześcijaństwa, i sprawdzić, że wypadkiem dziejowym jest starożytna, od apostołów aż do nas przechowana pamięć tej prawdy. Gdyby nie tą drogą świadectwa dziejowego ktoś do tej prawdy doszedł, tylko przez oderwane dowody, gdyby nie szedł śladem naukowych dziejopisów, tylko wysnuwał związek pojęć z ich rozbioru, gdyby nakoniec z pobożnego zapału powiedział sobie, że ma za rzecz niegodziwą wątpić o Niepokalanem Poczęciu: tedy wierzyłby w nie ze swoich osobistych pobudek rozumnych albo nabożnych, ale nie uznawałby z wiary w świadectwo Chrystusa i apostołów, bo tego świadectwa nie umiałby dojrzeć przechowanego w Kościele od jego początków. Zbiór tych świadectw wymaga pracy niejednego człowieka, czasem pokoleń.

Pius 9-y zwołał zastęp badaczy zawodowych w liczbie dostatecznej, aby rozdzielić między nimi tysiące rozpraw pisarzy starożytnych greckich, syryjskich, łacińskich i t. d. i polecić im szczegółowy rozbiór każdego ustępu, związanego z Niepokalanem Poczęciem. Po długiej pracy zastęp uczonych wydał treść swoich wniosków w kilku foliałach i wykazywał oczywiście, że nauka o Niepokalanem Poczęciu nie powstała w wiekach późniejszych,

ale spoczywa na starożytnych świadectwach, przechowywanych z czasów apostolskich: więc na takich pracach przygotowawczych oparły setki biskupów prośbę, na którą przystał Pius 9-y i ogłosił dogmat.

Kto zna olbrzymią pracę, podjętą w takim wypadku, kto sam zwłaszcza wglądał w ten las świadectw i gdziebądź spojrzał, wszędzie znalazł wszystko zgodne z ostatecznym wynikiem prac badaczów, ten zupełnie szczerze musi wyznać, że nie zdoła wątpić o dogmacie rozsądnie, że zdoła chyba podnieść taki zarzut błahy przeciw dogmatowi, jak przeciw prawdzie, że sam istnieje.

Ale nim zawodowi badacze odbyli tę pracę, mógł najprawowierniejszy chrześcijanin, mógł doktor kościoła w tym tu szczególe nie być osobliwie oczytanym, a słyszeć za tą prawdą dowody nie zbierane umiejętnie, tylko wysnuwane z wyobraźni czy nabożeństwa: mógł sam przeciwnie odpierać te dowody zarzutami bardzo słusznemi: słowem, mógł zupełnie rozsądnie wątpić o prawdzie niezbadanej, a wtedy, nieprzekonany, czy Bóg ją objawił, mógł chyba ją wyznawać z nabożeństwa albo z innej pobudki, ale nie mógł jej wyznawać z wiary naprzyrodzonej.

Otóż prawosławni chrześcijanie stoją dziś na miejscu, gdzie ze sobą nas mieli przed rozdziałem Kościołów: nie odbyli tych prac, które wymagają niejednego człowieka, ani nie jednego pokolenia, a bez których ani umysły Bernardów i Tomaszów nie mogły przeczuć dogmatów. Więc np. Grecy obchodzą nasze święto Niepokalanego Poczęcia, ale pod nazwą inną: nie wymieniają biernie Matki Boskiej poczętej bez grzechu, tylko czynnie wymieniają świętą Annę, która poczęła Córkę wolną od grzechu pierworodnego. Tak mało zdają sobie wogóle sprawę ze swojego święta, jak i u nas widzieliśmy niedawno, że w sprawie legend Niemojewskiego tysiące nic nie rozróżniały między Niepokalanem Poczęciem a Dziewictwem Matki Boskiej. Albo Grecy nic nie wiedzą, albo słyszą tylko poprzekręcane pogłoski o przygotowawczych pracach, na których oparty Kościół rzymski ogłasza prawdy za dogmat. Zatem ich stan psychologiczny dopuszcza, żeby ten albo ów osobiście zbadał coś wszechstronnie, ale nie dopuszcza ogółu do sądów o sprawie naukowych, ścisłych, właściwych: ich stan psycholo-

giczny dopuszcza im na myśl zarzuty przedmiotowo słuszne i rozsądne, więc nie dopuszcza im zarazem wyznawać prawdę z wiary nadprzyrodzonej.

Można jeszcze lepiej ocenić ich stan psychologiczny, kiedy zwrócimy uwagę na pobudkę, dla której wierzymy. W tej mierze katolicy wychodzą ze zasady wspólnej z nami. W cokolwiek wierzą, to przyjmują za prawdę dlatego, iż Chrystus to objawił przez apostołów przodkom naszym po wierze, a ci przez ciąg świadectw dziejowych podali nam to dziedzictwo nauki chrześcijańskiej. Katolicy choć nie wyznają wyraźnie prawd, których nie widzą podanych sobie wyraźnie, przecie zajmują nawet w obec tych prawd stanowisko wiernych chrześcijan, a nie niedowiarków albo heretyków. Nie na rozumie własnym opierają sąd, co zostawić, co odrzucić, co przebrać między dogmatami, jak pozwalał sobie Luter ze swoim taborem: nie wynajdują sobie nigdzie nowych źródeł wiary, jak Orygines wynajdował, jak Towiański, jak różni Illuminaci: stoją na zasadzie tej samej, co my, i za źródło wiary poczytują z nami słowo Chrystusa apostołom objawione, złożone w niezmiennej na wieki skarbnicy prawd Kościoła. Tak samo u nich, jak u nas, miliony prostych sług bożych umieją wyraźnie wyliczyć niewiele prawd, w które wierzą, a wyznają inne słowami bardzo doniosłemi: i we wszystko wierzę, co Pan Bóg objawił i podał nam przez ojców Kościoła.

Na tej zasadzie oparci myśliciele ich, najbystrzejsi oczywiście, śledzą księgi obrzędowe i pisma ojców, aby poznać więcej prawd wyraźnie, i spostrzegają nieraz, że nie z nowym wynalazkiem wystąpił Kościół rzymski, kiedy ogłaszał ten dogmat albo ów, tylko podał do wiary wyraźnie dla ogółu, co wyznawali od początku chrześcijaństwa niektórzy wyraźnie, inni w owych słowach doniosłych.

Mowa tu o prawosławiu czystem, jako takiem, nie o tem, czego na łonie społeczeństwa prawosławnego uczy Lew Tołstoj, sztunda, rozkoł albo którybądź z tych profesorów bogosławia, którzy po akademiach i seminaryach duchownych wykładają o sakramentach pomysły berlińskich racyonalistów. Takie odstępstwa od teologii chrześcijańskiej nie mogą dziwić wśród

chrześcijan, którzy czują, że urzędowa u nich teologia w stanie jeszcze średniowiecznym dotąd, nie sprosta zarzutom niedowiarstwa nowszego: wypatrują tedy nowych dróg postępu, a od wieków pozbawieni na tych drogach przewodnictwa soborów, zasilają swoją wiedzę podręcznikami teologii inowierczej i zbaczają na jawne bezdroża. Nie można tedy ich mieć na myśli, kiedy mowa o prawosławiu właściwem.

Właściwe prawosławie wyznaje w słowach wyraźnych całą prawdę, którą rozwinęły dogmatycznie sobory początkowe, a w liturgii i księgach ojców wyznają, choć nie uświadamiają jej sobie, wszelką prawdę zawartą w słowach Chrystusa do apostołów. Taką tedy różnicę między Cerkwią a Kościołem najstosowniej wyrażają słowa, któremi Leon 13-y ją wyraził, że między nimi a nami ledwo zachodzi jakaś różnica wyznaniowa, w każdym razie nie w takim stopniu, żeby miłość wzajemna nie mogła jej zrównać.

Właśnie zrównała te różnice zgoda, ledwo zapanowała na wyspie wspomnianej.

Na innej także drodze Rzym naprowadza nas na sąd o różnicach wyznaniowych między Kościołem a Cerkwią.

Przy stosunkach i układach między Rzymem a Petersburgiem, Kościół podległy papieżowi dostaje w urzędowych pismach, po części łacińskich, a po części francuskich, przydomek powszechnego *l'Église catholique*, a Kościół nie papieżowi podległy, tylko władzy świeckiej z synodem *l'Église orthodoxe*. Nazwy tej używa Kościół katolicki także sam o sobie w księgach liturgicznych i pismach urzędowych. W kanonie podczas Mszy przypisuje modlitwę, w której Panu Bogu polecamy »papieża, biskupa i wszystkich prawosławnych Kościołowi powszechnemu i apostolskiemu wiernych«. W liście do świętego Metodego Jan 8-y poleca jego trudom apostolskim rozwój »Kościoła powszechnego i prawosławnego« na Morawach.

Nazwy tej nie używamy w Polsce, aby nie gmatwać pojęć, ani nikomu z nas nawet nie wolnoby wobec władz prawosławnych na pytanie urzędowe o wyznanie używać tej nazwy dwuznacznej i odpowiadać: »jestem prawosławny«, bo przy układzie stosunków nieszczęsnych słowa takie różnoważyłyby odstępstwu od Kościoła

powszechnego. Ale te stosunki, miejscowe w naszym kraju, nie zmieniają prawa zasadniczego: sam w sobie Kościół powszechny jest prawosławnym, ma prawo używać tej nazwy i używa jej urzędowo, choć nie w urzędowych stosunkach z cerkwią prawosławną.

Owszem: Rzym swojemu wyznaniu nie daje wydzierać tej nazwy. Przed latami niedawnemi powstały obawy, czy pojęć nie plącze liturgia słowiańska, w której Rusini nazywają Kościół prawosławnym: powstał ruch, aby z liturgii usunąć tę nazwę i mówić o chrześcijanach p r a w o w i e r n y c h; Rzym uwiadomiony o zmianie w księgach liturgicznych potępił ją; kazał zachować wyraz: »prawosławny«, gdzie grecka liturgia zamieszcza: »ὀρθόδοξος«, bo nie temu słowu odpowiadałaby nazwa »prawowierny«, a chyba nieużywanemu słowu »ὀρθωπίστικος«. Zamiast ucierać nową w liturgii nazwę orthopistyi, Kościół obstawał przy starej orthodoksyi, prawosławiu swojego wyznania.

I tej samej nazwy, którą oznacza swoje wyznanie, udziela a nie odmawia Kościół rzymski wyznaniu cerkwi synodalnej peterburskiej i innych cerkwi powstałych z carogrodzkiej, chociaż odmawia im, a nie udziela nazwy cerkwi katolickich, bo są to miejscowe społeczeństwa chrześcijan, a nie powszechne, i same nie swoim członkom, tylko nam dają przydomek katolików.

Przez ten swój zwyczaj Kościół daje tak samo, jak przez słowa Leona 13-go do seminaryum w Atenach, daje nam widzieć między katolicyzmem a prawosławiem przeciwieństwo wynikłe właściwie z rozstroju umysłów i odrazy serc, a nie z różnic wyznaniowych, które ledwo że istnieją.

Słowem, pojednawczy zwrot umysłów w obu rozłamach chrześcijaństwa, zgoda już gdzieniegdzie dokonywana między niektórymi kościołami katolickiemi a rzymskim, brak zasadniczej przeszkody do stosunków zgodnych wobec tego, że różnice dogmatyczne ledwo jakie zachodzą: wszystko to pozwala myśleć, że pora już poruszać sprawy sporne, aby wykazać, że można je załatwić spokojnie; pora już na nowo pracować nad wyrozumiałym wzajemnie nastrojem umysłów, przezwyciężać w sercu przesądy własne i odrazę i okazywać miłością, że nie zasługujemy z dru-

giej strony na odrazę i na wstręt, wzbudzony przez przesądy. A czyż tej zgody możemy nie pragnąć, zwłaszcza my, Słowiańszczyzna?

Komuż gorzej, niż nam, szkodzi ten rozbrat, który odstręcza, odpycha, odrywa jedne narody chrześcijańskie od drugich—? wszak żadnemu szczepowi ludzkiemu nie dokucza tak, jak nam Słowiańszczyźnie, bo nigdzie na łonie jednej rodziny pobratymców rozłam ten nie uzbraja wyznaniową odrazą jednych plemion przeciw drugim, tylko nas Słowiańszczyznę.

Jedni z nas, bardziej katoliccy i gorliwsi papiści, niż sam papież, nienawidzą całego chrześcijaństwa wschodniego, choć na Wschód wyciągają papieże jedni po drugich rękę do zgody chrześcijańskiej; za to też inni, bardziej antypapiści niż Focyusz, nienawidzą całego chrześcijaństwa zachodniego, choć z Zachodem szedł Focyusz pod jedną chorągwią, kiedy ze rzymskiej stolicy chciał strącić Mikołaja papieża za obronę Ignacego patryarchy.

Czyż nie obcy, nie wrogi nam żywioł sieje wśród nas ziarno rozterki, która nas boleć musi? Czy nie o jaknajdłuższe niesnaski wśród nas idzie komuś, kto tworzy przesadne opisy różnic między nami? Któż przekręca dzieje na dowód, że wyznanionowa waśń wrosła w serca słowiańskie od pierwszych jego tętn w dziejowym żywocie? Komuż zależy na tem, aby utrzymywać nas w przesądzie, że nieprzerwany bieg wieków już kilkunastu uświęcił bój między pobratymcami, niezawistnymi jedni drugim?

Ale kto pragnie zgody w Słowiańszyźnie, wycieńczonej już strasznie zatargami nieraz krwawemi, w tym nadzieję budzić mogą prace nowszych badaczy, którzy wykrywają coraz dokładniej, że nieszczęsny rozbrat wśród nas ani nie powstał za Focyusza już w stuleciu 9-m, ale dopiero o długie stulecia później, a chociażby powstał jaknajdawniej, nie dotyczył z początku względów wyznaniowych, o które dbać musimy zawsze, tylko sprawy dawno przestarzałej. Wszak od lat wielu mogłaby już zobojętnieć Słowianom troska o to, czy przed wiekami w kraju znanym na Słowiańszczyźnie najwięcej z wojen i napadów wzajemnych, na dalekiej stolicy patryarszej, siedział Niketas syn Michała Ignacy, ulubieniec ludu, czy Syn Sergiusza Spathara i Monastryi Focyusz,

wybraniec dworu. Co to ma nas rozpalać? Również zależy nam bardzo mało na tem, czy w dwieście lat po Focyuszu Kerularios dostał w Rzymie miano ekumenicznego czy tylko carogrodzkiego patryarchy.

Niejeden już głos słowiański wołał, że nieszczęsne zatargi nie wybuchły z powodów ważnych w każdej porze dla wszystkich pokoleń, owszem, już nieraz, jako niewczesne przy zmienionych stosunkach i niewygodne, musiały zawadzać zwłaszcza Słowianom. Głosy te wywołują coraz wyraźniejszy prąd do zgody, chociaż słaby dotychczas. Niejeden wzgląd przemawia za tem, że pora właśnie dziś Słowiańszczyźnie przełożyć własne dobro najdonioślejsze: zgodę chrześcijańską, nad pożytek naszych wrogów: borbę bez końca.

Dlatego to nas obchodzić może choćby pogrzebany przez naszych pisarzy zarzut, żywy przecie wśród przeciwników, zwłaszcza kiedy w nim znajdziemy coś przydatnego, aby wykorzeniać przesądy i niszczyć je w umysłach. Lepiej nieraz spojrzeć w oczy prawdzie, chociażby niebezpiecznej, niż zakopywać ją w ziemi, skąd ktobądź wygrzebie ją i złośliwie w umysłach posieje znowu ziarno niezgody.

II.

Przypadek może każdemu podsunąć pod rękę dwa dziełka średniowiecznego pisarza, od kilku wieków wydawane zwykle między dziełami świętego Tomasza z Akwinu. Oba rozstrzygają prawa i obowiązki rządcy społeczeństwa: pierwsze pod nagłówkiem »O rządzie władców« *(De regimine principum)* uchodzi za niewątpliwy utwór świętego Tomasza i zapowiada treść podzieloną na cztery części, ale kończy na trzeciej i odkłada czwartą, o rządzie głowy domu, na osobną pracę: wspomina przytem, że trzeba wyłożyć także cnoty właściwe rządcom społeczeństw. O tych właśnie cnotach rozprawia dziełko drugie, »O wychowaniu władców«, jakby koniec pierwszego, od 16-go stulecia między dziełami św. Tomasza wydawane pod nagłówkiem *De eruditione principum*. Na końcu dzieła przypisek jeden przyznaje jego twórcą Tomasza z Akwinu, drugi zawiera łacińskie słowa: Ja Jakób de Castello

de Organiano Urgelleńskiej dyecezyi napisałem tę księgę w Tuluzie *ad opus mei* (na użytek swój?) w biegu roku od Wcielenia Pańskiego MCCCIII.

Oba dziełka ze sobą porównane nie wykazują piętn dobitnych, któreby zdradzały, że wypłynęły z pod jednego pióra. Pierwsze przypomina zdaleka świętego Tomasza to jakimś zwrotem języka, to dowodem przywiedzionym z Arystotelesa; mało przypomina doborem świadectw biblijnych albo teologicznych powag, n. p. takich, jak Karol Wielki, czy też źródła dziejowe, sprzeczne ze świadectwami dziejopisów dziś poważanych. Na dobitek wspomina o bitwie, w której hrabiego nassauskiego pokonał syn Rudolfa Habsburskiego i zdobył koronę cesarską. Wypadki te zaszły w 1298-m roku dopiero, a już 1274-m św. Tomasz umarł, więc w ćwierć wieku przed wypadkiem nie mógł o nim wspominać jako o znanym szczególe z dziejów. Widocznie do dziełka, które mógł św. Tomasz pierwotnie napisać, mógł także późniejszy pisarz wsuwać swoje dodatki, jeżeli nawet nie ułożył ów pisarz sam dziełka całego i nie podrzucił przypadkiem między utwory doktora Kościoła. W każdym razie w powadze św. Tomasza silną podporę znalazły dla siebie myśli późniejsze bezimiennego pisarza. A które w tem dziełku ustępy pochodzą, które nie pochodzą od świętego Tomasza, tego jeszcze do dziś nikt nie badał: tymczasem można wątpić o każdym z osobna ustępie.

Znajdujemy w tem dziełku mieszaninę myśli niepospolitych i niezdarnych.

W księdze 1-ej czytamy wywody, skąd pochodzi władza człowieka nad ludźmi? jakie odmiany bywają władzy sprawiedliwej i jakie niesprawiedliwej? Która odmiana bywa najlepsza albo najgorsza?

Na pierwsze pytanie odpowiada pisarz (w r. 1-m): »Wrodzone to człowiekowi, że żyje w społeczeństwie i w niem potrzebuje rządu, ale nie przewrotnego, tylka sprawiedliwego, któryby przewodził ludziom dla wspólnego dobra ich, a nie jakby niewolnikami rozporządzał dla dobra własnego«,

Na drugie pytanie zaraz odpowiada dalszemi słowami: »Ten to rząd przewrotny, o własny dla siebie pożytek z niewolników

dbały, bywa różny, bo spoczywa w ręku albo jednego tyrana, albo nielicznych oligarchów, albo wielu demokratów, kiedy mianowicie naród pospolity przez potęgę liczebną uciska bogaczów. Podobnież różny bywa rząd sprawiedliwy, który dba o dobro wolnych członków społeczeństwa: spoczywa w ręku albo wielu ustawodawców *politia,* albo nielicznych arystokratów, albo jednego króla«.

Opuszcza pisarz w tym podziale pierwszą, którą widzimy najbliżej, odmianę rządu, mianowicie rodzinny rząd głowy domu; ale nasuwa wcale jasną tego przyczynę zaraz: »Otóż człowiek, gotów w społeczeństwie wzajemnie korzystać z pomocy i pomagać nawzajem, tworzy społeczeństwo tem doskonalej, im więcej potrzeb żywotnych zaspokoi w niem samem.

»Znajduje, co prawda, jakiś dostatek ze względu na potrzeby żywotne, wśród swojej rodziny w domu, mianowicie zaspakaja wrodzone potrzeby przez pokarm, małżeństwo i tak dalej w tymże zakresie osobistym i rodzinnym. U sąsiadów w swojej osadzie znajdzie dostatecznie, czego zapotrzebuje z wyrobów samego rzemiosła. Nakoniec w kraju, który stanowi już dla siebie społeczeństwo wykończone, znajdzie wszystko, czem zaspokoi potrzeby żywotne, a jeszcze więcej w całem mocarstwie, z krajów zebranem dla wspólnej potrzeby walki i wzajemnej pomocy przeciw wrogom.

»Zatem, kto rządzi społeczeństwem już w sobie wykończonem, krajem albo mocarstwem, nosi miano króla, a kto domem rządzi, nie miano króla nosi, tylko głowy domu.

»Więc królem jest, kto mieszkańcami kraju albo mocarstwa rządzi dla wspólnego ich dobra«.

Czytelnicy tedy dostrzegają przyczynę, dlaczego pisarz opuścił rząd rodzinny ze spisu odmian rządu: nie spoglądał jeszcze na rodzinę jako na społeczeństwo wykończone już, zdolne zaspokoić we wszystkiem potrzeby żywotne, choć zaspakaja je dostatecznie. Nawet na osadę nie spoglądał pisarz jako na społeczeństwo wykończone, choć w niem już rzemieślnik dostarcza swoich wyrobów.

Pogląd ten przypomina dowody świętego Tomasza, który

wywodzi swoje zasady indukcyjnie ze zjawisk przyrodniczych albo społecznych: ale w tym razie nie tak wielostronnie pisarz uwzględnia zjawiska, jak umie św. Tomasz; tu widać wpływ zasady z góry postanowionej, nie zdobytej indukcyjnie, nie narzuconej pisarzowi przez społeczny ustrój i wpływy włoskie, które pierwotnie wychowywały Tomasza, przez naukę francuską, którą pobierał Tomasz w Paryżu.

Romańskie ludy obierały sobie w postępie społecznym drogę drobno ustrojową. Francya w średnich wiekach przedstawiała rzeszę panów feudalnych, którzy wraz z ziemią, trzymaną prawem lennem, posiadali nad jej mieszkańcami wszelkie prawa urzędowe, sami względem suzerena obowiązani tylko do wierności, służby wojennej, pewnych posług na dworze i udziału w sądzie nad innymi lennikami[1]. »Król przestał być panem swoich poddanych, był tylko suzerenem najmożniejszych wasalów, z których każdy był znowu seniorem swoich wasalów, podległych królowi tylko pośrednio: od góry do dołu na każdym szczeblu powtarzał się taki sam stosunek tworząc całą hierarchię społeczną.

»Podzielone na wiele części niemal oddzielnych, królestwo francuskie nie miało jeszcze podówczas żadnej spójni narodowej«. Podobnież we Włoszech »nastał porządek feudalny, każde miasto należało do jakiegoś pana; w miastach, położonych na głównych szlakach, poczęła ludność wzrastać w dostatki i od 11-go wieku dobijać się o udział w zarządzie, nawet o samorząd. W 12-m w. wszystkie gminy stają się obok duchowieństwa i szlachty trzecim niezmiernie ważnym czynnikiem politycznym i społecznym; niektóre stały się silnemi republikami, które mogły wyprowadzić do boju znaczne siły zbrojne. We Włoszech miasta walczące z cesarzami zajmują takie samo stanowisko, jak w Niemczech książęta, a po upadku cesarstwa stają się republikami niepodległemi«.

(C. d. n.).

Ks. K. Czaykowski.

[1] Prof. Zakrzewski: »Historya wieków średnich«.

ZE ŚWIATA AGITACYI WŚRÓD MŁODZIEŻY ŻYDOWSKIEJ.

Od kilku dziesiątek lat powstał w łonie Żydów dziwny jakiś ruch. Na ruch ten, znany ogólnie pod nazwą s y o n i z m u, patrzał się początkowo wielki odłam samych Żydów z pewnym sceptycyzmem i niedowierzaniem, aż powoli zaczął się on potęgować, obejmować coraz szersze warstwy społeczeństwa żydowskiego tak, że zwrócił na siebie wreszcie uwagę wszystkich. Prasa hebrajska, żargonowa i redagowana w językach odpowiednich krajów, dzwoniła na pobudkę, rozszerzała zasady i naukę s y o n i z m u, wskazywała na jego cele i dążności i przyczyniała się tym sposobem do jego wzrostu. I ziemie polskie nie pozostały w tyle. Pisma i miesięczniki żargonowe, hebrajskie, niemieckie i polskie stanęły na usługach s y o n i z m u u nas w kraju; z tych pism dość poważnem, skierowanem do młodzieży żydowskiej, a redagowanem, przyznajmy to bez ogródki, względnie spokojnie i bezstronnie, jest wychodzący w języku polskim od 1903 r. we Lwowie miesięcznik *Moriah* [1]. Program *Morii*, dość jasno sformułowany w teoryi, nie jest jednak jednolity w praktyce, dlatego czasami trudno wyrobić sobie pewne zdanie o poszczególnych kwestyach; mimo to jest kierunek *Morii* tak charakterystycznym przyczynkiem do historyi współczesnych prądów, iż sądzimy, że jest zupełnie na czasie zdać z niego sprawę. *Moriah* aczkolwiek nazywa się ogól-

[1] *Moriah*. Miesięcznik młodzieży żydowskiej. Lwów. Rok I, 1903. Rok II, 1904.

nie organem młodzieży żydowskiej, powinna zwać się organem młodzieży syonistycznej, gdyż z prawdziwym zapałem poświęca wszystkie swe szpalty dążnościom syonistycznym, a dla innych zapatrywań w łonie Żydów ma wyrazy lekceważenia, sarkazmu, ironii i nietolerancyi.

Moriah przyznaje sama, że napotkała na wielkie trudności. »Z niedowierzaniem, uśmiechem sceptycznym przyjęła wielka część ‚starszych' myśl założenia pisma dla młodzieży. Odmawiano mu racyi bytu, nie wierzono, że się organ taki utrzyma. Tylko młodzież z nieostygającym zapałem domagała się mimo przestróg ‚doświadczonych' swego pisma. I zapał ten jedyną był odpowiedzią na pytanie, czy pismo to jest potrzebnem i czy zdoła się utrzymać. Obecnie po roku istnienia usprawiedliwienie bytu jego wydaje się niemal zbytecznem« [1]. Cel swój skreśliła *Moriah* w następujących słowach: pismo »chce się przyczynić do wyrobienia indywidualności silnych i wielkich wśród młodej generacyi, do wychowania Żydów pełnych i całych. Chcemy uchronić młodzież przed gubieniem się w małostkowości i drobnostkach życia, zbudzić w niej płomienną miłość i głębokie zrozumienie Żydostwa, hart ducha, silną wolę, odwagę i gotowość do ofiar« [2]; taki dopiero syonista-młodzieniec będzie nie członkiem pewnego stronnictwa, lecz doskonalszym typem Żyda, wyższą jednostką ludzką [3]. Dlatego też zjednywa sobie naszą sympatyę wezwanie, o ile ono jest szczerem: »do młodzieży się zwraca i o słuch prosi, do starszych o pomoc i radę i wskazówki, do narodu całego o wyrozumiałość, a do sąsiadów naszych Polaków i Rusinów o udzielenie tego szacunku, na jaki zasługuje dobra wola i szczera wiara i prostota i naturalność i zapał i głęboka, święta żądza ludu« [4].

Jakiemi drogami dąży *Moriah* do osiągnięcia postawionego sobie celu? Prace w niej zawarte dadzą się podzielić na dwa wielkie działy. W jednych omawia syonizm, jego cele, rozwój, prądy w nim nurtujące, w drugich pracuje nad rozszerzeniem syonizmu w sercach i w życiu młodzieży.

Czegoż więc chcą syoniści? »Chcemy wśród szarych, cie-

[1] *Moriah*, r. II, str. 1. [2] I, str. 2. [3] II, str. 2. [4] I. str. 3.

mnych, upośledzonych mas Żydów, wśród wszystkich tych, którzy się Żydami nazywają lub tem mianem oznaczeni bywają, wzbudzić, lepiej mówiąc, uświadomić uczucie, które w rzadkich nader wypadkach zupełnie zanikło, uczucie wspólności narodowej... Raz jednak wzbudzone uczucie zmienić chcemy na trwałe ogniwo, chcemy mieć naród. Kwestya czy Żydzi są narodem, czy rasą, czy grupą wyznaniową, najlepiej zostanie rozwiązaną, gdy naród żydowski będzie. Do bytu jednak potrzebuje jednego czynnika: ziemi. I do niej dążenie i praca odzyskania jej napowrót i przyspieszenie chwili połączenia się z nią, to główny i nie dający się usunąć, konieczny postulat, cel naszego dążenia. A tu zaraz obok wymienić należy jeden z środków, jednak tak ważny, iż wprost sam dla siebie staje się celem: praca nad kulturą żydowską. To program w zarysach« [1]. Innemi słowy »naród żydowski dąży do odzyskania tego, co stracił, do odzyskania wolności i ojczyzny« [2]. A chociaż *Moriah* z jednej strony stwierdzić musi, że »tyle jest bezduszności w obecnym ‚syonizmie', tyle ciasnej frazeologii w mowach i artykułach syonistycznych', tyle jest słów z powierzchni, a tak mało słów z głębi i takie to wszystko w tej młodej partyi stare i zużyte, i tak to wszystko w tym naszym renesansie z chwili się rodzi i w otchłani chwili ginie« [3], to z drugiej strony z chlubą, a może i z pewnem złudzeniem radośnie woła: »że w syonizmie mają miejsce i w jego szeregach stoją wszyscy Żydzi, jeżeli nie co do liczby, to co do treści« [4]. Bo też w ruchu syonistycznym dźwięczy ponad wszystkie inne jedna nuta, która w każdem sercu żydowskiem silniejsze wywołuje bicie, a tą nutą jest dążność do odzyskania prastarej ojczyzny, Palestyny. Program bowiem syonistyczny pojmuje »jako cel syonizmu dążenie do stworzenia dla narodu żydowskiego prawem publicznem zabezpieczonej ostoi w Palestynie« [5]. Osiągnięcie tego celu przedstawia sobie może za zbyt łatwo: »niech każdy z nas duszą całą zapragnie Palestyny dla siebie, dla narodu, a zdobędziemy Palestynę« [6]: dla agitacyi

[1] II, str. 177, 178. [2] I, str. 52. [3] II, str. 49.
[4] I, str. 292. [5] I, str. 226. [6] II, str. 51.

za Palestyną ma syonizm nawet osobny, wychodzący w Berlinie, organ *Altneuland. Monatschrift für die wirtschaftliche Erschliessung Palästina's;* pismo to chce zbierać drogą metody naukowej godne uwagi wiadomości o dzisiejszym stanie ekonomicznym Palestyny wraz z obszarami ościennymi, o zdatności kraju do kolonizacyi żydowskiej, niemniej zaś pragnie zapoznać się z techniką kolonizacyjną w zastosowaniu do tego kraju [1].

Kolonizacyę tą tak rozumią. »W myśl uchwał VI kongresu mają być zakupione obszary w Palestynie. Obszary te będą uznane za posiadłości narodowe. W celu zużytkowania tych posiadłości dla idealnych celów narodu żydowskiego, przystąpionoby do sadzenia na nich drzew oliwnych, a to w ten sposób, że urządzonoby powszechną składkę pieniężną. Najmniejszy datek na drzewo oliwne 6 marek, to jest tyle, ile potrzeba do zasadzenia i pielęgnowania jednego drzewka oliwnego, aż do czasu, gdy niejako samo utrzymać się może. Datki mogą obejmować 10 drzewek, tj. jedną parcelę ogrodową czyli 1 dunam, 100 drzewek tj. ogród czyli 1 ha i 1000 drzewek tj. cały gaj oliwny czyli 10 ha. Ofiarodawcami mogą być zarówno osoby fizyczne, pojedyncze lub rodziny, jak stowarzyszenia i korporacye. Wszelkie datki odprowadzone będą do banku kolonialnego, tam osobno zawiadywane i w pismach żydowskich wykazywane. Zarząd posiadłości narodowych zostanie poruczony ogólnej komisyi, wybranej przez kongres. Komisya dla zbadania Palestyny otworzy podstawę organizacyi i podejmie się pierwszych robót na miejscu. Dochody spodziewane z tych posiadłości, co prawda dopiero po upływie 8—10 lat miałyby, wedle zdania komisyi służyć do założenia i utrzymywania wyższych zakładów naukowych w Palestynie ‚praca duchowa dla dóbr duchowych'. Zarazem jednak przy posiadłościach narodowych znalazłyby trwałe utrzymanie tysiące żydowskich robotników i wieczystych dzierżawców, nowe gałęzie przemysłu mogłyby się rozwinąć, wywóz wzmógłby się znacznie i obrót i handel zakwitłyby w kraju« [2]. Inni są natomiast zdania, że kolonizacya nie powinna się rozpoczynać od uprawy roli, lecz

[1] II, str. 105. [2] II, str. 105 sq.

od rzemiosła i przemysłu [1]. W każdym razie wykonanie tych, swą oryginalnością nęcących pomysłów, zostało odroczone do bardzo, bardzo dalekiej przyszłości; usiłowania około pozyskania Palestyny spełzły na niczem, »sułtan obok niezaprzeczonej sympatyi dla naszej idei zachowuje się wobec naszych usiłowań odpornie« [2].

Syoniści nie upadają wprawdzie na duchu, nie wyrzekają się dawnego planu, ale tymczasem w ich gronie zakiełkowała nowa myśl, myśl, która w łonie nowego stronnictwa wywołała wielką burzę i zaciekłe walki; tą myślą była uchwała VI kongresu, aby wysłać ekspedycyę do Ugandy celem zbadania warunków osiedlenia Żydów w tym kraju. »Syonizm kilkakrotnie przebył już przesilenia wewnętrzne, żadne dotychczasowe przesilenie nie było jednak tak ostre i tak groźne jak obecne... Spór ten ma w rzeczy samej znaczenie zasadnicze, od wyniku jego bowiem zależeć musi decyzya, czy nadal nam postępować drogą, jaką nam wskazują obecni przywódcy, czy zaś winniśmy obrać drogę inną« [3]. Zamieszanie wywołane powyższą uchwałą było tak wielkie, że spowodowało z jednej strony konferencyę charkowską, która nieomal o zdradę posądziła kierowników organizacyi syońskiej, z drugiej znów strony było powodem znanego zamachu na Nordaua w Paryżu. Dr. Herzl, którego pertraktacye o Wadi-El-Arisch spełzły na niczem, mimo swoich dla syonizmu położonych zasług, gorzkie przeżywał chwile, gdy po uczynieniu mu przez rząd angielski propozycyi co do kolonizacyi obszaru wschodnio-afrykańskiego, wystąpił z wnioskiem wysłania tamże komisyi dla zbadania warunków kraju. Burza ucichła dopiero i osiągnięto jakie takie porozumienie, gdy ze strony oficyalnej uwiadomiono ogół żydowski, że »Uganda nie jest bynajmniej jeszcze urzeczywistnieniem syonizmu, ale środkiem, krokiem przejściowym do odzyskania własnego kraju« [4], że więc hasło syońskie nie brzmi: Uganda nie Palestyna, lecz: Przez Ugandę do Palestyny. Na razie więc nieporozumienie zostało zażegnane.

Spór powyższy nie jest jedynym w syonizmie. W łonie jego

[1] II, str. 157. [2] I, str. 259. [3] I, str. 355. [4] II, str. 46.

nurtują obecnie różne prądy, a nie jest to znów tak jasnem, czy wyjdą mu one na korzyść czy szkodę. Pisze wprawdzie *Moriah*, że »nasza partya daje wrażenie barwnego a zgodnego kalejdoskopu, pysznej a harmonijnej mozaiki« [1], rzeczywistość jednak inny zdaje się wydawać sąd; inaczej być też nie mogło, musiały się przecież pojawić różnice co do celu, co do środków działania, co do sposobu osiedlenia Żydów w Palestynie i co do organizacyi. Trzy przedewszystkiem z tych prądów wyłoniły się partye: partya demokratyczna, której »celem praca kulturna, szerzenie we wszystkich kierunkach syońskiego życia ideałów, demokratyzmu i wolności« [2]. Zadanie swoje widzi ta partya na pierwszem miejscu w odzyskaniu Palestyny, któraby stała pod ochroną prawa publicznego, dlatego też sądzi, że już dzisiaj trzebaby nabyć jaknajwięcej obszarów ziemi w Palestynie i już dzisiaj rozpocząć pracę nad wychowaniem produkcyjnej ludności żydowskiej w Palestynie [3]. Partya demokratyczna nie jest jednak znacznie rozszerzoną i nie cieszy się wielką sympatyą, raz dlatego, że występowała na kongresach przeciwko przywódcom syonistów, nie sformułowała jasno stanowiska swego względem sprawy przyszłości proletaryatu żydowskiego, a drugi raz, że lekceważyła moment religijny w historyi Żydów i w syonizmie samym [4]. Tym sposobem powstała inna partya, partya ortodoksyjna M i z r a c h i, założona przez rabinów w celu obrony własnych zapatrywań religijnych w obozie syonistycznym i natchnienia syonizmu duchem wiernego tradycyi żydostwa [5]. Mizrachici nie odłączają się od innych syonistów pod względem praktycznych zadań syonizmu, lecz tu idą z nimi ręka w rękę, zato łączą się w odrębną organizacyę we wszystkich sprawach religijnych, i podczas, gdy prąd ogólny w sprawie wychowania i agitacyi na pierwsze miejsce wysuwa znajomość gruntowną języka hebrajskiego i historyi żydowskiej to mizrachici krzewią znajomość biblii i tradycyi. Najbardziej jednak wyszczególnia się od innych prąd ludowy czyli organizacya socyalistyczno-syonistyczna C h e j r u t h; z dumą stwierdza

[1] I, str. 292. [2] I, str. 293. [3] II, str. 8.
[4] II, str. 8. [5] II, str. 9.

Moriah, że organizacya ta nie jest socyalistyczną »w rozumieniu zaścionkowem ‚naszych' domorosłych, socyalnych demokratów, lecz w rozumieniu innem, wyższem« [1]. Czy tak naprawdę jest, stwierdzi może przyszłość, nam wystarszy tu jedynie nadmienić, że uważa ona za cel syonizmu »zaspokojenie materyalnych i umysłowych potrzeb ludu« i sądzi, »że tylko lud żydowski może być podstawą historyczną syonizmu», dlatego też »pragnie zorganizować masy ludu żydowskiego do czynnej pracy syonistycznej«, wypowiada więc walkę burżoazyi żydowskiej i takim instytucyom, jak Alliance Israelite i innym [2]. Organ młodzieży żydowskiej utrzymuje wprawdzie, że »program organizacyi Chejruth wnosi w syonizm nową, świeżą myśl, roztacza szeroki widnokrąg i kładzie szeroką podstawę pod dzieło odrodzenia narodu«, lecz równocześnie nieśmiało i z pewną ukrytą trwogą pisze, że »warunkiem rozwoju tej świeżej myśli jest jednak oczyszczenie jej z niektórych niejasności, szczególnie co do stanowiska względem dążeń kulturalnych syonizmu i co do stosunku do całości narodu żydowskiego« [3].

Tak przedstawia się nam jedna strona działalności syonizmu w oświetleniu *Morii.* Krótki ten obraz był nam potrzebny dla lepszego zrozumienia drugiego rysu. Syonizm nie przedstawia się tylko jako dążność do odzyskania Palestyny, o której prędkiem zdobyciu dziś jeszcze marzyć nie można; pragnie on również regeneracyi i odnowienia narodu, wyrobienia mu praw na równi z innymi, chce jednem słowem wzbudzić w Żydach poczucie narodowości, a przez to przywrócić im pierwotną potęgę i siłę.

Jeden z młodych współpracowników *Morii* pisze, że »młodzież nasza nie zdaje sobie niestety sprawy z wielkiego zadania, jakie ją czeka i dlatego też albo brnie w nieczynności, albo też z wielką zapamiętałością odrzucając wszystko, co aktualne, co ważne, studyuje przeszłe dzieje, sądząc, że niedbałą nauką języka hebrajskiego i jeszcze lichszą nauką historyi wszystkiego dokona« [4], mimo to młodzieży właśnie przypisuje jej organ niesłychanie wielki wpływ w tem odnowieniu narodu. »W potężnej, nigdy

[1] I, str. 227. [2] II, str. 11. [3] II, str. 12. [4] II, str. 43.

nie drzemiącej walce teraźniejszości z przyszłością, młodzież na-narodów była zawsze na czele. Wrażliwa jak arfa stustrunna, płomienna, jak twórcza siła ziemi, silna jak prawica Judy, dąży zawsze naprzód« [1]. Młodzież żydowska długo milczała, aż przemówiła wreszcie, a jej głos jest głosem narodu [2]: ona też jedynie jest w stanie »pojąć i wypowiedzieć nieświadome odruchy ludu swego, walczącego o byt fizyczny i duchowy; ona to skupiła w sobie wszystkie bóle i nadzieje ludu; w jej łonie ścierają się sprzeczności rozrywające jedność jego; ona to nasiąkła kulturą Europy i uderza w struny twórczości rodzinnej; ona to przyspieszonym krokiem zdąża za szalonym postępem społeczeństw, roznoszącym co chwila nowe hasła i jednocześnie dłoń badacza składa na pulsie życia narodu. Tajemne drgnienia klas, ledwo dostrzegalne świtania idei, w głębinach mas nurtująca praca niejasnych dążności, dojrzewają i potęgują się w niej i przez nią« [3].

Z dość niejasnych, pewną od czasu do czasu frazeologią nacechowanych punktów programu pracy młodzieży, można wyciągnąć następujące jej zadania: »wewnętrzna działalność młodzieży syonistycznej, która widzi w ruchu proces głęboki przeradzania się żydostwa wstępującego we wyższy stopień kultury; świadoma walka jej ze wszystkiem, co przywiązuje znaczenie do tradycyjnej formy, cechuje (może: hamuje?) wszelką swobodną ewolucyę ducha, ten nieustanny protest, głoszący, iż syonizm powołany jest do walki z reakcyą życia żydowskiego, czy to w formie proponowanej asymilacyi, czy to w formie wojującej ortodoksyi występującej, jest naturalnem, pierwszem i najważniejszem zadaniem uświadomionej młodzieży żydowskiej« [4]. Innym celem jest działalność kulturna o »specyficznie żydowskim charakterze« czyli działalność dla sztuki żydowskiej, która » nie powstanie w inteligencyi, ani w mieszczaństwie, lecz kolebką jej będzie nędza, a gwiazdę mieć będzie pragnienie czynu i przestrzeni« i tylko ruch młodzieży będzie mógł »powołać do życia tę szeroką, wszechstronną, pogłębioną i naturalną twórczość artystyczną ludu,

[1] I, str. 365. [2] I, str. 366. [3] I, str. 366. [4] I, str. 369.

jaką winna być sztuka żydowska» [1]. Młodzież ma się zająć i zagadnieniami ekonomicznemi ludu żydowskiego i to kwestyą specyficznie żydowsko-ekonomiczną, tak zwaną Judennot i zwrócić swą szczególniejszą uwagę na przemianę światopoglądu gospodarczego, wyrobić innemi słowy u Żydów przekonanie, że kapitał nie jest jedynem źródłem dobrobytu, lecz bezpośrednia, w wielu wypadkach fizyczna praca. Ponieważ jednak polepszenie ekonomiczne może nastąpić jedynie na terytoryum dającem możliwość normalnego życia, więc też wszystkie odłamy pracy syonistycznej powinny wieść do wspólnego celu: odrodzenia w Palestynie [2]. Pozostaje jeszcze jeden z ważniejszych, choć dość niejasno określonych zadań: agitacya wśród szerokich mas ludowych. Agitacya ta nie powinna być tylko negatywną, czyli polegać na zwalczaniu tego, co dla Żydów jest, przynajmniej w pojęciu syonistów, szkodliwem, ale przedewszystkiem pozytywną czyli dążącą do wykazania Żydom, że jedynem radykalnem rozwiązaniem kwestyi żydowskiej dla Żydów jest syonizm [3]. Ważnem w tej agitacyi elementem jest zwalczanie poglądu, który uzasadnia syonizm na podstawie antysemityzmu, czyli że syonizm został wywołany przez antysemityzm, że gdyby więc nie było antysemityzmu nie byłoby i syonizmu; wtenczas dopiero syonizm obejmie szersze dziejowe widnokręgi [4].

Zadanie więc młodzieży jest bardzo obszerne, ale tu znowu z serca wyrywa się westchnienie: »tylko znikoma część młodzieży narodu naszego jest żydowską«; »mamy może dość młodzieży syonistycznej, a za mało, za mało młodzieży żydowskiej« [5], trzeba więc wpierw tę młodzież uświadomić i w duchu żydowskim wychować. Śmiało więc i stanowczo wyznają współpracownicy *Morii* swoją narodowość. »Do narodu żydowskiego przyznawać się nie wolno... My zaś krzyczymy: jesteśmy Żydami. Głośno i otwarcie całemu światu to powiadamy: jesteśmy tylko Żydami, czy wy chcecie czy nie, czy uznajecie czy świadomie fałszujecie. A decydować o tem, czy jesteśmy narodem czy nie, tylko my możemy.

[1] I, str. 370. [2] I, str. 371 sq. [3] I, str. 374.
[4] I, str. 376 sq. [5] I, str. 366 sq.

Sentimus, ergo sumus — oto ostateczny powód. Czujemy się Żydami, więc jesteśmy nimi« [1]. Te i tym podobne nawoływania nie pozostają bez skutku; we Lwowie n. p. studenci uniwersyteccy wręczyli rektorowi memoryał podpisany przez 250 słuchaczy domagających się, by pozwolono im się wpisywać jako Żydom i nie zmuszono ich do podszywania się pod obcą narodowość [2]. Nie wystarczy jednak pod chwilowem może wrażeniem sztucznej czasami agitacyi tylko czuć się Żydem, lecz trzeba nim być wytrwale, świadomie i stanowczo, i do wyrobienia tego stanowczego, a zarazem świadomego przekonania dąży lwia część artykułów ogłoszonych w *Morii*. Ponieważ na razie wychowanie młodzieży żydowskiej jest anormalne, pozbawione życia, ponieważ brak jej »idei przewodniej, jasnego celu, a co najwyżej jest ono oportunistycznym kompromisem pozostałych resztek żydowstwa z zewnętrznymi warunkami bytu« [3], przeto wszelkiemi siłami dążyć potrzeba do wychowania narodowego. To wychowanie narodowe polegać ma na tem, aby »wzbudzić wśród młodzieży gorącą miłość i tęsknotę za świętymi ideałami naszego narodu... zdrowe i stanowcze pożądanie tych wielkich czynów, jakich ta młodzież ma dopiero dokonać i którym jeszcze nie dorosła. W tym celu musimy szerzyć wśród młodzieży w jakimkolwiek języku prawdziwą znajomość historyi naszej. Chodziłoby tu o wpojenie tego przekonania, że idea narodowa jest czemś organicznem, snującem się przez cały ciąg dziejów naszych, że jest ona ich ostateczną konkluzyą« [4]. Młodzież ma dalej poznać położenie Żydów pod względem gospodarczym, społeczym i kulturnym, prądy nurtujące w życiu żydowskiem, zwłaszcza w literaturze i sztuce, ma się łączyć w stowarzyszenia, gdzie się pielęgnuje ducha narodowego i szczególniejszą opieką otaczać kółko judaistyczne »Ognisko« ma się gorliwie zajmować prasą żydowską, a szczególniej tą, która się poświęca wychowaniu narodowemu młodzieży, a więc miesięcznikiem *Moriah*, ma się wreszcie z zapałem oddać studyom

[1] I, str. 129. [2] I, str. 156.
[3] I, str. 266 sq. [4] I, str. 268.

nad językiem hebrajskim, gdyż »wszystko inne jest frazesem, jeżeli nie zabierze się młodzież do własnego języka« [1].

Ważną w wychowaniu rolę przypisuje *Moriah* kobiecie. »Odrodzenie narodu nie może się dokonać bez udziału kobiety. Syonizm, jako treść życia kobiety, marzenie jej uduchownionej jaźni, da nam matkę wychowawczynię-syonistkę, która urzeczywistni hasło: ‚nam legionu bohaterów, hufca świętych potrzeba'« [2], więc też »prowadzenie w bój, jak stary Machabeusz, przypadnie ojcu w udziale, przygotowanie bojowników to cel życia matki« [3].

Pierwszorzędne znaczenie przypisuje *Moriah* religii, a jednak w omawianiu tej kwestyi staje w pewnej sprzeczności sama z sobą. Mniejsza o to, że »nie chce wprowadzać klerykalizmu lub jezuityzmu w nasze wychowanie«, mniejsza o to, że »religia obejmuje u nas Żydów naszą etykę, tradycyę, mitologię, historyę, prawodawstwo a wreszcie język«, co z pewnością dziwnie świadczy o filozoficznem wyszkoleniu autorów, dlaczego jednak, jeżeli »pominąć w wychowaniu dziecka nauczanie o Bogu jest mojem zdaniem wysoce nieetycznem«, nie jest nieetycznem uczyć czegoś, w co się samemu nie wierzy i czego się samemu nie rozumie? To przecież znaczy odstąpić od jasności i szczerości programu. *Moriah* objawia tu dziwne pojęcie o religii i prawdomówności. Przedmiotem religii ma być »Bóg, czy też siła, jakkolwiek my to nazywamy«; ten Bóg jest »miłość do ludzi, dobroć i szlachetność własnej duszy«. Jak wtenczas dziecko, w które takie pojęcie Boga i religii wpojono, »nie będzie oczekiwało kary i nagrody od jakiejś wyższej siły, lecz siłę tę czuć będzie w sobie, i karę lub nagrodę w zranionem uczuciu swojem samo sobie wymierzy«, to już jest tajemnicą autorki tej rozprawy, p. Sary Bratt. Charakterystycznym do jej zapatrywań religijnych przyczynkiem, jest wreszcie następujący ustęp: »a w jaki piękny sposób dziecko na tej drodze zbliżyć można do natury. Rozgrzane zadowoleniem dobrocią i miłością czy nie przyjmie każdej trawki, jako coś nowego — w każde zjawisko przyrody, czy nie wleje części duszy swojej. Zharmonizowanie uczuć dziecka z przyrodą, to danie mu

[1] I, str. 268 sq. [2] I, str. 42. [3] l. c.

jednego z najpiękniejszych pojęć o Bogu. Że ono później jako dojrzalsze pojmie przez naukę przyczyny powstania otaczającej nas natury, to go nie rozczaruje« [1]. Czy nie rozczaruje o tem wątpimy, że jednak wypaczy cały charakter, to chyba jasnem, jak niemniej i to, że jeżeli wszyscy syoniści takie zapatrywania na religię podzielają, nikogo nie zadziwi, że w łonie ortodoksyjnych czy konserwatywnych Żydów syonizm największych spotyka wrogów.

Nie mniejszy nacisk w kwestyi wychowania narodowego kładzie *Moriah*, jak już wspomnieliśmy, na potrzebę nauki języka hebrajskiego. »Wzbudzenie miłości dla żydostwa jest właściwie środkiem prowadzącym do istoty wychowania narodowo-żydowskiego, do jego wewnętrznego jądra, bez którego żydostwo przestaje dla nas być żywym organizmem i stanowi chyba ciekawe studyum dla archeologa tj. do żywego języka hebrajskiego. Nie wyobrażamy sobie pomyślnego zwrotu idei narodowej, zanim nasza młodzież nie zacznie władać językiem narodowym. Nie wystarcza samo uświadomienie narodowe, nie dość jest być zwolennikiem idei narodowej, ale trzeba tę ideę urzeczywistnić zwłaszcza, że ta idea nadludzkich, niemożliwych wysiłków od nas nie wymaga« [2]. »Dla należytego i zdrowego rozwoju tego organizmu starać się musimy, aby język święty spowszedniał, wszedł w życie nasze i razem z niem się rozwijał. Język hebrajski w codzienne wprowadzony życie, stanie się wyłącznie językiem literatury naszej, ogniskową, która rozrzucone nasze siły twórcze w jednym skupi punkcie. A gdy zjednoczymy wszystkie siły naszego ducha, stworzymy fundament dla naszej przyszłości trwalszy nad spiże i zarazem ducha żydowskiego *monumentum aere perennius*« [3]. Naukę języka hebrajskiego uważa *Moriah* za tak ważny czynnik w wychowaniu żydowskiem, że nie ma prawie w piśmie wybitniejszego artykułu, któryby się tą kwestyą nie zajmował; skutek tej agitacyi objawia się też w dość licznie zakładanych szkołach i powołanych do życia kursach języka i w resolucyi trzeciej i czwartej lwowskiego wiecu abituryentów żydowskich, którzy

[1] I, str. 45—47. [2] I, str. 269. [3] I, str, 47.

»ślubują poświęcić się z całym młodzieńczym zapałem nauce narodowego języka hebrajskiego i wszelkie starania w kierunku ułatwienia tej nauki wspierać« i uchwalają »pracować dla komitetu lwowskiego szkoły hebrajskiej i około założenia takich komitetów na prowincyi, któreby w połączeniu z komitetem lwowskim miały przyspieszyć zakładanie szkół hebrajskich na prowincyi« [1].

Wychowanie narodowe napotyka jednak na jedną wielką trudność w łonie samych Żydów, na tendencye mianowicie asymilacyjne, które w *Morii* znajdują nieprzebłaganego wroga. Asymilacya jest »klęską narodową, której wytępienie wielkiem będzie dziełem« [2], »pozbawiła żydów własnego życia, nie dając im w zamian innego« [3], jest hańbą, dla której nie można mieć dość silnych, dość poniżających słów [4]. Szczęściem »żywiołowy ruch asymilacyjny dziś ustał zupełnie, dokonywa się jedynie pod czujnem okiem wszystkich c. k. władz i urzędów, oraz nieznośną inspekcyą całego społeczeństwa polskiego ‚selekcya najgorszych'« [5]. Te asymilacyjne dążności w Polsce »upadły z winy nie społeczeństwa żydowskiego, lecz polskiego« [6], więc też »ciężka zmora asymilacyi, która tłoczy jeszcze dziś bezdusznym swym kolosem pierś budzącego się żydostwa i złotymi łańcuchami radaby na wieki spętać mu ciało i ducha, nie ostoi się przed młodzieńczą, żywiołową wolą żydowskiego narodu« [7], tem bardziej, że do walki stanie i młodzież syońska, »która pod względem etycznym o całe niebo wyżej stoi od mniejszości asymilanckiej« [8].

Skoro już mowa o asymilacyi, nie zawadzi zastanowić się trochę nad stosunkiem Żydów do społeczeństw w ogóle, a do Polaków w szczególności, tak jak się te stosunki w *Morii* przedstawiają. »Narody, wśród których żyjemy, nie darzą nas tą pieczą i troskliwością, którą otaczają swoją młodzież« [9]; niechęć do ludów aryjskich jest uzasadniona, gdyż uzasadniają ją »dostatecznie strumienie krwi, niewinnie przelanej, nienawiść tłumów i pogarda ludów od wiek wieków doznawana« tak, że wobec wybuchów nienawiści, systematycznie żywionej i podsycanej przez kler nie

[1] I, str. 271. [2] I, str. 57. [3] I, str. 354.
[4] I, str. 369. [5] I, str. 330. [6] I, str. 252.
[7] I, str. 332. [8] I, str. 191. [9] I, str. 275.

może nikogo zadziwić wykrzyk o »wrodzonej ludom aryjskim krwiożerczości« i »nienawiści ras« [1]. »Nieszczęście poczęło się dla Żydów z chwilą wzmagania się katolicyzmu, który na mocy swej kościelnej organizacyi musiał ogłosić Żydów za nierównych. W tej chwili poczyna się zwrot skierowany do zamienienia Zydów w niewolników. Powoli a ciągle odbiera się im prawo życia; żółta oznaka, wynaleziona przez Arabów, którzy, jak najnowsze badania wykazały, współzawodniczyć mogą z katolikami w prześladowaniu Żydów, stało się zapieczętowaniem dokonanej zupełnej niewoli Żydów. O panowanie nad tymi niewolnikami prowadzili między sobą długie spory i cesarz i książęta feudalni i duchowieństwo. ‚Zwyciężył najzacieklejszy i najniebezpieczniejszy wróg żydostwa, katolickie duchowieństwo'« [2]. Treścią tej krwiożerczości jest antysemityzm, który obecnie tak bujnie głowę podnosi i najniecniejsze zarzuty w twarz ciska [3], a który uważać trzeba za »głupotę ludzką, przeciw której wszelka walka jest daremną« [4].

Gorzkie wyrzuty robi *Moriah* społeczeństwu polskiemu: »Popatrzcie na społeczne stanowisko Żydów, ich elity, ich burżuazyjnej pseudo-inteligencyi, która do prawdy nie szczędziła nigdy wysiłków, by zademonstrować swój polski patryotyzm. Jakiż jest jej los? Czy nie zupełne wykluczenie od obcowania ze społeczeństwem polskiem? Czyż więc może polityczne koncesye?« [5]. »Zapytajcie tych, którzy lata strawili w pracy dla nauki polskiej, czy na laurach sypiają, czy są mile widziani... Mamyż po to wspierać groszem żydowskim kółka rolnicze, by podkopywać nędzny byt żydowskiego kramarza i po to zajmować się kulturą polską i jej literaturą, by nas intruzami zwano? Wszak już nawet chrzest nie zawsze dopisuje — więc czyż nie byłoby godniej i mądrzej, by porzucić wreszcie rolę ofiarnego kozła, skonsolidować wszystkie siły dokoła żydostwa i ż ą d a ć, nie prosić, ż ą d a ć co się nam jako ludziom i obywatelom należy?« [6]. »Polak wyznania mojżeszowego to najwygodniejsza (że się tak wyrażę) ‚kondycya' pod słońcem. Nic nie robisz tylko od czasu do czasu dajesz kilka halerzy na Cieszyn, na oświetlenie grobu Ordona (na bursę pol-

[1] I, str. 253. [2] I, str. 111. [3] I. str. 335.
[4] I, str. 57. [5] I, str. 252. [6] I, str. 255.

ską — ani się waż, bo ona ma powstać tylko z katolickich pieniędzy a jeśli chcesz koniecznie swój wdowi grosz wrzucić — to znasz drogę?) Ponadto trzeba czasem iść się pomodlić pod Kapuścińskiego...« [1] »Kto zna miasto nasze (Kraków) i kto zrozumie wrażliwość uczuć młodzieńczych, nie wyda mu się to dziwnem (że mianowicie w Krakowie najwięcej jest Żydów-Polaków). Bo gdzież tyle wpływu, co u nas! Wciąż obchody narodowe, wciąż mowy i wieczorki patryotyczne, wszędzie pomniki po... naszych przodkach, a dusza młoda łatwo się tem przejmuje... Wszędzie słyszy się pieśń na tę samą nutę... o miłości ojczyzny, która nam zdziałała tyle... dobrego. Wszystko to przemawia — no i jest się Polakiem w. m.« [2] Dlaczego ruch syoński w Galicyi spotkał się u społeczeństwa polskiego »z niechęcią i nienawiścią?« »Jeżeli raził wprawdzie Żyd cuchnący w swem ghetcie, odziany w swe ponure szaty, szwargocący z niemiecka brzmiącym żargonem, to jednak był on dla społeczeństwa przecież instytucyą wygodną. Był on tym, którego zawsze można było deptać, gnębić, wykorzystywać dla rozmaitych celów, a dalej zawsze był tym, którego, ilekroć zachodziła potrzeba, mianowano przyczyną upadku i nieszczęścia kraju. Wszelkie więc dążenia, któreby zmierzały do obudzenia i wśród Żydów poczucia ludzkiej godności, świadomości swych praw i żądań, musiano zawsze logiką egoistycznego rozumu uznawać jako złe i nienawistne« [3], więc też opinia polska rozpoczęła swoją działalność od zohydzenia ruchu syonistycznego [4], a w sprawozdaniach prasy ze spraw żydowskich jest »morze fałszu, brudu i obłudy« [5].

Nie przeczymy, że w tych i tym podobnych utyskiwaniach i skargach na obojętność, niechęć a nawet nienawiść otaczających Żydów narodów, mieści się sporo faktycznej prawdy; mimo to obraz, jaki nam *Moriah* w powyższych zdaniach namalowała, jest niedokładny i zbyt jednostronny. *Moriah* nie postawiła sobie nigdzie pytania, czy te i tym podobne objawy nie są czasami, nie powiem usprawiedliwione lub uniewinnione, ale przynajmniej wy-

[1] I. str. 393 sq. [2] I. str. 157. [3] II, str. 176.
[4] II. str. 177. [5] I, str. 224.

tłumaczone i czy one w postępowaniu Żydów nie znajdują aż za wiele podstawy. Historyk cywilizacyi żydowskiej, profesor Otton Henne am Rhyn w swej *Kulturgeschichte des Judentums* tak się o tym przedmiocie wyraża: »Trzebaby się litować nad tym biednym narodem, gdyby się nie wiedziało, że prześladował sam okrutnie innowierców, ilekroć się do tego sposobność nadarzyła«. »Najgorętszy przyjaciel Żydów musi niestety przyznać, że Izrael był zawsze sam autorem wszelkich zaburzeń antysemickich. Myślał zawsze tylko o korzyściach pieniężnych a gdy mu pozwolono swobodnie odetchnąć, nie wystarczało mu nigdy równouprawnienie z chrześcijanami. Chciał być koniecznie kastą uprzywilejowaną, wybraną, za co niejednokrotnie ciężko pokutował« [1].

U nas w kraju stosunki takie są jeszcze bardziej zrozumiałe. Tysiące istnień zwichnęła lichwa żydowska; prasa żydowska z zasady stoi na stanowisku Polakom wprost wrogiem, zohydza naród, podbudza do nienawiści; ile razy w ostatnich latach odbywał się jakiś proces w sprawie handlu żywym towarem, zawsze w brudnej tej sprawie maczał swe palce Żyd; że w sprzedawaniu zatruwających dusze książek i malowideł Żydom pierwsze trzeba przyznać miejsce, nikt chyba o tem nie wątpi. W szczególności zaś my chrześcijanie nie mamy chyba żadnych racyi, żebyśmy tak bardzo Żydom pobyt wpośród nas osładzali. Jakie stanowisko zajmują Żydzi wobec naszej religii? Ich prasa, ich postępowanie w krajach, gdzie dzięki nieszczęśliwym jakimś okolicznościom doszli do pewnej władzy i potęgi, dają na to pytanie aż zanadto jasną odpowiedź. W tem świetle rozpatrzone żale do ludów aryjskich i skargi na ich obojętność i nietolerancyę trochę innych nabierają barw. Nie wydaje się więc nam tak bardzo prawdziwe i słuszne zdanie: »Nie wnoszą syoniści ognia, nie rzucają iskier pożaru, nie podniecają do nienawiści« [2].

Bądźmy jednak sprawiedliwymi! Dwa spokojne, bezstronne głosy odezwały się w zeszytach *Morii* w tej sprawie. »Żydzi — pisze autor podpisany pseudonimem Zefir — mają prawo do roz-

[1] Teodor Jeske-Choiński: »Syonizm w oświetleniu antysemity«. Str. 15 i 16.

[2] II, str. 179.

woju swego, do życia w kraju, »ale chcąc z niego korzystać, mają obowiązek przyczyniać się do pomyślności kraju, do jego wzbogacenia i podniesienia. Prawo i obowiązek to dwie nierozłączne funkcye« [1]. Inny znów, upatrując główną zaporę syonizmu w antysemityzmie, pisze szczerze, że niejedna wada żydowska, »do której niestety trzeba się przyznać, podsyca ogień antysemityzmu«, że więc »walka z nim będzie polegała po pierwsze na wyrugowaniu błędów własnych, które nam ten wróg tak szyderczo wytyka« i dodaje: »w państwie więc, którego Żyd jest obywatelem, doznając przytem opieki i bezpieczeństwa ze strony rządu, spełniać powinien z ochotą wszystkie obowiązki nakładane mu przez państwo, nie obrażając przytem swych uczuć narodowych« [2]. Czy *Moriah* z tymi poglądami się solidaryzuje, trudno rozstrzygnąć, faktem jest, że już w następnym numerze zapatrywanie drugie sobie bagatelizuje. Z pojmowania syonizmu jako walki przeciw antysemityzmowi, pisze Marcin Buber, »wynikają konsekwencye takie, jak te, które wysnuwa kolega i. b.: ‚walka z antysemityzmem będzie polegała po pierwsze na wyrugowaniu błędów własnych'. Nie, kolego! Jeżeli staramy się znieść w naszej duszy golus a zbudować Syon, zniszczyć w naszych umysłach żydostwo negatywne a uproduktywować pozytywne, to nie dlatego, by podobać się tym, którzy nas nie lubią, lecz dlatego, bo pragniemy rozwinąć i udoskonalić naszą indywidualność narodową, bo tęsknimy za odrodzeniem a tęsknimy czynnie« [3]. To wszystko piękne, ale tu nie chodzi wcale o podobanie lub niepodobanie się drugim, lecz o wypełnienie zasadniczego postulatu sprawiedliwości, o wypełnienie obowiązku, a to rzecz zmienia; na czem zresztą polegać będzie to odrodzenie, jeżeli także i przeważnie nie na pozbyciu się wad i pełnieniu obowiązku?

Wróćmy jednak do naszego przedmiotu. Dotąd omawiane warunki narodowego wychowania miały na celu urobienie indywiduum, pozostaje jeszcze urobienie drugich, czyli agitacya. Programu tej agitacyi, programu obejmującego całokształt pracy *Moriah* nie daje, gdyż młodzież nie jest do niej dostatecznie

[1] II, str. 178. [2] II, str. 40. [3] II, str. 50.

jeszcze przygotowaną; kilka jednak elementów tej pracy można w zeszytach pisma tu i tam zebrać. Wzywa więc *Moriah* przedewszystkiem do pracy nad ludem; lud żydowski jest »tem ujściem, tym ugorem, gdzie kwiaty naszych serc powinny zakwitnąć i wydać plon obfity«; »idźmy tedy w nasz biedny, upośledzony lud, przekleństwem straszliwego Fatum skazany na potępienie... Przybliżmy się do nich, zniżmy się do ich nędznych domków, wejdźmy do ich stęchłych mieszkań! Przyjrzyjcie się ich mękom i cierpieniom, wglądnijcie w ich krwawiące się rany, niech ich gorzkie łzy przenikną wasze serca i niech w was obudzą gorące pragnienie niesienia im pomocy«. »Przygotujmy się tedy do wielkiej pracy, by godzina czynu nie wybiła dla nas niespodzianie i by nas nie zastała bezradnych bez obmyślonego planu... Owiani tedy zapałem dla wzniosłej sprawy odrodzenia ludu żydowskiego, zejdźmy do niego z płonącą duszą a gorącem sercem, a z wiarą, otuchą i nadzieją wszyscy w godzinę czynu staniemy do szeregu!...« [1]

Zdumiony pyta się czytelnik o jakim c z y n i e tu mowa i mimowoli budzi się w duszy uczucie, że *Moriah* schodzi czasami na drogę trochę niebezpieczną, mogącą dużo sprowadzić nieszczęść i żalu, tem bardziej, że chodzi tu o niewyrobione a gorące serca młodzieńcze, tak łatwo się przejmujące złudnemi hasłami. »Przyznajmy to sobie otwarcie — pisze Dawid Schreiber — takeśmy skarłowacieli, że sama myśl odważnej i męskiej obrony przeciw naszym ciemiężycielom, nie znajduje pomieszczenia w naszych mózgach... na sposób średniowiecza chętnie dajemy gardło pod miecz kata, na wszystkie dolegliwości mamy wciąż jeszcze jedno i jedyne lekarstwo: płacz i modlitwę! Owi Żydzi zgarbieni i skuleni w lokalach podziemnych, z straszliwą obawą śmierci w minach i ruchach (mowa tu o wypadkach w Kiszyniewie) — oto nasza charakterystyka. Ten obraz powinien nam długo tkwić w pamięci, abyśmy wiedzieli, dokądeśmy zaszli. Niewolnicy! Jak to się stać mogło? Przecz to nie bajka, że myśmy wydali Machabeuszów i Bar-Kochbę. Przecz historya uczy, że Żydzi jak lwy

[1] II, str. 247 sq.

bronili swego miasta przed najezdcą rzymskim. Przecz jeszcze dzisiaj szczepy żydowskie są postrachem ludów ościennych w Północnej Afryce i w terytoryach arabskich... Wolno nam już zerwać z światopoglądem męczeństwa i cierpień. Mamy już dosyć męczenników. Nie chcemy już więcej powiększyć ich kontyngentu... Kończmy już ten okres. Wymaga tego nasza godność narodowa... Przyszła generacya musi być tak silną na ciele i duchu, aby w razie potrzeby mogła napastnikom dać nauczkę, odbierającą im chęć ponownych napadów... Nie będziemy wtedy może mieli nowych męczenników, ale zdaje mi się, że to nam wyjdzie na lepsze« [1]. »W obronie swojej sami stanąć musimy... Do wściekłej walki o śmierć i życie bądźmi gotowi. Cóż tu znaczyć może przekonanie, żeśmy nieskończenie słabi wobec morderców naszych? Z tem większą wściekłością, z szałem zdesperowanych bronić się musimy. Zemsty pragniemy, zemsty na zbrodniarzach... Więcej sił, młodzieży, więcej sił, bracia, abyśmy do upadłego z prześladowcami walczyć mogli« [2]. Na innem wprawdzie miejscu pisze *Moriah,* że »wszelka akcya rewolucyjna Żydów... zniszczy zupełnie ich siły i grozi im niechybną i doszczętną klęską. Akcya to więc desperatów, akcya na wskroś nienarodowa... Sama walka rewolucyjna byłaby dla nas największą, żywiołową klęską, jakiej kiedykolwiek doznaliśmy w golusie, zmiotłaby nas jak huragan« i dochodzi wreszcie do konkluzyi: »młodzi, rwący się do najwyższych ideałów ludzkości, powinni się imać polityki ghettowej, milczeć, gdzie złorzeczyć chcą, hamować się, gdy wszystko w nich drga, być obojętnymi, gdy krew w nich wre» [3]— ale to sprzeczne z powyższemi zapatrywanie świadczy chyba o braku dobrze obmyślanego w szczegółach programu pisma.

Wracając raz jeszcze do omawianej poprzednio agitacyi ze strony *Morii* musimy zauważyć, że nie ogranicza się ona jedynie wzywaniem do pracy nad ludem. Zachęca i uczy zachęcać do studyów nad językiem, historyą i literaturą żydowską, nad »wiedzą żydowską«, przez którą rozumie »każde badanie w jakimkolwiek kierunku, dotyczące narodu żydowskiego» [2], do zakładania

[1] I, str. 167 sq. [2] I, str. 290 sq. [3] II, str. 86. [4] I, str. 209.

szkół języka hebrajskiego, stowarzyszeń naukowych i gimnastycznych, wykazując równocześnie ile i gdzie już powstały: omawia kwestyę teatru żydowskiego, burs i osobnego uniwersytetu dla Żydów; wzywa do popierania prasy syonistycznej, jako wielkiej potęgi w tym ruchu i do zbierania składek na fundusz narodowy, który do VI kongresu w b. r. urósł do sumy 460.000 K. [1] W artykułach literackich przedstawia obrazy z dawnego i teraźniejszego piśmiennictwa żydowskiego, które nadzwyczaj wprawdzie interesują, mają jednak tę wadę, że każdy w nich omawiany autor pozuje na niezwykłej miary talent a może i geniusz; z przeszłości historycznej wydobywa na jaw jasne, dziejowe momenty, na których wspomnienie serce raźniej bije; w sylwetkach wielkich mężów żydowskich daje młodzieży wzór do naśladowania, zmuszając ją równocześnie do ukochania tego, co oni tak gorąco ukochali. Aby zaś młodzież syonizmem goręcej zainteresować rozsyła kwestyonaryusze z pytaniami: »na czem polega mój syonizm? jak pracuję dla syonizmu? co zdziałałem dotychczas? jak zamierzam nadal pracować«?

Odpowiedzi zebrała się spora wiązanka. Niektóre wielce oryginalne, dużo niedokładnych, niewyczerpujących, teoretycznych, wszystkie jednak pisane z tym entuzyazmem, który nie ostoi się pewnie wobec praktycznych trudności życia. Chętnie przytoczylibyśmy niektóre z nich, jako wcale charakterystyczne do obecnego ruchu wśród wielkiej części młodzieży żydowskiej, ale tak już sprawozdanie nasze przeciągnęło się nad miarę. Nie możemy się jednak powstrzymać od jednej uwagi a mianowicie o stosunku młodzieży syonistycznej do Żydów nie-syonistów. Od samego początku nowego ruchu można było przewidzieć, że znajdzie on wrogów w samem łonie żydostwa, szczególnie w tych, których ten ruch siłą samego faktu narażał na jakieś straty materyalne czy też moralne. Jedynem, odpowiedniem postępowaniem wobec takich ludzi, przekraczających może czasami granice taktem i dobrem wychowaniem zakreślone, była, jeżeli tego już wogóle potrzeba, spokojna, rzeczowa polemika. Sarkazm, ironia, drwinki nie

[1] II, str. 195.

nawrócą żadnego »paniczyka« lub »rabinka«, obietnica zaś, że nad tą lub ową osobistością *Moriah* rozciągnie szczególniejszą opiekę, wywoła chyba uśmiech pobłażania na usta; takie postępowanie nie zjednoczy, lecz rozdwoi a jedności syonistom bardzo potrzeba.

Nasza praca ma się ku końcowi. Staraliśmy się w niej nieuchybić w niczem sprawiedliwości i bezstronnej, rzeczowej prawdzie; z tego też powodu artykuł nasz miał prawie wyłącznie charakter informacyjny. O ile możności zdawaliśmy sprawę z różnych objawów syońskiego ruchu słowami samej *Morii* i unikaliśmy własnych uwag; te uwagi umieściliśmy jedynie tam, gdzie one były nie tylko wskazane, ale konieczne. Jeżeli skutkiem tego uwydatniły się, może za wiele, pewne rysy ujemne, to musi to *Moriah* przypisać sama swemu niewyrobionemu kierunkowi; widocznie zapalona ideą syonizmu, dała się unieść zanadto młodzieńczym porywom, a za mało objawiła rozumu praktycznego i krytycznego zmysłu; w sprawie, która urzeczywistniona wywołałaby niebywały przewrót w życiu społeczeństw, wyobraźni bezkarnie skrzydeł popuszczać nie wolno.

Tyle na razie dla informacyi; zasadnicze omówienie syonizmu zostawiamy dla innego pióra.

Ks. Wiktor Wiecki.

DENIFLE I JEGO DZIEŁO O LUTRZE [1].

Szereg zapaśników wypowiadających w nowszych czasach bój zaczepny Kościołowi katolickiemu na polu historyi rozpoczyna Ranke. Janssen zmienił ten stosunek w odwrotnym kierunku — zmusza protestantów do walki odpornej: w obecnej dobie radca dworu Pastor tą samą idzie drogą. Nową taktykę zaczepnego boju odsłania głośny uczony Denifle w swem dziele »Luter i luterstwo«: wdziera się bowiem niejako w sam środek nieprzyjacielskiego obozu. I dlatego właśnie dzieło Deniflego rzeczywiście nową otwiera epokę, a przytem, dodajmy to zaraz, jest arcydziełem mimo usterek, jakie krytyka w niem wykazuje. Widać zaraz, że dzieło na zewnętrznej swej szacie nosi jeszcze ślady psychologicznych wrażeń, które wpłynęły na jego powstanie. Zaczepki »Związku ewangelickiego«, pożałowania godny sposób polemizowania protestanckich profesorów, takich, jak Thümmel, oszczercze dziennikarskie napaści na katolicyzm, dumno-lekceważący ton protestanckich »dzierżawców wiedzy« oburzyły autora i wpłynęły na nastrój nieco polemiczny jego sposobu mówienia. Musi się dalej przyznać, że Denifle odsłania przedewszystkiem słabe strony charakteru reformatora, nie wcho-

[1] Denifle. P. Heinrich O. P.: *Luther und Luthertum in der ersten Entwicklung quellenmässig dargestellt.* 1 Band. Mainz. Franz Kirchheim 1904. (XXIX, 860 S. gr. 8-vo).

Denifle: *Luther in rationalistischer und christlicher Beleuchtung.* Prinzipielle Auseinandersetzung mit A. Harnack und R. Seeberg. Tamże 1904. (89 S. gr. 8-vo).

dząc w skreślenie zalet, któreby może dały się w nim wykazać; — atoli Denifle bynajmniej nie miał zamiaru skreślić zupełnego obrazu Lutra, bo taki byłby dopiero możliwym po usunięciu nagromadzonych przez protestantów rumowisk. Ale któż poszczycić się może takim zasobem potrzebnych do tej pracy wiadomości z dziedziny filozofii i teologii, taką bystrością sądu na polu logiki i psychologii, jakie Denifle okazuje przedstawiając Lutra w pierwszem stadyum jego odstępstwa?

Denifle zajmował się badaniami nad upadkiem kleru świeckiego i zakonnego w średnich wiekach. »Od szeregu lat — tak rozpoczyna swe dzieło, — obok prac, tyczących się uniwersytetu paryskiego oraz spustoszenia kościołów i klasztorów francuskich podczas wojny stuletniej, jednem z moich równorzędnych zatrudnień było zbieranie materyałów, któreby dostarczyły źródeł do studyum nad upadkiem kleru świeckiego i zakonnego w XV w. Jak przy wszystkich moich badaniach, tak i tutaj nic chyba nie leżało tak daleko poza obrębem mych myśli, jak »Luter i luterstwo«. Cała moja uwaga zwróciła się bez wszelkich przesądów wyłącznie ku studyowaniu dwóch kierunków, uwydatniających się od XIV w. przynajmniej we Francyi i w Niemczech: obniżenia się moralnego i upadku u jednej i to znacznej części kleru świeckiego i zakonnego, a prądu moralnego odrodzenia się i podniesienia u drugiej. Przedewszystkiem zaś zajmowałem się pierwszym kierunkiem. Było to tylko ponowne badanie reformy zakonu św. Dominika w XV wieku, na którą już przed niespełna 25-ciu laty po raz pierwszy zwróciłem moją baczność. Im głębiej śledziłem przebieg stopniowego upadku, tem natarczywiej narzucało mi się pytanie, na czemże właściwie polega charakter tego upadku, w czem się on głównie objawia?«

Odpowiedzi na to pytanie dostarcza całe niniejsze dzieło.

Objawił się w historyografii modernistyczny kierunek, który utrzymuje, że poszczególny człowiek jest wytworem swego otoczenia i że historya powinna być historyą społeczną. Wprawdzie wiele w tem zawiera się słuszności, i z radością należy powitać to pojmowanie rzeczy, według którego historyografia już nie jest wyłącznie tylko historyą książąt i politycznych zabiegów, ale

wstępuje na tory historyi cywilizacyi; przecież nie przestaje być niezaprzeczoną prawdą, że jednostka jest w stanie działać swobodnie, i jeżeli dla zalet charakteru zdobędzie sobie wpływ i znaczenie, wyciśnie na otoczeniu swojem piętno swych własnych zapatrywań i porwie je ku celom przez siebie wytkniętym. Jeżeli wogóle na kimś wybitniejszym, to z pewnością okazało się to na Lutrze.

Denifle zrazu nie myślał wcale o procesie psychologicznym, jaki się dokonał w samej osobie Lutra; najpierw zwrócił swą uwagę na luterstwo, a dopiero potem dotarł do pierwszego jego przedstawiciela i szermierza. Co za przyczyna popchnęła Lutra w ten prąd moralnego upadku i sprawiła, że stał się twórcą i przodownikiem odstępstwa?

Jak ogół ludzkości, tak podówczas także i kler, mający z powołania być kierownikiem chrześcijan, w przeważnej części zabrnął w błoto zgnilizny moralnej, a część tej soli zwietrzałej szerzyła dzieło zepsucia wśród ludzi, których zbawić była powinna. I stan ten stawał się coraz groźniejszym w miarę, jak średnie wieki zbliżały się do swego kresu. Zwyrodniali ci księża nie stawiają najmniejszego oporu popędom zepsutych swoich skłonności; zauważyć jednak trzeba, że nie oddają się przecież złemu z zuchwalstwa lub z pogardy dla powagi Kościoła, nie — z zasady lub na podstawie pewnej doktryny; — jeszcze nie powstała dotąd szkoła, któraby zło podnosiła na wyżyny prawidła i normy postępowania. Księża tacy potknęli się nieraz, grzeszyli, nie spełniali dobrych uczynków, ale nigdy nie przyszło im na myśl, by dobrymi uczynkami wzgardzić, śluby swoje uznać za czczą ułudę, własne swoje postępowanie uważać za należytą służbę Bożą i buntować się przeciw władzy, piętnującej je jako błąd i występek. Głęboko przekonani byli o tem, że cięży na nich wina poważnego zaniedbania swych obowiązków, i dlatego sami z upragnieniem wyglądali reformy. Tak się przedstawia pierwsze stadyum upadku, a gorzej jeszcze było w pierwszych dziesiątkach XVI w. Zło rozprzestrzeniło się tak daleko, zaraza skaziła serca do tego stopnia, że zanikała powoli nawet sama świadomość i właściwe pojęcie o obowiązku i grzechu, zacierało się w umysłach wrażenie rażącej sprzeczności między święto-

ścią, jakiej wymagał stan, a życiem, kiedyto mnisi i świeccy księża, jak sam Luter opisuje, wszystko już chcieli zrzucić z siebie i wszystkie skruszyć pęta. Peryod ten był tylko przejściem do ostatniego okresu, w którym miara wszelkiej złości miała się dopełnić, jak to Denifle pokazuje. Teraz już potok cuchnący przeobraził się w kloakę, która wszystko dokoła zatruwała, dokonała zupełnego przewrotu wszelkich pojęć i zasad moralnych. Co dotąd nazywało się złem, przybrało miano dobrego, a przeciwnie dobre uchodziło teraz za złe; co dotąd nosiło na sobie cechę świętości, to obecnie zdeptano nogami. W pogardę i pośmiewisko poszły wszystkie instytucye kościelne, zaprzeczono wolności woli, oznajmiono wyswobodzenie się z więzów wszelakiego prawa, proklamowano konieczność grzeszenia, postawiono pożądliwość ciała na ołtarzu, śluby wydrwiwano jako oszukaństwo dyabelskie a życie na wiarę zachwalano jako małżeństwo według woli Bożej. Wszeteczeństwo miało być służbą Bożą, każdy dobry uczynek grzechem; jeden tylko węzeł miał jeszcze łączyć ludzkość z Chrystusem: wiara weń, jako w Tego, który za wszystko i za wszystkich zadośćuczynił. Wszystko, co dotychczas było tylko występną praktyką, stało się teraz systemem naukowym i zasadą. Wobec tego najbardziej podupadli pod względem moralnym mogli się uważać za świętych mimo, lub raczej d l a swoich grzechów. Praktykę usprawiedliwiała teraz teorya, a złe obyczaje szczyciły się już mianem »prawdziwej moralności«. Już nie jednostki tylko kuły teraz takie przewrotne doktryny i ogłaszały je oświadczając, że wedle nich należy urządzić życie, ale utworzyła się społeczność, przyjmująca owe nowe zdania jako spójnię swej wzajemnej łączności, by na ich gruncie przekształcić świat i starać się pozyskać go sobie. Założycielem tej szkoły, głową tego związku był — Luter.

Niejednokrotnie już spotykał się Luter ze zwiastunami tej szkoły, których on dopiero miał złączyć i nadać im swe miano. Jeszcze roku 1515 i 1516 należał do prądu sprzeciwiającego się reformie, a nawet, chociaż już dawno drogę moralnego upadku uznał za teoryę życiową, popadał przecież nieraz jeszcze znowu w należące już do wspomnień usposobienie ducha z pierwszego

peryodu ruiny. W jaki sposób doszedł Luter do swej błędnej nauki? Odpowiedź na to pytanie da się streścić w tych kilku słowach: Luter zaniedbał modlitwę, rozmyślanie i spowiedź, a w rozbrojonej z tych posiłków duszy mało już znalazł siły odpornej przeciw nacierającym zewsząd wątpliwościom w wierze i innym pokusom; — upadł, a nie chcąc uznać upadku za upadek, nazwał go »reformą«.

W pierwszej połowie książki omawia Denifle naukę i pisemko Lutra o ślubach zakonnych, oraz ocenę tychże przez teologów protestanckich. Przedmiotem głównym badania jest dzieło Lutra: *De votis monasticis iudicium* z r. 1521. Wszakto to właśnie pismo rozzuchwaliło mnichów, przykrzących sobie swoje powołanie, do opuszczenia klasztorów,— wyludniło niemieckie klasztory i zjednało Lutrowi stronników, zarówno ze względu na praktykę jak i na teoryę.

Czy sam Luter zgodnie z prawdą przedstawił i odzwierciedlił naukę i zapatrywania Kościoła katolickiego? Zwolennicy jego, nie wyłączając Ritschla, Harnacka i innych, w nienaukowej swej lekkomyślności tak sądzili, i uważali przez Lutra skreśloną karykaturę za wierny obraz katolickich wierzeń. Denifle wykazuje niewiadomość Lutra i ślepotę jego nowoczesnych naśladowców. W jednym z następnych rozdziałów odpiera Denifle inne fałszywe twierdzenie Lutra, jakoby papież potępiał stan małżeński jako grzeszny, którą to niedorzeczność współcześni pisarze protestanccy bezkrytycznie przyjmują i wciąż dalej szerzą. To właśnie jest jedną z największych zalet tego dzieła, że Denifle źródłowo wykazuje, jak Luter często kłamał, sprzeniewierzał się, oszukiwał i innych do tego pobudzał, — jak wszystko, co katolickie, przekręcał, by zmieszać je z błotem, lub ilekroć przyznał katolicyzmowi jeszcze coś dobrego, jak rościł sobie do tego prawo własności. Luter nie mógł w dobrej wierze pobłądzić, gdy wszystkie środki uważał za dobre i wskazane, jeśli mu tylko do polemiki służyły, a dzisiejsi jego zwolennicy nie postępują jako prawdziwi mężowie nauki, gdy na ślepo zawsze stają w obronie Lutra i jego twierdzeń.

Najdłuższy rozdział pierwszego tomu, który mamy przed sobą,

zajmuje się pytaniem, jak Luter doszedł do swego systemu? Według starej legendy, którą sam Luter rozpowszechniał, a która znalazła także wiarę w katolickich kołach, Luter we własnem samego siebie utrapieniu szukał wyswobodzenia ze skrupułów i niepokojów, aż dowiedział się wreszcie z Pisma św. i ksiąg św. Augustyna, że wiara w Chrystusa daje wyzwolenie i zbawienie. Denifle wykazuje, że Luter nie znał wcale scholastyków, prócz Okkama chyba i Biela, że nie znał zwłaszcza św. Tomasza, że w dziedzinie filozofii i teologii był zaledwie nędznym półmędrkiem, oraz że nie skrupuły go dręczyły, lecz namiętności.

Atoli Denifle nie oszczędza także modernistycznych badaczy epoki Lutra, których nienaukowe postępowanie wraz z odziedziczonymi przesądami i bezwzględnem upodobaniem do raz przyjętych aksyomatów, a przedewszystkiem wielka nieznajomość nauki Kościoła i scholastyki sprawiły, że nierzadko podaje się doktryny za wyłącznie luterskie, które nie tylko już dawno przed Lutrem były wypowiedziane, ale nawet stały się po prostu wspólną zdobyczą całego chrześcijaństwa. Cóż więc za odrębną wartość mają owe »torujące nowe drogi« zdania Lutra, że Chrystus jest środowiskiem chrześcijaństwa i istotną treścią Pisma? Wszak po wszystkie czasy nauczał tak Kościół katolicki.

Luter wskutek życia swego głęboko ugrzązł w bagnie, a w niem pogrążony usiłuje swój upadek dogmatycznie uzasadnić jako wyniesienie. Atoli jak tego dokonał? Gniew i pycha opanowały serce Lutra. W zarozumiałości swojej mnich stał się igraszką faryzeuszowskiej iluzyi, jakoby Boskie prawo obyczajowe mógł wypełnić własną mocą, siłami czysto przyrodzonemi. Uważając się zaś za sprawiedliwego, oraz mając wysokie o sobie mniemanie, zaniedbał modlitwę i odprawiał ją tylko pozornie, dla oka ludzkiego. Wówczas coraz bezradniej począł się plątać w sidła złego i uważać namiętności, których bez modlitwy i łaski zwyciężyć nie mógł, za niepokonalne. Luter raz po raz ulegał w walce z pożądliwością, dawał się jej zwyciężać, jak mówi Denifle. Doświadczenie praktyczne przy gmatwaninie poznania i rozpaczy woli spowodowało Lutra, kiedy sprzykrzył sobie wymarzoną sprawiedliwość własną, by za zasadniczy punkt nowej swej ewangelii

uznać zdanie: pożądliwość jest bezwarunkowo nie do pokonania. Z tej zasady musiał teraz wywieść inne mniemane prawdy, owe zdania, które luteranizm z wiarą przyjął od niego: Pan Bóg nie może nas obowiązywać do rzeczy niemożliwej, a zatem nie mamy sprzeciwiać się pożądliwości; — grzech pierworodny zdruzgotał wolność woli w człowieku; — grzechem tym pierworodnym jest pożądliwość, której oprzeć się nie można. Któż więc może wypełnić prawo? Ten tylko, który sam był bez grzechu, — Chrystus. Ale, jak doświadczenie nas uczy, grzech pozostaje w nas, a zatem Chrystus zakrywa go tylko, nie przemienia nas wewnętrznie, ale sprawia, że jego sprawiedliwość będzie nam poczytaną, skoro tylko mieć będziemy silną wiarę, że Chrystus wypełnił już za nas prawo. Czemże więc są dobre uczynki, wstawiennictwo Kościoła, żal, spowiedź, jeśli nie ludzkim balastem, ba nieprzyjaciółmi Chrystusa? Tem samem podał Luter klucz otwierający wszelkie zapory i zabezpieczenia moralności. Na polu dogmatyki doszedł do zupełnego wyniszczenia wiary, w teologii moralnej ugrzązł w błocie zepsutego kleru świeckiego i zakonnego. »Luter zarówno w dziedzinie prawd wiary i teologii uzupełnił przemożną siłę prądu chylącego się do upadku, jak w kilka lat później dopełnił miary przewrotności upadającego kleru świeckiego i zakonnego«. Własnego ducha, który nie myśląc nawet o odporze, teraz stał się tylko biernym, przeniósł Luter na całą ludzkość, i to nie tylko było odtąd zasadniczym punktem teologii, ale i hasłem wojennem jego zwolenników.

Jak wygląda teraz w skutkach swoich wiara Lutra, skoro wygnała miłość z obrębu cnót? Odpowiedzi na to pytanie poświęca Denifle rozdział: »Chrześcijański charakter Lutra«. Tu Denifle gromadzi wszystko ujemne i brudne, co w pismach Lutra się zawiera, pokazuje, jak mniemany reformator odwoływał się do namiętności i do najniższych popędów ludzkich, nie przekonywując wiernych dowodami, lecz lżeniem i łajaniem. Nie wchodząc w poszczególne, iście okropne, i — by posłużyć się słowem czysto luterskiem — »świńskie« wyrazy Lutra, zaznaczamy to tylko: Denifle udowodnił ponad wszelką możliwość słusznej zaczepki, iż Luter miał serce namiętnością i lubieżnością całkiem przeżarte,

i że walczył orężem kłamstwa i z wytkniętym nierzetelnym celem. Więc czyż zatem przewrotowi religijnemu XVI wieku przysługuje piękna nazwa »reformacyi«?

Jeżeli zapytamy autora, co było w jego rozumieniu ostateczną pobudką do wystąpienia Lutra, odpowie nam krótko: pycha. Wobec tego wszystkiego jednak, co Luter później mówił o pożądliwości cielesnej, »nie dającej się pokonać«, nie możnaby całkowicie pominąć pytania, czy może nie spowodowały tak nizkiego jego upadku obyczajowe także zbłądzenia?

Jeszcze słówko o punkcie wyjścia Lutra. Wielkie tu znaczenie ma komentarz listu do Rzymian, rozpoczęty przez Lutra w kwietniu r. 1515 i dokończony w jesieni r. 1516, który niewydrukowany dotąd, przechowuje się w bibliotece watykańskiej, i zawiera w wyjaśnieniach trzeciego, czwartego i piątego rozdziału zdanie Lutra, zaczerpnięte z praktyki: pożądliwość jest nie do przezwyciężenia, jest trwającym wciąż grzechem pierworodnym.

Zalety dzieła Deniflego ze względu na pozytywną stronę polegają na obfitości materyałów służących do obznajomienia się z nauką Kościoła i jej pojmowaniem przez teologów wieków średnich, pod względem apologetycznym — na jasnem przedstawieniu i zwycięskiej obronie katolickiej prawdy, pod względem polemicznym — na wykrywaniu błędów i różnorodnego oszukaństwa Lutra i jego stronników. Co się tyczy tego ostatniego punktu niejedno wprawdzie podlega jeszcze dyskusyi, mianowicie gdzie u Lutra panuje jeszcze błąd, a gdzie się zaczyna oszukaństwo.

Dzieło Deniflego to najgroźniejszy cios, jaki kiedykolwiek bronią nauki zadano legendzie o Lutrze.

Przyjęcie, jakie znalazła ta książka, było rozmaite. Niektóre mniejsze czasopisma katolickie nie odważyły się na jej pochwałę i rozwodziły żale nad tem, że protestanci obrażą się panującym w niej tonem. Wszystkie znaczniejsze czasopisma jak: *Stimmen aus Maria-Laach, Katholik, Theologische Revue, Historisch politische Blätter* nazywają książkę Deniflego arcydziełem, chociaż i one godzą się na to, że autor dość często szedł za popędem swej »otwartej tyrolskiej natury». Szał złości opanował protestantów zarówno wierzących jak i niewierzących. Wszak pierwsi widzą w Lutrze

twórcę swojej wiary, drudzy zaś pierwowzór własnej swej duchowej niezależności i powagi.

Na zaczepki swych przeciwników Denifle odpowiedział obroną: *Luther in rationalistischer und christlicher Beleuchtung.* Po krótkich uwagach, które dotyczą innych napaści, skierowanych przeciw jego książce, i zarzutów rzuconych na niego samego, Denifle przechodzi zaraz do zasadniczej rozprawy z prof. Harnackiem i prof. Seebergem. Harnack jest najsławniejszym racyonalistycznym teologiem naszych czasów; Seeberg tuszył sobie, że jako pozytywista zbił Deniflego. Kto głosi nową wiarę, której Kościół powszechny dotąd nie uczył, — powiada Denifle — ten posłannictwo swoje i naukę powinien jako Boskie udowodnić znakami i cudami. Tego od drugich wymaga i sam Luter tak przed, jak i po swem odszczepieństwie. A czyż właśnie Luter nie przeobraził chrześcijaństwa, i nowej nie wynalazł religii? Z pewnością. Jak więc rzecz się ma z tym dowodem, że był wysłannikiem Bożym, przez nadzwyczajne znaki i cuda, które zdziałał, oraz przez niezwykłą cnotę i świętość życia, którą zajaśniał? Ani Harnack, ani Seeberg nie mają na to pytanie odpowiedzi.

W szczególnej części antykrytyki przeciw Harnackowi żali się Denifle na ton, jakim się posługuje Harnack przeciw niemu, cofa refleksyę nad jednem, szczególnie znamiennem zdaniem Lutra, oraz zrzeka się subjektywnego wyjaśnienia fizyognomii Lutra. Forma obrony w stosunku do książki jest umiarkowana.

Dla wierzącego protestanta zbicie racyonalizmu i udowodnienie jego sprzeczności z chrześcijaństwem nie musi być bardzo przyjemną lekturą, równie jak znowu dla racyonalisty nie wielka to uciecha oglądać obraz pozytywnego protestantyzmu w postaci nędznej i pełnej sprzeczności.

Zobaczymy co nam Denifle powie w drugim, niewydanym jeszcze tomie.

Ks. Augustyn Arndt.

NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

(Dokończenie)

IV.

Tradycyjną cechą rosyjskiej literatury jest jej celowość, ścisły związek ze społecznymi prądami, natomiast mała ilość dzieł, wywołanych czysto artystycznym ideałem. Pośród największych pisarzy nawet Gogol i Turgieniew, *par excellence* artyści, składali dziełami swemi hołd społecznej tendencyi, a tacy miłośnicy swojej ojczyzny jak Lew Tołstoj, Dostojewski lub Sałtykow wskazywali nowe widnokręgi myśli narodowej lub usiłowali ostrą chłostą satyry oddziaływać na poprawę rodaków. Czechow z natury talentu swego poszedł w ślady Szczedrina. Nie jest to wyłącznie artysta, pragnący przez swe dzieła otworzyć przed światem mroczne czeluście swej wyobraźni, w której kłębią się wizye, podobnie jak w mrocznych szczelinach żywego wulkanu wre lawa i otwiera skorupę ziemi, dając upust wybuchowym materyom. Czechow — to raczej obserwator i myśliciel, to przytem ostrożny i nie głęboko raniący chirurg: zanim przygotuje nóż do cięcia, przezornie bada jakość wrzodu. Ale przez cały czas pracy twórczej, przez ćwierć wieku — poznawał swoje społeczeństwo, cierpiał z niem i dzielił jego radości; przez ćwierć wieku w postaciach i obrazkach ujemne zwłaszcza strony tego społeczeństwa malował. Trzeba go tedy nazwać jednym z największych satyryków rosyjskiej literatury. Jeżeliby zaś zachciało się jeszcze więcej zacieśnić po-

wyższe określenie, trzebaby dodać: Czechow jak nikt inny prócz Szczedrina znał i satyrycznie malował prowincyonalne życie rosyjskie. Rozumie się, że w szczegółach życie to w obrazach Czechowa wyda się zbyt posępne, zbyt złe; rzeczywistość niema barw tak ciemnych. Czytelnik powinien się z tem liczyć, uwzględniając tendencyę powieściopisarza. Zdaje się, że nastanie w życiu społecznem rosyjskiem czas, kiedy z łona zaniedbanej i chwastem wskutek zapomnienia porosłej prowincyi, wyjdzie nowy obywatel, aby odegrać swą rolę. Literatura w przewidywaniu tej nowej epoki poświęca życiu prowincyi mnóstwo utworów. Dziedzina to zresztą dziewicza, rozległa niesłychanie, pełna urozmaicenia, ponętna dla artysty, jak podzwrotnikowy bór dla przyrodnika. Głównym czynnikiem prowincyi, przynajmniej liczebnie — jest lud. Jak Czechow maluje lud?

Nie jest to siła, nie jest to zdrowy pień, na którym mają się zazielenić potężne pędy nowego życia. Są to ludzie marni, nerwowi, przybici poniżeniem i nędzą, przytem nad pojęcie ograniczeni, z poglądem na świat, omglonym grubą warstwą zabobonów. Dzień i noc myślą tylko o czarnym chlebie, niby to chytrze szukając środków do uzyskania dobrobytu, a w gruncie w razie niebezpieczeństwa, jak ptaki, kryją za drzewo tylko głowę. Leniwi, chorzy i nałogom podlegli biedacy. Nie pójdą do żniwa za dwadzieścia rubli, ale spółcześnie godzą się pójść za wiadro wódki. Brud, pijaństwo, głupota i marne, drobne oszustwa stanowią grunt tego zwierzątka na poły jeszcze dzikiego [1].

W obszernym obrazie maluje Czechow dzieje rodziny Czikildiejewych w Zukowie pod Moskwą. W chacie żyje razem siedmnaście osób, przeważnie drobnych dzieci, stanowiących potomstwo trzech par ludzi. Ojciec jednej pary pije codzień bez pamięci i codzień po powrocie z szynku tłucze pięścią w twarz i ciąga za włosy swoją żonę. Ona zaś miała trzynaścioro dzieci, z których żyje ledwie sześć córek. Drugi ojciec rodziny wzięty do wojska, a ona co noc biega po wsi. Trzeci ojciec rodziny dogorywa na

[1] Chłopami zajmuje się Czechow w licznych opowieściach; głównie jednak w utworach: *Mużyki, Nowaja dacza, Złoumyszlennik, Dom z mezoninem.*

piecu, kaleki na obie nogi — i wszyscy w chacie pragną, aby skonał prędzej, bo zbyt już długo choruje. Stary dziadek, leniwy i ospały pasibrzuch, bez czci i wiary, o Bogu ani pomyśli. W jego mniemaniu sprawami duszy trudnią się tylko baby, a gdy się przy nim mówi o Bogu, sentencyonalnie kiwa głową: a któż go tam wie, może Bóg jest, a może Go niema. Przyjdzie post wielki, trzeba się spowiadać: ponieważ jednak pop zamiast spowiedzi ściąga kary tylko 15 kop., lepiej poprzestać na opłacie kary. Kobiety tak są mało rozwinięte, że nie rozumieją, co się do nich mowi, nie umieją zgoła czytać, nie znają nawet najprostszych modlitw, nawet Ojcze nasz (str. 133), modlą się zaś, bijąc się w piersi i ofiarując te uderzenia: Matce Bożej Kazańskiej, Matce Bożej Smoleńskiej, Matce Bożej Trójrękiej i t. d. Przesądów za to tłum. Nocami Bóg ze swą Matką chodzi po cerkwi, samobójcy chować na cmentarzu nie można, bo nocami wyje; modlić się zań nie można, ale ptaki karmić wolno i t. p.

Raz we wsi wybuchł pożar: paliła się chata, a naokół były stogi zboża, siana, pełne stodoły, kupy suchego chróstu. Tymczasem chłopstwo pijane stało i gapiło się na ogień: nikt nie wiedział, do czego się wziąć, nikt nic nie umiał. Zarobki miewała wieś pomimo blizkości Moskwy nędzne: cała rodzina Czikildiejewych brała z fabryki jedwab do zwijania i zarabiała 20 kop. tygodniowo. Zboże zjadano do zapust, potem zaś trzeba było kupować. Za to podatki zalegały. Zjechał egzekutor i porobił zajęcia: jednym wziął kury, które bez pokarmu wyzdychały, innym owce, które się podusiły w drodze. Wówczas chłopi schodzili się i obwiniali o to wszystko Ziemstwo, choć żaden z nich nie miał jasnego wyobrażenia o tem, co to jest właściwie — to Ziemstwo. Pośród wad tej warstwy ludności najgorszą jest może nieufność i zła wola względem innych sfer; pośród bied zaś największą — ograniczoność i ciemnota. Wiekowa niedola i ucisk stały się przyczyną wrogiego stosunku chłopa do inteligencyi, co objaśnia Czechow w noweli «Nowa willa«. Pewien inżynier wybudował willę nad rzeką, przez którą właśnie ukończył żelazny most. Pragnął żyć z ludem i wsią zgodnie, obiecywał wsi zasiłki pieniężne, szkołę, naprawę dróg, byle tylko nie dokuczali mu na tej włóce

ziemi, jaką nabył. »Nie chcemy szkoły, nie pragniemy lepszych dróg, nie trzeba nam ani mostów, ani szpitali. Żyliśmy bez tego wszystkiego dotąd — i nadal żyć będziemy« — mówili chłopi. Spółcześnie zaś z gaju dziedzica wywożą dębczaki, obalają mu płoty, wpędzają bydło w jego łąkę, kradną wszystko, co się da ukraść: koła u wozu, zaprzęgi i t. p. Inżynier, ożywiony zrazu najlepszą chęcią, sprzedał ziemię i uciekł do miasta, aby ocalić zdrowie rodziny, targane niepokojem i zgryzotą o jutro, a chłopi żyli dalej wśród niedoli i nędzy, utyskując na życie i panów, jako jedyne źródło swej biedy. Czasem nie mogą rozeznać winy własnej skutkiem grubego zaćmienia władz umysłowych, jak to miało miejsce z owym chłopem Denisem, ujętym na gorącym uczynku odśrubowywania muterek, spajających szyny kolejowe z podkładem. W badaniu śledczem tłumaczył się Denis, że cała wieś kradnie muterki na ciężarki do niewodów. A gdy mu sędzia zarzucał, że z tego powodu koło tej wsi wykoleił się i rozbił pociąg, Denis nie wierzył. Oni muterki odśrubowują — prawda, ale czynią to mądrze, wyjmując je w różnych miejscach. Wszak w tem niema nic złego. Niech go tedy pan sędzia puści do domu, a ukarze przykładnie stróża kolei za to, że go parę razy grzmotnął w kark przy ujęciu na uczynku. Sędzia uznał w nim przestępcę i wymierzył karę, ale Denis uważał się za mocno skrzywdzonego. Co tedy radzić na takie położenie kwestyi włościańskiej? Jak unarodowić lud? Jak dolę jego polepszyć? Nieraz Czechow w utworach swoich wkłada podobne pytania w usta swych bohaterów, rozmaicie je też rozstrzyga stosownie do własnych przekonań. Kiedy był tołstowcem, wówczas opisał gorące spory pomiędzy pewną córką ziemianina i malarzem [1]. Ona, namiętnie dla sprawy ludowej usposobiona, działa: zakłada szkoły, biblioteki, szpitale, uczy dziatwę. On kłóci się z nią, że to wszystko nic nie warte. Zakładanie stacyi leczniczych, szkół, biblioteczek i apteczek wspomaga tylko niewolę. Lud spętany wielkiem jarzmem, wy go nie rąbiecie, lecz dodajecie doń nowe dzwona. Nie to ważne, że Kachna lub Maryna zmarła w czasie połogu, lecz to, że wszystkie te Kachny

[1] *Dom z mezoninem* (Dwór z pięterkiem).

i Maryny od niemowlęctwa gną kark, chorują od jałowego trudu drżą ze strachu o swe głodne i rachityczne dzieci, wcześnie brzydną, wcześnie starzeją i giną w brudzie i zaduchu; dzieci rosnąc, zaczynają takąż muzykę — płyną więc stulecia a miliardy ludzi żyją gorzej od bydła, wyłącznie dla kęsa chleba w wiekuistej obawie o jutro. Okropność ich położenia polega na tem, że nie mają czasu pomyśleć o duszy: głód, zimno, strach szczutego zwierzęcia, ogrom trudu — wszystko to nakształt śniegowych lawin zagrodziło im drogę do duchowego rozwoju, do tego, co odróżnia człowieka od żwierzęcia i nadaje cenę życiu. Szkoły i szpitale nie wyzwalają ich z pęt, bo powiększają liczbę potrzeb, nie mówiąc już o tem, że za leki i książki muszą płacić. Jaki sens ma znajomość abecadła, jeśli się czyta tylko szyld na karczmie i niekiedy książkę, której się nie rozumie. Taka oświata istnieje od Ruryka i Pietrek Gogola dawno umie czytać, a tymczasem wieś jaką była przy Ruryku, taką jest dzisiaj. Dla wsi jedyny ratunek, aby inteligencya wzięła na siebie część trudu. Jeśliby wszyscy bez wyjątku podzielili się pracą, potrzebną do uzyskania środków życiowych, to zwiększyłby się dobrobyt ludu i uzyskałby on zdolność szerokiego uwzględnienia swych duchowych uzdolnień w życiu (65). Nie ulega wątpliwości, że tak zapatrywał się na sprawę ludu autor w okresie, kiedy był tołstowcem; ale pogląd się przeistaczał. Przybywała refleksya i mówiła, że inteligencya, wszedłszy między lud, wniesie masę złych nawyknień a natura ludzka skłonna do przyswajania złego. Czechow znał zapewne Jegora, chłopa-myśliwego, który strzelał lepiej, niż hrabia [1]. Czuł się on wyższym i doskonalszym od szarego tłumu i gardził swoją żoną, świniarką. »Skoro chłop zostanie strzelcem albo stangretem — bądź zdrów, pługu. Zasiądzie w nim duch wolności i niczem go nie wydłubiesz. Rozpieści się: łóżko musi mieć do spania, dobrą herbatę, delikatne rozmowy, a w chałupie nędza i brud i zaduch«.

Ma ten lud i przewodników godnych w postaci popów, wyświęconych najczęściej z diaczków, nędznie uposażonych i podległych ułomnościom w stopniu jeszcze wyższym, niż zwyczajni

[2] Opowiadanie *Jegor.*

śmiertelni. Kilka takich figur wyobraził Czechow widocznie *sine ira,* skoro są i sympatyczne, jak np. archierej Piotr [1] lub też administrator miejskiej parafii Krzysztof Syryjski, starzec dobrotliwy, pobożny i roztropny [2]. Inni natomiast wiejscy popi, jak ów Smirnow młody lub Anastazy przedstawiają opłakania godny obraz nędzy ludzkiej [3]. U pierwszego suknia z dużemi łatami na łokciach, poły i kapelusz obryzgane błotem, pot wiecznie spływa po twarzy. Ciągle głodny, chciwie łyka herbatę, a na brzydkiem obliczu od ucha do ucha rozlewa się rozkosz nasyconego apetytu. Za każdym łykiem głośno cmoka i smakuje. Bierze sucharek, odgryza kawałeczek, kręci w palcach i szybko wsuwa do kieszeni. Nie jest to tedy człowiek brudny, niechlujny, źle wychowany? Zapewne, ale też nad pojęcie źle wyposażony. Otrzymuje z parafii rocznie 150 rubli, zatem niespełna 13 rubli na miesiąc. Z tego wypłaca 3 ruble do seminaryum za brata, 10 rubli do konsystorza za posadę popa, 3 ruble dawnemu popowi zniedołężniałemu, słowem do wypłaty ma co miesiąc rubli 16 wobec trzynastorublowego dochodu. Ginie też po prostu z głodu razem ze swą młodą popadią. Nie dziw, że stary Anastazy pijaczysko, kłótnik udziela ślubów prawem wzbronionych, wypisuje oficerom i urzędnikom świadectwa odbytej spowiedzi wielkanocnej, byle mu zapłacono, choćby licho. Z czegóż wyżywi dziewięcioro dzieci? Nic dziw także, że chłopi drwią ze swych duszpasterzy, lekce ich sobie ważą, że uczucie religijne na wsi upada, wiara gaśnie, bo i któż ją ma dźwigać, skoro pop nie wart być pisarzem gminy z wykształcenia i nazbyt troską o własny byt zajęty.

Smutno więc maluje się wieś w powieściach Czechowa. Wszelako jeszcze gorsze życie miejskie na prowincyi [4]. Mieszczanie i kupcy nieznacznie różnią się wykształceniem od chłopów, są

[1] W opowiadaniu p. t. »Archierej«.

[2] W powieści p. t. »Step«.

[3] Smirnow w powiastce p. t. *Koszmár,* Anastazy w powiastce p. t. *Piśmó.*

[4] Najwięcej materyału dla charykterystyki miasta prowincyonalnego daje powieść p. t. *Moja żyźń* (Moje życie), ale prócz tego i powiastki: *Chołodnaja krow* (Zimna krew), *U predwoditielszy* (U prezesowej), *Starost'* (Starość), *Anna na szeje* (Anna na szyi), *Try goda* (Trzy lata) i w. in.

w wysokim stopniu zmateryalizowani, chciwi grosza, dobywanego najniegodziwszymi sposobami, kłamią, kradną i oszukują bez zająknienia się, a urzędnicy piją na umór, grają w karty i nie mają wyobrażenia o sumieniu, obowiązkach, obywatelskiej godności... »W całem mieście nie znałem ani jednego uczciwego człowieka — opowiada Połozniew, bohater powieści »Moje życie«. Ojciec mój brał łapówki i mniemał, że mu je dają z szacunku dla jego zalet: studenci, chcąc uzyskać promocyę z klasy do klasy, stawali na stancyach u profesorów i płacili im słono: żona wojskowego naczelnika w czasie poboru przyjmowała kubany od rekrutów, nawet pozwalała się częstować i raz w cerkwi nie mogła dźwignąć się z klęczek, tak była pijana. W tym samym czasie brali łapówki lekarze, a doktor i weterynarz miejski nałożyli formalny podatek na jatki i restauracye. Szkoła powiatowa handlowała świadectwami, dającemi niejakie uprawnienia do posad, popi ściągali daniny od cerkiewnych starostów; w urzędzie miejskim, powiatowym, w szpitalu i wogóle wszędzie każdemu petentowi mówiono: »a co za to?« — i petent dawał 30—40 kopiejek«. Kiedy budowano kolej i chciano, aby dworzec był tuż przy mieście, inżynierowie zażądali od miasta 50 tysięcy rubli łapówki. Miasto dawało 40 tysięcy. Wskutek braku porozumienia dworzec wystawiono o 5 wiorst od miasta, które musiało doń przeprowadzić szosę i poniosło jeszcze znaczniejsze koszta. Wstrętne sceny kradzieży dość znacznych sum przez adwokata widzimy w akcyi powiastki »Starość«, zabawne środki wymuszenia łapówek przez urzędników kolejowych opowiada Czechow w powiastce »Zimna krew«, słowem od góry do dołu, od tych, którzy biorą dziesiątki tysięcy rubli do tych, którzy poprzestają na kopiejkach — uprawia się ten nieszlachetny przemysł łapowniczy, dający smutny widok znikczemnienia godności ludzkiej.

Gdyby się sądziło sferę urzędniczą w Rosyi na podstawie opowiadań Czechowa, musiałoby się o niej wyrokować nie tylko z tego powodu ujemnie. Tak np. piją wszędzie wprost bezwstydnie. Śniadanka, obiadki i kolacyjki bywają ponętne jedynie dla wódki i wina. Wyborny obrazek orgii rysuje Czechow w szkicu »U prezesowej«. Mąż jej umarł skutkiem alkoholizmu, ona tedy

propaguje trzeźwość i w każdą rocznicę gromadzi u siebie kilkudziesięciu urzędników, racząc ich wykwintnem jadłem, — ale bez trunków. Radzą sobie. Co chwila któryś wybiega do przedpokoju, aby z kieszeni futra wydobyć cygarnicę, papierosy, pulares, chustkę, scyzoryk... Co chwila lokaje z przedpokoju wynoszą po kilka próżnych butelek. Poczciwa prezesowa potem chwali się przed swą przyjaciółką, że zacny prezes całując ją po rękach łzami się zalewał z rozczulenia, że pop Eumenij przysiadł się do niej i rozrzewniony bełkotał coś długo i niezrozumiale, że sprawnik padł przed nią na klęczki, aby improwizować, ale sił mu skutkiem wzruszenia zabrakło i runął na podłogę. Nieprzyjemność była tylko jedna: prezes sądu powalił się na kanapę i dwie godziny przeleżał bez pamięci, na szczęście doktór przyniósł ze swej apteki podręcznej flaszkę koniaku...

Rzesza urzędników przemnoga, jak piasek w morzu. Na niej opiera się jak na systemie kostnym organizmu — cały ład olbrzymiego mocarstwa, ale też od niej, od tej niezliczonej, bezimiennej i żywiołowo potężnej rzeszy tchnie swąd zepsucia, ziejący z ran zastarzałych, żywych dotąd i nieuleczalnych. Spoczywająca w urzędniczych rękach administracya państwowa ujawnia głębokie skazy, ilekroć państwo musi koniecznie we wojnie wyłonić ze siebie siłę zaborczą czy odporną. Tak było w wojnie krymskiej i tureckiej. A jednak od czasu srogiej satyry na urzędników prowincyonalnych, wymierzonej w sławnej komedyi Gogola p. t. «Rewizor«, to znaczy od lat pięćdziesięciu liberalna literatura nie przestawała bez litości smagać łapowniczej, nietrzeźwej, mało wykształconej, nieszanującej cudzej własności, chciwej grosza zgrai umundurowanej, uszlifowanej i uorderowanej, która z taką impozycyą zwykła — zwłaszcza wobec słabszych stosować środki, mające częstokroć za całe swoje usprawiedliwienie jedyne godło: władza. Wady to zresztą, że tak powiem, charakteru i uobyczajenia; są jednak inne, wynikające z systemu rządowego. Tak w przywilejach zachodzi nazbyt wielka różnica pomiędzy niższemi a wyższemi kategoryami. Wiadomo, że już Mikołaj I w ten sposób podkopał wpływ i znaczenie rodowej szlachty, iż uszlachcił urzędników, objętych paragrafami tabeli o rangach. Od tego czasu ranga

stała się marzeniem wszelkiego drobiazgu urzędniczego; dla rangi t. zw. *mieluzgá* gotowa wszystko poświęcić. Ten poszedł w górę, bo napisał d o n o s na naczelnika, tamten uzyskał rangę, bo się wzbogacił, ukradłszy sto tysięcy; czy warto tedy uczciwie ciągnąć taczkę, skoro niecne środki odnoszą tryumf w zabiegach o czyn? [1] Nie chodzi zatem o to, aby cenić w sobie ludzkie i obywatelskie dostojeństwo i w imię tegoż pełnić służbę, jaką wydzieli jednostce wymaganie społecznego porządku, lecz aby najrychlej po karkach słabszych i niedołężnych podnieść się w górę. Znane powszechnie w Rosyi przysłowie: ranga powinna uwielbić rangę *(czyn czyna poczytaj)*. Jest ono nadzwyczaj mdłym wyrazem tego na wszelkie poniżenia gotowego służalstwa i fagasostwa, jakie cechuje wzajemny stosunek drobiazgu do naczelników. Należałoby utworzyć jeszcze i drugie przysłowie dla scharakteryzowania pogardy, okazywanej przez dygnitarzy podwładnym.

Czechow poświęca i temu złu niejedną ilustracyę. Oto np. szkic p. t. »Gruby i cienki«. Na dworcu spotykają się dwaj koledzy i przyjaciele szkolni po wielu latach niewidzenia. Cienkiemu towarzyszy żona i syn wyrostek. Ucieszyli się, przypomnieli dawne czasy w rozmowie swobodnej i wesołej. Cienki opowiadał, że jest urzędnikiem, ma nawet order, ale pensyjka na życie nie starczy. Wtem w rozmowie dowiaduje się, że gruby już jest tajnym radcą. Przepadł ton poufały, zginęła swoboda, wyciąga się jak struna zawstydzony i przerażony — aż obrzydzenie zbiera. Jeszcze bezwzględniejszy obraz daje opowiadanie p. t. »Tryumf zwycięzcy« [2]. Jakiś wysoki rangą naczelnik biura zaprosił swych podwładnych do siebie na zapustny obiad i po sutej uczcie z libacyami prawił pokornym służkom o dawnych czasach, kiedy w tem samem biurze rozpoczynał urzędniczą karyerę. Teraz dobrze, ma piękną żonę, wspaniałe komnaty, pyszne obiady, ale dawniej, dawniej — wierzyć się nie chce. »Bez butów, w łatanem ubraniu, w strachu i drżeniu ciągłem. Za rubla dwa tygodnie się robiło. A tego rubla nie dadzą, nie — jeno zemną i w twarz rzucą: masz,

[1] Czechow w powiastce p. t. *Mieluzgá* (Drobiazg urzędniczy).
[2] *Torżestwó pobieditiela.*

żryj! Każdy cię może zdeptać, kłuć, kułakiem grzmotnąć... Każdemu wolno naśmiewać się. Idę z raportem, patrzę: u drzwi leży piesek naczelnika. Podchodzę do pieska i biorę go delikatnie za łapkę: daruj, że pominąłem, mój piesku, dzień dobry... A on na ciebie: rrr... Szwajcar cię łokciem trąca, a ty doń przymilając się: drobnych zabrakło, proszę przebaczyć! Najwięcej zaś wycierpiałem znęcań się rozmaitych od tego oto krokodyla — od Kuricyna«. Tu jaśnie wielmożny wskazał na małego, przygarbionego staruszka, który obok ze wstrętem palił cygaro.

»Przywiedli mię doń i usadzili za stołem. Zaczął też mię gryźć. Co słowo — to nóż ostry, co spojrzenie — to kulą w pierś. Teraz to on wydaje się jak robaczek ubożuchny, pokorny, ale dawniej — Neptun! Długo mię gnębił. Pisałem, co kazał, biegałem mu po bułeczki, temperowałem pióra, starą teściową wodziłem do teatru, nauczyłem się dla niego zażywać tabakę — tak, wszystko dla niego! Tak bywało dawniej! A teraz ja, ja nad nim! Ja mu do życia dosypuję pieprzu! Kuricyn!

— Co jaśnie wielmożny pan rozkaże? — pyta Kuricyn, wstając i prostując się jak struna.

— Przedstawiaj tragedyę!

— Do usług jaśnie wielmożnego pana.

I Kuricyn wyciągnął się, nasępił, podniósł rękę do góry, wykrzywił twarz i zaśpiewał ochrypłym, drżącym głosikiem: »Umieraj, zdradliwa! Łaknę twej krrrwi!«

My zaś kładliśmy się ze śmiechu.

— Kuricyn! Zjedz ten oto kawałek chleba z pieprzem!

Syty Kuricyn wziął spory kęs razowego chleba, posypał go pieprzem i zżuł przy akompaniamencie hucznego śmiechu biesiadników. Jaśnie wielmożny powstał i zachwiał się.

— A ja byłem taki maleńki, skromniutki... Dręczyciele! Barbarzyńcy! Teraz za to ja was... cha, cha... A teraz ty, do ciebie mówię — bezwąsy!

I tknął palcem w stronę innego.

— Biegaj mi naokoło stołu i udawaj koguta!

Wezwany uśmiechnął się, wstydliwie się zarumienił i zabiegał dokoła stołu, wołając: kukuryku!«

Smutny i chydnie poniżający obrazek, oczywiście silnie trąci karykaturą; jednakże niejednokrotnie w rozmaity sposób przez Czechowa dokumentowana służalczość w stosunku małych urzędników do dygnitarzy nie pozwala wątpić, że pierwowzory złagodzone znalazłyby się w życiu.

Ale jakie to życie? Poznaliśmy je w szeregu postaci, które przed oczami naszemi przedefilowały, poznaliśmy je w zasadach, obrazach i działaniu. Możemy też orzec, że panującym nastrojem tego życia bywa pospolitość banalna, szara, sącząca się leniwo, ospale i podobna do mętnej, ołowianej atmosfery, napełnionej od dołu do kresu zwolna spadającemi kropelkami chłodnego deszczu. Pożera wszelki zapał nuda, tłumi wszelką energię niedola, brak wiary w jaśniejsze jutro i brak otuchy w skuteczność wysiłków. Więc życie nic nie warte? Więc życie to w istocie żart pusty i niedorzeczny? W jednej ze swych najlepszych powieści kreśli autor obraz stepu w dal biegnącego bez granic; a tu i owdzie nieruchomo sterczały surowe i martwe kurhany. W tej nieruchomości odczuwał całkowitą obojętność dla losów ludzi. Ani w poranku stepowym, ani w kurhanach, ani w tej dali bezbrzeżnej, w niczem nie można się było dopatrzyć racyi i sensu. Podobnie w zjawiskach życia, przynajmniej tych, jakie kreśli Czechow, trudno się dopytać celu i usprawiedliwienia. Ludzie jego bez ideałów, bez wiary w wyższe cele ludzkości jęczą pod strasznym uciskiem szarego życia i wloką je jak ciężar okropny, a konieczny. Czy Iwanow zdobędzie się na moment energii i wystrzałem uwolni się od życia, czy też Wojnicki *Diadia Wania* z tępą rezygnacyą ginącego pod ciężarem muła zdecyduje się wlec dalej swą taczkę dla korzyści egoistycznego profesora, to w każdym razie nic na tem nie zyska strupieszałość, nuda, bezbarwność, nędza, jałowość wypadków, które kręcą się w kółko około jednych i tych samych podłostkowatych zabiegów, drobnych kłamstw i kradzieży ludzkich i porywają w senny swój wir tłumy, jak ów Chochoł Wyspiańskiego za pomocą swej niewyszukanej i banalnej mużyczki. Jeden z rosyjskich krytyków Czechowa nader surowo wyraża się o takiem pojmowaniu życia.

»W duszy bohaterów Tołstoja kipi wewnętrzna praca, w duszy postaci Czechowa niema nic — próżnia. Życie puste, szka-

radne, nudne. Człowiek dla człowieka wilkiem. W przekonaniu ludzi Czechowa nihilizm Tołstoja nie jest połączeniem negacyi dawnych ideałów z namiętnem i zuchwałem poszukiwaniem nowych. Nie; to poprostu stałe usposobienie ducha, pessymizm, a w życiu zupełna prostracya, senne odrętwienie pod wpływem pessymizmu. Nawet wielbiciel talentu Czechowa cierpi, spoglądając na defiladę nieskończonej czeredy chorych, wpółżywych osobistości, podobnych do wizyi«...

Rosya zaś, jak ją maluje Czechow — to olbrzymi trup, rozpostarty na śnieżnym całunie pośród stepów i borów; gnuśny i tępy lud patrzy nań obojetnie, ucieka odeń mnich, mrucząc swoje modlitwy, umyka rezoner, tłumiący w swej duszy smutne przeczucia potokiem frazesów [1]. Brak tylko dziennikarza, któryby swym kaduceuszem mącił w kadzi życia społecznego, coraz silniej zalewając potokiem atramentu świetne zgłoski wyrazu: Ojczyzna

Ale ten ołowiem nalany horyzont w pismach Czechowa ma jednak, choć bardzo wątłe, jaśniejsze promyki.

Galerya jego nie ma portetów zdrowych, wzniosłych, dzielnych; jednakże ci słabi, złamani życiem pragną, a czasami nawet wierzą w przyszłość i świty nowych dni wydają się im mniej dalekimi.

— Pragnę żyć — woła z głębi duszy nieznajomy [2] — pragnę spokoju, ciszy, ciepła. Wierzę, że następnym pokoleniom lżej i widniej będzie, bo skorzystają z naszego doświadczenia.

— Zorza nowego życia niezawodnie zabłyśnie — mówi Gromow [3] — zatryumfuje prawda, nastaną lepsze czasy.

— Życie za dwieście, trzysta lat stanie się piękne, podziwu godne — unosi się Werszynin [4]. Dla człowieka nieodzowne takie życie, a jeśli go teraz niema, powinien je przeczuwać, oczekiwać, marzyć o niem, przysposabiać się do niego, a zatem umieć więcej, niż umieli jego dziad i pradziad.

---

[1] Studyum o Czechowie wicehrab. de Voguë *Revue d. d. mondes*, 1902, styczeń.

[2] Opowiadanie nieznajomego str. 328, 334.

[3] Sala Nr. 6, str. 161.

[4] Trzy siostry str. 94.

Nie same tedy cienie osłaniają swym burym płaszczem widnokrąg świata powieściowego Czechowa, aczkolwiek zgodzić się trzeba i na to, że tych jaśniejszych przebłysków znajdzie się śród kilku tysięcy stron jego produkcyi zaledwie kilka. Wszelako kilkakrotnie wkraczał powieściopisarz w obręb tej dziedziny życia, kędy słonko pogody nieprzerwanie świeci. Pewną część owych opowieści poświęcił Czechow zwierzętom, pewną cześć zaś dzieciom. Pierwsze [1] ponurym niewolniczym losem stanowią odbicie posępnych obrazów wsi czechowskiej, jakkolwiek zmyślnością przewyższają może Teklę i Maryę z powieści »Chłopi«. Drugie natomiast czy smutne czy wesołe przenoszą czytelnika w świat, gdzie troska o życie nie przybiera obrotów tragicznych a łzy mieszają się z uśmiechem szczęścia [2]. Nowelki o dzieciach, z życia dziecinnego, ale przeznaczone dla dorosłych, każą u powieściopisarza podziwiać wnikliwość psychologiczną, zdolność uświadamiania sobie stanów dziecięcej duszy, ale są zarazem wypoczynkiem dla czytelnika, przygnębionego obserwacyą nędzy i upodleń starszego pokolenia. Wychowawca wyniósłby z tej lektury nawet niejedną pożyteczną wskazówkę, bo w każdej nowelce daje czytelnikowi autor do poznania, jak trzeba się zbliżyć do tego małego światka, przejąć jego duchowymi nastrojami, aby módz nań działać ze skutkiem.

Zapewne główna, kapitalna teza całego poglądu na świat Czechowa trwa i tutaj. »Człowieka zbliża ku Bogu, nie ród ani duchowieństwo, nie majątek lub nauka, ale niemoc ludzka, ból i męka« [3]. I w tym światku Jasiowi źle żyć i temu zgłodniałemu chłopczynie, co rozgryzał muszle ostryg, też bardzo źle, ale to są mroczne chwile, które się rozwidnią, to też w tych latach smutek bez wesołego jutra nie da się nawet pomyśleć. Czytelnik, odczytując piękne karty, dzieciom poświęcone, czuje dla autora wdzięczność za te obrazki i wierzy, że dla niego była też orzeź-

---

[1] *Kasztanka, Biełołobyj* (białogłowy), *Nachlebniki* (pieczeniarze).

[2] *Wańka* (Jaś), *Kucharka żenitsia* (kucharka idzie za mąż), *Dietworá* (dzieciarnia), *Ustricy* (ostrygi), *Doma* (w domu), *Sobytie* (wydarzenie).

[3] W noweli *Moroz* (mróz).

wieniem i ochłodą serca ta wędrówka do ogrodów niewinności z padołu niedoli, występku i wszelakich znikczemień.

V.

O Czechowie istnieje w krytycznem rosyjskiem piśmiennictwie dość dużo studyów, nawet książek, a wprost niezliczona ilość drobnych artykułów. Główny okres jego działalności wypadł w porze przełomowej, na przejściu do nowych ideałów.

Nowsza powieść uważa go za swego przewodnika i duchowego ojca. Tem tłomaczy się silne zainteresowanie się dziełami [1].

Krytyka rosyjska prawie wyłącznie ocenia działalność literacką naszego powieściopisarza z punktu tendencyi społecznej i roli tego pisarza, jako działacza społecznego. Jedni zachwycają się nim, inni potępiają go za pessymizm i czarne barwy. Wołżski w swem studyum usiłuje go filozoficznie zbadać i zdefiniować pessymizm Czechowa zwłaszcza w związku z literaturą poprzedników; Andrejewicz wyjaśnia u Czechowa znaczenie rabusiów i nieszczęśników osobliwie w zestawieniu z bosiakami Gorkiego: Michałowskij i Kaczerec motywują obszernie swoje pretensye do autora o zbyt czarne malowidła życia rosyjskiego, jednem słowem wszyscy wymienieni, nawet i wykwintny essayista francuski rozpatrują dzieła, jako wytwór myśli, stroskanej o dobro ojczyzny. Żaden nie wnika w głąb duszy powieściopisarza, żaden nie dochodzi narodzin pomysłów, oświetlenia ich, barw poetycz-

---

[1] Do lepszych, znanych mi prac krytycznych, zaliczam: 1) Artykuły Michajłowskiego: *a)* Объ отцахъ и дѣтяхъ и о г. Чеховѣ. Сочиненія Михайловскаго. t. VI. *b)* Кое что о г. Чеховѣ. »Русское Богатство« 1900 № 4. *c)* Палата № 6. Сочиненія t. VI. *d)* Литература и жизнь. »Русск. Богатство« 1902 № 2.

2) Андреевичъ. Книга о Максимѣ Горькомъ и А. П. Чеховѣ. С.-Пбргъ 1900.

3) Патковскій. Современное общество въ произведеніяхъ Чехова. С.-Пбргъ.

4) А. М. Скабичевскій. Есть-ли у г. Чехова идеалы? Сочин. t. II.

5) Волжскій. Очерки о Чеховѣ. С.-Пбргъ 1903.

6) Качерецъ. Чеховъ. Опытъ. Москва 1902.

7) П. П. П-скій. Трагедія чувства. С.-Пбргъ 1900.

8) Н. Георгіевичъ. Жизнь Антона Чехова и его произведенія. Одесса 1903.

9) Антонъ Чеховъ. Этюдъ виконта Е. М. de-Вогюэ. Москва 1902.

10) Андреевичъ. О хищникахъ и одинокихъ людяхъ. »Жизнь«. Luty 1901.

11) Боцяновскій. А. Чеховъ. С.-Петербургъ 1902.

nych drogą rozpoznania rozwoju artystycznego, dróg kształcenia się i upodobań artystycznych i literackich, słowem drogą analizy indywidualności Czechowa.

Oczywiście niejeden z krytyków docieka poglądów pisarza na kwestyę n. p. ludową, wychowawczą, socyalną... Ale ułatwia sobie zadanie przez to, że poglądy, wkładane przez Czechowa w usta postaci działających, przypisuje samemu autorowi, identyfikując Iwanowa, Wierszynina, Gromowa tj. wymyślone przezeż postaci z samym powieściopisarzem. Każdy zrozumie, jaka to wogóle rzecz niebezpieczna, wprost nienaukowa, tem więcej zaś w obecnym wypadku. Pewien entuzyastyczny wielbiciel talentu Czechowa zachwyca się tem, że w znacznej stosunkowo produkcyi literackiej, obejmującej trzysta arkuszy tj. prawie pięć tysięcy stron druku niemasz rzeczy bezwzględnie słabej i niewykończonej co do formy [1]. W istocie Czechow jako prawy naturalista niezmiernie dbał o to, aby słowo jaknajwierniej odtwarzało obraz rzeczy, powstały w wyobraźni artysty, która znowu zasyca się obserwacyą natury. W komedyi *Diadia Wania* wprowadził on epizodyczną postać amatora-fotografa. Chadza ciągle z aparatem, zaczepia ludzi, naprzykrza się znajomym i robi zdjęcia. Jak inni powtarzają przysłowia, tak on wciąż do śmieszności powtarza: *jeszczó adiń snimók* (jeszcze jedno zdjęcie). Otóż takim fotografem jest sam Czechow. Dla niego życie i natura stanowią cel, nie zaś środek wyłącznie. Jako naturalista przestrzega przedmiotowości. O ile Gorkij zaznajamia czytelnika ze swą umysłowością, swoim poglądem na świat i życie, swoją wiarą i swemi uczuciami w nader licznych i częstych odezwach od siebie i własnych uwagach o toku rzeczy, o tyle Czechow nigdy nie otwiera własnej duszy, ściśle trzymając się biegu powieści i nie opatrując jej żadnym komentarzem. Właściwość ta dała powód jednemu z krytyków do pochwały, że w dziełach Czechowa niema ani jednego wiersza zbytecznego: ale też ta sama właściwość sprawia, że czytelnik przestudyowawszy nawet starannie kilkanaście tomów pism, w gruncie o przekonaniach, wierzeniach, uczuciach artysty mało wie i albo musi o tem

[1] *Zurnał dla wsiech* marzec 1903.

wszystkiem milczeć, albo pochopnie sądząc z kreacyi o ich twórcy naraża się na zarzut nienaukowości. Natomiast sfera talentu da się dość dokładnej i pewnej poddać analizie, do tego wystarczą dzieła.

Uważając tylko ze stanowiska formalnego twórczość Czechowa, trzeba w nim uznać niepospolity talent, znamienicie wyrobiony według naturalistycznych metod tworzenia. Nie sili się on zgoła na wynajdywanie niezwykłych kolizyi i wypadków. Najdrobniejsza jakaś, najprostsza rzecz może mu dać wdzięczny i zajmujący albo też wielce komiczny obrazek. Rwanie zęba, nocna kradzież w cerkwi, mały dzieciak pali papierosy, kotka się okociła, kucharka wychodzi za mąż, jakaś pogodna gawęda w wagonie, podczas postoju czy noclegu w podróży, wszystko może dostarczyć materyału do nowelki. Niekiedy opowiadanie osnute około jednego efektu i na nim urwane: widać, że pisarzowi o nie więcej nie szło. Oto W s ą d z i e żołnierz wprowadza chłopa, obwinionego o zabicie toporem żony. Chłop broni się, że nie miał siekiery, bo zgubił ją syn Prochor, kiedy raz pijany pojechał do lasu po drwa. W tym momencie zwraca się do konwojującego żołnierza i pyta stłumionym głosem: Prochorku, gdzie topór? To właśnie efekt: syn stróżem ojca, oskarżonego o zabicie matki. A może nie zabił? Może syn i zabił? Kto tedy zabił? Jak oskarżał prokurator, jak bronił adwokat, jaki zapadł wyrok? Tego nie wiemy, bo opowieść na tym efekcie urwana. Czechowowi chodziło po części o satyryczne oświetlenie obojętności w sądzeniu i wyrokowaniu o tragicznych losach ludzi, po części o efekt niespodziany a głośny, dający czytelnikowi rozległe pole do myślenia. Takich przedmiotów do obrazków, takich urwanych efektów wprowadził dużo [1], a ważne to, że nigdy nie chybia celu, zawsze w czytelniku ze znaczną siłą porusza odpowiednią strunę duszy i wywołuje pożądany ton uczucia. Ilość i siła środków artystycznych, użytych do spełnienia tego celu, dają miarę talentu. Może Czechow w istocie tak jak ów wzmiankowany przezemnie wyżej Trigorin, jeden z bohaterów jego komedyi C z a j k a, wszędzie

[1] *Ostrygi, Lustro* (zierkało) i t. d.

i na każdem miejscu dawał baczenie na chwytanie zmysłami wrażenia, notował je, w obrazy przeistaczał i wcielał do powiastek, może wzorem niektórych naturalistów francuskich gromadził dokumenty ludzkie, notując je skwapliwie w swoich sztambuchach, to pewna, że każdy jego opis lub obraz ma trzy zalety: celuje mnogością rysów, odznacza się jasnymi liniami i plastyką, zachwyca ogładzeniem stylistycznem. Nigdy nie poprzestaje on na szkicowaniu, lecz jak gdyby przy pomocy drobnowidza wpatruje się w obraz, podsunięty mu przez fantazyę czy zmysły i wyczerpująco go bada; następnie szuka i dobiera w słowniczym swoim zasobie wyrazów rzecz malujących i opisuje nader dokładnie. Biorę dla przykładu jeden moment z nowelki p. t. »Mróz« *(Maroz)*. »Pamiętam — opowiada kupiec — po śmierci matki zostałem sierotą bez opieki. Ani krewnych, ani przyjaciół: sukienka podarta, jeść się chce, niema gdzie przenocować — nędza. Jakoś mi się wtedy przydarzyło za pięć kopiejek dziennie wodzić po mieście ślepą staruszkę. Mrozy były okrutne... Boże miłosierny, ileż wycierpiałem! Zrazu drżę cały jak we febrze, kurczę się i skaczę, potem ból wciska się w uszy, palce i nogi — do kości. Ale to wszystko nic — bagatela. Gorzej, kiedy całe ciało zastyga. Na takim mrozie po trzech godzinach tracisz czucie. Nogi odjęło, piersi coś gniecie kamieniem, brzuch ssie, serce boli, tak boli, że nie można, a w całem ciele niemoc, jakbyś wiódł za rękę nie staruszkę, lecz śmierć samą. Drętwiejesz, zamieniasz się w suche drewno, idziesz i zdaje ci się, że to nie ty, lecz ktoś obcy rusza nogami. Gdy dusza stygnie, tracisz pamięć: chce ci rzucić staruszkę, ukraść gorący pierożek lub bić się... Na noclegu też mała pociecha. Prawie do północy zamiast spać płaczesz, nie wiedzieć dla czego«... W opisie zastanawia nie tylko obrazowość, t. j. odmalowanie wpływu zjawiska natury na istotę ludzką nie zapomocą terminologii naukowej, lecz metodą — że tak powiem — poglądową, ale także uwydatnienie postępowego przebiegu tego wpływu przez dokładne wyszczególnienie wrażeń fizyologicznych, a nawet psychologicznych. Tak samo jak tu mróz, tak w innem miejscu analizuje Czechow głód (w nowelce »Ostrygi«), jeszcze w innem tyfus plamisty *(Tif)* i t. d. Analiza psychologiczna jak zawsze

u prawego naturalisty opiera się w swoich końcowych wnioskach i wywodach na objawach zewnętrznych, które bywają ujawnieniem stanów duchowych, ale owe zewnętrzne objawy podawane w ogromnej obfitości i podpatrzone dobrze z natury tak, że przez nie niby przez wyborną soczewkę widać duszę ludzką w mękach, uszczęśliwieniu lub spokoju [1]. Nie myślę, żeby przy takiem wnikaniu nie były czynne władze ducha twórcze, n. p. wyobraźnia. Czechow uświadomiwszy sobie zachowanie się duszy ludzkiej w pewnej sytuacyi, umie odgadnąć, jak się ta dusza zachowa w innej. Potrafi odtworzyć, jak będzie rozmyślał chłop, sądzony za kradzież, której on sobie nie uznaje za winę, jak zaś chłop wtedy gdy wiezie żonę śmiertelnie chorą do szpitala, a wtedy, gdy mu lekarze obetną ręce i nogi i śmierć zawyrokują, jak znów córka generała, gdy mąż zachoruje na ostry tyfus [2] i t. d. Taką analizę u Czechowa wypada nazwać nietylko dokładną, ale misterną, łatwą i głęboką. Postać, którą artysta ten poddaje dyssekcyi, odkrywa przed okiem nieubłaganego badacza wszystkie tajniki swej duszy, aczkolwiek najczęściej i najwyraźniej swoje ułomności i drobne pęknięcia. Wskutek tego sama postać wynurza się z ciemni wyobraźniowej w całej swej prawdzie i ożywieniu, nie fantastycznem, lecz rzeczywistem, owianem atmosferą szarej mgły bez uroków rozmarzenia. To drobiazgowe, skrzętne zbieranie drobnych rysów psychologicznych, to nieustanne wpatrywanie się w duszę, jaki ona przyjmie kształt wobec potoku szarego życia z dnia na dzień, z godziny na godzinę dokonywa się u Czechowa bez wytchnienia, ale czasem i bez potrzeby. Przyznaję, że szczegółowa analiza duszy niezbędna wówczas, gdy się ku niej zbliżają ważne wypadki, gdy ma nastąpić jakiś przełom, gdy się w niej skupiają moce, ale przyglądanie się przez długie godziny temu, jak woda, kropla po kropli spadając, żłobi twardy kamień, usposabia do snu i zawodzi oczekiwanie czytelnika, który idąc za tokiem analizy spodziewa się ujrzeć wspaniały wybuch wul-

[1] Aby nie mnożyć przykładów, powołuje się na nowele *Toska* (tęsknota), *Wragi* (wrogowie), *Ubijstwo* (zabójstwo).

[2] *Złoumyszlennik* (złoczyńca), *Gore* (zmartwienie), *Zierkało* (zwierciadło).

kanu, a znajduje mdły i nudny strumyczek szarego życia [1]. Do Czechowa wszakże uwaga ta zastosować da się zaledwie w paru razach, dzięki dwom zaletom twórczości. Po pierwsze oprócz wielkiej ilości rysów analizy niezmiernie rozległe jest koło jego pomysłów: on nie poprzestaje jak Gorkij na jednej sferze ludzi: magnaci, szlachta, urzędnicy, kupcy, mieszczanie, chłopi, żebracy, robotnicy, dzieci, zwierzęta, przyroda, miasto prowincyonalne małe i duże, stolica, wieś, w zdrowiu i chorobie, nędzy i dostatku, ruchu i bezczynie, w sytości i wygłodzeniu — wszystko to dostarcza tysiącznego łupu wyobraźni i pomysłowości poetycznej tego pisarza w tysiącznych kształtach i przemianach. Powtóre zaś surowy ten sędzia i kontrolor własnego słowa nie cierpi frazesu. Przy całej ogromnej ilości nagromadzonych znamion nie masz pustych słów i obrazów. Niekiedy wydawać się może jakieś porównanie niepotrzebne albo też przeforsowane, a jednak zastanowić się wypada, zanim się wyda ostateczny wyrok, skoro się wie, że porównania mają naszej wyobraźni ułatwiać czynność reprodukującą, zbliżając opisywaną postać. Ot n. p. na początku powieści »Mużyki« pisze Czechow, że lokaj Czykildiejw niósł w restauracyi talerz, na którym była szynka z groszkiem i upadł. O szynkę z groszkiem wcale nie chodzi, nie odgrywa ona w powieści żadnej roli, ale jako rys aktualny przenosi naszą wyobraźnię jednym rzutem w sferę restauracyjną, a właśnie przez to okazuje się w opisie potrzebną. I zawsze u Czechowa porównania i przenośnie wybornie służą swemu celowi. Niewłaściwie użytych (n. p. księżyc skrył się, jak gdyby powąchał tabaki) [2] prawie niema. Styl jego zatem umiarkowany, oszczędny nawet w słowach, ale rozmaity i bogaty nawet w swojem słownictwie celuje tem, cobym nazwał konkretnością, tj. zawiera znaczny procent wyrazów zmysłowych: rzeczowników, przymiotników i czasowników. Spokój i przedmiotowość obok wypukłości i sprecyzowania obrazów stanowią główną jego cechę i doskonale harmonizują z realizmem treści.

A treść ta — prócz wszystkiego, co się o niej rzekło wyżej,

---

[1] Ob. np. analizę psychologiczną w noweli *Ubijstwo*.

[2] I. 38.

jeszcze jedną posiada oryginalność. Czechow był lekarzem: stąd nie tylko jego upodobanie do kreślenia koleżeńskich sylwetek, ale też i do obrazowania fizycznych cierpień ciała w ich oddziaływaniu na duszę ludzką. Jeżeli już starożytni mawiali: *mens sana in corpore sano,* to możnaby odwracając myśl wyszukać często przyczynowy związek między chorobami ciała i duszy. Czechow z niemałą ścisłością i o ile sądzić mogę, powodzeniem dociekał tego związku w licznych swych powieściach, a ponieważ czynił to pierwszy w literaturze rosyjskiej, stąd te właśnie utwory budzą nadzwyczajny interes intelligentnego czytelnika. Świetnie opowiada w mowie p. t. »Tyfus« *(Tif)* kolejne wrażenia, uświadamiane przez oficera Klimowa bezpośrednio przed tyfusem wysypkowym, w czasie tegoż aż do utraty świadomości, bezpośrednio po jej uzyskaniu po krytycznych chwilach, nareszcie w czasie stanu wyzdrawiania. Również wybornie spisuje przebieg umysłowych zmian i nerwowych zboczeń uczonego profesora w jednej ze swych najlepszych powieści p. t. »Nudne dzieje« *(Skucznaja istoria).* Jak pod wpływem chorobowych zmian fizyologicznych przeistacza się świadomość, wyobraźnia, pamięć, wola, jak dusza ze stanu zdrowia zapada w obłęd, tego w piśmiennictwie rosyjskiem do Czechowa nie uczynił nikt tak szczegółowo i z taką znajomością przedmiotu, nawet wielki w tej mierze Dostojewski. Czy pomimo wszystkiego był materyalistą? Czy przenikliwie umiejąc przezierać do dna tajniki duszy i śledząc je w zależności od powikłań w organicznej naturze nie uznawał tajemnic i zagadek, przed któremi czuł się bezsilnym? Owszem, tak. I on, jak Gorkij, dziecię sceptycyzmu i niewiary, wierzył jednak w byt duszy niezależny od życia ciała, i on stwierdzał nietylko w istnieniu jednostki, ale nawet w dziejach rękę tajemniczej potęgi, ale złej. Nie rościł co prawda pretensyi do wszechwiedzy, był na to zbyt prosty i zbyt skromny. W pięknej noweli »Czarny Mnich« wyraźnie złożył dowód wiary w bytowanie sił nieodgadnionych i tajemniczych. To go nieco wyróżnia od naturalistów tego pokroju, co Zola, a zbliża do Maupassant'a, którego nawet artyzmem dorasta. Podobieństwo nie kończy się na tych momentach. Obu cechuje gorycz serca, niedobrze maskowana szyderczym śmiechem,

wywoływanym na widok obrotu spraw w świecie. Obaj boleją nad tem, jak ciężko i źle się żyje, choć mają usta wykrzywione do uśmiechu. Obaj nieraz myślą o śmierci, nazywając ją okropnym i pełnym grozy poematem ludzkości. Obu powieści napawają duszę znużeniem, ciężkim i beznadziejnym smutkiem. Życie podług obu nie przynosi człowiekowi nic prócz niedoli. Oto rozumny i szlachetny doktor dostaje się do szpitala waryatów, oto uczeń zabija się z powodu jakiegoś nieprzemożonego *taedium vitae*, oto niańka dusi niemowlę, powierzone jej opiece, aby się módz raz dobrze wyspać, oto student dostaje prawie obłędu z rozmyślania nad dolą publicznicy, sprzedającej się za rubla, oto żołnierze, wracający z dalekiego Wschodu konają w kajutach wśród marzeń o wsiach ojczystych, oto nowo zaślubiony młody pastor sprzedaje za grubą sumę pieniędzy staremu bankierowi swoją noc poślubną [1], oto zewsząd, z każdego kąta wygląda i czycha potworna paszcza śmierci i niedoli. Ależ może nareszcie pośród nieszczęsnych i złych znajdą się dobrzy i oni słodyczą łask swych uczynią życie znośnem? Niema mowy o dobrych: człowiek — niepoprawny i beznadziejny egoista. »Kiedy n. p. w rodzinie kto choruje długo i nieuleczalnie, to bywają takie minuty, że wszyscy blizcy nieśmiało, potajemnie, w głębi duszy pragną jego rychłej śmierci« [2]. A może jednak nie wszyscy nieszczęśliwi? Może geniusz, talent posiędzie świat, zdobywszy go czarami swojej muzy? »Talent staje się ofiarą nieubłaganego prawa, wedle którego na stu rokujących nadzieję, dwaj, trzej zaledwie wyrastają na ludzi: inni wylosowują się i giną« [3]. Jeżeli w istocie koło światowej tortury każdym swym zębem rozrywa i ciężko rani, to racya byłaby po stronie doktora Korolowa, utrzymującego, że wszelki wysiłek i krwawy pot ludzkiej pracy staje się korzyścią tylko dyabła [4]. On to urządził stosunki możnych i słabych, grubą omyłkę nie do poprawienia. Silny musi mącić i psuć życie słabemu: takie prawo natury. Zasada ta

[1] Nowele: *Pałata N. 6, Wołodia, Spat'choczetsia, Pripadok, W morie Gusiów.*

[2] Muzyki. 142.

[3] Nowela *Talent.*

[4] *Słuczaj iz praktiki* (Zdarzenie z praktyki), IX. 284.

jednak zrozumiale i łatwo układa się tylko w artykułach dziennikarskich; w kaszy natomiast, jaką ze siebie tworzy potoczne życie, w chaosie drobiazgów, z których splotła się ludzka krętanina, to już nie prawo, lecz niedorzeczność logiczna, gdyż i silny i słaby zarówno stają się pastwą jakiejś kierowniczej mocy nieznanej, poza życiem istniejącej, obcej dla człowieka.

Tak tedy talent Czechowa, czuły na bóle życia, roztacza obrazy, owiane jakimś smętnym i pełnym rozżalenia urokiem. Pochłonięty ludźmi i życiem, nie ma umiłowania przyrody, ani też w dziełach nie próbuje spożytkować barw swego pisarskiego daru dla kreślenia pejzażów. Nie żeby był zgoła ślepy na uroki natury. W kilkunastu tomach dzieł da się odszukać kilkanaście krajobrazów; czasami wieje z nich nawet poezya, jakiś czar letnich, wiejskich tchnień, sadów pełnych woni, borów szumiących modlitewnie; ale zazwyczaj państwo natury obojętne dla skołatanego rozjękiem ludzkiego łona; zazwyczaj igraszki i niezamącona ranami duszy pogoda natury służy jako kontrast, ulubiony u Czechowa środek artystyczny — z okrucieństwem życia [1].

VI.

Przed kilkunastu laty niemałą sławą cieszyli się w piśmiennictwie rosyjskiem dwaj pisarze, jeden nowelista Garszin (zm. 1888), drugi poeta Nadson (zm. 1887). Obu ich krytyka rosyjska nazywa poetami nastrojów. Obaj oni głęboko odczuwają toń, dzielącą ideał, wypiastowany wśród bezsennych nocy w duszy od miałkiej rzeczywistości. Osobliwie w liryce Nadsona łka nie tylko smutek jego zbolałego serca, ale dają się słyszeć motywy bolów świata. Godzien szerszego rozgłosu poeta — nie rozpościera się w służalczem ubóstwieniu przed potęgą, lecz wielbi Boga maluczkich i pokornych [2]. »Nie modlę się do Tego, który króluje śród tłumu du-

[1] Ob. n. p. uroczy pejzaż i cały szereg śmierci w końcu noweli *Gusiow* (VI. 212).

[2] Я не тому молюсь, кто окруженъ толпами
Священнымъ трепетомъ исполненныхъ духовъ,
И чей незримый тронъ за яркими звѣздами
Царитъ надъ безднами разбросанныхъ міровъ, —

chów pełnych świętego drżenia, czyj tron za gwiazd bisiorem lśniącym nad otchłaniami rozsypanych światów. Jam niemy przed Nim. Głęboka wiedza o nicości własnej wargi me zaciska. Inny czar porywa mię ku sobie, czar nie królewskiej władzy, lecz męki i krzyża. Mój Bóg — Bóg bolejących, Bóg krwią zbroczony, Bóg-człowiek i brat o sercu niebiańskiego miłosierdzia pełnem. Przed cierpieniem i czystą miłością pochylam się z żarliwą swą modlitwą«. Czy nie to samo powtórzył nieco później Czechow w noweli *Moroz,* gdy mówił, że niedola zbliża człowieka ku Bogu, nie zaś siła i bogactwo? Gdy Nadson w swym poemacie »Odpowiedź« omawia rolę poety-wieszcza wobec rozległej ojczyzny, owładniętej gnuśną niemocą i skłaniającej czoło pod jarzmo, to czytelnikowi się wydaje, że słyszy te same głosy skargi, wiele razy powtórzone u Czechowa. Podobnie Garszyn w swych nowelach [2] czuje się głęboko nieszczęśliwy wobec tego codziennego zjawiska, że człowiek musi uledz banalnej rzeczywistości i że wbrew wszelkim wysiłkom losy lepią zeń byle jaką postać, niezależną od jego woli.

Chociaż atoli Czechowa łączy z tymi poetami nastrojów duch smutku i pesymistycznego na świat poglądu, choć tak jak oni radby wyrwać się każdej chwili z otaczającej i dławiącej duszę kamieniem pospolitości, choć także i wzorem Szczedrina nieraz zanurzał swe ostre pióro w żółci, aby obelgami złośliwego szyderstwa zasypać niejedną bezecność, podłostkę lub nadętą próżność, to jednak — mimo wszelkich różnic — najbliżej on jest duchowo spokrewniony z Gorkim.

Obaj ci pisarze mieli razu pewnego zmierzyć się w rodzaju greckiego *agonu* starożytnego. Gorkij przed paru laty święcił

Нѣтъ, передъ нимъ я нѣмъ! Глубокое сознанье
Моей ничтожности смыкаетъ мнѣ уста,
Меня влечетъ къ себѣ иное обаянье —
Не власти царственной, но пытки и креста.
Мой Богъ — Богъ страждущихъ, Богъ, обагренный кровью,
Богъ человѣкъ и братъ съ небесною душой, —
И предъ страданіемъ и чистою любовью
Склоняюсь я съ моей горячею мольбой.

[2] Garszin: *Razskazy.* Wyd. 8. Zwłaszcza zaś nowela *Trus.* (Tchórz).

wielki tryumf na scenie moskiewskiego teatru swoją komedyą »Na dnie». Grała ją sławna i doskonała trupa teatralna Stanisławskiego. Otóż to samo grono aktorów udało się do Petersburga i tam wobec wytwornej stolicznej inteligencyi przedstawiło Czechowa komedyę *Diadia Wania* (Wujaszek Jaś), a potem komedyę Gorkiego »Na dnie«. Czechow odniósł zupełne zwycięstwo nad swym młodszym i niepospolitym antagonistą. Bo też co prawda w komedyi tej główna rola przypadła postaci jakby żywcem wykrojonej z duchowego *milieu* petersburskiego. Wojnicki, nastrojony górnie, sięgający aspiracyami niewiedzieć jak wysoko; tymczasem życie złamało osadę skrzydeł ikarowych i wywichnęło do góry. Trzeba było zaprzestać lotu a oddać się mozolnej, mało pożytecznej pracy ratowania majątku dla emerytowanego profesora uniwersytetu, którego się miało za geniusz, podczas gdy był w istocie miernotą. Przedmiot tedy nieraz przez Czechowa opracowany, okraszony nadto zajmującą emancypantką Maryą, banalnym profesorem, próżną i strojnisią Heleną, pracowitą i skrzętną Zofią, dzielnym lekarzem Astrowem: — mógł się podobać publiczności Petersburga daleko więcej, niż widok strasznych konfliktów komedyi Gorkiego. Niezawodnie nieskora do uniesień i jaskrawych namiętności, lubiąca układ towarzyski i ogładę, zżymała się na widok rażących efektów świateł i cieni, oraz skrajnego naturalizmu sceneryi w komedyi Gorkiego. Czechow maluje ludzi, Gorkij szatanów. Ludzie Gorkiego mali, grzeszni, przeciętni, ale bądź co bądź to są ludzie. Czechow nie lubi bohaterów, może ich nie widzi lub nie chce widzieć: może życie nie dostarcza zgoła takich bohaterów, w których pragnąłby uznać dzielność i rozum. To też różni się on od Gorkiego, który maluje szatanów. Żyją sobie te szatanki niezgorzej, ciągną gorzałkę, pilnie uczęszczają do karczem, wałęsają się bezczynnie, nawet zrobienie porządku w izbie uważają sobie za trud niemały, utrzymują się kosztem kobiet publicznych, dzieci nie mają, trosk ojcostwa nie ponoszą [1]. Czechow rozpostarł swoją spostrzegawczość na całą Rosyę jak długa i sze-

[1] Podług artykułu Suworina p. t. »Czechow i Gorkij albo ludzie i szatani«. *Now. Wremia.*

roka, darząc uwagą wszystkie słoje zaludnienia. Są też w gromadzie kreacyi jego i szatani owi. Robotnicza rzesza, bezdomni i bezrolni — obok bankierów i milionerów. W tysiącu motywów powieściowych musiały się znaleźć motywy analogiczne z powziętymi przez Gorkiego. Bogacz Frołow zupełnie podobny do Gordiejewa, Sawka i Artem — to bliźniacy; często takież sytuacye, podobne pijackie sceny, podobni włóczęgowie. Szerszy w swojem rozwarciu, spokojniejszy w dostrzeganiu, głębszy i subtelniejszy w analizie, równiejszy i bardziej ogładzony w stylu i obrazowaniu jest Czechow. Talentem za to wyższy Gorkij. On skupił całą swą duszę kipiącą jak lawa wulkanu w jednem uczuciu, w jednej namiętności: cały jest płomiennym protestem przeciwko banalności jałowej i trupiej obecnego życia. Z niego wybucha moc krwawego zaprzeczenia bez kompromisów. Oprócz siły w Gorkim więcej poezyi: on miłuje przyrodę swoją ojczystą, kocha morze, step i jesień swoją i lato i wiosnę. Natura tedy przemawia doń słowy nieznanemi i poeta potrafi pobożnie słowa te ująć w ludzką mowę. Obaj oni społeczeństwu w dani złożyli najlepsze swe dary, obaj są społecznikami i radziby krwią z pod serca koić rany własnej ojczyzny. Czechow atoli wyższy wydaje mi się sztuką, Gorkij zaś geniuszem. »Był Czechow niezrównanym artystą, zrozumiałym do głębi nie tylko dla Rosyan, ale dla wszystkich. Był jednym z tych niewielu pisarzy, których można wiele razy czytać z zajęciem. Śmierć jego nie da się powetować, tem bardziej, żeśmy w nim stracili i wielkiego artystę i dobrego, szczerego, szlachetnego człowieka«. Tak się o nim niedawno wyraził Lew Tołstoj.

Antoni Mazanowski.

ROZDZIAŁ I UŻYCIE DOCHODU.

Indywidualne zaspokajanie potrzeb zależy od łącznej sumy materyalnych zasobów będących do rozporządzenia danej jednostki. Na zasoby te składa się tak jej majątek, jak dochód, a wyjątkowo tylko kredyt, zasoby cudze użyczone z obowiązkiem zwrotu po pewnym czasie. Osoby niesamodzielne gospodarczo zaspokajają swe potrzeby sposobem darmym, otrzymują od innych swe utrzymanie.

Z majątku tylko jego część — majątek użytkowy — służy bezpośrednio do zaspokojenia potrzeb; znaczenie jego widnieje w tem, że w miarę dostateczności majątku użytkowego (własny dom mieszkalny, meble, biblioteka) zmniejsza się zakres koniecznych corocznych wydatków, a stąd i wymogi co do koniecznej wysokości dochodu.

Dochód indywidualny może być zapracowanym lub darmym: zapracowany bezpośredni jest za udział w produkcyi, pośredni za przysługi świadczone na rzecz producentów; bezpośredni mają przeto przedewszystkiem inicyatorowie produkcyi to jest przedsiębiorcy lub samoistni wytwórcy, dalej reprezentanci czynników produkcyi, a więc ziemi, pracy, kapitału. Zapracowany dochód pośredni mają ci, których dzieła czy przysługi są nabywane przez producentów (lekarze, autorowie, artyści, urzędnicy). Darmy dochód otrzymują dzieci, kalecy, stypendyści, dalej można tu zaliczyć nieprzewidziane i niezapracowane przybytki majątkowe, jako to z darowizny, wygranej, spadku.

Proces rozdziału dochodu jest uproszczonym faktycznie, ale równocześnie utrudnionym dla zrozumienia, przez rozszerzenie się obrotu pieniężnego i kredytowego na miejsce surowej zamiany. Realnym celem dochodu jest zapewnienie dla gospodarza pożądanej ilości pożywienia, odzieży, potrzebnych towarów i usług, stąd analizę procesu rozdziału dochodu, następującego przez szereg aktów obrotu — *do ut des, do ut facias* — należy rozpoczynać od producentów, bo oni wytwarzają ogół dóbr materyalnych tworzących podstawę zaspokojenia potrzeb, cel gospodarczych zabiegów.

Historycznie wytworzyła się i rozwinęła prywatna własność ziemi i kapitału, wytwarzając samym faktem swego powstania różnice majątkowe i dochodowe, a rozwój produkcyi targowej, postępujący podział pracy, różniczkująca się coraz więcej praca przedsiębiorcza i wykonawcza, niezależna i zawisła, kwalifikowana i prosta, utrwaliły i powiększyły owe różnice. I różnice te nie są stałe. Zmiana techniki i organizacyi produkcyi, zmiana konkurencyi, warunków zbytu, wpływa na zmianę tak ilości łącznie otrzymywanego produktu, jak na udział indywidualnych gospodarstw w łącznym dochodzie społecznym. A ten udział indywidualny decyduje o położeniu jednostki, o jej zdolności pokrycia potrzeb dochodem, czy też konieczności naruszenia majątku na konsumcyę, lub przeciwnie możności kapitalizacyi. Niema stałych i niezmiennych cen, niema stałego procentu, płacy, zysku, ani bezwzględnie stałego i pewnego stosunku rozdziału dochodu indywidualnej produkcyi między jej czynniki, stąd też nie tylko istnieją ale i zmieniają się różnice majątkowe i dochodowe.

Ani fakt istnienia tych różnic, ani nieodłączna odeń zmiana tych różnic nie są rzeczą obojętną dla dobrobytu społeczeństwa. Zależnie od nich zmienia się indywidualna zdolność pokrycia potrzeb, społeczna zdolność produkcyi, rozwija się lub marnieć może kultura, spokój, wszechstronny dobrobyt narodu. Nauka winna przeto zdać sobie sprawę, czy istniejący stan różnic majątkowych i dochodowych, oraz wyraźna tendencya utrwalenia czy przemiany tych różnic, jest rzeczą pomyślną lub zgubną, gdyż dopiero ta ocena da podstawę do uzasadnionej obrony istniejącego stanu lub też dalszej lub mniej daleko idącej reformy.

Historyczny fakt różnicy majątku i dochodu przedstawia się z szeregu względów jako pożyteczny, korzystny dla społeczeństwa. Przedewszystkiem występuje możność zyskania wyższego dochodu, dojścia do majątku i powiększenia majątku, jako bardzo ogólny i bardzo skuteczny bodziec do pracy; i dodajmy zaraz, bodziec to uprawniony, bo zapewnienie bytu własnego uczciwą pracą, polepszenie tego bytu, zapewnienie dobrego bytu dla dzieci, stworzenie sobie możności materyalnego czynienia dobrze dla bliźnich, jest nietylko prawem, lecz w pewnych granicach nawet obowiązkiem człowieka. Bez skutecznej pracy we wszystkich gospodarstwach nie utrzyma się, ani nie dźwignie produkcya, a skuteczną usilną pracę tam przedewszystkiem możemy spodziewać się otrzymać, gdzie istnieje związek między pracą a rezultatem, gdzie rezultat pracy temu przypada w udziale, co ma trud i zasługę pracy. Korzyść z własnej pracy jest niewątpliwie najogólniejszym i najskuteczniejszym bodźcem pracy, wynalazku, postępu; bodziec ten nie wyklucza bynajmniej działania innych, szlachetniejszych, nieegoistycznych motywów, owszem po części może być uważanym za szkołę przygotowawczą dla zrozumienia owych wyższych motywów obowiązku, nietylko korzyści, ale zapominanie o skuteczności motywu korzyści, liczenie na dostateczne działanie samych wyższych motywów, jest idealnym może poglądem na świat, jednak nadludzkim nie ludzkim, nie realnym, musiałoby zawieść. Nieraz i korzyść własna nie jest dość silnym bodźcem, aby przełamać wrodzone naturalne ludzkie lenistwo, tem mniej liczyć można na skuteczność korzyści bliźnich, społecznej nie własnej, jako ogólnego i trwałego bodźca. Bez pracy zniżyłaby się produkcya, z nią zniżyłyby się i indywidualne porcye dochodu, stąd powyższa możność zyskiwania dochodów wyższych, dorobku, nie jest sprzeczną, lecz leży w interesie dobrego zaopatrzenia społeczeństwa, będącego pierwszym warunkiem dobrego, t. j. poręczającego dostateczność rozdziału jego dochodów. Właśnie ta różnica majątku i dochodu wytwarza niejednokrotnie wprost korzystną emulacyę producentów, na czem zyskuje ogólna wytwórczość kraju.

Postęp produkcyi wymaga licznych ofiar, prób, eksperymen-

tów. Bez zaryzykowania znacznych kapitałów nigdzie nie może rozwinąć się górnictwo, bez różnych prób dokonania i stósowania wynalazków nie dźwiga się technika produkcyjna ni komunikacyjna. Kanały, tunele, koleje, najróżniejsze maszyny i motory, głęboka orka nawet czy nawozy sztuczne, to wszystko było wpierw kosztowną ryzykowną próbą, zanim się stało realną dźwignią produkcyi i dobrobytu. A skąd branoby środki na te próbne wiercenia, poszukiwania, modele, eksperymenta, gdyby nie było ludzi, co mają środki potemu i chcą na to dać. Samą dobrą wolą niczego się nie zbuduje w świecie techniki, na to potrzeba materyalnych zasobów, i to zasobów w ręku prywatnych. Publiczne bowiem zasoby, zebrane przymusowo od całego społeczeństwa, a więc i od najbiedniejszych jego warstw, winny być tylko zużyte na istotne potrzeby społeczeństwa i w sposób poręczający skuteczność użycia; zużywanie zasobów publicznych na ryzykowne próby nie byłoby ani słusznem, bo mogłoby łatwo do ekscesów prowadzić, ani uprawnionem. Trudno podnosić podatki celem prób niepewnych. Podjęcie owych prób zależy przeto od tego, aby istniały dość liczne jednostki o znacznych zasobach, w położeniu dozwalającem bez zachwiania podstaw bytu na zaryzykowanie, t. j. nawet na stratę pewnych sum; część z nich odda te sumy z idealnych powodów, dla postępu jako takiego, część odda pociągnięta szansą znacznych korzyści; ale bez względu na motyw dania samo zebranie koniecznych wyższych sum zależnem jest od istnienia ludzi mających więcej, niż sami dla siebie potrzebują.

Podobnie i całe polityczne i kulturne życie społeczeństwa jest warunkowanem istnieniem warstw zamożnych, nie zabsorbowanych zupełnie gospodarczą pracą, mających swobodę do poświęcenia myśli i czasu niegospodarczym celom, mających zasoby starczące na więcej, niż tylko proste pokrycie niezbędnych potrzeb fizycznych. Kto musi kilkanaście godzin dziennie pracować na chleb, ten nie może brać na siebie żadnych czynnych obywatelskich obowiązków, w zgromadzeniach, stowarzyszeniach, administracyi czy sądownictwie, ten nie może nic społecznie ani kulturnie zdziałać dla kraju, ten często nie może nawet dalej pracować nad sobą, niema poprostu dość sił fizycznych i świeżości

myśli, aby iść do szkoły wieczornej, na wykład jaki, nawet do kościoła; o tem, aby on mógł być pionierem postępu, kultury, niema mowy, a społeczeństwu potrzeba i darmej obywatelskiej pracy i pionierów kultury. Jedno i drugie zdziałać mogą tylko warstwy zamożne, i historycznie one były i tylko one być mogą bezpośrednio czy pośrednio dźwignią kultury i zaporą dla absolutnych rządów urzędniczej biurokracyi, dla traktowania przez rząd wszystkich ludzi tylko jako poddanych, nie jako obywateli. Samorząd wszelki opierać się tylko może na majątkowo niezależnych żywiołach, polityczne życie tam tylko zdrowe, gdzie przeważają w niem żywioły nie szukające ani zysków materyalnych, ani karyery, którą to niewrażliwość na materyalne ponęty, prócz u natur wyższych, przeważnie daje tylko niezależność materyalna, a i sztuka, literatura, tam się tylko rozwinąć mogą, gdzie wielka i dość szeroka zamożność zdoła popytem swym i poparciem zapewnić byt ludziom oddanym wyłącznie, bo inaczej nic wielkiego nie stworzą, pracy artystycznej, literackiej, naukowej.

Wielostronnie dodatnie skutki możności posiadania i powiększania majątku, otrzymywania wyższych dochodów, nie mogą jednak prowadzić do przeceniania tych skutków, pomijania kwestyi, że one są tylko możliwe, nie konieczne, przeoczania, że różnice położenia powyżej pewnej granicy przestają być zjawiskiem dodatniem, stać się mogą wprost szkodą społeczną. Różniczkowanie dochodów i majątków ma swą doniosłość, nie zabójcza równość przymusowa, wykluczająca wyższą nagrodę dla wyższej zasługi, ale tak samo nie rozdarcie społeczeństwa przez nadmiar różnicy posiadanych zasobów na dwie odrębne, niczem prawie pośredniem niepołączone klasy, milionerów i proletaryat. Dobrobyt i kultura mają nietylko wzrastać, lecz i rozszerzać się, tak przeto jako cel, jak jako skuteczny środek rozwoju pożądane są i w pewnej mierze wielkie majątki, i szersze od nich koła zamożne, wogóle korzystne stopniowanie zamożności, z liczebną przewagą stopni niższych, bez przerw i gwałtownych skoków w stopniowaniu ku górze. Same n. p. parcele chałupników i latifundia magnackie byłyby antitezą dobrego agrarnego ustroju, zgubną społecznie i ekonomicznie. Potrzebną tu jest przewaga

normalnych kategoryi, własności małej, średniej, wielkiej, potrzebną możność stopniowego dorobku. Ani prosty robotnik w fabryce, ani chałupnik na wsi marzyć o tem nie może, aby kiedy doszedł do pozycyi zbliżonej do pozycyi fabrykanta czy właściciela latifundii: brak stopni pośrednich wytwarza rodzaj beznadziejności położenia, tępi bodziec usilnej pracy, jakim ma być i być może różnica położenia, budząca chęć dorównania innym. A bodziec ten usilniejszej pracy ginie i po stronie właścicieli fortun olbrzymich, z jednej strony przez wzrastające trudności i coraz mniejszą często rentowność administracyi, z drugiej przez fakt trwałej przewyżki dochodów nad potrzeby, automatyczną już niejako dalszą kapitalizacyę. Przy zbyt skoncentrowanej zamożności zależy dalej postęp produkcyi, a tak samo i popyt kulturny, na dzieła sztuki i literatury, od fantazyi jednostek, podczas gdy szeroka zamożność umożliwia pewniej w drodze udziałowych przedsiębiorstw z ograniczoną poręką przystąpić do dzieł nowych, ryzykownych eksperymentów, a i mecenasostwo narodu może być i przeważnie jest korzystniejszem dla sztuki, literatury, nauki, niż mecenasostwo nielicznych plutokratów.

Zbytnia koncentracya mienia i dochodu społecznego może dalej mieć zły wpływ na produkcyę i konsumpcyę społeczną. Produkcya kieruje się podług popytu zdolnego najkorzystniejszą dla producenta cenę zapłacić. Przy stanowczej przewadze siły nabywczej dochodów w nielicznych bardzo bogatych rękach, może produkcya w wielu gałęziach przybrać kierunek luksusowy, mogą uprawiać kwiaty i wyszukane owoce z zaniedbaniem warzywa, zużywać surowce na zbytkową zamiast zwyczajną produkcyę, ozdobne okucia i sztachety zamiast bron i pługów, a stan ten, o ileby powstał i utrwalał się, utrudnia kapitalizacyę i konsumcyę społeczną. Na targu kupi nie ten, co więcej danej rzeczy potrzebuje, lecz ten, co może więcej za nią zapłacić, stąd też zbytnia przewaga majątkowa nielicznych kół może odwróceniem produkcyi na tory luksusowe, jak podniesieniem cen targowych wogóle, utrudnić nadmiernie zaspokojenie potrzeb gospodarczych i osobistych licznych warstw niezamożnych, stanąć w sprzeczności z zadaniem i warunkami dobrobytu.

A jak nieodpowiednie użycie może, przybierając antykulturny i antygospodarczy kierunek, uchylić spodziewany i możebny wpływ wyższych dochodów, tak ujemny ten skutek może mieć również nieodpowiednie pochodzenie znacznych dochodów. Gdzie ślepa konjunktura, nieuczciwy, prawem niepowstrzymany wyzysk, grynderstwo i karkołomna spekulacya będą głównymi czynnikami wyższych dochodów, tam łatwo przyjdzie do uszczuplania kapitałów dla produkcyi, przez to ubożenia jej, tam te zyski aleatoryczne często popchną ludzi do życia wprost marnotrawnego, szerzy się zgorszenie i co do sposobów nabycia i co do użycia mienia, wyższy majątek i dochód zatraca swą dodatnią i pożądaną funkcyę gospodarczo-społeczną i kulturną.

Uznając wielostronne dodatnie znaczenie faktu wyższych majątków i dochodów, należy przeto jednak zrobić zastrzeżenie, że ani wszystkie różnice, ani zawsze wielkie majątki nie są uprawnione, że one pełnej legitymacyi swej potrzebują zarówno przez uczciwe pochodzenie, jak uczciwe użycie.

Obok różnicy położenia, znacznych majątków i dochodów, utrzymała historya i warstwy niezamożne, koła ubogich, niestety nawet koła pogrążone w nędzy. Starożytne pogaństwo nie miało dla tych kół współczucia, patrzyło na nie z niechęcią i pogardą, dopiero chrześciaństwo uznało godność ludzką i w biednym uznało troskę oń za uczynek dobry, moralny obowiązek. A i realny polityk musi uznać ubóstwo graniczące z nędzą kół szerokich, za zło społeczne, któremu zapobiegać należy i ograniczać, gdyż ono liczne ujemne ma skutki, jest negacyą dobrobytu dotkniętych jednostek, ale i negacyą i zaporą społecznego dobrobytu.

Ujemne skutki nędzy występują przedewszystkiem pod względem fizycznym. Źle odżywione, źle odziane, w lichych izbach egzystujące organizmy łatwo ulegają chorobom, szerzą zarazę, nie przedstawiają nigdy sił dostatecznych dla usilnej pracy, co utrudnia poprawę ich bytu, zależną przedewszystkiem od wydajności ich pracy, może, utrwalając się, prowadzić do fizycznego, gospodarczego, intelektualnego skarłowacenia. A niedostatecznie fizycznie i umysłowo rozwinięty robotnik staje się często zaporą postępu produkcyi, zaporą dla lepszej umowy o płacę, zdolny jest

do roboty tylko podług dawnej lichej rutyny, przez co i lepsze jednostki, wobec przewagi miernych robotników, w wyjątkowych tylko wypadkach mogą wybić się na wierzch, przeważnie są brane pod strychulec miernoty wytwórczej, na czem cierpi ich byt, lepsza organizacya stosunków robotniczych, produkcya, tak że zacofanie materyału robotniczego staje się szkodą społeczną i ekonomiczną, wytwarza błędne koło kwestyi robotniczej.

Nędza jest dalej często wprost czynnikiem demoralizacyi. Z niemałą hipokryzyą mówiono wprawdzie nieraz, że ani szczęście człowieka, ani wartość jego duszy nie zależy od posiadanych zasobów materyalnych, że wielka cnota i w nędznej chacie, o suchym chlebie żyć może, ale w wywodzie tym w każdym razie nie stwierdzono, że bieda jest źródłem cnoty, ani że te jednostki byłyby mniej cnotliwe, gdyby nie zaznały biedy. I dodać zaraz trzeba, że gdyby tylko brak pieniędzy był zaporą ich hulanki i t. p., to tego stanu duszy cnotą nazwać nie można, bo nią jest tylko świadome własnowolne nieczynienie złego a czynienie dobrze, przymusowe zaś powstrzymanie się od złego, powstrzymanie się od kradzieży, bo żandarm patrzy, lub od picia, gdy niema za co kupić a nie dadzą na bórg, nie jest ani objawem ani czynnikiem moralności. A jeżeliby wskazywać chciano na różne gorszące objawy używania fortuny, chcąc tem stwierdzić demoralizujący wpływ materyalnych zasobów, zwłaszcza nabytych bez pracy, to nie negując tego, owszem stwierdzając, że sama poprawa materyalnego bytu jeszcze nie umoralnia człowieka, należy z drugiej strony wskazać na liczne wypadki kradzieży, defraudy, nawet rozpicia się czy innego upadku moralnego, gdzie bieda była jednym z powodów złego. Kto poznał warunki życia w biedzie i nędzy, ten nie będzie deklamował o niezależności moralności od zasobów, ten wie, że gdzie bieda natłoczy w jednej izbie różne żywioły, połączone tylko głodem, narażone na cudzy brud, tam w tych warunkach deprawacya łatwo szerzyć się może. Biedny nie ma nieraz na to, aby straciwszy zarobek na miejscu, pojechał gdzieś na pracę, i stąd przez biedę szerzy się i lenistwo, przytępienie woli i rozumu. A znów gdzie jedynie natężająca nieustanna praca i troska zapewnia minimum egzystencyi, gdzie walka o byt

wyczerpuje wszelkie siły, cały czas zabiera, absorbuje myśl, tam niema pola dla krzewienia etycznych wyobrażeń, łatwo zagnieździ się przygnębienie, zazdrość i zawiść, tam zabraknie i możności i chęci lepszego intelektualnego i moralnego wyposażenia dzieci na życie. A gdy natężona uczciwa praca lub chęć do pracy nie zapewni warunków egzystencyi, wtedy może silna wystąpić pokusa posłużenia się i środkami nabycia nielegalnymi, żebractwo, włęczęgostwo, kradzież, rozbój nawet mogą się szerzyć.

Rozszerzające się ubóstwo jest dalej niebezpiecznem wprost politycznie. Niewolnicy w starożytności nie mieli żadnych praw, ale dziś nawet bez powszechnego prawa wyborczego mają masy ludowe prawa polityczne (zgromadzeń, petycyi, prasy i t. d.) przez to mają i wpływ. Im one mniej kulturne i moralne, tem ryzykowniejszym może być ten wpływ, tem więcej stać się mogą ślepem narzędziem demagogii czy cesaryzmu, tem więcej motłoch zaważyć może na szali losów społeczeństwa, zniszczyć przez swą nieświadomość warunki rozwoju. Wynędzniałe tłumy nie rozumieją argumentów, rozumią tylko hasła jaskrawe, przygniecone niedolą przewrotu pragną, nie chcą czekać na rozwój, i stąd stać się mogą nieszczęściem własnem i kraju.

Potrzebna dla dźwigania kultury i bodźca pracy pewna różnica położenia, potrzebne istnienie warstw o znaczniejszym dochodzie rocznym nie wymaga bynajmniej, aby istniały koła pogrążone w nędzy. Nie to jest złem, że są bogaci, ale złem jest, że jest nędza. Niegdyś mała wytwórczość pracy gospodarczej warunkowała powstanie wyższych dochodów bezwzględną szczupłością indywidualnego udziału w dochodzie społecznym warstw licznych. Postęp techniki i ekonomiki produkcyi, wzrost wytwórczości pracy podniosły łączny dochód społeczny, w każdym kraju majątek użytkowy wynosi dziś znacznie więcej niż dawniej, i łączna coroczna suma produkowanych dóbr — ilość zboża, mięsa, mleka i t. d. — jest znacznie wyższą, niż dawniej, stąd jest faktycznie możebnem bez redukcyi wyższych dochodów wzrastanie indywidualnych udziałów w dochodzie społecznym, a skoro jest możebnem, to jest i pożądanem.

Na wynik ten nie wszyscy się godzą. Nie braknie ludzi, co

całą kwestyę bytu uważają wyłącznie za dziedzinę pracy i troski indywidualnej, za problemat indywidualny, nie społeczny, chcą wszystko rozwiązać programem samopomocy. Mylne to stanowisko. Społecznie ujemne następstwa nędzy, postępu ubożenia z jednej, aglomeracyi fortun z drugiej strony, czynią to społecznem zagadnieniem.

I mylnem stanowisko patrzące na ubóstwo i nędzę jako na wynik winy: jest i nędza z winy, ale zawiniona jest tylko tam, gdzie lenistwo, nieuczciwość, wybryki użycia (pijaństwo!) są jej powodem: ale gdzie choroba czy kalectwo ją powodują, czy tam można mówić o winie? A choroba i kalectwo nie wyczerpują niezawinionych powodów biedy. Bo nie jest winą brak majątku odziedziczonego, nie jest winą brak fachowego wykształcenia, nie jest winą często i brak zarobku, utrata przez robotnika miejsca i chleba, gdy zamykają fabryki, redukują pracę lub płacę, gdy skutkiem wyuzdanej konkurencyi mnożą się bankructwa, przesilenia, nieregularność produkcyi i zatrudnienia robotników. A w wypadkach, gdzie lichwa, podstęp, oszustwo czy gwałt prosty zrujnowały ekonomicznie liczne jednostki, nędzarzy z nich uczyniły, gdy tam mówimy o winie, to trudno jej szukać po stronie pokrzywdzonych, po stronie biednych: w transakcyach tych jest wina, lecz po przeciwnej stronie, po tej stronie, co krzywdzi, przywłaszcza sobie innych zasoby. I stąd wygodnym zarzutem winy nie można usuwać zagadnienia ograniczenia ubóstwa i nędzy.

Mylnem wreszcie i przypuszczenie, że udział każdego w dochodzie społecznym robi się sam z siebie, podług niezmiennych praw naturalnych, że wszelka świadoma ingerencya społeczna byłaby sztuczną, nieskuteczną, bezprawną, nawet szkodliwą. Oponenci ci przeoczają, że wszystkie instytucye społeczne są historycznym produktem, tak i rozdział dochodu odbywa się w ramach historycznie wytworzonej organizacyi prawnej i gospodarczej. Społeczeństwa nigdy nie uznawały wszystkich sposobów nabycia za uprawnione, wszystkich umów za ważne; zakazały kradzieży, lichwy, rozboju zakazały liczne formy oszustwa w obrocie towarów i w kontrakcie pracy. Jest to dowolnym optymizmem twierdzić, że obowiązujące prawo jest dostateczną »naturalną« organi-

zacyą, że niema potrzeby i warunków dla dalszego rozwoju prawa. Zmieniające się stosunki gospodarcze domagają się i rozwoju norm prawnych, czujnej baczności, czy nie potrzeba uzupełnienia ich, obostrzenia, a jakkolwiek stwierdzić można w ciągu XIX w. postęp produkcyi i postęp udziału w jej rezultatach warstw pracujących, jakkolwiek można stwierdzać podniesienie się stopnia zaspokojenia potrzeb, poprawę ludzkich warunków bytu wśród warstw najmniej zamożnych, a więc fakta rozszerzającego się dobrobytu, to nie braknie i faktów przeciwnych, szybkiej koncentracyi fortun ogromnych, likwidacyi warstw średnich (rzemiosło, średnia własność rolna), a przez to nie można optymistycznie uchylać kwestyi zapobieżenia nędzy przez zapewnienie lepszego rozdziału dochodu społecznego samem przekonaniem i nadzieją, że rozdział jest dobry i idzie ku lepszemu.

Społeczna doniosłość rozdziału dochodu i majątku społecznego, istniejących różnic zamożności i zmian w tych różnicach, wywołała też oddawna zagadnienie dla nauki i życia, jak należyty udział i rozdział zapewnić i utrzymać. Poruszał już tę myśl Aristoteles, uznając za słuszną podstawę indywidualnego udziału godność, ἀξία, stwierdzając zarazem, że różni różnie tę godność pojmują. I te różnice zasadniczego stanowiska co do podstaw udziału przetrwały do dziś. W odnośnych teoryach można odróżnić przedewszystkiem dwa skrajnie sobie przeciwne kierunki: indyw dualistyczny i autorytatywny. Indywidualistyczny uważa problem rozdziału mienia i dochodu za proces prywatno-gospodarczy, nie uznaje nietylko obowiązku, ale nawet prawa czynnej interwencyi w ten proces ze strony organizacyi publicznej, a akceptując prawo własności jako *ius utendi et abutendi,* wolność umowy nieograniczoną jako aksiomat, żąda tylko rękojmi prawnych nienaruszenia własności, dotrzymania umowy. Udział indywidualny na podstawie zyskanej targowej ceny uważa za jedynie sprawiedliwą i jedynie pożyteczną organizacyę, faktyczny stan prawny za dobry i nienaruszalny.

Kierunki autorytatywne przeciwnie negują możność sprawiedliwości, pożytku, dobrobytu przy rozdziale dochodu podług prywatno gospodarczych zasad, uważają stąd za konieczną zu-

pełną przemianę organizacyi gospodarczej, a więc uspołecznienie t. j. upaństwowienie środków produkcyi, lub nawet i środków konsumcyi.

Ocena różnych tych kierunków winna pamiętać, że nie sam rozdział celem, stąd też niedostateczne i błędne są wszystkie projekta, co wyłącznie dbają o rozdział, jego sprawiedliwość lub jego społeczną pożyteczność, zapewniającą maksimum utylizacyi dóbr, przejście dóbr w ręce, gdzie najwyższy pożytek przyniosą. Jak przy każdym projekcie czynnego działania tak i tu pamiętać należy o zasadzie Hippokratesa: przedewszystkiem nie zaszkodzić. Projekta reformy rozdziału dochodu społecznego mogą też być uznane za dobre tylko o ile 1) nie obniżą produkcyi, 2) nie zmniejszą liczby ludzi mogących żyć, 3) nie zaprzepaszczą innych dóbr społecznych, niegospodarczego porządku, jak wolność, kultura.

Uzasadnienie tych postulatów jest jasnem, bo nie o to chodzi, aby podział był równiejszym, ale by byt ludzi był lepszym, a polepszenie nie powinno dokonać się ani przymusową redukcyą wzrostu liczby społeczeństwa — co łatwo może być stratą narodową i moralną — ani kosztem dóbr ogólno ludzkich, choć nie ekonomicznych.

Wymogom tym nie czyni zadosyć przymusowy autorytatywny rozdział dochodu społecznego, oparty o przymusową, autorytatywną organizacyę produkcyi (socyalizm, komunizm). Autorytatywna produkcya musi być prowadzoną podług ścisłych przepisów, szablonu, z którego łatwo wytwarza się ciasna rutyna, wroga wszelkiemu postępowi. Przesadą było twierdzenie, że państwo wszędzie i zawsze gorzej i drożej gospodaruje, niż prywatni, owszem są gałęzie — n. p. kolej, lasy, kopalnie węgla — gdzie wielka publiczna administracya wyższą się okazała, ale są i gałęzie dużo liczniejsze, gdzie jedynie rzutkość i swoboda indywidualna poręcza dobry rezultat; objęcie przeto wszystkich gałęzi produkcyi przez państwo musiałoby wywołać zniżkę produkcyi, zmniejszyć dochód społeczny. A ta ogólna państwowa produkcya jest podstawą niezbędną ściśle autorytatywnego rozdziału dochodu. Sam fakt dalej, że producent nie rozporządzałby rezultatem swej produkcyi, że jego wynagrodzenie za udział

w produkcyi zależałoby od dowolnych z góry postawionych norm rozdziału, które, mając uchylić dzisiejsze niedostatki i nierówności, musiałyby choć w pewnej mierze wyznaczać udział podług potrzeb, nie podług pracy, ani jej rezultatu, prowadziłby niewątpliwie do osłabienia pilności i gorliwości w pracy, które najłatwiej pobudzić skutecznie przez bezpośrednie zainteresowanie, najłatwiej osłabić przez zerwanie związku między jakością pracy i jej rezultatu a wynagrodzeniem. Równie ujemnie musiałoby oddziałać odebranie wolności wyboru pracy, jej miejsca i rodzaju, a to nieuniknione przymusowe przydzielanie ludziom pewnych prac nie obyłoby się bez pomyłek, bez nieodpowiedniego przeznaczania ludzi, co musiałoby zaszkodzić i produkcyi i kulturze. Istnieje i dziś dla szerokich warstw przymus pracy, bo zarobek z pracy podstawą ich bytu, ale miejsce i rodzaj pracy są w legalnej decyzyi jednostek, przymusowa organizacya produkcyi uczyniłaby przymus bezwzględny ogólnym, przemieniłaby ludzi w niewolników, robiących nie to, co chcą, lecz co im nakazano. Już ten sam przymus, niewola, jest instytucyą sprzeczną z idealnymi interesami ludzkości, a byłby on szkodliwym i dla materyalnych interesów. Stąd też, wobec ujemnych dwustronnie skutków tej przymusowej organizacyi nie można na nią jako na program się godzić, a nie godząc się, nie potrzeba już rozważać przedwstępnej kwestyi prawnej: wywłaszczania prywatnego kapitału.

Ale i skrajnie indywidualistyczny program jest błędem. Twierdzenie, że cena targowa przyznaje każdemu udział w dochodzie społecznym na podstawie i w miarę wytworzonej przez niego wartości społecznej (przyczynienia się do produkcyi lub zaspokojenia potrzeb producentów) opiera się na hipotezie wolnej zupełnie konkurencyi, współzawodnictwa równych sił, intelektualnych, materyalnych, etycznych. O ile to zachodzi, to można się godzić i na twierdzenie wynikowe optymistyczne, bo istotnie ta organizacya poręcza najwyższą staranność każdego, aby możliwie najwyższą wartość społeczną wytworzył, t. j. przyniósł najwyższą korzyść społeczną. Ale hipoteza ta wolnej konkurencyi, równych sił, nie zawsze zachodzi w życiu; nieraz powstają faktyczne monopole,

powstają organizacye o monopolistycznych tendencyach (kartele, trusty!), zachodzą przymusowe położenia, wytwarzające możność a stąd często i fakt wyzysku. Czy każdy zyskuje zawsze naprawdę słuszną cenę za swój towar i słuszną płacę za swą pracę? Każdą cenę możemy wytłumaczyć, zrozumieć, ale nie każdą możemy uznać za słuszną. Przy spotkaniu się różnych sił często wynik obrotu będzie zbyt jednostronnie korzystnym, zwłaszcza gdy strona silniejsza, hołdując teoryi egoizmu, wyłącznie własnym zyskiem pieniężnym kierować się będzie; zysk jej staje się wtedy wyzyskiem. W teoryi wartości dóbr uzupełniających się, zarówno jak w teoryi wartości opartej na krańcowym pożytku słusznie zwrócono na to uwagę, że poszczególny robotnik jest czynnikiem dającym się każdej chwili dowolnie zastąpić, przez co nie partycypuje w zwyżce wartości grupy; poszczególny robotnik przedstawia zawsze tylko krańcowy pożytek, stąd płaca, izolowanie występujących robotników może spadać niesłusznie aż na poziom krańcowego, t. j. minimalnego pożytku, a tak zniżyćby się nie mogła, gdyby wystąpili w połączeniu i jako »cały zasób«, obejmujący przeto i dużo wyższe pożytki, stanęli do umowy. Ponieważ więc hipoteza swobodnego współzawodnictwa równych sił nie zawsze istnieje rzeczywiście, a gdzie nie istnieje tam ściśle indywidualistyczny tylko obrót prowadzić może do niesłusznego zawłaszczania znacznych części dochodu społecznego przez silniejszych, nadając przez to zły, koncentracyjny kierunek dla majątku w społeczeństwie, redukujący udziały słabszych w dochodzie społecznym, przeto sama indywidualistyczna organizacya jest niedostateczną, domaga się wszędzie tam, gdzie nie zachodzi jej podstawowa hipoteza, pewnego ograniczenia i modyfikacyi przez obyczaj i prawo. Nie uchylamy ją, lecz uzupełniamy. I życie stwierdza i tę lukę i tę konieczność, wytwarzając *praeter* lub nawet *contra legem* różne nowe, nieindywidualistyczne niemniej wybitnie egoistyczne, klasowe organizacye.

Historyczny rozwój stosunków gospodarczych nie poszedł za żadnym z powyższych skrajnych kierunków, bo każdy z nich ma pewne ważne zalety, lecz i pewne niedostatki, ale przedstawia kombinacyę zasad rozdziału dochodu; obok prywatno gospo-

darczej zasady działania wyłącznie podług swego interesu przy umowie o cenę, procent czy płacę i skierowanego do najwyższej materyalnej korzyści, mamy działanie dobrowolne prywatne, podyktowane nietylko interesem, lecz i poczuciem słuszności, które nie zrzekając się zysku, jednak nie dochodzi do wyzysku, pomne, że »zatrzymanie zapłaty« uznała etyka chrześciańska za grzech wołający o pomstę do Boga, że ta etyka uznawała robotnika godnym zapłaty swojej, zdążała do »słusznej ceny«, nie każdą cenę wynikającą z przypadkowej konjunktury uważała za słuszną. Gdy pożar zniszczy znaczną część jakiego miasta, mogą właściciele domów podnieść czynsz za mieszkania w domach ocalonych, ale czy to będzie słusznem, czy nieszczęście bliźnich jest słuszną okazyą robienia »interesu«? I prywatno gospodarcze działanie uznać winno, że najwyższy zysk nie jest najwyższem prawem postępowania, a rzeczą to obyczaju i opinii społecznej wytknąć tu słuszne granice. Prawo może tylko postawić granice ścisłe, co wolno prawnie bezkarnie, a czego nie wolno uczynić, ale brak sankcyi karnej nie jest legitymacyą czynów, nie przemienia ich w czyny słuszne; poza prawem ma obyczaj postawić granice, co się godzi, a co się nie godzi czynić, i dopiero gdy obyczaj okaże się za słabym, aby powstrzymać niegodziwe czyny, przełamania zasady słuszności, wtedy rozszerzyć się musi prawo z swym zakazem i karą. A indywidualne działanie, szanujące zasady słuszności, może skutecznie ulepszyć rozdział dochodu społecznego w porównaniu do rezultatu, jakiby płynął z bezwzględnego egoizmu jako najwyższej zasady.

Dalej może wpływać dodatnio assocyacya, uchylająca słabość jednostek z ich odosobnienia wynikającą, zyskująca przez to dla nich korzystniejsze warunki w obrocie. Zdoła ona poprawić zarówno warunki bytu gospodarstwa zarobkowego (spółki kredytowe, ubezpieczeń, zakupu), jak gospodarstwa domowego stowarzyszonych (spółki konsumpcyjne, budowy mieszkań). Ale assocyacya, będąc bronią podźwignięcia, może też stawać się bronią ucisku (trusty!), wytwarzając świadomie monopol, pogarszając wprost stosunki rozdziału dochodu przez wyzysk swej przewagi.

I stąd nad rozwojem i zakresem assocyacyi winno czuwać społeczeństwo w całej swej polityce ekonomicznej.

Poza assocyacyą prywatno-gospodarczą, mającą na celu poprawę bytu swych członków, wzrost ich udziałów w dochodzie społecznym, spotykamy assocyacye karytatywne, tak samo jak indywidualne karytatywne działanie, oraz fundacye, które przeznaczają zasoby swe dla czynienia dobrze na rzecz drugich. Od prostej jałmużny poprzez domy przytułku, ochronki, szpitale, biblioteki czy łaźnie ludowe, tanie kuchnie, tanie mieszkania, stypendya i bursy, aż do fundacyi premiujących wielkie dz ela nauki czy sztuki, spotykamy objawy karytatywnego działania, zaspakajającego pewne potrzeby bliźnich sposobem darmym, poprawiającego przeto warunki ich bytu. I to jest ważna akcya zmieniająca rozdział społecznego dochodu. Dla dodatniej skuteczności jednak potrzebnem tu świadome działanie, aby jałmużna nie stawała się przyczyną żebractwa, stypendya drogą mnożenia proletaryatu inteligencyi, aby wsparcie służyło do podniesienia istotnego wspieranych, aby je otrzymywali ci, co na nie zasługują. Zasadnicza jednak opozycya przeciw karytatywnemu działaniu nie jest słuszną; zorganizować je tylko trzeba, nie usunąć. A działanie to karytatywne, obejmując tak ulgę nędzy, jak opiekę nad wychowaniem i wykształceniem dzieci biednych rodzin, tak budowę zdrowych i tanich mieszkań, jak dostarczenie pracy i godziwej rozrywki, dając nietylko grosz, ale dając swe osobiste usługi, ożywione duchem miłości bliźniego, może i pod gospodarczym i pod kulturnym względem przynieść dodatnie rezultaty, podnieść moralnie i tych, co korzystają z karytatywnej pomocy, jak i tych, co ją udzielają.

Wreszcie ma i mieć powinno wpływ na rozdział dochodu społecznego działanie autorytatywne, działanie władzy publicznej. Wyżej już zaznaczono powody przemawiające przeciw wyłącznemu zapanowaniu autorytatywnego systemu rozdziału, tu więc stwierdzamy tylko najpierw, że państwo zawsze ma wływ na rozdział dochodu, dalej podniesiemy ogólnie w jakich kierunkach wpływ ten zaznaczyć się powinien. Pozytywny wpływ na rozdział dochodu mają czynniki autorytatywne przedewszystkiem

przez gospodarstwo publiczne, a więc własność i przedsiębiorstwa skarbowe, podatki, pożyczki publiczne, politykę pensyjną, system czynienia wydatków (dopuszczanie do dostaw tylko wielkich liwerantów czy także lub wyłącznie drobnych producentów); dalej występuje ten wpływ przez ustawy, stawiające granice dla dozwolonych sposobów nabycia, umów, oraz kontrolę nad obrotem. Zwłaszcza normy prawa spadkowego, ograniczenie wolności testowania, wielkość legitymy, rozstrzygają w znacznej mierze o przemianach w rozdziale mienia i dochodu. Faktyczny ten wpływ państwa winien przedewszystkiem liczyć się z tem, aby nie pogarszać rozdziału zamożności n. p. przez zły, jednostronnie tylko pewne warstwy czy zawody gospodarcze obciążający system podatkowy.

Co do pozytywnych zadań wpływu na rozdział dochodu, to nie może być programem autorytatywna dowolność, zabierająca jednym, aby drugim darmo udzielać zabrane zasoby, coby i pod względem prawnym i ekonomicznym musiało zgubne wywołać następstwa, ale niemniej są tu zadania tak uzdrowienia obrotu i rozdziału, jak użycia zasobów publicznych celem nie indywidualnych darowizn, lecz wytworzenia społecznie pożądanych warunków bytu. Zadania te istnieją we wszystkich dziedzinach polityki ekonomicznej; ochrona wynalazków i firm, kolonizacya czy ubezpieczenia, cła i premie mają ten wpływ. Z przelicznych tych zadań i dróg wspomnimy tu tylko kilka zasadniczych kierunków. A więc przedewszystkiem prewencyjne ograniczenie niemoralnych sposobów nabycia, walka z lichwą, oszustwem w każdej formie (truck system!), a łącznie z tem procedura sądowa umożliwiająca i słabym dochodzenie swych praw, poręczająca obronę rzetelności i prawa, oraz kontrola dozorująca zastósowanie się do norm umownych czy prawnych. Zbliżone do tego zadania są kroki podjęte celem ograniczenia darmych, aleatorycznych sposobów nabycia (loterya, żebractwo), opodatkowanie wygranych, darowizn, spadków, oraz kontrola obrotu, tak przez urzędowe stwierdzanie i ogłaszanie cen (kursa giełdowe), jak normowanie taks i taryf, gdzie wybitnie występuje przewaga jednej strony

(koleje); do instytucyj tych zaliczyć też trzeba publiczne biura pośrednictwa pracy.

Także przez działanie w ogólno humanitarnym kierunku, gdzie często spotykamy akcyę karytatywną, może akcya autorytatywna wpływać na zmianę rozdziału dochodu lub jego skutki, podnosząc zdolność do pracy i dostarczając korzyści, na które własny szczupły dochód kół ubogich sam przez się nie starczy. Należy tu cała akcya policyi sanitarnej, szkoły ludowe i zawodowe, wykłady wędrowne, biblioteki i wydawnictwa publiczne, ogrody publiczne i t. p.

Jako osobne zagadnienie występuje kwestya ubogich, t. j. niezdolnych trwale czy czasowo zapewnić sobie egzystencyi, bez pomocy cudzej wskazanych na zagładę. Może tu zachodzić zupełny brak środków lub niedostateczność środków, a powodem znów może być albo niezdolność do pracy, albo niemożność znalezienia pracy, oba wypadki, gdzie nie można mówić o winie ubogiego, lub też ubóstwo z winy, przez lenistwo, niechęć do pracy, marnowanie zarobku, nieuczciwość. Szczegóły przeprowadzenia opieki nad ubogimi należą do nauki administracyi; ze stanowiska polityki ekonomicznej podnosimy mianowicie, że uznając obowiązek pomocy publicznej celem zapewnienia egzystencyi, przeszkodzenia śmierci z głodu, należy przytem pamiętać, aby nie osłabiać koniecznego bodźca do pracy, nie protegować ani lenistwa, ani też obniżki zarobku pracy zawisłej, jak to niegdyś wywołała w częściach Anglii nieopatrzna ustawa, przyznająca wsparcie każdemu niemającemu ustawowo minimalnego zarobku. Gdzie zachodzi wina, tam pomoc materyalna winna być połączona z karą, z pracą przymusową; gdzie niema winy, a jest zdolność do pracy i tam pomoc winna sposobem udzielenia i wysokością stawać się bodźcem do starań o szybkie stanięcie o własnych siłach; mniej twarde warunki udzielenia pomocy można stawiać i przyznać w razie niezdolności do pracy, na które to wypadki zresztą w znacznej mierze winny znaleźć się fundusze przez ubezpieczenia przymusowe na wypadek choroby, kalectwa i starości.

W związku z pomocą dla niezatrudnionej pracy poruszano

ogólne prawo do pracy i minimum płacy. Jakkolwiek liczne powody można przytaczać przemawiające za prawem do pracy, niemniej jednak trudności zrealizowania przy dzisiejszym ustroju gospodarczym są tak wielkie, że nie można go uznać za wskazane. Czy zgłaszającym się mianoby przyznać pracę jakąkolwiek, czy też pracę odpowiadającą ich zawodowej kwalifikacyi? W pierwszym razie zachodziłoby marnotrawne, bo nieodpowiednie zużywanie sił, pracowanie kosztowne, bo niekwalifikowanymi robotnikami — a i na kopanie rowu trzeba wprawy technicznej i pewnej siły fizycznej — w razie zaś przyznawania pracy podług zdolności dochodziłoby się do nadmiernego rozszerzania produkcyi publicznej, która nie we wszystkich gałęziach produkcyi jest odpowiednią i rentującą się. Liczne skargi na konkurencyę pracy więźniów powiększyłyby się jeszcze słusznie skargami na pracę najróżniejszych zakładów państwowych, częstokroć pracujących deficytem, pokrywanym z kieszeni i tych, którym właśnie konkurencya tych zakładów byt utrudni i zmniejszy zarobek. A dla zasadniczej przemiany całej organizacyi gospodarczej jest postulat prawa do pracy niedostatecznym argumentem.

Postulat znów minimum płacy przeocza, że płaca jest warunkowaną bynajmniej nie przez czas i jakość pracy, lecz przez wartość produktu pracy; przedsiębiorca niemający szansy, że za produkt otrzyma cenę pokrywającą i koszt pracy i inne koszta produkcyi, nie weźmie się do produkcyi, nie zażąda pracy od robotnika, i stąd oznaczenie samo minimum płacy mogłoby, ograniczając popyt na pracę tak samo jak redukując płacę wyższą niż minimalną, wprost szkodliwie oddziałać na byt robotników, pogorszyć stosunki rodziału dochodu społecznego.

Istnieje społeczne zagadnienie rozdziału społecznego dochodu, rozszerzenia dobrobytu przez wzrastający udział warstw pracy. Ale zagadnienie to nieda się przeprowadzić pomyślnie proklamowaniem jedynej wyłącznej zasady, ani narzuceniem jedynego wyłącznego systemu, ani da się wogóle rozwiązać, gdyby tylko rozdział dochodu jako zagadnienie, jako warunek dobrobytu uważano. Zwłaszcza u nas problemat rozdziału tem jest trudniejszym, że przeciętna wydajność pracy jest za małą; gdyby

u nas z każdej morgi zbierano o korzec do dwóch korcy więcej zboża, a zbierają i o więcej nawet jeszcze w innych krajach, i fałszywem jest chcieć całą tę różnicę klimatem tłomaczyć, to i dochód przedsiębiorcy i płaca robotnika mogłyby być wyższe. Wina tej małej wydajności pracy leży poczęści po stronie robotników, poczęści w przedwczesnem rozszerzaniu wywodów o niedostateczności płacy zanim przyuczono do dostatecznej pracy, ale po części i w złem urządzeniu warunków płacy, nie troszczących się w swem ustopniowaniu o przyznanie wyższego dochodu dla wydatniejszej pracy, normujących płacę podług przeciętnej miernoty. A ten brak wydajności pracy i ten brak warunków zdolnych wyższą zapłatą zachęcić do wydajniejszej pracy, odnosi się u nas nietylko do rolnictwa. Stąd też nabiera jako środek poprawy rozdziału dochodu społecznego pierwszorzędnego znaczenia zapewnienie lepszej wydajniejszej pracy przez odpowiednie, zachęcające urządzenie warunków płacy. Za lepszą pracę zdoła nasz pracodawca płacić więcej niż obecnie, podczas gdy za mała przeciętna wydajność pracy robotników u nas czyni nas w wielu gałęziach niezdolnymi do konkurencyi pomimo nizkiej płacy. Przeciętnie niestety za mało i za źle pracujemy.

U ż y c i e d o c h o d u. I dostatecznie wielka produkcya krajowa, i dostatecznie wielki udział indywidualny w dochodzie społecznym nie zapewnią jednostce dobrobytu, jeżeli ona nie będzie umiała dobrze użyć swego dochodu. A dobrem użycie to będzie wtedy, jeżeli dany dochód najwyższy pożytek jednostce przyniesie, stanie się dla niej podstawą bytu samodzielnego, obywającego się bez darmej pomocy innych, i w teraźniejszości i na przyszłość. Stąd też używanie dochodu nie powinno odbywać się dorywczo i dowolnie, lecz winno dokonywać się w myśl zasad gospodarności i systematyczności. Gospodarność to jest skuteczne dążenie osiągania najwyższych możliwie rezultatów najmniejszym nakładem, a sprzecznem z nią jest złe użycie dóbr, osiąganie z nich mniejszego pożytku, niżby przynieść mogły — n. p. zużycie na opał drzewa budulcowego — również jak niedbalstwo, niszczące dobra, zaprzepaszczające przedwcześnie ich użyteczność (niszczenie ubrań, naczyń, ogień, brud powodujący choroby). Nie-

gospodarne to użycie dóbr może pochodzić z błędów woli — lekkomyślność, marnotrawstwo, lenistwo — ale może też pochodzić z błędów wiedzy, nierozumienia jak z pewnych dóbr najwyższy osiągnąć pożytek. Stąd też tak jak wiedza o dobrem użyciu dóbr (n. p. odpowiednia konstrukcya pieców, aby wyzyskać całą wartość opałową) jest warunkiem racyonalnej produkcyi, tak jest ona potrzebną i dla gospodarnej, największy pożytek przynoszącej, konsumcyi osobistej. Rozszerzenie wiedzy n. p. o pożywności różnych pokarmów, ich sposobie taniej a zdrowej przyprawy, o szkodliwości niektórych konsumcyi (alkohol, tytoń!) jest rzeczą ogólnie doniosłą, zwłaszcza dla warstw robotniczych, wogóle mniej zamożnych, które najbardziej z groszem liczyć się muszą, stąd i wiedzieć najbardziej potrzebują, jak można najlepiej użyć grosza. Wytworzenie możności nauki dobrej gospodarstwa domowego, rozszerzenie elementarnych wiadomości o hygienie, pożywności, szkodliwości różnych artykułów, o dobrem używaniu materyałów, ma też wprost społecznie wielką doniosłość, wpłynąć może skutecznie na zdrowie i byt warstw szerokich, bo ułatwia tym samym dochodem lepsze zaspokojenie potrzeb.

Zasada systematyczności wymaga, aby różne rodzaje potrzeb równorzędnie były zaspokojone. Człowiek musi jeść i ubrać się i mieszkać, ogrzać i oświetlić mieszkanie, a oprócz tych potrzeb fizycznych istnieją i domagają się zaspokojenia potrzeby kulturne, i książka i rozrywka godziwa, a prócz tych potrzeb indywidualnych istnieją potrzeby i obowiązki rodzinne, zwłaszcza obowiązek troski o życie, zdrowie, wychowanie i wykształcenie własnych dzieci. A każdy ojciec ma obowiązek dzieci przynajmniej tam doprowadzić, gdzie sam doszedł; rzemieślnik spełnił obowiązek, gdy dzieci na rzemieślników wychował, wyżej doprowadzić niema obowiązku, pozostawić ich natomiast niżej byłoby grzesznem zaniedbaniem. Wszystkie te potrzeby fizyczne i kulturne, własne i rodzinne, konkurują o zaspokojenie i winny być proporcyonalnie zaspokojone.

Systematyczność domaga się dalej uwzględnienia trwałości potrzeb, pamiętania, że dochód ma starczyć na pewien okres czasu, że nie należy zbytkować z początkiem miesiąca, aby na-

stępnie głodować czy żyć na kredyt pod koniec miesiąca czy roku.

Systematyczność każe dalej pamiętać, że życie sprowadza nieraz zachwianie normalnego budżetu rodziny przez ubytek dochodu zarówno jak niespodziewany wzrost wydatków (choroba!). A więc nie cały dochód może iść na bieżącą konsumcyę, lecz część powinna być przeznaczoną na rezerwę, bez czego każde gospodarstwo narażonem jest na popadnięcie w deficyt, a te, które faktycznie w deficyt popadną, dojdą do trwałego pogorszenia swego bytu. Prócz pokrycia bieżących potrzeb domaga się przeto systematyczność i pokrycia ryzyka życiowego, stworzenia rezerwy na czarną godzinę. Służą temu celowi ubezpieczenia i kapitalizacya. Im skromniejszymi zasoby gospodarza, im łatwiej jedno niepowodzenie: pożar, grad, choroba, może podciąć jego ekonomiczną egzystencyę, tem konieczniejszem jest ubezpieczenie; kapitalizacya zaś sama bez ubezpieczenia nadaje się tylko dla gospodarstw silniejszych, którym jednorazowy wypadek nie grozi ruiną; o ile istnieje możność oszczędzania bez zaniedbywania pokrycia uprawnionych potrzeb, a po pokryciu koniecznych ubezpieczeń, to staje się wszędzie obowiązkiem, zwłaszcza dla warstw średnich; najuboższe sfery zwykle nie mają możności odkładania grosza, ich potrzeby są często niedostatecznie zaopatrzone, ich zwyżka dochodu słuszniej często użytą będzie na lepsze zaspokojenie potrzeb: zdrowsze mieszkanie i t. d., niż na kapitalizacyę. Warstwy znów o znacznym dochodzie łącznym i znacznym dochodzie wolnym nie potrzebują żadnego wysiłku, aby kapitalizować, ona jest u nich mniej potrzebną; natomiast u warstw średnich ma być kapitalizacya i konieczną szkołą oszczędnego życia, niezjadania całego dochodu, i przyczynkiem do poprawy bytu w przyszłości i zaporą przed przyszłem deklasowaniem społecznem ich potomków. A jeżeli obserwacya życiowa wykazuje nam ujemny fakt stopniowego zaniku warstw średnich, jeżeli u nas znikają jednowioskowe dwory, stając się bądź to folwarkiem przykupionym do wielkich dóbr, bądź łupem doszczętnej parcelacyi, to obok licznych innych przyczyn i złe użycie dochodu, relatywne życie nad stan jest jego powodem. Są położenia,

gdzie wydawanie całego dochodu, nieodkładanie części jego na kapitalizacyę jest życiem nad stan. A w tem położeniu są ogółem średnie warstwy, w mieście i na wsi, w gospodarskiej chacie i w wiejskim dworze. Bez kapitalizacyi ma syn ojca, co miał majątek wartości 100.000, przy tylko 3 dzieciach 33.000, wnuk 11.000, prawnuk 3.600! Wzrost ceny ziemi może zmienić nominalną wysokość sumy, nie zmienia smutnego wyniku, że prawnuk dziedziczy tylko małą cząstkę, $^1/_{27}$! pierwotnego dziedzictwa. Dziedziczą się tak coraz mniejsze cząstki, resztki spuścizny, a dziedziczą się niezmniejszone przyzwyczajenia, wymogi i obowiązki społeczne, coraz więcej rażąco występuje dysproporcya podstaw bytu a zakresu wydatków, aż po epoce walki nad siły, mimowolnego życia nad stan, przychodzi do likwidacyi zdeklasowanych bez swej winy jednostek. A to dziedziczenie wyobrażeń i wymogów po bogatszym niegdyś ojcu czy praojcu odbywa się i w skromnych warunkach. Gospodarska córka czy wnuka przeważnie nie pójdzie »na pańskie«, choćby ojciec-gospodarz już tylko kilka marnych parcel posiadał.

Przez brak liczenia się z obowiązkiem oszczędności, obowiązkiem zostawienia po sobie więcej, niż się otrzymało, wytwarzają się u nas bardzo liczne, niestety, koła zdeklasowane, których odziedziczony, a często przykuwający do pracy i miejsca dochód jest znacznie mniejszym, niż odziedziczone potrzeby. Dysproporcya ta wytwarza trudności bytu, niezadowolenie, niemożność często podniesienia wydajności gospodarstwa, stąd konsumcya rozszerza się łatwo i na kapitał, przyspieszając ostateczną ruinę rodziny, ale to ma już i społecznie zgubne znaczenie, uboży i społeczeństwo, nietylko jednostki czy rodziny.

Dobre użycie dochodu ma w pierwszej linii znaczenie dla położenia każdej danej rodziny, jest warunkiem jej dobrobytu, ale użycie to ma pośrednio wielką społeczną doniosłość, wielki wpływ na ogólne gospodarcze stosunki. Wpływ ten występuje w licznych kierunkach. A mianowicie przedewszystkiem konsumcya krajowa decyduje o tem, jakie wytwory krajowe i w jakiej ilości znajdą w kraju zbyt, ona stanowi popyt na pracę kraju, ona przedewszystkiem decyduje o korzystnem istnieniu i rozwoju

bezpiecznym krajowej produkcyi. Poprzednio już przytoczyliśmy zdania cudze, stwierdzające, że znaczny import przemysłowy zagraniczny pozbawiał u nas za czasów Rzeczypospolitej ludność możności wzrostu przez wywóz pożywienia, brak popytu na pracę krajową. Anglia współczesna, nie mając ceł opiekuńczych, kazała każdy obcy towar zaopatrywać marką stwierdzającą zagraniczne pochodzenie — *Made in Germany!* — a przepis ten opierał się na nadziei, że samo stwierdzenie obcego pochodzenia wystarczy, aby powstrzymać jego odbyt, że rozumny patryotyzm starczy, aby na krajowym targu zbyt dla wytworów krajowej przedewszystkiem pracy zapewnić. Przykład to dla nas pouczający i zachęcający; jeżeli przepotężna Anglia dba o ochronę krajowych wytworów i w tym celu apeluje do świadomości narodowej, o ile więcej myśmy to czynić powinni, a przykład Anglii stwierdza dalej, że i bez ceł, których zaprowadzenie, wytworzenie przez to jednolitego narodowego targu zbytu, nie od nas zależy, można samą świadomością narodową skutecznie walczyć o targ krajowy. Narzędzia pracy trzeba mieć najlepsze, kupić obce, gdy w kraju niema dobrych, lecz przy artykułach osobistej konsumcyi winny bezwzględnie artykuły krajowe mieć pierwszeństwo w użyciu i popycie, a to już tylko od nas samych zależy. Jedynie ignorantyzm czy bezwzględny a krótkowidzący egoizm mogą zaprzeczać znaczeniu tego krajowego popytu na krajowy towar. Dawanie pierwszeństwa obcym wyrobom, to dawanie zarobku obcej pracy, obcemu kapitałowi, to ubożenie kraju przez nieustanny haracz na rzecz obcej pracy.

Dalszym ważnym wpływem konsumcyi na ogólne stosunki ekonomiczne, to kapitalizacya. Dla gospodarczego rozwoju społeczeństwa potrzebnem jest odnawianie, uzupełnianie, powiększanie sumy kapitału. Współdziałają w tem zadaniu gospodarstwa publiczne i gospodarstwa prywatne; kapitalizacya gospodarstw publicznych przyczynia się jednak, pomijając nawet względnie szczupły jej zakres, przeważnie tylko do wytworzenia lepszych warunków dla produkcyi, jako to stworzenia komunikacyi, samo zaś podniesienie produkcyi bezpośrednie zależy głównie od prywatnego kapitału. A prywatny ten kapitał wzrasta przez pro-

dukcyę i niezużycie na konsumpcyę całych jej rezultatów, przez oszczędzanie w indywidualnych rodzinach. Im szersze koła w społeczeństwie będą konsumcyę swą tak normować, aby corocznie coś oszczędzić, tem znaczniej wzrastać będzie kapitał społeczny, dźwigać produkcya i zamożność kraju.

Zakres i sposób konsumcyi jest wynikiem panujących wyobrażeń i obyczai, a zarazem i czynnikiem wytwarzającym je. Bezwzględna redukcya jej zakresu nie jest bynajmniej ideałem, owszem całe gospodarcze działanie jest i ma być skierowanem do pełnego zaspokojenia potrzeb, wytworzenia ludzkich warunków bytu. Stąd stopniowe w miarę zyskanych już środków podnoszenie skali wymogów, wprowadzenie pewnych wymogów kulturnych w konsumcyę, zwłaszcza warstw robotniczych, jest nawet pożądanem; bez tego grozi społeczeństwu postępujące sproletaryzowanie, błędne koło walki o byt i dobrobyt. Na stanowisku pesymistycznem takiego błędnego koła stanął Ricardo, twierdząc, że płaca robotników trwale zdąża jedynie do niezbędnego utrzymania rodziny robotniczej, gdyż każda jej zwyżka będzie zużytą przez liczne przedwczesne małżeństwa robotnicze do powiększenia liczby robotników, którzy podażą swej pracy obniżą zawsze zwyżkową tendencyę płacy. Twierdzenie to Ricarda, spiżowem prawem płacy później nazwane, może stać się prawdziwem tylko wśród materyalnego i moralnego proletaryatu; gdzie niema wyrobionej skali potrzeb, odczuwane są tylko zmysłowe potrzeby, gdzie dzieci w kilku latach już stają się środkiem zarobku, jeszcze niczego nie nauczone, tam pesymizm Ricarda może się urzeczywistnić, tam utrwalać się i mnożyć może proletaryat. Stąd też pewne stopniowe podnoszenie skali potrzeb, a przez to i podniesienie zakresu zadań i obowiązków, jest społecznie pożądanem tak przez swój wpływ cywilizacyjny na żyjące już koła, jak jako zapora przeciw lekkomyślnemu zawieraniu małżeństw, lekkomyślnej prokreacyi, bezgranicznemu mnożeniu proletaryatu.

Z drugiej strony jednak istnieje przeciwne niebezpieczeństwo, gdy przewodnim ideałem życia staje się materyalna konsumcya tylko, gdy używanie staje się celem. Wywołuje to u li-

cznych kół faktyczne życie nad stan, obniża aspiracye życiowe i poziom kulturny, obniża moralność życia zarówno w sposobach czynienia wydatków, jak zyskiwania dochodów; prostem hasłem powiększania potrzeb bez zastrzeżeń nie dźwignie się społeczeństwa, ono może wprost prowadzić do zubożenia licznych kół, całego kraju, szerząc już wpierw niezadowolenie, będące zawsze negacyą dobrobytu. Stąd też i zbytek nie może być uznanym za pożądane zjawisko. Pokutują wprawdzie do dziś powierzchowne sądy uznające za pożądany tak publiczny jak prywatny zbytek, bo wywoływa ruch ekonomiczny, daje ludziom zarobić, ale sądy to mylne. Gospodarstwa publiczne muszą wpierw w drodze danin przymusowych zebrać fundusze, zanim mogą czynić wydatki im więcej wydają, tem cięższym i niesprawiedliwszym staje się ciężar danin, ich zbytkowne wydatki grzeszą przedewszystkiem często bezcelowością, nie stanowią nigdy nowego popytu, tylko zmianę popytu, zabierają podatkami grosz wszystkim kołom, aby go potem dać zarobić swym dostawcom, przedsiębiorcom. A grosz ten pozostawiony podatnikom, nie leżałby tam martwo, bo już minęła epoka martwej tezauryzacyi, lecz służyłby do konsumcyi czy kapitalizacyi, stanowiłby inny, lecz niemniej popyt na pracę. Mogą zajść wypadki, gdzie publiczne wydatki przedstawią lepszą lokacyę narodowego grosza, niżby to indywidualne wydatki czyniły, ale to nie zawsze zachodzi, przedewszystkiem nie zachodzi nigdy przy zbytkownych wydatkach publicznych. Bywały czasy i rządy, gdzie dla przepychu stolic najróżniejsze w nich zbytkowne przedsiębrano wydatki i budowle, lokalnie wywołując wrażenie wielkiego życia gospodarczego i bogactwa, ale te lokalne fakta były okupione wyzyskiem i uciskiem całego kraju, lub pewnych kół czy prowincyi; rzetelnym czynnikiem postępu gospodarczego zbytki rządowe nigdy nie były i nie są.

Ocena zbytku przedstawia tę trudność, że jest to dwuznaczne pojęcie: zbytek objektywny oznacza wyszukaną najdroższą konsumcyę, przyczem nieraz ta drożyzna, chęć pokazania, że ma się na to, jest wyłącznym powodem konsumcyi; relatywny zbytek zachodzi tam, gdzie wydatki nie stoją w stosunku do środków, gdzie or życie z kapitału, lub zaniedbanie pokrycia

innych potrzeb powoduje. W tem znaczeniu jest on zawsze i wszędzie złym i zgubnym, a i tam, gdzie nie nadweręża budżetu gospodarza, jest zbytek powodowany jedynie drożyzną konsumcyi nieuprawnionym; jego popyt na pracę odrywa pracę z innych, nieraz ważniejszych gałęzi produkcyi, nie jest dźwignią pracy. Złą stroną zbytku jest zaraźliwe jego oddziaływanie, wytwarzanie zbytkownych zwyczai konsumcyjnych, co rozszerza często zbytek relatywny, zgubne życie nad stan, występujące wśród wszystkich warstw społecznych. Najgorszą formą zbytku jest marnotrawstwo, bezcelowe zużywanie dóbr; w życiu zachodzi i marnotrawstwo dóbr, i marnotrawstwo czasu (jarmarki!) i marnotrawstwo sił, a każda z tych form jest zgubną.

Celem powstrzymania zbytku i szkodliwej konsumcyi próbowano nieraz oddziaływać akcyą publiczną. Każdy kraj miał liczne ustawy przeciwzbytkowe, ograniczenia stroju, liczby jarmarków, częstowania i sposobu urządzania wesel czy stypy, godzin otwarcia szynku, ustawy przeciw pijaństwu, grom hazardowym; akcya ta może być popartą i opodatkowaniem, ale większa część dawnych ustaw okazała się nieodpowiednią i nieskuteczną, a przy opodatkowaniu łatwo zwycięża fiskalny punkt widzenia nad policyjno-wychowawczym. Większego znaczenia nabiera nowa akcya rozgałęziającego się przymusowego ubezpieczenia oraz ułatwień dla lokacyi i najdrobniejszych oszczędności, co jedno i drugie ma na celu ustalenie podstaw bytu szerokich warstw przez racyonalne użycie części ich dochodu.

Sama akcya publiczna nie zdoła tu jednak wielkich osiągnąć rezultatów bez poparcia ogółu społeczeństwa. Kierunek i zakres konsumcyi zależą od obyczai społecznych, a konsumcya decyduje o produkcyi, bo zarobkowo to ludzie produkują, na co korzystny znajdą zbyt. Popyt na wódkę mnoży szynki, jak popyt na farsy i pornograficzną literaturę te rozwija z ujmą poziomu teatru, sztuki, literatury, a te złe płody, mnożąc się, znów dalej szerzą demoralizacyę, niezdrową cieleśnie czy duchowo konsumcyę. Przeciwdziałać tu winno przedewszystkiem samo społeczeństwo, w pewnej mierze przez akcyę assocyacyjną (Tow. wstrzemięźliwości), dalej przedewszystkiem przez akcyę indywidualną.

Każdy gospodarz użyciem swego dochodu rozstrzyga przedewszystkiem o położeniu własnem, dalej ma on jednak wpływ popytem swym i przykładem na produkcyę i na zwyczaje konsumcyjne kraju. Dobre użycie dochodu jest warunkiem indywidualnego i społecznego dobrobytu; o użyciu dochodu rozstrzygają indywidualni gospodarze, stąd słusznie zaznaczono, że właśnie w tej dziedzinie przedewszystkiem reformę trzeba zaczynać od indywiduów, każdy ją zacząć powinien od siebie, wprowadzając gospodarność, systematyczność, poczucie obowiązków społecznych w użycie swego dochodu.

Dr. Józef Milewski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta. *Bronisław Gubrynowicz.* We Lwowie 1904.

Już w pierwszej połowie XIX wieku wielki rozrost literatury romansowej zwracał na siebie uwagę naszych krytyków. Zajmował się nim Kraszewski, który rozmyślania nad współczesnym mu romansem polskim połączył z próbą przeglądu historycznego, nie sięgając jednak dalej, jak do epoki Stanisławowskiej. Grabowski (»Literatura romansu w Polsce«) usiłował dać romansu określenie i definicyę i wytyczyć mu niejako drogę na przyszłość. Od owych chwil romans w Polsce rozszerzał się coraz więcej, a warto przypomnieć, ze warunki bytu narodowego około połowy XIX wieku bardzo temu wzrostowi sprzyjały, aż doszedł w naszych czasach do niesłychanego przedtem rozkwitu i wysokości. Ze słabych i obcych wyszedłszy początków, przerodził się z biegiem czasu w rodzaj literacki niezmiernie silny, żywotny i oryginalny. Rozrost szedł nie tylko w kierunku ilościowym, ale i jakościowym, równolegle zresztą z rozwojem romansu w innych literaturach europejskich.

Ten rozkwit musiał oczywiście zwracać na siebie coraz bardziej uwagę krytyki, która dawniej na romans patrzyła bardzo z góry, jako na mniej wartościowy dział literatury. Z krytyki bieżącej, notującej i sądzącej objawy współczesne, przeszło to zainteresowanie się romansem do historyi literatury. Chmielowski badał powieść polską z drugiej połowy XIX wieku — choć nie ograniczał się na niej wyłącznie: mówiąc o Rzewuskim, musiał przecież zająć się i Pamiętnikami

Soplicy — Tarnowski powieść z pierwszych dziesiątków tegoż wieku. Ale od badań nad znacznym już rozkwitem, historya literatury zwraca się do początków i epok dawniejszych, kiedy ten romans był jeszcze rośliną wątłą. Ptaszycki i Brückner badali romans polski wieków średnich i wieku szesnastego. Do tych zaś badań dołącza się niejako praca Gubrynowicza.

»Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta« obrał sobie chwilę w rozwoju tego romansu bardzo interesującą. Druga połowa wieku XVIII to chwila, w której ten romans przejść zamierza w swoją epokę nowszą. A takie chwile przełomowe, ze znamionami w sobie okresów obu, poprzedzającego i następującego, zawsze z wielką siłą pociągają ku sobie badaczy. Za czasów Stanisława Augusta romans w Polsce jest na drodze do romansu nowożytnego. Z drugiej zaś strony żyją w nim jeszcze Genowefy i Meluzyny, powieści średniowieczne; obok nich powieści rycerskie i dworskie z wieku XVIII. Pierwsze już wchodzą w ten okres, kiedy z lektury dla wszystkich stają się literaturą dla warstw najniższych; ale ostatecznie jeszcze i teraz czyta je wiele ludzi z warstw wyższych. Natomiast »żona modna« w satyrze Krasickiego rozmyśla »pomiędzy cyprysy nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy,« — czyli zna romanse już najnowsze. To spotkanie się w jednym czasie rzeczy, należących do najrozmaitszych epok, czyni studyum nad romansem polskim w czasach Stanisława Augusta bardzo interesującem; każe już z góry spodziewać się, że dla historyi naszej cywilizacyi znajdziemy tam rzeczy pierwszorzędnej wagi.

Praca p. Gubrynowicza mniemanie to potwierdza. Przesuwając przed naszym wzrokiem powieści tłumaczone i rodzime, wskazując wpływy, jakie oddziaływały na naszych powieściopisarzy, wyjaśniając związek naszego romansu z obcymi, zwłaszcza z francuskim i angielskim, praca ta jest przyczynkiem nietylko do historyi literatury polskiej. Jako pierwsza (na sposób dzisiejszy) o romansie tej epoki, musiała jeszcze wiele miejsca poświęcić bibliografii w tekście samym. To na barwność, na żywość opowiadania wpływa ujemnie, ale uniknąć tego chyba było niepodobna, jeżeli książka miała zachować charakter pracy źródłowej, jaki rzeczywiście ma.

Wobec prac tego rodzaju rola sprawozdawcy z natury rzeczy musi być skromna. Nie można się tu wdawać z autorem w daleko sięgające dyskusye, nie można zbyt śmiało występować z własnem odmiennem zdaniem — chyba żeby się wykonało jeszcze raz całą tę

pracę, jaką wykonał autor. Trzeba tedy poprzestać na prawdziwem sprawozdaniu, usiłować podkreślić to, co autor nowego do historyi literatury wprowadził.

»Pojęcie i definicya romansu w XVIII wieku«, to pierwszy ustęp książki. Tytuł może o tyle nieścisły, że w tekscie autor przytacza raczej sądy o romansach, nagany lub pochwały, a nie definicye i określenia, których wtedy u nas nie było i chyba jeszcze być nie mogło. Ale o to mniejsza, skoro treść jest ciekawa. Charakterystyczną jest rzeczą, jak większa cześć ówczesnych zdań o romansie brzmi dla niego nieprzychylnie, z powodu jego szkodliwego wpływu; zasada użyteczności góruje w ocenianiu dzieł literackich ponad innemi; rys to epoki Oświecenia wogóle, wzmożony na gruncie polskim, na którym ta zasada zawsze akcentowana była silnie, nawet w epoce romantyzmu, głoszącego przecież hasło sztuki dla sztuki. Pan Gubrynowicz przytacza cały szereg interesujących takich sądów; wertuje w tym celu *Monitora*, który w odrodzeniu umysłowem Polski za Stanisława Augusta tak znaczną odegrał rolę — ciekawy naprzykład wyrok na romanse (oczywiście średniowieczne a zwłaszcza późniejsze rycerskie i dworskie) za to, że odbiegają daleko od prawdy (»w liczbie niezmiernej romansów straszydła natury i ludzi, nie obrazy istotę świata i człowieka okazujące«); Krasicki gorszy się niemoralnością nowszych romansów tak, że nawet dawniejsze prędzejby znalazły łaskę u niego, — ale znów te dawniejsze, miłosno-heroiczne lub sentymentalne, są skutkiem »raczej łbów zagorzałych, niż serca rozrzewnionego« — oczywiście nie występował Krasicki przeciwko samemu rodzajowi literackiemu, skoro sam pisze Doświadczyńskiego; na temże stanowisku stają Krajewski i Jezierski, Naruszewicz i Zabłocki. Apologetą natomiast romansów dawnych, rycerskich, jest przyszły autor »Jana z Tęczyna«, ganiący równocześnie romanse nowsze. Niemcewicz widzi w romansach rycerskich obrazy pięknych dawnych czasów (już jest u niego jakby romantyczne pojmowanie wieków średnich), stąd je ceni; w nowożytnych widzi nikczemność, drobnostki, »zbujaną imaginacyę« a brak serca. Ostateczna jego konkluzya jest, że pomiędzy romansami, którymi teraz świat jest zarzucony, więcej jest szkodliwych, ale winni temu piszący, nie sam »pisma gatunek«. — Ale jeżeli krytyka ówczesna ostro się z powieścią obchodziła, to upodobanie ogółu zwracało się ku niej bardzo silnie; świadczą o tem cyfry: przeszło dwieście pozycyi w 18.000 druków polskich za Stanisława Au-

gusta zajmuje romans, liczba znaczna bardzo w literaturze pięknej [1], przewyższająca produkcyę powieściową dwóch wieków poprzednich.

»Tłumaczenia i tłumacze«. Rozdział bardzo interesujący. W historyi romansu polskiego za Stanisława Augusta zajmują tłumaczenia miejsce bardzo wybitne, przedewszystkiem ilością, następnie zaś przez to, że pokazują dowodnie, która z literatur obcych w tym zakresie największy na polską wpływ wywarła. Wiemy już skądinąd o przeważnem oddziaływaniu literatury francuskiej; studyum Gubrynowicza wiadomości te zbogaca w zakresie romansu spostrzeżeniami bardzo interesującemi. Oddziaływanie to w zakresie romansu jest niemal wyłączne. Przekłady z innych literatur dochodzą do nas jedynie drogą na Francyę. Tak przyszedł przekład »Don Kiszota«, tłumaczony (1786) nie z oryginału ale z przeróbki Le Sage'a. Tak przyszedł do nas romans angielski. Przekład Robinsona Defoego (r. 1719) pojawił się w r. 1769, z przeróbki francuskiej Feutry'ego z r. 1766. Gulliwer Swifta (r. 1726) przełożony został na polskie (r. 1784, »Podróże kapitana Gulliwera w różne kraje dalekie«) z tłumaczenia francuskiego Guyot-Desfontaines'a (1727). Richardsona znano u nas mało, nic nie tłumaczono — tłumaczenie kilku jego romansów zapowiedział tylko katalog księgarski Groella — ale jeżeli modna pani zachwycała się Pamelą, to zapewne czytała ją w przekładzie francuskim. Brak też przekładów z Goldsmitha i Sterne'a, które przyszły później. Fieldinga natomiast tłumaczono dosyć — z francuskiego: Tom Jones'a (1749) wydano w r. 1793 z przeróbki francuskiej La Place'a (1750); Józefa Andrewsa (1742) wydano w dwóch edycyach (r. 1787 »Ksiądz wikary i jego przyjaciel«, 1790 »Bombiza luterski w urzędzie wikarego«) na podstawie tłumaczenia francuskiego Desfontaines'a (1743); »Awanturę Amalii« (1751) przełożono w r. 1787 z tłumaczenia p. Riccoboni (1762); Sheridana »Miss Sydney Biddulph« (1761) dostała się do literatury polskiej (1786) według przeróbki francuskiej Robineta (1782). Tak więc gdyby nie literatura francuska, społeczeństwo polskie w drugiej połowie XVIII wieku nie byłoby się zapoznało z romansem angielskim. Ale — i to rzecz bardzo charakterystyczna — romanse te, przychodząc do nas przez Francyę, traciły w tej drodze wiele swoich właściwości rodzimych; tłumacze lub przerabiacze francuscy obchodzili się z nimi bezceremonialnie, przykrawając je do pojęć i do gustu

[1] Pan Gubrynowicz trafnie uważa, że z 18.000 druków przeszło połowa przypada na broszury polityczne i druki ulotne — kilka tysięcy na dzieła

francuskiego. Tak np. co do Robinsona: »Z wielkiego dzieła sztuki, u Feutry'ego pozostały tylko strzępy; zmieniła się idea przewodnia i cały nastrój — w mistrzowski sposób przedstawione przez Defoego zetknięcie się Europejczyka z egzotyczną przyrodą i egzotycznymi ludami, obserwacye Robinsona, jego przemyślność i wytrwałość, wszystko to zeszło do miary bajki pedagogicznej« (Gubrynowicz, str. 66). Tedy powieści angielskie stawały się francuskiemi i właściwie nie wnosiły do literatury polskiej nic ponad to, co przynosiła literatura francuska. Gdy zaś zważymy, że Don Kiszot przyszedł do nas przez Francyę; że jedyna powieść włoska, którą u nas przetłumaczono, była sama naśladownictwem Monteskiusza; że niewiele przekładów z literatury niemieckiej obracało się także w zakresie gustu i pojęć francuskich; gdy wreszcie przypatrzymy się ogromnej liczbie przekładów francuskich: wtedy tem jaśniej przedstawia się nam siła wpływu francuskiego, tem lepiej rozumiemy, że wpływ ten musiał sięgać bardzo głęboko i musiał trwać długo, — wtedy prędzej zrozumiemy francuski kierunek literatury polskiej aż do romantyzmu. Na drogę, którą ten wpływ szedł taką masą, na romans, nie zwracano dotąd więcej uwagi; tymczasem trzeba pamiętać, że jeżeli poetykę Boala studyowali tylko ludzie już więcej wykształceni, jeżeli na Rasynie lub Kornelu wzorowali się tragicy, na Boalu satyrycy, to romanse czytali wszyscy, czytali mężczyźni i czytały kobiety, — tym sposobem wytwarzała się powszechna atmosfera literacka, której podlegali i ulegali wszyscy, wytwarzał się kanon, oddziałujący swą powszechnością nawet na tych, którzyby może chcieli czasem pójść w inną stronę. Romans swą masą i rozszerzeniem się przygniatał wszystko inne.

Z francuskich romansów, tłumaczonych wtedy i wydawanych w Polsce, autor wymienia najpierw te, które były właściwie już anachronizmem. Są to dzieła Baudota de Juilly, pani Caûmont de la Force, Prechaca, Voiture'a i innych; pisane były one na wzór głośnych w swoim czasie romansów d'Urfé, Gombaulda, Gomberville'a. »W dziejach romansu za Stanisława Augusta zająć muszą wymienieni powyżej autorowie pierwsze miejsce, gdyż stanowią niejako łącznik z epoką ubiegłą; dzieł ich do kategoryi »romanii« liczyć już nie można, jednakże kolorytem i kompozycyą różnią się od tworzącego się podówczas romansu nowoczesnego« (str. 16). Nie będziemy oczy-

---

treści teologicznej i praktycznej, zostaje tedy bardzo niewiele na literaturę piękną.

wiście wymieniać ich tutaj. Ciekawe jest zestawienie chronologiczne: romanse francuskie pojawiają się przy końcu XVII wieku (niektóre i wcześniej, jak np. pisma Voiture'a) -- do Polski przychodzą po największej części w sto lat później; jeden Prechac znalazł tłumacza już w r. 1722, zresztą mamy daty: oryginał 1696, przekład 1779; 1675—1778; 1682—1774; 1688—1788 i t. d. Jest więc opóźnienie się wielkie — tak samo jak anachronizmem było wydanie »Syloreta« Potockiego w r. 1764 lub »Historyi« Drużbackiej w r. 1769. Tłumaczy się zaś to opóźnienie opóźnieniem naszem ogólnem w czasach saskich; nie było wtedy tak wielu czytelników jak później. Był też i drugi powód: w drugiej połowie XVIII wieku ukazują się wielkie wydawnictwa zbiorowe, jak np. *Bibliothèque universelle des romans* i inne, które wkrótce rozszerzyły się po całej Europie, więc i w Polsce; w tych wydawnictwach bardzo częste są przedruki dawniejszych romansów, które tym sposobem dostały się, zapewne po raz pierwszy w większej ilości, do rąk czytelników — i tłumaczów — polskich (str. 16).

Od tych autorów epoki dawnej zbliżamy się do romansu nowożytnego. Na czele stoi Telemak Fenelona (1690), w Polsce bardzo popularny: już w r. 1726 ukazuje się wierszowana przeróbka Jana Stanisława Jabłonowskiego, w r. 1750 przekład prozaiczny Trotza, następne wydania w r. 1768 i 1775 — więc poczytność dzieła znaczna, przenosząca się stąd i na inne utwory Fenelona. W latach 1704—1708 Galland wydaje książkę, która miała wywrzeć niezmiernie silny wpływ na literatury europejskie, choć może silniejszy ilościowo, niż jakościowo. Były to *Les mille et une nuits, contes arabes.* Wiadomo, że od tego dzieła poszedł ów ogromnie rozszerzony pseudooryentalizm XVIII wieku, który i w literaturze polskiej odbił się niejednokrotnie; a oryentalizm romantyczny, tak różny od swojego poprzednika klasycystycznego, jest z nim jednakże w związku ścisłym. »Tysiąc nocy i jedna. Awantury arabskie« przełożono z Gallanda w r. 1768; po pierwszem wydaniu następowały dalsze już w kilka lat potem, w całości i w wyjątkach. W ślad za Gallandem pojawiły się wkrótce rozmaite naśladownictwa.

W pierwszej połowie XVIII wieku występują twórcy romansu nowożytnego Le Sage, Marivaux, Prévost. Ich dzieła znalazły w Polsce tłumaczów Gil Blasa (1715—1735) wydano w r. 1769, Djabła Kulawego (1707) w r. 1777; Manon Lescaut (1731) wyszła po polsku w r. 1769; Marivaux tłumaczonym nie był. Dzieła te znane były naturalnie i w oryginale. Większego jednak rozszerzenia nie znalazły

(w samej Francyi nie odrazu też zostały uznane), bo ogromną popularnością cieszyły się rozmaite *Mémoires* i *Histoires secrètes*. »Z tego działu romansu francuskiego posiada literatura polska wiele tłumaczeń; objaw to charakterystyczny, stwierdzający dowodnie, iż kultura literacka w epoce Stanisławowskiej była jeszcze powierzchowna. Z licznych dzieł Prevost'a przełożono zaledwie jedno, utwory Marivaux nie zdobyły sobie łaski u tłumaczów, pisma Richardsona lub Sterne'a również pozostały nieznane, zato pojawiła się ta legia romansów sentymentalnych, roztkliwiających, ładnych nawet i zajmujących, ale świadczących o małych wymaganiach od literatury i jej płodów« (str. 36). Ten sąd autora może trochę za ostry, o tyle, że nie jest to znamię wyłączne epoki Stanisławowskiej, bo tak się dzieje właściwie zawsze, nawet w chwili największej kultury literackiej, a dzisiaj czy nie mamy podobnych objawów, i to nie wyłącznie w naszej literaturze?

W dalszym rozwoju romansu widzim *conte licencieux* (Crébillon), *conte philosophique* (Voltaire), *conte moral* (Marmontel). I te rodzaje przyszły do Polski, zwłaszcza romans »moralny«, któremu utorowały drogę chętnie czytane traktaty moralizatorskie. Tłumaczono Marmontela (1769 Belizaryusz, 1776/7 Powieści moralne, 1781 Inkasy, i t. d.), d'Arnauda, Nougareta i mniejszych, panią Genlis. W rodzaju romansu filozoficznego przyswojono literaturze polskiej między innemi »Listy perskie« Monteskiusza (1785); Voltaire'a (wspomnianego w literaturze polskiej po raz pierwszy w r. 1733) tłumaczono dużo: Zadyga (1747) cztery razy (1773, 1776, 1786 i 1790 jeszcze w w. XIX Szymanowski), Kandyda (1750) w latach 1780 i 1793, Memnona (1750) w r. 1786, i wiele innych — wpływ jego w Polsce, bałwochwalcza prawie część ówczesnej Polski dla Voltaire'a, są rzeczą znaną. Rousseau również znanym był w Polsce dobrze, wpływ jego był ogromny, sięgający bardzo głęboko — jednakże żadnego z ważniejszych jego dzieł nie tłumaczono.

Ostatnim z szeregu powieściopisarzy francuskich, których dzieła przełożono na język polski w epoce Stanisława Augusta, jest Florian, autor słodkich sielanek — jego romans »Numa Pompiliusz« został przetłumaczony przez Staszica, a przekład ten próbował przestroić w poemat młody uczeń szkoły nowogrodzkiej, Adam Mickiewicz.

Ostatecznie tedy widzimy, jak romans francuski ogromnie był w Polsce rozszerzony, przez alembik francuski przechodziły też powieści z innych literatur. Cały ten rozdział »Romansu w Polsce za

czasów Stanisława Augusta« jest zebraniem i ugrupowaniem znacznego materyału do historyi literatury polskiej w tym okresie — zaś badacz dziejów naszej kultury, jeżeli zechce pójść za tą wskazówką, może zebrać ogromną ilość ważnych i ciekawych spostrzeżeń.

* * *

Dalsze rozdziały książki p. Gubrynowicza poświęcone są rozpatrywaniu romansu już polskiego, oryginalnego. Naczelne miejsce przypada tu Krasickiemu, stąd rozdział drugi ma tytuł »Działalność powieściopisarska Ignacego Krasickiego«. Wszyscy inni znaleźli pomieszczenie w rozdziale trzecim, niewiele obszerniejszym od poprzedniego. Zewnętrznie więc już autor zaznacza tę przewagę Krasickiego, co zresztą w wielu miejscach i uzasadnia, n. p. w słowach: »Nazwisko głośne i stanowisko zaszczytne w dziejach romansu polskiego w XVIII wieku zdobył właściwie jedyny Krasicki, wszyscy inni obok niego przedstawiciele, chociaż zaskarbili dla siebie nawet pewną łaskę czytelników, poszli prędko w zapomnienie« (str. 103). Otrzymujemy tedy znowu refleks, na stanowisko w literaturze XVIII wieku rzucony, przez uwydatnienie cieni; mistrzem w romansie Krasicki nie był, ale jednak to, co stworzył w tym zakresie, było lepsze od utworów innych romansopisarzy. Dla całości literatury jednak niezbyt to pochlebne oświetlenie. »Doświadczyński« najlepszym romansem polskim w czasie, kiedy inne literatury wydały Lesage'a lub Defoego, Rousseau lub Fieldinga.

Pobudką do pisania powieści była Krasickiemu — w zasadzie dość niechętnemu tej formie — chęć służenia społeczeństwu, dążność publicystyczna; tej dążności Krasicki oddał na usługi całą swoją działalność pisarską, a w »Monitorze« znajdują się ustępy, będące zapowiedzią późniejszego Doświadczyńskiego. Materyałów do stworzenia i wykonania romansu dostarczyła mu lektura i własne obserwacye i doświadczenia (te drugie »niestety w mierze ograniczonej«, jak autor zaznacza; wiadomo, że mowa tu przedewszystkiem o tych ustępach, których treścią jest sprawa w trybunale; ale ostatecznie pierwsze lata Mikołajka możeby się także dały zaliczyć do tej kategoryi). Autor przechodząc tok akcyi romansu, podaje go równocześnie krytyce, szuka wpływów, jakie oddziaływały na Krasickiego (Le Sage i Voltaire; w utopii Nipuańskiej Fenelon, Swift i Defoe), akcentuje główną zasadę powieści (połączenie *utile cum dulci*), zwraca różnicę między bladymi ustępami konwencyonalnej utopii (pewną sprzeczność z uspo-

sobieniem Krasickiego tworzy kreślenie takiej Arkadyi, autor »Historyi« i »Podróży« z pewnością sam się nad nią uśmiechał) a świetną charakterystyką kadencyi trybunalskiej, na usunięcie fabuły powieściowej na plan dalszy, a wysunięcie na pierwszy dążności obywatelskiej (»nikt przed Krasickim nie wystąpił z taką otwartością przeciw wadom, panującym w społeczeństwie, nikt nie użył do tego ataku formy tak doskonałej«, str. 84). Wpływ Doświadczyńskiego na ówczesną powieść polską bardzo silny autor tutaj zaznacza, a w rozdziale następnym pokazuje szczegółowiej. Jak również wpływ pana Podstolego. Ta druga powieść — prawda, że daleko mniej niż Doświadczyński na powieść wyglądająca, raczej traktat moralny — różni się już od pierwszej znacznie, tem naprzykład, że żywiołu satyrycznego jest w niej bardzo mało, daleko mniej niż w »Przypadkach«, głównie zaś rozpościerają się w niej rozmaitego rodzaju uwagi, traktaty, tyrady, dysputy. Charakterystyczne jest w niej stanowisko autora: żadnych skrajności, żadnych daleko sięgających żądań, wszystko bardzo zresztą zacne i słuszne — trzyma się w tej strefie ogólnej, powszechnej, w złotym środku; moment tak wybitnie znamionujący Krasickiego. Od czasu do czasu jakiś obrazek więcej żywy okrasza zupełny prawie brak akcyi. Ogólny sąd autora o Panu Podstolim nie jest zbyt pochlebny i chyba słusznie.

Oprócz Doświadczyńskiego i Podstolego (który na ówczesną twórczość romansową polską także wywarł wpływ silny) Krasicki napisał kilkanaście mniejszych powieści, przeważnie z dekoracyą wschodnią, z nich kilka tłumaczonych lub przerobionych z języka francuskiego, co do reszty dowodu nie ma, ale wiele rzeczy za tem przemawia (str 97—98). Nie do powieści zaś zaliczać trzeba »Historyę« i »Powieść o kamienicy narożnej w Kukurowcach«; »najlepiej określić je jako broszury publicystyczne o celu dydaktycznym, przybrane w formę nibyto powieściową« (str. 98—99).

Po Krasickim idą teraz inni powieściopisarze owej epoki. Chronologicznie pierwszy Ignacy Mickiewicz z nędznym utworem p. t. »Awantura kawalera imieniem Fortunata, istotą nieszczęśliwego« (r. 1768), utworem, który, jak autor zaznacza, zasługiwałby na wspomnienie, gdyby był napisany przed Drużbacką. Dalej dzieło bezimienne »Polak w Paryżu« (1787), »zręczne i z talentem dokonane opracowanie oryginału obcego« (str. 105), satyra na młodzież, która się »poleruje« za granicą, tracąc zdrowie i majątek i cześć; ciekawe w nim uwagi literackie (o dramacie Szekspira a francuskim) autor

cytuje (str. 107—109), uwagi, które jednakże na naszą krytykę z owej epoki najmniejszego nie wywarły wrażenia. Idą dalej naśladowcy Krasickiego, postaci, które w ówczesnej historyi i w ówczesnym ruchu polityczno-reformatorskim odegrały znaczną rolę. Romanse piszą dla propagowania swoich pomysłów politycznych i społecznych, nie dla sztuki — sztuki też tam nie ma wcale. Ks. Krajewski pisze »Podolankę wychowaną w stanie natury, życie i przypadki swoje opisującą« (1784), stan natury nad cywilizowany wynoszącą, malującą korzyści takiego wychowania. Dziełko wywołało polemikę (wystąpił przeciw niemu ks. Siarczyński, potem bezimienny autor, wytykający Krajewskiemu plagiat i obniżenie oryginału), w której Krajewski odcinał się przeciwnikom »Odpisem męża Podolanki«, »Listem Podolanki do przyjaciółki« i »Dyalogiem czyli rozmową Podolanki z mężem«. W rok po Podolance ukazuje się »Wojciech Zdarzyński, życie i przypadki swoje opisujący« (1785). W fakturze niezmiernie silny wpływ Doświadczyńskiego; tak samo skreślone jest satyrycznie wychowanie bohatera, zwłaszcza szkoła (w tem różnica od Krasickiego); tak samo utopia, Arkadya na księżycu, jeszcze słabsza od Nipuańskiej; powrót odmienny trochę: Zdarzyński dostaje się do miasta Modol (Warszawy) w kraju Wabad (Polska) — opis społeczności warszawskiej; zakończenie podobnie szczęśliwe, jak w Doświadczyńskim. Pan Podstoli był wzorem dla trzeciej powieści Krajewskiego p. t. »Pani Podczaszyna«; idealny obraz idealnej niewiasty, para do idealnego mężczyzny, Podstolego. Wreszcie pisze Krajewski czwartą niby powieść, niby epos prozą »Leszek Biały« (1788), kopia Telemaka, z maksymami, uwagami i radami, skierowanemi do Polski XVIII wieku.

Niewiele więcej talentu powieściopisarskiego, aniżeli Krajewski, posiadał drugi, wybitniejszy szermierz reformy, ks. Jezierski. W romansach opuszcza go świetność pióra, która tak zdobi jego artykuły polityczne. Romanse służą mu do wykazania tezy lub do propagowania pewnej myśli. »Goworek herbu Rawicz, wojewoda sandomierski, powieść z widoków we śnie« (1789) ma dowodzić, »że ogół szlachty był zawsze tylko narzędziem biernem w ręku możnowładców, którzy się głównie przyczynili do upadku narodu« (str. 125). »Rzepicha, matka królów, żona Piasta« (1790), z wątkiem powieściowym, opracowanym już dokładniej (miłość Piasta i Rzepichy), ma pouczyć, że wieśniacy, żyjący w stosunkach prostych na łonie przyrody, moralnie wyżej stoją od mieszkańców miast — wniosek społeczny: uznać w wieśniaku człowieka.

Trzeci naśladowca Krasickiego, ks. Kossakowski, biskup inflancki i koadjutor wileński pisze (1786) »Xiędza Plebana«, nazwanego przez Stanisława Augusta stryjecznie rodzonym bratem Podstolego — ideał wiejskiego plebana, pendant do obywatela, jakim jest Podstoli, obywatelki i matrony, jaką jest Podczaszyna. Tegoż autora »Obywatel« uzupełnienie Podstolego (uwagi do poprawy rządu) przez zupełny brak jakiejkolwiek fabuły powieściowej trudno do powieści może być zaliczony.

Zdążamy już do końca. Na wymienienie zasługują jeszcze powieści Niemcewicza, wydane, z wyjątkiem jednej — już w wieku XIX, ale pisane jeszcze w tych czasach; najprawdopodobniej przeróbki z francuskiego: ciekawe jako poprzedniczki Jana z Tęczyna.

* * *

Rozdział czwarty; »Charakterystyka ogólna«; autor skupia razem uwagi i wnioski, dotąd wypowiadane przygodnie; charakteryzuje wpływ romansów tłumaczonych; omawia następnie rodzime, za ich znamię główne uważa moralizatorstwo, brak sztuki i artyzmu, brak pogłębienia psychologicznego, szablon, ciasny horyzont, szarą powszedniość życia. Bezwzględnie więc utwory to o bardzo małej wartości, nawet najlepszy z nich nie jest arcydziełem. Ale mimo to wszystko znaczenie ich jest wielkie. Autorowie ich »byli pierwszymi w Polsce pionierami, którzy wprowadzili nowy rodzaj literacki Przed nimi była cisza głucha; tłumaczenia zagranicznych fabuł romansowych stanowiły jedyną lekturę szerokiego ogółu i rozbudzały fantazyę wizyami obcemi: dopiero dzięki Krasickiemu i jego naśladowcom uwaga sfer szerokich skierowaną została na własną ojczyznę. Nie przedstawili jej w kolorach tak świetlanych, jak autorowie zagraniczni odmalowywali wymarzone Arkadye, lecz to rzeczywistość tak piórem w ich ręku kierowała; nie stworzyli dzieł arcyznamienitych pod względem formy, gdyż musieli dopiero pracować nad jej wyrobieniem, dzielnie łamali się z trudnościami, ktore były do przezwyciężenia, i wskazali następcom swoim drogę, prowadzącą na wyżyny sztuki prawdziwej: sami byli tylko wyrobnikami — już jednak w bliskich im pokoleniach wyrosnąć mieli romansopisarze - artyści« (str. 143—144).

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem. Przez *Deotymę*. Część I i II. Biblioteka dzieł wyborowych. N. 324. Warszawa 1904.

I przytrzymana głosy Waszemi,
Choć mojej Parce rwie się już motek,
Jeszcze przystaję na brzeżku ziemi,
Aby dośpiewać ostatnich zwrotek.

Te słowa wygłosiła znakomita poetka w odpowiedzi na uroczysty hołd rodaków, jakim w r. 1897 uczcili czterdziestopięcioletnią rocznicę jej zawodu literackiego.

Ostatnie owe zwrotki wielkiego cyklu »Polski w pieśni«, stanowiącego główne dzieło jej życia i twórczości, złożyć się mają na epos bohaterskie w 24 śpiewach, z których trzy tylko ukazały się dotąd w druku, naprzód w r. 1894, a obecnie powtórnie w dwóch tomach warszawskiego wydawnictwa »Biblioteki dzieł wyborowych«.

Wszelako poemat o Sobieskim pod Wiedniem na wiele lat przed tem zarysował się już w wyobraźni Deotymy i stał się ulubioną jej myślą twórczą. Jak sama wyznaje dwukrotnie rozpoczynała go pisać, a w r. 1858 wykończyła nawet epos w 12 śpiewach, który uznała wszakże za pracę niedojrzałą. »Aż przypadł taki dzień, taka godzina — pisze poetka w swym pamiętniku — w którym mój smyczek trafił na ton właściwy.» Było to w r. 1892. Odtąd zajęta ciągle swym poematem, z jedną tylko dłuższą przerwą, spowodowaną przez ciężką chorobę, ku końcowi jego zmierza poetka.

Jak dowiadujemy się z przedmowy p. Ignacego Balińskiego do niniejszego wydania eposu Deotymy, niestaje mu tylko obecnie kilkunastu ustępów w ostatnich pieśniach i te wkrótce zapewne będą nkończone. To, co dotąd z niego otrzymaliśmy, pozwala wróżyć, że całość dzieła godna będzie wzniosłego swego przedmiotu i znamienitego talentu swej autorki. W trzech pierwszych śpiewach »Sobieskiego« rozpoznajemy znane nam dobrze zasądnicze rysy tego talentu: przedewszystkiem wysoki artyzm formy poetyckiej, ujawniający się w pięknie zbudowanych zwrotkach dziesięciowierszowych, w poważnym, uroczystym ich tonie epickim, w przejrzystym układzie i plastycznem obrazowaniu bohaterskiej opowieści. Osnuta jest ona na bardzo gruntownem obznajmieniu się z bogatym historycznym jej materyałem, który szczególnie od r. 1883 z powodu dwuchsetletniej rocznicy wyprawy wiedeńskiej ogromnemu uległ pomnożeniu. Poetka nasza przestudyowała go niezmiernie wszechstronnie i sumiennie. Przypiski jej do tekstu poematu świadczą o nadzwyczaj rozległej wiedzy

dotyczącej przedmiotu. Każdy prawie rys zawarty w osnowie opowieści poetyckiej, każdy szczegół przedstawionych w niej zdarzeń i charakterów dziejowych usprawiedliwiony jest cytatami z dzieł źródłowych, krajowych i zagranicznych. Mamy tu więc historyę upoetyzowaną i poezyę na historycznej opartą podstawie. Tak bohaterski król Jan, jakoteż wszystkie otaczające go postaci ukazują się nam w tych rysach charakterystyki i w tych sytuacyach życiowych, o jakich świadczą historyczne źródła danej epoki. Poetka rozwija swobodny polot swej wyobraźni w przedstawienin nie faktów realnych, lecz moralno-religijnego ich odbicia w świecie idealnym, nadzmysłowym. Roztacza się on głównie w pierwszej wstępnej pieśni poematu, w której jak mówi prof. Tarnowski, więcej jest fantazyi niż we wszystkich dziełach Deotymy. Mamy w niej wspaniały obraz alegoryczny, odtwarzający wewnętrzne duchowe znaczenie głównych motywów dziejowych z epoki wyprawy wiedeńskiej. Aniołowie kierujący sprawami ludzkiemi na ziemi, przewodniczący różnym narodom chrześcijańskim w ich pochodzie dziejowym, stają tu przed obliczem Pana, pełni trwogi i niepokoju wobec grożącej całemu chrześcijaństwu straszliwej nawały muzułmańskiej. Powierzone ich pieczy narody bądź osłabły w zniewieściałości, bądź utonęły w samolubstwie bądź tracą swe siły w waśniach wzajemnych, a żaden niema ani chęci, ani zapału do walki za wiarę, za najdroższe skarby cywilizacyi i postępu. Aż oto czuwający nad Polską Anioł poświęcenia oświadcza, że lud jego wraz ze swym królem bohaterskim gotów jest pójść w bój za chrześcijaństwo, i wraz otrzymawszy błogosławieństwo Pana i Maryi śpieszy na ziemię, aby przewodniczyć duchowo hufcom polskim w ich pochodzie na wroga. Takim sposobem uplastyczniona została przez poetkę przyświecająca jej eposowi idea posłannictwa Polski i Sobieskiego w pamiętnej walce, która miała skruszyć potęgę Islamu i ludy chrześcijańskie raz na zawsze od zuchwałych jego zabezpieczyć zamachów. Następne dwie pieśni przedstawiają początek akcyi realno-dziejowej w owej wzniosłej idei źródło swe czerpiące. Mamy tu dopiero pochód wojsk polskich pod Wiedeń, przygotowania wojenne, różnorodne układy i intrygi polityczne z nimi złączone. Osoby i zdarzenia, jak zaznaczono, ściśle historyczne. Charaktery zarysowują się nietyle w działaniu, ile w opisach poetki źródłowo uzasadnionych, sytuacye pełne znamiennych szczegółów również na podstawie źródeł historycznych nakreślone. W dalszej osnowie, w obrazach walk i czynów heroicznych wyobraźnia poetki szerzej zapewne

lot swój rozwinie i obok historyi upoetyzowanej da nam też czystą poezyę epicką z idei dziejowej wysnutą.

W. Gostomski.

Ananke. Baśń dramatyczna w sześciu obrazach, zaszczytnie odznaczona na konkursie łódzkim im. Henryka Sienkiewicza. *Mieczysław Hertz.* Warszawa 1904.

Bywa pesymizm i pesymizm. Jeden jest przeciwnikiem bezmyślnie optymistycznego »jakoś to będzie«, które jak dziecko bawi się w różnych płytkich strumykach, często nawet w rynsztokach życia i ani się zatroszczy o ciemne fal jego głębiny. — Drugi rodzaj pesymizmu zjawia się nam jako przedstawiciel wiekuistego ducha przekory, który nieraz z dziecinnym czy też z dziecinniałym uporem swe lekkomyślne lub zgryźliwe »nie« rzuca w twarz wszelkim »tak«, stwierdzającym dodatnie i jasne strony życia.

Do jakiego z tych dwóch rodzajów zaliczyć można arcypesymistyczną myśl przewodnią dramatycznej baśni p. Mieczysława Hertza? Odpowiedź nie łatwa. Idee nasze często, najczęściej nawet zawierają mieszaninę doświadczeń i uprzedzeń życiowych, myśli poważnej i pustych przywidzeń, sądu wytrawnego i kaprysu. Zdaje mi się, że idea przenikająca »Ananke« nie jest wolna od tych różnych przymieszek: zdaje mi się, że nieraz daje się w niej dosłyszeć dość wyraźny głos pesymistycznego ducha przekory.

Młody, po raz pierwszy pono na szerszą widownię literacką występujący poeta daje nam symboliczny obraz życia, rozwinięty na tle i formach stosunków bytu staro-greckiego.

Same imiona osób i nazwy miejscowości: Filandros, Kakistos, gród Biopolis wskazują już na symboliczne znaczenie charakterów i sytuacyi dramatycznych; w rozwinięciu osnowy dramatu to ich znaczenie w pełni się uwydatnia.

Filandros, miłośnik ludzi, uzyskuje u Zeusa władzę nadziemską, aby przez nią mógł ich uszlachetniać i uszczęśliwiać, dopóki nie zwątpi o możności odrodzenia natury ludzkiej i dopóki zwyciężyć zdoła odrazę własnego serca wobec wszelkich jej potworności. Jakoż dzielnie spełnia swe posłannictwo: zwalcza smoka grożącego miastu Biopolis. Obwołany przez lud królem, miłością usiłuje przejednać i nawrócić dwie najprzewrotniejsze istoty ludzkie: wyuzdaną heterę, Laque, i dzikiego okrutnika, Kakistosa: — ją bierze za małżonkę, jego za giermka zaufanego; przebacza im ich późniejszą niewdzię-

czność, zdrady i występki, aż w końcu zwalczony nadmiarem ich złości wpada w zwątpienie o naturze ludzkiej, a wtedy ginie zabity od pioruna zeusowego, ginie z rozpaczną wiedzą, że z ducha jego narodzi się tysiące szaleńców, co jak on ludzkość zbawiać będą chcieli i jak on umrą w zwątpieniu, które wiekuistą stanie się dlań klątwą. Mamy tu więc z jednej strony szlachetną dążność humanitarną, zwróconą ku uszczęśliwieniu i udoskonaleniu człowieczeństwa, z drugiej strony całą złość i potworność przewrotnych jego instynktów, którym zawsze nad tamtą zwycięstwo odnosić sądzono. Ale w akcyi dramatu, mającego uplastyczniać tę myśl pesymistyczną jak słabo zarysowana jest idea humanitarna. Przedstawiciel jej, Filandros niema w sobie ani kropli żywej krwi ludzkiej: jest czystą abstrakcyą, w której cierpienia nie wierzymy, której walk wewnętrznych nie odczuwamy zgoła. Tam gdzie stwierdzenie ideałów życiowych tak powierzchownie zostało ujęte, czyż unaocznione w upadku głównego bohatera zaprzeczenie ich może być uznane za wynik głębszego w tajniki życia wniknięcia? — Czyż nie wygląda ono na owo przekorne »nie«, wynikające raczej z powierzchownych zniechęceń, aniżeli z rozczarowań myśli wpatrzonej w głębiny życia, z zawodów serca w ciężkich jego walkach zwyciężonego? Dramat na takim motywie ideowym osnuty nie może odznaczać się głębokością, ani wewnętrznym żarem uczucia. Jakoż płytki jest dosyć i zimny, chociaż zawiera wiele wybitnych poetyckich zalet. Akcya jego rozwija się w zwartym i przejrzystym układzie, wiersz dyalogu niepospolicie jest piękny, obrazowy i rytmiczny, szkoda tylko, że tu i ówdzie różnemi nieprawidłościami stylistycznemi i gramatycznemi skażony; z wyjątkiem głównego bohatera postaci dramatyczne (szczególnie Kakistos i Laque) w zakresie swego symbolicznego znaczenia mają dużo życia i plastyki; wreszcie życiowe tło dramatu w swem mytyczno-greckiem zabarwieniu bardzo poetycznie jest rozwinięte i dobrze w tonie zasadniczym utrzymane.

W. Gostomski.

Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, wydawane staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiej. w Krakowie. Tom VI. Kraków 1903. Nakładem Akademii Umiej. (W 8-ce, str. XV, 91 i 421, z 25 tablicami).

Rzeczone wydawnictwo rozpada się, jak już sam tytuł jego wskazuje, na dwie odrębne części: na antropologiczno-archeologiczną i etnograficzną. Obie one zostają w bardzo nierównomiernym do siebie

stosunku. Bo podczas gdy pierwsza z nich liczy zaledwie 91 stron, druga ma ich 421. Tak samo ma się rzecz z terytoryum, jakiego prace tu zawarte dotyczą. Podczas gdy w dziale antropologiczno-archeologicznym większa część prac, bo 4 na 6 ogółem, tyczy się ziem obcych (ruskich i żmudzkich), w dziale etnograficznym wszystko tyczy się Polski, z wyjątkiem jednej, bardzo szczupłej rozmiarami pracy, która przyniosła ruskie materyały. Okazuje się stąd zatem po pierwsze ogromny brak u nas odpowiednio do samoistnych badań przygotowanych archeologów, a powtóre brak ludzi, którzyby zajmowali się zbadaniem czasów przedhistorycznych terytoryum ściśle polskiego.

Terytoryum etnograficznego polskiego tyczą się więc prace St. J. Czarnowskiego »Schroniska na Górze Okopy nad Prądnikiem pod Ojcowem« oraz Maryana Wawrzenieckiego »Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem«. Reszta zajmuje się bądź gubernią wołyńską »Cmentarzyska w Nowosiłkach« d-ra Wł. Olechnowicza, bądź Żmudzią »Skarb bronzowy, znaleziony we wsi Syrajcie«, bądź Rusią podolską d-ra K. Hadeczka »Z badań archeologicznych w dorzeczu Dniestru« i d-ra Wł. Demetrykiewicza »Groty, wykute w skałach Galicyi wschodniej pod względem archeologicznym«, ilustrowana bardzo pięknie wykonanemi zdjęciami fotograficznemi.

Należy też ta ostatnia rozprawa, oparta nie tylko na własnych badaniach autora, ale i na bogatym materyale naukowym, do najciekawszych dla uczonego nawet ogółu prac z tego działu. Okazuje się z niej mianowicie, że niemal wszystkie groty, wykute w 10 miejscowościach Galicyi wschodniej, mają tę wspólną cechę, iż ściany ich pod względem technicznego obrobienia i żłobienia kamienia są wykonane na modłę, właściwą czasom historycznym, przy pomocy narzędzi metalowych. Groty w 7 miejscowościach, t. j. w Rozkurczu, Stradczu, Monasterku Bilczańskim, Sielcu, Spasie, Międzyhorcach i Krechowie służyły dla czerńców ruskich i zostały przez nich albo wykute, albo co najmniej sztucznie przekształcone, jak tego dowodzą jużto wyraźne świadectwa historyczne, już też ścisły związek owych grot z miejscowymi klasztorami Bazylianów, albo wreszcie nazwa »monaster«, przywiązana do grot, i tradycya ludowa o przebywaniu czerńców. Zabytki tej grupy mają także tę wspólną cechę, że groty każdej z wymienionych miejscowości stanowiły same dla siebie zupełnie samoistną całość, a nie były tylko częścią składową lub dopełnieniem większego kompleksu dzieł ręki ludzkiej. Zabytki w Polanicy i Kryczu, choć są także dziełem czasów historycznych, to jednak były tylko częścią skła-

dową i dopełnieniem daleko większych całości, które musiały mieć także inny cel i przeznaczenie, niż zabytki pierwszej grupy. Tak więc nareszcie po długich latach sprawa grot została ostatecznie rozstrzygnięta i należycie objaśniona.

Dział etnograficzny rozpoczyna praca znanego badacza p. Seweryna Udzieli p. t. »Topograficzno-etnograficzny opis wsi polskich w Galicyi«. Nie jest to bynajmniej monografia wszystkich wsi galicyjskich. Autor rozumiejąc dobrze ważność nazw topograficznych nie tylko dla etnografii, ale także w niemniejszej mierze dla historyków i językoznawców (bo dają one nam świadectwo o istnieniu rzeczy, które określały, bo przechowały one nam dowody o narodowości ludu, który te nazwy po sobie pozostawił, o jego umysłowem ukształceniu, o którem wnioskujemy tak z trafności nadawania tych nazw, jak z ich jakości i mnogości, bo pozwalają one badaczowi języka śledzić rozwój i bogactwo form językowych), zebrał dokładne szczegóły o kilkunastu tylko wsiach czterech powiatów, a mianowicie: podgórskiego, wielickiego, gorlickiego i myślenickiego Uszczegółował te wiadomości podług miast, wsi, przysiołków, ulic, dróg, ścieżek, gór, pagórków, lasów, zarośli, jaskiń, jam, dołów, wód, ról, ogrodów, łąk, pastwisk, domów, karczem oraz nazw rodowych, tak że przegląd materyału staje się bardzo jasny. Nie omieszkał też włączyć do swojej pracy usłyszanych baśni, legend i podań, przywiązanych do tych miejscowości. Z pośród materyału fantastycznego napotykamy tutaj sporo wiadomości o: białej pani, boginkach, czarownicach, djabłach, pokutujących duchach, płanetnikach, ukrytych skarbach, śpiących wojskach, strzygoniach, strachach, błędnych ognikach, topielcach, wielkoludach, cudownych źródłach i zapadłych kościołach, dworach, miastach i karczmach. Dokładny opis nazw osobowych i miejscowych ułatwia znakomicie oryentowanie się w całej pracy. Oby ważność przedmiotu i dobry przykład p. Udzieli zachęcił innych do podobnych badań, nie wymagających zresztą wielkiego trudu!

»Zamawiania od czczycy, ukąszenia węża, od kurdziela i dziuga«, są przedrukiem oryginalnej kartki znachorki z powiatu jasielskiego; udzielone zostały przez p. St. Fischera, jako drobny komunikat.

Pan R. Zawiliński wydał tu »Powieści spiskie« ze zbiorów ś. p. prof. Lucyana Malinowskiego. Pomimo wielkich niekonsekwencyi w transkrypcyi wyrazów gwarowych, są one bardzo cennym nabytkiem, bodaj z tego względu, że tak mało dotychczas ogłoszono ze Spiżu materyałów etnograficznych, bardzo ważnych i do dyalektologii polskiej. Za-

piski te pochodzą ze wsi pogranicznej między Galicyą a Węgrami, ze Sromowiec, oraz z wsi spiskich: Osturni, Jurgowa, Niźnego Łapsza i Lechnicy. Oprócz materyału powieściowego mamy tutaj dwie piosnki oraz trzy luźne wyrazy narzeczowe.

Jedyną pracą tyczącą się Rusi, jest »Garść baśni ze wsi Nałuża pow. trembowelskiego», zabrana przez d-ra St. Zdziarskiego. Przeważna część tych opowieści pochodzi ze świata nadnaturalnego. Dla dyalektologii mają one małą wartość, bo jak sam wydawca w słowie wstępnem zauważył, język ich nie jest lokalny, bo diak, od którego zostały spisane, przebywał w różnych stronach, ciągle w dodatku miał do czynienia z cerkiewno-słowiańskim językiem, co wszystko złożyło się na to, iż mowa jaką się posługiwał, przedstawia niejednokrotnie konglomerat niejednej gwary lokalnej.

»Jastkowskie powieści i opowiadania z puszczy sandomierskiej«, spisane przez p. Z. Wierzchowskiego, nie przedstawiają większej wartości, z powodu licznych niekonsekwencyi w zapiskach gwarowych.

Grubo większą część działu etnograficznego zajmuje obszerna i sumienna praca p. A. Saloniego p. n.: »Lud łańcucki«. Nie jest ona bynajmniej monografią całego powiatu łańcuckiego. Więcej szczegółowo opracowane zostały tylko środkowa i południowa część powiatu, północna, jako mniej dla autora dostępna, została zaledwo tu i ówdzie dotkniętą. Ale już to, co zdołał p. Saloni zebrać, świadczy o wielkiej pracowitości i nmiejętnem badaniu. Po krótkiej a dosadnej charakterystyce ludu łańcuckiego oraz jego stroju podał autor kilka ludowych dramatów tj. »szopek«, wraz z oracyami i kolędami. Szczegółowo bardzo opisany został obrzęd weselny, oraz wierzenia, odnoszące się do: istot nadprzyrodzonych, człowieka, zwierząt, roślin, zjawisk i ciał w przyrodzie, dni dorocznych, zajęć domowych i pieniędzy. Po lecznictwu ludowem oraz zagadkach i zabawach dzieci idzie cały szereg pieśni (powszednich, miłosnych i żołnierskich, do których mylnie zaliczono pieśń o Sobieskim, należąca do cyklu pieśni dziadowskich) i opowieści ludowych. Praca ta, jakkolwiek fragmentaryczna, zasługuje na całkowite uznanie.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Un Divorce. *Paul Bourget.* Paris. Librairie Plon. 1904. Str. 598.

I otóż znowu utwór niezwykłej wartości wyszły z pod pióra nujprzedniejszego z dzisiejszych powieściopisarzy francuskich. Tym razem Bourget uzbrojony w wiarę, miłość dusz, logikę i swój potężny talent wstąpił do walki z jedną z najzłośliwszych głów hydry pożerającej społeczeństwo jego kraju — z prawem ślubów cywilnych i rozwodu. Obraz skreślony tu jest nad wyraz bolesny, tem boleśniejszy, iż ludzi cierpiących w nim zostawia przy końcu w błędnem kole bez wyjścia, krom nadziei w osobliwe zmiłowanie Boże lub w przewrót istniejącego »porządku«.

Treść jest następująca: Do skromnej izdebki X. Euvrard, Członka Akademii i słynnego matematyka, ale zarazem wydziedziczonego Oratoryanina, dzwoni pewnego dnia kobieta jeszcze młoda, wykwintna, lecz cała drżąca wzruszeniem i nie mówiąc nazwiska przedstawia swą prośbę. Jestto rozwiedziona żona hr. de Chambault, pijaka i rozpustnika; po rozwodzie wyszła cywilnie za prawnika pana Darras, kładąc za jedyny warunek wychowanie chrześcijańskie dzieci mogących im się narodzić. Byłto ostatni objaw wiary, którą żyjąc bez sakramentu z człowiekiem silnej woli, wysokiej kultury i ateistycznych przekonań, pod jego przemożnym wpływem utraciła do reszty. Z tym mężem żyła lat 12 w niezakłóconej harmonii serca i ducha, była mu wdzięczną za troskliwą dobroć dla syna z pierwszego małżeństwa, za zostawioną jej swobodę w kształceniu córki, za budzącą jej podziw prawość charakteru. Darras nienawidził Kościoła, uważał go szczerze za przybytek zabobonu, źródło osłabienia woli i kompromisów z sumieniem. Sumienie było w jego oczach jedynem bóstwem, któremu człowiek winien cześć i uległość — ani się spytał, kto temu sumieniu podyktował prawa? — Spowiedź w jego oczach była zachętą do grzechu, myśl o odkupieniu i Odkupicielu mrzonką, stworzoną, aby kosztem cudzych zasług wydrwić się z własnego obowiązku. Że jednak jego osobiste sumienie nakazywało mu poszanowanie danej obietnicy, więc patrzał w milczeniu na córkę klękającą co dnia do pacierza z rosnącą pobożnością, a w ostatnich czasach sposobiącą się pod okiem matki do 1-szej Komunii. Postępowanie żony uważał słusznie za pozostałość dawnych zwyczajów bez głębszego znaczenia. Tymczasem wiara w Gabryeli uśpiona rozbudziła się

w zetknięciu z gorącą wiarą dziecka, poczęła chodzić z nią do kościoła, na nauki duchowne i zwolna potrzeba Boga ozwała się głośno w jej duszy, potrzeba Sakramentów, tęsknota. Dla samej miłości dziecka nie mogła znieść myśli, że w dzień Komunii nie będzie mogła wraz z nią uklęknąć u Stołu Pańskiego. Poszła się poradzić pewnego księdza, ale ten wydał wyrok surowy. Toż w oczach Kościoła była wciąż żoną pierwszego męża, a z drugim żyła w grzechu, »na wiarę» ... W takich warunkach o absolucyi, a tem mniej o Komunii nie mogło być mowy. Słysząc to w Gabryeli ozwał się duch buntu. W nieprawym związku? ona? Świadoma swej nieskalanej cnoty w czasie swojej niedoli za pierwszego małżeństwa i szczęśliwego pożycia w drugiem?... I nie chcąc już myśleć, zanurzyła się cała napowrót w słodycze domowego ogniska. Ale napróżno — łaska nie przestała u jej wrót kołatać, tak iż biedaczka coraz bardziej stęskniona, próbuje raz jeszcze prośby, udając się tym razem do męża słynnego wiedzą, wobec której o ciasnocie pojęć nie może być mowy. Ale niestety i ten kapłan uczony może jej dać tylko jałmużnę litości, uznaje, że z powodu córki obecnie drugiego męża porzucić nie może, ani zostając z nim do Sakramentów przystąpić, radzi cierpliwość, pokorę, dobre uczynki i modlitwę, jawne wyznanie w domu uczuć chrześcijańskich. Wypowiada przytem surowy sąd na rozwód w ogóle, wyliczając również ogólnikowo nieszczęsne jego następstwa. Gabryela wychodzi wstrząśnięta do głębi. Bunt zniknął zastąpiony żalem za grzech popełniony i strach przed groźbami kar, które z ust X. Euvrard zdają się jej brzmieć jak proroctwa. Spełnienie ich zaś może być tem bliższe, iż syn jej Lucyan, wychowany przez ojczyma w pogardzie wiary, już dorósł i może lada chwila stać się powodem bolesnych starć. Odtąd już biedna żyje patrząc wciąż, skąd padnie najpierwszy cios. Wierna jednak odebranej radzie, przestaje przed mężem kryć swój powrót do Boga. Dla Darras'a jestto grom z jasnego nieba. Zrazu nie chce wierzyć, posądza żonę o nerwowe zachcianki, o egzaltacyę chwilową i zaczyna obchodzić się z nią jak z chorem dzieckiem litośnie a czule. Niemniej przeto czuje, że między nimi roztworzył się przedział, że swobodna wymiana wszystkich myśli stała się niepodobną. Tymczasem z innej strony gromadzą się chmury. Darras dowiaduje się, iż Lucyan zapoznał się ze studentką medycyny Bertą Planat, i że zachodzi obawa dla chłopca zawikłania się w niepożądaną sprawę miłosną. W istocie Lucyan spotykał co dnia bladą, czarnooką dziewczynę ze ściągniętemi boleśnie ustami, żyjącą tylko

dla pracy, a uciekającą dziko przed ludźmi. Przełamawszy z trudem pierwsze lody, rozpoznał naturę wrażliwą, pełną ognia i myśli, tkliwą przytem, a tylko siłą woli czy okoliczności zmrożoną. Darras zaś czyniąc poszukiwania bez wiedzy pasierba, odkrył coś więcej: oto że owa nieprzystępna Berta Planat wyjechała niegdyś z rodzinnego miasteczka w towarzystwie wesołego ucznia uniwersytetu, że żyła z nim jak z mężem w Paryżu przez sześć miesięcy, poczem wesoły student pożegnał się z nią, zostawiając ją wszystkim skutkom płaskiej awantury. Odtąd Berta porzuciła nie tylko dawne mieszkanie i dzielnicę miasta, gdzie mogła spotykać jego i dawnych kolegów, ale i wydział uniwersytetu, na który chodziła, oddając się natomiast chirurgii. Zdobywszy te szczegóły Darras zadaje sobie pytanie jakby postąpił, gdyby był istotnym ojcem Lucyana i po dojrzałym namyśle decyduje się powiedzieć mu wszystko. Ostrzeżenie jednak kończy się sceną niespodziewanie gwałtowną. Dopiero teraz ujawnia się, że podczas co Darras uważał go za syna, Lucyan nigdy nie miał go za ojca, stąd obelżywa gorycz w wyrzucaniu mu szpiegowstwa, powtarzanie oszczerstw, a wreszcie oświadczenie, iż mu przyniesie dowody niewinności Berty, a wtedy go ojczym będzie musiał przeprosić, albo noga jego więcej w tym domu nie postanie . . . Darras z ostrożnością niezmierną rzecz całą przedstawia żonie, poczem oboje czekają z bijącem sercem na powrót syna — ona z okropnem uczuciem, iż przepowiednie X. Euvrarda zaczynają się spełniać. Lucyan ze swojej strony opuściwszy Darrasa ochłonął z gniewu, ale tem większy chwycił go strach, iż znając ojczyma wiedział, iż nie jest zdolnym takiego oskarżenia rzucić na wiatr. Siły opuszczają go prawie u wstępu do mieszkania Berty, gdzie z trudem wydobywa z siebie nie zapytanie, ale jakby ostrzeżenie, iż ją potwarz ludzka w podobny sposób czerni. Berta atoli blednie, ale nie przestając patrzeć mu w oczy, wyznaje, iż fakta są prawdziwe i że o potwarzy tu mowy być nie może. Tak — była przez pół roku towarzyszką, żoną Méjan'a bez poprzedniej ceremonii u mera. Ale cóż stąd? Toż dziad jej, który ją wychował i jego przyjaciele nie przestali od kolebki kłaść jej w umysł i serce, iż owe formalności urzędowe są resztkami barbarzyństwa, że nie znaczą nic i że jedynie silne a szczere postanowienie dwojga serc stanowi istotę małżeństwa. Méjan przybył do ich miasteczka ze swym błyszczącym umysłem i ujmującym uśmiechem; powtarzał te same zasady co oni i namówił ją by wyjeżdżając z nim do Paryża teorye zamieniła w czyn. Spełniła to w najlepszej wierze, mieniąc się równie prawą

małżonką Méjana jak inne zapisane w merostwie. Zdziwiła się zatem mocno, że swoi się jej wyparli tak, że gdy niegodny uwodziciel złamał przysięgę nie miała u kogo szukać przytułku . . .

Lucyan słucha wprzód pogrążony wyznaniem, potem zwolna przejmując się logiką twierdzeń Berty i wychodzi od niej — zaręczony. Odtąd już osoba ojczyma zstępuje u niego na drugi plan, poczyna się szturm o zezwolenie matki, której syn daje do zrozumienia, iż Berta nie postąpiła gorzej, niż ona sama, która za życia męża oddała oficyalnie rękę innemu. Gabryela straciła syna — Lucyan wyniósł się z domu, przestał nawet dawać znać o sobie. Matka przeczuwa, iż nie mogąc na niej wymódz zezwolenia, zwróci się w drugą stronę — do ojca. W istocie po pewnym czasie odbiera wizytę notaryusza hrabiego Chambault, donoszącego jej, że Lucyan pozwolenie ojca otrzymał i że raczej przez uszanowanie, niż dla potrzeby prosi urzędowo, aby i ona dołożyła swoje. Darras chce, jak dotąd czynił we wszystkiem, w rozmowie tej zastąpić żonę, podeprzeć, zasłonić — notaryusz atali daje mu poznać, iż osoba jego tu nic nie znaczy, że w sprawie syna tylko rodzice występować mogą. Hr. Chambault jest obecnie chory, a Lucyan pielęgnuje go w jego domu. Tak więc przykrość położenia zaznacza się wyraźnie; dekret oficyalnego rozwodu i nie mniej oficyalny akt ślubu chwilowo istnieć przestają. Czują to oboje, Gabryela i Darras, ale obawa o los syna przemaga nad wszystkiem. Darras pomimo głębokiego wstrętu wybiera się osobiście do hr. Chambault, aby go przestrzedz o przeszłości narzeczonej Lucyana i skłonić do cofnięcia pozwolenia. Wchodzi, lecz już na wstępie poznaje, że do chorego dopuszczonym nie będzie, gdy zaś nalega, by się choć widzieć z pielęgnującą go osobą, widzi się wobec Berty Planat. Następuje dla obojgu bolesna rozmowa, w której Darras wymaga od Berty, aby sama zamierzony związek zerwała, a nie odrywała Lucyana od jego rodziny. Na to zaś ona zapytuje: »Gdzie jest ta rodzina? Nie u Pana przecież, bo oto od szeregu dni Lucyan zapomniał o wszystkiem krom konającego ojca — swego prawdziwego ojca . . . Gdy się ma dwie rodziny, niema się żadnej . . . Dajcie mu urządzić sobie życie do woli . . . Bo czyście i wy może kosztem niego nie urządzili sobie własnego życia? . . .«

Darras nie znajduje odpowiedzi. Nie uspokojony jeszcze po wstrząśnieniu sprawionem skrupułami religijnymi żony, czuje się bezbronnym tu, w domu pierwszego jej męża, kędy jej syn jest u siebie

przy łożu ojca, a on — intruzem. Wraca smutny do Gabryeli, przynosząc nieco zachwianą opinię o Bercie, i wieść o niemożliwości działania przez p. de Chambault, którego godziny są policzone. Na Gabryelę wieść ta ostatnia pada jak grom. Od lat 12 człowiek ten, przez którego tyle cierpiała, ale któremu ślubowała wierność u stóp ołtarzy, wymazany był zupełnie z jej życia. Wobec śmierci atoli wspomnienia rzuciły się na jej duszę, wstrząsając ją do głębi, budząc uczucie obowiązku przypadającego jej jeszcze w udziele. »Umrze bez pomocy duchowej — myślała. — Nikt z otoczenia nie pomyśli o księdzu . . . to moja rzecz!« — Czuje, że powinna tam iść, powinna działać, ale obecność Darrasa wstrzymuje ją. Nie śmie nawet odezwać się słówkiem i noc całą przepędza bezsennie w mękach sumienia. Z rana bilecik Lucyana donosi jej, że ojciec życie zakończył, a wtedy z głębi skłąbionych jej uczuć wydobywa się okrzyk rozpaczy: »Boże mój — gdybym była poszła wczoraj! Zapóźno! . . . Mogłam go uratować i nie uratowałam. Teraz jestem zgubiona. To był mój mąż, byłam jego żoną . . . Byłam nią wciąż . . . Mój grzech jest straszny . . .«

»Ta przynajmniej zgryzota — pisze autor — miała być oszczędzoną biednej duszy dręczonej tylu bólami, z których każdy wydając jej się być skutkiem wielkiej winy jej życia, powiększał stopniowo jej wiarę. Instynktownie wprowadziła była w czyn radę daną przez jednego z Ojców Kościoła: ‚Chcesz uciekać od Boga — uciekaj do Boga! . . .‘ Uczucie, że przez brak odwagi przyczyniła się do wiecznej zguby człowieka, któremu niegdyś przysięgła wiarę — byłoby przeniosło jej siły . . .« Usiłowała zatem się bronić. Po długim namyśle znalazła sposób — napisała z zapytaniem do starego krewnego męża, jedynego z jego i z jej własnej rodziny, z którym zachowała niejakie stosunki od czasu powtórnych ślubów. Odpowiedź doszła ją przy obiedzie w formie posłanej jej przez tegoż krewnego karty pogrzebowej, na której widniały podkreślone ołówkiem słowa: »O p a t r z o n y ś w. S a k r a m e n t a m i«, a dalej oznajmienie, że zwłoki złożone będą w Villefranche w grobie familijnym. Toż samo uczucie miłości rodzinnej, które wzbudziło w konającym pragnienie złożenia kości w grobowcu przodków, acz tak niegodnie nosił ich nazwisko, natchnęło go, by umrzeć tak, jak umierali jego rodzice pomimo, iż całe życie wbrew ich zasadom był przeżył. Widzi się często, zwłaszcza u ludzi tego rodzaju zwyrodniałych potomków starych wierzących rodów, że w nich chrześcianizm budzi się w ostatnich chwilach. Jestto

zjawisko, w którem wolno upatrywać jeden z tysiąca dowodów wielkiego prawa solidarności rodzinnej. Każda rodzina tworzy jednostkę. Dowodzą to zarówno łaski użyczone w podobnych chwilach upadłym członkom szczepów pobożnych, jak nieszczęście spadające na cnotliwych spadkobierców krwi grzesznej ... Nad myślą tą powracającą pod różnemi formami w jego dziełach, Bourget zatrzymuje się dłużej. Zda mu się módz nią wytłumaczyć poczęści tajemnice zmiennych losów ludzkich, powiada, że to samo prawo wydaje się niezrozumiałem, ale że bez niego losy te jeszczeby bardziej niepojętymi były. Możnaby teoryę jego zbić Pismem św., a nadewszystko przypomnieć, że jest widocznie wolą Boską, abyśmy pełnili jej nakazy nie badając ich i cierpieli jej wyroki nie rozumiejąc ...

Wzruszenie objawione przez Gabryelę przy odebraniu pocieszającej wieści wzbudza zdziwienie Darrasa, a następnie wywołuje najżywszą jak dotąd dyskusyę religijną. »W czem — przypuściwszy, że istnieje żywot wieczny i sąd — pyta Darras — mogą wyroki jego być zmienione przez gesta i słowa człowieka w komży ponad pół-trupem mogącym już zaledwie myśleć i gadać?« — »Wystarczy, by mógł żałować — odpowiada żona — i zjednoczyć ofiarę swoją z zasługami Zbawiciela ... Cała wiara chrześciańska zawiera sią w tem odkupieniu nas biednych grzeszników ... Ty, co tak piękne myśli oceniasz, jakże — choć nie wierząc weń — nie podziwiasz tego wzniosłego pojęcia? ...« Darras zauważa, że teorya o Zbawicielu ofiarowanym za winy ludzkości jest dogmatem niesprawiedliwości ... »Nie! to dogmat miłości!« przerywa Gabrzela, a gdy Darras po chwili milczenia wyraża głosem pełnym smutku i czułości żal za niedawnym czasem, gdzie byli złączeni nietylko sercem, lecz duchem, odpowiada mu z uniesieniem: »Ten czas powróci, myśli nasze się złączą, jestem tego pewna, zupełnie pewna! ... W tedy już będziemy w prawdzie — a co do kochania, toż ci aż zanadto dowiodłam, że cię kocham, a przecież będę jeszcze więcej kochać niezadługo, tak jak cię nigdy nie kochałam — bo wtenczas już będę miała prawo!«

Darras nie odpowiada, bo się boi zrozumieć, boi się stracić zimną krew i wyrzec jakie niepowrotne słowo. Różnica przekonań między nim a żoną doszła już mimo zobopólnej miłości do fazy jawnej, gdzie walka staje się potrzebą, za walką zaś idzie rozdrażnienie, zaciętość, chwilami niemal nienawiść ... Tym razem Darras umiał zapanować nad sobą, ale czyż zdoła kiedy indziej, gdy Gabryela zdobędzie się na wyraźne sformułowanie swej prośby? — A jednak do

tego dojść musiało. Śmierć pierwszego męża Gabryeli zmieniła ich położenie; obecnie dzięki kościelnemu ślubowi mogła z rozwódki stać się prawą żoną. Czyżby jej mógł tego szczęścia odmówić? — Mówiła sobie, że nie, a jednak trwoga ściskała jej serce. Co czynić, jeźli odmówi?

Dla Darrasa myśl o katolickiem zatwierdzeniu ich związku była ohydną: w jego oczach Gabryela była od lat 12 jego prawą żoną, nie mniej przed jak po śmierci pierwszego męża — ślub kościelny zaś byłby tej prawomocności negacyą. Oboje czuli jednak, że kwestya ta wisi nad niemi i oboje oddalali wybuch milczeniem. Gabryela nadto miała inną troskę; czuła, iż musi najprzód wyjaśnić rzeczy z Lucyanem, że dopiero, gdy się uspokoi z tej strony, gdy tę walkę stoczy, będzie miała dość siły, by rozpocząć drugą. Chciała od syna otrzymać zwłokę o jeden rok — »wtedy — myślała — będę już zapewne prawdziwą żoną Darrasa i będę mogła wobec syna mieć pewny grunt pod nogami.« — Czekała tedy z rosnącym niepokojem na jego powrót z pogrzebu ojca, z nie mniejszym niepokojem oczekiwał go Darras. Lucyana widział był chwilę w domu konającego Chambaulta, ale wtedy młody człowiek zajęty jedynie chorym nie raczył nawet nań spojrzeć. Stosunek powierzchownie serdeczny, podminowany zwolna z obu stron zazdrością o serce matki zerwał się wobec oporu Darrasa przeciw związkowi z Bertą — a stało się tak, bo był nie rzeczywistym ojcem, ale ojczymem stającym w miejsce żyjącego ojca. Następuje wreszcie chwila spotkania, Darras usuwa się, zostawiając matkę samą z synem. Na pierwszy rzut oka jednak nieboga widzi, że to już nie jej dawny, kochający chłopiec, nie ten nawet, co walcząc o ukochaną kobietę, unosił się i wyrzekał. Dzieli ich gruba żałoba syna, której ona nosić nie może, dzielą wrażenia przyniesione przez Lucyana ze starych rodzinnych miejsc, z pobytu wśród pamiątek młodości i krewnych ojca. Opowiada jej o jego ostatnich chwilach, o długich poprzednich rozmowach, gdzie imię jej z uwielbieniem i żalem na usta konającego wracało. Spełnia wreszcie ostatnią jego wolę — w imię ojca prosi o przebaczenie win. Daje się przytem unieść żalowi, przyznaje, iż wtedy wyobrażał sobie jakby los jego był inny, a może i charakter ojca się zmienił, gdyby matka była w domu została . . .

Gabryelę każde słowo uderza w serce. Upokorzona przed synem, wyznaje swą winę ze łzami. On ściska ją i pociesza — o powrocie jednak nie chce słyszeć, bo matka nie jest u siebie, ale

u Darrasa, gdzie dla niego miejsca już niema. Gdy zaś Gabryela zaczepiając sama o sprawę jego małżeństwa, którą śmierć ojca zostawiła znów od jej woli zależną, zażądała stanowczo całorocznej zwłoki — Lucyan równie stanowczo odparł, że czekać nie będzie, bo pozycya Berty zbyt ucierpiała w ostatnich czasach dzięki inwestygacyom co do jej przeszłości, że zatem postanowił wyjechać z nią na dwa lata do Niemiec, a po dwóch latach czyniąc zadość konwenansom światowym związać się z nią ślubem cywilnym. Napróżno matka błaga go, by się z ojczymem pogodził — wychodzi zatrzaskując drzwi. »Ani mu do głowy nie przyszło iść pożegnać siostrzyczkę« — myśli ze smutkiem biedaczka, draśnięta wśród ogólnego żalu dowodem, że Lucyan nie uważa Joanny za siostrę.

Darras zastaje ją zmiażdżoną bolem. Dotąd czułość jego umiała jej łagodzić wszelkie zmartwienia, jego siła służyć za podporę we wszelkich chwilach słabości. Dziś jednak wszystko daremne: »Obiecywałeś mi wciąż, że będzie dobrze — mówiła — a działo się źle, wmawiałeś we mnie nadzieję, a wszystkie zawiodły. Dlaczego czyniłeś to? Bo chciałeś i twój i mój wzrok odwrócić od prawdy. A tą prawdą jest, że Bóg nas karze zabierając nam syna ... Nie patrz na mnie, jak się patrzy na chorą — chwila zbyt jest poważną — przestroga zbyt straszną: straciliśmy Lucyana, bośmy oboje zgrzeszyli, zwłaszcza ja, która miałam wiarę — ulegając pokusie bezbożnego prawa rozwodu. Żaden kodex ludzki nie może nad prawem Bożem przeważać. Niema rozwodu od Sakramentu. Przed Bogiem byłam wciąż żoną człowieka, po którym Lucyan nosi żałobę. Nie zważaliśmy na to i dziś — nie mam już syna ... Obecnie ten człowiek nie żyje i Bóg, który nas ukarał, daje nam możność naprawy złego. Możemy powrócić do Niego, pobrać się po Bożemu ... Albercie mój, powiedz, ty się zgodzisz na to, uczynisz ze mnie twą żonę wobec Kościoła — powiedz! Inaczej jużbym nie mogła żyć ...«

Darras słucha w milczeniu, lecz wzburzenie jego z każdem słowem wzrasta. Upor bezwyznaniowca i pycha samowolnych zasad biorą górę nad miłością, nad sprawiedliwością i zdrowym rozsądkiem. Wywiązuje się scena straszna, wśród której Gabryela oświadcza, iż bez ślubu żyć z nim dalej nie może, że opuści dom — na co Darras odpowiada groźbą cofnięcia obietnic chrześcijańskiego wychowania córki ... Rozstają się w naprężeniu straszliwem. Gdy jednak Darras wraca z biura do domu nie znajduje w nim ni żony, ni córki — Gabryela uciekła ratując wiarę dziecka i swoją. Następują okropne

dni; biedak wije się z bólu, ale równocześnie zatwardza w nienawiści do tego kościoła, który mu wydarł szczęście. Z bolesnej zadumy budzi go bilet X. Euvrard, proszący o naznaczenie chwili rozmowy. Gniewny na wybór pośrednika, ale drżący wzruszeniem Darras biegnie do niego. Uczony kapłan jest istotnie posłannikiem Gabryeli. Usiłuje przemówić mu do serca i do rozsądku; wszystko daremnie. Darras zaciął się w gniewie i zamiast ustąpić, zapowiada, że córkę przez policyę odbierze i bez wiary wychowa, jeżeli Gabryela do trzech dni nie powróci do domu i nie odwoła wszystkiego, co mu w ostatniej rozmowie mówiła, jeżeli nie uzna, że jej cywilny ślub był ważnym i wystarczającym. Odchodzi, a ksiądz zasmucony może tylko Gabryeli słowa jego powtórzyć. Tłumaczy jej przytem, iż wobec miłości, jaka przegląda z pod gniewu Darrasa, wiele się można spodziewać — że byłby obecnie chrześcianinem, gdyby przed 12 laty widział był u niej siłę cnót chrześciańskich i cześć dla sakramentalnej przysięgi przemagającą wszelką urazę i niechęć. Obecnie jest późno, ale nie trzeba tracić nadziei. Gabryela musi powrócić przez wzgląd na duszę dziecka, ale za nic na świecie nie powinna żądanego odwołania wymówić . . .

I biedna wraca. Darras w upojeniu radości nie chce już wiedzieć o żadnych ze swej strony warunkach; Gabryela wróciła — to dosyć. Nie spostrzega na razie, że wrócił tylko jej cień, że pomimo nadziei dojścia z czasem do celu, ten związek z nim w rozwodzie stał się dla niej niewolą, »więzieniem«, jak się wyraził X. Euvrard, i że patrząc z przestrachem na ściskające ją więzy »matka Lucyana i Joanny nie przestała przeklinać zbrodniczej ustawy, której pokusie jej słabość niewieścia uległa, ustawy zabójczej dla życia wiary i życia rodziny, prawa anarchii i nierządu, które złudziwszy obietnicą szczęścia i wolności dało jej, tak jak wielu innym — niewolę i ból.«

Na tych słowach kończy się powieść, której najzawziętszy wróg Bourget'a nie zdoła nic zarzucić. Cel jest jawnym, bronionym w treści argumentami niepodobnymi do zbicia logicznie; wiemy jednak, że nieprzyjaciołom wiary brak przedewszystkiem logiki. Nielogicznym też jest nawskroś Darras, uczciwy i obowiązkowy, głoszący kult sumienia bez względu na fakt, że jeźli jemu wyjątkowo zdrowa natura przedstawia jako obowiązek miłość rodzinną i prawość — to innemu własnowolnie kierowane sumienie nakaże defraudowanie banku przez wzgląd na dzieci, porzucenie żony przez wzgląd na bardziej umiłowaną kochankę, rozpasanie najbrutalniejszych chuci przez poszanowanie »wolnej natury«. Nie zauważa, iż każde prawo wymaga poprzedniego

istnienia prawodawcy, bez którego staje się rzeczą fantazyi, niemożliwą do zaszczepienia w masach inaczej jak drogą przymusu. Tak też Darras wogóle łagodny i sprawiedliwy staje się dla żony w kwestyach religijnych despotą; nie miarkuje nawet sam, o ile zasady jego niezłomnego sumienia umieją się giąć według potrzeb chwili, skoro uznawszy za zbrodnię pierwszy wolny związek Berty z Méjanem, gniewa się następnie na żonę, gdy ta nazywa »życiem w hańbie« takiż sam związek zadzierżgnięty między Lucyanem a Bertą. Cały ten typ Darrasa złożony z różnych typów »cnotliwych bezwyznaniowców« z powieści Bourgeta narysowany jest po mistrzowsku. Mniej udanym może jest Lucyan w drugiej połowie książki. Wobec potężnego wstrząśnienia, jakie nań wywarła śmierć ojca, czytelnik dziwi się widząc, że fakt, iż ta śmierć była chrześcijańską, przeszedł absolutnie bez śladu, że skoro wrócił tak bardzo zmieniony po tygodniu czy dwóch spędzonych u grobu praojców, w otoczeniu starej, pokrewnej ojcu szlachty rodowej, w postępowaniu jego, ani w sposobie myślenia nie zostało śladu tej atmosfery tradycyi, dzięki której hr. Chambault na łożu śmierci wrócił do Boga. Niejasnem, zapatrywaniom moralistów niezupełnie, zdaje się, odpowiadającem, jest stanowisko księdza; radom jego możnaby niejedno zarzucić i to niedokładne przedstawienie rzeczy w Bourgeta zadziwia. Ostatecznie główną treścią są walki sumienia Gabryeli z bezbożnem prawem, jest wymowny protest przeciw gwałceniu świętości ogniska i gangrenowaniu młodych dusz siłą teoryi, których zbrodnicza niedorzeczność wychodzi wtedy dopiero na jaw, gdy je te dzieci obrócą w czyn. *Le divorce* posiada jedną jeszcze zaletę — jest napisane czysto, bez drastycznych ustępów, jakie w innych znamienitych utworach Bourget'a jak *Le disciple* lub *L'Etape* są przykre i — nie koniecznie potrzebne.

T. Wodzicka.

Treu zur Kirche und Papst. Vorträge und Erwägungen. Weiteren Kreisen aller christlichen Bekentnisse dargeboten von *Georg Fell S. I.* Freiburg im Breisgau 1903. Herdersche Verlagshandlung.

Mimo wszelkich wrogich Kościołowi dążności i zakusów wzrasta z dniem każdym liczba zapaśników prawdy. Wierność Kościołowi rzymskiemu i prawdzie, kładzie jednym w usta przekonywujące słowa, innym wielkich czynów dokonywać rozkazuje, innym wreszcie wciska do ręki pióro, aby w ten sposób walczyć w obronie świętych zasad.

Do jednych i drugich należy autor. W chwilach wolnych od zajęć duszpasterskich bierze pióro do ręki, i właściwym sobie sposobem, przystępnie, spokojnie a przekonywująco wykazuje, dlaczego mamy stać wiernie przy katolickim Kościele.

Autor odzywa się tutaj do chrześcijan wszelakich wyznań, ale do wierzących; ci wszyscy godzą się na to, że religia jest konieczną i potrzebną, i to taka religia, jaką ustanowił Jezus.

Ale zaraz nasuwa się tutaj wątpliwość. Tyle wyznań istnieje; jakie właściwie wyznanie ma boski początek? Każdy, czyto katolik, czy luter, czy kalwin musi sobie stawić to pytanie; »Czy ja jestem rzeczywiście w tym Kościele, jaki ustanowił P. Jezus?« A każdy z nich twierdzi o sobie, że on właśnie jest w posiadaniu prawdy. Ale prawda może być tylko jedna; a więc gdzie ona? Jakie wyznanie cieszy się jej posiadaniem? Tę najżywotniejszą ze wszyskich kwestyi rozwiązuje autor w następny sposób.

Udowadnia on z rozumu i z tych miejsc pisma św., jakie każdy chrześcijanin przyjmuje, że P. Jezus założył Kościół apostolski, a jego widomym zwierzchnikiem na ziemi ustanowił Piotra św., rzymskiego biskupa. Jemu powierzył pieczę nad Kościołem i wiarą, jemu dał posłannictwo na cały świat i największą władzę duchowną nad ludźmi, z prawem przekazania jej swoim następcom. Stąd to wynika jedność wiary, liturgii i rządów, przynajmniej w istotnych rzeczach, a przedewszystkiem powszechność Kościoła, jego apostolska nauka, władza i apostolski początek.

A któż inny, jak nie jedynie tylko Kościół rzymsko-katolicki może się wykazać, że on to właśnie jest tą społecznością założoną przez P. Jezusa; że przejął to boskie posłannictwo, które otrzymał od Apostołów; że przechowuje wiernie apostolską naukę, że ciągnie się nieprzerwanym szeregiem od Piotra św., aż do zasiadającego nam dzisiaj na stolicy Piotrowej Piusa X!

Niech pokażą coś podobnego innowiercy! historya poda nam czas i okoliczności, kiedy i który odszczepieniec po raz pierwszy wzgardził wiarą Kościoła rzymskiego, zerwał z hierarchią rzymską i utworzył nową naukę, inną od apostolskiej nauki Kościoła rzymskiego. Żadna herezya nie może wykazać, że pochodzi od Apostołów, chyba przez Kościół rzymski, tj. zanim się od niego oderwała, czyli, gdy jeszcze nie była herezyą.

Więc jedynie prawym jest Kościół rzymski, musi sobie powiedzieć każdy wierny chrześcijanin, jeżeli tylko zechce się zastanowić

nad temi prawdami bez uprzedzenia; katolika zaś utwierdzą te prawdy w przekonaniu, że istnienie Kościoła jest związane jaknajściślej z papieżem rzymskim; on łączy tradycyę apostolską, w nim polega siła, piękność i całość Kościoła.

Nakoniec zbija autor dwa zarzuty, które może na pozór nie stanowią całości z poprzedniemi prawdami, ale zbyt często bywają wytaczane, aby można o nich zamilczeć.

»Zbyt wiele twierdzi Kościół«, mówią jedni. Głosi on, że poza Kościołem niema zbawienia. Skąd ta pewność? To aż nazbyt wielka nietolerencya! »Jakżeż można należeć do Kościoła, twierdzą drudzy, kiedy on postępu nie znosi, szerzy obskurantyzm i jest nieprzyjacielem cywilizacyi«.

Ale oba zarzuty pochodzą z niezrozumienia rzeczy.

I tak, jeśli Kościół mówi, »że poza Kościołem niema zbawienia«, to nie znaczy, że niekatolik n i e m o ż e być zbawionym, ale że ten, który jest przekonany o prawdziwości Kościoła, a niechce doń należeć, zbawionym być nie może, czyli innemi słowy, że kto poznał gdzie jest źródło prawdy, a niechce jej zaczerpnąć, ten też nigdy jej posiadać nie będzie.

A to zdaje się być jasnem.

Na drugi zarzut daje odpowiedź historya i stan dzisiejszej kultury. Taka kultura, jaką dzisiaj posiadamy jest niezrozumiałą bez Kościoła; on to, jak uczy historya XIX wieków, wypielęgnował wśród barbarzyństwa tę naukę i cywilizacyę, która dzisiaj chce o tem zapomnieć, i dlatego woła, że »Kościół jest wrogiem kultury«. A zresztą, czyż wszystkie państwa nie odebrały teraz Kościołowi prawie wszystkich środków do pracy i roztoczenia swego zbawiennego wpływu? Mimo to Kościół nie ustępuje, i lubo uciskany, postępuje coraz dalej tą samą drogą, jak przed XIX wiekami, roznosząc wszędzie światło wiary i blask oświaty, której promienie wciskają się już do ostatnich zakątków ziemi.

Oto mniej więcej treść.

Co się zaś tyczy formy zewnętrznej, to przyznać trzeba, że książka ta jest napisaną bardzo spokojnie, rozumnie, a przedewszystkiem przystępnie. Dlatego też spełnia znakomicie swoje zadanie popularnego przedstawienia dogmatów wiary katolickiej.

Co jednak najwięcej podnosi wartość tej książki, to jej siła dowodowa.

Założenie jest jasnem i ściśle określonem. Na mocy prostego

rozumowania wypływa jeden wniosek z drugiego; a z tak żelazną konsekwencyą, że jeślibyśmy się zgodzili na pierwsze przesłanki — a zgodzić się na nie musimy — to siła argumentu ciągnie nas coraz dalej. Niepodobna opierać się; kto ma dobrą wolę, czuje, że musi uledz rozumowaniu.

K. Konopka.

Les Nations apôtres. Vieille France, Jeune Allemagne. *Georges Goyau.* Paris. Librairie academ. Perrin. 1904.

Nazwisko autora tej książki znanem jest dobrze wszystkim, którzy zajmując się piśmiennictwem francuskiem w kierunku społecznym i katolickim śledzą wydawnictwa tego rodzaju. Szczególniej dwa tomy p. t. *Autour du catholicisme social* przedstawiają wiele ciekawych kwestyi bieżących, opartych o fundament poważnych studyów, a zarazem ożywionych takiem szczerem przejęciem się ideą umiłowaną pracy społecznej, że i w sercu czytelnika wywołują żywszy odgłos. Pan Goyau wiele z prac swoich drukuje w »*Revue de deux Mondes*« i później zbiera je w osobną książkę pod zbiorowym tytułem. I ten tom, który mamy przed sobą powstał tymże sposobem, jednakże nie odpowiada on w zupełności temu, co się pod nazwą »*Les nations apôtres*» dowiedzieć by chciało. »Stara Francya«, to ta Francya katolicka, która na przekór obecnemu rządowi pamięta o wzniosłych tradycyach wojen krzyżowych i na Wschodzie wysoko sztandar krzyża dzierży. Ale «Niemcy młode« pana Goyau nie są Niemcami katolickiemi, które niosą apostolską dobrą nowinę: pan Goyau z pewną zawiścią patryotyczną, a zarazem i głęboką znajomością stosunków w Niemczech zupełnie nie zwraca uwagi na katolicką działalność Centrum, Volksvereinu i tej silnej organizacyi katolickiej Westfalii. To czem się w swej księdze zajmuje dotyczy apostolstwa protestantyzmu. — Podróż cesarza Wilhelma słusznie nazwana pielgrzymką luterską do Jerozolimy i luteranizm niemiecki w Austryi tak groźnie przeciw kościołowi katolickiemu walczący — oto dwa objawy życia młodych Niemiec, które pan Goyau przedstawia w kontraście do starej katolickiej Francyi. Jeżeli więc swej książce dał tytuł *Les nations apôtres*, to kierowany patryotyzmem pełnym wyłączności, chce przekonać czytelnika, że mimo wszystkiego — Francya jest od wieków wierną strażniczką kościoła, gdy Niemcy mimo niedawnych uprzejmości Wilhelma II względem Papiestwa, są

jakby związane z protestantyzmem, mieszając miłość ojczyzny z przywiązaniem dla Lutra, którego czczą jako bohatera narodowego.

»Dawna wymiana usług, które dotąd trwają pomiędzy katolicyzmem a Francyą i współczesna wymiana usług między Niemcami a protestantyzmem, oto podwójna treśc tych studyów« pisze autor w przedmowie. Równocześnie jednak zastrzega się, że kościół katolicki nigdy nie jednoczy swych interesów z jednym tylko narodem i utrzymując charakter kościoła powszechnego nie daje z siebie uczynić jakiejś pogańskiej »*religion de la cité*« — owszem zachowując prerogatywy narodów, dba przedewszystkiem o swój charakter powszechności. Przeciwnie reforma luterska z biegiem wieków coraz więcej się przemienia na religię państwową, staje się narzędziem politycznem i »Chrystus staje się w tej interpretacyi jakby uosobieniem oderwanem i symbolicznem — energii niemieckiej i pangermanizmu!«

Ten ciekawy bądź co bądź punkt wyjścia francuskiego pisarza przypomina bardzo znaczący artykuł p. Franciszka Carry (drukowany w »*Correspondant*« z 10 września 1901), gdzie wykazuje historycznie, jak z biegiem czasu każdy z tych kościołów narodowych na Zachodzie czy Wschodzie Europy, kostnieje, kurczy się, traci żywotność sił przez brak cechy powszechności właściwej kościołowi katolickiemu. W czasach zaś naszych, gdy idea narodowości zwyciężyła ideę państwową, która pochłonęła znowu przywiązanie do dynastyi, — w grę walki wciągnięto również i kwestye religijne. To co w Polsce przyjęto jako jedno z patryotycznych praw, że co Polak to tem samem katolik, — powtarza się z odmianami różnemi. W Austryi, która jest mozaiką narodowości, te antagonizmy narodowe plątają się ze sprawami nie już obrządku ale wiary. W Czechach wrogi prąd wszechniemiecki uczynił sobie narzędzie właśnie z kwestyi religijnej, obierając jako sztandar niemieckości prozelityzm protestancki.

Leon XIII dążył wszędzie do tego, aby wyrwać katolicyzm z odosobnienia i niedozwolić, aby go łączono z formą pewną rządu. Dalszą konsekwencyą tej pracy, to zachowanie swobody ruchów kościoła przez postawienie go wysoko ponad spory narodowościowe. Nie pozwalając wciągać katolicyzmu w grę partyi, równocześnie Leon XIII starał się uwzględniać przywiązanie poszczególnych narodów do form zewnętrznych, drogich przez długoletnie do nich przyzwyczajenie. Myśl tę wielkiego papieża wybornie zrozumiał kardynał Lavigerie. Pan Goyau opierając się na dwóch monografiach księży Kleina i Baunard'a daje nam sylwetkę wyrazistą tego apostoła Afryki, kładąc na-

cisk na tem szerokiem jego pojęciu apostolstwa na czarnym lądzie Kardynał Lavigerie raz po raz upominał swoich »Ojców Białych«, aby nigdy nie dążyli do latynizowania wschodnich katolików, owszem powołując się na słowa Św. Pawła, każe im stać się wszystko wszystkim dla zbawienia wszystkich. »Reguła każe wam być Arabami na zewnątrz, aby tem łatwiej dotrzeć do wnętrza serc arabskich.» Tą myślą kierowany dążył do otworzenia przy kościele Św. Anny w Jerozolimie seminaryum dla wszystkich katolickich rytów oryentalnych, skrupulatnie dbając o zachowanie obrządków im właściwych. Było to dalsze rozwinięcie dogmatu o powszechności kościoła, który troskliwie ustępuje w zewnętrznych formach tam, gdzie przez poszanowanie tradycyi narodowych, jak w Chinach na przykład, może osięgnąć szybsze utrwalenie wiary w sercach swych dzieci innej rasy niż ta, która Europę zaludnia.

Pomijamy dla szczupłości miejsca długi artykuł »*la France à Rome*«, gdzie pan Goyau kreśli dzieje długiej ambasady przy Watykanie p. Lefebure, umiejącego troskliwie pielęgnować związek między kościołem a demokracyą francuską wbrew intencyom Rządu francuskiego, tak ulegającego wpływom radykalnym. Dla nas mieszkających w Austryi osobne zajęcie przedstawia ciekawe studyum nad luteranizmem niemieckim w Austryi.

Hasło *Los von Rom* rozbrzmiewające od lat kilku w Austryi, przedewszystkiem w Czechach i Styryi, przyniosło spustoszenie i pomieszanie. Uparty fanatyzm wszechniemiecki, popierany hojnemi pieniężnemi subwencyami, przysporzył od r. 1899 do końca pierwszego półrocza 1902 16.000 wyznawców protestantyzmowi, a około 8,000 staro-katolickiemu wyznaniu, którego głową jest pastor Nittel, stale ubolewający nad kompletnym brakiem duchownych w swym kościele.

Charakterystyczną jest rzeczą, jak ten prozelityzm religijny, kierowany wyłącznie polityką, jest surowo sądzonym przez pastorów tych, którzy szczerze szanują protestantyzm. Pastor Johanny osiedlony w Wiedniu głośno i publicznie zaznaczył, że »protestantyzm prawdziwy zupełnie nie pochwala agitacyi politycznych, które nadużywają haseł religijnych«; tak samo się wyrażał w Czechach pastor Krack, a cyrkularz «*Oberkirchenrat'u*« z r. 1899 przestrzegał, że świeże i masowe zmieniania wiary katolickiej na protestantyzm nie spoczywają wcale na przekonaniach religijnych i surową baczność przy przyjmowaniu tego rodzaju wyznawców politycznych nakazywał. Ta postawa kilku wytrawnych protestantów austryackich wywołała polemikę i oburzenie

wśród Niemców z tej i tamtej strony granicy. Wolf i Schönerer drogą dziennikarską, Liga ewangelicka, superintendent Witz-Oberlin, agitator protestant Bräunlich, zebrania w Dreznie i Lipsku wystąpili z szaloną zajadłością przeciw tym głosom uczciwości. Agitacya wzrastała, a wypadki niejednokrotnie potwierdzały, że apostołowie niemieccy obwozili zarazem cyrkularze polityczne. Całe paki broszur przechodziły przez granicę bezkarnie, a gdy następca tronu przyjmując przewodnictwo Stowarzyszenia szkolnego katolickiego oświadczył, że hasło *Los von Rom* znaczy *Los von Österreich,* trwożliwy rząd Körbera starał się coprędzej zatrzeć wrażenie odkrytej prawdy!!! — Podziwiać trzeba to dobrowolne zaślepienie władzy. Pan Goyau na podstawie wiarogodnych świadectw i dokumentów zestawia jak wszędzie, gdzie agitacya *Los von Rom* szaleje, wzrasta kult Bismarcka i Lutra. Chrystus Pan schodzi na drugorzędne miejsce. Co więcej agitatorzy tam, gdzie widzą uprzedzenie do chrześcijaństwa inaugurują powstanie nowego jakiegoś pangermańskiego kultu Wotana, któryby nosił nazwę *völkisch,* a liczył lata od bitwy pod Norcią między Teutonami a Rzymem! — Schönerer i dep. Iro gorliwie starali się rozszerzyć zapał dla tej nowej religii germańskiej. Dzienniki »*Odin*« w Monachium, »*Scherer*« w Insbruku, »*Freie Deutsche Schule*» nawoływały do święcenia *Julifest,* i do czci dla słońca. Starokatolicy nie chcąc się dać ubiedz zakładali znowu Dziennik *Deutsch-völkisch* p. t. »*Volksruf*«. Radykali bez ogródki wyznawali, że protestantyzm to tylko prowizoryczne schronienie przed Rzymem, chwilowe oczyszczenie się z rdzy katolickiej.

Trzebaby streścić chyba całą długą rozprawę pana Goyau, aby ciekawość rozbudzoną zadowolnić. Te walki religijno-polityczne w końcu XIX w. przenoszą jakby w inną epokę: tylko że obecnie nie tyle szczęk broni ile czernidło drukarskie tej walce służy. Wszakże w dziale anonsów gorliwi Benedyktyni Prascy w ciętych i krótkich artykulikach walczyli w obronie kościoła!

Ale nie mogąc już więcej rozszerzać ramy sprawozdania, powtórzymy jeszcze bardzo ciekawe uwagi pana Goyau: »Kościół katolicki w Austryi jest jeszcze siłą, ale opinia katolicka siły żadnej niema«; i powodu tego szuka autor w samej zasadzie bezwyznaniowej prawie szkoły, jak i w przeciążeniu obowiązkami biurokratycznymi proboszczów; Kościół stał się kancelaryą urzędową, proboszcz urzędnikiem państwa. Przywalony pracą biurową zaniedbuje obowiązki pasterskie. Wobec rutyny panującej w Austryi, gaśnie i duch zapału.

Nie uwzględnia się zmiany zaludnienia w nowych osadach fabrycznych; nikt nie myśli w Czechach o pomnożeniu placówek katolickich parafii, tak jak rząd nie myśli o pomnożeniu biskupstw. Religia prawie nieznana nominalnym katolikom nie opiera się też na żadnych trwałych fundamentach. Leon XIII zakładając w Rzymie kolegium czeskie w obu językach dał pochop do odnowienia kościoła katolickiego w Czechach, na który też czyha zmora politycznego skostnienia.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Pamiętniki Jana Weyssenhoffa. Z portretem autora. Wydał Józef Weyssenhoff. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1904. (W 8-ce, str. 251, V).

Po krótkim wstępie, napisanym przez wydawcę, od str. 1—7, mamy tu dziewięć rozdziałów właściwego Pamiętnika, od 7—218, dokończenie, 233—241, skreślone także przez wydawcę i anneksy, 241—251.

Pamiętnik ten, pisany pomiędzy pomiędzy 1841—1843 rokiem, niedokończony, zawiera w sobie okres czasu od roku 1791—1831 — ważny w dziejach naszych. Wiadomości, pochodzące z tych lat, opisane przez współczesnego świadka, zajmującego wybitne stanowisko, mogłyby stanowić ważny materyał do historyi tych czasów; ale generał Weyssenhoff przeznaczył te wspomnienia tylko dla rodziny i znajomych swoich, z tego powodu dla szerszej publiczności nie mają one już tak wielkiego znaczenia; lecz zważywszy na to, że autor tych pamiętników był generałem, czynnym w wielu wojnach, że pochodzą te wspomnienia od rycerskiego patryoty, z tego powodu przedstawiają one wartość niezaprzeczoną; chociaż znowu opisując niemal wyłącznie wypadki wojenne, obchodzące najbardziej generała, autor nie przedstawił całkowitego obrazu tej ciekawej i ważnej epoki z naszej przeszłości; pomimo jednak tego wszystkiego ogłoszony pamiętnik stanowić będzie pożądany przyczynek do dziejów naszych tych czasów, należy się więc wdzięczność wydawcy za jego wydrukowanie

Podajemy w krótkości treść tych pamiętników.

Rozdział I, 7—30, poświęcony opisowi dzieciństwa, nauk pierwotnych, domowych, rodzinnych stosunków, wstąpienia do wojska w 1789 roku; potem wojna z Rosyą i Targowica w 1792 r., bitwa pod Stołbcami i Mirem, odwrót przez Grodno do Warszawy, rządy Targowicy i rozpuszczenie 8-go pułku piechoty litewskiej.

W rozdziale II, 31—44, rewolucya w 1794 roku, różne rodzinne wspomnienia, wybuch rewolucyi w Wilnie, potyczka pod Niemenczynem, pod Sołami, rząd tymczasowy na Litwie, odwołanie Jasińskiego (którego autor był adjutantem), generał Wielhorski

i porównanie jego z Jasińskim, wycofanie się wojska z Wilna do Weronowa, autor zostaje majorem, organizuje wojsko nad Narwią, upadek rewolucyi.

Rozdział III, 45—54, przedstawia wypadki od 1795—1805, podróż autora za granicę, studya jego w Paryżu, dosyć wspomnień osobistych, ale interesujących, w czem jest mała przerwa.

Rozdział IV, 55—94, zdaje sprawę z wydarzeń pomiędzy rokiem 1806—1808; autor, jako adjutant Dąbrowskiego, organizuje wojsko w Poznańskiem, bierze udział w utarczkach około Tczewa i w oblężeniu Gdańska, jest dowódcą 4 pułku piechoty, odkomenderowany do Torunia po zawarciu pokoju w Tylży.

W rozdziale V, 95—130, dzieje roku 1809 i 1810: pułk Weyssenhoffa (który się ożenił w tym czasie z Teklą Otwinowską), idzie z pod Torunia pod Warszawę, zostaje pod rozkazami Sokolnickiego, bitwa pod Grochowem, wzięcie Sandomierza, kapitulacya Krakowa, wejście tam wojsk polskich, przyjazd króla saskiego do Krakowa.

Rozdział VI, 131—161, zawiera w sobie działalność wojsk polskich w 1811 i 1812 roku; choć to już nieraz opisywane było, ale opowiadanie Weyssenhoffa czyta się z przyjemnością.

W rozdziale VII, 162—194, mamy kampanię w 1813 r.; wprawdzie nie brak nam opisów różnych z tych czasów już dawniejszych, lecz Weyssenhoff umiał i tu dość barwnie i zajmująco przedstawić te walki i bitwy; kończy się ten rozdział kapitulacyą Drezna 11 listopada, wzięciem przez autora paszportu i powrotem do Krakowa; sprawy familijne w 1814 roku także są tu opisane.

Rozdział VIII, 195—217, zaznajamia nas, w przyśpieszonem tempie opowiadania, z wypadkami od roku 1815—1830: autor, jako dowódca dywizyi ułanów, w Warszawie, działalność tam księcia Konstantego, źli jego doradcy (Rożniecki, Kuruta, Zandr, Lubowidzki), wyzysk i szpiegostwo, przyjazd cesarza Aleksandra do Polski w 1817 r. i w 1824, autor generałem dywizyi w 1826 r., stan kraju przed rewolucyą, spiski pomiędzy młodzieżą, oburzenia wywołane przez Różnieckiego i Kurutę, koronacya Mikołaja, autor wysłany do dworów zagranicznych, donosi o zaszłej koronacyi cesarza.

W rozdziale IX, 218—232, wybuch rewolucyi, w której powodzenie autor nie wierzy, piętnuje nieudolność naczelników, gani surowo ich taktykę wojenną, krytykuje działania Skrzyneckiego, nie mówiąc o swojej czynności; wezwany tymczasowo na naczelnego wodza — odmawia tej godności; pobieżnie opisuje bitwę pod Grochowem i niektóre dalsze działania wojenne; pamiętnik przerwany i niedokończony.

W dokończeniu wydawca pamiętnika stara się dopełnić to, czego tam nie dostaje i uzupełnić dzieje 1831 r., jak też bronić autora od zarzutu opilstwa, który mu czyni, jak wiadomo, St. Barzykowski w swojej historyi powstania w 1831 r., mówiąc o Weyssenhoffie: »odznaczająca się to była postać, umysł wykształcony i nie pozbawiony zdolności, lecz nieszczęśliwy nałóg pijaństwa, jaki posiadał, sprawiał, że buława w jego ręku ani na chwilę nie mogła być złożona«.

W listopadzie 1831 roku generał Weyssenhoff wrócił z Krakowa do Warszawy; potem zasłał go rząd do Kostromy na wygnanie, gdzie był półtora roku i w 1848 roku, osiadłszy

na wsi, oddał Bogu ducha w Samoklęskach, utraciwszy pięć lat przedtem żonę, z którą miał syna Włodzimierza i córkę Helenę, wydaną za Lucyana Woyniłłowicza.

W anneksach ważnych bardzo rzeczy niema: znajdujemy tu list francuski, bez podpisu i daty, Józefa Poniatowskiego do generała Weyssenhoffa na kilka dni przed bitwą pod Lipskiem pisany, list generała Mouton, marszałka francuskiego, do tegoż z dnia 24 października 1814 r., oprócz tego w archiwum wydawcy znajdują się jeszcze, zacytowane tutaj, różne patenty generała Weyssenhoffa, listy do niego innych dygnitarzy i t. p., a podane są tu nadto niektóre odezwy Rady Najwyższej Narodowej z r. 1831, cyrkularze i amnestya cesarska w 1833 roku.

G.

Światowit. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. Tom V. Warszawa 1904. Skład główny w księgarni J. Fischera (8-ka duża, str. VI, 1 nlb, 269, z 506 ilustracyami i 11 tabl.]

Każdy, kto bodaj troszeczkę tylko zna rozwój archeologii w innych krajach, dobrze zrozumie i należycie oceni zasługi p. Majewskiego, którego niezmordowanej energii winniśmy powstanie omawianej publikacyi. Bo podczas gdy gdzieindziej roi się formalnie od pism specyalnych i wydawnictw, poświęconych wyłącznie badaniom archeologicznym, u nas tymczasem nauka ta, niedoceniana przeważnie przez ogół, miała do niedawnego czasu jedyny przytułek w »Materyałach antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych«, wydawanych przez krakowską Akademię Umiejętności, które (nawiasem powiedziawszy) przeznaczały jej bardzo szczupłe miejsce. Dzięki prywatnej ofiarności p. Majewskiego uratowany został honor nauki polskiej. Mniejsza zresztą o pieniądze! Ale ile to trudów musiał włożyć p. Majewski w to wydawnictwo? skoro fachowych archeologów jest u nas zaledwo kilku, reszta zaś — to przygodni badacze lub dyletanci.

To też nie dziw, że lwią część omawianego tomu »Światowita« zajęły prace samego redaktora, osnute na podstawie własnych wykopalisk. Mamy tutaj zatem »Nowoodkryty ornament sznurkowy falisty w ceramice neolitycznej południowych okolic Królestwa Polskiego«, oraz »Linię falistą poziomą, jako motyw zdobniczy w ceramice przedhistorycznej« i »Spostrzeżenia nad stosunkiem żwirów czwartorzędowych rzecznych do warstw, wśród których są zawarte«, a nadewszystko część drugą rozpoczętej w poprzednim roczniku rozprawy p. n. »Powiat Stopnicki pod względem przedhistorycznym«. Z dawniej rozpoczętych prac mamy tutaj dokończenie studyum znanego archeologa kijowskiego K. Bołsunowskiego p. t. »Znaki symboliczne na słońcu«. Niestrudzony w poszukiwaniach litewskich p. Wandalin Szukiewicz opisał w dwu częściach »Narzędzia kamienne gładzone w powiecie lidzkim i trockim«. Ciekawe znalezisko złotych przedmiotów« opisał p. Al. Bydłowski »Mogiły w Nowosiółce w pow. lipowieckim, gub. kijowskiej«, a p. K. Stołyhwo zajął się zbadaniem czaszek, wydobytych z wymienionych grobów. Również ściśle wiążą się ze sobą prace p. S. J. Czarnowskiego p. t. »Czaszka z jaskini Oborzysko Wielkie na lewym brzegu Prądnika

pod Ojcowem« i K. Stołyhwy »Spy-Neanderthaloides«, przyczem jedna jest uzupełnieniem drugiej.

W dziale »Korespondencyi »napotykamy przedewszystkiem objaśnienie opublikowanego w minionym roczniku posążka scytyjskiego, który okazał się zwyczajnem fałszerstwem. Mamy tu dalej drobne wiadomości o »Zabytkach z dołu ze szczątkami przedhistorycznymi w Opatowie« przez ks. K. Targowskiego, »Wykopaliska w Arkuszewie z epoki żelaznej, zw. la Tène« przez M. Rawicz-Witanowskiego«, Znaleziska w Kurzelówce« na Podolu przez M. Wilczewskiego oraz wiadomość bibliograficzną o »Popielnicach«, podaną przez H. Łopacińskiego.

W »Przeglądzie archeologicznym« mamy streszczenie części piątej dzieła prof. d-ra L. Niederlego p. n. »Ludzkość w dobie przeddziejowej«, przekład rozprawy prof. G. Sergi p. n. »Pochodzenie i rozsiedlenie szczepu śródziemnomorskiego« i »Materyały do mapy archeologicznej«, zebrane z »Słownika geograficznego« przez M. Rawicz-Witanowskiego oraz »Notatki do mapy archeologicznej gubernii płockiej« przez L. Rutkowskiego.

Szereg rozbiorów i sprawozdań, drobne wiadomości i bibliografia »Literatury ogólnej, dotyczącej kwestyi aryjskiej« kończą ten bogato ilustrowany rocznik »Światowita«.

B. U.

Materyały etnograficzne, zebrane w różnych okolicach Galicyi zachodniej. Część druga: Wierzenia i przesądy. *Dr. Władysław Kosiński.* (Odbitka z »Materyałów antropol.-archeol. i etnograf.«) Kraków. Nakł. Akad. Um. 1903. (8-ka, str. 86).

Do wydanej przed 20-tu laty części pierwszej, która zawarła baśnie, legendy, zagadki i przysłowia, przybywa obecnie nowy zbiór, zebrany od uczniów gimnazyalnych — z powiatów: wadowickiego, bialskiego, myślenickiego i żywieckiego, tudzież w drobnej części z paru innych sąsiednich. Demonologia ludowa, jak wiadomo, u nas bardzo biedna, zaczyna zbiór d-ra Kosińskiego. Z nią łączy się ściśle dział wiadomości o czarach, czarownicach, smokach i gusłach. W dalszym ciągu napotykamy szereg zabobonów, tyczących się przyrody, szczególniej zaś meteorologii oraz niektórych zjawisk w przyrodzie. Dalej następują bardzo liczne przesądy, mające za przedmiot życie ludzkie. Wreszcie mamy tu dział wierzeń, przywiązanych do różnych dni w roku, oraz poglądy ludowe na choroby, lekarstwa i śmierć. Przy każdym zabobonie podano dokładnie miejsce jego pochodzenia.

R. U.

Pamiętnik Jul. Ursyna Niemcewicza o czasach Księstwa Warszawskiego wydał A. Kraushar. Warszawa 1903. Nakładem Gebethnera i Wolffa. (W 8-ce, str. VI, 196, IV).

Tego Pamiętnika wydawca, któremu zawdzięczamy tyle znakomitych, pouczających rzeczy, znalazł autograf jego pomiędzy rękopisami biblioteki cesarskiej w Petersburgu i, zmieniwszy nieco pisownię i zadawnione formy gramatyczne, z pietyzmem wszystko inne pozostawił bez zmiany.

Obejmuje on tylko trzy niespełna lata, od 1807 do 1809 roku: od przyjazdu króla do Warszawy w listopadzie 1807 aż do otwarcia sejmu marcowego w 1809 r.

Właściwie powiedziawszy, chyba, niema tu zupełnie nowych, nieznanych szczegółów, ale ich oświetlenie, wykazanie faktami nowymi tego,

cośmy już wiedzieli przedtem, spotykamy niemal na każdym kroku. Wycieńczenie kraju, podatki ogromne, nędza ogólna, rozpanoszenie się Francuzów, nie chcących uwzględnić nieszczęśliwego Księstwa stanu, — uwydatniają się tu bardzo wymownie i wyraźnie; spór o donatywy, Towarzystwo Przyjaciół nauk, organizacya senatu, sprawa redukcyi monety drobnej, brak sprężystości w radzie stanu, przedstawione w należytem świetle; sylwetka króla, królowej i królewny — wierna; charakterystyka dygnitarzy i senatorów owoczesnych — prawdziwa; sprawy wojenne w Księstwie i plany wojenne w Austryi, działalność wojsk francuskich w różnych krajach europejskich opisane bardzo dokładnie.

Względem tylko Zgromadzenia XX. Benonów jest Niemcewicz stronniczy w swoich sądach. My teraz mamy bardziej wyczerpujące o nich wiadomości (cf. Haringer: *Leben Clemens-Maria Hofbauer*. Regensburg 1880) i o ich pobycie w Warszawie, ale i Niemcewicz mógłby się był postarać o lepsze o nich informacye...

G.

Polskie podania i powiastki dziejowe. Spisał *Jan Tworzymir*. Poznań. Druk i nakład Jarosława Leitgebera. 1904.

Znane i nieraz w różnych edycyach czytane i prozą i wierszem rzeczy, a jako podania historyczne, wielokrotnie krytyce już poddawane. Gdyby autor nie był w przedmowie wytłumaczył, że zebrał je w całość z obawy, żeby nie poszły w zapomnienie, możnaby je wziąć za nowe, nie lepsze i nie gorsze wydania dla historyków 10-cio lub 8-letnich. Poważniejszym celem umotywowane, powinny mieć wymienione miejsca, na których zebrane, źródła, z których wzięte, zwłaszcza, że każda dawniejsza »historya Polski« niemi była przepełniona. Pisane i wybrane w duchu odpowiednim dla dzieci i biblioteczek ludowych, ale nawet mały historyk zauważy, że np. w legendzie o smoku brak wzmianki o ubogim szewcu Skubie, który fortel z baranem księciu poddał. Rysunki liche, a zakonnice uciekające przed Tatarami nie nosiły ubrania Szarytek.

A. R.

Dějiny české literatury, napsal *Vlček Jaroslav*. Zeszyt XIV, tomu drugiego część II-ga. Praha 1904. Nakladem Jednoty českych filologu. (8-ka, str. 105—176).

Bardzo jakoś powoli ciągnie się wydawnictwo tej historyi literatury, od czasu bowiem wydania poprzedniego zeszytu upłynęły z górą dwa lata. A szkoda, bo jedyny to dobry podręcznik. Omawiany zeszyt obejmuje dokończenie rozdziału o zasługach Jungmanna na polu rozbudzenia narodowej nauki czeskiej, omawia dalej działalność Szafarzyka i Kollara oraz prace estetyczne i historyczne Palackiego, a nakoniec wpływ ludowych pieśni czeskich na literaturę piękną, zwłaszcza na Czelakowskiego. Życzyćby należało, ażeby ciąg dalszy tego cennego dzieła ukazał się w przyśpieszonem tempie, na czem zyska i jednolitość dzieła wobec nieustannego postępu badań nad czeską historyą literatury. *A. O.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Skąd Polacy czerpią swą siłę?

W walce, jaka się obecnie w Niemczech przeciwko Polakom toczy, odgrywają pierwszą rolę względy polityczne, nie można jednak zaprzeczyć, że na te anormalne stosunki wywierają znaczny wpływ i względy religijne: znamiennym do wyjaśnienia tej sprawy przyczynkiem a zarazem jej dowodem jest artykuł, ogłoszony w *Kölnische Zeitung*. Autor zastanawia się tam nad pytaniem, skąd Polacy czerpią swoją niezużytą, z dnia na dzień przeciwnie wzmagającą się moc«. Z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, w której prymas polski rezyduje, którego tytuł podniósł Ledochowski na koncylium watykańskiem do dawnej hierarchicznej godności, nie trudno dla znającego stosunki rzymskie dojść po kłębku do pałacu Propagandy na hiszpańskim placu. Tam, gdzie jeszcze przed dwoma laty najpoważniejszy i najgorętszy szermierz współczesnej Polski, kardynał Ledochowski, wielki pan z urodzenia, książe Kościoła z łaski papieża, nosił rzymską purpurę, a z nią ciężar cały świat obejmującego urzędu, schodzą się wszystkie delikatne nici, które z bezwładnych trzech części Polski tu i tam sięgają i w niemiłą łączą się tkaninę. Ledochowski stworzył szkołę w Watykanie, jego duch żyje tam jeszcze, a błądzi, ktoby sądził, że z jego śmiercią upadła silna podpora, którą wszechpolscy marzyciele w Kuryi

mają sobie zapewnioną«. Rzym, ciągnie dalej protestancka gazeta, łącząc w sobie wszystkich katolików, jest dla politycznie zmarłych Polaków symbolem ich narodowej jedności; Kurya umiała też tę ideę kształcić, w niej utwierdzać i ją wykorzystać, i tak długo będzie ze swego wpływu korzystała, jak długo interesowane mocarstwa nie wyprą wpływu polskiego z Watykanu. Dowód na powyższe twierdzenia znajduje autor między innemi w staraniach Watykanu około utworzenia nuncyatury w Petersburgu; ta nuncyatura ma bowiem mieć na celu nie sprawy katolików rosyjskich, lecz polskich.

Jak więc te wpływy osłabić? *Kölnische Volkszeitung* robi słuszną uwagę, że dla prawdziwego hakatysty przyczyną nienawiści polskiej jest także katolicyzm Polaków, że hakatysta, jeżeli nie w większej, to przynajmniej w równej mierze prześladuje Polaków dla ich narodowości i ich religii, gdyż katolicyzm jest mu zawsze solą w oku. Dlatego nikogo nie zadziwi fakt, że protestanccy Niemcy zwrócili swoją uwagę na robotników polskich, rozsianych po całym kraju niemieckim, a nie mogąc protestantyzmu rozszerzać między ludem polskim, skupionym na pewnym ograniczonym obszarze, chcą w objęcia protestantyzmu zwabić robotników. Cyrkularz pomorskiej gałęzi »Towarzystwa dla rozszerzania ewangelii«, podpisany przez wielu urzędników państwowych, wzywa do szczególnego zajęcia się polskimi wychodźcami, do propagowania wśród nich protestantyzmu, co tem łatwiej przyjść powinno, że Kościół katolicki dla nich nic nie robi.

Znajduje się w tem twierdzeniu wprawdzie sprzeczność z twierdzeniem wyżej omówionem, ale o to mniejsza, Co zadziwia, to fakt, że urzędnicy państwowi wstrętny ten program podpisali. A gdyby tak katolicy oddali pięknem za nadobne? Słyszelibyśmy wkrótce o nietolerancyi, o rozsiewaniu niezgody wyznaniowej, w całych Niemczech grzmiałaby pewnie pobudka wojenna.

A i to zadziwia, że ci ludzie żyjący w kraju, gdzie socyalizm wprost nieproporcyonalnie się rozwija, gdzie z przysłowiowej »bojaźni Bożej«, nie ma i śladu, gdzie w niedziele i święta nabożeństw odprawiać nie można dla braku wiernych, gdzie jak to kilka ostatnich procesów wykazało, zgnilizna moralna w wysokich

nawet sferach w przerażający sposób się szerzy, nie myślą o pracy nad powierzonemi swej pieczy duszami, lecz chcą tą pieczą obdarzać Polaków, którzy jej nie potrzebują i za nią dziękują. Czyż nie byłoby lepiej przed własnym wpierw zamieść progiem?

Głos niemiecki o obowiązkach katolików francuskich.

W ostatnim numerze *Przeglądu* zdaliśmy obszerniejszą sprawę z znamiennego głosu francuskiego pisarza Berchois o obowiązkach ciężących na katolikach we Francyi. Uzupełnieniem jego programu jest program pewnego katolika niemieckiego, tej samej sprawy tyczący: różnica między tymi dwoma programami w tem spoczywa, że podczas gdy pierwszy nawoływał wprost do pozytywnej pracy, drugi wytyka na pierwszem miejscu błędy i przyczyny, które obecną religijną walkę we Francyi wywołały i tym dopiero sposobem wskazuje, co czynić wypada. Pięć przyczyn głównych podaje autor niemiecki, powodujących smutne zajścia francuskie. Pierwszą to duma narodowa Francyi, która przeniknęła wszystkie warstwy narodu. Hasła, jak »Francya na czele cywilizacyi europejskiej«, «Francya, starsza córka Kościoła«, »Chrystus Francyi«, «Francya zasłużona córka Kościoła« rozbrzmiewają jeszcze dziś codzień, a ci, którzy te hasła tak rozszerzają, zapominają o tem niestety, że ten chyba naród może się uważać za zasłużony i uwzględniony od Boga i Kościoła, gdzie życie katolickie kwitnie i rozwija się. Naród francuski, słysząc te ciągle się powtarzające hasła, zapomina wejść w siebie, pogłębić swój stosunek do Boga i wiary, pomyśleć o zmianie życia religijnego, uczy się natomiast spuszczać jedynie i wyłącznie na Boga, a poprawy stosunków oczekiwać od cudu. Znamiennem do tych zapatrywań był fakt, że kiedy chodziło o beatyfikacyę Dziewicy Orleańskiej, Francuzi zapomnieli prawie o swoich wielkich Świętych przeszłości, a znowu w samej Joannie D'Arc nie tak heroicznemi cnotami wsławioną dziewicę, jak raczej bohaterkę, która poprowadziła Francyę do zwycięstwa, widzieli. O drugiej ważnej przyczynie, o braku jedności między katolikami, wspominał *Przegląd* już kilka razy. Katolicy walczą między sobą o monarchizm, bonapartyzm, roajalizm, orleanizm, republikę, owszem zawiść i spory sięgają nawet do drobnych stronnictw, a tu tym-

czasem wszystko się wali. Dlatego słusznie i mądrze radził Leon XIII zapomnieć na razie o kwestyach pobocznych, a na danym politycznym terenie zwalczać wspólnie wspólnego wroga, tak jak to czynią przeciwnicy różnych odcieni w swych zapatrywaniach politycznych, jedni zawsze i tą jednością silni, ile razy chodzi o sprawy Kościoła. Spory te rozciągają się nie tylko na różne partye, ale wrą i w łonie tych samych stronnictw, zwracając się przy najmniejszej okazyi przeciwko własnym przywódcom, którzy tym sposobem powstrzymują się od brania udziału w życiu publicznem. Mimo to wszystko odznaczają się Francuzi szczególniejszym optymizmem w ocenianiu bieżących wypadków; drobne rzeczy przybierają w ich oczach wprost olbrzymie rozmiary. Gdy jakiś deputowany wystąpi energicznie przeciwko rządowi, słychać zaraz wszędzie o wielkiej klęsce rządu; gdy kilku, może najlepszemi chęciami powodowanych, ale niezdolnych ludzi, pocznie agitować w czasie wyborów, większość katolicka już zapewniona; gdy jakiś biskup dzielnie rozpocznie bronić interesów Kościoła, mówi się powszechnie o wielkiem zwycięstwie Kościoła. I jeszcze dziś rozpowszechnione jest tak fałszywe, ale tak ciekawe zdanie: »to dobry katolik, ale on nie pełni obowiązków religijnych«. Z tem wszystkiem łączy się brak wielkich politycznych katolickich dzienników. Jedne z nich, jak *Univers* lub *Vérité* mają za mało prenumeratorów i zwalczają siebie nawzajem, inne mają jeszcze mniej zwolenników, ponieważ zatwardziale stoją przy przestarzałych już pojęciach politycznych, inne wreszcie w polemice i przedstawianiu aktualnego stanu rzeczy przechodzą wszelką miarę. Rozszerzony między klerem i ludem *La Croix* większego wpływu wywrzeć nie potrafi. Brak więc prasie katolickiej na kierownictwie, brak jej na poparciu.

Przychodzi wreszcie jedna ważna, już na polu religijnem leżąca przyczyna: Jansenizm. Niesłychanie wiele złego wyrządził on we Francyi odciągając ludność od uczęszczania do Sakramentów; tym sposobem odciągnął on od Kościoła, a lud odstręczył od kleru. Zaniedbanie Sakramentów świętych nie podniosło, rozumie się, ducha katolickiego, a słabe nauki i kazania dążące więcej do rozkołysania wyobraźni i poruszenia serca, aniżeli do

kształcenia rozumu i ujarzmienia woli, wpływu żadnego wywrzeć nie mogły. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, że kler prawie zupełnie od pracy publicznej się powstrzymuje, że długie lata na wielu stolicach biskupich zasiadali ludzie albo nieodpowiedni, albo niegodni, nie zadziwi nas, że doszło do tego smutnego stanu, który serce przeraża, a tak mało zostawia nadziei.

Dalszy ciąg walki religijnej w Francyi.

Sprawa biskupów z Laval i z Dijon zakończyła się lepiej, jak się tego spodziewano; obaj poddali się papieżowi i złożyli w jego ręce swoje godności. Słusznie więc zauważył *Radical:* »Wiemy, że biskupi podlegają tylko jednemu ministrowi, temu, który w Rzymie zasiada«. Dla uspokojenia tych, którzy w postępowaniu Ojca św. widzą tylko s u r o w o ś ć, wystarczy zapamiętać sobie, że żadnego z tych biskupów papież nie potępił. Biskupowi z Laval powiedział Pius X »nie potępiłem cię i nie potępię«; w liście znów kardynała-sekretarza stanu, ogłoszonym w sprawie biskupa z Dijonu, znajduje się ustęp: »Stolica Apostolska nie wydała żadnego wyroku na ks. biskupa Le Nordez«; obaj ustąpili dlatego, ponieważ widzieli, że w obecnych warunkach trudno im dalej urząd sprawować. Swoją drogą powyższe zapewnienia Watykanu nie zapobiegły ubliżającym obu biskupom pogłoskom. »Biskup z Laval, pisze *Radical*, należy bezwątpienia do tych, którzy wierzą w prędki rozdział państwa od Kościoła. Jak długo ten rozdział był wątpliwym, trzymał się biskup Geay w kwestyi konkordatu rządu, śmiało stawił czoło piorunowi podającemu z św. Oficyum i klątwie kościelnej. *Le petit Père Combes* był dla niego tarczą przed atakiem papieża. Ks. Geay był pewnym, że tak długo zatrzyma swój urząd, jak długo rzeczpospolita nie porzuci konkordatu. Teraz jednak niebo się zachmurzyło: ambasadę przy Watykanie zniesiono, a izba będzie obradować nad rozdzieleniem państwa od Kościoła«. W podobny sposób wyrażano się i o ks. biskupie Le Nordez.

Swoją drogą rozdział państwa od Kościoła przygotowuje się coraz więcej. W głośnej mowie w Auxerre zarzucił Combes Kościołowi, że od lat 30 stale przeciwko konkordatowi wykraczał,

że więc ten ostatni musi być zerwany. Nowy konkordat jest niemożliwy i musi nastąpić rozłączenie się, ale w zgodzie, aby tym sposobem przyczynić się do społecznego pokoju i religijnej wolności. Do tego doprowadzi cała partya republikańska, którą cechować musi usposobienie pokojowe, aby przeciąć drogę dla podejrzeń, że chodzi tu o ujarzmienie sumienia. Combes sam jest gotów do wszelkich ustępstw i wszelkich ofiar, aby ten rozdział sprowadził nową erę społecznego pokoju, a stowarzyszeniom kościelny przyniósł prawdziwą wolność pod najwyższą władzą państwa.

Na zarzut, że Kościół sam spowodował obecne przesilenie odpowiedział urzędowo *Osservatore Romano.* Papież zawsze, kiedy chodziło o obsadzenie stolicy biskupiej, zastanawiał się nad projektami rządu, choć go nawet, jak to było w zwyczaju, o tem nie uwiadomiono; jeżeli jakiejś osobistości przyjąć nie mógł podawał zawsze przyczyny, dla których tak postąpił, choć nie był do tego obowiązanym, a nikogo nie odrzucał dla jego zapatrywań rzeczypospolitej sprzyjających; nigdy nie kwestyonował wiążącej siły konkordatu, tak bardzo jednak i zasadniczo różniącego się od artykułów organicznych i jest przekonany że sumiennie owe zobowiazania wypełniał; nigdy również nie wysyłał do rządu deklaracyi, któraby się odnosiła do rozdziału między państwem i Kościołem, ani nie groził odjęciem protektoratu na Wschodzie.

I prasa nie najlepiej przyjęła mowę Combesa. Gazety radykalne sądzą, że prezydent ministrów jeszcze za łagodnie sobie postępuje, gazety za to republikańskie umiarkowane ganią go i utrzymują, że myli się bardzo, jeżeli sądzi, że cała partya republikańska za nim pójdzie. *Temps* twierdzi, że napotka on na opór tam, gdzie dotąd znalazł zawsze poparcie i dodaje, że nie wolno o tak ważnej w następstwa rzeczy decydować bez zapytania się wyborców. *Journal des Débats* zarzuca mu fałszowanie faktów i zamiar, żeby stan rzeczy do ostateczności doprowadzić: «broni się, pisze, przeciwko zarzutowi, że nienawiść nim kieruje, a nienawiść płynie z ostatniej jego mowy«. »Do przeprowadzenia rozdziału, twierdzi *Aurore,* brakuje Combesowi przedewszystkiem na zrozumieniu nowego stanu, który chce zaprowadzić. Dziwiłbym

się bardzo, jeżeli on sądzi, że otrzyma na ten rozdział przyzwolenie Rouvier'a, Chaumié'go i Delcassé'go«. Nie wszyscy więc jeszcze do tych reform się zapalają.

Jak Combes rozumie owo rozstanie się w zgodzie, ochoczość do ustępstw i ofiar pokazuje najlepiej opracowany przez socyalistę Brianda projekt dla rozdziału Kościoła od państwa. W myśl tego projektu zapewnia wprawdzie Francya wolność sumienia, wolność opinii religijnych i wolność obrządków wyznaniowych, ale pod pozorem tego równouprawnienia dąży do ucisku religii, ogranicza wykonywanie obrzędów i samą religię czyni zależną od osobistych zapatrywań urzędników państwowych, co religii z pewnością na dobre wyjść nie może. Francya nie będzie nadal protegować lub wspomagać żadnego wyznania, nie będzie uznawać żadnego duchowieństwa i żadnego wyznania, nie odda żadnego lokalu dla potrzeb wyznania lub na mieszkanie dla duchownych bez wynagrodzenia. Z ogłoszeniem ustawy przestaje istnieć konkordat, ustaną również wszelkie pensye, wynagrodzenia, odszkodowania wypłacane duchownym ze skarbu publicznego; kościołów, seminaryów, pałaców biskupich, oddanych przez państwo do użytku duchownych wolno będzie używać jedynie za wynagrodzeniem. Ruchomości i nieruchomości należące do biskupstw, probostw, seminaryów i t. d., a ofiarowane przez wiernych rozdane zostaną w przeciągu 6 miesięcy świeckim stowarzyszeniom, założonym dla potrzeby wyznań; nieruchomości nadane przez państwo, wracają do państwa. Arcybiskupi, biskupi, proboszczowie, pastorzy, rabini, profesorzy seminaryów, którzy liczą 45 lat wieku a pobierali pensyę przez przeciąg lat 20 otrzymają dożywotnią pensyę, nie mniejszą od 600 fr. a nie większą od 1200 fr. Kościoły i mieszkania duchownych pozostają własnością państwa; procesye poza obrębem kościołów mogą się odbywać tylko za zezwoleniem mera, umieszczenie dzwonów zależy od rozporządzeń municypalności; krzyże, statuy i t. d. mogą być stawiane tylko w obrębie kościołów, na cmentarzach lub w murach, inne wszystkie mogą być zniesione przez władze publiczne; za stawianie nowych nastąpi kara od 100—200 fr. Na cmentarzach, których nie wolno poświęcać i na których nie wolno stawiać odznak religijnych,

noszących charakter zbiorowy, zabrania się wyznaczać specyalne miejsca dla samobójców, niechrzczonych i osób różnych wyznań, bez względu na to, jak kto żył, umierał i kazał się pochować. Duchowny, który w funkcyi kościelnej obrazi członków rządu, parlamentu lub władz publicznych będzie karany grzywną od 500—3000 fr. lub więzieniem od miesiąca do roku.

Ten, zaledwie ślad jakiejkolwiek wolności dający projekt, wydaje się niektórym jeszcze za łagodny. Nie podoba się np. ustęp o pensyach, mających być wyznaczonemi dla tych, którzy przez lat 20 te pensye otrzymywali, choć są one tak śmiesznie małe; lękają się ustanowienia centralnego komitetu dla spraw wyznaniowych, choć te komitety będą się znajdowały w rękach świeckich, a rząd postara się z pewnością, żeby ci świeccy nie byli dla Kościoła zbyt przychylnymi i t. d. W każdym razie, dopiero gdy projekt ten przejdzie, rozpocznie się we Francyi walka kulturna w całem tego słowa znaczeniu.

Upadek pisma »La Voce della Verità«.

Ostatniego sierpnia upadł po trzydziestu paru latach walk i trudów katolicki ranny dziennik rzymski *La Voce della Verità*. O tym na pozór drobnym fakcie wspominamy dlatego, ponieważ upadek gazety łączy się ściśle z omawianą już w poprzednim numerze sprawą reorganizacyi demokracyi chrześcijańskiej we Włoszech.

La Voce della Verità, mimo że często była redagowana wprost wyśmienicie, zawsze zaś lepiej i doskonalej od *Osservatore Romano*, podzieliła los tylu gazet katolickich; zewnętrzną przyczyną jej upadku był brak funduszów materyalnych. Watykan wspomagał ją rocznie zasiłkiem 30.000 lirów; oprócz tego przekazywano jej za 25.000 lirów intencyi mszalnych, tak że wielka część kleru należała z tego powodu do jej czytelników. Ostatnimi czasy zniósł jednak papież Pius X to ostatnie pozwolenie, zakazał mianowicie wysyłania pisma księżom za intencye mszalne. Rozporządzenie to zachwiało podstawą rzymskiego czasopisma. Redaktorzy zwrócili się z prośbą do Watykanu o podniesienie obecnego zasiłku 30.000 lirów, otrzymali natomiast w odpowiedzi, że z pierwszym września cofnie się pismu nawet poprzedzający fun-

dusz. Los więc *La Voce della Verità* był zadecydowany — upaść musiała.

Mimowoli nasuwa się tu pytanie, jak się to stać mogło? Przecież Pius X jeszcze jako biskup Mantui i patryarcha Wenecyi nie szczędził starań, by poważniejszym dziennikom w jego dyecezyach wychodzącym, do rozwoju dopomagać; jako papież objawiał również wielkie zainteresowanie się prasą katolicką. Jaką taką odpowiedź na to pytanie daje nam stanowisko, jakie *La Voce della Verità* zajęła w niektórych drażliwych kwestyach kościelnych. Polemizując z antykościelnemi gazetami dawała często papieżowi »zbawienne« nauki; w sprawie znanego katolickiego kongresu w Bolonii stała na punkcie zbyt przestarzałym i z tego też punktu wychodząc, poddała wbrew intencyom i dążnościom Kuryi obrady i wyniki kongresu ostrej, niezasłużonej i nierozumnej krytyce; omawiając wreszcie rozmaite objawy ruchu katolickiego we Włoszech występowała mniej lub więcej jawnie przeciwko zreformowaniu katolickiej organizacyi *Opera dei Congressi*. To i tym podobne postępowanie musiało sfery watykańskie zniechęcić dla *Voce della Verità*. Nie można pewnie o tem wątpić, że pismu rzymskiemu nie zbywało na najlepszych chęciach, trudno jednak z drugiej strony, aby papież, noszący się z głęboko obmyślanymi i daleko sięgającymi planami zreformowania katolickiego ruchu, nie użył całego swego wpływu i władzy, by poskromić pismo, które, choć pewnie w dobrej wierze, krzyżowało jego plany [1].

Ze zjazdu w Ratysbonie

Pięćdziesiąty pierwszy kongres katolików niemieckich, zebranych w Ratysbonie 21 sierpnia b. r. zostawił wszędzie najlepsze wrażenie. Tysiące członków, składających się ze wszystkich warstw katolickiego społeczeństwa w Niemczech, brało udział w zjeździe, nuncyusz, liczni arcybiskupi i biskupi, prałaci, szlachta, obywatele, robotnicy i wieśniacy, nawet dom królewski w osobie księżniczki Ludwiki Ferdynandy, stawili się w Ratysbonie; zgromadzili się tam ludzie, którzy z dobrej

[1] *Historisch-politische Blätter*. T. 134, zeszyt 6, str. 459 i nast.

woli, z wewnętrznego przekonania nie szczędzili żadnych ofiar, by dać głośne świadectwo o swej żywej, katolickiej wierze i o miłości Kościoła. Szczególniejsze znaczenie nadał jednak kongresowi liczny udział zagranicy; katolicy z Hiszpanii, Włoch, Francyi, Austryi, Anglii i Szwajcaryi pojawili się mniej lub więcej licznie, a to ich pojawienie się nadało zjazdowi cechę powszechnego zgromadzenia katolickiego. Główna, zasadnicza myśl wszystkich zebrań była głęboko religijną: uroczyste wyznanie wiary w Chrystusa, odnowiciela społeczeństwa, — treścią tych zgromadzeń była wiara katolicka i jej praktyczne zużytkowanie na wszystkich polach działalności ludzkiej, dlatego też rozbierano nawet kwestye socyalne i ekonomiczne nie z punktu zapatrywań politycznych, lecz chrześcijańsko-religijnych.

Ciekawem było zachowanie się protestanckiej prasy liberalnej przed i po kongresie. Berlińskie i monachijskie pisma od pół roku przeszło zaczęły dla kongresu wrogo usposabiać ludność; pisano o nieporozumieniach i rozdwojeniu w łonie komitetów, osłabiano znaczenie przyszłego zjazdu, podburzano ewangelików, zapowiadano pewne fiasko, twierdzono nawet, że bawarski episkopat zajął stanowisko kongresowi przeciwne. Fiasko nastąpiło, tylko że nie dotyczyło ono zjazdu, lecz p r o r o c z y c h głosów prasy. Stąd ogromne zamieszanie i rozgoryczenie. Posypały się zjadliwe, oszczercze artykuły wskazujące gwałtownym swym tonem na rozdrażnienie, jakie zapanowało w obozie nieprzyjacielskim. Pisano o demonstracyach przeciwko rządowi, o cofnięciu się szlachty od udziału w zgromadzeniach, o tem, że w Ratysbonie zarysowała się głęboka przepaść w samem łonie centrum — na te głosy reagować nie potrzeba; sam ich gwałtowny ton pokazał, że kongres się udał i że znaczenie jego dla odnowienia katolickiego życia w Niemczech jest bez wątpienia bardzo wielkie; jedność zasad i poglądów we wszystkich istotnych dla życia religijnego kwestyach, ani na chwilę zamąconą nie została i ta właśnie jedność wywołała bezsilne, choć nienawiścią i jadem tchnące zaczepki ze strony protestanckiej.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903.

(Ciąg dalszy)

Tow. dla popierania nauki polskiej. — Kasa im. Mianowskiego. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk. — Tow. naukowe w Toruniu. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Koła konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Klub słowiański. — Tow. filologiczne. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne w Cieszynie. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie i hygieniczne lwowskie, krakowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koło literacko-artystyczne w Krakowie. — Czytelnia katolicka. — Muzeum XX Czartoryskich. — Biblioteka Jagiellońska. — Lwowska Biblioteka Uniwersytecka. — Zakład im. Ossolińskich. — Muzeum im. Dzieduszyckich. — Muzeum Narodowe.

Lwowskie *Towarzystwo prawnicze* zatrzymało się w r. ub. w swoim nieustannym rozwoju, jakkolwiek wydział wcale niemniej, jak w latach poprzednich, dokładał starań około rozbudzenia wśród członków Tow. zainteresowania się żywotnemi kwestyami z dziedziny nauki prawa i nauk społecznych. Że działalność Tow. nie mogła rozwijać się tak pomyślnie, jakby sobie tego życzyć należało, na to złożyły się dwie przyczyny. A więc przedewszystkiem i najbardziej ta okoliczność, że Tow. było pozbawione przez kilka miesięcy w r. ub. własnego lokalu, kiedy to Tow. kredytowe ziemskie, w którego realności mieściło się *Tow. prawnicze* od wielu lat wspólnie z Izbą adwokacką, wypowiedziało kontrakt najmu. Trudności, z jakiemi było połączone wyszukanie odpowiedniego lokalu, zniewoliły ostatecznie wydział do zawieszenia na pewien przeciąg czasu czynności Tow. Dopiero we wrześniu r. zeszłego wspólnym zabiegom delegatów wydziału Tow. i Izby adwokatów, udało się wynaleźć dogodne lokalności, które ze względu na swe położenie i rozmiary odpowiadają zupełnie potrzebom Tow. Drugą okolicznością, niesprzyjającą rozwinięciu energiczniejszej działalności, był wzgląd na położenie finansowe Tow. Obejmując urzędowanie musiał wydział zaraz na wstępie liczyć się z tem, że fundusz rezerwowy Tow. został w r. 1902 znacznie, bo o jedną trzecią część uszczuplony, za-

tem za swój główny obowiązek uważał wydział staranie o jak najrychlejsze poprawienie stosunków materyalnych Tow., musiał zatem zakreślić swojej działalności szczuplejsze granice. Liczba członków zmniejszyła się, tak że Tow. liczy ich obecnie 224. Pomimo to włączono do naruszonego pożyczką funduszu rezerwowego kwotę 171 K. Całej pożyczki, t. j. 542 K, nie można było pokryć w r. ub., gdyż na to zabrakło funduszów, a powodem tego niepunktualność członków w płaceniu wkładek które i tak są bardzo skromne, bo wynoszą zaledwie około 1·50 kor. miesięcznie, za co członkowie, oprócz wielu innych korzyści, otrzymują jako bezpłatną premię *Przegląd prawa i administracyi*. Jeżeli się dalej zważy, że za tę tak skromną wkładkę członkowie mają prawo korzystać bezpłatnie z biblioteki Tow., to rzeczywiście dziwić się należy, iż niektórzy z nich swoją niepunktualnością uniemożliwiają należyty rozwój Tow. Bo bez odpowiednich funduszów trudno wiele łożyć np. na powiększenie księgozbioru. Dość powiedzieć, że zaległe wkładki członków z r. 1903 wynoszą około 400 kor., a z r. 1902 około 200 kor. Wobec skromnych funduszów Tow. łączna kwota 600 kor. stanowi zbyt wielki uszczerbek, ażeby jej brak nie odbił się niekorzystnie na Tow„ zwłaszcza przy zwiększonym wydatku na lokal, który podniósł się z 500 na 800 koron. Ogólny dochód w r. ub. wynosił 4.563 kor., rozchód 4.392 kor. Fundusz rezerwowy wzrósł do sumy 1.341 kor. 76 hal. Zebrań naukowych odbyło się w r. ub. dwanaście. Cztery posiedzenia zajęły konferencye o procedurze cywilnej na podstawie referatów, pp. dr. Fr. Turek-Niewiadomskiego i d-ra Seweryna Panetha. Dwa posiedzenia poświęcone odczytowi d-ra Józefa Buzeka p. t. »O emigracyi z Galicyi i innych ziem Polski«, w którym prelegent omówił historyę, przyczyny, skutki oraz uregulowanie emigracyi. Tenże prelegent mówił na temat »Prawo językowe w szkolnictwie«. Ś. p. Witold Lassota wygłosił »Kilka uwag o pracy p. Józefa Olszewskiego p. t. ‚Biurokracya'«, drukowanych w *Przewodniku naukowym i literackim*, oraz o »O reformie administracyjnej«, wreszcie p. Włodzimierz Łuczkiewicz mówił »O projekcie nowej ustawy prasowej«. Jak tedy widzimy w odczytach zostały poruszone rzeczy wyłącznie »aktualne«, które też były niejednokrotnie przyczyną gorących a długich dyskusyi. — Układając program działalności na r. 1903 postanowił wydział usunąć brak pewnych ważniejszych dzieł w bibliotece i zaopatrzyć ją w nowości z zakresu prawa i nauk społecznych. Szczupłość funduszu nie pozwoliła jednak na ten cel obrócić więcej, niż 366 koron, zwłaszcza, że zaku-

pno dwu szaf do biblioteki pociągnęło za sobą dość znaczne wydatki. W r. ub. skompletowano przedewszystkiem znajdujące się w bibliotece zbiory orzeczeń i wydawnictw peryodycznych, nadto uzupełniono księgozbiór najważniejszemi wydawnictwami z ostatnich lat, których zakupiono 28 w 32 tomach. W darze otrzymano 53 dzieł w 118 tomach. Czasopism fachowych prawniczych otrzymywała biblioteka dziewięć. Z biblioteki korzystała w r. ub. stosunkowo nieznaczna (34) liczba członków, co należy przypisać zmianie lokalu i wynikłej stąd konieczności wstrzymywania wydawania książek przez dłuższy przeciąg czasu. Ogółem wypożyczono 73 dzieł.

Toż samo zadanie dla Krakowa spełniało *Towarzystwo prawniczo-ekonomiczne*, którego działalność objawiała się w r. 1903, — jak zawsze dotychczas — w dwu kierunkach, a mianowicie: 1) w wydawaniu organu Tow. *Czasopisma prawniczego i ekonomicznego*, którego wyszedł pokaźny tom, zapełniony gruntownemi rozprawami i 2) w urządzaniu odczytów i dyskusyi naukowych. W ciągu roku szkolnego 1902/1903 odbyły się następujące odczyty: prof. d-ra Józefa Rosenblatta i prof. d-ra Makarewicza »O projekcie ustawy prasowej» z dyskusyą, która zajęła pełne trzy posiedzenia, doc. d-ra Stanisława Grabskiego »Prawo społeczne wobec czynnika świadomej woli ludzkiej», prof. d-ra Włodzimierza Czerkawskiego p. t. »Galicya w budżecie państwowym« (druk. w *Czasopiśmie* za r. 1903), prof. d-ra Stanisława Estreichera «O najstarszym pomniku prawa«, który będzie ogłoszony w *Czasopiśmie* za r. 1904, jako sprawozdanie z nowo odkrytego kodeksu Hamurabiego, prof. d-ra Michała Rostworowskiego p. t. »Konwencya w sprawach małżeńskich z 12 czerwca 1902 r.« (druk. w *Czasopiśmie* z r. 1903), d-ra J. Morelowskiego »O stylu w terminologii prawniczej« (druk. *Czasopismo* z r. 1903 oraz *Przegląd prawa i administracyi* za r. 1903), i prof. gimn. J. Ippoldta »O dowodzie z porównania pism«. Po każdym odczycie odbywały się częstokroć bardzo długie dyskusye. Z krótkiego tego przeglądu działalności Tow. widać od razu, że zainteresowanie się prawników krakowskich sprawami »na czasie«, nie było mniejsze, niźli we Lwowie. Zadziwia tylko, dlaczego do obydwu tych Towarzystw należy tak mały procent ogółu prawników?

Ponadto założone w Krakowie *Towarzystwo nauk społeczno-politycznych*, dzięki inicyatywie kilku jednostek, należących do »Klubu neokonserwatywnego«, miało w programie urządzanie odczytów z dziedziny socyologii, historyi, ekonomii, prawa, i omawianie spraw bieżących ze stanowiska naukowego. Następnie miało doprowadzić do skutku

szereg wydawnictw treści społecznej i wydawać opinię naukową o sprawach, dotyczących działalności ustawodawczej państwa. Czy, i o ile spełniło obietnice — nie wiemy, — gdyż mimo kilkakrotnej prośby nie raczyło nam Tow. przesłać swego sprawozdania.

Stowarzyszeń lekarskich mieliśmy kilka o różnorodnym zakresie działania. I tak: *Towarzystwo lekarzy galicyjskich* we Lwowie, najzasobniejsze z nich wszystkich miało przedewszystkiem na oku materyalne potrzeby stanu lekarskiego. Cele naukowe stały już na drugim planie.

Krakowskie znowuż *Towarzystwo lekarskie* kładło przeciwnie główną wagę na ruch naukowo-odczytowy, urządzając niemal co tygodnia posiedzenia z wykładami treści naukowej.

Co się tyczy Tow.: *hygienicznego* we Lwowie, warszawskiego *lekarskiego* oraz *hygienicznego,* nie otrzymawszy ich sprawozdań, nie możemy nic bliższego o nich powiedzieć. Tyle nam tylko wiadomo, że pierwsze z nich wydawało miesięcznik *Przegląd hygieniczny*, drugie poważny tom w postaci *Pamiętnika,* ostatnie wreszcie dobrze redagowany miesięcznik *Zdrowie*, dostępny i dla szerszego ogółu. O pismach tych zresztą mówiliśmy już w zeszycie lutowym tegorocznego *Przeglądu.* Każde z nich było poczytnem, co świadczy niewątpliwie i o zainteresowaniu się niemi ogółu, a nie mniej także o ilości członków, jaką musi liczyć każde z tych Towarzystw, jeśli stać je na wydawanie własnych czasopism.

Działalność naukowa lwowskiego *Towarzystwa weterynarskiego,* ogniskującego w sobie lekarzy weterynaryjnych całej Galicyi, ograniczała się wyłącznie posiedzeniami naukowemi, których odbyło się w r. ub. sześć, zawsze z bardzo obfitym i interesującym programem, oraz wydawaniem zawodowego miesięcznika *Przeglądu weterynarskiego.* Czasopismo to odznaczało się bogactwem zarówno rozpraw samodzielnych, jak nie mniej doborem drobnych aktualnych artykułów i pracowicie ustawioną kroniką fachową, notującą ważniejsze wypadki ze spraw, tyczących się ściśle zawodu weterynarskiego. Zasługa ta redaktora prof. Stanisława Królikowskiego znalazła odpowiednie uznanie w sferach, stojących poza Towarzystwem, bo oto w uznaniu poważnej działalności *Przeglądu* udzielił Sejm kraj. 700 kor. subwencyi na wydawnictwo tego czasopisma. Członków liczyło Tow. niestety bardzo mało w stosunku do ogółu weterynarzy, operujących w kraju, bo tylko 158. Należy mieć nadzieję, że stosunki te się zmienią, że wejście w życie funduszu zapomogowego i wsparć dla wdów i sie-

rót po lekarzach weterynaryi pociągnie cały szereg weterynarzy do przystąpienia do Tow. Wspomniany fundusz wzrósł w ub. r. z kwoty 2.501 kor. od kwoty 5.050 kor., czyli w dwójnasób, co niewątpliwie świadczy zarówno o żywotności Tow., jak nie mniej też o szlachetnych intencyach rzeczonej fundacyi. Zestawienie kasowe za r. 1903 wykazuje w rubryce przychodów sumę 4295 k., w rubryce rozchodów 2497 k., czyli, że pozostałość na rok administracyjny 1904 wynosi większą, niż w roku 1902 kwotę, bo 1797 kor. Rozwój tedy Tow. jest odrazu widoczny. Zdałoby się może więcej solidarności, skoro Tow. nie spuszczało z oka spraw, związanych ściśle z zawodem weterynarskim, poruszając je w osobnych petycyach i memoryałach, skierowanych do władz wyższych, które po większej części odnosiły pożądany skutek.

Lwowskie *Towarzystwo politechniczne* należy do najzasobniejszych pomiędzy polskiemi instytucyami naukowemi pod względem środków materyalnych, to też postęp i rozwój pracy jego był zupełnie normalny. Dzięki niezwykłej solidarności i koleżaństwu techników wszystkich zawodów liczba członków jest wprost imponująca. W porównaniu z poprzednim rokiem wzrosła ona o 38 tak, że wynosi obecnie: 4 czł. honorowych, 8 dożywotnich i 754 zwyczajnych, czyli razem 766, z czego na sam Lwów przypada 300. Że przy udziale takiego zastępu członków praca mogła postępować żywo, to jest aż nadto zrozumiałe; nawet w prowincyonalnych oddziałach, których ma obecnie Tow. sześć, a mianowicie: w Borysławiu, Drohobyczu, Kołomyi, Przemyślu, Stanisławowie i w Stryju. Znaczna część komisyi, utworzonych w łonie Tow., (a było ich 12), pracowała pilnie, a zwłaszcza: komisya elektro-techniczna, komisya dla ustalenia nazw polskich w kolejnictwie, słownikowa, oraz komisya dla spraw przemysłowych. Staraniem komisyi odczytowej odbyło się w r. ub. 25 tygodniowych posiedzeń, poświęconych dyskusyi nad różnemi technicznemi i przemysłowemi, a interesującemi kraj kwestyami. Udział zaś w niektórych odczytach brało zwyż 400 osób. Do ważniejszych należą: dyr. kolei państw. L. Wierzbickiego »O nowobudującym się dworcu kolejowym we Lwowie«, prof. Waleryana Dzieślewskiego »W sprawie dróg wodnych«, d-ra St. Olszewskiego »Zużytkowanie nafty w gospodarstwie domowem«, Edmunda Libańskiego »O opalaniu ropą kucheń i pieców domowych«, prof. Romana br. Gostkowskiego »O znaczeniu ropy opałowej dla kolei galicyjskich«. A. Wierzbickiego »O projekcie regulacyi Pełtwi«, d-ra Stefana Bartoszewicza »O rozwoju przemysłu naftowego«, prof. Romana Wawnikiewicza »O suszeniu ziemniaków na karmę dla by-

dła«, d-ra Rogera br. Battaglii »Obecny stan przesilenia przemysłu cukrowego w Galicyi«, dra S. Bartoszewicza »O nowej organizacyi w przemyśle naftowym i akcyi krajowej«, prof. d-ra Stefana Pawlika »O użyciu maszyn w naszych gospodarstwach« i prof. E. Hauswalda »O organizacyi zakładów przemysłowych«. Ponadto odbyto kilka zbiorowych wycieczek naukowych, a mianowicie: do Drohobycza, Stryja i Borysławia, do biblioteki uniwersyteckiej i fabryki oleju we Lwowie. Praca w bibliotece Tow. postępowała dalej tak, że wszystkie dzieła spisano podług osobnych działów i ułożono odpowiednie katalogi dla dzieł naukowych i broszur, jak i dla wydawnictw ogólnospołecznych. Pozostaje jeszcze zestawić dział czasopism i uzupełnić niektóre roczniki. Przy tej sposobności okazał się brak wielu prac, wydanych przez członków Tow. politechnicznego, a które powinny się bezwarunkowo znajdować w bibliotece. Możeby sami członkowie w dobrze zrozumiałych własnym interesie przyczynili się do uzupełnienia istniejących braków? Czytelnia Tow. otrzymywała, przeważnie drogą zamiany, 7 pism politycznych, 22 czasopism treści ogólnej technicznej, przyrodniczej, filozoficznej i t. d., a z obcych 5 czeskich, 1 chorwackie, 2 rosyjskie, 15 niemieckich i 1 angielskie, wszystkie z zakresu fachowej wiedzy technicznej. Organ Tow. *Czasopismo techniczne*, wychodziło 2-razy na miesiąc, cały zaś rocznik objął przeszło 43 arkusze druku. Do *Czasopisma* dołączono 28 tablic, a w tekście umieszczono 118 rysunków. Artykułów i prac wydrukowano 45, napisanych przez 25 autorów. Porównując powyższe daty z datami roku poprzedniego okaże się, że wprawdzie pod względem objętości *Czasopisma* prawie żadne nie zaszły zmiany, natomiast uderza znaczne zmniejszenie się liczby artykułów i autorów. Liczby te 71 i 40 w r. 1902 spadły w r. ub. na 45 i 25. Dowodzi to, że wprawdzie oddane do druku prace były obszerne i wyczerpująco napisane, dowodzi jednak także, że w ub. r. znalazło się mniej chętnych autorów do publikowania swoich prac, mimo że przedmiotów do publikacyi nie brakło, a *Czasopismo techniczne* jest przedewszystkiem organem członków Tow. i powinno rozkrzewiać wiadomości o ich pracach, być archiwum prac przez nich wykonanych. Ogólny koszt *Czasopisma* wynosił 11.221 koron. Ze spraw zawodowych wymieniamy: wniesienie memoryału do ministerstwa w sprawie ochrony tytułu inżynierskiego, memoryału do Koła polskiego w sprawie popierania przemysłu cukrowniczego i o upaństwowienie kolei północnej już w r. 1904. Zamknięcie rachunków za r. 1903 wykazuje w przychodach 23.268 kor. (w czem nie ma

żadnej subwencyi); pozostałość kasowa na r. 1904 wynosi 291 kor. Fundusz żelazny wzrósł do sumy 6800 kor.; fundusz konkursowy im. Romana Gostkowskiego na nagradzanie najlepszych prac, drukowanych w *Czasopiśmie technicznem* 2047 kor. (fundacya dotąd nie weszła w życie): fundusz budowy własnego domu 25.770 kor. Tak, że cały majątek Tow. po odtrąceniu pozycyi biernych wynosi 40,691 kor. Pomimo to sprawa budowy własnego domu nie może wejść na właściwe tory dzięki opieszałości rady m. Lwowa. Rezultat tedy pracy Tow. w r. 1903, jak z tego widzimy, świetny.

Krakowskie towarzystwo techniczne starało się również nie obniżać dotychczas osiągniętgo poziomu. Znaczniejsze ożywienie, jakie od kilku lat panuje w Tow., wzmogło się jeszcze bardziej w r. 1903. Pomyślny ten objaw zaznaczył się najwybitniej w zwiększonej ilości wykładów i odczytów, których w r. ub. odbyło się dwadzieścia. Prof. M. Huber zapoznał zgromadzonych członków Tow. z »Najnowszymi poglądami na teoryę ruchu radu«, z »Rozwojem sposobów mierzenia ziemi od najdawniejszych czasów do dni naszych oraz metod mierzenia naszej planety« i z »Najnowszymi poglądami na zasady obliczania wytrzymałości«, dr. St. Anczyc mówił »O przemyśle tkackim« i »O motorach, poruszanych gazem ssanym i tłoczonym«, p. Jan Rotter »O sprawie cukrowej i o konwencyi brukselskiej«, p. G. Chrząszcz »O chlebie«, w którym to odczycie zapoznał słuchaczy z historyą tego tak bardzo ważnego artykułu spożywczego, ze sposobami jego wyrabiania, chorobami, jakim podlega, i warunkami, jakim winien odpowiadać. Pan St. Horoszkiewicz mówił »O najnowszych lampach elektrycznych« oraz przedstawił swój projekt wodociągu dla Zakopanego. Dr. L. Bier miał wykład »O najnowszych sposobach oczyszczania wód ściekowych i kanałowych«, prof. T. Sikorski omówił sprawę pól irrygacyjnych i swój projekt uregulowania rzeki Pełtwi, w połączeniu z założeniem takichże pól, a p. K. Rolle sposoby, którymi możnaby zapobiegać pożarom w naszych wsiach i miasteczkach. P. St. Żmigrodzki mówił o »Kotłach parowych«, prof. G. Steingraber »O suszeniu ziemniaków«, jakoteż »O organizacyi i działalności niemieckiego związku spirytusowego«, p. J. Lombardo »O cemencie«, p. T. Stryjeński przedstawił swoje plany przebudowy starego teatru, i wreszcie dr. Jan Zubrzycki mówił o kościołach warownych, oraz o historyi i zabytkach budowlanych miasta Krosna. Towarzystwo zajmowało się sprawą zawiązania miejscowego komitetu V. Zjazdu techników polskich, który to zjazd ma odbyć się jesienią b. r. w Krakowie, a także sprawą

założenia wieczornych kursów technicznych dla rzemieślników krakowskich, (który to projekt odrzucono). Wycieczek odbyło Tow. cztery: do fabryki Zieleniewskich, do fabryki cygar i do Grand Hotelu, gdzie badano motor poruszany gazem ssanym, wreszcie do Tarnowa celem obejrzenia parowego żórawia przewoźnego. Sprawa budowy własnego domu postąpiła znacznie naprzód, bo rada miejska zgodziła się w zasadzie na ofiarowanie Tow. gruntu pod tę budowę, tylko na razie nie mogła rozporządzić, którą parcelę ma przyznać Tow. Pomyślniejszy skutek uwieńczył petycye zarządu o subwencye dla miesięcznika *Architekt*, bo ministerstwo wyz. i ośw. przyznało 1000 kor., a sejm kraj. 400 kor. Subwencye te są zarazem wysokiem uznaniem dla redakcyi *Architekta*, utrzymującego się na raz zajętem stanowisku i starającej się o coraz to większy jego rozwój. Biblioteka Tow. została w r. b. uporządkowaną tak dalece, że wydanie drukowanego katalogu będzie wkrótce możliwe. Ogół członków Tow. wynosi obecnie 270, z czego na mieszkających w Krakowie przypada 130, tj. połowa. Z zestawienia rachunków za r. 1904 przekonujemy się, że przychód wynosił kwotę 7323 kor., z którym równał się niemal rozchód (w czem niemal półczwarta tysiąca koron na cele i wydawnictwa naukowe), bo pozostałość kasowa wynosi tylko 71 kor. Ogólny majątek Tow. dosięgnął cyfry 5740 kor. Troszkę to za mało na budowę własnego domu, jeśli odliczy się z tej sumy wartość biblioteki i ruchomości oraz pozycyę wątpliwą, a przenoszącą 1500 kor., jaką są zaległe wkładki członków Tow. Mimo to niepodobna zaprzeczyć, że w Tow. widać wielki ruch, co więcej, trzeba skonstatować fakt, że nie stoi ono pracą nadmierną jednostek, ale zato pracą szerszego koła członków. Rzadki to objaw w naszych towarzystwach naukowych.

Naukowo-literackich, ogólnie kształcących stowarzyszeń mieliśmy kilka, ale, niestety, zbyt małą liczbę i w przeważnej części niewykazujących obfitszej produkcyi. Tem większa szkoda, że stowarzyszenia tego rodzaju mogłyby działać z wielką korzyścią! Zwłaszcza w Galicyi, gdzie wykształcenie ogólne społeczeństwa pozostawia tyle do życzenia.

Najruchliwszym jest lwowski *Związek naukowo-literacki*, który po niezbyt szczęśliwych początkowych próbach, gromadzących »rozprzybyszewszczoną« młodzież płci żeńskiej żydowskiej, wszedł dopiero obecnie na właściwą drogę, zmierzającą do wytkniętego programem działania celu, t. j. do zaznajamiania członków z najnowszym prądem piśmiennictwa, sztuki i nauki, do pewnej wymiany myśli. Obecny kierunek rozwoju, nadany Związkowi przez nowy wydział, składający się (choć

tak być nie powinno i nie jest korzystnie), z ludzi, przynależnych lub przyznających się do zasad stronnictwa narodowo-demokratycznego, prowadzi do skupienia w stowarzyszeniu przedewszystkiem ludzi pracujących naukowo i na polu literackiem, do stworzenia ogniska myśli twórczej z wykluczeniem raz na zawsze popularyzacyi wiedzy. Towarzystwo to, nie przeznaczone dla szerszych mas publiczności, ma za zadanie budzić twórczość rodzimą, bez uganiania się za modą, twórczość, związaną ściśle z potrzebami i właściwościami umysłowości polskiej, nawiązaną do świetnych tradycyi polskiej samoistnej myśli. — Pomimo szczupłych dochodów, wynoszących 2072 kor. (wydatkowano w r. ub. kor. 1904) mogło Towarzystwo otrzymywać sporą ilość pism, przeznaczonych do czytelni, oraz wynajmować porządny lokal. Liczba członków nie uległa w r. ub. żadnej zmianie, było ich bowiem 99, t. j. tyle, co dawniej. Obecnie liczy Związek około 120 członków, oraz przeniósł się do obszernego mieszkania w gmachu skarbkowskim. Odczyty czwartkowe udają się coraz lepiej, bo uczęszcza na nie przeciętnie około 100 osób, a po każdym rozwija się ożywiona dyskusya. Rozmaitość też tych odczytów była w r. ub. bardzo wielka. I tak mówili: p. A. Łada Cybulski »O portrecie dziecka«, p. B. Błażek »Jedno- i dwurazowa nauka szkolna«, O. Katzenellenbogen »O ‚Wyzwoleniu' Wyspiańskiego«, znany powieściopisarz Artur Gruszecki »Na półwyspie Heli«, Z. Bytkowski »Knut Hamsun«, J. Tenner »O symbolice dźwięków w poezyi«, Jan Lorentowicz »Młoda Francya«, dr Z. Gargas »O teatrze włościańskim«, A. Cybulski »O Jacku Malczewskim«, prof. dr. J. Bołoz-Antoniewicz »O Grottgerze«, prof. dr. A. Brückner »O mistyfikacyi w historyi«, E. Naganowski »Nasz ruch umysłowy wobec Anglii«, K. Jarecki »Z powodu książki prof. Tretiaka o Słowackim«, dr. E. Piasecki »Rola pracy ręcznej w wychowaniu młodzieży«, T. Pini »Poglądy społeczne Krasińskiego«, prof. dr. M. Raciborski »O śmierci roślin«, J. Olszewski »O biurokracyi«. Z pośród wniosków, roztrząsanych na walnem zgromadzeniu, zasługuje na baczną uwagę myśl tworzenia kółek specyalnych, któreby, zbierając się w lokalu Związku, opracowywały poszczególne działy nauki, literatury lub sztuki. Projekt ten może mieć wiele powodzenia i znakomicie przyczynić się do wzmocnienia Związku, jako ogniska umysłowego ruchu we Lwowie. Prezesem jest poeta Jan Kasprowicz, jego zastępcą redaktor *Słowa Polskiego,* p. Z. Wasilewski, sekretarzem subtelny esteta p. Adam Cybulski.

Pomimo tego, że absolutnie i krańcowo różnię się w swoich po-

glądach z zasadami, jakiemi kierują się osoby stojące na czele *Związku*, sumienie nakazuje mi wyznać, iż ich staraniem i dzięki ich zabiegom *Związek* stanął na takich wyżynach, do jakich bardzo daleko innym pokrewnym jemu stowarzyszeniom. Weźmy dla przykładu krakowskie *Koło artystyczno-literackie*, a zatem jedyne tego rodzaju stowarzyszenie w wysoce kulturalnym Krakowie, a ujrzymy zadziwiającą różnicę — pod każdym względem. Zwłaszcza ruch odczytowy nie może żadną miarą iść w zawody z takimże w *Związku*, który obok siebie ma także *Koło* lwowskie.

W krakowskiem *Kole artystyczno-literackiem* ubiegły rok administracyjny zapisał się wprawdzie szeregiem wydatnych usiłowań około przywrócenia Tow. należnego stanowiska i moralnej powagi. A że trzeba było naprawić to, co zepsuto dawniej, więc nie dziw, że praca szła powolnym trybem, bo — »nie od razu Kraków zbudowany«... Rok ubiegły zaznaczył się tak widocznym plonem, że śmiało można go uważać za punkt zwrotny, od którego życie *Koła* popłynęło nowem korytem. Gorącym usiłowaniom przedostatniego wydziału, któremu przewodniczył dr. August Sokołowski, powiodło się zainteresować losami tej instytucyi szerokie koła, które, uznając potrzebę takiego środowiska życia umysłowego i artystycznego, w chwili krytycznej przełomowej przyszły w pomoc *Kołu* i dopomogły do oparcia chwiejącego się stowarzyszenia na trwalszych podstawach. Przystąpienie licznego zastępu profesorów przesławnej Wszechnicy Jagiellońskiej oraz najwybitniejszych przedstawicieli pracy naukowej, gorące ich zainteresowanie się *Kołem* i czynna pomoc w usiłowaniach celem przywrócenia *Kołu* dawnego stanowiska w kulturalnem życiu Krakowa, dopełniły dzieła tem skuteczniej, gdy nowy zarząd swą ruchliwą inicyatywą nie tylko przysporzył *Kołu* nowy zastęp członków, ale gorliwymi zabiegami, rozbudzeniem życia umysłowego, nadaniem zebraniom wykwintnych cech ożywienia na wewnątrz a powagi na zewnątrz, pchnął *Koło* na nowe tory. Jednem z najważniejszych zadań, jakie podjął nowy zarząd, było rozbudzenie życia umysłowego przez urozmaicenie tradycyjnych środowych zebrań odczytami i pogadankami naukowemi i literackiemi. Usiłowania te powiodły się nadspodziewanie pomyślnie. Zebrań takich odbyło się dwanaście, a nader liczny udział w nich członków świadczył, że były one zadosyćuczynieniem dawno odczuwanej potrzebie. Było to zresztą objawem zupełnie naturalnym wobec tego, że obowiązki prelegentów przyjęli wybitni pracownicy na polu naukowem i literackiem, którzy wygłosili następujące odczyty: ks.

prof. dr. Pawlicki »O biesiadach literackich w starożytności«, dr. Konstanty Górski »O Donatellu« i »O wycieczce po malowniczym Rothenbergu«, prof. dr. Jan Bołoz Antoniewicz mówił o »Nowych nieznanych szczegółach z życia A. Grottgera«, prof. dr. Wiktor Czermak przedstawił epizod o Zbyszku i Danusi z »Krzyżaków« Sienkiewicza w świetle źródeł historycznych, dr. August Sokołowski mówił »O ostatnim sejmie polskim Królestwa Kongresowego«, prof. dr. Jerzy hr. Mycielski odczytał pracę p. t. »Camil Corot i jego rola w pejzażu«, ks. prof. dr. Wł. Chotkowski mówił »O kasacie klasztorów w Galicyi za cesarza Józefa II«, prof. dr. Maurycy Straszewski »O Leonardzie da Vinci'm jako filozofie« i wreszcie ks. prof. dr. Pawlicki »O poglądach estetycznych Platona«. Oprócz wymienionych odczytów naukowo-literackich odbyły się w r. ub. dwa wieczory muzykalno-deklamacyjne, przygotowane przez d-ra Fr. Bylickiego i prof. J. Marso. Ze spraw przekazanych wydziałowi do załatwienia przez ustępujący zarząd, na pierwszy plan wysunęła się sprawa tablicy pamiątkowej dla niezapomnianego prezesa *Koła* ś. p. Juliusza Kossaka. Wykonanie tej tablicy powierzył poprzedni wydział artyście-rzeźbiarzowi p. Tadeuszowi Błotnickiemu na podstawie umowy pisemnej. Wobec tego, że p. Błotnicki, sporządziwszy model, oświadczył, że za umówioną w kontrakcie cenę nie jest w możności dostarczyć odlewu bronzowego i w to miejsce zaproponował wykonanie tablicy w kamieniu, zarząd *Koła* znalazłszy się zaskoczonym nową sytuacyą, widział się zmuszonym oddać sprawę sędziemu polubownemu d-rowi St. Tomkowiczowi do rozstrzygnięcia. A gdy wyrok sędziego przyznał *Kołu* prawo własności i posiadania modelu tablicy i zwolnił równocześnie od wypłaty resztującej kwoty p. Błotnickiemu, wydział uchwalił przeprowadzić rokowania z artystą rzeźbiarzem p. Teodorem Rygierem o odlanie bronzowego modelu jego biustu ś. p. Kossaka, a to w zamiarze zastąpienia projektowanej tablicy wspomnianem popiersiem. W ostatecznym jednak rezultacie cała sprawa pozostała na razie w zawieszeniu z powodu braku funduszu na dokończenie dzieła, gdyż *Koło* posiada na ten cel tylko kwotę 306 koron. Sprawa projektowanego połączenia *Koła* z *Klubem prawników* nie doprowadziła do pomyślnego rezultatu z tego powodu, że *Klub* zanadto silnie akcentował dążność zachowania odrębności. Rokowania te wszakże trwają dalej. Gdyby zakończone zostały pomyślnym wynikiem — natenczas obie instytucye zyskałyby wiele na sile liczebnej i finansowej. Podniosłoby się też znaczenie ich na zewnątrz i na wewnątrz, wzmógłby się zarówno ruch odczytowy, jak niemniej frekwen-

cya na prelekcyach. A to wszystko wyszłoby tylko na dobre obydwu stowarzyszeniom. Sądzę więc, że dążności separatystyczne powinnyby ustąpić.

W stowarzyszeniu ściśle wyznaniowem — w lwowskiej *Czytelni katolickiej* ruch był równie ożywiony, jak za lat ubiegłych. Główny nacisk położony był na odczyty, a w nichże samych na sprawy, obchodzące szerszy ogół. Mówili zatem: dr. Józef Weigel »O hypnotyzmie«, dr. J. Blauth o »Ekonomicznem znaczeniu robót wodnych«, dr. Zygmunt Gargas roztrząsał temat »Prawo karne a pojedynek«, dalej »Sądy honorowe, ich funkcye i organizacya«, oraz »Bezpłatne biuro wynajmu mieszkań«, ks. Alfred Wróblewski T. J. odczytał pracę p. t. »Leon XIII wobec cywilizacyi«, ś. p. W. Lassota »Rozwój nowoczesnej myśli socyologicznej«, prof. dr. M. Thullie »Centralne biuro dobroczynności w Paryżu«, ks. dr. Aleksander Pechnik »Nowe hasła i dążenia demokracyi socyalnej« i »O wychowaniu w szkołach średnich« (trzy prelekcye), wreszcie w dwu odczytach mówił prof. Thullie »O wpływie wyznania religijnego na moralność«. Ponadto urządzono uroczysty wieczorek ku czci Mickiewicza, na którym mówił p. Br. Kąsinowski. Pogadanki w sprawie wychowania młodzieży doprowadziły do wniosku zwołaniu wiecu ojców i wychowawców, któryby zajął odpowiednie stanowisko wobec szerzącego się zepsucia wśród młodzieży. Celem doprowadzenia tego wiecu do skutku postarała się *Czytelnia katolicka* o współudział czynny towarzystw, zajmujących się sprawami wychowania. — Księgozbiór wzrósł bardzo nieznacznie, bo tylko o 55 dzieł, tak że liczy obecnie zaledwo 853 dzieł. Piękną za to liczbą czasopism może się *Czytelnia* pochwalić, a także ich doborem; ogółem otrzymywała ich 45. Członków było 269. Przychód wynosił 3392 kor., rozchód 3230 kor. Fundusz budowy własnego domu wykazuje 280 kor., a fundusz żelazny 1423 kor.

Poza tem ruch naukowy objawiał się przedewszystkiem w *Czytelniach dla kobiet* lwowskiej i krakowskiej (w ostatniej bardzo ruchliwie i pięknie) oraz w stowarzyszeniach młodzieży uniwersyteckiej, gdzie niejednokrotnie miewali prelekcye ludzie bardzo poważni. Wogólności trzeba przyznać, że frekwencya na wykładach zwiększyła się w ostatnich latach w Galicyi, głównie dzięki bardzo pożytecznym i systematycznie prowadzonym *Powszechnym wykładom uniwersyteckim* w obydwu głównych miastach oraz na prowincyi.

(Dok. nast.).

Dr. St. Zdziarski.

Kronika ekonomiczna.

Walne zgromadzenie Towarzystwa Kółek rolniczych. — Kółka rolnicze na Śląsku austryackim. — Dziesięciolecie Towarzystwa ogrodniczego. — Wystawa metalowa. — Posucha.

W ostatnich czasach była kilkakrotnie mowa na szpaltach *Przeglądu* o działalności Towarzystwa Kółek rolniczych, to też nie będziemy się dziś wdawać w cyfrowe szczegóły sprawozdania rocznego, ale zastanowimy się nad przebiegiem ostatniego walnego zgromadzenia, które obradowało w Przemyślu w początkach lipca, a któremu nie brakło pouczających i interesujących momentów.

Do robót w polu chłop nasz używa przeważnie konia. Są wprawdzie okolice, gdzie orzą krowami lub zwożą niemi siano (np. na Podkarpaciu, na granicy węgierskiej w pobliżu Żegiestowa i Muszyny), ale objaw to wyjątkowy, aczkolwiek używanie konia straciło racyę bytu dla wielu gospodarstw włościańskich, powinno zatem doznać znacznego ograniczenia. Ażeby wyżywić dobrego konia, na to potrzeba znaczniejszego kawałka gruntu, trudno dokładnie powiedzieć ile, albowiem zależy to od jakości gleby i wielu innych okoliczności. W każdym razie wiemy na pewne, że wobec wzrastającego rozdrobnienia gruntów, wykonywanie robót końmi staje się dla wielu mniejszych gospodarstw źródłem corazto większych wydatków. Brak paszy, nizki stan gospodarstwa uniemożliwia wychów dobrego konia, zresztą niepodobna odpowiednio go zatrudnić w ciągu całego roku. Za granicą radzą sobie w podobnych wypadkach krowami; doświadczenie pouczyło, że, jeżeli się używa krów umiarkowanie do robót polnych, a przytem dobrze karmi, mleka nie ubywa, a nawet poprawia się jakość w niejednym wypadku, albowiem zwiększa się procent tłuszczu. U nas pewien fałszywy wstyd, przywiązanie do dawnej tradycyi stoi na przeszkodzie zastosowania się do zmienionych warunków. Każdy chciałby być gospodarzem w pełnem tego słowa znaczeniu, a z tem pojęciem związane jest silnie w wyobrażeniach ludu wiejskiego posługiwanie się końmi, używanie krów uchodzi za *capitis diminutio*. Opowiadano mi o jednej wsi, w której grunta są bardzo rozdrobnione, że tylko jeden gospodarz zaprzęga krowy, jest najsilniejszym we wsi, więc tłucze tych, którzy się z niego naśmiewają, inni nie czują się na siłach wymierzania doraźnej sprawiedliwości w podobny sposób, a zatem boją się naśladować go. Nawet ten, kto już nie jest w stanie

utrzymać konia, woli wypożyczyć go od bogatszego sąsiada na najuciążliwszych, iście lichwiarskich warunkach, jak uciec się do krów.

Przeciw temu arystokratycznemu przesądowi wystąpił na walnem zgromadzeniu ks. Siara z mową, uwieńczoną niezwykłem, a zasłużonem powodzeniem; przyczyniła się do tego wielce zarówno forma, jak konkretna treść przemówienia. Ks. Siara czerpał z własnego doświadczenia, a wiadomo, że ta metoda popłaca lepiej u praktyków, jak odwoływanie się do książek i teoryi. Opowiadał zebranym o swojem gospodarstwie, na którem mógłby utrzymać konie, ale dla dania przykładu począł używać krów z jak najlepszym skutkiem bez ujmy dla ich mleczności. Mowca kładł nacisk na sposób zaprzęgania, uważając jarzmo za wskazane tylko dla wołów; natomiast radził posługiwać się szorami, zbliżonemi do końskich. Jasne, dobitne słowa ks. Siary nagrodzili zabrani nie tylko oklaskami, widziałem, jak cały szereg chłopów zapisywał sobie adres rymarza, który dostarcza coraz liczniejszym naśladowcom swego proboszcza tego wszystkiego, co potrzeba do racyonalnego zaprzęgania krów.

Przytoczyłem ten epizod, jako dowód, jak różnorodnie przejawiać się może akcya społeczna duchowieństwa na wsi. U nas dość dużo pisze się o zaletach katolicyzmu socyalnego, ale urzeczywistnienie praktyczne tych zasad jest jeszcze zbyt mało rozpowszechnione. To też każdy przykład pomyślnej pracy w tym kierunku zasługuje na zapisanie i podniesienie.

* * *

Kółka rolnicze na Śląsku rozwijają cichą a pożyteczną działalność ściśle rolniczą; w r. 1903 istniało 62 Kółek o ogólnej liczbie członków 2173, a więc przypadało przeciętnie 35 członków na jedno Kółko. Zakupno maszyn i narzędzi na wspólny użytek członków jest stosunkowo bardzo rozpowszechnione. Szereg Kółek posiada kilka maszyn, a mianowicie: tryer, siewnik do koniczyny i buraków, wagę bydlęcą, wąż żołądkowy, obok tego w niektórych Kółkach zakupiono brony łąkowe, młockarnie, ekstyrpatory, narzędzia do wykopywania ziemniaków (t. zw. kartoflarki), w dwóch wypadkach zapisuje wykaz wspólną prasę do wyciskania owoców, celem wyrobu jabłecznika; najbardziej rozpowszechnionymi są tryery, które posiada każde Kółko.

Biblioteczki istnieją w 36 Kółkach, największa wykazuje 530, a najmniejsza 40 książek, prawie każde Kółko abonuje czasopisma

rolnicze; biblioteki i czasopisma służą ku podniesieniu technicznego wykształcenia członków. Liczne odczyty na zgromadzeniach członków są środkiem do osiągnięcia tego samego celu.

Pogadanki i odczyty mają doniosłe znaczenie; przy tej sposobności omawia się potrzebę założenia specyalnych stowarzyszeń, które bezpośrednio zajmują się przysporzeniem materyalnych korzyści członkom, w ten sposób doszło do skutku założenie 37 spółek dla oszczędności i pożyczek, oraz 27 spółek drenarskich. Powszechnie wiadomo, jak wielkie znaczenie ma osuszenie gruntu drenami, otóż właśnie w tym kierunku Kółka rolnicze na Śląsku zdobyły sobie wielkie zasługi, przyczyniając się do założenia spółek włościańskich, dając dobry przykład wielu innym krajom, pozostającym w tyle. Rozpowszechnienie idei spółek drenarskich zawdzięczać należy w pierwszym rzędzie d-rowi Zaleskiemu z Puńcowa, jednemu ze stałych prelegentów w Kółkach.

Kółka rolnicze na Ślasku tworzą wspólną centralną instytucyę: Towarzystwo rolnicze, niema zatem dualizmu, istniejącego w Galicyi między temi dwoma instytucyami. Towarzystwo rolnicze wydaje w 3000 egzemplarzy *Rolnik śląski,* który każdy z członków dostaje bezpłatnie. Rząd i kraj dają Towarzystwu zasiłki na podniesienie hodowli bydła, w szczególności na zakładanie stacyi buhai i premiowania.

* * * *

Krakowskie Towarzystwo ogrodnicze urządza wystawę z początkiem października w Parku d-ra Jordana z powodu upływu pierwszego dziesięciolecia od chwili założenia Towarzystwa. Wobec tego może nie od rzeczy będzie przypomnieć pokrótce jego zadania i cele. Towarzystwo stara się przedewszystkiem usilnie o wzbudzenie zainteresowania sprawami ogrodniczemi, wychodząc słusznie z założenia, że bez należycie ugruntowanych wiadomości i pojęć w tym kierunku, trudno spodziewać się trwałego rozwoju tej ważnej gałęzi gospodarstwa. Zebrania miesięczne w sali chemicznej Uniwersytetu są jednym ze sposobów urzeczywistnienia tych zamiarów. Porządek dzienny obejmuje obok spraw wewnętrznych Towarzystwa odczyt, demonstracye kwiatów, owoców, warzyw, narzędzi ogrodniczych, szkodników, utrudniających uprawę i t. d., połączone z odpowiednimi objaśnieniami. Rozlosowywanie kwiatów wśród obecnych stanowi zakończenie; w imię prawdy przyznać trzeba, że znaczna część członków, uwaga ta dotyczy zwłaszcza płci pięknej, przybywa na miesięczne zebrania głównie

gwoli ostatniemu punktowi porządku dziennego. Zebrania odbywają się co miesiąc z wyjątkiem lipca i sierpnia.

Od szeregu lat Towarzystwo urządza kursa dla nauczycieli ludowych. Koszta kursów pokrywa osobny zasiłek udzielany na ten cel przez Ministerstwo rolnictwa, nauczycieli deleguje Rada szkolna krajowa, udzielając im stypendyów na koszta podróży, W ten sposób Towarzystwo wykształciło szereg przodowników, którzy dają dobry przykład w swych ogrodach szkolnych okolicznej ludności włościańskiej, stają się przeto rozsadnikami zyskownej i racyonalnej uprawy ogrodniczej. Kursa mają charakter teoretyczno-praktyczny, są stale połączone z ćwiczeniami w ogrodzie. Natomiast kursa zimowe, jak już nazwa poucza, są wykładami w godzinach wieczornych, trwają około czterech do pięciu miesięcy, codzień po dwie godziny,

Od lat sześciu wydaje towarzystwo bogato ilustrowany miesięcznik *Ogrodnictwo,* który rozchodzi się w około tysiącu egzemplarzy. Jest to cyfra, jak na nasze stosunki bardzo pomyślna, ten sukces nie jest li tylko słomianym ogniem, albowiem liczba abonentów ciągle wzrasta. Biblioteka i zbiory towarzystwa służą także podobnym celom, mają szerzyć zamiłowanie i znajomość ogrodnictwa w najszerszem tego słowa znaczeniu, a więc sadownictwa, warzywnictwa, a wreszcie kwieciarstwa. Towarzystwo prenumeruje ważniejsze czasopisma fachowe, kupuje w miarę środków ważniejsze przejawy najnowszej literatury fachowej, zbiory powiększają się z roku na rok. Staraniem towarzystwa utworzył Wydział krajowy w r. 1900 posadę krajowego instruktora sadownictwa, którego zadaniem wejść w stosunki z ludnością rolniczą najbliższych okolic Krakowa; wykładami, pouczeniami, demonstracyami, dobrą radą zachęcać ją do prowadzenia na swych gruntach racyonalnej uprawy ogrodniczej. Zadanie trudne, wymaga bowiem zarówno teoretycznych, jak praktycznych wiadomości; niezbędnym warunkiem powodzenia ujmujący sposób postępowania, umiejętność jasnego wykładu, przekonywania nieufnego żywiołu wieśniaczego, ale jest także sposobność położenia wielkich zasług.

Cała ta działalność jest działalnością pośrednią, ma charakter przygotowawczy wytwarzania niezbędnych warunków rozwoju ogrodnictwa, natomiast nie jest skierowaną do bezpośredniego dawania pomocy lub udziału w produkcyi, względnie w handlu płodami ogrodniczymi. Pomostem pomiędzy działalnością pierwszego, a drugiego rodzaju są wystawy. Cel ich nader różnorodny, a więc dydaktyczny: wpływanie na postęp techniki produkcyjnej i sposobów wytwarzania

towaru przez współzawodnictwo; wytwórcy lepsi, bardziej posunięci naprzód w swej pracy zawodowej stają się przykładem i zachętą dla innych, jest to zatem rodzaj praktycznych pouczań metodą poglądową o wynikach, do których dojść można przy współczesnym stanie techniki. Równocześnie dają przegląd stanu produkcyi w danej gałęzi, ujawniają jej zalety i wady, a bez takiej znajomości terenu niepodobna wiedzieć, jakich sposobów chwycić się należy celem wywołania zmiany na lepsze. Obok tego wystawy mają zupełnie realne, konkretne cele, przynoszą bezpośrednie korzyści wystawcom, ułatwiając im nawiązanie stosunków handlowych. Są one wybornym, niemal niezawodnym środkiem zainteresowania szerszej publiczności. Najlepszym dowodem ich wartości, jako wypróbowanego sposobu skutecznej reklamy, stosunkowo znaczne sumy, które wystawcy łożą na ich obesłanie. To też towarzystwo ogrodnicze starało się urządzać wystawy, o ile tego zachodziła potrzeba i były po temu środki. Wystawa, której otwarcie nastąpi z początkiem października ma być do pewnego stopnia obrazem rezultatów osiągniętych w ciągu dziesięcioletniej działalności towarzystwa.

Nawiązywanie stosunków handlowych jest tylko jednym z licznych celów wystaw, już choćby ze względu na ich nieperyodyczność nie można osiągnąć zupełnie zadowalniających wyników w tym kierunku. Miały temu zaradzić coroczne targi owocowe w jesieni, których zadaniem umożebnić producentowi wiejskiemu nawiązanie bezpośrednich stosunków z konsumentem miejskim, wiadomo bowiem, że mimo dobrych cen hodowla owoców nie zawsze jest rentowną. Stan rzeczy na pierwszy rzut oka bardzo dziwny, ale łatwy do wytłumaczenia działalnością handlu pośredniczącego, który znaczną część dobrych cen zachowuje jako zwrot swych kosztów i zysk, a wytwórcy odstępuje tylko małą ich część. Targi owocowe niestety nie utrzymały się. Biuro towarzystwa ogrodniczego udziela wprawdzie informacyi w sprawach handlowych, ale z braku środków nie może tego ważnego działu rozwinąć tak, jakby na to zasługiwał. Toczą się rokowania o uzyskanie na ten cel zasiłku ze strony Wydziału krajowego.

Uprawa owoców byłaby u nas rentowniejszą, gdyby nasze ogrody produkowały towar jednolity, ponieważ natura handlu wymaga większej partyi jednakowego towaru, zwłaszcza handel wywozowy jest bez tego nader utrudnionym, kupiec zagraniczny chce wiedzieć, co kupuje, różnorodność towaru ogromnie obniża jego cenę, zmusza do handlu małemi partyami, co, jak powszechnie wiadomo, jest nader

kosztownem. Chcąc temu choć w części zaradzić, towarzystwo wydało wzorowy dobór odmian owocowych, w którym zaleca niewielką liczbę wypróbowanych odmian do hodowli w celach handlowych.

Nie jeden chciałby korzystać z rad zawartych w doborze wzorowym, ale cóż z tego, kiedy zachodzą trudności w nabyciu drzewek. Zagraniczne drzewka są drogie, a przytem ponieważ niewyhodowane w naszym klimacie i na naszej glebie, przeto ich kupno przedstawia zawsze pewne ryzyko, stosunkowo znaczny procent marnieje, zanim przystosuje się do zmienionych warunków bytu. Miejscowy materyał jest przeważnie lichy, rzadko daje należyte gwarancye prawdziwości danych odmian (sprawdzić można dopiero po owocach) a jeźli jest dobry, kosztuje dużo. Towarzystwo stara się zaradzić temu, przez założenie zakładu sadowniczego na Prądniku Czerwonym o przestrzeni przeszło dziesięciu morgów, nabytych wraz z budynkiem kosztem pięćdziesięciu kilku tysięcy koron. Celem tej instytucyi wytwarzanie i sprzedawanie po nizkich cenach drzewek owocowych. Zakład hoduje niewielką liczbę odmian, o których wiadomo, że udają się w naszych warunkach. Chodzi właśnie o rozpowszechnienie wielkiej liczby drzewek jednej i tej samej odmiany, celem ujednostajnienia produkcyi i dojścia tą drogą do możności sprzedawania wielkich ilości towaru zupełnie jednolitego. Zakład powołany do życia temu lat cztery właśnie w jesieni bieżącego roku, będzie miał na sprzedaż pierwszą partyę drzewek własnego chowu, które stanowić będą jeden z najciekawszych przedmiotów wystawowych.

Obok tego hoduje się w zakładzie w szklarniach kwiaty, przeznaczone jako coroczne premie dla członków. Niestety społeczeństwo nie popiera dostacznie pożytecznej działalności towarzystwa. Spodziewać się należy, że wystawa przyczyni mu członków i zjedna ogrodnictwu nowych przyjaciół. Z pewnością nie narzekanoby u nas tak często na trudne stosunki ekonomiczne, gdyby chciano i umiano lepiej wyzyskać zaniedbane gałęzie gospodarstwa.

* * *

Krakowska wystawa metalowa otwarta z końcem sierpnia daje rzetelny obraz, wprawdzie powolnego ale ciągłego rozwoju przemysłów i rękodzieł, zajętych przetwarzaniem. Ocenę znaczenia wystawy ułatwia rozprawka dr. Sanisława Anczyca: »Monografia przemysłu metalowego w Galicyi«, pomieszczona w katalogu, która zadania wy-

stawy określa, jak następuje: »Zrobiwszy o ile możności zupełny przegląd naszej metalowej produkcyi, da ona producentom sposobność dowiedzenia się, czem możnaby krajową produkcyę wzbogacić i jak rozwinąć nowe gałęzie przemysłu i publiczność zobaczy na wystawie wyroby, których używa, a sprowadza z poza kraju, zobaczy, że one nie ustępują tamtym, że są nieraz daleko lepiej zastosowane do potrzeb naszych, dowie się i przekona, że często bardzo krzywdziła nasz przemysł, dając przed nim obcemu pierwszeństwo«. Dowodem dobroci naszego przemysłu metalowego i zadawalniającej jakości jego wytworów jest fakt, że »niektóre zakłady w znacznej części, a niektóre nawet w całości produkcyę swoją eksportują«. Biorąc jednak na ogół, wiadomo powszechnie, mimo braku dat statystycznych, że nasz bilans handlowy w wyrobach metalowych jest w wysokim stopniu bierny. Wystawa obesłana przez trzystu kilkudziesięciu wystawców, powinna zgodnie z intencyami jej twórców przyczynić się do zmiany na lepsze i do zwiększenia zbytu krajowych wytworów metalowych, albowiem jakość wystawionych okazów świadczy o tem, że nasz przemysł stara się w miarę sił i możności produkować równie tanio i równie dobrze, jak zagraniczny.

* * *

Tegoroczne urodzaje roślin ozimych wypadły na ogół dobrze, częścią znacznie lepiej, jak w latach normalnych. Żyto, w mniejszym stopniu pszenica dały plony, na które rolnik nie może się skarżyć, niestety zboża jare i niemal wszelkie rodzaje paszy i warzyw (kapusty) ucierpiały pod wpływem długotrwałej posuchy, a miejscami zawiodły. Także i urodzaj ziemniaków nie zapowiada się dobrze, a wiadomo powszechnie, jak ważną rolę roślina ta odgrywa w odżywianiu się naszej ludności włościańskiej. Nie mamy tu do czynienia z objawem lokalnym, umiejscowionym na pewne okolice, przeciwnie klęska występuje z wielką intenzywnością w całym szeregu krajów. Najlepszym tego dowodem, że jeden rząd po drugim wydaje zakazy wywozu pasz i artykułów paszę zastępujących. Wszystkie inne wyprzedził rząd rumuński. Za jego przykładem poszły władze serbskie, a wreszcie także rządy austryacki i węgierski wydały równocześnie po poprzedniem porozumieniu się podobne zarządzenia. Zakaz wywozu ściółki, melasy, makuchów, otrąb, słomy, kukurudzy, owsa, ziemniaków, koniczyny, siana, wogóle roślin pastewnych, odpadków przy fabrykacyi

cukru, piwa i słodu, oraz kilku innych artykuów obowiązuje z chwilą ogłoszenia, a zatem także w wypadkach już uskutecznionych i przyjętych zamówień zagranicznych, o ile zamówione towary jeszcze nie są załadowane. Już załadowane przesyłki wyżej wymienionych towarów mogą być wywiezione, a zatem zakaz działa wstecz i do pewnego stopnia narusza prawa nabyte od jednostek w imię wyższych interesów publicznych. Zakaz wywozu jest dość obszerny, nie obejmuje jednak jęczmienia pastewnego, czego się domagano z wielu stron. Rząd uzasadnia nie rozciągnięcie zakazu wywozu na jęczmień pastewny trudnościami rozróżnienia jęczmienia browarnego od pastewnego, oraz przeważnie dosyć zadawalniającymi zbiorami jęczmienia w monarchii.

Zakaz wywozu okazał się potrzebnym ze względu na to, że stwierdzono w szeregu wypadków zakupno otrąb w pierwszym rzędzie, a także makuchów przez kupców zagranicznych, zwłaszcza niemieckich, to też rozporządzenie wywołało bezskuteczny protest ze strony fabrykantów oleju, sprzedających makuchy. Domagano się także zniżenia, względnie zniesienia ceł na artykuły używane jako pasza, przedewszyskiem na kukurudzę. Oba rządy, zwłaszcza austryacki i węgierski zajęły w tej sprawie stanowisko odporne, prawdopodobnie z obawy zniżenia cen węgierskiej kukurudzy. Jest jednak nader wątpliwem, czy pogląd ten odpowiada rzeczywistym stosunkom.

Koleje państwowe i prywatne reaktywowały zeszłoroczne zniżki na artykuły pastewne. Trzeba z góry zapłacić należytość normalną, a potem wnosić podanie zaopatrzone licznymi załącznikami o zwrot pewnej części kosztów przewozu, stanowiących przyznaną ulgę. Ludności dotkniętej klęskami elementarnymi najtrudniej zdobyć się na gotówkę. Jeżeli już raz będzie zmuszoną zapłacić, to późniejszy zwrot należytości kolejowej nie ma dla niej tego znaczenia, któreby miała możność uiszczenia odrazu przy odbiorze towarów należytości, zmniejszonej o wysokość zniżki, to też ten ciasny i biurokratyczny przepis wywołał w kołach rolniczych wielkie niezadowolenie. W roku poprzednim ulgi obwiązywały także przy przewozie ziemniaków, tegoroczne rozporządzenie dotyczy kukurudzy, nie objętej zeszłorocznymi ulgami taryfowymi, natomiast w bieżącym roku, niestety nie udzielono zniżki na przewóz ziemniaków. Także i projekt udzielenia zniżki na przewóz jęczmienia pastewnego nie został urzeczywistnionym. Ulgi obowiązują tylko dla ładunków całowagonowych. Ludność włościańska powinna zatem zawczasu pomyśleć o zbiorowych zamówieniach za

pośrednictwem spółek dla oszczędności i pożyczek, zarządów gminnych, kółek i towarzystw rolniczych.

Namiestnictwo zniżyło cenę ściółki w lasach rządowych. Na Węgrzech, o ile nam wiadomo rozdają bezpłatnie ściółkę i dozwalają pasać bydło z okolicznych wsi w tych częściach lasu, w których to jest możliwem ze względu na wymogi kultury leśnej.

Mało słychać o samopomocy w przeciwdziałaniu skutkom posuchy. Zarząd główny kółek rolniczych zakupił kilka wagonów makuchów celem dalszej odsprzedaży członkom, podobno jednak większa część makuchów z galicyjskich fabryk oleju została sprzedaną do Czech i Moraw, to samo mówią o otrębach z naszych młynów.

A. K.

Druk ukończono 30 września 1904 r.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

NĘDZA DZIECI.

I.

Jak każda sprawa społeczna więcej skomplikowana, tak samo obecne przesilenie socyalne obejmuje wiele niedostatków i niedomagań różnych grup ludności. Razem wzięte stanowią one właśnie tę ogólną społeczną chorobę, którą kwestyą socyalną nazywamy, ale każdy moment tej ogólnej kwestyi nie tylko da się abstrakcyjnie z całości wyłączyć, lecz nadto tworzy w rzeczywistości pewną całość o własnych cechach, przyczynach i różnych środkach zaradczych. Niema wątpliwości, że jeżeli kwestya socyalna przeważnie z dwóch objawów społecznych się złożyła: z nędzy i demoralizacyi klas robotniczych i proletaryatu, to musiało powstać i powstało podwójne niebezpieczeństwo dla dzieci tych klas pracujących, zguba dzieci z nędzy i z demoralizacyi. I ta jest różnica między stanem obecnym a stanem z przed 20 lub 30 lat (przynajmniej u nas), że to, co wówczas było wyjątkowem i rzadkiem, jest obecnie częstem, powszechnem i chronicznem. Zawsze trafiały się dzieci nieszczęśliwe, osierocone lub prześladowane, ale dawniej był to wyjątek, obecnie przechodzi ta nędza dzieci w stan chroniczny. Innej przyczyny tego rozszerzenia się złego znaleźć nie można, jak ogólne ekonomiczne położenie proletaryatu i zmiana jego usposobienia moralnego,

nędza i demoralizacya, dwa objawy ogólnego przesilenia społecznego, które najsilniej i najwcześniej daje się we znaki najsłabszym i najbezradniejszym istotom, dzieciom. Jak dawniej peryodyczne głody, choć nawiedzały całą ludność, najwięcej porywały ofiar w dzieciach (co zresztą świeżo stwierdzono podczas dwukrotnego głodu w Rosyi przed kilkoma latami), tak samo ten dzisiejszy chroniczny stan materyalnej i moralnej nędzy proletaryatu odbija się przedewszystkiem na dzieciach.

Najczęściej trudno w poszczególnych wypadkach oznaczyć, która z tych przyczyn działa, często łączą się obie, tworząc błędne koło bez wyjścia. Pijaństwo, związki nieprawe, próżniactwo pociągają za sobą nędzę materyalną i odwrotnie nędza i rozpacz powodują pijaństwo, opuszczenie rąk, a wspólne ciasne mieszkania wywołują wybryki obyczajowe. Uważmy przytem, że cała ta ludność wyrobnicza i rzemieślników znajduje się nie w swoich rodzimych warunkach, że ten wyrobnik miejski to jest właściwie chłop, wyrwany z pośród wsi ze zdrowych warunków bytu, ze zatrudnień, które pokolenia poprzedzające trzymały na gruncie i wskutek różnorodnych przyczyn ekonomicznych nagle przesadzony w najpotworniejsze warunki życia, do nory piwnicznej o paru metrach w zgniłe powietrze mieszkań i podworców kamienic miejskich. Według dat statystycznych Krakowa ze spisu r. 1900 na 91323 mieszkańców było urodzonych w Krakowie 36243, a w powiatach galicyjskich 41933 osób. Biorę daty krakowskie, ale z małemi odmianami tak samo jest we Lwowie, Przemyślu, wogóle w większych miastach. Jeżeli weźmiemy stosunek przynależnych do obcych, rzecz się przedstawi jeszcze gorzej, na 91000 ludności było przynależnych do Krakowa 32447 osób (35%), do różnych powiatów galicyjskich 48874 osób tj. 53%. Te cyfry obejmują nie tylko ludność robotniczą, ale przeważnie składają się na nią robotnicy, których w Krakowie było w roku 1900 około 15000, nie licząc gmin podmiejskich, w których wyrobnicy przeważnie mieszkają i gdzie procentowy stosunek ludności napływowej wiejskiej do ludności przynależności jest jeszcze większy, niż w ściślejszym obrębie krakowskiej gminy administracyjnej. Można więc przyjąć, że z ludności robotniczej w miastach gali-

cyjskich nagromadzonej jest jakie 80% robotników świeżo w pierwszej generacyi przesiedlonych. Na taki przypływ ludności najuboższej, miasta nie były przygotowane, nie miały zwłaszcza odpowiednich mieszkań. Stąd drożyzna mieszkań rujnująca robotnika i niehygieniczne, wprost potworne ich warunki wywierające zgubny wpływ przedewszystkiem na zdrowie młodszego pokolenia i na moralność wszystkich lokatorów, żyjących dotąd w zupełnie innych stosunkach. Ten chłop polski tak ceniony na wsi ze swego chłopskiego rozsądku, wyrwany z pośród pól i łąk, traci na bruku miejskim głowę, nieporadny nie umie sobie znaleźć zarobku, schedę, jeżeli jaką z ojcowizny przyniósł do miasta, wkrótce przeżyje i przetraci, stały brak albo choćby dłuższa przerwa w zarobku przyprowadza go do nędzy, z nędzy pijaństwo, próżniactwo i zaniedbanie obowiązków względem rodziny. Moralność jego na wsi nie zawsze była wzorowa, ale pod okiem proboszcza, wśród otoczenia dobrze znanego, przy pracy fizycznej jakoś się trzymała. Napoczęła ją służba wojskowa, czasem zupełnie zniszczyła. Stały pobyt w mieście dalej go demoralizuje. Przychodzi do tego propaganda socyalistyczna, która swoje teorye kollektywistyczne dawno wrzuciła do kosza a zasłała zwykłą radykalną propagandę polityczną zawiści, wśród warstw robotniczych głównie propagandę antyreligijną, propagandę wolnej miłości, teoryi wychowania dzieci w zakładach państwowych. Można sobie wyobrazić, jaki chaos moralny wytwarza taka propaganda *Naprzodów* i *Latarni* w głowach niekrytycznych, do myślenia głębszego nieprzyzwyczajonych i niezdolnych. Tracąc wiarę, albo przynajmniej osłabiając ją, nie nabywa robotnik żadnych przekonań, wyciąga tylko praktyczny wniosek, że kiedy ma być nieprawdą, co go dotąd w moralności trzymało, to wszystko wolno, robotnik naprzodowy ma tylko zrabowane przez burżuazyę prawa, ale nie ma obowiązków ani względem żony, ani względem dzieci, chyba tylko względem partyi. I zaczyna się orgia namiętności, okazyi nie braknie, w tej samej izbie o metr jest inna kobieta, z którą woli żyć, niż z żoną, opuszcza więc żonę i dzieci na pastwę nędzy, albo mści się na nich zato, że żyją i potrzebują choćby kawałka suchego chleba, pije więc i bije, uświadomiony przez partyę robotnik. Ona znowu

maltretowana lub opuszczona, zaczyna ze swej strony odwet niewierności, zjawia się w izbie doraźny ojczym — rzekomych pasierbów z pierwszego małżeństwa, zastępuje go po czasie inny, a tymczasem dzieci się rodzą, są moje, nasze i twoje, każda kategorya przez stronę obcą bita i maltretowana, wszystkie razem obdarte, brudne, głodne, kaleczone, suche, żółte i codziennie od dzieciństwa gorszone. Że to nie jest przesadzone, potwierdzą ci, co mają sposobność zbliżać się do ludności robotniczej na przedmieściach i zaułkach miasta, jak n. p. członkowie Towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Na Kazimierzu, na Grzegórzkach, w Półwsiu Zwierzynieckiem i w Zwierzyńcu co chwila spotyka się takie pogmatwane rodziny, w Ludwinowie, Zakrzówku prawie w każdym domu. Statystyki w tym względzie być nie może, bo karty meldunkowe wypełniane fałszywie, a często stan cywilny i właściwe nazwiska dzieci nie pewne i do metryk dowolnie podawane. W takich warunkach życie tych ludzi nie może być długie, organizm z kwią zepsutą podczas służby wojskowej, nadwątlany nieraz ciężką pracą przy lichem odżywianiu, alkoholem i wybrykami obyczajowemi ulega szybko rozkładowi i ten przesiedlony ze wsi robotnik kończy życie w szpitalu miejskim, pozostawia drobne dzieci z zepsutą krwią w spadku, bez środków do życia na pastwę najprzód nędzy, a potem wczesnej śmierci lub co gorsza demoralizacyi.

II.

W konkretnych wypadkach nędza dzieci jest tak różna i zmienna, że podzielenie na pewne rodzaje przedstawia trudności. Zdaje mi się jednak, że według źródła, z którego wypłynęła i jakości swej, nędza dzieci dałaby się podzielić na cztery następujące typowe rodzaje:

1) Dzieci, które mają opiekę, ale są w nędzy, dlatego, że ich rodzice znaleźli się w niezawinionej biedzie. To jest przypadek bardzo częsty, ale względnie najlżejszy. Brak zarobku, choroba ojca rodziny lub wdowy mającej kilkoro dzieci, wtrąca od razu te dzieci w nędzę. Towarzystwa dobroczynne wyszukując zarobek

lub wspierając rodzinę, dopóki ojciec lub matka zarobku nie znajdą, przynoszą ulgę choć zwykle niedostateczną całym rodzinom, a więc i dzieciom. Do tej kategoryi należą także dzieci wdów, których mężowie wcześnie poumierali albo opuścili rodziny i nie dostarczają środków do życia: jeden i drugi wypadek zatrważająco często się powtarzający. Wdów z drobnemi dziećmi jest niestosunkowo wiele, bo wskutek przyczyn wyżej wskazanych, wyrobnicy stosunkowo krótko żyją. Brak zaś poczucia obowiązków względem rodziny sprawia, że ojcowie opuszczają dzieci, wyjeżdżają za zarobkiem, zapominają o żonie i dzieciach. Członkowie Towarzystwa św. Wincentego a Paulo w Krakowie bardzo często wynajdują takie opuszczone matki z dziećmi, »wyjechał do Prus, od roku nie mam wiadomości«, brzmi odpowiedź na zapytanie o męża.

2) Sieroty i dzieci opuszczone. Jest to grupa dzieci, które nie mają żadnego oparcia w życiu, ani matki ani ojca ani krewnych — albo dlatego, że je odumarli albo, że je z domu wyrzucili. Tu należą także niemowlęta, których matka albo oboje rodzice się wyparli, t. zw. podrzutki. Dla tego rodzaju opuszczonych dzieci niema innego środka ratunku, jak instytucya miłosierdzia chrześcijańskiego, Zakład wychowawczy dla sierót. Wyjątkowo tylko trafia się czasem, że jakaś prywatna osoba, zwykle bezdzietna, przytuli do siebie sierotę, ale to zależy wyłącznie od przypadku, jeżeli taka osoba, mająca zresztą środki materyalne na to, ma sposobność spotkać sierotę. Jeżeli ten wypadek nie zajdzie a w Zakładzie nie znajdzie umieszczenia, czeka sierotę najopłakańszy los, barbarzyńskie odesłanie do gminy przynależności. Jeżeli to gmina większego miasta, to może mieć słabą nadzieję umieszczenia w Zakładzie na koszt gminy, jeżeli zaś gmina wiejska lub małomiasteczkowa, odesłanie równa się skazaniu na tułaczkę od domu do domu, przymieranie z głodu, brak wszelkiego wychowania. Znam takie wypadki, gdzie Wydział dobroczynności Magistratu miasta Krakowa odebrał sieroty umieszczone w Zakładzie Sióstr Miłosierdzia przez Towarzystwo św. Wincentego a Paulo, pomimo, że za nie ani centa nie zapłacił, i odesłał do gminy podtatrzańskiej na przednowku (w jednym wypadku 3 sierót

w końcu lutego 1903), gdzie ludzie sami nie mieli co jeść. Co ten biurokratyczny, bezmyślny krok kosztował te biedne dzieci cierpień i łez! Przybywszy do gminy przynależności, gdzie nikogo z blizkich krewnych nie było, zostały każde osobno umieszczone u obcych ludzi, którzy jak tylko mogli pozbyć się tego ciężaru, powyrzucali te biedactwa — potem rozproszone, każde tułało się po innych chatach a w miesiąc później już ich nie było wszystkich w gminie oficyalnej przynależności. Jeden chłopiec tułał się po wsiach okolicznych i żebrał, drugi w Zakopanem, 5-letnia dziewczynka u jakiejś kobiety, której mąż robił przykrości, że z domu nie wyrzuca dziecka. Jedna z Konferencyi krakowskich Towarzystwa św. Wincentego, nie dała jednak za wygraną: po licznych korespondencyach, i zawezwaniu do pomocy Tercyarzy i Sercanek w Zakopanem udało się jednego chłopca umieścić w rok potem w Zakładzie św. Józefa w Krakowie, dziewczynka znalazła tymczasowy przytułek u bezdzietnego małżeństwa, drugiego chłopca jednak miejsce pobytu nie wiadome. Takich wypadków odesłania dzieci osieroconych oficyalnie pod opiekę gminy przynależności, w rzeczywistości na nędzę i poniewierkę jest w Krakowie coraz więcej, odkąd Wydział dobroczynny Magistratu przyjął tę nieludzką praktykę.

3) Dzieci biedne, mające złych rodziców lub opiekunów. Ta grupa różni się od kategoryi pod 1) tem, że tam nędza dzieci wynikła z nędzy rodziców niezawinionej przez nich, tu zaś nędza rodziny pochodzi z winy ojca, matki, opiekuna np. z pijaństwa, które powoduje, że dzieci są głodne, źle ubrane i źle wychowywane. Wypadki takie często napotykane przedstawiają okazy strasznej nędzy dzieci zwłaszcza, jeżeli oboje rodzice piją. Na Kazimierzu znaleźliśmy 3 dzieci pijaków zamknięte w mieszkaniu od przeszło 24 godzin bez jedzenia, bo ojciec i matka nie powrócili do domu przez dzień i noc. W innym wypadku matka pijaczka, gdy przychodziła do domu wlewała dziecku w kołysce wrzące mleko do gardła. Współmieszkańcy to opowiadali, ale jak się zdaje, dla uniknięcia awantur, dziecka od takiego obejścia nie ratowali, to też po jakimś czasie umarło. Na Grzegórzkach pijak wdowiec nie dawał nic jeść 5-letniej córeczce, która żywiła się odpadkami ży-

wności ze śmieci zbieranymi o ile jaka sąsiadka od czasu do czasu nie dała kawałka chleba z litości. Dziecko to zamykane całymi dniami z osłabienia spało, a oddane do zakładu p. Felicyty Żurowskiej, tak było przyzwyczajone do jedzenia ze śmieci, że nawet kiedy dostateczne otrzymywało pożywienie w zakładzie, brało piasek i miał węglowy do ust. Brud i łachmany takich dzieci przechodzą wszelkie wyobrażenie. Często umierają na zakażenie krwi przy lada małej ranie przypadkowo otwartej, bo całe oblepione skorupą brudu. Nie trzeba dodawać, że o jakiemkolwiek wychowaniu religijnem, o nauce pacierza i katechizmu mowy być nie może. Jedynem wrażeniem dzieciństwa są przekleństwa, widok pijanych rodziców, głód i zapach alkoholu. Na tem możnaby kategorye nędzy dzieci zakończyć, gdyby nie było jeszcze jednej najstraszniejszej:

4) Dzieci katowane. Mówiąc o tym rodzaju nędzy a właściwie męczeństwa dzieci, wychodzi się poza granice natury ludzkiej, na jakiś teren zwierzęco-szatańskiej, wyrafinowanej złości, która w tem powolnem katowaniu znajduje swe zaspokojenie. Rzecz byłaby nie do wiary, gdyby od czasu do czasu jakiś proces karny albo doniesienie kroniki policyjnej nie odchylały zasłony z tych tajemnic życia zaułków miejskich. Z małymi wyjątkami są to prawie zawsze dzieci nieślubne, które zawadzają w domu albo matce albo jej mężowi. Prześladowcy takich nieszczęśliwych istot boją się zapewne szubienicy i dlatego, jak się zdaje, nie mordują jednym zamachem, ale chcąc się dziecka pozbyć, latami nieraz katują, głodzą w miarę, żeby dziecko w końcu zmarło niby naturalną śmiercią. Lecz nie we wszystkich wypadkach można powiedzieć na pewne, że śmierć dziecka przez katujących jest pożądana, czasem bowiem ich postępowanie zdawałoby się wskazywać na to, że kat chce utrzymać przy życiu swą ofiarę, żeby tylko módz najdłużej ją męczyć z coraz wzrastającą złością.

Sposoby dręczenia dzieci bywają najróżnorodniejsze; w Przemyślu jakaś kobieta kładła swą nieślubną 4-letnią córeczkę na rozpaloną blachę w kuchni; pod Jarosławiem wyrobnik zasiekł na śmierć jednoroczne swej żony dziecko w kołysce rzemieniem. W Nowej Wsi pod Krakowem czeladnik szewski z żoną dawali

pić 4-letniemu synkowi odwar z oskrobin z ziemniaków, myli go pod studnią zimną wodą przy silnym wietrze na kilkustopniowym mrozie, ojciec przywiązywał go postronkami do łóżka i okładał kijem, na propozycyę jednak bezpłatnego umieszczenia dziecka w zakładzie odpowiedział odmownie. Na Miodowej ulicy w Krakowie wyrobnik, nieślubnego 3-letniego synka swej zmarłej żony bił kijem tak, że sekcya wykazała później żebra połamane, ciskał nim po stancyi o twarde przedmioty i kaleczył ostremi narzędziami, nareszcie po przeszło rocznych męczarniach dziecko umarło z zakażenia krwi z otwartej rany. Ława przysięgłych potwierdziła tylko znamiona zbrodni zabójstwa, bo morderczego zamiaru nie przypuściła przy żadnym z aktów zemsty nad dzieckiem i ten potwór dostał tylko 8 lat więzienia. Głośny był wypadek katowania dziecka przez Lembasową w Podgórzu, bo dzienniki ogłosiły sprawozdania z procesu karnego, zakończonego wyrokiem na karę śmierci. Według aktu oskarżenia Lembasowa mając nieślubną córkę Bronisławę wyszła za mąż za wyrobnika. Mąż pił, żona nie lubiła pracować, więc przyszła nędza, a ofiarą jej padała mała dziewczynka. Głodzono ją, bito, poniewierano tak, że dziecko straciło władzę w nogach, miało złamaną rękę, wyglądało jak szkielet. O katowaniu dziecka donieśli sąsiedzi sądowi i Lembasowa została skazana na 5 miesięcy ciężkiego więzienia. Odtąd jeszcze więcej spotęgowała się jej nienawiść ku dziecku. Nareszcie wywlekła je w zimie 1903 r. z Podgórza, błąkała się z niem poza Krakowem i wyszukawszy odludne miejsce na gruntach wsi Prusy pod granicą rosyjską, żywcem zakopała w ziemi mimo błagań i łez dziecka. Katowanie tego dziecka trwało przez 4 lata wstecz od chwili śmierci (*Czas* z 30 kwietnia 1903). Jak częste są takie wypadki katowania, świadczą notatki kronikarskie dzienników o wykrytych przez policyę faktach. Tak np. miesiąc przed powyższem sprawozdaniem o zbrodni Lembasowej w *Czasie* z 31 marca 1903, nr. 73, można było czytać notatkę pod tytułem »Nieszczęśliwe dziecko«, o kilkoletniej nieślubnej córeczce żony czeladnika ślusarskiego zakatowanej na śmierć, a 16 dni wstecz w *Czasie* z 14 marca 1903, nr. 60 pod tą samą rubryką »Nieszczęśliwe dziecko«, o sześcioletniej znowu nieślubnej córce żony czeladnika

rzeźniczego w Krowodrzy: »Dziecko (na policyi) przedstawiało bardzo bolesny widok, ma bowiem podbite oko, złamaną rękę, całe ciało pokryte sińcami. Dziecko z powodu bicia i głodzenia jest bardzo wyniszczone, wątłe tak, że ledwie trzyma się na nogach«. Dodaję, że ta dziewczynka znajduje się w zakładzie p. Żurowskiej w Półwsiu Zwierzynieckiem, w ten sposób uratowana, ale nie zupełnie, bo zdradza objawy upośledzenia umysłowego, jak się zdaje, od częstych silnych uderzeń w głowę ciężką ręką rzeźnika i jego żony. Jeżeli tyle wypadków dochodzi do wiadomości policyi, ileż więcej ich pozostaje nigdy nie wykrytych, kończących się pochowaniem w trumienkę zakatowanego na śmierć dziecka. Takie dzieci wobec zwierzęcej brutalności prześladowców, są prawie zawsze bezbronne, bo wskutek niedołęztwa i braku serca nikt za niemi się nie ujmie. Sąsiedzi słyszą jęki, ale co ich to obchodzi, poco mają się narażać na nieprzyjemności. Charakterystyczną jest wzmiankowana wyżej notatka o zamordowanem dziecku z 31 marca 1903: »Dziecko kilkakrotnie dziennie zapadało na spazmy, a wtedy właśnie nieprzytomne matka najwięcej katowała. Sąsiedzi słyszeli nieraz krzyki dziecka. Zmarło ono wczoraj«. Na to, żeby się policya o niem dowiedziała trzeba było śmierci dziecka wskutek kilkoletnich męczarni, bo chociaż sąsiedzi nieraz »słyszeli« jęki, żaden się nie ruszył, żeby dziecko bezbronne ratować, dopiero po śmierci zaczęły się plotki.

Bywają nareszcie wypadki na szczęście mniej liczne okrutnego obchodzenia się z dziećmi zwłaszcza trochę starszemi w celu zmuszenia ich, aby służyły za narzędzie rozpusty. Zwykle naprzód bywają sprzedawane jednorazowo za jakąś z góry umówioną kwotę, później nie dostają pożywienia dopóki zarobku nie przyniosą. Jeżeli okrucieństwo z nienawiści bywa więcej wyrafinowane i brutalne, tu dołącza się podłość, świadcząca o zupełnym zaniku pojęć etycznych.

III.

Chcąc mówić o środkach zaradczych przeciw tej gangrenie społecznej, trzeba zrobić pewne zastrzeżenie co do rozumienia tego słowa: środek zaradczy. Naturalnie, że jeżeli to złe jest jed-

nym ze skutków przyczyn głęboko tkwiących w społeczeństwie, w jego stanie ekonomicznym i moralnym, to każda reforma dążąca do poprawy tego stanu będzie lekarstwem także przeciw tej specyalnej chorobie społecznej. Ale to rzecz daleka, wymagająca działania wszystkich czynników społecznych, a jak dotąd nie jesteśmy jeszcze na tej drodze. Trzeba się więc ograniczyć do postawienia pytania, jakie środki są w stanie w teraźniejszem położeniu społeczeństwa zaradzić nędzy, a przynajmniej zmniejszyć nędzę dzieci i płynące z niej zgubne skutki? Tak postawiwszy pytanie, z góry odpowiedzieć możemy, że właściwie tylko miłosierdzie chrześcijańskie w społeczeństwie praktykowane może dostarczyć narzędzi w ludziach chcących ratować te małe nędzne istoty, ale środki finansowe nato powinny płynąć nie tylko ze społeczeństwa machiną państwową przygniecionego i wyczerpanego, ale także z kas państwa i kraju. Stąd konsekwencya, że jeżeli dzieło jakieś przechodzi możność finansową prywatnego miłosierdzia lub stowarzyszeń dobroczynnych, jeżeli więc państwo (czy kraj) bierze na siebie wprowadzenie dzieła, to jego ciężkie, powolne, niepraktyczne działanie powinno się ograniczyć do podjęcia finansowej strony wprowadzenia dzieła, co najwięcej do ogólnej kontroli, ale wykonanie dzieła powinno pozostawić ludziom miłosierdzia chrześcijańskiego. Jeżeli ta zasada faktycznie ma zastosowanie w dziełach humanitarnych dla dorosłych n. p. w szpitalach kosztem kraju utrzymywanych w wewnętrzny zarząd Siostrom miłosierdzia oddanych, to bez porównania więcej powinna obowiązywać w instytucyach dla dzieci przeznaczonych. Z faktu wyżej przytoczonego opieki wydziału dobroczynnego Magistratu nad sierotami wysłanemi na nędzę, można osądzić jak niezdarną jest ręka administracyi publicznej w sprawach, gdzie nie atramentu, pióra i biura, ale przedewszystkiem potrzeba serca. Finansowe zaś współdziałanie państwa lub kraju z miłosierdziem chrześcijańskiem może być dwojakie; albo państwo daje wydatne subwencye instytucyom stworzonym przez stowarzyszenie chrześcijańskie, aby je mogły stosownie do potrzeb kraju rozszerzyć i prowadzić, albo odwrotnie administracya publiczna stwarza instytucyę i oddaje w zarząd stowarzyszeniu, zgromadze-

niu zakonnemu i t. p. Pierwszy sposób jest dla kasy państwowej tańszy, drugi znowu daje większą gwarancyę należytego rozmieszczenia zakładów według lokalnych i ogólnych potrzeb.

Pierwszym takim zakładem przechodzącym siły finansowe jednostek i stowarzyszeń, który się na myśl nasuwa, to zakład podrzutków i dzieci osieroconych. Zakładu podrzutków w właściwem znaczeniu Galicya nie ma żadnego; jest tylko przy szpitalu św. Łazarza i we Lwowie fundusz podrzutków administrowany w niepraktyczny sposób umieszczenia niemowląt u kobiet wiejskich, taki sam fundusz w krakowskiem Towarzystwie Dobroczynności używany w ten sam sposób, i prywatny zakład ks. Maryi Ogińskiej w Bobrku utrzymujący sto kilkadziesiąt dzieci częściowo podrzutków, zresztą opuszczonych sierot. Naturalnie, że istniejące prywatne usiłowania w tym kierunku nie zaspokajają potrzeby i żeby nic więcej, tylko powtarzające się na każdej kadencyi sądów przysięgłych procesa karne o dzieciobójstwa i morderstwa dzieci dowodzą jak niezbędnemi są przynajmniej dwa takie zakłady, jeden dla Galicyi zachodniej, drugi dla wschodniej. Takie zakłady na większą skalę urządzone, przyjmujące także opuszczone sieroty miałyby ten skutek, że nie tylko zmiejszyłaby się liczba dzieciobójstw ale zniknąłby najgorszy rodzaj nędzy dzieci katowanych (pod 4). Ten sam skutek okazałby się częściowo z założenia krajowych zakładów wychowawczych dla dzieci ociemniałych, głuchoniemych i umysłowo upośledzonych, których znaczna część ulega losowi dzieci katowanych. Głuchoniemych było w Cislitawii w roku 1900 około 20.000, a w 25 zakładach (z tych 9 krajowych i 1 państwowy) pobierało wychowanie tylko 1598 niemych, reszta żadnego wychowania nie odebrała. W Galicyi zakładów krajowych dla dzieci kalek nie ma żadnych, fundacyjne zaś zakłady we Lwowie dla ciemnych (od roku 1851 istniejący) i głuchoniemych (od roku 1830) wychowują po kilkadziesiąt dzieci, a zatem nie odpowiadają potrzebie kraju. Dla biednych umysłowo upośledzonych dzieci nie ma żadnego zakładu.

Ale nie tylko do utrzymywania zakładów ogranicza się działalność kraju i państwa: konieczną jest również zmiana ustawodawstwa o ubogich. Ustawa gminna i ustawa o przynależności na-

kłada na gminę obowiązek żywienia i utrzymywania biednych nie mogących pracować, a więc także obowiązek żywienia i utrzymywania biednych dzieci pozbawionych opieki. Z wyjątkiem wielkich miast mających zakłady dla sierot i starców, gminy tego obowiązku nie dopełniają, bo są ekonomicznie za słabe, aby go dopełnić mogły i przepis na oko humanitarny pozostaje na papierze. Względem dorosłych, ubogich starców lub kalek obowiązek ten spełnia się w ten sposób, że im się pozwala w gminie żebrać, ale że żebranina na małym terenie nie może przynieść tyle, co na obszerniejszym, kończy się na tem, że przynależny opuszcza swoją gminę, idzie w okolicę albo do miasta i zamiast żebrakiem gminnym zostaje żebrakiem powiatowym, miejskim lub prowincyonalnym. Małe dzieci tego chwycić się nie umieją, stają się więc popychadłami gminnemi, zaniedbanemi pod każdym względem, od pożywienia i łachmanów począwszy aż do zupełnego braku wychowania religijnego i moralnego. Jeżeli potrafią te lata wczesnej nędzy przeżyć, stają się w ósmym, dziesiątym roku życia bezpłatnemi wyzyskiwanemi służącemi u wójta, lub którego z panów radnych wedle zapotrzebowania, albo bywają z gminy wyrzucane, jak to widzieliśmy na tym klasycznym przykładzie 3 sierot odesłanych do gminy przynależności. Za dawnych dobrych czasów, gdy każdy w swojej gminie wśród krewnych i znajomych rodził się, żył i umierał, mógł się taki zwyczajowy obowiązek gminy zaopatrywania potrzeb ubogich wyrobić i przejść następnie w ustawę. Lecz z chwilą zupełnego przewrotu tych stosunków w czasach kolei żelaznych, łatwych komunikacyi i gromadnych migracyi, stracił swoją racyę i utrzymuje się siłą bezwładności na papierze. Gdyby był dopełniany, miałby nadto tę wadę, że obciążałby więcej gminy uboższe od bogatszych. Im bowiem gmina mniej ma zasobnych mieszkańców, im mniej w niej ruchu handlowego, przemysłowego, im mniejsza sposobność zarobku, tem łatwiej za lada błahem niepowodzeniem mieszkaniec gminy z niepotrzebującego pomocy staje się ubogim w rozumieniu ustawy, czyli innemi słowami ciężar dla gminy wynikający z obowiązku zaopatrywania ubogich jest w odwrotnym stosunku do zasobności gminy, im gmina uboższa, tem więcej przy równej

ilości mieszkańców ma do zaopatrywania ubogich, a z takiej sytuacyi wychodzi zwycięsko w ten sposób, że ich wcale nie zaopatruje[1]. Gdyby gminy rzeczywiście obowiązki przynajmniej względem opuszczonych i osieroconych dzieci wykonywały, powinnyby istnieć gminne albo przynajmniej powiatowe zakłady dla sierot, tymczasem według ogłoszonych dat w tomie XVIII »Wiadomości statystycznych Galicyi«, zeszyt I, tab. III (Lwów 1901) na 6242 gmin i 74 powiaty galicyjskie było w roku 1897 40 zakładów dla sierót, naturalnie prywatnych, w czem się mieści już 9 zakładów (burs) dla ubogiej młodzieży nie koniecznie osierociałej. Właściwie więc było zakładów 31, podczas gdy domów zaopatrzenia dla dorosłych ubogich (starców, kalek) było 218. Domu podrzutków gminnego, powiatowego lub krajowego nie było ani jednego, a przecież przy odpowiedniem ustawodawstwie i porządnej administracyi funduszami gminnymi nie byłoby trudno o kilka zakładów tego rodzaju dla Galicyi, jeżeli prawdziwą jest cyfra podana w tym samym tomie »Wiadomości« jako cyfra funduszów pochodzących z grzywien politycznych i sądowych 831.442 fl. 83 ct. (stan z 1 stycznia 1898 tabl. IX), razem z innemi źródłami 1,654.607 fl. 69 ct., a wydatki gmin na ubogich bez Lwowa i Krakowa miały w roku 1897 wynosić 254.187 fl. 59 ct. (tablica XVIII). Gdyby te fundusze nie marnowały się w gminach, lecz pozostawały w administracyi Wydziału krajowego, opieka nad ubogimi, zwłaszcza opieka nad dziećmi byłaby nie urojoną lecz rzeczywistą i nie obciążałaby zbytecznie budżetu krajowego.

Nie wystarczy jednak zmiana ustawodawstwa o ubogich, potrzeba nadto dokładnego wykonania ustaw pod należytą kontrolą. Nawet przy dzisiejszej wadliwej organizacyi opieki nad ubogiemi dziećmi dałoby się wiele ich krzywd uniknąć, gdyby jakakolwiek istniała kontrola przez wydziały powiatowe nad wykonywaniem obowiązku opieki przez gminy. Do takiej kontroli

[1] Już po napisaniu tej rozprawki wpłynął do Sejmu na sesyi 30 września 1904 projekt Wydziału krajowego uregulowania ustawodawczego publicznej opieki nad ubogimi, opierający się na zasadzie dawnej, że gmina obowiązaną jest do zaopatrywania ubogich. Zdaje się, przybędzie nam jedna jeszcze ustawa nie wykonana.

mogłyby się oprócz wydziałów powiatowych poczuwać sądy opiekuńcze, bo im powierza kodeks cywilny nadzór nad sprawowaniem opieki przez prywatne osoby. W rzeczywistości dzieje się tak, że sądy nad-opiekuńcze tylko wtedy doglądają, a nawet krępują opiekuna, gdy sieroty mają jakiś majątek, w przeciwnym razie sąd *pro forma* zamianuje opiekuna i dalej o sierotę się nie troszczy. Bywają nawet wypadki, że dzieci osierocone nie mają żadnych opiekunów, a dopiero przy sposobności małżeństwa ustanawia się na prędce opiekuna, aby dał zezwolenie. A jednak według § 207 kod. cyw. powinna być w każdym sądzie opiekuńczym księga czyli spis sierót, w niej każdy ważny fakt o osobie sieroty zapisany, dla każdej opiekun ustanowiony. Jeżeli sierota nie ma majątku, sąd powinien (§ 221 kod. cyw.) wyszukać krewnych i skłonić ich do wychowania sieroty, a gdyby się to nie dało zrobić na wniosek opiekuna, postarać się o umieszczenie w zakładach dla ubogich. Oczywiście ma prawo kontrolowania jak się z małoletnim obchodzą i jak go wychowują. W rzeczywistości to wszystko nie jest wykonane, a takie niewykonywanie ustaw, zawsze demoralizujące, w tych wypadkach może się stać przyczyną krzywd istot nie umiejących się bronić.

Jeszcze gorzej się dzieje z dziećmi prześladowanemi i katowanemi. Według § 415 kod. karn. i następnych w sprawie karnej o znęcanie się nad dziećmi sędzia skazujący rodziców chociażby za lekkie uszkodzenie cielesne dziecka, powinien zaraz *sogleich* pozbawić rodziców władzy rodzicielskiej i poczynić kroki do zamianowania opiekuna, jeżeli tylko z powodu charakteru rodziców obawiać się należy dalszego niebezpieczeństwa dla dziecka w razie pozostawienia go u rodziców. Prawie każdy wypadek znęcania się nad dziećmi da się podciągnąć pod ten przepis, bo trudno przypuścić, żeby pozostawienie dziecka u rodziców, swojem postępowaniem wywołujących sprawę karną o kaleczenie nie przedstawiało dla niego niebezpieczeństwa, a jednak sądy niezmiernie rzadko stosują powyższy przepis, udzielają jedynie według poprzedzającego § 414 nagany rodzicom, pozostawiając u nich nadal dzieci na pastwę dalszego katowania i zemsty za otrzymane nagany. Takie lenistwo i bezmyślność w stosowaniu ustawy wpro-

wadza czasem szerszą publiczność w zdumienie, jeżeli się zdarzy, że po naganie, następną karą bywa szubienica. W Wiedniu po dwóch procesach w listopadzie 1899 Maryi Kutschery o zamordowanie 10-letniej pasierbicy i małżonków Hummlów o morderstwo na 5-letniej córeczce, oburzenie było powszechne i udzieliło się nawet sprawozdawcom dzienników. Pokazało się, że Hummlowie, na półtora roku przed procesem o morderstwo, mieli sprawę karną o znęcanie się nad dzieckiem, a sąd powiatowy skazał ich na naganę i uważał za najbezpieczniejsze dla dziecka, aby u swoich katów nadal pozostało. Po półtorarocznem męczeństwie dziecka już sądy otrzymały martwe zwłoki do sekcyi, która wykazała przeszło dwadzieścia ran zadanych ostremi i tępemi narzędziami, kilka żeber złamanych, zęby powybijane od kułaków, nóżkę złamaną, ciało wychudłe, wargę przeciętą z ropiejącą raną, bezpośrednią przyczyną śmierci wskutek zakażenia krwi. Po takiem strasznem, a wówczas głośnem ostrzeżeniu zdawałoby się, że nastąpi zwrot w praktyce dotychczasowej i że sądy raz przecie zaczną korzystać z przepisu § 415 kod. karn. Gdzie tam! wszystko się dzieje po dawnemu, nagany, i dziecko na pastwę pozostawione. Lembasowa z Podgórza, o której mówiliśmy wyżej, dostała pierwszym razem karę 5-miesięcznego więzienia za ciężkie okaleczenie dziecka, ale po powrocie z więzienia miała dziecko u siebie, aż wreszcie je żywcem zakopała. Tak samo chłopiec z Nowej Wsi odwarami z oskrobin karmiony, pozostał nadal u czułych rodziców.

Na usprawiedliwienie sądów, choćby częściowe tylko i to nie karnych, lecz opiekuńczych, zwrócę uwagę, że sądy w obecnych stosunkach nie wiedzą co zrobić z takiemi dziećmi po pozbawieniu władzy rodzicielskiej i zamianowaniu opiekuna. Wprawdzie § 414 kod. karn. powiada, że dziecko w takim razie ma być na koszt rodziców gdzieindziej wychowane *(auf ihre Kosten an einem anderen Orte erzogen werde)*, ale to zastrzeżenie w praktyce nie wiele warte, bo rodzice najczęściej są biedni i nikt od nich tych kosztów wydobyć nie potrafi. W razie ich ubóstwa *soll von der Obrigkeit für die Unterbringung des Kindes gesorgt*, ale do czegóż to staranie doprowadzi? Opiekuna można zamianować, lecz

nie można mu nałożyć kosztów utrzymania cudzego dziecka. Odesłać je do gminy? Chyba na to, żeby i tam zmarniało, bo widzieliśmy, co ta gminna opieka warta. Czy umieścić w zakładzie prywatnym lub stowarzyszenia? Tam odpowiedzą, że zakład przepełniony, bo ich jest na potrzeby kraju za mało. W najlepszym razie otrzyma sąd obietnicę, że za rok lub później, jak się miejsce zrobi, przyjmą dziecko, a tymczasem ono z głodu przymiera i co sąd ma z niem począć? Byłoby wcale inaczej, gdyby nie gminy lecz kraj lub państwo miały obowiązek ponoszenia kosztów utrzymania ubogiego dziecka. W tym razie sędzia po orzeczeniu utraty praw rodzicielskich i zamianowaniu opiekuna wyasygnowałby natychmiast dla dziecka do rąk opiekuna potrzebną kwotę z kasy państwa lub kraju, albo, gdyby istniały zakłady krajowe dla sierót, zarządziłby umieszczenie w zakładzie, któryby przyjęcia nie mógł odmówić.

IV.

Chociażby władze wszystko zrobiły co do nich należy, chociażby nawet organizacya publicznej dobroczynności została należycie zreformowana, złemu się nie zaradzi, jeżeli się do tego społeczeństwo nie przyczyni. Najprzód dlatego, że udział społeczeństwa ułatwia urzędnikom ich działanie, pośrednio zachęca ich do gorliwego pełnienia tych zadań, które interesują szerokie warstwy społeczeństwa, a zatem wytwarza poniekąd kontrolę nad wykonaniem ustawy. Powtóre, mimo gorliwości w wykonaniu ustaw, władza nie zawsze może dojść do wiadomości tych wypadków, gdzieby jej interwencya była potrzebna, a w tym razie inicyatywa musi wyjść ze społeczeństwa, i w razie potrzeby wkroczenie władzy spowodować. Nareszcie, co najważniejsze, mimo najlepszej organizacyi dobroczynności publicznej, państwo i kraj wszystkiemu zaradzić nie są w stanie i pozostaje jeszcze obszerne pole do działalności jednostek i stowarzyszeń. Dotychczas jednak poznania i uznania potrzeby działalności dla ratowania dzieci od dwojakiej nędzy nie widać w naszem polskiem społeczeństwie a przynajmniej nie widać wzrostu tej działalności w miarę wzrostu złego. Te mikroskopijne instytucye, które przed laty kilkudziesięciu

istniały, wykonywują swoje działanie na obecne potrzeby niedostateczne według dawniej zakreślonych granic, nowe prawie nie powstają. O obojętności jednostek na srogie nieraz cierpienia dzieci mówiliśmy wyżej, jak nieraz małym trudem możnaby dziecko z nieszczęścia wybawić, a jednak tego nikt nie zrobi z lenistwa, z chęci wygody, z bezwładności. Tak samo z bezmyślności, chociaż konieczność ratowania dzieci narzuca się oczom patrzącym na dzisiejsze społeczeństwo, nikt prawie nie pamięta w testamentach o instytucyach dla dzieci, z czego wynika, że są one najmniej liczne i najuboższe ze wszystkich humanitarnych; jedynym z dziada pradziada przekazywanym celem dobroczynności testamentowej było i jest stypendyum i to jeszcze jakie(!) nie dla coraz liczniejszych szkół zawodowych, przemysłowych, handlowych, seminaryów żeńskich, lecz zawsze stereotypowo stypendyum dla »uczniów gimnazyalnych lub uniwersytetu«, z czego ten skutek, że Wydział krajowy nie wie co z temi stypendyami robić, i ten dalszy, że wszystko, co ubogie, pcha się do gimnazyów a nie do innych szkół, gdzie się z głodu przymiera. O bogatych fundacyach dla wychowania dzieci nikt nie myśli i przez kilkadziesiąt lat dwie tylko takie powstały w Galicyi fundacye: hr. Stanisława Skarbka w Drohowyżu i ks. Aleksandra Lubomirskiego w Krakowie. Legaty na ochronki, na zakłady sierot i szpitale dzieci rzadko kto czyni i to w tak nieznacznej kwocie, że bywa używana na bieżące wydatki a majątku zakładowego nie powiększa. Stąd pochodzi to ubóstwo zakładów dla dzieci w porównaniu do funduszów dla ubogich dorosłych wykazane w zebranych datach statystycznych z lat 1880 do 1896. W dwóch ostatnich latach 1895 i 1896 było w całej Galicyi wspieranych dzieci 8827 na 13883 dorosłych i 8557 na 15.019 (Wiadomości statystyczne, tom XVIII, zeszyt I, Tab. IV). Na kilkadziesiąt krajowych i powiatowych szpitali były 2 szpitaliki dla dzieci w Krakowie i we Lwowie, które chorują na ciągły brak funduszów. Dla braku funduszów przyjmowano tylko nieznaczną liczbę dzieci chorych, zgłoszonych w ambulatoryum; według trzydziestego pierwszego sprawozdania Towarzystwa opieki szpitalnej dla dzieci w Krakowie (Kraków 1904, str. 14) na 6229 dzieci zgłoszonych w roku 1903

przyjęto tylko 1323 dzieci do stałego leczenia, a Towarzystwo założone w roku 1872 po 32 latach istnienia ma członków aż 98! O zakładzie p. Żurowskiej nikt nie wiedział[1], a kiedy na skutek fejletonu ks. d-ra Bandurskiego utworzyło się Towarzystwo dla pomocy Zakładowi — zapisało się członków aż 46! Komitet ochron dla małych dzieci w Krakowie, utrzymujący 5 ochron dla dochodzących, chciał założyć szóstą, wydał odezwę o składki, ale płynęły one tak skąpo, że był nareszcie zmuszony nabyć realność obdłużoną, pozostawić ją na mieszkanie lokatorom, aby ratami długi czynszem spłacać i do tego czasu szóstej ochronki nie otworzył. Tak na każdym kroku, ale za to obrót pieniężny w handlach delikatesów, w sklepach korzennych, restauracyach ogromny. Ta »znana«, jak ją nazywają, dobroczynność publiczności polskiej jest, jak mi się zdaje i jak daty statystyczne mówią, wierutną bajką, która usypia społeczne sumienie. Nie porównując wcale ubogiej Galicyi z bogatymi krajami Zachodu, gdzie na cele dobroczynne idą czasem miliony (np. Armii Zbawienia w Londynie wydającej rocznie kilka milionów franków na asyla), lecz biorąc za podstawę sądu stosunek wykazanego dla władz podatkowych dochodu społecznego do wydatków na cele dobroczynne — doszlibyśmy do rezultatu, że ta znana dobroczynność polska wcale nie powinna być znana, bo jest drobna i mała. Jest to w przeważnej części ta zdawkowa, centowa, uliczna dobroczynność, co rzuca jałmużnę przypadkiem spotkanemu żebrakowi nieznanemu dlatego, że żebrze, a więc najmniej przezorna, doraźna a często idąca na marne, ale tej roztropnej dobroczynności, co według potrzeby instytucye dobroczynne stwarza i środków działania im dostarcza, mało widać, zwłaszcza co do ubogich dzieci. Gdyby nie kilka fundacyj z przeszłości i gdyby nie zgromadzenia zakonne, jak Siostry Miłosierdzia i Felicyanki nie byłoby jej wcale w Galicyi.

A przecież tej najwięcej potrzeba. Jak wyżej podane daty statystyczne co do liczby wspieranych dzieci i dorosłych ubogich

[1] Znalazła się jednak szlachetna dobrodziejka zakładu p. J. R., która większą ofiarę złożyła na zakupno gruntu pod dom.

wskazują — dobroczynność względem ubogich dorosłych jest dwa razy większa, niż względem dzieci. Pozostało tak z dawniejszych czasów, gdy rodzinne poczucie obowiązków było silniejsze, nie było tej stałej i czasowej migracyi za granicę, która często jest powodem zaniedbania obowiązków względem dzieci, gdy w klasach biedniejszych, żyjących w lepszych warunkach hygienicznych na wsi, nie było tej śmiertelności, co obecnie w miastach, a więc gdy nie było tyle sierót. Obecnie wskutek zmienionych stosunków powinnoby chyba być odwrotnie i chociaż nie myślę utrzymywać, że społeczeństwo na dorosłych ubogich wydaje za wiele, przecież śmiem twierdzić, że w stosunku do świadczeń dla dorosłych — za mało pamięta się o ubogich dzieciach i za mało na ich ratunek wydaje.

Gdyby wyobrażenia powszechne pod tym względem były inne, gdyby szersze warstwy społeczeństwa zwłaszcza klasy bogatsze miały przybliżone pojęcie o rozmiarach nędzy dzieci, nie tylko płynęłyby większe fundusze na istniejące zakłady, albo powstawały nowe, lecz nadto ogólne współczucie objawiłoby się powstawaniem Towarzystw ochrony dzieci. Towarzystwa takie w zachodnich krajach znane i działające w miastach mają wielorakie zadania. Ponieważ powstawały zwykle pod wpływem oburzenia na zbrodnie na dzieciach dokonywane, za pierwsze zadanie sobie wzięły wyszukiwanie dzieci katowanych, dostarczanie dla nich opiekunów, przedsięwzięcie potrzebnych kroków u władz, aby rodziców lub wychowawców katujących pozbawić praw do nich, mieszczenie ich w zakładach wychowawczych, jeżeli nie można bezpłatnie, za opłatą przez stowarzyszenie płaconą. W miarę funduszów stwarza stowarzyszenie własne zakłady, do których przyjmuje bezpłatnie przedewszystkiem dzieci katowane, a w dalszym rzędzie dzieci opuszczone, sieroty i dzieci pijaków. Z czterech więc rodzajów nędzy dzieci wyżej wymienionych, stowarzyszenie zapobiega trzem, a rodzaj czwarty, nędzę dzieci mających biednych ale dobrych rodziców pozostawia innym Towarzystwom dobroczynnym. Przy przyjęciu do zakładu nie żąda żadnych legitymacyj, nie stawia żadnych warunków, ani przynależnościani prywatnego polecenia, nie bada zdrowia dziecka, jedyną bowiem

legitymacyą jest nieszczęście i nędza dziecka. U nas do takiego typu zakładu zbliżony jest Zakład ks. Markiewicza w Miejscu Piastowem, z tą różnicą, że przyjmuje chłopców od pewnego roku życia, i Zakład p. Felicyty Żurowskiej w Półwsiu Zwierzynieckiem [1].

Dla stowarzyszeń ochrony dzieci w większych miastach otwierałoby się jeszcze jedno zadanie, gdyby skupiły wszystkie zgłoszenia i starania o umieszczenie w zakładach i utrzymywały spis tych zgłoszeń. Obecnie bowiem opieka nad dziećmi nie jest wcale zorganizowana i wskutek tego umieszczenie w zakładzie zależy często od przypadku. Ci, którzy szukają nieraz dla dzieci umieszczenia, jak członkowie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, wiedzą jak często napróżno się starają, bo zakłady przepełnione, ale niekoniecznie najbiedniejszemi dziećmi z pośród biednych. Zdarza się, że dziecko wdowy wcale nie obarczonej liczną rodziną albo nawet obojga rodziców żyjących zostanie przyjęte do zakładu, bo rodzice umieli za sobą chodzić, albo jakaś pani znajoma wyprosiła przyjęcie, a obok zaraz jest wdowa z pięciorgiem dzieci lub sierota, za którą nikt nie poszedł prosić — i nigdy przyjęta nie będzie, choćby więcej tego potrzebowała niż niejedna przyjęta. Towarzystwo utrzymujące spisy i utrzymujące stosunki z zakładami regulowałoby właśnie te umieszczenia, wybierałoby te wypadki, które najszybszego zaradzenia wymagają, i polecałoby zakładom te dzieci, które najwięcej ratunku potrzebują. W obecnych stosunkach, gdzie zakładów jest mało, gdy wszystkie potrzebujące dzieci umieszczenia znaleźć nie mogą, wybór taki najnieszczęśliwszych dzieci do ratunku jest konieczny, a niema instytucyi, któraby go dokonywała.

Wszystko to są projekta, które wymagają jednak jednego ogólnego warunku do urzeczywistnienia, żeby w społeczeństwie znalazło się współczucie i serce dla tych małych a biednych i przekonanie, że nędza ich staje się coraz powszechniejszą i większą. Potrzeba, żeby społeczeństwo usłyszało ich płacz a nie

[1] W ostatnich czasach zawiązały się we Lwowie i Krakowie t. zw. Koła panien, które na małą skalę podejmują zadania Towarzystw ochrony dzieci.

rzadko ich jęki ze suteren, z poddaszy, z zaułków miejskich dolatujące i poczuło się do obowiązku ich ratowania. Przecież one są bezbronne i bezradne, opuszczone i samotne, a jeżeli mają najbliższych to takich, co ich ratować nie chcą, co »mają na ich cierpienia powieki bez łez i serce z kamienia«. Ratując od nędzy materyalnej, uratuje społeczeństwo te młode dusze od idącej zwykle za tamtą nędzy moralnej i nie pozwoli, aby się oddalały od Tego, który w Ewangelii mówi: Dopuśćcie dziatkom przyjść do mnie.

Dr. Bronisław Olearski.

Z NEAPOLU.

Sierpień 1904.

W dzielnicy wysuniętej spory kawał poza centrum miasta, w prześlicznem onem, na pół jeszcze wielkomiejskiem, a na pół już wiejskiem Posilipo, siedzę oto na małym balkonie mego mieszkania i patrzę na jeden z najpiękniejszych widoków w świecie. W dole u stóp moich roztacza się, jakby modre wielkie jezioro, lądem z trzech stron zamknięta, przecudna zatoka Neapolitańska; naprzeciw z drugiego jej brzegu piętrzy się ciemny i groźny olbrzym — lekko dymiący Wezuwiusz, którego podnóże obsiadły bez troski wieńcem jasnych, wesołych domów: Portici, Resina, Torre del Greco, stary erem Kamedułów i dalsze, coraz mniej widoczne osady, aż hen po Castellammare i po Sorrento; na prawo, gdzie zatoka na pełne morze wychodzi, majaczy w błękitnawej mgle oddalenia, jakby na straży stojąca, tajemnicza, dziko poszarpana wysepka Capri; na lewo wreszcie... coś, co się nie da opisać — olśniewająco biały, od błękitnego tła przestworza ostro i wyraziście odcięty, przytem lekki i kształtny i jakby jakieś cacko z kości słoniowej prawie aż przeźroczysty, żywą wreszcie i bujną zielenią tu i owdzie przetkany, spływa ku morzu Neapol z niewysłowionym wdziękiem i czarem. Od najwyższego swego szczytu San Martino, gdzie króluje stara Kartuzya, schodzi on coraz niżej i niżej... czepiając się krętemi ulicami wszystkich stoków góry, wbijając się tyłami domów w twarde ściany skał,

rozrzucając po bardziej stromych pochyłościach to malownicze terasy, to lekkie schody kamienne, aż wreszcie nad samym brzegiem zatoki dobiegłszy do przestronnej, gładkiej jak stół płaszczyzny, rozkłada się na niej swobodnie wspaniałym placem Vittoria, cudowną *Villa Nazionale, Via Caracciolo,* dzielnicą *Santa Lucia* i innemi, które swe stopy kąpią już w morzu.

A nad tem wszystkiem roztacza się jasne, błękitne niebo neapolitańskie bez żadnej chmurki i skazy — i świeci to dziwne słońce włoskie, które między godziną trzecią a czwartą straciwszy oślepiający blask południa, nadaje wszystkim liniom szczególną jakąś wyrazistość i precyzyę, a barwom niezwykłą głębokość i różnorodność tonów.

Mimowoli wyrywa się z ust znana zwrotka pieśni:

O bella Napoli!...

Sam ten stromy brzeg Posilipu, na którym stoję, taki oryginalny i piękny, że mu się napatrzeć trudno. Formalny jakiś labirynt, pełen fantastycznych ścian piaskowych i nagich złomów skalnych, podziemnych korytarzy i krętych uliczek, wśród tychże złomów wykutych, białych domów i wil, swobodnie bez sztywnego porządku i systemu na te skały rzuconych — a to wszystko przeplecione, w części pokryte bujną zielenią ogrodów i winnic, która kapie nieomal, jakby powiedział Krasiński, z przeróżnych onych schodów i sztucznych podmurowań i naturalnych, kamienistych pokładów, a czasem tu i owdzie w górę wystrzeli ciemnym i gładkim stożkiem cyprysu, lub rozłożystą, jak olbrzymi parasol, koroną pinii.

I cała ta roślinność, te sztuczne drogi, te domy, te wille pokrywają zbocze Posilipu od najwyższego grzbietu aż do ostatniej piędzi ziemi nad morzem. Między życiem lądu a morza niema tu żadnych przejść, żadnych granic i przedziałów. Ląd nie otacza się przed morzem urwistymi brzegami, ani nawet szarą ławą piasku — fale też na zatoce łagodne i przyjazne, lekko tylko, jakby dla igraszki potrącają o stopy lądu. Więc liczne wille, tak jak na weneckich kanałach, fundamentami tkwią w morzu; do wnętrza innych wpływają fale i odpowiednio ujęte tworzą malownicze sadzawki, lub prywatne łazienki domowe. Z progu niektórych

mieszkań jednym literalnie krokiem schodzi się do łódki, czasem nawet łódka ciemnym tunelem wpływa do wewnętrznego podwórza mieszkania i staje jak powóz przed bramą domu.

Na zatoce ruch nigdy nie ustaje. Taflę jego smugą głęboką i długo widzianą na falach, przerzyna od czasu do czasu parowiec, szybko płynący wzdłuż Posilipu od starego Misenum do neapolitańskiego portu; niekiedy na przeciwległej stronie pojawi się jeden lub drugi okręt wojenny, idący od Castellammare; zresztą cała zatoka pokryta ciągle nieomal mnóstwem łódek rybackich, czółen i bark spacerowych z namiotami i bez namiotów, często o białych żaglach, migających z dala na fali, jak skrzydła ptaka.

Kiedy wieczorem na wszystkich brzegach zapłoną wielkiem półkolem tuż ponad wodą niezliczone lampy elektryczne, kiedy cały Neapol od morza aż hen ku górze św. Marcina roziskrzy się mnóstwem świateł; kiedy nadto z okrętów wojskowych zaczną padać na fale zatoki ogniste smugi reflektorów, a ukryty w mgle nocnej Wezuwiusz rzuci niespodzianie z głębi swego krateru snop czerwonego, prawie krwawego światła — kiedy nareszcie ponad temi światłami ziemi zejdzie i niebieskie światło księżyca i wyzłoci wody zatoki, a ta woda zacznie odbijać, podwajać, powiększać, w kolumny jakieś aż do dna idące układać i złote owe odblaski miesiąca i krwawą łunę wulkanu i białe, drgające płomyki każdej lampy nadbrzeżnej: jeśli czasem jeszcze zły jakiś podmuch wiatru zawionie nagle od pełnego morza i pocznie nasamprzód lekko marszczyć, potem coraz głębiej żłobić, coraz silniej kolebać i przewalać fale, a wraz z ich ruchem zaczną też drgać, łamać się i przerywać, raz ginąć w ciemnem fal zagłębieniu, to znowu na ich grzbiecie w górę wypływać wszystkie one odbite w zatoce światła i blaski — zdaje się doprawdy, że cały ten obraz, to nie rzeczywistość, ale jakieś senne marzenie, czy też widzenie rajskie.

W takichto chwilach dusza ludzka czuje się na jakichś skrzydłach niesioną wysoko i daleko ku lepszym światom — i tam, gdzieś poza granicami doczesności, myślą i wiarą szuka Tego, którego nie można dojrzeć okiem.... którego napróżno szukał zbłąkany umysł Augustyna wśród czarów morza i ziemi!... Jakżeż pięknym musi być On, wiekuiste źródło wszelkiego piękna,

skoro tak cudownym jest ten mały skrawek ziemi, jeden atom jego podnóża.

Cisza była na szczycie Posilipu; dźwięcznym tylko ćwierkotem grała gdzieś cykada, a od czasu do czasu ledwo uchwytnym szumem poruszała się pinia u góry. Wśród tej ciszy śpiew mię doleciał z pobliża. Dźwięczny głos jakiś w sąsiedniej winnicy wywodził wysoko znaną mi skądeś melodyę, powtarzając na końcu każdej zwrotki po trzykroć: *Ave, ave, ave Maria!*

Spomniałem sobie, że pieśń tę, spolszczoną oczywiście, słyszałem już kiedyś w kraju, śpiewaną w Krakowie przez wędrownego ślepca-lirnika, a zaczynającą się — jeśli mię pamięć nie myli — od słów: »Po górach, dolinach«.

W ślad za tą pieśnią i myśli moje poszły na północ... gdzie nie dojrzewa wprawdzie cytryna i drzew nie złoci »pomarańcz blask«, gdzie jednak ta sama hojna ręka Stwórcy rozsypała inne piękności i skarby po skibach czarnej, świeżo woniejącej ziemi, po szczytach i głębiach borów świerkowych, po cichych a tak uroczych siołach, choć tylko strzechą porkytych, po sercach wreszcie i duszach.

* * *

Ale zejdźmy już do miasta.

Przedewszystkiem szalone gorąco. Upały, o których sami Włosi mówią, że są w tym roku wprost niezwyczajne, paliły tu ogniem bez przerwy aż do ostatnich dni sierpnia. Mimoto wygląd miasta nic prawie nie stracił ze swej zwyczajnej cechy. Wcale nie było znać ani wyludnienia, o jakiem we Lwowie zwykło się mówić w tym czasie, ani jakiegokolwiek nawet zaniku życia. Na wszystkich placach, ulicach, uliczkach ruch i zgiełk ciągły, specyalnie neapolitański, wprost nie do opisania. Nic podobnego nie spotyka się tu gdzieindziej. Ruch i zgiełk Rzymu, dla naszych północnych oczu i uszu dość już niezwykły, niczem jest prawie w porównaniu z tym jarmarcznym jakimś hałasem, z tą wezbraną, krzykliwą, różnobarwną falą życia, jaka tu wre i huczy z pogodną i wesołą brawurą od rana do późnej nocy.

Wielka przestrzeń śródmieścia i wszystkie arterye, które do

niej prowadzą, roją się o każdej porze dnia takimi tłumami pieszych, wymijających i krzyżujących się we wszystkich kierunkach, iż w pierwszych dniach pobytu ma się wrażenie, że to jakiś festyn, czy zbiegowisko. Zwłaszcza, że te tłumy poruszają się szybko i swobodnie, patrzą wesoło, rozmawiają żywo i głośno, jak na zabawie. Również i liczne tramwaje, które z hałasem przebiegają miasto po wszystkich główniejszych liniach, ciągle prawie wypełnione po brzegi, huczą jakby jakieś ruchome ule śmiechem i rozmową swych pasażerów. Dorożki, ciężkie powozy i omnibusy z dzwonkami tłuką się po twardym bruku z lawy, a ich woźnice hałaśliwem nawoływaniem i wymijaniem powiększają jeszcze zgiełk i zamęt. Roznosiciele gazet, których tu całe legiony, przebiegając ulice obwołują tytuły swych pism i najefektowniejsze wiadomości tak przeraźliwie krzykliwym głosem, że u nas na tego rodzaju wołania ludzie po prostu zrywaliby się na ratunek. Dziwaczne jakieś wehikuły, znane zresztą i gdzieindziej we Włoszech stare »bigi« rzymskie, o dwu olbrzymich kołach, zaprzężone jakby na przekór swej nazwie nie w dwa, ale zawsze prawie w jednego albo trzy osły, a obładowane stosami warzyw, czasem jakimiś workami lub sianem, na którem cała nieraz dzieciarnia siedzi, najeżdżają tu co moment ze wszystkich stron z klekotaniem swych dzwonków, z brzękiem przeróżnych blaszanych kawałków u cudackiej uprzęży, z monotonnem pokrzykiwaniem poganiaczy, zwróconem po części do flegmatycznych osłów, by prędzej szły, po części do publiczności, by ustępowała z drogi. Obok tych wielkich, niezgrabnych »biéd« wyrastają ciągle jakby z pod ziemi niezliczone małe »biédki«, ciągnione przez jednego osiołka, czasem popychane przez właściciela, pełne znowu najwspanialszych owoców i delikatniejszych jarzyn. Ledwie jeden taki wózek ominąłeś, otarłszy się ubraniem o brudne jego koło lub o pełen rezygnacyi pysk osła, już cię dwa lub trzy inne najeżdża z boku, albo z przeciwnej strony. Właściciele tych wózków nie tylko zwyczajnem, głośnem obwoływaniem reklamują swoje owoce i warzywa. Mają oni nadto różne charakterystyczne melodye, o jakichś przeciągłych molowych finałach, które wyśpiewują możliwie najsilniejszymi tonami — chodzi bowiem o to, by głos ich

doszedł do wszystkich mieszkań na wszystkich piętrach. Skąd tym ludziom starczy płuc i gardła, wreszcie i fantazyi, jest doprawdy zagadką. Nie tylko że krzyczą cały dzień, ale czynią to jeszcze z humorem, jak gdyby jakąś przyjemność i ulgę w tem znajdowali. Arcykomicznym jest widok takiego starego wygi od owoców, kiedy dla wywołania większego efektu, przystanie czasem na ulicy, głowę podniesie do góry, oczy przymruży i zacznie jakby w natchnieniu ostatkami urywającego się głosu wywodzić zalety swoich melonów albo cebuli. Improwizuje on wtedy bardzo górnie, używa najśmielszych omówień, najdziwaczniejszych przenośni. Twarz mu krwią zajdzie, żyły nabrzmieją — nic to, on śpiewa dalej i niemożliwymi tonami napełnia ulice. Czasem takiemu staremu owocarzowi towarzyszy młody syn lub inny chłopak-wyrostek. Wtedy się dzielą partyami: ojciec powolnym basem śpiewa, dajmy na to, o selerach, a malec, obrawszy sobie figi za specyalność, przeraźliwym piskiem i szybko przyśpieszonem tempem krzyczy, jakby go ze skóry darto: *fichi, fichi, fichi!*

Można sobie wystawić położenie przechodnia, nie przyuczonego jeszcze do tej muzyki, skoro nagle kilka takich wózków i kilku takich śpiewaków najdzie na niego przy zbiegu ulic; tych zwłaszcza ciasnych i wązkich ulic neapolitańskich, z jakich — z nielicznymi wyjątkami — składa się całe stare miasto. Tak tu wązko, że dwa wozy z trudnością tylko wyminąć się mogą, a że dla braku miejsca niema wcale chodników dla pieszych, więc w mrowiu ulicznem wszystko razem się tłoczy i wzajem sobie zawadza — i wozy i ludzie i osły — cały zaś zgiełk uliczny z taką bezwzględną furyą bije wprost w uszy, że ogłusza niemal chwilowo, a przynajmniej oszołamia.

Iść w dwóch po więcej ruchliwszych ulicach Neapolu, należy do zadań bardzo niewdzięcznych i na prawdę męczących; wiecznie się jest rozdzielanym od towarzysza i ciągle szukać się trzeba. Rozmowa zaś tak jest forsowną, raz po raz tak prawie niemożliwą, że często po daremnych wysiłkach dawałem za wygraną i wolałem milczeć.

Dziwna rzecz, nawet dzwony kościołów, które tu często z różnych stron się odzywają, mają coś w sobie z tego krzykli-

wego charakteru ulicy. Dzwonią tu w sposób jakiś przenikliwy, szybki, urywany, który nasze ucho niemile szarpie i drażni. Pamiętam, że swego czasu w taki sam sposób dzwoniono w Tarnopolu podczas pożaru na alarm. Ale też mówiono o tem dzwonieniu, że zdolne jest umarłych porwać na nogi.

Obok zgiełku i tłoku dość nieraz silnie »daje na nerwy« druga jeszcze specyalność neapolitańska, skądinąd dość interesująca, nawet zabawna. Jest to szczególnie energiczne, niezwykle przytem wymowne i niczem niezrażające się natręctwo nie tylko żebraków, ale też różnego rodzaju przekupniów, przewodników, ba nawet dorożkarzy. Każdy z nich sam ofiaruje co moment swoje towary, swoje usługi, i czem go więcej chcesz się pozbyć, tem on usilniej i zapalczywiej naciera.

Ot np. przystanąłeś niebacznie, jak gdybyś czegoś szukał i spostrzegł cię pierwszy lepszy dorożkarz; poznał odrazu, żeś obcy, więc nabrał nadziei, że można cię będzie z łatwością choć trochę uszczknąć, jeśli już nie doszczętnie obłupić. Bez wahania najeżdża cię nieproszony, nieraz dyszlem potrąci i oddaje ci się do dyspozycyi. Skoro wymownym ruchem ręki i odpowiednim wyrazem twarzy odtrącisz jego gotowość, on nie odrazu daje się zbić z toru. Zaczyna do ciebie przemawiać i tłumaczyć ci sprawę na rozum. Jeśli zniecierpliwiony odwrócisz się i zaczniesz iść swoją drogą, on trop w trop jedzie za tobą. Ty w prawo, on w prawo, ty na lewo, on na lewo, ty zawracasz, on zawraca — i w ciągu tego pościgu prawi ci mowę z kozła. Dowodzi, żeś koniecznie wsiąść powinien, że on cię szybko zawiezie na najdalszy punkt miasta — co jest wierutnem kłamstwem, gdyż niemożliwie wolno tu jeżdżą — wreszcie zaczyna się uśmiechać, prawie przymilać i powtarza raz po raz z słodkim jakimś naciskiem: *Signore, solo una lira!* — jakby pojąć wprost nie mógł, iż nie przyjmujesz tak korzystnych propozycyi.

Ten i ów, chcąc się uwolnić od różnych tego rodzaju natrętów, spieszy do pierwszego z brzegu tramwaju i sądzi, że tem samem znalazł już spokój. Złudzenie! Choćby nawet zdobył jedno z siedzeń i nie musiał się tłoczyć na pomoście, co się tutaj bardzo często przydarza, spokoju nie zakosztuje. Ledwo tramwaj ruszy z miejsca, w ten moment zaczy-

nają się jakieś karkołomne sztuki po obu stronach jego otwartych wozów. Co chwila na te wozy z małpią zręcznością i buńczucznem lekceważeniem niebezpieczeństwa rzuca się to roznosiciel gazet, to jakieś indywiduum z anonsami, z prospektami hotelów lub czemś podobnem, to wreszcie — co się najczęściej zdarza — jeden lub drugi, czasem kilku naraz chłopaków-obszarpańców z przeróżnymi drobiazgami na sprzedaż. Każdy z nich, czepiając się sztab żelaznych, obiega jak kot wszystkie rzędy siedzeń, nikomu nie przepuści, każdemu pod same prawie oczy podsuwa swój towar, i chcesz czy nie chcesz, musisz wysłuchać, co on ma w swem pudełku lub torebce, co która rzecz kosztuje, jaka ona znakomita, jak tania i t. d. Ledwieś się pozbył jednego, który ci zachwalał i wtykał prawie przemocą papierowe wachlarze, nici i igły, już drugi cię opadł i nieproszony rozkłada jakąś strasznie czerwoną panoramę Wezuwiusza lub karty z widokami Neapolu; jeszcze ten nie skończył, a już go wypycha trzeci i rad ze zwycięstwa nad rywalem krzyczy ci przenikliwie wprost nad uchem: *Signori, fiammiferi!* — Panowie, zapałki!

Jak w pełnym biegu wpadli do tramwaju, tak też w pełnym biegu wszystko się to gdzieś ulatnia, a za moment widzisz ich znowu, jak się rzucają na inne wozy, nadchodzące z przeciwnej strony.

Do ożywienia Neapolu, albo raczej do większego jeszcze spotęgowania wiru, zgiełku i tłoku tego osobliwego miasta, przyczynia się w wielkim stopniu i ta okoliczność, że na ulicy neapolitańskiej, zwłaszcza tej wązkiej, starej, bardzo charakterystycznej ulicy, o której już wspomniałem, skupia się głośne i barwne życie ludowe i prezentuje się ciekawemu oku przybysza w mnóstwie swych szczegółów z całą prymitywną swobodą. Rdzenna ludność tutejsza więcej żyje na ulicy niż w domu; zdaje się też mieć o ulicy i jej zadaniach zgoła inne od nas pojęcia. Jeśli my uważamy ulicę głównie i pierwszorzędnie za środek komunikacyi, gdzie pierwsze prawa ma publiczność, Neapolitańczyk wszystkie te prawa publiczności i względy ogólne spycha na dalszy plan. Ulica jest przedewszystkiem dla niego, dla jego

spraw prywatnych, dla jego zajęć zawodowych, słowem dla jego wygody i użytku. Niema nic wprawdzie przeciwko temu, aby i publiczność ulicy używała, ale wtedy ona ma się z nim liczyć, nie on z nią. Nie broni jej patrzeć na swe zajęcia, którym się po ulicach oddaje, ale do głowy mu nie przyjdzie, aby się jej ustąpić z drogi. Nie tylko nic się nie krępuje publicznością, ale wprost ją ignoruje. I to nie z żadnej pychy, ale dlatego po prostu, że jego zdaniem taki już jest naturalny porządek rzeczy... przynajmniej w Neapolu.

Tem się tłumaczy, że na tutejszej ulicy widzi się i znosi mnóstwo szczegółów, nie spotykanych nigdzie zresztą gdzieindziej, a przynajmniej nie w tym stopniu. Drzwi np. i okna domów wiecznie tu poroztwierane i w ciągłej komunikacyi z ulicą. Na ulicę wynosi się różne sprzęty z mieszkania, jakby do drugiego pokoju. Rzemieślnicy z odkrytą głową, w fartuchach, z zawiniętymi rękawami chodzą po ulicach, jakby po swoim warsztacie. Przed frontami domów nie tylko roi się od dzieci, które wciąż hałasują, ale co moment spotyka się mniejsze lub większe gromadki starszych w domowym, całkiem swobodnym negliżu. Jedni bezczynnie stoją lub siedzą, patrząc na ruch uliczny, jakby na widowisko; drudzy zabawiają się przy stolikach, jedzą i piją wino, w danym razie kłócą się, załatwiają jakieś spory sąsiedzkie czy familijne, rozprawiają i dyskutują; inni wreszcie pracą zajęci oddają się *sub dio* różnym robotom zawodowym. Kobiety szyją przed drzwiami domów, na drugorzędnych ulicach piorą nawet bieliznę: tam inne znowu obierają warzywa i wszystkie odpadki najswobodniej porzucają na bruku; jakiś kowal czy ślusarz wystawił piecyk i kowadło na bruk — dymi i bije młotem bez miłosierdzia, w najbliższem zaś jego sąsiedztwie wylewa mu ktoś pod nogi z brudnego pomywadła jakieś ciecze kuchenne. Poganiacz kóz, których tu całe stada przeciągają przez miasto z rozbitymi zazwyczaj dzwonkami, przystaje raz po raz i doi je, gdzie wypadnie, na poczekaniu; robotnik koło bruków zajęty, po spożyciu śniadania czy obiadu rozsiada się z towarzyszami na brzegu chodnika do pogawędki, a potem najspokojniej koło jakiejś lampy lub słupa na tymże chodniku się rozciąga i urządza sobie drzemkę, nic się zgoła nie troszcząc o przechodniów, którzy go starannie muszą obchodzić,

ani o cały szereg wozów, których ciężkie koła ocierają się co chwila o jego wyciągnięte nogi. Restauracye i różne handelki z napojami wystawiają krzesła i stoliki dla swych gości wprost na ulicę, tak, że przechodnie torować sobie muszą drogę wśród głośno rozbawionej, nieraz dość licznej publiczności. Wogóle co chwila omijać tu trzeba jakieś namioty i budy, jakieś stoły lub lady, przystawione do muru, na których spotkać można wszystko: wodę musującą, albumy Neapolu, stosy melonów, książki i stare sztychy. Czyściciel butów, poproszony przez kogoś o usługę, najspokojniej na środku trotuaru rozkłada swoje przyrządy, a publiczność z całem go wyrozumieniem omija i ani myśli się irytować. Podobnie jak nie irytuje tu nikogo konieczność ciągłego deptania po skórkach z pomarańcz, po rozgniecionych morelach i resztkach niedojedzonych winogron, ani ciągły widok prześcieradeł i innej wszelkiego rodzaju bielizny, suszącej się po oknach, po ścianach, po balkonach, lub wprost rozwieszonej masami na umyślnych sznurach, przerzuconych od domu do domu ponad głowami przechodniów. Gdy wiatr zawieje i ta bielizna zacznie się zwijać, rozwijać, majestatycznie falować u góry, nieznający stosunków ma jakiś czas wrażenie, że trafił na uroczystość, do której miasto przystroiło się w flagi. Nie może tylko zrozumieć, dlaczego te flagi, wbrew przyjętym zwyczajom, wszystkie wyłącznie są białe.

Na usunięcie tych i tym podobnych rzeczy niema po prostu sposobu. Jest to pewnego rodzaju *vis maior,* z którą nikt tu walczyć nie myśli. Inteligentny Neapolitańczyk pytany o przyczyny, dla których się toleruje te wyjątkowe stosunki, jakie panują na tutejszej ulicy, te ciągłe przeszkody ruchu, tę bieliznę, te wszystkie śmiecie i brudy, puszcza się na rozmaite wybiegi; mówi np. o zdrowiu tutejszej ludności, wyjątkowo na choroby odpornem, albo o słońcu włoskiem, jako najlepszym środku desinfekcyjnym. Jeśli go wreszcie przyprzesz do muru wspomnieniem sławnej cholery neapolitańskiej lub innym tego rodzaju argumentem, odpowiada nie bez pewnej dumy, że wszystkie nieporządki Neapolu nie są wytworem lokalnym, ale pożałowania godną spuścizną po rządach hiszpańskich, które zabrudziły miasto i ludność do brudów przyuczyły.

Gdy mi to mówił, towarzyszący mi raz po mieście Neapolitańczyk, szliśmy właśnie przez *via Toledo*, jednę z najpiękniejszych, najszerszych i najdłuższych ulic starego Neapolu, wzniesioną właśnie za rządów hiszpańskich przez wicekróla Pietro di Toledo (1532—1553) i od jego nazwiska noszącą dotychczas swą nazwę. A dodam zaraz: wyjątkowo czystą, wolną zupełnie od wszelkiej bielizny, po części i od innych nieporządków. Nie wypadało mi jakoś towarzyszowi memu zwracać na to uwagi. Można mu było jednak i to jeszcze przypomnieć, że wiele wspaniałych budowli i kościołówNeapolu właśnie za rządów hiszpańskich wzniesiono, że paru wicekrólów hiszpańskich pracowało gorliwie nad upiększeniem stolicy: że zatem przypisywana im wyłącznie wina zabrudzenia miasta będzie musiała być zapewne nieco zredukowaną, w każdym razie tak rozłożoną, aby i kochanemu ludkowi neapolitańskiemu część jej — może nawet dość znaczna — przypaść mogła w udziale. Był on widać, najoględniej już mówiąc, mało albo nic prawie na te brudy odporny, skoro się pozwolił Hiszpanom tak łatwo i tak radykalnie zabrudzić.

Nie brak zresztą temu ludkowi i innych jeszcze »słabostek«, a odporność jego wobec innych także pokus kompletnie nie dopisuje. Wiadomo, że w pewnych warstwach tutejszych panuje dziedzicznie i tradycyjnie zawodowe lenistwo, które pochodzi nie z obfitości zasobów do życia potrzebnych, ale po prostu ze wstrętu do pracy. Ci ludzie przy największym nawet niedostatku nie chcą i nie umieją się do pracy zmusić, a zamknąwszy sobie drogę uczciwego zarobku, puszczają się, uzbrojeni w swój spryt niezwykły, na różne kręte drogi. Sztukę wyłudzania pieniędzy, zwłaszcza od przejezdnych, uprawiają *con amore* i dochodzą w niej często do bajecznego wydoskonalenia. Kradzieże wykonują z precyzyą wirtuozów, a oszukaństwa przeróżne, z któremi niewiele się nawet kryją, traktują prawie humorystycznie, jakby jakieś figle na pokaz, które bawić powinny, nie zaś oburzać.

Że oszukaństwa muszą tu być na porządku dziennym, najlepszym dowodem ciągła u wszystkich czujność przed niemi. Każdy kupiec neapolitański, każdy konduktor w tramwaju, każdy wogóle człowiek miejscowy, otrzymujący zapłatę, bada nasam-

przód starannie otrzymaną lirę, nim ją przyjmie i schowa do kasy czy do kieszeni. Przed złodziejstwem czyto kieszonkowem, czy innego kalibru przestrzegają tu przyjezdnych zaraz przy powitaniu znajomi, a kto ich rad nie słucha i zbyt chce ufać własnej swej przezorności lub cnocie bliźnich, doznaje nieraz bolesnych pod obu względami zawodów. — Pewien Amerykanin, którego niedawno poznałem, dość siebie pewny, jako że wiele świata objechał, ledwo tu wyszedł na miasto, postradał od razu 200 lir — wszystko co wziął ze sobą. Dotychczas nie może zrozumieć, jak się to stało, gdzie i kiedy. Drugi mój znajomy zapłacić miał tragarzowi kilka soldów, nie miał jednak drobnych. Skoro tragarz, spostrzegłszy to, oświadczył się z gotowością wydania reszty, towarzysz mój z całym optymizmem Francuza wręczył mu lirę. Tragarz ukłonił się posuwiście, podziękował za hojny datek, lirę schował do kieszeni i ku wielkiemu zdziwieniu Francuza uznał sprawę za załatwioną.

Jużto przyznać im trzeba, że nawet przy zamachach na kieszeń bliźniego nie opuszcza ich nigdy temperament i jakaś błazeńska brawura, która swym komizmem naprawdę nieraz rozbraja.

Za mego w Neapolu pobytu ksiądz pewien — i to nie obcy, ale Neapolitańczyk — sam mi opowiedział zaraz pod świeżem wrażeniem tego rodzaju przygodę. Jechał tramwajem i miał zapłacić za bilet jakieś 20 czy 30 centesimów. Nie mając drobnych daje konduktorowi lirę i prosi o resztę. Konduktor udaje, że na lirę nie patrzy, wkłada ją do torby — nagle, jakby sobie przypomniał, że trzeba jednak lirę obejrzeć, wyciąga rękę z torby rzekomo z tą samą monetą, w rzeczywistości z inną jakąś drobną i udając zdziwienie, podszyte pewnym złośliwym uśmiechem, odzywa się najbezczelniej do księdza wobec całej masy jadących:

»Ej Signore, to jednak niełądnie! Patrz, coś mi dał zamiast liry!«

Na nic się nie zdały protesty i zaprzeczenia. Ksiądz lirę stracił, wstydu się najadł i musiał jeszcze dopłacić.

Sądzę jednak, że tacy konduktorzy należą nawet w Neapolu do wyjątków. Sprawiedliwość każe mi wyznać, że nieraz przy

mnie płacono im lirami i dwulirami, sam nawet tak płaciłem, a zawsze dokładnie wydawali resztę.

Mimo tych i innych przywar, którychby można Neapolitańczykowi wytknąć jeszcze więcej, dziwna to jednak naprawdę rasa i pod wieloma względami szczególnie jakaś sympatyczna. Sprytne to wszystko, bujne i wymowne, jakieś pewne siebie, o śmiałych i mądrych, często filuternych i szelmoskich oczach, o ciągłem jakby napięciu uczuć i nieprzepartej potrzebie wyładowywania ich na zewnątrz. W każdym takim urwiszu, co skacze do tramwaju z wachlarzami, czy zapałkami, w każdym przekupniu jarzyn, czy roznosicielu owoców siedzi coś z komedyanta, coś z zawadyackiego junaka, raz po raz coś nawet z artysty. Okrutna fantazya, wielka łatwość nawiązywania stosunków, wielka swoboda w traktowaniu ludzi innych warstw, bez cienia jakiejkolwiek nieśmiałej uniżoności, owszem pewna wobec wszystkich poufałość, nie pozbawiona jednak jakiejś przychylnej uprzejmości i dobrodusznego wdzięku. Kiedy taki neapolitański *facchino* ułoży ci pakunki w przedziale i otrzymawszy swoją zapłatę, rzuci ci na pożegnanie: *Buon viaggio, Signore!* brzmi to prawie tak samo, jakby ci chciał powiedzieć: »Do widzenia, kolego!«.

Mają też oni dziwną pogodę umysłu bez śladu pesymizmu i przygnębienia. Żartują i śmieją się często. A śmieją się tak żywo i serdecznie, jak się śmieje dokoła nich ta bujna natura, co ich otacza i ten błękit bez chmur, który zdaje się odbijać nie tylko w wodach zatoki, ale i w ich duszach. Wiadomo, że pasyami lubią teatr ludowy; lubią też i śpiew. Kiedy pierwszemu lepszemu wioślarzowi w zatoce, albo robotnikowi w winnicy »zbierze się na śpiewanie« i raz się rozkrzyczy, niema temu końca i miary. W jednej z winnic, przytykających do domu w którym mieszkałem, słyszałem jednego z nich, wywodzącego niezmiernie forsownym głosem jakieś melodye ludowe od piątej czy szóstej z rana aż prawie do południa przez kilka dni z rzędu.

Są też bardzo wymowni i skłonni do żywej akcyi. Co drugi z nich mógłby być aktorem lub mowcą popularnym. Mówią nie tylko gładko i płynnie, ale z ożywieniem, z różnymi gestami i figurami, a przytem bez znużenia i wyczerpania. Płynęliśmy

raz łódką wzdłuż Polisipu ku pełnemu morzu. Kierował łódką starszy już wioślarz z młodym podrastającym synem. Chociaż bez przerwy robić musiał wiosłem dość pracowicie, mimo to przez dwie godziny drogi nie zamknęły mu się usta.

Innym razem obserwowałem pewnego konduktora w tramwaju. Stał na pomoście i z kilkoma osobami prowadził jakąś ożywioną dyskusyę, albo raczej prawił im mowę. Głos jego brzmiał donośnie nad całym zgiełkiem ulicznym, ręce zakreślały dobitne gesty, twarz, oczy, ruchy ciała... wszystko było w tę grę oratorską wciągnięte. Przy przestankach wyskakiwał szybko z niedopowiedzianem słowem na ustach i szybko również załatwiwszy czynności urzędowe powracał na opuszczone stanowisko, by w lot pochwycić przerwany wątek wymowy.

Spisując te wrażenia, staram się to głównie pochwycić, co zewnętrznemu wyglądowi Neapolu nadaje odrębny charakter i koloryt; co najbardziej wyraźnie i widocznie niesie po swym wierzchu ruchliwa fala tutejszego zwykłego i codziennego życia. O życiu głębszem i subtelniejszem, o ruchu umysłowym i społecznym, o starych zabytkach miasta i licznych dziełach sztuki, nagromadzonych przeważnie po kościołach; o nieocenionych skarbach, zwłaszcza pompejańskich, skupionych w bajecznej mnogości w tutejszem *Museo Nazionale;* choćby wreszcie o głośnem neapolitańskiem *Aquarium,* gdzie w oszklonych basenach studyować można mnogie dziwy dna morskiego, nic nie wspominam. Pisali o tem wszystkiem inni, więcej powołani, i pisali znacznie lepiej niżbym potrafił. Inaczej zresztą do tych rzeczy zabierać się należy, niż to możliwe w takiej przygodnej i dorywczej korespondencyi, jak moja.

Nie będzie jednak, sądzę, niezgodnem z rodzajem tej korespondencyi i dotychczasową jej treścią, jeśli dorzucę parę jeszcze uwag — bardzo zresztą ogólnikowych — o kościołach neapolitańskich, o pewnych objawach życia religijnego ludności i o jej do nas stosunku.

Kościołów tu moc olbrzymia — co jednak nie od razu wpada w oczy. Oprócz kilku, górujących nad otoczeniem, opatrzonych od

frontu większym wolnym placem, lub dostępnych od szerszych ulic, zlewają się liczne tutejsze kościoły z szeregiem domów, wśród których stoją i toną prawie w labiryncie wąskich ulic i zaułków. Spora ich część nie odznacza się też zewnętrznym wyglądem, tak że czasami przechodzi się tuż koło nich, nie zauważywszy ich wcale. Wszedłszy jednak do wnętrza, olśnionym się jest prawie zawsze takiem bogactwem rzeźb, brązów, złota i farb, taką zwłaszcza nieprzebraną mnogością i rozmaitością najrzadszych nieraz marmurów i najdrogocenniejszych kamieni, że jest się czemu dziwić, choćby się nawet z Rzymu przybyło. Nie wszędzie, co prawda, umiano użyć tych bogactw z należytą harmonią i artystyczną miarą. Styl pierwotny kościołów, nawet najdawniejszych, wszędzie prawie zatarto, w wielu wypadkach zaszpecono przez późniejsze restauracye i przeróbki, wywołujące dziś wrażenie krzykliwego przeładowania. Ale w tych ramach nie zawsze gustownych, choć zawsze prawie bogatych, spotyka się co moment prawdziwe perły: prześliczne grobowce, cenne obrazy i posągi, nieocenionej wartości stale, mozaiki i t. d. Zakrystye często tu tak wspaniałe, że robią wrażenie osobnych, dość dużych kościołów; niektóre, jak n. p. w kościele św. Filipa Nereusza, obwieszone mnóstwem cennych obrazów, przedstawiają się jakby poważne muzea. W tej ostatniej zakrystyi, skoro się dowiedziano żem Polak, pokazano mi jeszcze wspaniały ornat, ręczną robotę i dar jakiejś królowej polskiej. Niestety, uprzejmy gospodarz nie umiał mi jej nazwać, ani bliżej określić, czasu mi zaś nie stało na szukanie dalszych w tej mierze informacyj.

A nie tylko tchnienie sztuki czuć po tych kościołach; czuć też i tchnienie pobożności. Drogocenne i katolickiemu uczuciu szczególnie miłe zabytki wiary dawnych wieków spotyka się tu co moment i widzi się je otoczone po dziś dzień czcią i nabożeństwem wiernych. U cudownych, od czcigodnej starości poczerniałych obrazów obok dawnych wotów błyszczą świeżym blaskiem i nowe; całymi też dniami płoną świece lub lampy. Liczne relikwie i groby świętych otoczone szacunkiem i pietyzmem. Obok czci, jaką odbiera św. January i krew jego cudowna w katedrze, czczą tu także św. Kajetana, św. Andrzeja z Awelinu, św. Franciszka de Hieronymo

i groby ich odwiedzają. W zakrystyi jezuickiego kościoła *Gesù nuovo* stoi pod szklanym kloszem naturalnej wielkości woskowe popiersie św. Frańciszka de Hieronymo w czarnej sutannie, pasie i płaszczu. Jest to wierna podobizna świętego, zrobiona zaraz po jego śmierci, ubrana w własną jego suknię i płaszcz, które nosił za życia (umarł 1716 r.). W kościele San Severino wisi w zakrystyi jakiś stary, drewniany, na metr może wysoki krzyż, o charakterystycznym wyglądzie. Pod spodem spostrzegam stary również, trochę już zatarty napis, który się zaczyna bardzo uroczyście: *Hospes, in hac effigie verum Christianae reipublicae palladium venerare!* »Przychodniu, w tym wizerunku uczcij prawdziwe palladyum chrześcijaństwa«! Cóż to takiego? To krzyż, który otrzymał od Piusa V. sławny Juan d'Austria, i pod którego znakiem odniósł wiekopomne zwycięstwo pod Lepanto. *Hac effigie* — mówi dalej napis — *in signum erecta, navali proelio ad Echinadas Turcarum classem delevit 1571.*

W kościele dominikańskim, wspaniale odnowionym *San Domenico Maggiore,* pokazują w jednej z bocznych kaplic inny, jeszcze starszy krzyż, z którego Chrystus przemówił niegdyś do św. Tomasza z Akwinu; obok na ścianie wisi dzwonek, którym znak dawano na jego sławne wykłady. Tuż przy kościele olbrzymi i wspaniały klasztor podominikański, dziś gmach rządowy, w którym mieszkał i uczył przed 632 laty wielki doktór anielski. Zaraz u wejścia, zapewne przed dawną furtą, obok pierwszych drzwi na prawo spotykamy marmurową tablicę, umieszczoną tu przez dawnych mieszkańców klasztoru z charakterystycznym napisem: *Viator, huc ingrediens siste gradum atque venerare... cathedram hanc, in qua sedens magnus ille magister Divus Thomas de Aquino Neapolitanus.... admirabili doctrina theologiam docebat.* »Przechodniu, wstępując tutaj wstrzymaj kroki i uczcij tę katedrę, na której wielki on mistrz św. Tomasz z Akwinu Neapolitańczyk... wykładał teologię«.

Jest to więc sala wykładowa świętego. Dalsza część napisu, częściami nadniszczona, opowiada, że te wykłady odbywały się tu w roku 1272; że wezwał do Neapolu św. Tomasza król Karol I., *constituta illi mercede unius unciae auri per singulos menses*

Niestety, dzisiejszym panom Neapolu i podominikańskiego gmachu nie starczyło jakoś funduszów czy ochoty na najskromniejsze nawet utrzymanie tej miłej pamiątki po Świętym. Przed dawnem *lectorium* wielkiego Tomasza z Akwinu szpetnie dziś i brudno; prowadzą do niego liche drzwi, jakby do pierwszego lepszego składu; w dodatku drzwi te zamknięte, a przez ich popękane szpary widać wewnątrz sprzęty jakieś zakurzone. Umieszczono tam podrzędną szkołę rysunku. Nad drzwiami wisi niebieski szyld z napisem: *Società centrale operaia. Scuola di disegno applicato alle arti.*

Dziwnym jest doprawdy ten brak, nie mówię już pietyzmu dla świętego, ale prostego poczucia przyzwoitości względem postaci, zajmującej tak wysokie, wprost wyjątkowe stanowisko w dziejach kultury.

Mało co lepiej z celą na piętrze, w której mieszkał niegdyś Święty. Przeciskać się do niej trzeba przez proch i brud i wstrętny tłum pieniaczy, który kłócąc się czeka na swą kolej u drzwi różnych biur sądowych. Celi tej wprawdzie nie zajęto, ale może dlatego, że jest zbyt ciasną, a po całkowitem zabudowaniu jedynego jej okna jakimś przystawionym w dziedzińcu murem tak ciemną, iż przy świetle świecy z trudem tylko rozejrzeć się po niej można i dostrzedz skromny, zniszczony już ołtarzyk, którego odnowić niestety nie ma komu.

Ostatecznie jednak milszem będzie Świętemu to nawet zaniedbanie, niźli ów honor, jaki mu wyświadczyła *l'Italia nuova* w dawnem kolegium jezuickiem, a dzisiejszym uniwersytecie. Na dziedzińcu tego gmachu stoi kilka posągów. Otóż jeden z nich to św. Tomasz z Akwinu, drugi — Giordano Bruno!

Słusznie powiedziano, że nienawiść ślepą jest. Ciasna, sekciarska zawziętość, skoro chce gruntownie dokuczyć Kościołowi i religii, najczęściej tak się zapomina i przesadza, że popełnia wprost absurda, które ją ośmieszają, i których wstydzić się muszą jej potomkowie i spadkobiercy już w pierwszem zazwyczaj pokoleniu.

Nie wiem, czy dzisiejszego pokolenia nie żenuje też nieco i drugi szczegół z przed lat 30, na tym samym dziedzińcu wpadający w oczy i sprawiający... trochę dziwne wrażenie. Na szczycie

galeryi, okrążającej wnętrzny dziedziniec uniwersytetu, pozostawiono wielką tarczę z dużym napisem, który głosi, że gmach ten należał dawniej do Zakonu Towarzystwa Jezusowego — a oto u wejścia z przeciwległej strony dziedzińca *Italianissimi* położyli w roku 1873 drugą tablicę Klemensowi XIV, dokumentując na niej nie zbyt po rycersku swą radość z powodu stuletniej pamiątki zniesienia Towarzystwa! Można nie sympatyzować z zakonem, jeśli to komu sprawia przyjemność, ale wprowadzić się do jego własnego domu, zostawić jego pamiątki i napisy na murach, a równocześnie umieszczać obok nich tablice w rodzaju opisanej powyżej, jest to coś, co wywołuje niesmak.

Po ulicach dzisiejszego Neapolu nie spotkałem nigdzie śladu tych uczuć, które przed 30 laty podyktowały ową tablicę. Nigdzie nie czuć zawziętości, ani niechęci do duchowieństwa, choćby nawet do Jezuitów. Zakony, które niedawno temu pokasowano, a wielkie ich klasztory, pełne uroku i tradycyi pozamieniano na różne biura lub szkoły, osiadają w Neapolu na nowo i mieszcząc się, jak mogą, po ciasnych, niewygodnych, często wynajętych mieszkaniach, pracują coraz skuteczniej i cieszą się szczerą sympatyą ludności. Co tam myślą i mówią po pewnych kółkach i klubach, co piszą po pewnych redakcyach, to nie wchodzi w rachubę. Faktem jest, że te wielkie masy ludności, które stanowią o charakterze miasta, nie są religii, ani duchowieństwu wrogie, są z krwi i tradycyi katolickie, owszem w wielkiej części są nawet na swój sposób prawdziwie pobożne. Taki szczery a prosty Neapolitańczyk, jak go tu pojmują w przeciwstawieniu do elementów napływowych, zwłaszcza z północnych Włoch, traktuje religię, jako rzecz całkiem naturalną, której konieczność sama się przez się rozumie. Praktyki religijne i nabożeństwa zabarwia swym żywym temperamentem, ale bierze je na seryo. Z Madonną, przed której obrazem długo nieraz klęczy, lub siedzi, zwłaszcza gdy go dotknie jakie nieszczęście, potrafi prowadzić żywą i głośną, giestami popartą, nieraz nawet dość poufałą, prawie ostrą rozmowę. Taki rodzaj modlitwy nie leży zapewne w naszych zwyczajach, niemniej przeto silnie w nim drga serce i odczuwać się daje, jakby dotykalnie, jakaś żywa, bardzo żywa wiara. W kościołach, zwłaszcza więcej lubianych, spotkać można z rana

o każdej porze grupy modlących się i to szczerze. Ksiądz czy na ulicy, czy w tramwaju, czy gdziekolwiek indziej nie czuje się wśród tych ludzi obcym; owszem raz po raz odczuwa w ich otoczeniu jakąś przychylność, jakąś atmosferę swojską, życzliwą i naprawdę mniej jest tu skrępowanym, niż w niektórych miastach naszej Galicyi.

15-go sierpnia w święto Wniebowzięcia byłem w katedrze św. Januarego na bardzo uroczystej sumie, celebrowanej przez tutejszego arcybiskupa kardynała Prisco. Przepych olbrzymi! Wielki ołtarz i rozległa przed nim przestrzeń presbyteryum, otoczona ciężką balustradą, wznosi się wielu stopniami ponad poziomem nawy kościelnej i góruje ponad nią, dobrze widziana zewsząd. Na tem podwyższeniu otaczał celebrującego kardynała olbrzymi zastęp duchowieństwa i kleru w różnych szatach i odznakach godności. Niezmiernie wspaniały był widok, kiedy po sumie kardynał zasiadł na tronie, a w koło niego kilkunastu kanoników w infułach, wszyscy tu bowiem kanonicy mają ten przywilej. Katedra olbrzymia szczelnie prawie wypełniona była wiernymi, wśród których widziałem masę osób z inteligencyi. Wielu, zwłaszcza w bocznych kaplicach, gdzie aż do południa odprawiają się ciche msze święte, modliło się ze skupieniem i bardzo przykładnie.

Kiedy kardynał po nabożeństwie wracał do swego mieszkania, które bezpośrednio łączy się z katedrą przez kaplicę Baptisterium (najstarszy zabytek Neapolu z pierwszych wieków chrześcijaństwa, z dobrze odrestaurowaną mozajką), cały kościół tłoczyć się począł ku niemu, jak u nas, dla ucałowania ręki. Długi upłynął przeciąg czasu, w którym obejrzeć mogłem dość dokładnie starą i cenną kaplicę św. Restytuty (sięgającą również w pierwsze wieki chrześcijaństwa), a jeszcze nad tłumami widniał czerwony biret kardynała, jego twarz uśmiechnięta i błogosławiąca prawica.

Za parę dni, w niedzielę 21 sierpnia była w Neapolu większa jeszcze uroczystość kościelna. Świętą Łucyę, od której tu nosi nazwę cała, niegdyś marynarska dzielnica nadbrzeżna, ogłosił papież patronką Neapolu i przysłał miastu znaczne jej relikwie. W kościele św. Łucyi odprawiały się kilkudniowe nabożeństwa

z tego powodu, a 21-o koło godz. 5 wieczorem urządzono z relikwiami świętej wspaniałą procesyę, która szła naprzód lądem, a potem łódkami po morzu. Liczne zastępy duchowieństwa i tłumy ludu wzięły udział w pochodzie, a z portu biły hucznie na cześć Świętej działa — ktoby się tego spodziewał — z państwowych okrętów wojennych. Dziwne doprawdy stosunki!

Mówił przy mnie o tych salwach armatnich pewien serdeczny starzec Włoch, nad grobem już stojący, a mówił ze szczególnem wzruszeniem. Pod koniec rozmowy wzniósł głowę i ręce ku niebu i rzekł z przejęciem: »Ach, mój Boże, czy też jeszcze ujrzą oczy moje...!« Nie dokończył, ale zrozumieliśmy go. Modlił się o pojednanie państwa z Kościołem.

My Polacy jesteśmy w Neapolu dość sympatyczni. Ile razy przedstawiono mię komuś — a robiono to zawsze z nieodłącznym dodatkiem: *il Padre Polacco* — tyle razy przyjęty byłem mniej lub więcej przeciągłem: Aaa! Czuć było w tym wykrzykniku pewnie i trochę zdziwienia na widok dość rzadkiego w tych stronach etnograficznego okazu, ale czuć też było zawsze jakieś ciepło serdeczne i życzliwość, nieraz nawet bardzo gorącą. Nie można było wątpić w szczerość tego uczucia, tak się objawiało poczciwie i po prostu. Mówiono przy mnie raz po raz o bolesnych przejściach polskiego narodu i wyrażano mu na przyszłość najlepsze życzenia. Wspominano z zapałem o naszej przeszłości i używano przytem określenia: *una nazione molto eroica.* Wywiadywano się także o naszych stosunkach, przyczem padały nieraz naiwne nieco pytania, w rodzaju tych n. p.: co będzie z Polską, co nam przyniesie wojna rosyjsko-japońska i t. d. Konkretnych szczegółów z naszego życia, faktów dat, nazwisk prawie nie znają: jedno jednak nazwisko powtarzali dość często — Sienkiewicza. Mówili o nim zawsze z zajęciem, nieraz z entuzyazmem, a czasem wypytywali się ciekawie: gdzie on mieszka, w austryackiej, czy rosyjskiej Polsce, jak wygląda, czym go widział i t. d. Trudno im się tylko pogodzić z zagadkową dla nich pisownią polskich nazwisk i kazali mi się uczyć, jak wymawiać należy nazwisko Sienkiewicza. Ktoś raz nawet, co mię serdecznie ubawiło, studyu-

jąc dość pracowicie moje własne nazwisko, odkrył w niem, zdaje się nie bez trudu, tę samą końcówkę, co w nazwisku autora Trylogii i miałem wrażenie, że mu to dosyć zaimponowało. Nie wiedział biedak, że gdyby sama ta końcówka dawała prawo do »nieśmiertelności«, powstałoby wprost rozpaczliwe przeludnienie w polskim panteonie, tak pod względem ilości, jak i jakości »nieśmiertelnych«.

Sympatyę, jaką nas darzy Neapolitańczyk, zaczynamy też rychło sami względem niego odczuwać. I nie jest to tylko prosta wdzięczność za okazaną nam przychylność. Poznając ich bliżej, spostrzegamy, że na dnie obustronnych sympatyj kryje się głębsza przyczyna, pewne podobieństwo charakterów i usposobień. Różnice między nimi a nami są liczne, tego nie potrzeba dowodzić: zaprzeczyć się jednak nie da, że żywy ich temperament, bujna wyobraźnia, wielka serdeczność, wesołość, gościnność, wreszcie szczere jakieś we wszystkiem wylanie ma w sobie coś z atmosfery naszego własnego życia, coś dla nas bardzo swojskiego, jakby na pół-polskiego, a przynajmniej znacznie więcej polskiego, niż gdzieindziej. Ani w Rzymie, ani tembardziej w dalszych północnych Włoszech, nie porozumiemy się i nie zrozumiemy z tamtejszym Włochem, przy najlepszej zresztą woli obu stron, ani tak łatwo, ani tak trwale, jak tu. To też mniej tutaj czujemy się na obczyźnie, mniej krępujemy się w słowach i uczuciach, mniej widzimy potrzeby trzymania się w pewnej ostrożnej i wyczekującej rezerwie.

Gdy się wyjeżdża z Neapolu, nie po kilku dniach przelotnego i denerwującego pobytu, ale po dłuższym nieco czasie, w którym lepiej można było poznać charakter miasta i ludzi, żal jakiś szczery odzywa się w duszy i z okien pociągu śle się tym ludziom i temu miastu serdeczniejsze jakieś, niż zwykle: *A rivederci!*

Kiedy zaś pociąg, zanurzywszy się szybko w bujny las winnic, wszystko niebawem zasłoni przed okiem, nawet wysoki szczyt Wezuwiusza, koroną białego dymu osnuty — a myśl wracając zwolna do ciszy i równowagi zacznie spokojniej przeglądać i porządkować neapolitańskie swoje wrażenia, spostrzega odrazu,

że znacznie głębiej i silniej wyryły się one w duszy od wielu innych. Całe ono piękno natury, którem wyposażyły Neapol z szczególną jakąś rozrzutnością ziemia, niebo i morze; przedziwna harmonia wszędzie ponad nim rozlana i tchnienie pogodne sztuki, płynące od jego zabytków; ruch, tłok i zgiełk jego ulic wprost niebywały, przytem jednak wesoły i malowniczy, niby jakaś wiecznie kotłująca i w tysiące barwnych kropelek rozbita kaskada życia; liczba, majestat i przepych królewski marmurowych jego świątyń, na których ścianach wypisały ślady swego przejścia wszystkie, tak dziwnie zmienne losy i dzieje tej ziemi; twarze nareszcie ludzkie pogodne i przyjazne, szczery ich zapał i ich szlachetna względem nas serdeczność, przejawiająca się na zewnątrz z całą żywością południowej natury, wszystko to składa się na obraz całości tak silny i sympatyczny, iż pamięć jego świeżą i żywą pozostać musi na długo... może na zawsze.

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

IX.

Z panowania Jana Kazimierza.

Żaden ustęp z dziejów polskich nie budził w tem pokoleniu takiego zaciekawienia, jak ostatnie lata panowania Jana Kazimierza, bo od rozwiązania tkwiących w nich zagadnień zależy nieledwie ogólny pogląd na nowożytną historyę polską. Niestety, daleko nam jeszcze do należytego wyświetlenia tych spraw i chociaż od lat kilkunastu ciągle się pracuje nad tym ustępem dziejów, nie brak miejsc ciemnych, wymagających dalszych badań. Jest jednak znaczny już postęp w porównaniu nawet z tem, co było przed siedmiu laty. Zasługa przypada czcigodnemu Tadeuszowi Korzonowi, dziś po Łagunie Nestorowi naszego cechu w Warszawie. Dzieło jego »Dola i niedola Jana Sobieskiego 1629—1674« (Kraków 1898, wydanie drugie, trzy tomy) obejmuje obszerne opracowanie przedkrólewskich czasów Sobieskiego, należy do najważniejszych publikacyj ostatnich lat i stanowi jakby całe nowe piętro w budowie gmachu; tyle w niem nowego materyału. Szkoda, że pisane nieprzejrzyście, w układzie pisarskim wielce powikłane. Wystarcza jednak w nauce, żeby dziełu nie nadawać formy nienaukowej, jak to czynią niektórzy dla pozyskania czytelników; poza tem jest forma rzeczą uboczną i gdybyśmy według niej mieli oceniać dziejopisów, sam Lelewel stałby gdzieś na szarym końcu. Równocześnie wyszła książka Kazimie-

rza Waliszewskiego: *Marysienka, Marie de la Grange d'Arquien, reine de Pologne, femme de Sobieski 1641—1716* (Paris 1898), obejmująca tedy całe panowanie Jana III. Ale materyału nowego w niej niemal nic (nieco tylko listów z archiwum w Chantilly, tyczących stosunków zupełnie prywatnych), a wartość? Jest to paszkwil na Sobieskiego, odsądzający go od czci i wiary. Autor pozbierał skrzętnie wszystko, co tylko dało się wynaleźć w źródłach ujemnego o królu (nawet plotki bez sensu), a opuścił świadectwa dodatnie. Wygodną tę metodę zdemaskował prof. Wiktor Czermak w książce powstałej z recenzyi tamtego pamfletu p. t. »Marya Kazimiera Sobieska« (Kraków 1899), a przy tej sposobności poruszył też i wyświetlił od siebie niektóre kwestye. Waliszewskiego niema co brać w rachubę; pozostają na boisku nauki pp. Korzon i Czermak. Ci dwaj uczeni stali przed laty ostro przeciw sobie w sporze naukowym; starszy, p. Korzon za Lubomirskim, podczas gdy młodszy, p. Czermak adorował mądrość polityczną królowej Ludwiki Maryi, bywszy zwolennikiem zapatrywania, że państwo upadło przez ową »anarchię«, która, zdaniem niektórych, sięga głęboko w dzieje polskie, rozpoczynając się już od przywileju koszyckiego! Stopniowo, w miarę postępu swych badań, porzuca prof. Czermak to doktrynerstwo w dziejopisarstwie, które nam zaszczepiano w latach studyów, a to wpływać musi także na pojmowanie czasów Lubomirskiego i Sobieskiego. Do zgody jeszcze daleko, bo zgoda może być tylko w kwestyi całkiem już wyjaśnionej, ale będą już tylko spory o konkretne zagadnienia, a nie o doktryny! W książce swej pisze p. Czermak dużo o p. Korzonie, a czyni to w ten sposób, że aż rośnie serce na widok, jak wysoko stoi w polskiem dziejopisarstwie to, co możnaby nazwać etyką zawodową historyków. Póki miłość prawdy ukochaną jest nadewszystko, zabezpieczony jest nie tylko postęp nauki, ale też dodatnie oddziaływanie jej na społeczeństwo.

Mamy już na tyle materyału, że możnaby się pokusić o napisanie właściwej biografii Jana Sobieskiego, to znaczy wykazać, w jaki sposób kształcił się i wykształcił ten wielki charakter, jak z człowieka tylko bardzo zdolnego i wrażliwego powstał człowiek

wielki. Cierpiał wiele (nie najmniej dzięki swej Marysieńce), ale w ogniu czyści się złoto. Pracował widocznie wiele sam nad sobą. Początki nie są zachwycające. Wszak sama matka nierówną miłością obdarzała synów i wolała Marka. Ten poległ pod Batowem przeciw Turkom. Matka nie mogła po tej stracie znaleźć sobie miejsca w rozległych swych dobrach i wyjechała na całe trzy lata w obce kraje, głównie do Włoch. Nie lubiła gwałtownego usposobienia w Janie, który nie panował nad swą krewkością i to ani w stosunkach z kobietami, ani z sąsiadami i lubiał nazbyt ucztować; dokonał nawet raz zajazdu i to z pomocą swoich żołnierzy (a więc popełniając publiczne nadużycie swej władzy) i miał jakiś pojedynek, który mu nie przyczynił estymy w oczach pani matki. I ten sam człowiek był potem wzorem wierności małżeńskiej! Umiał potem przebaczać, umarzał tyle razy najsłuszniejsze swe pretensye, a szabli nigdy nie wyjął z pochwy dla prywaty! Ileż pracował nad sobą i jak za to samo godzien chwały!

Nie sposób obronić się ciekawości, jaką też była kobieta, do której wielki bohater pisywał: »Najukochańsza serca i duszy pociecho!« Sąd o niej już ustalony: Marya Kazimiera była niepoczciwą, małżeństwo było niedobrane i tragedyą życia bohatera. Po ostatnich badaniach nie można się dosyć nadziwić, jak on mógł ją pokochać. Pan Korzon mówi całkiem poważnie o »zamroczeniu umysłu« pod tym względem i biada, że bohater spostrzegł swą pomyłkę dopiero na śmiertelnem łożu. Były jednakowoż w tem zamroczeniu *lucida intervalla* i już w r. 1665 czy 1666, niedługo po ślubie, mógł pisać: »Waść, moja duszo, widzę, że i mnie i zdrowie moje gotowaś poświęcić interesom dworu francuskiego, dla tych tylko chimer... a to takie błazeństwo, jakiego w świecie większego być nie może« (pisząc o ambicyjkach swej żony na dworze francuskim). Podobnych chwil bywało więcej. Sobieski nie łudził się, ale kochał. Tylko wielkie charaktery zdobywają się na wielką miłość. Marya Kazimiera nie ubliżyła zaś nigdy swojej czci niewieściej; była tylko naturą zimną, wyrachowaną, bezwzględną. O ile mąż jej ulegał, to jeszcze pytanie! Stwierdzono już, że często i to w sprawach ważnych, postępował wbrew żonie i bywało, że żadne jej prośby ni żale nic nie

wskórały. Powiada nawet p. Czermak, że »o wiele więcej może on posługiwał się jej osobą, jako narzędziem swoich interesów politycznych, aniżeli ona nim samym, jako narzędziem swoich osobistych zachcianek«. Zakochanie się zaś Sobieskiego tłumaczy wcale dobrze nadzwyczajną urodą i to odmiennym jej rodzajem— jako Francuzki; przymiotami serca: wielkiem przywiązaniem do ojca i brata; tudzież przymiotami umysłu: można było z nią mówić o sprawach publicznych, o wszystkiem, co interesowało wielkiego pana w Polsce, bo ona lubiła tę dziedzinę życia, będąc od młodości na dworze królowej zaprawianą do intryg politycznych. Cudzoziemka, córa tego kraju, dla którego Sobieski żywił zawsze największy zachwyt, osoba obyta od dzieciństwa z królewskim dworem (przyjęta przez królowę czteroletniem dzieckiem), bardzo inteligentna, a przytem umiejąca okazać się zawsze ze strony najkorzystniejszej i przez to nad męskimi umysłami łatwo panująca — opanowała też naszego bohatera. On zaś nie umiał przestać kochać, a to świadczy też o jego wielkości.

Dotyka p. Korzon kwestyi naukowego wykształcenia Sobieskiego. Ojciec jego, Jakób, uważany był za najinteligentniejszego pośród możnowładztwa polskiego, nawet za zbyt wykształconego, bo aż uczonego męża! Czytając dziś to, co mu tę opinię wyrobiło u towarzyszów jego sfery, dostrzegamy tylko średni stopień książkowego wykształcenia (co nie wyklucza wcale niepospolitego rozumu; to inna sprawa!). Jan miał uczoności stanowczo mniej od ojca. Gani p. Korzon powierzchowność tej nauki, do której nauk szukano jednak w podróżach po wszystkich europejskich stolicach wiedzy. Za daleko zawiodłoby wyjaśnianie tej pozornej sprzeczności. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że i dzisiaj, w czasach wymagających od młodzieży książkowej nauki tyle, jak nigdy przedtem, wystarcza na ogół pewien wcale średni poziom wykształcenia i jesteśmy zupełnie zadowoleni, jeżeli młodzieniec jednej rzeczy gruntownie się uczy. Od wojskowych nie wymaga się jeszcze filozofii. Jan kształcił się na żołnierza, a to robił doskonale, szukając do tego wszędzie zawodowych wiadomości, we Francyi i w Turcyi; w tej dziedzinie podejmował się wszelkiego mozołu i spełnił najdalej sięgające wymagania. Lepiej przygoto-

wanego do służby oficera nie miała z pewnością cała armia Króla JMCi, a że wstępując do niej miał dopiero lat 19, trudno, żeby prócz tego umiał jeszcze coś więcej gruntownie. Poczytajmy to raczej za dowód niepospolitej inteligencyi wszystkich Sobieskich, że chociaż magnatami byli, nie uważali się za urodzonych wodzów, lecz uznawali potrzebę nauki zawodowej. Interesował się zaś Jan Sobieski przez całe życie piśmiennictwem, o ile mu starczyło czasu. Mając potem już blizko pięćdziesiąt lat, zabrał się do nauki hiszpańskiego, ażeby módz korzystać z literatury w tym języku. Inżynier jego nadworny, Dupont, stwierdza w pamiętnikach, że lektura była »najtrwalszą przyjemnością« króla Jana i powiada: »Smiem twierdzić, że nigdy nikt na takiem stanowisku nie czytał tyle, co on i nie wyciągnął tyle pożytku z czytania i nikt też nie umiał rozprawiać tak wytwornie«. I pod tym względem wszedł p. Czermak lepiej w psychologię Sobieskiego, niż p. Korzon.

Jakie przekonania polityczne miał Jan Sobieski? Był przeciwnikiem Jana Kazimierza od samego początku. W r. 1655 przeszedł na stronę Karola Gustawa i można go oglądać na jednym ze sztychów Historyi Puffendorfa, jak stoi w grupie wyższych oficerów przed szeregiem polskiej konnicy i składa Szwedowi poddańczą przysięgę. Należał bowiem do liczby sześciu dowódców, którzy podpisali pełnomocnictwo parlamentarzom wysłanym do króla szwedzkiego od wojska koronnego. Tu przytacza p. Korzon »młodość i porywczość« na usprawiedliwienie tego faktu. Usprawiedliwi go lepiej samo tło dziejowe tego szczególnego, a cudzoziemcom i samemu Karolowi Gustawowi zgoła niezrozumiałego wydarzenia, jakiem było tłumne porzucenie własnego króla, a garnięcie się pod skrzydła najeźdzcy. Król szwedzki mniemał, że cały naród ze zdrajców się składa, lekceważył więc Polaków i pomylił się, przeliczył i — i musiał skutkiem tego wracać, skąd przyszedł. Okazało się, że pomiędzy nim a Polakami zaszło wzajemne nieporozumienie. Przykre wydarzenia roku 1655 nie były bowiem prostą zdradą. Współcześni wyobrażali sobie, że dokonują misternego ruchu politycznego, po którym spodziewali się wielkich korzyści. Nie poddawali się s z w e d z k i e m u królowi, lecz zmie-

niali osobę polskiego króla: byli też przekonani, że Karol Gustaw podda się formalnościom elekcyi i pozwoli sobie podyktować *pacta conventa*, a tak bez szkody dla kraju położy się koniec wojnom szwedzkim, które dawno — już ojcom ich — były kością w gardle. Że i samego króla za taką kość uważano, że Jan Kazimierz był powszechnie nielubiany, to już chyba jego własna wina. Powołanie zaś Karola Gustawa na tron polski tem mniej powinno nas zadziwiać, odkąd wiemy, że już po śmierci Zygmunta III. myślano o powołaniu Gustawa Adolfa! Była to więc już historya stara, a Radziejowski umiał wyzyskać stosowną chwilę. Rok 1655 jest dowodem zaniku zmysłu politycznego, lecz wcale nie upadku moralności publicznej w Polsce! Sobieski nie miał w sobie nic a nic z psychologii zdrajcy, a przeszedł do Szweda w imię pewnej (niestety zupełnie fałszywej) myśli politycznej, podzielanej powszechnie. Pomyłkę odkryto szybko (Polak bywał jeszcze wtenczas mądry przynajmniej po szkodzie), Sobieski także się spostrzegł i z końcem marca 1656 r. figurowało nazwisko jego wśród tych, które Karol Gustaw kazał przybić do szubienicy, jako swoich znowu z kolei »zdrajców«. Żołnierz ówczesny polski politykował i wolno mu to było; gdyby mu kto chciał odjąć to prawo, powstałby krzyk o gwałconą wolność. I to także trzeba mierzyć miarą nie naszą, lecz owoczesną. Tylko zaciężnym najmitom nie wolno było wdawać się w politykę. Przeszedł więc Sobieski wówczas to, przez co przechodzili niemal wszyscy. Do wyjątków należeli tacy, jak Jerzy Lubomirski, który dochował Janowi Kazimierzowi niezachwianej wierności, jakkolwiek ani osobą jego, ani też rządami wcale się nie zachwycał: posiadał widocznie więcej od innych zdrowego zmysłu politycznego.

Powróciwszy pod sztandar dawnego króla, został Sobieski zaraz chorążym koronnym i odznaczył się w trzechdniowej bitwie pod Warszawą. Pan Korzon wygrzebał nader zmyślnie pewne szczegóły, wskazujące, że tam dokonał Sobieski pierwszego samodzielnego czynu, z własnego pomysłu; współcześni nie dostrzegli jednak, komu zawdzięczają jeden z piękniejszych epizodów

owej sławnej bitwy. Nie zwrócono jeszcze uwagi na jego geniusz wojskowy.

Przyłączył się Sobieski niebawem do partyi francuskiej. Przyczynę podał jasno w liście do Kondeusza, pisanym podczas sejmu 1661 r., z oświadczeniem wierności i stałego postanowienia działać dla sprawy, od której zależy, o c a l e n i e i z a c h o w a n i e k r a j u«. Trudno przypuścić, żeby nie wiedział, co ma znaczyć kandydatura francuska dla w e w n ę t r z n e j polityki polskiej; zbyt intelligentny był i obeznany ze sprawami krajowemi, i do tego dworu blizki, żeby nie być dostatecznie poinformowanym. Wynika z tego, że był zwolennikiem monarchii dziedzicznej z rozszerzeniem prerogatyw tronu. Szczególna rzecz, że p. Korzon uważa go za wyznawcę teoryi A. M. Fredry, teoretyka »złotej wolności«; lecz jak pogodzić fredryzm z popieraniem Kondeusza? Opinie ich rozeszły się jaskrawo w sam raz podczas tego sejmu 1661 r., osobiste zaś stosunki mogły być jaknajlepsze. Wszak Fredro był człowiekiem ze wszech miar wielce szanownym i wypróbowanego wielokrotnie podczas potopu patryotyzmu; wszak ludzie naprawdę cywilizowani szanują nawzajem swe opinie: jedno do drugiego nic więc nie ma. Mogli się nawet bardzo lubieć, a swoją drogą w sporze *inter maiestatem et libertatem* stać po przeciwnych stronach. Niech mi też wolno będzie wyrazić powątpiewanie, czy p. Korzon nie przedwcześnie przypisuje fredryzmowi wielki wpływ na społeczeństwo? teorye te bowiem dopiero co się wylęgły i nie było jeszcze czasu, żeby społeczność przejęła się niemi. Inna rzecz, że Sobieski liczył się potem z teoryą złotej wolności; rozsądnym politykiem był, skoro tak czynił: nie mierzył zaś w nią bezpośrednio umyślnie, żeby sobie nie utrudniać zadania. Sam jej atoli nie wyznawał nigdy. Sam p. Korzon zwraca uwagę, że on pierwszy nazwał Ludwika XIV. Wielkim: króla, który tłumił resztkę swobód obywatelskich! Pobyt za granicą wpłynął więc stanowczo na przekonania polityczne Sobieskiego: a jednak nie prowadził on nigdy polityki metodą francuską i w wyborze środków stosował się do natury polskiego żywiołu. Był on naprawdę politykiem, a nie doktrynerem. Zgoła innym człowiekiem był Andrzej Maksymilian Fredro, który, byw-

szy marszałkiem sejmowym w r. 1652, przerwał obrady po proteście Sicińskiego i nadał mu przez to legalną sankcyę, i który miał potem doradzać oryginalny sposób elekcyi króla: Radził włożyć do kielicha mszalnego kartki z imionami kandydatów, a trzechletnie dziecię wyciągnie, kto ma być królem!

Jesienią 1655 r. była już cała Polska w ręku Szweda, a Jan Kazimierz schronił się na Śląsk. Wyjechała tam za nim garstka dostojników, z którymi złożył w Opolu naradę, będącą niejako radą senatu. Radzono, w jaki sposób otrzymać pomoc przeciw Karolowi Gustawowi. Wojewoda poznański, Jan Leszczyński, podał projekt, żeby kupić sobie posiłki za cenę korony, w ten sposób, że ofiaruje się następstwo tronu temu, kto dostarczy środków do odzyskania państwa. Projekt przyjęto i oto geneza sprawy *electionis vivente rege*, która miała potem wprawić kraj w nową zawieruchę i stanowi jeden z najbardziej powikłanych rozdziałów historyi polskiej. Wyprawiano więc ze Śląska poselstwa na wszystkie strony, a do Habsburgów aż cztery razy; proponowano następstwo tronu i elektorowi brandeburskiemu i Rakoczemu, względnie ich synom, pod warunkiem przejścia na katolicyzm. Nikt z tych książąt oferty nie przyjął. Tylko car Aleksy Michajłowicz wziął sprawę poważnie pod rozwagę. Zdobył on w zeszłym roku Czernichów, Kijów, Smoleńsk i Litwę całą, wojska jego zajęły Wilno; ale po te zdobycze sięgał teraz Szwed, a Radziwiłłowie podpisali unię Litwy ze Szwecyą pod warunkiem, że król szwedzki wypowie wojnę carowi. Już wczesną wiosną 1656 r. bawił tedy we Lwowie poseł carski, ofiarując w razie wyboru Aleksego, lub syna swego Fiedora, zwrot wszystkich zajętych tych ziem. Wojska jego byłyby i tak pozostały, tym razem jako sprzymierzone i miało się zacząć braterstwo broni dwóch wrogich sobie dotychczas państw przeciw trzeciemu najeźdźcy. Czy trwałaby dłużej ta przyjaźń i czy wojska Aleksego opuściłyby Litwę po wypędzeniu Szwedów? Układy nie dopisały, zapewne dlatego, że sobie wzajemnie nie dowierzano. Rozejm dwuletni wypełniają nieznane bliżej pertraktacye, a w październiku 1658 r. wojna wybuchła na nowo. W grudniu 1658 r. odbyła się w Gdańsku narada senatu, na której roztrząsano na nowo projekt Lez-

czyńskiego i omawiano długą listę przypuszczalnych kandydatów do polskiej korony, ale cara na niej już nie było. Sama długość listy starczy za dowód, że sprawa miała ciągle jeszcze tylko teoretyczne znaczenie i od r. 1655 nie postąpiła widocznie ani o krok. Po trzech latach zastanawiano się na nowo, ktoby mógł kandydować, bo nie kandydował nikt. Rzecz na pozór dziwna, a jednak prosta.

Sprawa była rzeczywiście wielce ryzykowna. Kandydat miał sobie koronę zdobyć, a czyby mu jej przedwcześnie nie zdjęto, jakaż pewność? Dopiero co uznano w Polsce królem Karola Gustawa przeciw Janowi Kazimierzowi; jakaż rękojmia, że dłużej będzie się cieszyć uznaniem ktoś inny, wezwany przeciw Szwedowi? Gdybyż to tron polski można było zdobyć, jak się zdobywało przemocą panowanie w innych krajach! Można było tak myśleć w r. 1655, ale to złudzenie musiało już pierzchnąć w r. 1658, gdy Szwedzi ledwie jeszcze w Toruniu się trzymali. Polscy elektorowie wyparli się Karola Gustawa, który nie rozumiejąc natury narodu, ogłosił tylko, że Jana Kazimierza strąca się z tronu, ale nie uprosił prymasa, żeby ogłosić bezkrólewie i nie poddał się formalnościom elekcyi. Sojusznik i przypuszczalny następca Jana Kazimierza miał więc podejmować wojnę z wszystkimi ówczesnymi nieprzyjaciółmi Polski po to, żeby w razie zwycięstwa starać się o swój wybór. To mógł zrobić każdy po najdłuższem życiu Jana Kazimierza, nie ponosząc z góry żadnych trudów. Taki kandydat, o jakim myślano w r. 1655 w Opolu i jeszcze w r. 1658 w Gdańsku, mógłby się znaleźć w takim tylko razie, gdyby go wybrano królem zaraz i to dziedzicznie. Dziedziczność zaś tronu łączono wówczas w całej Europie z rządami absolutnymi: nikt jeszcze nie pomyślał, że dałaby się pogodzić z władzą monarchiczną konstytucyjną, i dlatego Polacy ani słyszeć nie chcieli o dziedziczności tronu.

W naradzie gdańskiej brał udział także Jerzy Lubomirski, pierwszy minister, pierwszy dostojnik w polu i w radzie (hetman polny koronny i marszałek wielki koronny), a Jana Kazimierza najwierniejszy sługa. On nigdy w żadne pakty ze Szwedami nie wchodził, on klejnoty koronne ocalił na czas »potopu«, a powra-

cającego do Polski pana pierwszy w Dukli powitał, do swego Łańcuta zaprowadził i tam oddał mu skarbiec koronny i same korony. Wyznał to sam król w piśmie do Lubomirskiego wystosowanem, a szczęśliwie do naszych czasów dochowanem. Nie miał on nic przeciw wyznaczeniu następcy tronu, byle tylko zachować przytem wszystkie formalności elekcyi; pod tym warunkiem zgodziłby się zapewne i ogół szlachty na »elekcyę przedśmiertną«. Skoro zaś elekcya ta miała służyć do pozyskania wojsk zagranicznych, a więc prosta konsekwencya kazała wykluczyć z niej »Piasta«, jak to właśnie czynił Lubomirski.

Niewykonalny pomysł Leszczyńskiego uzupełniła królowa życzeniem, ażeby ten przyszły król polski poślubił siostrzenicę Jana Kazimierza, elektorównę badeńską, Annę. I tak zeszły się okoliczności, że kandydata nie było, ale była już dlań narzeczona. Pan Korzon twierdzi, że królowa utrzymywała zrazu najwięcej stosunków z domem austryackim. Szkoda, że o tem nie wiemy nic bliższego. Ważną będzie rzeczą stwierdzić, czy królowej obojętnem było, kto pozyska koronę, byle poślubił Annę, czy też życzyła Polsce zasadniczo francuskiego kandydata, a los siostrzenicy chciała ustalić przy tej sposobności, jako przy dobrej okazyi? Autorowi »Doli i niedoli« wydaje się, że Ludwice Maryi chodziło o to, żeby się utrzymać przy władzy i zajęła się Anną, żeby potem na tronie »matkować« jej i owemu (nieoznaczonemu jeszcze!) jej małżonkowi. Zdaniem p. Korzona nie królowa wymyśliła francuską kandydaturę, lecz pomysł wyszedł wprost od kardynała Mazarini'ego, który wyprowadził ją niejako z kłopotu braku kandydata do ręki siostrzenicy. Być może; ale potem nie brakło konkurentów, a jednak królowa narażała się na najcięższe kłopoty, byle nie dopuścić nikogo, jak tylko francuskiego księcia. Są też rozmaite okoliczności, dozwalające jeszcze bądźcobądź na drugie przypuszczenie, że mianowicie królowej chodziło zasadniczo o polityczny związek Polski z Francyą.

O charakterystykę królowej Ludwiki Maryi możnaby się jeszcze spierać z p. Korzonem, dla którego jest ona jakby tylko starszą i władniejszą Marysienką. Królowa miała wielkie ambicye w tradycyi rodzinnej. Ojciec jej uchodził w swoim czasie za pra-

wego kandydata do tronu cesarstwa greckiego w razie, gdyby się udało Turków wypędzić z Konstantynopola; dlatego pojął ją za żonę Władysław IV. Trudno jej mieć za złe, że nie chciała być na uboczu, na zacisznem stanowisku królowej-wdowy i po roku wdowieństwa wolała zasiąść na nowo na tronie, wydając się za Jana Kazimierza. Czy jej plany dadzą się podciągnąć wyłącznie pod strychulec samolubstwa, to pozostanie jeszcze kwestyą sporną. Udało się jednak przeprowadzić p. Korzonowi dowód, że nie posiadała wyższych zdolności politycznych: wszak tych pierwszym warunkiem jest i pierwszą oznaką, żeby się oryentować w żywiole, z którym się ma do czynienia. Ludwika Marya (podobnie, jak niegdyś Bona) przypuszczała, że politykę można uprawiać w każdym kraju jednako i możeby we Francyi zdziałała coś dodatniego, u nas udział jej w rządach wyszedł na złe Polsce, poprostu dlatego, że nie po polsku rządziła. Czyż jednak wolni są od tego zarzutu obydwaj jej mężowie i ich ojciec? Miałaż ona wymyślić polską metodę rządów, gdy nie próbowali tego królowie w Polsce zrodzeni? Liczyła n. p. na przekupstwa, a gdy francuscy »pensyonarze« czasem nie dopisali, wyrzekała na »zdradę« ich. Nie spostrzegła się, że pobieranie pensyi od Ludwika XIV. zgoła inne miało znaczenie u nas, niż w Niemczech lub Anglii. Nasi najbogatsi magnaci bywali bardzo ubodzy w gotówkę (zwłaszcza po potopie i w czasach szalonej kryzys pieniężnej), z czegóż więc mieli ponosić koszta agitacyi na rzecz polityki dworskiej? Niejeden z nich nie byłby mógł nic zrobić, gdyby mu na to nie dostarczono funduszów z Paryża. Przekupni należeli do arcyrzadkich wyjątków. Na liście tych pensyonarzy znajdujemy nazwiska dwóch bohaterów narodowych: Czarnieckiego i Sobieskiego. Tacy robili za wzięte pieniądze wszystko, na co im pozwalało obywatelskie sumienie, dalecy od tego, żeby samo sumienie sprzedawać, jak jędrnie i pięknie określił ten stosunek autor »Doli i niedoli«.

W październiku 1657 zaproponował tedy Mazarini księcia d'Anguien. Cel tej kombinacyi określił jasno; »wziąć dom austryacki i cesarstwo w kleszcze pomiędzy Francyę a Polskę, jak poprzednio Francya tkwiła pomiędzy Hiszpanią a cesarstwem«.

Dwa lata trwały wstępne układy i tak doczekał się Mazarini, że kandydat do polskiego tronu nie potrzebowałby już zdobywać Polski dla Jana Kazimierza; było już pewnem, że dawny król utrzyma się na tronie bez pomocy z zewnątrz.

Projekt elekcyi przedśmiertnej był zbyt dobrym, żeby się nie miał podobać. Zatrzymywało się elekcyjność tronu, a unikało się bezkrólewia; nikomu zaś to nic nie szkodziło, żeby siostrzenica królewska wydała się przy tej sposobności. Ogłoszenie elekcyi nie przedstawiałoby żadnych trudności; z łatwością pozyskałby dwór zgodę wszystkich wybitniejszych umysłów. Jerzy Lubomirski nie należał do stronnictwa dworskiego, ale nie był też doktrynerem złotej wolności, daleki od fredrowskich teoryi! Kiedy w r. 1659 roztrząsano sprawę regulaminu sejmowego, należał Lubomirski do zwolenników reformy. Był za głosowaniem większością i za odjęciem niektórych »delikackich« spraw (n. p. wojny i pokoju) pełnej izbie sejmowej, a potem zarzucano mu nawet, że był przeciwnikiem elekcyi *viritim!* Bez trudności też przystał na elekcyę przedśmiertną, a wezwany do królowej, do Tczewa, podpisał tam »konsens na obieranie nowego pana«, ale bez wymienienia, kto miałby być tym panem. Musiały być od początku wątpliwości, czy Lubomirski, a może i inni jeszcze zwolennicy wzmocnienia władzy królewskiej i uniknięcia bezkrólewia, będą zarazem zwolennikami francuskiej polityki, skoro królowa wygotowała do podpisu dwa dokumenty: Jeden na elekcyę wogóle — i ten podpisał Lubomirski, a drugi dla zaufanych owych stronników, na elekcyę księcia d'Anguien. Tu należałoby stwierdzić, czy Lubomirski wiedział wówczas cośkolwiek o zamierzonem sprowadzeniu Francuza na tron polski i kiedy się o tem dowiedział?

Francuski książę przedstawiał kierunek antyhabsburski, a zatem powrót do pierwotnej polityki Jagiellonów, a więc popieranie w Czechach i na Węgrzech malkontentów, których tam zawsze można było pobudzić. Co o tem myślał Lubomirski, nie wiemy; a póki to wiadomem nie będzie, nie wiadomo, jak osądzić jego oppozycyę i następną wojnę domową. Szczególna to rzecz, że oppozycya nie miała następnie żadnego kontrkandydata przeciw

francuskiemu księciu. Trudno też przypuścić, żeby wówczas — w 40 już lat po bitwie na Białej Górze, zamarzył kto o zorganizowaniu w Polsce habsburskiego stronnictwa. Jakoś niema dotychczas w źródłach najmniejszego śladu podobnych starań! Nie wiemy, jakie były zapatrywania Lubomirskiego co do zagranicznej polityki Polski; być nawet może, że nie miał w tej materyi żadnych wyrobionych przekonań. Wszak nie kanclerzował! Jeden z francuskich ajentów twierdził potem, że Lubomirski był zwolennikiem kandydatury moskiewskiej. Dochowane w tej sprawie poszlaki nie starczą jednak na dowód, że tak było naprawdę i od samego początku. Wrócimy jeszcze do tej kwestyi na końcu.

Wypadło Lubomirskiemu zająć wobec elekcyi stanowisko na sejmiku proszowickim. Oświadczył się wprawdzie przeciwnikiem elekcyi przedśmiertnej, ale żądał zarazem wyjątku na ten jeden raz. Na pozór jest w tem sprzeczność, ale tylko teoretyczna; w praktyce da się to doskonale pogodzić: Wszak wszyscy Jagiellonowie byli królami elekcyjnymi. Prawdopodobnie przeto (pewności nie mamy) wyobrażał sobie Lubomirski, że wybierze się teraz *vivente rege* założyciela nowej dynastyi, której nie można żadną miarą przyznać dziedzicznego tronu (w tem różnił się od Sobieskiego), boby to wiodło do absolutyzmu, ale jak zawsze dotychczas bywało, będzie się już wybierać syna po ojcu, brata po bracie i bezkrólewia będą tylko formalnemi. Zmysł monarchiczny był bowiem jeszcze bardzo silny, a nie najmniej u Lubormirskiego.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłby Lubomirski nie miał nic przeciw osobie księcia d'Anguien i gdyby tylko o samą elekcyę jego chodziło, byłby ten kandydat przeszedł bez trudności i Polska przeszłaby do antyhabsburskiego obozu w Europie. Ale elekcya była dla Jana Kazimierza tylko pozorem, poza którym krył się zamach na polską formę rządów.

Stefan Batory był ostatnim monarchą w Europie, który posiadał tę sztukę, że energię i sprężystość władzy godził z konstytucyjną formą rządu; umiał on sobie radzić z »wolnością«, a po nim sztuka ta zaginęła już, nawet w Polsce. Wazowie nie umieli się po prostu oryentować wśród konstytucyi sejmowych, wadziły

im one, krępowały ich, bo się nie umieli z niemi obchodzić. Żaden z nich nie rozumiał należycie ustroju państwa, którem władał. Wszyscy trzej tęsknili za łatwiejszą, wygodniejszą formą państwową, tj. za absolutyzmem. Każdy z nich próbował zamachu stanu. Nie robili tego z samolubstwa, dla własnej wygody, lecz z przekonania, że tak lepiej dla Polski. Wszak jeden z najlepszych Polaków, Piotr Skarga, był gorącym wielbicielem absolutyzmu, a gdy cała Europa przeobrażała się już w tym kierunku, jakżeż mogli nasi monarchowie pozostać obcymi temu prądowi? Dlatego to werbowano szwedzkie wojsko za francuskie pieniądze i kandydat do korony miał wkroczyć do Polski, jako najezdnik i to na czele tych samych najezdników, których co dopiero z Polski wyparto. Nie potrzebował siły zbrojnej do przeprowadzenia elekcyi, lecz do zamachu stanu. Chodziło właśnie o to, żeby nie było wcale żadnej elekcyi, żeby się bez niej obejść. Ani też Jan Kazimierz nie myślał jeszcze abdykować; przy francuskim książęciu on sam tuszył sobie rządzić samowładnie. Wszak w r. 1661 miał dopiero 52 lat!

Gdyby ogłoszono elekcyę, zgłosiłby swą kandydaturę niewątpliwie jaki arcyksiążę austryacki, a także elektor brandeburski. Ten gotów był podać świetne zaiste warunki: Fryderyk Wilhelm II decydował się uznać Prusy książęce na nowo lennem polskiej korony, utrzymywać swoim kosztem dziesięć tysięcy żołnierza, a swobody obywatelskie nie tylko potwierdzić, ale nawet jeszcze bardziej rozszerzyć. Proponował też królowej małżeństwo jednego ze swych synów z jej siostrzenicą. Królowa propozycyę odrzuciła, a więc chodziło jej nietylko o siostrzenicę i przyszłe »matkowanie«, ale także o jakieś ściśle polityczne cele

Z końcem 1660 r. przybył do Polski urzędowy reprezentant księcia d'Anguien, Caillet. W lutym 1661 r. wraca Lubomirski z tryumfami nowych zwycięstw do Krakowa, powitany przez kanclerza od tronu imieniem »ojca ojczyzny». Odbyła się potem narada senatu w Częstochowie; na czerwiec 1661 r. zwołał król sejm nadzwyczajny. Na sejmiku proszowskim stanęło wtenczas *zaudum* za sprawą Lubomirskiego, nie sprzeciwiające się elekcyi, ani żadnemu kandydatowi, lecz zastrzegające, żeby królowa w te

sprawy się nie wdawała i żeby »pod karą perduellionis« nie omawiać kandydatów na sejmie czerwcowym, aż dopiero podczas samej elekcyi: konwokacya zaś i elekcya miały być skończone przed zimą. Rozsądne żądanie przeciw przewlekaniu sprawy! Uchwalono też, żeby Wawel i pruskie grody obsadzić dobremi załogami pod komendą rodowitych Polaków. Widać z tego *laudum*, o co Lubomirski podejrzywał dwór i czemu chciał zapobiedz. Powziął podejrzenie, że elekcya nie znajduje się wcale w programie królewskim, lecz że król poczyni starania, żeby na sejmie zaproszono w jakiejś formie d'Anguiena do Polski, żeby wystąpiło jawnie stronnictwo francuskie, a potem zamach stanu dokonałby reszty. Dlatego nie chciał, żeby na sejmie mówiono o kandydacie, a przypierał króla do muru oznaczaniem rychłego terminu elekcyi, za co dwór powinienby mu być wdzięcznym, gdyby na prawdę zamyślał o urządzeniu formalnej, zgodnej z ustawami, elekcyi. Podejrzywał nadto, że do kraju ma wkroczyć obce wojsko i to od morza Bałtyckiego i że król zamierza temu wojsku wydać grody pruskie. Pierwsze podejrzenie jest tylko domyślne i prawdopodobne na podstawie logicznego związku wypadków i towarzyszących im okoliczności; słuszność zaś drugiego stwierdzają źródła wielokrotnie.

Na sejmie, w czerwcu 1661 r., wystąpił król urzędowo ze sprawą, którą nazwano *electio vivente rege*. Zaprotestował Fredro: to rzecz oczywista ze względów dla niego zasadniczych; dla niego nie było elekcyi bez bezkrólewia. Inni zaś zachowali się niechętnie lub biernie, bo podejrzywali króla o nieszczerość. Miał on wtenczas słynną mowę, w której pozwolił sobie śladem Skargi przepowiadać upadek państwa. Nie sprawiło to wrażenia i jakżeż miało sprawić, skoro ci nieprzyjaciele, którymi on straszył, byli właśnie pokonani, a przed stopnie tronu rzucono trzysta kilkadziesiąt zdobytych sztandarów! Jest to w sam raz najświetniejszy ze wszystkich polskich sejmów i cóż na nim miała owa mowa?! Toć-to naprawdę wygląda na źle ułożoną komedyę!

Nastały konfederacye wojskowe, bo dwór wojsk nie opłacał, bo chociaż pieniądze miał, wydawał je na francuską propagandę. Królowa mniemała, że konfederacye te wyjdą jej na dobre, bo

pozyskując przekupstwem przywódców tych związków, wciągnęłaby i wojsko do swego spisku. A związki nie były wcale niechętne królowi i jego władzy. Owszem! Jeden z nich, zwany »święconym« *(nexus sacer)* domagał się, żeby nikt nie mógł mieć więcej, jak jedno starostwo, tudzież żeby kanclerstwo i hetmaństwo zamienić z urzędów dożywotnich na odwołalne. Niesiono więc królowi znaczne wzmocnienie jego władzy, ale Jan Kazimierz nawet się tem nie zainteresował, przypuszczając, że niebawem osięgnie wszystko zamachem stanu, a przekupywani przez królowę przywódcy konfederacyi zrobią, co dwór każe. A tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Wojsko podstąpiło pod Warszawę i wymusiło w r. 1662 reassumpcyę konstytucyi o wolnej elekcyi. Pozyskała sobie królowa tylko Gosiewskiego, marszałka konfederacyi litewskiej; rozsiekali go za to właśni oficerowie! Natenczas dwór próbuje sprowadzić przeciw narodowemu żołnierzowi Tatarów i ledwie Lubomirski zdołał temu przeszkodzić! Zaufanym powiernikiem dworu staje się teraz Hieronim Radziejowski, ten sam, który prowadził Szwedów do Polski!! Był ciotecznym bratem Sobieskiego, który umiał jednak trzymać się od niego w przyzwoitej odległości i to nawet wtenczas, kiedy dwór dawał im jakie zlecenie, które wspólnie mieli wykonywać.

Słusznie zwraca p. Korzon z największym naciskiem uwagę na to, jak najgorsi zdrajcy cieszyli się wówczas największemi łaskami króla. Nie spotkała nigdy żadna kara Janusza Radziwiłła a Bogusław Radziwiłł zaszczycony był nawet zaszczytną uchwałą sejmową 1659 r. Ofiarował on w r. 1662 cztery tysiące swego nadwornego żołnierza na przeprowadzenie elekcyi francuskiej, a potem króla odstąpił i uchodził za obrońcę wolnej elekcyi.

Konfederacye wojskowe nie były tak niebezpieczne dla państwa, skoro patryotyczny żołnierz zrzekł się aż połowy zaległego od kilku lat żołdu; ale były niebezpieczne dla polityki dworskiej. Król zamawiał sobie na maj 1663 r. Kozaków przeciw związkowi wojskowemu (dziesięć tysięcy pod Teterą). A zatem król-to zdecydował się pierwszy na wojnę domową! Czy o elekcyę miała być ta wojna? Ależ król wcale elekcyi nie ogłaszał!! Niema śladu czegoś podobnego w źródłach i dziwna rzecz, że na to nie zwró-

cono jeszcze uwagi! Nie! Wojna miała być o zniesienie elekcyi i wszelkich wogóle swobód obywatelskich! Lubomirski zaś występował już w obronie tej formy rządów, którą następne wieki miały nazwać monarchią konstytucyjną. Napróżno poseł francuski proponował mu ożenek syna z drugą palatynówną, siostrą Anny, a więc powinowacenie się z przyszłym absolutnym królem Polski i płynące z tego korzyści. On z początkiem 1663 r. pojechał do Lwowa, gdzie odbywały się układy dworu z delegatami wojska i proponował tam zawiązanie konfederacyi przeciw wszystkim, którzyby chcieli przeprowadzić elekcyę w nielegalny sposób. Zapiszmy więc w sobie w pamięci, że przeciw legalnej elekcyi przedśmiertnej ani teraz jeszcze nie występował, ani też nie agitował przeciw osobie francuskiego kandydata. Ale wiemy też już dokładnie, że właśnie z początkiem 1663 r. postanowiła królowa narzucić d'Anguiena, jako pomocnika w rządach i następcę, bez elekcyi, lecz z pomocą Kozaków, Tatarów i werbowanych przez Ludwika XIV. szwedzkich zaciężnych. Czarniecki dał się pozyskać do tego spisku. We Lwowie był przygotowany zamach na pełnomocników wojska Rzpltej, gdyby konfederacye nie rozwiązały się: Lubomirskiego zamierzano też pojmać i zaraz ściąć. Odtąd miały się powtarzać stale zamiary zgładzenia pierwszego ministra i męża, któremu Jan Kazimierz zawdzięczał odzyskanie tronu w r. 1655.

Konfederacye rozwiązały się, a nastąpiła wyprawa Czarnieckiego na Zadnieprze. Lubomirski chciał ruszyć tam własną osobą; królowa oświadczyła mu, że sobie tego wcale nie życzy! Tak traktowano hetmana! Ruszył za to w zimie osobiście sam król, bo spodziewał się, że dotrze aż do Moskwy, a potem ze zwycięską armią dokona zamachu stanu. Wyprawa była obmyśloną na wielką skalę (Sobieski dotarł wtenczas aż do rzeki Worskli), ale obliczenia wszelkie zawiodły skutkiem niespodziewanego ocieplenia się i wczesnego tajania lodów. Nie chcąc ugrzęznąć z armią wśród błot i roztopów, trzeba było wracać z połowy drogi.

Tymczasem doszło do skutku małżeństwo księcia d'Anguien z Anną badeńską. Kontrakt małżeński stanął dnia 30 sierpnia

1663 r. Królestwo wyznaczali siostrzenicy na wiano księstwa opolskie i raciborskie, trzymane prawem zastawu jeszcze od czasów Zygmunta III. Z tego zapewne powodu są na tym kontrakcie podpisy polskich senatorów, a wśród nich znajduje się też podpis Lubomirskiego. Ślub odbył się dnia 11 grudnia 1663 r. (Dok. nast.).

Dr. Feliks Koneczny.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

PAPIESTWO JAKO WSZECHWŁADZA PAŃSTWOWA.

(Ciąg dalszy)

Przeciwnie cesarstwo rzymskie narodu teutońskiego przedstawiało prąd, który rozumie postęp społeczny na drodze ustroju we wielkich rozmiarach [1]. »W rozległem swojem państwie Karol W. pilnie urządzał stosunki wewnętrzne i dążył wytrwale do tego, aby je ujednostajnić, wszystkie części połączyć ściśle ze sobą, wiązać w sposób nierozerwalny państwo z Kościołem, wszędzie zaprowadzić ustrój polityczny frankoński, samoistną władzę urzędników ograniczyć i poddać ich czujnej kontroli, samemu zaś zapobiegać wszelkim nadużyciom, a dawać popęd do udoskonaleń i reform pożytecznych. Dlatego więc wszystko prawie opierało się o jego osobę... Niszcząc odrębność i samodzielność różnych dzielnic i plemion wchodzących w skład swego państwa, Karol W. zniósł wszędzie urząd książąt, władzę zaś hrabiów uszczuplił przez pomnożenie liczby hrabstw i przez rozszerzenie zakresu działania biskupów. W jednych i drugich sprawy wglądali zaprowadzeni przez Karola W. wysłańcy królewscy i o wszystkiem zdawali sprawę królowi.

»Otto W. budował dalej potęgę swego państwa: przedewszystkiem starał się o to, aby w Niemczech wzmocnić władzę

[1] Prof. W. Zakrzewski: »Historya wieków średnich«.

królewską; sprawił, że luźnie dotąd połączone ze sobą plemiona niemieckie poczęły się zrastać w jeden naród; pragnąc zaś zmniejszyć znaczenie książąt i uczynić ich zależnymi od siebie zastępcami swymi i urzędnikami, ustanowił obok nich nowy urząd hrabiów palatynów, którzy w każdem z księstw mieli strzedz królewskich praw i dochodów. Przedewszystkiem jednak, aby zrównoważyć przewagę książąt, Otton I oparł się na biskupach i opatach, których mianował wedle swego uznania i woli; zmierzał wyraźnie do zrestaurowania uniwersalnej monarchii chrześcijańskiej Karola W.; lecz z czterech części, na które rozpadła się monarchia, we Francyi i Burgundyi wpływ jego dawał się uczuwać tylko chwilowo i przelotnie, we Włoszech nie znajdował posłuszeństwa, jeżeli tam nie przybył ze znaczną armią niemiecką; w teoryi cesarz był panem świata, źródłem wszelkiego prawa i świeckim zwierzchnictwem chrześcijaństwa; w rzeczywistości jednak państwo Ottona było cesarstwem rzymskiem narodu niemieckiego. Rzymian zmusił do obietnicy, że tego tylko uznawać będą papieżem, kogo cesarz na tej godności potwierdzi. Jednakże każda dłuższa nieobecność jego następców we Włoszech sprowadzała upadek władzy cesarskiej, a obietnice szły w zapomnienie.

»Henryk 3-ci jeszcze raz wymógł na ludzie rzymskim przyrzeczenie, że nikt odtąd papiestwa nie dostąpi bez potwierdzenia cesarskiego. Dopóki Henryk żył, za każdym razem odwoływano się do niego, ilekroć opróżnił się tron papieski, a Henryk naznaczał do wyboru zawsze prałatów niemieckich; dzięki temu cesarstwo królów niemieckich za Henryka 3-go doszło do najwyższego szczytu swej potęgi«.

W późniejszych stuleciach rzymski cesarz narodu teutońskiego postradał potęgę do tego stopnia, że od Złotej Bulli jedynowładztwo tam przeszło w państwo związkowe: Rzeszę. Przeciwnie Francya po wojnie stuletniej zjednoczyła swoją rzeszę państw lenniczych pod berłem króla, który w ostatnich latach wojny swoją władzę wzmocnił i oparł na trwałych podstawach.

W każdym razie równocześnie z Tomaszem z Akwinu i przez dziesiątki lat po nim Włochy i Francya, skłonne więcej ku państwu związkowemu niż jednowładczemu, nie upatrywały dla

siebie postępu społecznego na drodze, którą torował Karol W. Jego wtedy zasada jednowładczego państwa, choć uszczuplała władzę książąt i panów, więc im nie uśmiechała się, przecie w teutońskich plemionach znalazła pole dla siebie stosowne i zakwitła tam nieraz pomyślnie.

Zasada związkowego państwa uważa naród czy szczep za rzeszę społecznych jednostek, które mogą być każda w sobie wykończone pod wszystkimi względami, prócz tego, że do zbrojnej samoobrony żadna z nich nie utrzymuje wojsk dostatecznych, więc w potrzebie muszą je łączyć na wojnę z nieprzyjacielem wspólnym. Takiem państwem związkowem są dziś Stany Zjednoczone. Każdy Stan zaspokaja sam ze swoich zasobów wszystkie żywotne potrzeby, (ale do nich nie liczy zbrojnej samoobrony,) uchwala ustawy, obiera rząd: istotnie jedyną ich łącznią jest prezydent wspólny, wspólne zastępstwo wobec państw postronnych i zbrojna potęga wspólna.

Dlaczegóż tedy w *De Regimine* czytamy zasadę, że nie jakiebądź społeczeństwo, a dopiero mocarstwo zaspokaja wszelkie potrzeby żywotne samo przez się, bo wystarcza sobie do zbrojnej samoobrony na wypadek wojny? W Stanach Zjednoczonych żadna pojedyńcza rzeczpospolita tego nie poczytuje za żywotną potrzebę. Rzesza księstw, hrabstw, państw i wolnych miast włoskich tak samo jak państwowy związek lennych krajów francuskich nie nasuwał świętemu Tomaszowi dowodu, że te drobne ustroje społeczne bez samoobrony nie tworzą społeczeństw wykończonych. A pisarz dziełka, wbrew zwyczajowi świętego Tomasza, nie przywodził żadnych szczegółów doświadczalnych i objawów, zdolnych z przyrody rzeczy wywieść, że zbrojna samoobrona, gotowa na wszelkie wypadki, stanowi żywotną potrzebę społeczeństwa. I cóż ostatecznie znaczy ta zasada? Do czego prowadzi? Niechby mocarstwo już miało własne wojsko dostateczne do obrony przeciw każdemu sąsiadowi: jeszcze może doznać napadu jednoczesnego od kilku sąsiadów sprzymierzonych: więc czyż ma zawczasu wystawić i utrzymywać wojsko własne w sile dostatecznej, aby wyrównać siłom sąsiadów sprzymierzonych? Tedy to mocarstwo kilka razy mniej, niż sąsiad każdy, wydaje pieniędzy na przeróżne po-

trzeby żywotne, dostarcza kilka razy mniej ludzi do potrzebnych i pożytecznych zawodów, więc kilka razy mniej, niż sąsiedzi, pracuje nad postępem społecznym u siebie, i w końcu bankrutuje, — albo zawczasu dochodzi do tego wniosku, który pojęły nawet w Europie mocarstwa dziś zbrojne od stóp do głów: przeciw sprzymierzonym sąsiadom szukają przymierza znów z innemi mocarstwami... kończą na tem, od czego można zacząć i w państwie związkowem tak, jak w Stanach Zjednoczonych, przeżyć lata a wojska na ulicach prawie nie spotkać.

Żadnemu krajowi nie ujmuje to nic w dobrym ustroju społecznym, że niektórych roślin, kruszców czy zwierząt pod własnem słońcem, na swojej roli hodować nie może, chociaż potrzebuje z nich wyrobów np. lekarskich, i sprowadzać je musi z obczyzny. Ustrojowi społecznemu nie uwłacza to nic, że kraj posiada szybkie środki porozumienia się z sąsiadami, stosunki z nimi nawiązane, i może w każdej chwili od nich dostać za tanie pieniądze, co u siebie przepłacałby z małym pożytkiem. Nie uwłaczają stosunki kupieckie, związki cłowe, ugody pocztowe i tyle innych, które sprawiają, że kraje wzajemnie zaspokajają swoje potrzeby ze wspólnym pożytkiem: czemuż ma uwłaczać, a nie chlubę przynosić ustrojowi społecznemu, kiedy kraje zawrą wojenne przymierze i zasobów swoich użyją w sposób wydatniejszy, niż gdyby każdy kraj wysilał swój skarb na wojsko najpotężniejsze w świecie?

Tych pytań wcale przed sobą nie widzi pisarz. Do pojęcia społeczeństw coraz lepiej urządzonych dorzuca nagle pojęcie państwa rzekomo najdoskonalszego, bo groźnego sąsiadom jako wojskowa potęga; do pojęć wysnutych z przyrody rzeczy i z tła zjawisk społecznych dorzuca pojęcie mocarstwa, którego nie wysnuł żadną indukcyą z potrzeby społecznej, nie wywiódł z poglądów utartych śród szczepu romańskiego: przyjął je dogmatycznie tak, jak mógł je słyszeć na cesarskim dworze teutońskiego narodu.

Czy tego pojęcia wojskowej potęgi społecznej potrzebował pisarz do dalszych wniosków?

Łatwo tu przewidzieć, że pisarz średniowieczny, przesiąknięty duchem nadwładzy cesarskiej szczepu teutońskiego nad

Europą, mógł wierzyć w potrzebę społeczeństwa wojskowo urządzonego i nie bez powodu wprowadził ją do rozprawy, która roztrząsa stosunki państwowe. Ale czy z Teutonów pochodził ów pisarz? i czy rzeczywiście na pojęciu tu wtrąconem, bez wielkiego związku z treścią, buduje dalsze wnioski w duchu stronniczym?

Na pierwsze pytanie nie umieli dotąd odpowiedzieć wydawcy i badacze dzieł Tomasza Akwińskiego. Najnowsze na tę sprawę rzucone światło przez profesora w Gregorianum M. de Maria[1] ledwo wystarczyło, aby przypuścić, że tylko kilkanaście rozdziałów z pierwszej księgi i z początku wtórej pochodzi od Akwińczyka: dalszy ciąg księgi wtórej, uchodzi w oczach prof. de Maria za wyrób, oparty na zapiskach Tomasza, ale wykonany przez któregoś z jego uczniów; całą księgę trzecią i czwartą wydał de Maria wraz z poprzedniemi, ale już zupełnie jako utwór nie Tomasza, tylko jako wyrób zupełnie nieznanego pisarza.

Tak mniema de Maria, nie pozbawiony w tej mierze powagi poprzednich wydawców, zwłaszcza Echarda i de Rubeis. Ci wszyscy do podobnych wniosków w ostatnich wiekach dochodzili, odkąd spostrzegli na starożytnych rękopisach dopiski włoskie, z boku przy treści rzucane w kilku słowach, zdolnych naprowadzić na różne domysły.

Ale te wnioski nie pozwalają nic odgadnąć, czy ów uczeń Akwińczyka, który po swojemu porządkował jego zapiski, oraz następca, który dalej ciągnął przerwane dzieło, czy obaj tylko obrabiali dalszy ciąg, czy też nie wtrącali swoich poglądów do części, pozostałej po Akwińczyku. Słowem w całem dziełku, co od Akwińczyka pochodzi a co od niewiadomych dopełniaczy, tego dotąd żaden z badaczy i wydawców nie zdoła powiedzieć; tem mniej powiedzieć można, czy który z owych dopełniaczy pochodził czy nie pochodził z tego albo owego narodu. Czytelnik może odpowiedzieć na to pytanie tylko według wewnętrznych wskazó-

[1] Por. nadto Windelband: *Lehrb. der Gesch. d. Phil.* wyd. 1903. str. 266; *St. a. M. L.* 1872, Mayer str. 320: *Kirchen-Lexikon Wetzer-Welte*, pod słowem Tomasz z Awinu, Pecaldus i Pedagogika.

wek, podanych przez treść dziełka: a te przemawiają za teutonizmem któregoś dopełniacza.

Ale owe włoskie dopiski nie zwracały na siebie oczu średniowiecznych wydawców, którzy przez długie wieki szerzyli księgi *De regimine* między dziełami Akwińczyka, więc powagę owego Doktora Kościoła przypisywali wszystkim, w dziełku owem wyrażonym, poglądom na ustrój społeczny i doskonałe wtedy państwo, kiedy wyrośnie w potęgę wojskową.

Czy te poglądy służyły pseudo-Tomaszowi do dalszych wniosków w duchu cezaryzmu Karolów i Ottonów?

Kto uważnie przeszukuje jego wywody, aby wykryć ich myśl ostateczną, ten nie pożałuje pracy i trudu; a cokolwiek wynajdzie zdolnego wynieść w górę cesarstwo rzymskie szczepu teutońskiego, cokolwiek wynajdzie zdolnego szerzyć przesądy o papieskiej wszechwładzy państwowej, to wyczytuje tem przykrzej zdziwiony, iż widzi pod wszystkiem podpis Tomasza z Akwinu.

Dzisiejsza chwila ani w ten podpis nie bardzo wierzy, ani, choćby wierzyła, powadze Tomasza nie przypisze tej ceny, co poglądom Spencera lub Comte'a. Ale ponad blask wszystkich gwiazd dzisiejszych jaśniej świeciło imię Tomasza przez długie wiek ipo jego śmierci.

Dziś, przy mnóstwie plewy filozoficznej, na którą czytelników łapią pisarze dla sławy a księgarze dla zarobku, przy powodzi myśli niemądrych i niegłupich nikną pisma wybitnych myślicieli albo nie wywierają wpływu doraźnie. Przy szczupłych środkach rozwoju oświaty Europa w średnich wiekach mniej widziała pism, więcej ceniła każdą pracę filozoficzną: łatwiej wtedy, niż dziś, mógł Akwińczyk wstrząsnąć płodami swojego umysłu wszystkie uczelnie Zachodu. Zwrócił myśl filozoficzną, aż do jego czasu rozbieżną po różnych drogach, zwrócił i ściągnął ją całą, prócz nieznacznych wyjątków, na tór perypatetyczny, na walkę o prawdę w świetle zasad wówczas najpoważniejszych, bo narzuconych uczelniom przez podziwianych wtedy mędrców arabskich. Nie rówieśników tylko tłumy, ale w następnych jeszcze pokoleniach prawie wszystkie uczelnie wymieniały imię Tomasza jako dowód, zdolny zwykle rozstrzygnąć i przeciąć wszelką rozprawę.

Kto na tej powadze oparł swój pogląd w zakresie prawd kościelnych, kto przynajmniej pod tę powagę zdołał podszyć swój pomysł, mógł przewidzieć, że rzuci w społeczeństwo ziarno myśli, które wyrosną w naukę o powadze niezbitej.

Dlatego to wypada tu śledzić krok za krokiem pochód tych myśli, które pod godłem powagi Akwińczyka wyjść miały z zasady, że społeczeństwo dochodzi do stopnia rozwoju zupełnego, kiedy stanie na stopie wojennej groźne sąsiadom i światu.

Pseudo-Tomasz do wniosków swoich śpieszył raźno: przeskoczył od razu wszelkie odmiany władzy sprawiedliwej, pominął władzę rodzicielską, co rychlej przechodzi na jedynowładztwo króla w społeczeństwie albo przynajmniej wykończonem, czyli w kraju, albo jeszcze doskonalszem, czyli w mocarstwie, zabezpieczonem od wrogów przez własną potęgę wojenną.

Cóż o królewskiem jedynowładztwie pisze?

W dalszych rozdziałach od 2-go do 5-go porównuje samowładztwo króla z samowładzą tyrana i wywodzi, że: »Gdzie jeden sprawuje rządy dla dobra społeczeństwa, tam rząd najlepszy, a najgorszy tam, gdzie jeden sprawuje rządy dla dobra własnego. Jedynowładztwo tedy między ostatecznemi krańcami z jednego wpaść może w drugi, choć niekoniecznie jeszcze schodzi zaraz na drogę skrajnie tyrańską, ledwo zejdzie z królewskiej«.

Czy teraz ta myśl o jedynowładztwie królewskiem nie dąży do cesaryzmu zachodniego? tedy pisarz powinien wskazać, jaką zaporę znajduje cesarz, gdyby chciał zboczyć na drogę tyrańską. Znajdujemy też naciąganą już z daleka myśl o zwierzchnictwie papieża nad cesarzem. Pisarz roztrząsa środki, któremi wypada po pierwsze społeczeństwo zachować przed tyranią, powtóre samego jedynowładcę utrzymać na drodze królewskiej.

Co do pierwszego pisze (w rozdz. 6-ym):

»Pracować nad tem trzeba z pilną uwagą, żeby społeczeństwo zaopatrywało się w króla, a nie popadało pod tyranię. Ale póki król, chociażby tyranizował, jeszcze nie przebiera ostatecznej miary, pożyteczniejszem bywa znieść do czasu tyranię nie nadmierną, niż ściągać niebezpieczeństwo przez zamach stanu. A kiedy tyrania nieznośnie przekroczy miarę, wtedy zgładzić tyrana nie

licuje z nauką apostolską, bo Piotr chrześcijan upomina, żeby ze czcią ulegali panom nie tylko dobrym i skromnym, ale także swawolnym. I raczej zdaje się, że przeciw okrucieństwu tyranów powinni wystąpić nie pojedynczy śmiałkowie, tylko powaga urzędowa. Gdzie do praw społeczeństwa należy zaopatrywać się w króla, nie będzie niesprawiedliwem, że ci tyrana strącą ze stolicy, którzy na nią wynieśli. Tak Rzymianie Tarkwiniusza Pysznego wypędzili, tak Domicyana senat w Rzymie wydał na śmierć. Gdzie do praw władzy zwierzchniczej należy zaopatrywać społeczeństwo w króla, od tej władzy trzeba oczekiwać środków przeciw niegodziwości tyrana«.

Tu mamy już wzmiankę o zwierzchniczej nad królami władzy.

Co do środków przydatnych, aby jedynowładcę utrzymać przy sposobie rządów królewskich: w rozdz. 7—13-m czytamy, że jedynowładcę od upadku w tyranię powstrzymać powinno dobro jego własne, które nie polega na samej sławie u ludzi; Bóg dzierży w ręku swojem to dobro i nagradzać niem umie w tym żywocie, a zwłaszcza i osobliwie w przyszłym; w tym żywocie więcej pożytku, bogactw i szczęścia znajduje król, niż tyran; w przyszłym żywocie czeka nagroda, jeżeli król spełni obowiązek zasadniczy — jeżeli nosi obraz Boży na sobie: i jako jednostka, kiedy żyje cnotliwie, i jako głowa społeczeństwa, kiedy w niem widzi członki własnego ciała; jego potrzebami pobudzony ma przedsiębrać, cokolwiek zaprowadza.

Tu następuje wywód, jaką głównie pochodnią ma jedynowładca oświecać sobie drogę królewską, aby nie zboczyć na bezdroże tyranii. W rozdz. 14-m czytamy: »Kresem, do którego mierzyć ma król, jest szczęście społeczeństwa nie przyrodzone tylko, ale ostatecznie nadprzyrodzone. Tego kresu dopiąć, to już sprawa rządów nie ludzkich a Boskich: należy to do rządów Boga-człowieka, Króla-kapłana. Jego królestwo dostało nie królów ziemskich, jako zawiadowców, tylko kapłanów, aby uwydatnić różnicę między ziemskiemi sprawami a duchownemi; zwłaszcza najwyższemu kapłanowi, Piotrowemu następcy, porucznikowi Chrystusa, biskupowi rzymskiemu, jak samemu Panu Jezusowi Chrystusowi powinni podlegać wszyscy królowie w narodzie chrześcijańskim

i sprawować rządy w zakresie wytkniętym przez jego Rozkaz-Imperyum. W Starym Zakonie czytamy, że kapłani królom podlegali. Ale w Nowym Zakonie kapłaństwo wyższe prowadzi ludzi do dóbr niebieskich: więc w Zakonie Chrystusowym królowie powinni podlegać kapłanom«.

Pisarz dla swojej myśli coraz jaśniejszych wyrazów dobiera, ale jeszcze nie wyświetla jej całkowicie, jeszcze w rozdz. 15-m przygotowuje czytelnika i wywodzi:

»Kto ma pieczę o końcu ostatecznym, ten powinien przewodniczyć wszystkim, którzy zawiadują środkami do końca, i wszystkich ich mieć pod ręką na swój Rozkaz-Imperyum. Również król, jak sam poddany mocarstwu i rządom, poruczonym stanowi kapłańskiemu, tak przewodniczyć powinien wszystkim urzędom ludzkim i mieć je pod ręką na swój Rozkaz-Imperyum«.

Słowem w księdze 1-ej spotykamy do treści zupełnie rzeczowej, dorzucone pojęcie osobiste pisarza, który przejęty duchem raczej teutońskim niż romańskim, stawia zasadę, że wrodzona potrzeba gromadzi ludzi w społeczeństwo, najdoskonalsze tam, gdzie kraje zebrane w mocarstwo wystarczą sobie do zbrojnej samoobrony, pod rządem jedynowładcy, a tego od tyranii powstrzymuje rzymska Stolica przez swój Rozkaz-Imperyum.

Czy jedynowładca ma wydawać rozkazy i pisać ustawy samowolnie, czy też rządzić według ustaw, które uchwaliło społeczeństwo? O tem w tej księdze jeszcze pisarz nie mówi.

W drugiej księdzie pisarz umieścił od rozdz. 1-go do 7-go i od 10-go do końca dość szczegółowy zbiór uwag, wcale pospolitych, o gospodarce wewnątrz mocarstwa, a przerywa tok tych przepisów wtrąconemi dwoma rozdziałami o odmianach jedynowładztwa. Tu uderza wyszukany, ale nieraz dziwnie prostoduszny dobór ścieżek czy manowców, któremi pisarz dąży do obrony, owszem, do pochwały samowolnego jedynowładztwa. Uważać każe w rozdz. 8-m, że Arystoteles, stawia dwojakie zwierzchnictwo: ustaworządne *(politicum)* i samowolne *(despoticum)*: ustaworządne mianowicie, kiedy ziemia, czy to mocarstwo, czy kraj, czy osada, rządzi się podług swoich ustaw pod przewodnictwem czy to, jednowładcy, czy też grona zawiadowców.

»Zwierzchnictwo takie nie może surowo karać obywateli, (jak Samuel przypominał Żydom, kiedy zechcieli przejść z pod władzy ustaworządnej pod samowolę królewską), bo trwa tylko przez czas i potrzebuje zapłaty za urząd, więc narażać przyszłych stosunków i dochodów nie chce. Nadto musi zachować miarę ze względu na nastrój umysłów, które zależnie od klimatu i wpływu gwiazd, wymagają różnorakiego zwierzchnictwa. Dowodzi tego Ptolomeusz. Stąd ziemie Rzymian, jako umieszczone pod Marsem, mniej znoszą jarzma, nie cierpią cudzych wyroków, nienawistnie spoglądają na przełożeństwo. Następnie ta odmiana rządów przedstawia coś trwałego, według przypisu ustawy, która wiąże zawiadowców, a nie przewiduje wszelkich przygód możliwych. Zatem w ustaworządzie władza słabnie, bo tylko według ustaw zawiadowca sądzi naród, a zwierzchnictwo samowolne zaradza na ten brak, bo król usamowolniony a nie krępowany ustawą, sądzi według prawa pisanego w piersiach i przez to naśladuje Boga Opatrznego.

»Tyle o zwierzchnictwie ustaworządnem; teraz o samowolnem.

»(Rozdz. 9-y): Z dwóch przyczyn zwierznictwo ustaworządne przewyższa samowolne. U mędrców i ludzi cnotliwych, jak dawniej Rzymianie, zwierzchnictwo lepiej wypada w ustaworządzie. Ale przy trudnej poprawie przewrotnych i mnóstwie głupców pożyteczniejszem bywa zwierzchnictwo samowolne. Rózga karności, której boi się każdy, i surowy rozkaz są konieczne do rządów nad światem, bo lepiej przez nie wypada rząd nad prostactwem i nieuczonym tłumem. Powtóre samo także miejsce pod gwiazdami rozmaicie nastraja ziemie, jak wyżej: stąd widzimy, że niektórym okolicom niewolnictwo odpowiada, innym swoboda. Tak Rzymianie, tak w tymże klimacie Ateńczycy zmienili rząd z uwagi, że ich ziemia tak nastraja umysły«.

Tu już czytelnik domyślniejszy sam sobie dopowie wniosek: Cóż tedy począć z narodami w krajach, gdzie klimat wymaga niewolnictwa? Niech papież podda te kraje pod moc społeczeństwa najdoskonalszego, zbrojnego od stóp do głów, a rządzonego

berłem samowolnego jedynowładcy, ot naprzykład, niech podda Teutonom i cesarzowi rzymskiemu...

W trzeciej księdze pisarz porusza znowu myśli wspaniałe i odbiega od nich dziwnie: rozwiązuje zagadnienie, czy zasada o początku wszelkiej władzy z Boga nie upada na widok, tyle razy w dziejach spotykanej władzy tyrańskiej?

Odpowiada, że powyższa zasada, właściwie pojęta, nie upada w obec tyranii, ale ją właśnie daje należycie ocenić.

Aby tę zasadę wyłożyć właściwie, pisarz wcale nie twierdzi, jakoby każdy przedstawiciel władzy wszedł na to stanowisko z wyboru Bożego, z Bożego zamiaru, z woli Bożej upodobanej od wieków *(voluntas beneplaciti)*. Prócz tej woli swojej, w której Bóg upodobał Sobie od wieków, Pan Bóg wolą Swoją przystaje na niezliczone mnóstwo wypadków, wynikłych z grzechu ludzkiego; dopuszcza te wypadki i na sam grzech zezwala, na grzech dobrowolnie popełniony przez człowieka, aby wolnego człowieka nie przymuszać do cnoty: *cum magna reverentia disponis nos* (Mądr. XII 18), co możnaby przełożyć: z wielką delikatnością zarządza nami, bo i kocha nas po Bożemu i po Bożemu miłości nie wymuszonej od nas doznać pragnie ten Bóg, nie gwałciciel.

Tę drugą wolę Bożą nazywamy potocznie, dopustem Bożym, aby ją odróżnić od tamtej, którą apostoł nazywa Wolą upodobaną.

I znowu w dziełach upodobanej Woli Bożej odróżnić musimy wypadki, wynikłe ze szczególnego wyboru i zamiaru Bożego, od następstwa ogólnego rządów Jego opatrznych nad każdym tworem. Niewątpliwie troskliwiej chce Pan Bóg, żeby robotnik dostał zapłatę za mozoły, niż żeby wół po robocie dostał trawy. Niewątpliwie dla osób zdolnych przez swój wpływ zwrócić całe pokolenie na inny tor dziejowy, Bóg dobiera drogę żywota ze szczególniejszą troską a poprzestaje na trosce zwykłej o ludzi, wpływowych ledwo w najciaśniejszym zakresie.

Otóż pisarz wywodzi ze zupełnie zwykłego toku rządów Boskich początek wszelkiej władzy, a nie z osobliwej troski o dobór zwierzchnika każdego. Z ogólnej tedy metafizyki autor czerpie trzy dowody o treści następnej:

1) Każde zjawisko, wypadek, stosunek między ludźmi, każda potrzeba ich przyrodzona i każde jej następstwo, aby istnieć, choćby tylby w dziedzinie myślnej i świecie możliwych bytów, musi oprzeć swój nawet myślowy początek o pełnię bytu, którą nazywany Bogiem: więc władza, jako wynik wrodzonej człowiekowi potrzeby społecznego ustroju, musi w samym zawiązku swojego pojęcia, mieć początek swój w Bogu.

2) Każdy ustrój społeczeństwa, utworzonego z ludzi jakichbądź, nim z dziedziny pomysłów możliwych doszedł do rzeczywistego bytu, czasem szkodliwego, czasem pożytecznego, musiał zarówno jak każdy byt ziszczony wydostać swój początek z pełni bytu twórczego, a tę pełnię nazywamy Bogiem: więc władza, doprowadzona do bytu rzeczywistego, ma początek z Boga.

3) Nie bez opatrznej myśli Bóg puszczał świat na tory wypadków; Sam następstwo tych wypadków ułożył wszędzie, gdzie dobrał w ludziach dobrej woli narzędzia przydatne do swoich zamiarów; gdzieindziej przewidział brak woli dobrej w ludziach zepsutych, tam bez szczególnej przyczyny, nie dobierał ludzi innych, tam dopuścił Bóg następstwa złe: dopuścił o tyle, o ile także z nich upatrzył wynik pożyteczny dla ludzi dobrej woli; dla miłośników swoich ostatecznie obraca wszystko na dobre. Tym sposobem Pan czuwa nad biegiem dziejów i Sam dobiera władców sprawiedliwych, a ludziom dopuszcza kłaść na siebie samych i drugich jarzmo władców przewrotnych.

Z tych tedy wywodów metafizycznych i teleologicznych zostaje prawdą zasada, że wszelka władza pochodzi od Boga; a językiem potocznym wyrazimy tę prawdę w słowach że władza sprawiedliwa pochodzi z łaskawej dla ludzi woli Boskiej, a przewrotna władza pochodzi z Bożego dopustu.

Tę zasadę wyjaśnia następnie pisarz w świetle dziejów: przedstawia Rzymian, jako naród, który władzę nad światem od Boga dostał za swoją miłość ojczyzny, wierność prawom, ludzkość dla sprzymierzeńców. Zaszła z drugiej strony przyczyna, dlaczego na narody Pan Bóg dopuścił rzymskie zwierzchnictwo: upadek obyczajów w tych narodach i nierząd. O tem pisarz przytacza ustęp z 19-tej ks. *de civitate* Augustyna i powtarza, że

tyrani, jak czarci, są narzędziem kary z rąk Boskich, a sami dla siebie w tyranii zgubę znajdują.

Słowem, władzę o tyle można nazwać dziełem Woli Boskiej, o ile można ją uważać za stosunek przyrodzony. Zatem pisarz kończy uwagą: »Oczywiście przyrodzonem jest człowiekowi panować nad zwierzętami, ale czy zwierzchnictwo człowieka nad człowiekiem jest stosunkiem przyrodzonym? czy dopuszczonym od Boga, czy przez Niego upatrzonym? Na to odpowiedziano powyżej: co dotyczy zwierzchnictwa w rodzaju poddaństwa niewolniczego, to zostało wprowadzonem przez grzech; ale jeżeli mówimy o zwierzchnictwie, o ile przez nie rozumiemy obowiązek porady i zarządu, w ten sposób możemy nazwać je stosunkiem poniekąd przyrodzonem *(quasi naturale)*«.

Myśli rozwinięte w téj części księgi trzeciej przypominają ścisłą budowę dowodów Tomasza z Akwinu. Ale naprzód nie bardzo licują z poprzedniemi pochwałami powagi jedynowładztwa samowolnego, a potem odbijają od następnych rozdziałów przez jaskrawą zmianę pióra.

Zaraz potem pisarz zapowiada podział dalszej pracy, mianowicie (rozdz. 10) cztery jej części, albowiem »zwierzchnictwo bywa czworakie: kapłańsko-królewskie najprzód, powtóre samo królewskie, które w sobie zawiera także cesarskie i t. p.; po trzecie ustaworządcze *(politicum)*; po czwarte domowe (ojkonomiczne)«.

Podział ten uderza z niejednego względu. Używa św. Tomasz podziałów i poddziałów, ale zapowiada je i przeprowadza dokładnie w każdem dziele od początku do końca. Czytelnik zwykle w każdym nowym rozdziale znajduje wskazówkę, do której części, którego działu i poddziału należy następny ustęp. Nowy poddział zawsze stanowi część poprzedniego działu.

W tym wypadku znajdujemy poddział dalszego ciągu, a nie możemy znaleźć, którą część czego pisarz dzieli na nowo.

Nadto znajdujemy tu znowu wzmiankę o tej władzy rodzinnej, którą pisarz już przypominał w księdze pierwszej i przepuścił, jakoby dotyczyła społeczeństwa nie wykończonego. Teraz ją znowu przypomina i na końcu dziełka znowu ją przepuści, jakoby nie należną do rzeczy, bo właściwszą w osobnej rozprawce.

Spotkało to św. Tomasza, że zapowiedział więcej części dzieła, niż napisał, zaskoczony śmiercią w 50-m roku; ale nie spotykamy w jego dziełach takiego podziału zapowiadanego i odwoływanego... zmiany zamiarów wyrażanej dobitnie, gdzie można było w rękopisie przemazać zapowiedź czwartej części, aby jej potem nie odwoływać w sposób osobliwy.

Nakoniec w poddziałach swoich Tomasz dobiera wyrazów krótkich a jasnych: tu spotykamy w poddziale wyraz *regimen politicum*, który w tem dziele odpowiada kilku pojęciom: ustawodawstwu, ustaworządztwu czyli rządowi ujętemu w karby ustaw, i wielowładztwu czyli rządowi w ręku wielu zawiadowców rzeczy pospolitej.

Wszystko to wygląda jakby wtrącone, aby rozwijać dalej myśl o wszechwładzy cesarsko-papieskiej, bo cóż po tym podziale pisarz dalej wywodzi?

W pierwszym poddziale czytamy, że zwierzchnictwo kapłańsko-królewskie »stoi ponad wszelkiem, a to z wielu powodów, zwłaszcza, iż Bóg-Człowiek je założył, bo wybrał Piotra słowami, w których wyraził, że wybrany Piotr i jego następcy panują nad wszystkimi wiernymi i z powodu tych słów słusznie powiedzieć można, że najwyższy biskup rzymski jest królem-kapłanem. Bo najwyższy kapłan jest głową w ciele duchowem wszystkich wiernych Chrystusowych, a z głowy powstaje wszelki ruch i zmysł w ciele. Dlatego trzeba powiedzieć, że najwyższy kapłan ma pełnię wszystkich łask, bo sam udziela odpustu zupełnego ze wszystkich grzechów.

»Możeby powiedziano, że to dotyczy samej władzy duchowej, ale tak nie może być, bo od duchowego i wiecznego zależy, co cielesne i doczesne. Jak ciało z duszy ma byt, siłę i wpływ, tak i świeckie pełnomocnictwo ma początek z duchowego, danego Piotrowi i następcom. Dowodu na to można zaczerpnąć z dziejów i spraw najwyższych kapłanów i cesarzy: Konstantyn Sylwestrowi ustąpił cesarstwa, Karola wielkiego Adrjan papież cesarzem ustanowił, Ottona Leon, jak dzieje donoszą«.

Donoszą dzieje inaczej. Karola Wielkiego w roku 800-m Leon 3-ci cesarzem koronował, nie Hadryan, który panował do

roku tylko 795-go. Ottona cesarzem w roku 962-im Jan 12-ty koronował, nie Leon 7-y, który panował tylko do 936-go, ani nie Leon 8-y, który panował dopiero od 963-go.

Dalej ciągnie pisarz: »Ale i składała mocarzów powaga apostolska, przez co dość okazuje swoją władzę. Zacharyasz tej władzy użył nad królem frankońskim i zwolnił jego baronów z przysięgi. Innocenty 3-ci Ottonowi 4-mu odebrał cesarstwo, Fryderykowi 2-mu Honory...«

Tu pisarz zdradza, że nie znał wypadków z czasów świętego Tomasza (1225—1274). Fryderykowi 2-mu za zwłokę z wyprawą krzyżową Honory 3-ci (1216—1227) nie wytaczał sprawy, dopiero Grzegorz 9-ty (1227—1240) zadał kościelną karę klątwy, ale nie odebrał cesarstwa: drugi raz zadał tę samą karę za najazd Włoch, ale nie wytaczał sprawy o cesarstwo; nakoniec Innocenty 4-ty (1243—1253) Fryderykowi, wezwanemu pod sąd w r. 1245 a nieposłusznemu, na soborze karę potwierdził, a poddanych od przysięgi uwolnił.

Tomasz z Akwinu, wypadkom tym współczesny, czyż byłby Honoremu za chlubę poczytał czyny Innocentego, późniejsze o lat ośmnaście?

Napisał to ktoś, choć wypadków nie znał dokładnie, ale używał ich śmiało do swoich wywodów. Ciągnie tedy o papieżach, co strącali cesarzy: »Nie wyciągnęli na nich ręki, tylko z przyczyny ich przestępstwa, dla pożytku podwładnych: inaczej kto działa, ten nie prawowity pan, tylko tyran.

»Pasterska piecza przewyższa wszelkie państwo, jak powyżej pokazano i widać z wypadku z Nabuchodonozorem i czterma samowładztwami: asyryjskiem, perskiem, greckiem i rzymskiem, po którem nastąpiło chrześcijańskie z porucznikiem Chrystusa na stolicy rzymskiej. Zatem zastępców Chrystusa pasterzów Kościoła przenosić trzeba nad wszystkich«.

Odtąd następuje poddział (od rozdz. 11-go do końca księgi) o władzy królewskiej i z nią związanej cesarskiej. Tu już co krok, to dowód, że pomysłowy pisarz nie był Tomaszem z Akwinu.

Czytamy, że Chrystus był prawdziwym królem-kapłanem i prawdziwym samowładcą. Owszem przewyższa zakres wszelkiej

władzy. Jego władza czyli państwo wszelką potęgę samowładców i państw przewyższa, unicestwia i kruszy, bo jego władzy podlegają wszelkie królestwa. Jego mocarstwo, poraziwszy wszelkie ruchy ludzkie, zakańcza w sobie wszelkie mocarstwa, jako stan nieruchomy, po za który nie sięga ruch.

»Ale powstaje pytanie, ponieważ Chrystus obrał żywot wzgardzony. Królestwo moje nie jest z tego świata. Wnosić trzeba, że Chrystusowa pokora z ubóstwem odpowiadała rozumowi. Chciał Pan, żeby Jego naśladowcy pokornie żyli na wzór Jego, a jednak prawdziwym był samowładcą. Zatem na pokorze i ubóstwie założył swoje państwo i na przeciwieństwach i mozołach i niedostatku.

»Konstantyn ustąpił państwa następcy Chrystusowemu, błogosławionemu mianowicie Sylwestrowi, który do niego prawo posiadał z powodów powyżej wyznaczonych. Przy tem ustępstwie Chrystusowi do królestwa duchownego przybyło świeckie. I głowa Kościoła, najwyższy kapłan Liberyusz zawahał się co do prawdy we wierze, prześladowany ciężko przez Konstantego, jak dzieje podają«.

Tu już na jakichś dziejach nieznanych pisarz opiera swój pomysł. Znane dzieje od czwartego i piątego stulecia świadczą, że Liberyusz papież przyjął poselstwo od Aryan, którzy mówili, że odstępują już od swojego składu wiary, potępionego w Nicei i na dalszych zjazdach katolickich, i ułożyli nowy, aby wrócić do zgody z Kościołem. Nowy ten skład wiary istotnie zmieniał niejeden wyraz, miarkował zwroty nie prawowierne, opuszczał w końcu wszystko, co musiało razić katolika. Ale mimo to jeszcze zawierał ten skład dwuznaczniki; Liberyusz na widok oczywistych poprawek, zrozumiał także owe dwuznaczniki po katolicku i przystał na cały skład wiary; Aryanie potem wyjaśniali dwuznaczniki po swojemu, jakby z pochwałą Liberyusza. Ale to wcale nie znaczy że Liberyusz wahał się we wierze.

Dalej czytamy:

»Od Juliana aż do Karola Wielkiego cesarze wszyscy jako posłuszni, czcili Kościół rzymski, jako opatrzony zwierzchniczą

władzą, czy to duchowną czy doczesną. Konstantyn ustąpił cesarstwa zastępcy Chrystusa i usunął się ze satrapami i książęty swoimi do Thracyi, gdzie Byzancyę swojem imieniem odznaczył. Tu była stolica cesarstw aż do Karola, w którego osobie Adryan papież, zwoławszy sobór w Rzymie, od Greków przeniósł cesarstwo na Teutonów«.

Tu trzeba przypomnieć, o czem pisarz zapomina, że Adryan nie chciał ustąpić longobardzkiemu królowi, który od niego żądał korony i dzielnicy w państwie swojego zięcia, Karola Wielkiego, dla swoich wnuków za to, że Karol, choć stryj ich, skrzywdził ich na dzielnicy dziedzicznej. Adryan zagrożony utratą Rzymu, jeżeli nie ustąpi, uwiadomił Karola o niebezpieczeństwie, w jakie popadł skutkiem jego zamachu na dzielnicę synowców. Karol, zamiast usunąć powód, dla którego teść jego uciskał papieża, i zamiast wynagrodzić krzywdę, napadł teścia, zwyciężył i kazał postrzydz w klasztorze, a żelazną jego koronę longobardzką ze zwierzchnią władzą nad jego państwem sobie przywłaszczył w r. 764-ym.

Tak żelazna korona przeszła od Longobardów na Karola Wielkiego za Adryana, a cesarska korona rzymska ani za Adryana nie przeszła od Greków na Teutonów, ani nigdy nie przechodziła. Leon 3-ci nie odbierał Carogrodowi jego wschodniego cesarstwa rzymskiego, tylko odnowił rzymskie cesarstwo zachodnie, jako tytuł, którym nie pomnożył władzy i potęgi Karola Wielkiego, dodał jedynie powagi i blasku jego koronie.

Pisarz jednak obstaje przy swojem pojęciu i kilka razy powtarza je na różne sposoby. Niedługo po słowach przytoczonych dodaje: »W Carogrodzie cesarze byli opiekunami i obrońcami Kościoła aż do czasów Karola Wielkiego. Tedy więc cesarstwo carogrodzkie może nie mogło wspomagać Kościoła przeciw Longobardom, a rzymski biskup wezwał króla Franków i zwołał w Rzymie sobór 155-ciu biskupów i opatów, na którym przeniósł z Greków na Teutonów cesarstwo w osobie wspaniałomyślnego władcy Karola. Wypadek ten dość pokazuje, jak władza cesarska od sądu papieskiego zależy. Jak długo bowiem władcy carogrodzcy bronili Kościoła rzymskiego, Kościół rzeczonych władców popierał. Kiedy

ustali, jak za czasów Michała, współczesnego Karolowi, Kościół upatrzył sobie innego władcę na obrońcę« [1].

Dalej pisarz wywodzi:

»Kiedy niegodziwi Rzymianie uciskali Kościół, Leon 7-y, z rodu Allaman, wezwał Ottona 1-go, księcia saskiego na pomoc i ukoronował na cesarza, który też zostawił cesarstwo potomkom aż do trzeciego pokolenia, zwanym jeden po drugim Ottonem«.

Znowu w tych słowach pisarz miesza nazwiska. Leon 7-y panował w latach 931—936, a Ottona 1-go wezwał w roku 960-m na pomoc przeciw Berengaryuszowi i ukoronował w r. 962-ym Jan 12-y (955—963). Ustępy te podobno dowodzą dość jasno, że nie wyszły z pod pióra Tomasza z Akwinu.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] Tu także można wytknąć pisarzowi, że Michała wymienia, kiedy właśnie za czasów koronacyi Karola panowała Irena. Nadto cesarska korona nie dotyczyła szczepu teutońskiego bardziej niż romańskiego. Rzym ustanowił cesarskie dostojeństwo na Zachodzie, aby niem zaszczycać mocarza, którego godnym uzna, a bynajmniej ani nie wybrał na to władców teutońskich, ani jeszcze nie mógł wybrać za Karola, bo teutoński szczep wtedy ani nie stanowił państwa samodzielnego i w mocarstwie frankońskiem stanowił część jego nie główną ani nie naczelną, tylko podbitą w zwycięskich wojnach bądź dopiero za Karola, bądź za jego poprzedników. Kraju, podbojem świeżo przyłączonego do królestwa, np. Transvaalu do Anglii, nikt nagle cesarską koroną nie zaszczyca. Nakoniec Adryan wezwał Karola, nie Irenę z Carogrodu, bo z winy Karola samego wpadł w niebezpieczeństwo ze strony Longobardów. Pseudo-Tomasz z chlubą dla Karola przedstawia wypadek, w którym Karol występuje w świetle ujemnem.

JEZUICI W KAMIEŃCU PODOLSKIM[1].

I.

Dom misyjny, rezydencya i szkoły w Kamieńcu Podolskim 1608—1614.

Wesołe i zajmujące są początki kolegium kamienieckiego. U starych Daków Petridawa, u Rusinów i Polaków Kamieniec nad Smotryczem na stromej wysokiej skale położony, naturą samą tak obronny, że »djabeł by go chyba zdobywał«, stolicą był Podola, jedynym stałym, bezpiecznym punktem na tem »polu przepiórczem« pogranicza podolskiego, po którem uganiały naprzemian tatarskie, kozackie i opryszków bandy: i ostatnią placówką cywilizacyi zachodniej na południowo-wschodnich kresach rzlptj. Zmieniali się panowie jego, raz ruscy, raz litewscy książęta, to znów Spytkowie z Melsztyna, Buczaccy aż 1430 r. po śmierci księcia Swidrygiełły, szlachta podolska zajęła go fortelem na rzecz polskiego króla i odtąd był on »basztą, ręką Boga zbudowaną, przedmurzem chrześcijaństwa, bramą i kluczem Polski«.

Oddawna zaludniała go mięszanina narodów jak to na pograniczach bywa. Więc obok Rusinów i wygnanych prześladowaniem tureckiem z swych krain w XIII i XIV wieku, Ormian, którzy tu mieli osobną jurysdykcyę, obok licznych, a od roku coraz liczniejszych Polaków ton nadających tamtym i rządzących miastem, napotkałeś tu Wołochów, Węgrów, Cyganów i Żydów, chociaż tym ostatnim prawo nie pozwalało mieszkać, jak trzy

[1] Ustęp z t. IV dzieła »Jezuici w Polsce«, który jest pod prasą.

mile od miasta. Wśród ustawicznych inkursyj tatarskich i łupiestw opryszków, wśród częstej obawy oblężenia od Turków, o normalnym rozwoju przemysłu i kultury miasta, pomimo przywilejów i nadań Jagiełły i trzech Zygmuntów, próżno mówić. Handel i bogactwo spoczywało głównie w ręku Ormian.

Królom i sejmom zależało głównie na tem, aby Kamieniec nieprzyjacielowi »wstręt czynił«, opatrzony był w ludzi, żywność, prochy, strzelbę i działa. Król Zygmunt III wysłał sam nadwornego inżyniera Wilhelma Lavasseur, aby pilnował naprawy murów, baszt i trzech bram »nakształt zamczyska« wietrznej, polskiej i ruskiej. Władysław IV obowiązał się w paktach »municyę zaczętą przez ojca około zamku kamienieckiego kontynuować«. Uchwały sejmowe jak n. p. 1620 nakazywały »ludziom szlacheckiego narodu, którzyby do miasta z żonami, dziećmi dla obrony uchodzić chcieli, aby żywnością na pół roku, także strzelbą i prochem, kulami opatrzeni byli, a ktoby tego wszystkiego ze sobą nie przywiózł, nie ma być puszczony« [1].

Nie żałowali nakładów za życia, zapisów przy śmierci, biskupi kamienieccy, jak: Buczacki; zamożniejsi kupcy Ormianie, jak: Zacharyasz Krzysztofowicz na naprawę baszt, murów i wałów, i na opatrzenie ich obrony [2]. Obóz to warowny, wiecznie w pogotowiu, aby wytrzymać i odeprzeć atak wroga. Chorągiew konnicy, kilkuset zaciężnych Niemców pod czujnym, a świadomym służby wałowej majorem artyleryi, stanowiło jego załogę; w potrzebie szły im w pomoc cechy i pospólstwo, bo każdy dorosły był tu żołnierzem.

Takim był Kamieniec do 1635 roku. Spokojne, »sielankowe« czasy Władysława IV puściły w zaniedbanie wszystko, co do obrony i straży należało. Podczas inkursyi kozackiej 1648 r. nie było ani ludzi, ani żywności, ani nawet kagańców i beczek smolnych do nocnego szturmu; »puszkarzy brak, a mury się rozsypują, ledwie jako tako załatane na prędce«, donosi komendant Miaskowski [3]. To samo zaniedbanie stało się powodem opanowania Ka-

[1] *Vol. legum* III, 181.

[2] Rolle: »Zameczki podolskie. II Kamieniec nad Smotryczem«.

[3] »Ojczyste wspominki« II. 109.

mieńca przez Turków 1672, którzy tu odrazu załogę 12.000 wojska wprowadzili i w kilku miesiącach ufortyfikowali Kamieniec, iż się stał niezdobyty. Co do religii, dwie tu panowały wiary; katolicy mieli od r. 1375 katedrę biskupią, przedtem bowiem należeli do lubuskiego biskupstwa, dwa klasztory OO. Franciszkanów i OO. Dominikanów, misyonarzy tych krain w XIII i XIV wieku [1]. Ruś starej greckiej wiary, miała tu farną cerkiew św. Trójcy z protojerejem do 1672 r., 11 cerkiewek i starodawny monaster czerńców i należała do eparchii lwowskiej. Nacya ormiańska (do r. 1666) schizmatycka, zrazu w wiejskiej osadzie, Ormiany zwanej, potem w Kamieńcu zamieszkała, modliła się w starym (od 1398) drewnianym kościółku św. Mikołaja i w kościele Zwiastowania N. M. P., w którym spoczywają zwłoki eczmiadzińskiego patryarchy Melchizedecha unity, zmarłego 1628 r. Różnowierców nie znalazłeś, chyba między szlachtą, czasowo tu zamieszkałą, lub zaciężnym żołnierzem. Rdzenna ludność podolska, przetrzebiona napadami Tatarów, kozackiemi bunty, rozbojami wszelkiego hultajstwa, wyznawała grecką wiarę; dwory i »zameczki», bo tak nazywano każdy dworek obronny ostrokołem i wałem, przyznawały się do wiar różnych. Sporo szlachty podolskiej hołdowało nowinkom; aryanie gospodarowali w Chmielniku, kalwini w Paniowcach Jana Potockiego, sporo także szlachty trwało w greckiej schizmie, acz powoli jedni i drudzy wracali do katolickiej wiary.

O szkołach przed przybyciem Jezuitów, głucho w Kamieńcu, głucho na Podolu. Czy ich nie było wcale? Musiała być przecie choćby szkółka czytania i rachunków przy głównej cerkwi św. Trójcy i przy ormiańskiej farze. Nieszczęściem dla dyecezyi kamienieckiej, obejmującej Podole całe, sięgającej misyami do Wołoszy, Multan i Krymu, a narażonej na częste napady Turków i Tatarów, było to, że jej biskupi, aż do Zygmunta III czasów, rzadko kiedy rezydowali w Kamieńcu, zajęci dworską usługą lub poselstwy przy królu; inni na tej stolicy ledwo rok, dwa przesiedziawszy, postępowali na łepiej uposażone, wyższe biskupstwa;

[1] Później powstały klasztory: PP. Dominikanek 1631, Karmelitów Bosych koło 1630, Trynitarzy 1688 i Bazylianów.

nie brakło też i na biskupach-fautorach herezyi i luźności obyczajów, jak Gamrat, Zebrzydowski, Drohojewski. Rządzili więc dyecezyą oficyałowie, nie mający ani tej swobody, ani powagi, ani tych zasobów, co biskup.

Rozrost herezyi zwłaszcza aryanizmu, pod koniec XVI wieku, przeraził biskupa Stanisława Gomolińskiego, którego dla wielkiej nauki, cnoty i żarliwości poleca Zygmunt III Syxtusowi V listem z 5 marca 1588[1]. Znał on Jezuitów z Krakowa, gdzie był kanonikiem lat wiele, i pragnął im oddać w zarząd parafię kamieniecką, a założyć dom misyjny głównie dla Mołdawii. Znaleźli się i fundatorowie, dwaj bracia Jazłowieccy, Mikołaj starosta czerwonogrodzki, komendant Kamieńca i Hieronim, od 1603 r. wojewoda podolski, ożeniony z Eleonorą księżniczką Ostrogską, córką Janusza kaszt. krak., która jako pani wielce pobożna, prawdopodobnie inicyatywę w tej sprawie dała. Obydwaj 1590 przeznaczyli na dom jezuicki w Kamieńcu 60.000 złp. hipotekowanych na miasteczku Kossów, na dobrach Rożnów i na żupach solnych różnowskich. Roczny procent od tej sumy miał być wypłacony w dzień św. Mikołaja 6 grudnia. Jenerał Akwawiwa przyjął tę fundacyę i pozwolił na misyą Mołdawską, pod warunkiem, że nuncyusz się zgodzi[2].

Tym razem jednak fundacya nie doszła do skutku. Wprawdzie Mikołaj Jazłowiecki udziału swego nie cofnął, owszem zapisem oblatowanym w grodzie kamienieckim zapewnił Jezuitom w Kamieńcu roczną pensyę 600 złp. na dobrach Kossowie i Rożnowie, a potem *in lecto aegritudinis*, umierając 1595 przeznaczył »drugą pensyą roczną po 1000 złp.«, coby odpowiadało, licząc po 5%, kapitałowi 32.000 złp., czyli połowie całej fundacyjnej sumy. Jednak z postąpieniem bisk. Gomolińskiego na biskupstwo chełmskie 1591, projekt sprowadzenia Jezuitów do Kamieńca rozbił się, dlatego też i Hieronim Jazłowiecki swoją połowę fundacyi cofnął, a nawet objąwszy po śmierci brata Jazłowiec, »nie chciał wiedzieć o zapisach przez niego uczynionych«[3].

[1] Theiner: *Monumenta R. P.* III, 27.

[2] *Archiv. Prov. Pol. Fundationes* t. I, manuskr. Bibl. ces. wiedeńskiej l. 12.006.

[3] Barącz: »Pamiątki Jazłowieckie«. str. 58, nota 85.

Dopiero gdy Jan Jędrzej Próchnicki, proboszcz krak. przez lat 8, poseł królewski do Filipa III hiszp. w sprawie sum neapolitańskich i innych sprawach ważnych, w nagrodę dobrze odprawionego poselstwa, biskupem kamienieckim został mianowany i w Neapolu wyświęcony 1607, dojrzał projekt. Biskup ten bowiem, wybierając się do Kamieńca na objęcie rządów dyecezyi 1608, przywiódł z sobą OO. Stan. Radzimskiego i Stan. Machociusza, dał im mieszkanie w swym pałacu, potem w domu opróżnionym śmiercią ks. penitencyarza, wreszcie postarał się o jakieś *hipocaustum*, izbę czy własny dom misyjny. Chciał mieć z nich edukatorów młodzieży, dusz-pasterzy w mieście, misyonarzy na całą dyecezyą.

Oni rozpoczęli od miasta, miewali na przemian kazania w katedrze, dwa razy tygodniowo wykładali pismo św. *(lectio sacra)* katechizowali i słuchali spowiedzi w jednej z 5-ciu kaplic katedralnych, którą im biskup przeznaczył. W zimie przybyli dwaj bracia zakonni i już z początkiem 1609 r. dom misyjny stanął gotowy. »Jeżeli która kraina potrzebuje pracy naszej, dodaje kronikarz, to ta, dla niesłychanej swywoli szlachty i żołnierza i dla przewrotnego życia mieszkańców Rusinów i Ormian, a chociaż są bardzo zepsuci, dadzą jednak coś z sobą zrobić i poprawić ich można poświęceniem i pracą. Drugie to Indye« [1]. I nie mylił się. Przyjęcie znaleźli najlepsze u mieszczan, a szlachta, ucieszona zapowiedzią blizkiego otwarcia szkół, na sejmikach 1609 i 1611 nałożyła podatek na siebie i posłom swym zatwierdzenie onegoż na sejmie wyjednać poleciła. Jakoż czytam w *Volumina legum* uchwałę sejmu 1611 tej treści: »Daninę OO. Jezuitom w Kamieńcu przez Wielebnego w Chrystusie Ojca X. Jana Próchnickiego bisk. kamienieckiego fundowanym, dla lepszej prowizyi i fundacyi onym na przeszłym sejmiku powiatowym kamienieckim pozwolono: to jest na pół poboru zupełnego z pługów i tym co do tego należy, tak, z miast, miasteczek, jako i wsi wszystkich, nic nie wyjmując, aprobujemy i pod warunek poboru głównego tak o czas do oddania, jako i dochodzenia onego pokładamy. Co urząd grodzki

[1] *Archiv. Prov. Pol. — Hist. Col. Camenecensis.*

kamieniecki i latyczewski odbierać i zupełnie onym oddać także i exekwować, jeżeliby kto na czas nie oddał, ma« [1]. Żadne może kolegium nie doznało takiej życzliwości i hojności od braci szlachty, jak kamienieckie, zrozumiano snać jego religijno-cywilizacyjną doniosłość.

Korzystając z życzliwości miasta, uprosili sobie Jezuici szczególniejszego rodzaju przywilej. Oto do Kamieńca, jako koronnej fortecy, zwożono zewsząd pochwycone hultajstwo i opryszków, Węgrów, Tatarów, Wołochów, Rusinów, dla śledztwa i kary. Tracono ich też rok rocznie po kilkunastu i więcej. Ojcowie tedy wyjednali sobie u magistratu raz na zawsze wstęp wolny do więzienia, oraz zapewnienie, że żaden zbrodzień nie zostanie stracony, bez poprzedniego zawezwania ich duchownej pomocy; powtóre, że nigdy dysunickiego popa do tej posługi nie dopuszczą. Magistrat i obydwie ławy sędziów, polska i rusko-ormiańska zgodzili się na to, i już 1610 r. wyprowadzili Jezuici 30 skazańców na rusztowanie, a wszyscy w pokucie, pojednani z Bogiem, dali swe głowy pod miecz katowski. Przyjęli też na siebie posługę w szpitalach i obowiązki kapelanów obozowych dla załogi.

Z końcem 1609 przybyli znów OO. Jan Turowski, Baltazar Bieniaszewicz, Jan Secemski prefekt szkół i profesor kazuistyki, i 3 magistrowie, i 1610 otwarli klasy gramatykalne. OO. Turowski i Bieniaszewicz ruszyli na misye. Jeden w święto Bożego Narodzenia 1610 przez ośm dni apostołował w Jassach, stolicy Mołdawii, przyjęty uprzejmie przez hospodara z ramienia Polski, Mohyłę, który na swym dworze i w wojsku miał kilka tysięcy Polaków. Drugi puścił się na Ukrainę, »między Dniestrem a Dnieprem 80 mil długą, 40 mil szeroką«, głównie dla niesienia pomocy duchownej stannicom wojska kwarcianego i dworom szlacheckim, bo bez pozyskania tych ostatnich Bogu i Kościołowi praca nad ludem nie była możebną. W 1612 było już w Kamieńcu kolegium, a w nim 9 księży Jezuitów, O. Fran. Zgoda wysłany na misyę mołdawską, O. Turowski na misyach w kraju [2].

W kilkumiesięcznej pielgrzymce misyjnej dotarł on do Win-

[1] *Vol. leg.* III. 16.

[2] *Catalogi breves.*

nicy, gdzie szlachta podczas »okazywania rycerstwa«, doroczny popis zbrojny pogotowia wojennego, miewała swe obozy, stała też tu załogą chorągiew wojska kwarcianego. Wojakom onym przypadł do gustu misyonarz, »nie puścimy cię od nas« wołali, szlachta wtórowała, więc Walenty Aleksander Kalinowski, świeżo na sejmie 1609 r. za znaczne i krwawe posługi.... pustynią pewną Umań (Humań) nazwaną »prawem dziedzictwa« przez króla udarowany [1], starosta bracławski i winnicki i jenerał ziem podolskich, rycerz męstwa nieustraszonego, które przypłacił śmiercią pod Cecorą, ofiarował odrazu 1613 jurydykę swoją *(praediolum cum quadam aula)* w Winnicy, na dom misyjny Jezuitom, wnet potem na dźwignięcie kolegium i szkół zapisał 30.000 na wsiach Kajdaczycha i Kazanicha pod Winnicą, Bandurówka i Piasoczyn w powiecie bracławskim. Dla bezpieczeństwa misyonarzy OO. Turowskiego i Wojciecha Libanowicza rezydencyę ich obwarował nakształt zameczku ostrokołem i wałem, i dwie zatoczył armatki.

Z Winnicy więc i Kamieńca szli rok rocznie misyonarze w stepy i słobody Ukrainy; Kamieniec wyprawiał corocznie, od 1611, na święta Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy i zesłania Ducha św., po trzech lub czterech księży na misye w głąb Ukrainy. Od 1615—1619 spotykam ruchomą *missio ukrainensis,* na której pracują misyonarze: Turowski, Zgoda, Sebastyan Kozdrovius, Marcin Zakrzewski.

»Nic tam nie ma chrześcijańskiego oprócz nazwy: rozwody, zamiana żon, nieznajomość rzeczy boskich przerażająca; żydzi demoralizują strasznie. Więc misyonarze nalegają na szlachtę, aby naprędce ośm drewnianych kaplic postawiła, bo nie ma tam kościołów, a cerkwie są dysunickie, nie ma i księży« [2].

Któryś z królików ukrainnych, prawdopodobnie wspomniany wyżej Aleksander Kalinowski, erygował na przedstawienia i prośby misyonarzy, 5 parafij i opatrzył je w księży [3]. Nie zaniedbywano i Podola. »Nietylko Kamieniec, ale całe Podole korzysta

[1] *Volum. leg.* 11, 466.
[2] *Archiv. Prov. Pol. Hist. Colleg. Camenec.*
[3] Cordara.

wielce z pracy Ojców«, to publiczne świadectwo dał im biskup Próchnicki, w obec licznej szlachty, która na pierwsze 40-o-godzinne nabożeństwo w zapusty 1612 r. do Kamieńca zjechała [1].

Nawrócenia w mieście działy się częste, po kilka corocznie z herezyi, po 20—30 z schizmy.

Otwarcie szkół gramatykalnych przez vice-rektora Radzimskiego we wrześniu 1610 odbyło się z wielką wystawnością; szlachta bowiem, która na one szkoły podatek na siebie nałożyła, cieszyła się niemi, jako własnem dziełem, przysyłała chętnie swe syny. Już w r. 1611 liczyły one 180 uczniów; przybyły im 1614 humaniora; 1621 retoryka; dla kleru zaś dyecezyalnego trwały kursa kazuistyki czyli teologii moralnej od 1610—72, potem od 1709—1726, w którym zaprowadzono kurs filozofii, znów 1738 otwarto kurs kazuistyki obok kursu filozofii, i dlatego kolegium kamienieckie nazywano czasem »diecezalnem«. W r. 1762 przeniesiono obydwa kursy do rezydencyi w Włodzimierzu, ale znów 1771 otwarto w Kamieńcu dwuletni kurs teologii moralnej [2].

Zwyczajne przy zakończeniu lub otwarciu roku szkolnego dyalogi i sceniczne przedstawienia, ściągały licznie podolską szlachtę, dla której teatrem był chyba »taniec tatarski«. Także ingresy biskupów: Macieja Łubieńskiego 1621, Adama Nowodworskiego, może nawet nieprzyjaznego Jezuitom, Pawła Piaseckiego 1640, Jędrzeja Leszczyńskiego; ingresy kasztelanów kamienieckich: Jakóba Potockiego 1611, Wojciecha Humieckiego 1613, Jędrzeja Górskiego 1620, Mik. Zebrzydowskiego i Jana Herburta, zwłaszcza zaś Stanisława Rewery Potockiego, zakonu protektora i dobrodzieja 1631 i t. d., dawały szkołom sposobność do popisów wierszem i prozą, dyalogów i scenicznych przedstawień. W uroczystość Bożego Ciała, dawała młodzież, »sodalisi Maryi«, na rynku żywe obrazy, symbolizujące Najśw. Sakrament, objaśnione odpowiednim śpiewem. Muzyka bursistów ożywiała miasto, grała na nabożeństwach w kościele, na festynach w szkole, na uroczystościach familijnych, a nawet publicznych.

---

[1] Tamże pod r. 1612. Zwaliły się tłumy na to nabożeństwo z miasta, Ormianie nawet i Ruś, i co tylko było łacinników ze wsi okolicznych.

[2] *Catalogi breves.*

Zaraz w początkach, Jezuici kamienieccy mieli pociechę nie małą. Umarł z ran i trudów obozowych pod Smoleńskiem 1611 r. wojewoda bracławski, Jan Potocki, »daleki od wiary naszej, a patron protestantów« [1]. Ten w swych Paniowcach, mila od Kamieńca, w których 1590 okazały a mocny zamek postawił, założył kalwińską gminę, wystawił zbór, szkołę klasyczną i »akademię» z filozofią i teologią, otworzył 1600 r. drukarnię, a utrzymując wszystko swym kosztem, wydawał corocznie po 4000 złp. Brat jego Jakób i bratanek Stanisław Rewera Potoccy, donosząc o śmierci Jana pozostałej wdowie Elżbiecie Kamienieckiej, fundatorce Dominikanów w Kamieńcu i Latyczowie, obligowali ją, aby coprędzej oną gminę kalwińską rozegnała, a zbór, szkołę i drukarnię katolikom przekazała. Zgodziła się na to pobożna pani, wydała banicyjny dekret na paniowieckich kalwinów, a wykonanie onego poleciła Jezuitom.

Nam się to wydaje dziwnem, nie tolerantnem, w owe czasy było to całkiem legalne, konstytucya bowiem warszawska 1573 upoważniała do tego dziedziców. Wszak przed jakie 30 laty uczynił to samo katolikom Jan Potocki, wprowadzając kalwinów. Oni przeczuwając co się święci, nie czekali banicyi, ale sami powynosili się cichaczem, szukając gdzieindziej łaskawszych bogów. Więc gmach szkolny i akademię zamieniono na stajnie, dzwonek oddano Jezuitom, zapieczętowano drukarnię, księgi zaś heretyckie i wszelkie druki spalili studenci na dziedzińcu kolegium, i dlatego druki paniowieckie są wielką rzadkością, zbór zamieniono na kościół, a wyrzuciwszy z grobowca trumny i kości nieboszczyków, zakopano w polu. Czynili to samo powielokroć różnowiercy w zabranych katolikom kościołach, jak im Skarga wyrzucał, a nawet kościom i nagrobkom fundatorów nie przebaczali; tą razą jednak podnieśli krzyk oburzenia i skargi na Jezuitów na sejmiku podolskim w Kamieńcu. Ujął się za nimi bratanek Jana, Stanisław na Podhajcach Rewera Potocki, późniejszy w-da krakowski i hetman w. k., sam także z błędów kalwińskich niedawno nawrócony katolik, a niebawem dziedzic Paniowiec, i uniewinniając Ojców,

[1] Niesiecki v. II, 435.

całe *odium* oczyszczenia Paniowiec z kalwinów i wyrzucenia kości z grobowca zborowego, przyjął na siebie i rodzinę Potockich [1].

Kilka jeszcze charakterystycznych wypadków zaznacza rocznikarz. W 1611 r. umarł młody magister szkół, kleryk Paweł Foltin, całe miasto, nie wyjmując schizmatyków, wyruszyło na ten pierwszy pogrzeb Jezuity, z ciekawości może, ale też i przez życzliwość dla nowej szkoły i jej mistrzów. Dwaj inni magistrowie, nie znając snać miejscowych stosunków, wyszedłszy na przechadzkę, zapuścili się w głąb lasu, zmylili drogę. Znaleźli się przewodnicy. Kto? Opryszkowie «leweusami« w dokumentach XVII wieku zwani. Odarli ich wprawdzie do koszuli, straszyli śmiercią, domagając się okupu, ale pod wieczór nakarmili chlebem, serem i odprowadzili pod Kamieniec.

Na Boże Narodzenie 1611 r. misyonarz z braciszkiem, w drodze do Chocima dla posługi duchownej tamecznej załodze, zanocowali w mieścinie Braha nad Dniestrem, aż tu Wołochy hospodara Stefana opadają, rabują, palą miasteczko. Braciszka pochwycili, obdarli z bielizny, ledwo żyw rąk ich uszedł; wśród trzaskających mrozów zakopał się w śniegu, nakrył słomą i nad ranem dowlókł się do Chocima bocznemi drożynami.

Srogi był dla Kamieńca i Podola rok 1612. Hospodar mołdawski, Konstanty Mohyła, ufny w protektorat Polski, odmówił Porcie podwyższenia haraczu. Intrygował przeciw niemu u Porty od dawna Tomsza, ofiarował żądany haracz, wszedł z tureckiem wojskiem i swymi partyzantami do Mołdawii, i wygnał Mohyłę, iż ledwie z życiem ujść zdołał do Chocima. Postanowił go przywrócić na tron Stefan Potocki, pisarz polny koronny, ożeniony z siostrą hospodara Maryą Mohylanką, i na własną rękę podjął przeciw Tomszy wyprawę. W Chocimie zbierała się mołdawska i polska starszyzna wojskowa i kłóciła zawzięcie o komendę i plan wojny. Mohyła przyzwał z Kamieńca doświadczonego misyonarza obozowego, O. Franciszka Zgodę, on też między rotmistrzami zgodę przywrócił.

---

[1] *Lit. annuae Colleg. Camenec.* 1611. — Niesiecki VII, 436. — Rolle: »Zameczki podolskie« III, 51—65.

Ruszyły wojska do boju w pierwszych dniach sierpnia 1612, zbyt pewne zwycięstwa, więc nieostrożne i bezładne w pochodzie przeszły Prut, rozłożyły się wygodnie pod Sasowym Rogiem. Tu ich opadło 30.000 Tatarów i prawie bez walki zabrało w niewolę.

Konstanty Mohyła ukrywając się między pospolitymi jeńcami, z nędzy wnet życia dokonał; brat jego Aleksander, cudnej urody młodzieniec, oddany na pokoje sułtana, tam się zbisurmanił. Stefan Potocki, osadzony w więzieniu w Jedykale, salwował się ucieczką; O. Zgoda z bratem zakonnym Jędrzejem z Brzezunia (Brzezunensis) dostali się w niewolę tatarską na Krym. Już przed kilku laty dopraszał się on u prowincyała Fabrycego o misyę krymską, aby nieść pomoc tysiącom niewolników chrześcijańskich. Tatarzy jednak nie pozwalali pobytu innym misyonarzom, jak tym, którzy albo z Konstantynopola przybywali, albo wzięci do niewoli, z niej się wykupili. Wydarzyło się szczęśliwie, że 1612 r. poseł tatarski do króla J. M., Genueńczyk, katolik z Kaffy [1], wracając z Warszawy, cztery miesiące zatrzymał się w Kamieńcu, bywał częstym gościem w kolegium i budował wszystkich swą pobożnością. Przez niego prosił O. Zgoda francuskich Jezuitów, misyonarzy w Konstantynopolu, aby mu ofiarowali krótką gościnność, gdyż chodzi tylko o to, aby z ich rezydencyi a nie z Kamieńca przybył do Krymu. Zanim odpowiedź nadeszła, on dostał się jako jeniec wojenny do Krymu. Dziewięć już dni siedział w niewoli u jakiegoś Tatara, gdy ów poseł hański Genueńczyk, dowiedziawszy się o jego doli, pośpieszył z okupem; za 19 złotych węgierskich przywrócił mu wolność, przybrał po kapłańsku, zawiózł z sobą do Kaffy, a stamtąd wyprawił do miasteczka Karacha, zamieszkałego przez osadę katolicką. Tu rozpoczął O. Zgoda misyonarską pracę, wyszukując w bliższej i dalszej

[1] Kaffa nad morzem Czarnem, rezydencya baszy tureckiego, była na początku XVII wieku zamieszkałą przeważnie przez chrześcijan, wyzwolonych jeńców tatarskich, a także przez kupców włoskich i Ormian. Katolicy mieli tu kościółek św. Piotra, schizmatycy 12 cerkwi, Ormianie aż 32 kościołów. Kaffa prowadziła handel z Carogrodem, Trebizondą, Synopą i innemi miastami Czarnego morza, Archipelagu i Lewantu. Liczono w niej 6.000 dymów, 30.000 niewolników i jakie 10.000 ludzi wolnych i kupców. Tatarów garstka. Inne osady w Krymie mniej lub więcej przez chrześcijan zaludnione.

okolicy katolickich jeńców. Przeniósł się potem do osady Jakolid, 30 mil od Kaffy, i tak co kilka tygodni nową obierał sobie placówkę misyjną, krzepiąc na duszy i ciele nieszczęśliwych więźniów[1]; trwała ta misya krymska do 1619 r.

W podobny sposób urządzili się dwaj misyonarze z Kamieńca, którzy do Wywiki (Vivica), na pograniczu Moskwy i Krymu «wezwani tam przez pewnego dynastę żarliwego o chwałę Bożą», przybyli i stamtąd 9 osad katolickich, pozbawionych księży i kościołów, obsługiwali. O ile ów «dynasta» prace ich popierał, kaplice stawiał, potrzeby ich zaspokajał, o tyle żydzi i schizmatycy przeszkadzali; wytrwałością jednak pokonali trudności.

Cóż się stało z towarzyszem zakonnym O. Zgody? Ranny pod Sasowym Rogiem, wzięty i on w niewolę, byłby z ran umarł, gdyby nie ów eks-poseł Genueńczyk. Tatar, właściciel jego miał od lat czterech syna w niewoli u któregoś z panów podolskich. «Syna ci wybawię, rzecze Genueńczyk, tylko mi tego jeńca pielęgnuj, a gdy wróci do zdrowia, puść wolno». Uczynił to rad Tatar, ale on pan podolski swego Tatarzyna puścić wolno nie chciał, puścił dopiero na prośby hetmana Koniecpolskiego i jego żony z domu Żółkiewskiej.

II.

Fundacya kolegium w Kamieńcu zapewniona. — Prace misyjne 1614—1648. — Misya w Barze 1616. — Misya w Szarogrodzie 1638.

Różnobarwne więc a pełne przygód i pracowite wiedli życie kamienieccy Jezuici. Powoli uzupełniała się fundacya ich kolegium, które, przytykając ścianą do pałacu biskupiego i kamienic kapitulnych, tworzyło wraz ze szkołą i kościołem drugą linię kąta, obejmującego w swych ramionach katedrę.

Pierwszy pośpieszył z donacyą na konwikt dla ubogiej młodzieży szlacheckiej pan starosta kamieniecki, Wacław Aleksander Kalinowski, jenerał ziem podolskich, zapisując 1614 r. «dobra swoje dziedziczne, t. j. wszystkie i całe swe części na wsi Su-

[1] Patrz tom III, 892 i nast.

pruńkowcach w województwie podolskiem, z prawem pana i właściciela i z tytułem dziedzictwa«.

W 6 lat potem, 1620 r. pani Agnieszka z Krężelowickich Stanisławska nadaje dla kolegium dobra: Nieżborek (Niżborg), Kapuścinów i Mieszkowce (Myszkowce), którą to donacyą roboruje znacznie później bo 1641 w aktach grodu trębowelskiego [1].

Koło tego czasu pan Radecki sędzia ziemski kamieniecki, »aż do zgrzybiałego wieku żołnierz«, syn Jana, pamiętnego wojownika przeciw Tatarom, będąc bezdzietnym, dobra swoje darował kolegium kamienieckiemu. Były to wsie Ormiany i Ormianki, po obojej stronie Smotrycza, blizko Kamieńca położone, pierwsza w XIII wieku osada Ormian [2]. Tym sposobem zabezpieczony został byt Jezuitów w Kamieńcu; rezydencya ich otrzymała od jen. Akwawiwy tytuł i charakter kolegium 1614 r.

Ten pomyślny rozwój kolegium przerwały klęski publiczne, napad Tatarów 1612 r., rabunki kozackie, te pustoszyły majątek ziemski; pożar zaś miasta 15 maja 1616, w samo południe nie wiadomo skąd wzniecony, obrócił w perzynę setki drewnianych domów, dachy kościołów, nie oszczędzając kościoła i kolegium Jezuitów. Ledwo zdołano wynieść najświętszy Sakrament, uratować skarbiec kościelny, bibliotekę podarowaną przez biskupa Próchnickiego. Stał wtenczas obozem niedaleko Kamieńca hetman Żółkiewski, strzegąc Podola przed nowym napadem Tatarów, ulitował się on nad spalonem miastem, rektora kolegium Radzimskiego zawezwał do obozu dla narady, jak przyjść w pomoc nie tylko dotkniętym klęską pożaru, ale duchownym potrzebom Podola. Dla Jezuitów okazał się szczególnie łaskawym, dla ich szkół i misyj.

---

[1] *Archiv. Prov. Pol. Fundationes* t. 1. — Po kasacie, Supruńkowce nadała komisya eduk. Szymonowi Kazim. Szydłowskiemu, kasztelanowi żarnowskiemu z czynszem rocznym 4.518 złp. 21½ gr. Ten założył tu 1777 swoją rezydencyę, rozszerzywszy dwór pojezuicki począł budować kościół, dokończony po jego śmierci 1799 r. przez synów jego: Józefa, komandora maltańskiego i Ksawerego, starostę bolesławskiego 1809 r., pod wezwaniem Najsłod. Serca Jez. Spadkobiercy Szydłowskich sprzedali Supruńkowce Moskalowi, kościół bez funduszu i bez księdza rozsypał się w gruzy.

[2] Rok 1781. Ormiany otrzymał od komisyi eduk. Józef Mierzejewski, strażnik p. k. płacąc rocznie 6.483 złp. (Tabela dóbr przeszło-jez. 26).

Więc największą wyznaczył im zapomogę pieniężną, opatrzył kolegium w stały dochód na utrzymanie dwóch misyonarzy i obmyślił założenie nowego domu misyjnego w Barze, do czego mu hojność króla miała dopomódz[1]. Pod takim opiekunem prędko się odbudowały szkoły i kolegium, powolniej nieco kościół.

Aliści nowy napad Tatarów 1617 r., jeden z najsroższych, pomimo świeżego traktatu nad Buszą, i nowe obawy wojny tureckiej, które niestety usprawiedliwiła aż nadto klęska cecorska. Oprócz 2 wziętych tam do niewoli i w niej zmarłych Jezuitów, zamordowali Tatarzy 2 Braci ekonomów folwarcznych, i zabrali w niewolę znakomitych misyonarzy Podola i Ukrainy, pod murami prawie Kamieńca: OO. Jana Turowskiego i Bartłomieja Wolthera. Obydwaj sterani pracą, wytrzymać nie mogli srogości tatarskiej niewoli i w niej po czterech miesiącach pomarli[2].

Po klęsce cecorskiej wiktorya chocimska. Sposobiono się do niej w Polsce całej, a przedewszystkiem na kresach, »u bramy Polski«, w Kamieńcu, najprzód w kościołach, bo zrozumiano, że w tej wojnie rozgrywać się mają losy chrześcijaństwa całego, a krew hetmana Żółkiewskiego i tylu walecznych rycerzy wołała o pomstę do nieba.

Po pożarze 1616 r., miasto nie było jeszcze całkiem odbudowane. W przededniu i podczas wojny chocimskiej, która tylko 6 tygodni trwała, wzmocniono jego mury, opatrzono w ludzi, prochy i kule, — dział było podostatkiem, — jego baszty i zamek. Trzy tylko mile od Chocima oddalony Kamieniec, zostawał w łączności z polskim taborem, był jakoby drugim obozem. Zrozumiał to Osman i postanowił szturmem wziąść twierdzę i już ją wojskiem opasał, wrzucił kilkadziesiąt bomb do niej, wnet jednak przerażony warowniami, które natura i ręka ludzka pobudowała, zaniechał dobywania. Nie mamy zapisków, tem mniej dokładnych relacyj, którzy to Jezuici kamienieccy, gdzie i w jaki sposób udział brali i w tych przygotowaniach do śmiertelnych zapasów

---

[1] Cordara I, 31 powiada, że hetman dla misyonarzy *perpetuum censum coëmit,* »zakupił stały dochód«, t. j. dobra.

[2] Cordara 241.

i w wojnie samej, bo też nie była to pora do spisywania roczników czy pamiętników. Rycerstwo idąc w bój, gotowało się nań, jak na śmierć, Sakramentami św., modlitwą, publicznemi nabożeństwami, czerpało otuchę, siłę, hart i moc z słuchania słowa Bożego. Więc im tych religijnych pociech i posiłków nie skąpili Jezuici: Jan z Wiśni, Adryan Adamczewski, Jerzy Trąbczyński, Jerzy Terek, Jerzy Bielski, Jakób Gromcius, Wojciech Pranus [1]. Dosiadywali w konfesyonałach, odprawiali suplikacye, nawoływali do pokuty; inni tymczasem objeżdżali stannice i obozy, w których, obok namiotu wodza, stał okazały namiot, kaplica polowa, nigdy nie pusta, w nocy przepełniona. Inni znów zajęli się załogą Kamieńca, która, zdwojona i potrojona teraz, ducha karności a męstwa potrzebowała. Inni jeszcze poświęcili się duchownej pieczy ciurów obozowych, których wielką liczbę przewyższała większa niesforność, jedna z przyczyn cecorskiego pogromu. Pomagali im w pracy Jezuici ze Lwowa, Winnicy i Baru, pomagali obozowi kapelani innych zakonów; każda chorągiew, każdy regiment zaciężnych miał ich po dwóch przynajmniej. Potrzeba było olbrzymiego zasobu nie tylko męstwa, ale i ducha pobożności, ażeby, walcząc dobrą walką o Chrystusa, ojczyznę, chrześcijaństwo całe, zwyciężyć. Pod Chocimem, w przededniu każdej wycieczki z taboru, czy bitwy, wyznaczone do niej przez hetmana rycerstwo przez noc całą spowiadało się, modliło, bo chcąc zwyciężyć, gotowe być musiało umierać.

Za to po zwycięstwie i zawarciu pokoju z Turkami, radość wielka. Z pod Chocima, na Żwaniec, wieczorem 14 października, królewicz Władysław, nominalny wódz wyprawy, wjechał z orszakiem rycerstwa do Kamieńca. Nazajutrz dziękował Panu Zastępów w katedrze za tryumf oręża polskiego, ale i chrześcijaństwa, solennem nabożeństwem. Witał królewicza w kolegium jezuickiem rektor Jan Visnensis wspaniałą oracyą łacińską. W następnych dniach odbywały się pogrzeby znamienitych rycerzy, poległych w boju. Więc najprzód hetmana w. k. I. K. Chodkiewicza, który z trudów obozowych umarł w Chocimie 24 września,

[1] Ci mieszkali 1621 w kol. kamienieckiem *(Catal. breves)*.

tymczasowo w grobach katedry złożony, zanim go pozostała młoda wdowa w Ostrogu uroczyście nie pogrzebała. Potem rotmistrza husarskiej chorągwi Jana Lipskiego, którego czterech synów jego, rycerzy jak on, niosło do grobu. Potem jeszcze wielu, wielu innych.

W ślad za wojną zaraza. Przeszła ona, istny anioł śmierci, całą Polskę. W Kamieńcu, dokąd zwożono ciężko rannych i cisnęły się niezdolne do pochodu, wycieńczone trudami tłumy maroderów, srożyła się zawzięciej. Siedmiuset żołnierzy *lue castrensi infectos*, chorych na dysenteryę, żywili Jezuici przez 11 tygodni i opatrywali ich duchowe potrzeby, a z niewoli tatarskiej wykupili 6 jeńców[1]. Umierali ludzie gęsto i po wsiach. Więc o ile sił i tchu w płucach starczyło, dniem i nocą nieśli pomoc duchowną kapłani, pomoc i posługę lekarską bracia zakonni.

I w następnych latach nie uspokoiło się na kresach. Misyonarze ukrainni co chwila opadnięci być mogli, to przez buntujące się 1623 r. kozactwo, to przez czambuły tatarskie 1626—1628, to przez bandy zbójeckie; przezornej odwagi potrzeba było mieć wiele, śmierć nosiło się w zanadrzu.

W latach 1633 i 1634 sposobiono się znów na wojnę turecką. O Kamieniec oparł się groźny napad Tatarów w lecie 1633; obciążonych łupem dognał hetman Koniecpolski i pobił na głowę pod Sasowym Rogiem. W jesieni tegoż roku pod Paniowcami, a więc prawie pod murami Kamieńca, rozłożył się szeroko obozem Abaza basza, w 75.000 wojska. Wzgórza, okalające Kamieniec, zajęło rycerstwo polskie, ledwo 10.600 zbrojnych pod rotmistrzami Januszem Wiśniowieckim, Mikołajem Potockim i hetmanem Koniecpolskim; dnia 22 rozgrywała się na całej linii walna bitwa, zakończona znów wiktoryą naszych.

Nie przeszkodziła ona Amuratowi ruszyć z wiosną 1634 z ogromną armią na Polskę. Stał na jej straży nad Dniestrem hetman Koniecpolski z kwartą; ku niemu ściągały się zaciężne wojska od Lwowa, które wyprawiał sam król Władysław IV, i spieszyły też chorągwie nadworne ruskich i podolskich panów i królików ukrain-

[1] *Hist. Col. Cam.* 1621.

nych. W Kamieńcu ruch wielki, na wozach, rydwanach wali się okoliczna szlachta z żonami, dziećmi i mieniem, szukając schronienia; inni tymczasem sypią wały, naprawiają mury i baszty, zwożą amunicyę i żywność, roi się od wszelakiego żołnierza, który i twierdzy bronić i w krytycznej chwili na odsiecz swoim pójść musi. Wojna, wojna, na ustach wszystkich, ale że to wojna święta, bo z »sprośnym pohańcem« więc się po Bożemu na nią gotować sakramentami św., publicznemi nabożeństwy. Co za szerokie pole dla pracy i gorliwości obozowych misyonarzy, i tych kilku, co pozostali w twierdzy, jak OO. Adam Pobiedziński, Szymon Borek, Jerzy Trąbczyński, Marcin Brelius, Adryan Helbus, Maciej Olędzki, Jan Wojsławski [1]. Do wojny z pohańcami tą razą nie przyszło, pokój, w obozie polskim nad Dniestrem w paźdz. 1634 r. z Portą zawarty, dał Podolu i Rusi lat kilkanaście wytchnienia i względnego bezpieczeństwa, bo naruszanego prawie rok rocznie przez czambuły tatarskie [2]. Zanosiło się znowu 1646 i 1647 na wojnę tatarsko-turecką, zbrojono i prowiantowano Kamieniec, ale sejm 1647 położył koniec planom wojennym króla Władysława; aż do fatalnego roku 1672 od strony tureckiej Polska była spokojną [3].

Uciszyło się też po krwawem »zagnaniu chłopstwa do jam« przez rycerstwo polskie 1638 na Ukrainie. »Króliki ukrainne« Wiśniowieccy, Koniecpolscy, Kalinowscy, Potoccy, powiększywszy, już i tak ogromne swe, latifundia zaborem słobód i ziem wolnej kozaczyzny, kolonizowali je naprowadzeniem osadników z Mazowsza i Małopolski. Sam tylko hetman Koniecpolski założył koło 1640 roku 100 wsi nowych, według planu królewskiego inżyniera Beauplan [4], zakładali też inni tyle, jeżeli nie więcej

---

[1] *Cat. breves.*

[2] Czambuł od tatarskiego *czapuł*, gwałtowny, krótki napad, »wpaść, zabrać i uciec«. Zazwyczaj takie czambuły urządzali Tatarzy małymi oddziałami od 500—2000 koni, które łączyły się razem przed pościgiem.

[3] Rolle: »Zameczki podolskie«: Kamieniec podolski I, 83—86.

[4] Wilhelm Levasseur Beauplan, Normandczyk, znakomity inżynier i geograf Zygmunta III i Władysława IV, służył przez lat 17 w wojsku hetmana Koniecpolskiego, jako kapitan starszy (major) artyleryi. Po śmierci hetmana 1646 r., a wnet potem króla Władysława IV, nie widząc się dosyć

włości. Tym nowym osadom brakło kościołów nie dostawało kapłanów. Zostawić je bez nich nie pozwalało »królikom« sumienie katolickie, nie pozwalał wreszcie dobrze zrozumiany interes własny, tem bardziej dobro rzptlj. Kościoły, choćby kaplice drewniane można było na prędce postawić, ale skąd wziąć kapłanów? Kler świecki nie liczny, nie nadawał się zresztą do duszpasterstwa, na stopę misyonarską; więc chyba kler zakonny. I tem się tłumaczy taka mnogość fundacyj klasztorów na Wołyniu i Ukrainie w tej właśnie dobie. Ale i one na komendę nie staną gotowe, potrzebują czasu i nakładu wiele, a tu potrzeba kapłanów nagląca. Oto są, czekają wezwania misyonarze Jezuici z Kamieńca, Winnicy, Baru i Szarogrodu, dokąd ich umierający 1638 kanclerz w. k. Tomasz Zamojski z małżonką Katarzyną Ostrogską sprowadził. Dla nich dziesięciolecie »chłopiena Kozaczyzny«, a kolonizacyi Ukrainy, to krótka, ale złota doba, iście apostolskiej żarliwości. Nie o fortuny pańskie im chodzi, nawet nie o polonizacyę kresowych prowincyi, jeno o dusze tych ludzi, wyrwanych z swej ojcowizny, obcych tu, a opuszczonych religijnie, dziczejących więc i idących na wieczną zgubę. Cieszy ich »zagnanie chłopstwa do jam« nie dlatego, że odebrano Kozakom swobodę, ale że odjęto im możność nękania unii i ułatwiono pracę nad nawróceniem Rusi do jedności wiary, do której wzywali ich metropolici kijowscy Rafał Korsak i Atanazy Sielawa. Tak należy rozumieć i ocenić pochód Jezuitów i ich działalność na kresach rzpltj., tak ją też rozumieli fundatorowie ich kolegiów w Winnicy, Barze, Perejasławiu, Kijowie; wszystko ludzie wielcy, którzy krwią swoją, ranami i śmiercią w bojach służyli rzpltj.

W Kamieńcu samym rektor Tomasz Jańczyński rozpoczął 1642 brać fundamenta pod nowy kościół, *ex-voto* za zwycięstwo chocimskie; ale kto to votum zrobił, (podobno królewicz Władysław) dlaczego tak późno spełniać je poczęto, z jakich funduszów

uznanym przez Jana Kazimierza i hetmana w. k. Mik. Potockiego opuścił 1649 r. Polskę, wrócił do Francyi i tam wydał swój cenny »Opis Ukrainy«, tłumaczony na angielski i łaciński język, po polsku zaś wydany w skróceniu w »Pamiętnikach hist.« Niemcewicza t. III, 241—291. Służył królom i rzpltej poczciwie i dlatego bez nagrody.

rektor prowadził budowę, nie wspominają kroniki. Budowa postępowała wolno, podczas wojen kozackich stanęła, podjął ją na nowo rektor Jakób Zaremba koło r. 1665; nie była jeszcze ukończoną, 1672, gdy Turcy zajęli Kamieniec. Więc ją komendant twierdzy Halit basza rozebrać kazał, a ciosy użyć do budowy mostu, dziś jeszcze stojącego, który połączył fortecę z zamkiem górnym. Nie prędko doczekali się kamienieccy Jezuici własnego kościoła.

(Dok. n.).

Ks. St. Załęski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Polska literatura agrarna w XX wieku.

Wśród prac poświęconych parcelacyi pierwsze miejsce należy się dziełu dr. Jana Rozwadowskiego[1] ze względu na bogactwo treści i umiejętny sposób opracowania materyału. O parcelacyi pisano u nas wiele, zwłaszcza o Poznańskiem, o »Banku ziemskim« i komisyi kolonizacyjnej, były to rozprawy czasami niepospolite, ale dorywcze, miały raczej charakter luźnych uwag, jak systematycznych prac naukowych, tworzących pewną całość, przedstawiających rzecz wyczerpująco w granicach zakreślonych wyborem i ujęciem tematu. Dotąd nie posiadamy opracowania parcelacyi, któreby uwzględniało stosunki we wszystkich trzech zaborach, a książka p. R. nie zmieniła tego stanu rzeczy, albowiem autor zajmuje się w części opisowej wyłącznie dzielnicą pruską.

Zobrazowanie całego ruchu parcelacyjnego natrafia na poważne przeszkody z powodu braku dostatecznego materyału statystycznego, to też p. R. ograniczył się do badania procesu parcelacyjnego, o ile przejawia się w działalności instytucyj umyślnie w tym celu powoła-

[1] »Parcelacya wielkiej własności w świetle postępowania pruskich instytucyi pośredniczących« Lwów 1903, str. XV i 372. Prócz tej książki ogłosił jeszcze p. R. dwie broszury: »Parcelacya większej własności w Prusiech« Lwów 1901, str. 30, i »Znaczenie parcelacyi większej własności w Galicyi« Lwów 1901, str. 21, zbliżone treścią i zapatrywaniami do dzieła poprzednio wymienionego.

nych do życia w Prusiech, ponieważ w ich sprawozdaniach znalazł potrzebne cyfry i wiadomości, tylko niektóre banki drobniejsze odmówiły wyjaśnień. Całość nie wiele na tem ucierpiała, ponieważ instytucye te nie prowadziły rozległych interesów parcelacyjnych. To samo można mniej więcej powiedzieć o parcelacyi bezpośredniej, dokonywanej wprost przez strony interesowane lub za pośrednictwem osób prywatnych, wypadki tego rodzaju są w Prusiech prawdopodobnie stosunkowo rzadkie, to też aczkolwiek autor ich nie uwzględnił, nie popełni wielkiego błędu ten, kto będzie sądził o ruchu parcelacyjnym w Prusiech na podstawie faktów zawartych w książce p. R.

W każdym razie zaznaczyć trzeba, że jeszcze mniej wiemy o innych dzielnicach, ponieważ w Austryi i Rosyi pośrednictwem parcelacyjnem trudni się szereg jednostek prywatnych, a o rozmiarach ich działalności niepodobna niczego pewnego się dowiedzieć z powodu braku statystyki. Był to jeden z głównych powodów, dla którego autor obrał dzielnicę pruską za przedmiot studyów. Obok tego wpłynęły na wybór p. R. wielkie rozmiary i różnorodność ruchu parcelacyjnego w Prusiech, w dwóch innych dzielnicach spekulacyjna chęć zysku występuje jako niemal wyłączny powód parcelacyi, natomiast w Prusiech mamy także do czynienia z parcelacyą polityczno-narodową i ściśle społeczną, wykluczającą lub ograniczającą *ad minimum* czysty zysk celem przysporzenia korzyści ogólno-społecznych. Te trzy typy parcelacyi przedstawia nam p. R. w swej książce, przyczem posługuje się nietylko drukowanemi sprawozdaniami, ale korzysta także z cennych wiadomości zebranych w drodze autopsyi przez pobyt na miejscu i korespondencye z kierownikami instytucyj pośredniczących w ruchu parcelacyjnym.

Wyczerpującej i dokładnie opracowanej części opisowej przypisuje autor tylko drugorzędne znaczenie, przedmowa kładzie nacisk na wnioski ogólne, oparte na opracowaniu materyału faktycznego, autorowi chodzi o to, »ażeby na tych przykładach wyświetlić wedle możności istotę, charakter i znaczenie parcelacyi wogóle« (str. XV), a mianowicie rozchodzi się o gospodarczą i społeczną ocenę parcelacyi, przedstawiony czytelnikowi »bilans narodowy czynności pruskich instytucyi pośredniczących« jest tylko dopełnieniem całości, wyświetlenie tej strony problemu nie jest właściwym celem książki, natomiast jest nim udowodnienie tezy o wyższości wielkiej własności nad małą; p. Rozwadowskiemu nie wystarcza stwierdzenie i określenie przyczyn faktu, że wielka własność wypiera małą w sposób bardzo

oczywisty, zależy mu nadto na wykazaniu dodatnich skutków parcelacyi wielkiej własności.

Sposób dowodzenia autora i jego wnioski nasuwają szereg wątpliwości. Przedewszystkiem trudno sobie dokładnie zdać sprawę z rozciągłości naczelnej tezy p. R., który widocznie uległ w tym punkcie działaniu dwóch sprzecznych prądów metodologicznych. Jako zwolennik szkoły indukcyjnej liczył się z potrzebą ograniczenia miejscowego i czasowego swych wniosków do terenu badań przez siebie opracowanego, a zatem w tym wypadku do Prus w dobie współczesnej, gdy jednak istotą i ostatecznym celem pracy naukowej jest wyszukiwanie ogólnych prawideł, przeto autor ulegając dążności do uogólniania, głęboko wrodzonej człowiekowi, dał do zrozumienia w kilku ustępach swej książki, że przypisuje tezie o wyższości wielkiej własności nad małą znaczenie i zastosowanie daleko powszechniejsze.

Pogląd ten ostatecznie zwyciężył w umyśle autora. Koniec ustępu o bilansie narodowym brzmi: »Do społecznej strony parcelacyi w danem miejscu i czasie, a więc w Prusiech i z końcem XIX-go stulecia zwrócić się nam obecnie wypada.« (Str. 317.) Wywody o bilansie społecznym rozpoczynają się monograficznem ujęciem kwestyi, ale kończą się zasadniczą tezą: »Fakt społecznej wyższości gospodarstw rolnych nad większemi, do której w Prusiech, jak widzieliśmy, przyłącza się także wyższość techniczna i ekonomiczna, nie wywołał dotychczas w żadnem z państw europejskich systematycznej polityki dążącej do powiększenia obszaru tych ostatnich kosztem pierwszych.« (Str. 354.)

Ale i na tem nie koniec uogólnień, wyższości technicznej i ekonomicznej nie ogranicza autor do Prus, na str. 347 czytamy: »Wysnuwając ostateczny wniosek z długich naszych wywodów nie zawahamy się powiedzieć, że wśród obecnie panujących w Niemczech stosunków małe gospodarstwo osiąga przeważnie wyższe dochody *brutto* i *netto*, a także i wyższą rentę gruntową.«

Społeczna wyższość małych gospodarstw polega na zastosowaniu w wyższym stopniu pracy »samoistnej i wolnej«, podczas gdy wielki właściciel musi posługiwać się »najemną i zależną« pracą robotników. Parcelacya zwiększa wynagrodzenie pracy, ponieważ odejmuje produkcyi charakter kapitalistyczny, zyski przedsiębiorstw rolniczych przypadają w udziale liczniejszej grupie ludzi, która pracuje na wła-

snym kawałku ziemi, a ta zmiana stosunków społecznych »usuwa lub łagodzi antagonizmy klasowe«.

Przedstawione przez autora dowody wyższości technicznej i ekonomicznej małych gospodarstw wydają mi się niezupełnie przekonywujące. Pan R. powołuje się głównie na porównawcze obliczenia rentowności w kilku gospodarstwach dokonane ostatniemi laty. Ten sposób dowodzenia wymaga pewnych zastrzeżeń.

Przeciwko niemu przemawia przedewszystkiem argument, dotyczący wszystkich obliczeń tego rodzaju, a oparty na niskim stanie rachunkowości rolniczej, która jeszcze często zamiast operować pozytywnemi cyframi, musi posługiwać się niepewnemi szacowaniami. Łatwo twierdzenie to poprzeć przytoczeniem przykładowem ważniejszych trudności, napotykanych przy obliczaniu rentowności przedsiębiorstw rolniczych. Oznaczenia ceny gruntu można dokonać sposobami bardzo różnymi, które wszystkie mają to wspólnego, że są nader dowolne. Trafne ocenienie pracy kierownika stanowi trudność niemal nieprzezwyciężoną w małych gospodarstwach. Jeźli chodzi o większy majątek można mniejwięcej obrachować wynagrodzenie dyrektora, któregoby trzeba zaangażować w razie nieprowadzenia gospodarstwa przez właściciela, ale jak ocenić wartość pracy kierownika w gospodarstwie włościańskiem? Obliczenie rentowności w gospodarstwach mniejszych jest znacznie trudniejszem, jak w większych, między innemi także i z powodu braku należycie prowadzonych książek rachunkowych, o które znacznie łatwiej w gospodarstwach większych, rozporządzających środkami potrzebnymi do prowadzenia uregulowanej buchhalteryi. Zamknięcie rachunków gospodarstw mniejszych zawiera więcej pozycyj fikcyjnych, opartych na szacowaniu z powodu wielkiego znaczenia, którą ma w tym wypadku praca gospodarza i jego rodziny jako sił roboczych i ich konsumcya płodów własnej produkcyi.

Dalsze trudności tkwią w problemie uwzględnienia mało uchwytnych różnic w jakości gleby, klimatu, ilości opadów atmosferycznych, położenia targowego (bliskość kolei, dróg), które bynajmniej nie znajdują swego pełnego wyrazu w cenie ziemi. Do pewnego stopnia możnaby zneutralizować te liczne źródła omyłek przez zastosowanie ściśle tej samej metody rachunkowej w gospodarstwach, których rentowność ma stanowić przedmiot porównania. Szwajcarski »sekretaryat chłopski« przeprowadził w roku 1901/1902 badania tego rodzaju w 110 gospodarstwach, najpierw zorganizowano odpowiednie kursa

przygotowawcze z zakresu buchhalteryi rolniczej celem pouczenia kierowników tych gospodarstw o celu i sposobie przeprowadzenia ankiety, poczem kazano im prowadzić rachunkowość ściśle wedle tych samych zasad. Nawiasem mówiąc, wynik tej ankiety, pod względem metodologicznym stojącej wyżej od wielu innych, okazał się niekorzystnym dla rentowności małych gospodarstw.

Autorowie, których przytacza p. R., poszli innemi drogami, prace ich są przeważnie bardzo słabe pod względem metodologicznym, z wyjątkiem Huschke'go nie troszczyli się dostatecznie o otrzymanie rachunków jednolicie opracowanych, a ten różnorodny materyał każdy z nich opracował wedle innych zasad, a więc mamy do czynienia z podwójnem źródłem błędów, jeźli, jak to p. R. uczynił, chcemy porównywać rezultaty tych prac.

Słusznie przyznaje p. R. »metodzie Huschke'go bezwarunkowe pierwszeństwo« (str. 329), tylko dziwi mnie, że na tej samej stronie, nazywa badania Stumpfego, Anhagen'a, Klawkiego i Huschke'go »bardzo sumiennemi«. Jeżeli przez to p. R. chciał pochwalić dobre chęci czterech autorów, na których się powołuje, to ich zrównanie byłoby obojętnem, ale z tekstu całego wynika, że chodziło o wzbudzenie w czytelniku zaufania do naukowej wartości tych prac, metodologicznie bardzo nierównych, jak sam p. R. przyznaje. Huschke pomieścił w swej książce ostrą, a przeważnie trafną krytykę metody zastosowanej przez St., Kl. i An., to też tem trudniej zrozumieć, jakim sposobem nazwał p. R. wszystkie cztery prace bardzo sumiennemi i jakim sposobem korzystał z nich wszystkich zupełnie na równi.

Rozprawy, nawiasem mówiąc, przeważnie seminaryjne, przytaczane przez pana Rozwadowskiego zawierają opracowanie nader niewielkiej ilości gospodarstw, a z wyjątkiem Huschke'go zużytkowywują wyniki tylko jednorocznego peryodu, co utrudnia ich uogólnianie.

Nie odmawiając bynajmniej uprawnienia obliczeniom tego rodzaju, musimy jednak materyał, którym rozporządzał p. R., uznać za niedostateczny.

Rozprawy Klawkiego i Huschkego posłużyły w pierwszym rzędzie naszemu autorowi za podstawę jego wywodów, Klawki oświadcza się za wyższością średnich gospodarstw, Huschke przemawia za wielkiemi, pan Rozwadowski, grupując cyfry przez nich przytoczone w odmienny sposób, dochodzi do wniosków wprost przeciwnych. Ta łatwość wyciągania różnych wniosków z tych samych cyfr nie dodaje im siły dowodowej. Kl. opracował dwanaście posia-

dłości w Prusiech Wschodnich, a mianowicie po cztery z grupy wielkich, średnich i małych. »W wielkich majątkach znaleźliśmy rachunkowość dosyć dobrą (*eine ziemlich brauchbare Buchführung*), prowadzono książkę kasową, dziennik robocizny i rejestr dla płodów surowych (*Naturalienbuch*).« (Str. 374.) A zatem nawet wielkie posiadłości nie prowadziły księgi głównej i inwentury; uważały porządne zamknięcie rachunków za zbędne. W gospodarstwach średnich i małych Kl. nie znalazł nawet tych najkonieczniejszych ksiąg rachunkowych, trudno zatem polegać na jego cyfrach, natomiast H., jak już nadmieniłem, operuje kilkurocznemi cyframi, opartemi na dokładnej rachunkowości, jego zdaniem jednoroczne rachunki, nie zaczerpnięte z dobrze prowadzonych książek, nie uwzględniające inwentury, mają wartość nader wątpliwą [1].

Zdaniem p. Rozwadowskiego wszystkie źródła przez niego przytoczone stwierdziły, »że małe gospodarstwa dawały wszędzie z hektara powierzchni dochód największy, i to zarówno *brutto*, jak *netto*«. Do tego wniosku doszedł autor konstruując inne pojęcie dochodu *brutto* i *netto*, jak to, którem posługiwali się autorowie przez niego przytaczani. W dotychczasowych pracach naukowych, gdy mowa była o tem, że dany typ gospodarstw przewyższa inne dochodem *brutto*, zazwyczaj miano na myśli większą ilość wytworów, wyprodukowanych na jednostce przestrzeni. To pojęcie biorąc za podstawę Anhagen stwierdza, że w okolicach, gdzie rolnictwo osiągnęło mniejszy stopień rozwoju, w okolicach mniej intenzywnie zagospodarowanych wielkie gospodarstwo osiąga często wyższe dochody *brutto* z hektara, to znaczy produkuje więcej z jednostki przestrzeni. (Str. 46.) Do podobnych wniosków dochodzi Stumpfe, który wyjaśnia, dlaczego gospodarstwa małe przez niego badane dają większy dochód *netto* »mimo częściowo niższych przychodów surowych (*Roherträge*)« (str. 78); Klawki stwierdza wyższe zbiory zboża z hektara w wielkich gospodarstwach. W ogóle z wywodów tych trzech autorów wynika niewątpliwie, że ich zdaniem w okolicach niższej kultury rolniczej, ku Wschodowi tam, gdzie najsilniej szerzy się parcelacya, dochody *brutto* z uprawy roślin są często wyższe w wielkich gospodarstwach, czego nie można powiedzieć o dochodzie *brutto* produkcyi zwierzęcej.

Ten ważny fakt dla oceny stosunku wielkich do małych gospo-

[1] Także Stumpfe, Anhagen przytaczają zestawienia cyfrowe z szeregu gospodarstw zupełnie nie prowadzących rachunkowości.

darstw znika niemal zupełnie w opracowaniu p. Rozwadowskiego, ponieważ oblicza bezpodstawnie dochody *brutto* w pieniądzach, opierając się na mylnych zestawieniach Klawki'ego.

Pan R. argumentuje tym wyższym pieniężnym dochodem w stosunku do przestrzeni, który jednak niczego nie dowodzi na korzyść małych gospodarstw, ponieważ wielkie znaczną część zboża przez siebie zebranego zużywają jako paszę dla bydła, pozycya ta figuruje u Kl. zupełnie błędnie — prawdopodobnie, ponieważ czerpie ze źle prowadzonych książek tylko w rozchodach, ale znika w dochodach. Oczywiście chcąc mieć rzeczywisty obraz dochodów *brutto* z uprawy roślin nie można opuszczać ilości zużytych na paszę we własnem gospodarstwie dlatego, że ich dziennik kasowy nie wykazuje. Okoliczności tej autor nie podnosi, dopiero przez zbadanie źródła wyjaśnia się pozorna sprzeczność między wyższymi zbiorami a niższymi dochodami pieniężnymi, tem dziwniejsza, że, jak powszechnie wiadomo, wielkie gospodarstwo mające na sprzedaż znaczniejsze partye tego samego towaru, może je lepiej spieniężać. Skutkiem tego staje się niezgodną z rzeczywistością nietylko cyfra dochodu *brutto*, podana w dziele pana Rozwadowskiego dla majątków opracowywanych przez Klawki'ego, ale i cyfra dochodów *netto* majątków większych jest błędną zarówno u jednego, jak i u drugiego autora, a mianowicie jest za niską. Właściciele nie wydali tych pieniędzy, które, jako równowartość własnego zboża, zużytego na paszę, figurują w rozchodach. Są to rozchody fikcyjne, uzasadnione w rachunkach, jeżeli chodzi o obliczenie osobno rentowności uprawy zbóż, a hodowli inwentarza. Ale w takim razie pozycya ta powinna figurować także i w dochodzie. Można ją umieścić albo po obu stronach, albo jej nie umieszczać, jeżeli chodzi tylko o zbadanie rentowności gospodarstwa jako całości, w każdym razie wliczenie jej wyłącznie w rozchód jest błędem Kl., obalającym mozolne wywody p. R.

Autor nazywa dochodem *netto* wynik z rachunku, w którym pomija wartość pracy właściciela, nic więc dziwnego, że małe posiadłości wykazują niezwykle wielkie dochody *netto*. Przez potrącenie wartości pracy właściciela uzyskuje p. R. »rentę gruntową«. Zmiana powszechnie przyjętej nomenklatury, niczem nie uzasadniona, zaciemnia w wysokim stopniu właściwe znaczenie wywodów, zawartych w książce.

Wobec trudności przezemnie przedstawionych powinniśmy się na razie — mojem zdaniem — zadowolnić dotychczasowym więcej ogól-

nikowym rozbiorem zalet wielkich i małych przedsiębiorstw rolnych, opartym na ocenie znamion im właściwych; p. R. kładzie główny nacisk na obliczenia rentowności, to też załatwia się trochę pobieżnie z rozbiorem innych argumentów; gdy mowa o wyższości wielkich gospodarstw, polegającej na możności stosowania maszyn rolniczych, łatwiejszego przeprowadzania melioracyi, korzystniejszego zakupna tego, czego dla gospodarstwa potrzeba, sprzedaży wytworów po wyższych cenach, p. Rozwadowski odwołuje się poprostu do kooperacyi małych gospodarstw.

Argument ten bardzo rozpowszechniony ma jednak dwie słabe strony: po pierwsze jest niezupełnie trafny, ponieważ, pomijając już okoliczność, że wielka ilość rolników stoi poza ruchem kooperacyjnym, stowarzyszenie z natury rzeczy działa bardziej ociężale i mniej sprężyście, jak wielki przedsiębiorca, któremu *caeteris paribus* łatwiej kierować się zasadami ekonomicznej racyonalności, jak wielogłowemu stowarzyszeniu — może to kiedyś się zmieni, z czasem udoskonali się praca kooperacyjna, — na razie jednak musimy się liczyć z taką, jaka jest. Po drugie, argument p. R. zawiera pewnego rodzaju *petitio principii*. Małe przedsiębiorstwa rolne przecie dlatego coraz to częściej łączą się w związki, obejmujące kolejno coraz to liczniejsze działy ich gospodarczego jestestwa, ponieważ przekonują się, że przeważna część ich działań ekonomicznych wymaga zrzeszenia w wielkie przedsiębiorstwa. Kooperacye rolnicze rozmaitego rodzaju nie są przecie niczem innem, jak wielkiemi przedsiębiorstwami rolniczemi, ograniczonemi ściśle do pewnych działów produkcyi rolnej. Wielkie majątki nie potrzebują dochodzić do tych wyników mozolną drogą kooperacyi, z istoty swej posiadają to, w czem małe obecnie powoli ich doganiają. Dowodem, że rozwój kooperacyi rolniczej bynajmniej nie jest łatwym, kosztowna pomoc władz publicznych, w przeważnej liczbie wypadków niezbędny współczynnik ich powstawania, a nawet dalszego istnienia.

Władze publiczne, zarówno państwowe, jak korporacye samorządu miejscowego muszą łożyć na zawiły system administracyi agrarnej, którego tylko częścią jest popieranie kooperacyi, którego kosztowność się zwiększa, a skuteczność zmniejsza, im mniejsze gospodarstwa, na które trzeba oddziaływać. Dość przypomnieć stacye buhaji, ogierów, tryków, knurów, nauczycieli wędrownych, urzędy komasacyjne, uregulowanie użytkowania, względnie rozdział wspólnej własności, ubezpieczenia rolnicze, Izby rolnicze i szereg innych instytucyj, obli-

czonych w pierwszym rzędzie na potrzeby mniejszej własności, a najbardziej wyczerpująco zorganizowane w Niemczech. Głównym celem tych usiłowań uzupełnić brak należytej fachowej wiedzy u kierowników małych gospodarstw, a w drugim rzędzie brak kapitału.

Za zasadniczo błędny argument, który przemawia przeciw, a nie za małemi gospodarstwami, jak twierdzi pan Rozwadowski, uważać muszę bardziej kapitalistyczny charakter wielkich gospodarstw. Na podstawie wspomnianych obliczeń rentowności dowodzi autor, że małe gospodarstwa czerpią znacznie większy procent dochodu z pracy, podczas gdy w wielkich dochód jest w wyższym stopniu wytworem kapitału. To zapatrywanie odpowiada ogólnie utartym poglądom; na razie nie chodzi mi o badanie jego prawdziwości, lecz o stwierdzenie, że dowodzi wyższości ekonomicznej wielkich przedsiębiorstw. Produkcya kapitalistyczna jest przecież wyższym stopniem rozwoju, im bardziej człowiek uzupełniać może swą pracę pomocą kapitału, tem bardziej praca staje się wytwórczą, produkcya oparta przeważnie na pracy nie może być przecie ideałem, wykluczałoby to postęp, byłoby wyrzeczeniem się pracy i doświadczeń przeszłości, które, ekonomicznie rzecz biorąc, krystalizują się w kapitale.

Robotnicy, którzy niszczą i palą maszyny, godzą w kapitał jako taki, nie domyślając się, że stanie się on z czasem potężną dźwignią ich dobrobytu, że w ich interesie może leżeć zniesienie prywatnej własności kapitału, ale nie odbieranie produkcyi kapitalistycznego charakteru; to samo dotyczy produkcyi rolniczej: prywatna własność wielkich przedsiębiorstw rolnych jest niepożądaną z punktu widzenia rozdziału dochodu społecznego, ale niepodobna odmawiać ekonomicznej racyi bytu wielkim przedsiębiorstwom, jako mniej wytwórczym, ponieważ czynią one niezawodnie najlepiej zadosyć naczelnej zasadzie życia gospodarczego, produkowania jaknajwięcej jaknajmniejszym nakładem pracy.

Gdyby p R. był ściśle rozsegregował argumenty przemawiające przeciw wielkiej własności, a wielkim przedsiębiorstwom, byłby zapewne doszedł do prawdziwszych wyników. Nie uczynił tego prawdopodobnie dlatego, ponieważ obecnie w Niemczech pojęcia te są identyczne, praktycznie rzecz biorąc, ale jak dalece przepomniał autor o potrzebie ich rozróżnienia, tego dowodem sposób przytaczania Oppenheimer'a, którego kilkakrotnie (np. na str. 48) przytacza razem z innymi pisarzami jako obrońców mniejszej własności. To powtarzające się stawianie na jednej linii Oppenheimer'a z Sevingri'em, Hahn'em

Stumpfe'm, Anhagen'em i w. i. jest całkiem mylne. Oppenheimer zwalcza, chce znieść wielką własność, ale utrzymać wielkie przedsiębiorstwa rolne, którym wyraźnie przyznaje wyższość (»*Siedelungsgenossenschaft*«, Berlin 1896, str. 248), jego ideałem jest stowarzyszenie wytwórcze rolników, gospodarujące na obszarach racyonalnie rozległych; jest zatem zdeklarowanym przeciwnikiem, a nie popleczníkiem tez p. Rozwadowskiego.

Zupełnie słusznie przytacza p. R. w obronie małych gospodarstw jako argument najważniejszy posługiwanie się w wyższym stopniu bardziej intenzywną pracą wolną i samoistną. Konieczność używania pracy najemnej jest jednak tylko przygodnem, a nie istotnem znamieniem większych przedsiębiorstw, to też nie może stanowić o ich mniejszej ekonomicznie racyonalności.

Ponieważ obecnie powstawanie wielkich przedsiębiorstw rolnych, nieopartych na pracy najemnej, napotyka na przeszkody w zbyt małej zasobności i kulturze słabszych warstw rolniczych, przeto należy uważać mnożenie się małych gospodarstw za pożądane, aczkolwiek pod względem wytwórczości nie są objawem postępu, a ważne względy polityczne i narodowe przemawiają w naszych stosunkach bardzo stanowczo za tym wnioskiem.

Możnaby jednak zarzucić, że spór o wyższość tej czy owej formy gospodarowania jest bezprzedmiotowym, zwłaszcza wobec silnego prądu parcelacyjnego, szczegółowo przez autora opisanego; sam fakt wyższych cen ziemi, które mogą płacić gospodarstwa małe, i powolny zanik wielkich jest rozstrzygnięciem sporu. Tego poglądu nie podzielam, ponieważ na cenę ziemi wpływa szereg momentów, sięgających poza sferę czysto ekonomiczną, odziedziczona predylekcya i nabyte wychowaniem uzdolnienie do danego zawodu, chęć pozyskania przez nabycie kawałka gruntu sposobności stałego zarobkowania, ambicye społeczne, popychające do nabycia na własność kawałka ziemi, a ugruntowane w historycznej tradycyi, łączący ściśle własność z pełnią osobistej wolności, przywiązanie do ojczyznej, bardzo pospolity brak dokładnego zdawania sobie sprawy z korzyści lokacyi pracy i kapitału w ziemi, gęstość zaludnienia, niemożność zarobkowania i lokowania kapitału w inny sposób, oto niewyczerpujące wyszczególnienie powodów, wywołujących zwyżkę cen ziemi, które nieraz za *praetium affectionis* uważać należy.

Ilustrowanie wywodów o wyższości małych gospodarstw w Niemczech intenzywnością ruchu parcelacyjnego jest bronią nader obo-

sieczną; jeżeliby zachodził ścisły związek między tymi dwoma objawami, powinnoby zjawisko parcelacyi być objawem mniejwięcej równomiernym, w rzeczywistości jednak głównem siedliskiem parcelacyi są Poznańskie i Prusy Zachodnie, inne części Niemiec, a nawet Prus wykazują pod tym względem zupełnie odmienne stosunki.

Pan Rozwadowski nie zwrócił uwagi na fakt, że właśnie w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich gospodarstwa większe przewyższają pod względem technicznym gospodarstwa chłopskie w stopniu znacznie wyższym, jak w innych częściach Niemiec. Jeżeli gdzie, to właśnie na Zachodzie Niemiec, jak wyraźnie stwierdzają przytoczone rozprawy o porównawczej rentowności gospodarstw różnego typu, należy szukać posiadłości większych i chłopskich stojących na tym samym stopniu rozwoju, co zresztą odpowiada większej kulturze i zamożności tego chłopa. Nawiasem tylko nadmieniam, że znany uczony i specyalista w tym kierunku Backkaus[1] przytacza szereg majątków w Poznańskiem, zapewniających stosunkowo wysokie oprocentowanie (6%) kapitałów w nie włożonym. (Str. 18.)

Jak słusznie autor zauważył »pośrednik parcelacyjny nietylko ułatwia parcelacyę — on ją w wielu wypadkach wytwarza«, otóż właśnie na ziemiach polskich działa więcej instytucyi pośredniczących, jak gdzieindziej, co nam tłumaczy w pewnej mierze większą intenzywność ruchu parcelacyjnego, wiemy zaś dobrze z drugiej strony, że ta większa ilość pośredników rozpoczęła swą działalność bynajmniej nie pod wpływem pobudek wyłącznie gospodarczej natury, komisya kolonizacyjna, która dała początek przyspieszeniu parcelacyi i wywołana przez nią reakcya należą do rzędu czynników polityczno-narodowych, które nieraz okazały się silniejszymi i kształtowały stosunki ekonomiczne.

Dalszych powodów intenzywniejszej akcyi parcelacyjnej właśnie w tych okolicach szukać należy w pewnych właściwościach Polaków pozbywających i nabywających ziemię — życie nad stan i nieracyonalna gospodarka większych właścicieli, pracowitość, skromny sposób życia, chęć lokowania w ziemi zarobków zdobytych emigracyą czasowych do zachodnich krajów niemieckich — oto czynniki wyrabiające w polskim włościaństwie żywioły nader odpowiednie na nabywców parcelacyjnych. Brak przemysłu, wysoki procent własności wielkiej

[1] *„Über landwirthschaftliche Verhältnisse der Provinz Posen“* Berlin 1899, str. 37.

stanowią także momenta wyjaśniające parcelacyę dokładniej, jak wyższość gospodarcza małych przedsiębiorstw rolniczych, która widocznie nie jest zupełnie ustaloną, jeźli tam, gdzie nie było tych specyalnych warunków właściwych Poznańskiemu i Prusom Zachodnim, ruch parcelacyjny nie objawił się silnie, a, o ile wystąpił na jaw, to w formie nieodpowiadającej wymogom racyonalności parcelacyi określonym przez p. R., najmniej odporne okazały się gospodarstwa chłopskie, które spekulanci rozbijają na niesamodzielne, karłowate, podczas gdy wielka własność, najmniej odpowiednia, pozostaje nietkniętą. Także i w Galicyi parcelacya wytwarza bez uszczuplania latyfundyów gospodarstwa, nie stanowiące objawu wyższości w porównaniu z wielkiemi wedle rozumienia p. Rozwad. Autor przypisuje także i pod względem technicznym przewagę małym gospodarstwom, przez co widocznie rozumie stosowanie najnowszych postępów wiedzy, gdyby bowiem uważał gospodarstwo najrentowniejsze za technicznie najlepsze nie pisałby kilkakrotnie o »wyższości gospodarczej i technicznej« — rozróżnia zatem te dwa pojęcia. Ta teza p. Rozwadowskiego jest sprzeczna z codziennem doświadczeniem; jest rzeczą oczywistą, że większe gospodarstwo zazwyczaj zasobniejsze w wiedzę i kapitał stanowi ognisko postępu rolniczego; przykład dla sąsiadujących chłopów, co dzieje techniki rolniczej potwierdzają w całej pełni.

Jeżeli poświęciłem tyle miejsca wywodom p. Rozwadowskiego, to dlatego, ponieważ rozchodzi się o zagadnienie miarodajne dla całych działów polityki i administracyi agrarnej, nader ważne zwłaszcza dla nas w chwili ogólnego rozpowszechnienia się ruchu parcelacyjnego na ziemiach polskich, a w książce p. R. ujęte bardziej zasadniczo i wyczerpująco, jak w innych pracach.

Inne prace omówimy w jednym z następnych zeszytów »*Przeglądu*«.

Dr. A. Krzyżanowski.

Siena. *Kazimierz Chłędowski.* Kraków 1904. Str. 528.

Na zeszłorocznym gwiazdkowym stole znalazły się między innemi dwie książki polskie, odnoszące się do historyi włoskiej, obie wyszłe z Wiednia: *Sacco di Roma* Zdzisława Morawskiego i »Siena« Kazimierza Chłędowskiego. Gdym zobaczył po raz pierwszy te wytworne *étrennes*'y, świadczące o kulturze i humanistycznych zamiłowaniach autorów i publiczności polskiej, przypomniałem sobie nie tak dawno słyszane z ust najznakomitszego bodaj z naszych encyklopedystów i hu-

manistów ubolewania nad brakiem podobnych wydawnictw, popularyzujących obcą historyę — w naszej literaturze historycznej. Bo rzeczywiście, gdy się widzi stosy zagranicznych *éditions de luxe* tego rodzaju, czy to uczonych kompilacyi, jak wychodząca od roku zeszłego w grubych foliałach *Cambridge Modern History* lub przystępniejszych, zazwyczaj ilustrowanych monografii francuskich czy wreszcie, po większej części niestrawnych i jałowych, zbiorowych prac historycznych w Niemczech (np. z ostatnich *Weltgeschichte in Charakterbildern*), to przeciwnie u nas, potrochę z natury rzeczy, znać było dotąd jedynowładztwo dziejów ojczystych. A przecież za pośrednictwem takich dzieł popularyzujących wciska się nieraz kultura do domów, dotąd dla niej obojętnych i ozdobna książka, leżąca na honorowem miejscu w salonie, może na niejednego Beotę dobrze wpłynąć.

Wykwintny znawca i zazdrosny Sieny miłośnik, p. Kazimierz Chłędowski, wydał gruby tom o ukochanem przez siebie włoskiem mieście. Niemal każdy, kto był we Włoszech, wybrał sobie jedno miasto z pośród innych za ideał, zwykle Rzym lub Wenecyę, Florencyę lub Neapol. W Sienie bywa się — zwłaszcza my bywamy — rzadziej, że jednak i ona godna palmy oblubienicy, tego dowieść pragnie jej admirator na każdej karcie swego obszernego studyum. A kocha ją tak, jak niejeden z nas Krakowian Kraków, opłakuje jej zniszczone lub niewykończone zabytki, jak my zniesione baszty, zwalony ratusz, spalone kościoły i zrujnowany zamek, żal mu, że Rzeczpospolita nie była dość potężna, by wznieść katedrę w niebywałych rozmiarach, że nie doszedł do skutku plan tyrana Petrucciego otoczenia portykiem wielkiego rynku, któryby w ten sposób stał się może najpiękniejszym we Włoszech i ubiegł plac św. Marka, zwłaszcza, że dzisiaj góruje nad nim swojem cudownem *Campanile*, zwanem *Mangia*. Gdy się spojrzy na wysmukłą, kunsztowną sylwetę sieneńskiej dzwonnicy, trudno się autorowi dziwić, że ma względem Sieny uczucie przywiązania, które Francuz określa, jako *patriotisme du clocher*. A nie tylko o Sienę jest zazdrosny, ale i o jej synów, ma żal do Giotta, że przyćmił Duccia, do Rafaela, że skrzywdził sławę Sodomy. Wydaje się nawet, jak gdyby sobie wziął był do serca długowieczny antagonizm Sieny do sąsiedniej Florencyi.

»Siena« p. Chłędowskiego rozpada się na dwie symetryczne połowy, a szematem tego podziału była genealogia sieneńskiej sztuki, przerwana fatalnym rokiem 1386, emigracyą artystów, jak Mateuszowy rodowód przeprowadzeniem się babilońskiem. Część pierwsza poświę-

cona średniowieczu, więc zajmuje się przedewszystkiem mistycznym kultem patronki miasta, Dziewicy Maryi, — skąd przydomek Sieny: *civitas virginis*, omawia w dalszych rozdziałach historyę miasta i społeczeństwa od czasów mitycznego *herosa eponymosa*, Remusowego syna, Senia aż do pamiętnej bitwy z Florencyą pod Montaperti, która Sienę rzuciła do stóp Bogarodzicy. Z kultu Madonny wytworzył się z domieszką prowansalskich wpływów kult kobiety wogóle, ubóstwianie jej jako *Donny Angelicaty*, odcieleśnionego ideału — prądowi temu poświęcone są nader subtelne uwagi. O ile ten mistycyzm w miłości był kierunkiem arystokratycznym, nienaturalnym, a przez to często niezdrowym, o tyle wpływy franciszkańskie, którym ustąpił miejsca, okazały się nierównie korzystniejszymi dla rozwoju miasta i jego sztuki. Sztuka ta jednakowoż nie na sieneńskim poczęła się gruncie, ale przyszła z Pizy i Lukki, którym z tego powodu p. Chłędowski osobny poświęca ustęp. Następuje charakterystyka sztuk plastycznych, jakie kwitnęły na Maremmach w ciągu ducenta i trecenta, kulminacyjnego dzieła tego okresu, katedry i głównych reprezentantów rzeźby i malarstwa, z Mikołajem z Pizy, twórcą katedralnej ambony i Ducciem di Buoninsegna na czele.

Część druga naszkicowana jest na odmiennem tle historycznem. *Mangia* przestała być symbolem wolności, a w *palazzo pubblico* włada tyran, Pandolfo Petrucci, zwan *Il Magnifico*. To znak, że odrodzenie już świta. *Civitas virginis* staje się znowu raczej miastem Senia i wilczycy-karmicielki, zdobiącej, jako godło, piazzę, a *Donna Angelicata* z witrażu blednie i rozpływa się wobec pełnych, żywych kurtyzan, uwiecznionych we fresku Sodomy, których tyle było wówczas w Sienie. Typ kobiety się zmienia, indywidualizuje się. Z bujnego tłumu Sieneńczyków występują coraz nowe indywidualności, jak pesymista-wesołek, poeta Cecco Angolieri, jak Joanna d'Arc awiniońskiego papiestwa, Katarzyna Benincasa i natchniony kaznodzieja, mieniący się »błaznem Bożym«, Bernardyn Albizzeschi, naprzeciwko sieneńskiego *Studia* stają humanistyczne akademie o dziwacznych nomenklaturach, jak *Razzi* (gbury), którzy dotrwali do dziśdnia, a z sieneńskiego patrycyatu wychodzą dwaj papieże Piccolominiowie: Eneasz Sylwiusz — Pius II i Franciszek — Pius III. Petrucci i Piccolominiowie wznoszą i ozdabiają pałace i gmachy publiczne, jak słynną Libreryę. Benedyktyni z Monte-Olivetto zajmują jako pionierzy kultury i sztuki miejsce Franciszkanów, Eneasz Sylwiusz rodzinną wioskę Corsignane zmienia w siedzibę sztuki, Pienzę; dzięki temu wszystkiemu następuje

druga epoka rozkwitu rzeźby i malarstwa: dłuto Quercii tworzy wzory dla Michała-Anioła; a na gruncie, który długo leżał odłogiem, przyjmuje się malarstwo umbryjskie, którego świetnymi przodownikami stają się tu: Signorelli, Pintoricchio, Sodoma, wreszcie B. Peruzzi.

Taki jest rozkład zajmującej monografii p. Chłędowskiego, opartej na niezmiernej ilości publikacyi o Sienie. Autor, zdaje się, nie pominął żadnego ważniejszego źródła do dziejów opisywanego miasta i sumiennie je wyzyskał, a jeśli nie ustrzegł się od licznych niestety usterek, to przypisać to chyba należy zbyt pośpiesznej robocie i niezbyt starannej korekcie. Przyjemny tok lektury przerywa się bowiem co chwila rażącymi nieraz błędami. Przykra jest np. stała zamiana imion Giorgio i Gregorio, wskutek której zamiast patrona rycerstwa i ulubionego malarzom św. Jerzego, słyszymy wciąż o św. Grzegorzu, niemniej dziwnymi regularnie powtarzające się błędy w pisowni nazwisk, jak Savonarolla, Massacio i w. i. A trafiają się i gorsze *lapsus calami*, jak umieszczenie Barbarossy pod murami Kanossy (str. 194) lub Piłata w... pośród rzezi niewiniątek na obrazie Mattea di Giovanni (str. 469).

Najbardziej interesujące są obrazy kultury i obyczajów, rozdziały z zakresu historyi sztuki wypadły słabiej i znużą każdego, kto nie był w Sienie, monotonnością, z jaką autor wymienia po kolei liczne dzieła sztuki tam powstałe, z których zaledwie drobna cząstka mogła być reprodukowaną. Szkoda także, że autor nie tłumaczy licznych cytatów poetycznych rozsianych wśród treści, zwłaszcza, że obfitują one w archaizmy; w książce popularyzującej tem bardziej byłoby to wskazanem. Dla historyi stosunków polsko-włoskich nie przynosi »Siena« nic nowego i opiera się w tym względzie wyłącznie na »Historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego« prof. Morawskiego. Natomiast szczerze wdzięczni być musimy p. Chłędowskiemu za prześliczną reprodukcyę obrazu z Muzeum XX. Czartoryskich, Madonny, którą uważa za dzieło jednego z sieneńskich mistrzów quattrocenta, — Neroccia di Bartolomeo-Landi. Pod względem typograficznym stanowi »Siena« nową chlubę drukarni Uniwersyteckiej.

Z kilkoma zastrzeżeniami należy się więc »Sienie« pochwała, autorowi uznanie. Łatwiej, niż na przykładzie większych miast włoskich, przyszło mu nakreślić szkic bujnego życia, jakiem one tętniły. Wybrał to z pomiędzy nich, które znał najlepiej i do którego przylgnął. Trafił dobrze, bo Siena długo wrzała pełnią włoskiego życia od longobardzkich zawiązków, poprzez walki feudalnych baronów, któ-

rzy gęstwią wież jeżyli jej łono, pośród nieustannych fluktuacyi politycznych i przerzucań się z jednej formy rządu do drugiej, aż do hiszpańskiej niewoli — *vitam vixit*, życie niespokojne, jak temperament Włocha, pełne walk toczonych z zaciekłością krwi germańskiej właściwą, wstrząsane co chwila alarmującym dźwiękiem miejskiej *campany*, grupujące się nazbyt często około wojennego symbolu, bojowego *caroccia*. Ale wokoło wspaniałego *Duomo* nietylko nienawiść się pleniła — *caroccio* zajechał przed przybytek Madonny, wracając z pola walki i obwołano ją Panią zwycięskiego grodu, *povorello* godził zawiści, Katarzyna i Bernardino siali w mieście rodzinnem posiew miłości, a humanista Eneasz z biskupią pompą błogosławił królewskim zrękowinom cesarza Fryderyka III i Eleonory portugalskiej. Do dziśdnia upamiętniają herby na słupie *Camollia* i wspaniałe freski Sodomy w *Palazzo pubblico* ten dzień, cieszący próżność Sieneńczyków, *quella gente vana*. Srogi ukaz wypędził pod koniec XIV-go wieku większość artystów z miasta, ale sztuka doń wróciła. Przyszły na Sienę i ciężkie chwile, straszne oblężenie i niewola hiszpańska. Przyszły, lecz przeszły, a miasto odpoczywa dziś w majestacie sztuki i spokoju, przerywanym tylko zachwytami wielbicieli. Przeszło w zupełności do historyi, bo dziś — szczęśliwe! — jej niema, szczęśliwsze w tem o tyle od innych, które, przeżywszy już lat wiele, stoją wciąż jeszcze, jak stały w dawnych wiekach, wobec prób dnia dzisiejszego i niepewnego jutra.

K. M. M.

Z piśmiennictw obcych.

Tołstoj i Dostojewski.

Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie. *Merežkowski D.* Lwów 1904, Polskie Towarzystwo nakładowe. 8-ka mała. kt. nlb. 2, str. 247.

Żizń i tworczestwo L. Tołstawo i Dostojewskawo. *Tenże.* Izdanije 3. S-Pietierburg 1903. 4-ka kt. nlb. 3, str. 374.

Religia L. Tołstawo i Dostojewskawo. *Tenże.* Izdanije wtoroje S-Pietierburg 1903. 4-ka kt. nlb. 3, str. 530.

Młode pokolenie rosyjskie, które wstąpiło w życie w ośmdziesiątych i dziewięćdziesiątych latach XIX wieku, znajduje się w tak

trudnem położeniu co do przyszłości kultury rosyjskiej, jak niejedno z pokoleń w czasach Piotra Wielkiego, kiedy to wybuchła wojna między dwoma potężnymi prądami: t. zw. *zapadniczestwem*, a słowianofilstwem. Różnica, zachodząca pomiędzy tymi prądami, była następująca, że podczas, gdy pierwszy zaprzeczał kulturze rosyjskiej samodzielnej myśli, widząc w niej tylko dalszy ciąg europejskiej, to słowianofile widzieli w kulturze narodowej ideę samodzielną i przeciwstawiali zawsze kulturę rosyjską europejskiej. Wówczas, gdy zwolennicy zachodu mogli wskazać na ogólno-europejską kulturę i na usiłowania Piotra Wielkiego, jako na wybrany ideał, słowianofile byli otuleni w mgłę smutnych romantycznych rozważań nad przeszłością i niemniej bolesnego oczekiwania tego, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Przeciwstawienie jednak zupełne tych dwu prądów możliwem jest tylko w teoryi, w rzeczywistości zaś prądy te często się zbliżają, jednoczą ze sobą bez zupełnego wszakże zlania się w jedno. Dowodem tego wszyscy wybitni rosyjscy mężowie Piotr Łomonosow, Puszkin Tołstoj, Dostojewski.

Twórczości dwóch ostatnich, jako najsilniejszych przedstawicieli rosyjskiego ducha, poświęconem zostało dzieło D. Mereżkowskiego. Ponieważ podług niego kultura rosyjska zaczęła się właściwie od Puszkina, z którego dotąd czerpie swoją treść, stąd niepodobna było pominąć milczeniem dwu pisarzy, Dostojewskiego i Tołstoja, tych dwu największych mocarzy słowa rosyjskiego w XIX wieku, którzy obaj wyszli z Puszkina. Tołstoj bowiem i Dostojewski są zarazem tak sobie blizcy i dalecy, jak dwie gałęzie jednego drzewa, rozchodzące się w dwu przeciwnych kierunkach wierzchołkami, ale zrosłe ze sobą w zasadniczych podstawach.

Badać Dostojewskiego i Tołstoja — znaczy, zdaniem Mereżkowskiego, rozpatrywać tajemnice Puszkińskie w nowej rosyjskiej poezyi, te wielkie tajemnice, o których wspomniał sam Dostojewski: »Puszkin zmarł w pełnym rozkwicie sił swoich, i niezaprzeczenie uniósł ze sobą do grobu nie jedną wielką tajemnicę. I oto my teraz bez niego odkrywamy ją«.

Z tego też względu ogromne dzieło Mereżkowskiego ma niepospolite znaczenie, że usiłuje odgadnąć przyszłość rosyjskiej kultury oraz jej walk z kulturą zachodnią. Ale nie tylko dlatego postanowiliśmy zwrócić baczniejszą uwagę na to dzieło, które wyszło już w trzeciem wydaniu, a dotąd bardzo niewielkie u nas obudziło zain-

teresowanie, lecz że postacie i działalność tak genialnych umysłów, jakimi są Tołstoj i Dostojewski, już z powodu ogólnego swego znaczenia, zasługują na dokładne poznanie, że wreszcie sam autor, znakomity współczesny poeta rosyjski, godzien jest ze wszech miar zaznajomienia się z nim szerszych warstw czytelników. Tyloma zaś zaletami mało która książka może się poszczycić.

I.

Treść pierwszej części dzieła dotyczy osób obydwóch pisarzy i tak się przedstawia.

Opinia ogólna utrzymuje, że na przełomie lat 70-tych i 80-tych XIX wieku Tołstoj przeżył głęboki przewrót moralny i religijny, który przeistoczył do gruntu jego życie prywatne, umysłowe i działalność literacką, łamiąc tem samem istnienie jego na dwie epoki. W pierwszej był Tołstoj tylko wielkim powieściopisarzem, ale zarazem najzwyczajniejszym człowiekiem, pełnym osobistych smutków, zwątpień, ułomności; w drugiej zaś przekroczyć miał wszelkie warunki historycznego bytu i kultury. Że takie przeistoczenie miało istotnie miejsce, że było ono zupełne i zasadnicze, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Stwierdzenie tego faktu znajdujemy w własnych utworach Tołstoja, które odsłaniają prywatne, często bardzo drażliwe strony życia pisarza.

Rozłam w myślach i poglądach nie nastąpił wszelako nagle i niespodziewanie. Już w latach młodzieńczych zaczęła się w umyśle Tołstoja rozgrywać ciężka i długotrwała walka, z której odnosimy dziwne wrażenie, jakoby Tołstoj składał się z dwu ludzi, z których jeden był świadomy, dobry i słaby, żałujący za grzechy, żywiący do siebie wstręt, do własnych ułomności moralnych; drugi znowu był nieświadomy, zły i mocny, mniemający, że jest wielkim człowiekiem, że oznajmi nowe uszczęśliwiające ludzkość prawdy i z dumną świadomością swej godności patrzący na innych śmiertelników. Opowiadając o tych młodzieńczych myślach, Tołstoj dochodzi do wniosku, że osnowę ich stanowiły cztery uczucia: miłość do wyśnionej kobiety, czyli lubieżność ciała, miłość miłości ludzkiej, to jest duma, lubieżność duszy, nadzieja na niezwykły uśmiech szczęścia, tak potężna, że przechodziła niemal w obłąkanie, i ostatnie wreszcie — wstręt do samego siebie i pokuta. Właściwie są to tylko dwa uczucia, trzy pierwsze bowiem łączą się w jedno — w miłość do siebie, a drugie — wstręt,

nienawiść do swego »ja«. Około tych dwu zasadniczych uczuć porusza się wszystko w pierwszych utworach Tołstoja.

Wnet jednak skutkiem niepowodzeń złamała się w pisarzu duma i próżność, niebawem też po ożenieniu się Tołstoja zaczął w niem dojrzewać nowy przewrót. Nie zapobiegło mu ani szczęście domowe, jakiego zażywał Tołstoj, ani płodna działalność pisarska, która stworzyła »Wojnę i pokój« oraz »Annę Kareninę«. Poznał bowiem Tołstoj, że teraz żył, szedł... szedł... aż przyszedł nad kraj przepaści i ujrzał wyraźnie, że przed nim nie ma nic, tylko zguba. Zrozumiał, że wszystko marność nad marnościami i wiatru gonienie i że mędrzec społem z głupcem umierają. Bojaźń śmierci była w nim tak silna, że stanowiła antytezę miłości życia.

A przecież starożytni Grecy nie mniej kochali życie od Salomona i Tołstoja. Ale strach śmierci nie unicestwiał w nich znaczenia radości ziemskich, przeciwnie największa ciemność i strach otchłani zwiększały jeszcze pociąg do życia. Oni nie odwracali się od tej ciemności, ale jak gdyby pragnąc jej, szukali, by ją przezwyciężyć. Tymczasem u Tołstoja spotykamy się z prostodusznym, cynicznym materyalizmem, bezdusznym kultem ciała. Nie ma w nim żadnego wahania, żadnej możliwości pytania i wątpliwości, że śmierć jest przejściem do nicości. Przerażenie, bez wyjścia, bezmyślnie niszczące, wysuszające samo źródło energii życiowej. Ale ten strach przed śmiercią nie powstał u niego z cielesnej bojaźni, pochodzenie jego bowiem jest abstrakcyjne, metafizyczne. Skutkiem głębokiej sprzeczności, braku równowagi między świadomością i bezwiednym żywiołem jego »ja«, pozostawało mu jedno z dwojga: albo poddać swoją świadomość swemu żywiołowi, co on też czynił w pierwszej połowie swego życia, albo odwrotnie swój żywioł oddać na rzecz swej świadomości, co on też stara się zrobić w drugiej połowie swego życia I w tym wypadku musi on przyjść do przekonania, że wszelka miłość dla siebie samego jest czemś cielesnem, zwierzęcem, a zatem przestępstwem. Rzeczywiście doszedł on do tego przekonania, kiedy postanowił do reszty znienawidzieć swoją duszę, aby ją zbawić.

»Tyś król — żyj sam«! powiadał Puszkin. Ale bez względu na olbrzymie wewnętrzne osamotnienie, on więcej, niż kto inny, całe życie spędził w otoczeniu przyjaciół. W Puszkinie było tyle naturalności chrześcijańskiego przebaczenia, wyrozumiałości, a ani odrobiny złości do wielkich. W życiu Tołstoja natomiast przeraża specyalna całkiem samotność, nie ta, która właściwa jest geniuszom, lecz inna

ziemska, ludzka. Z latami wzrastała w Tołstoju zbyt trzeźwa, obrachowana samotność, oszczędność serca, kompletna niezdolność do przyjaźni. Raz tylko los zesłał mu prawdziwego przyjaciela, wielkiego i godnego, ale też sam Tołstoj odepchnął lub nie potrafił do siebie zbliżyć Turgeniewa. Stosunek ich — to jedna z najciekawszych i najtrudniejszych zagadek w historyi literatury rosyjskiej. Jakaś tajemnicza siła przyciągała ich ku sobie, ale gdy się do siebie zbliżali w pewnej mierze, odpychała, by zacząć znowu przyciągać. Byli oni sobie niemili, prawie nieznośni, a zarazem jedynie blizcy, potrzebni jeden drugiemu. A przecież nigdy nie mogli zaprzyjaźnić się, ani też zerwać ze sobą ostatecznie.

Również dziwne stosunki wiązały Tołstoja z Dostojewskim, którego nigdy w swem życiu nie widział. Długo zbierał się go poznać, lecz jakoś zawsze brakło czasu. Że Tołstoj nie zaznał w życiu ani razu prawdziwej przyjaźni, to tłumaczy się okolicznością, iż nigdy nikogo nie kochał, nawet siebie samego nie potrafił ukochać bezgranicznie. Któż z większą od niego męką pragnął miłości? kto, nigdy w nic nie wierząc, z większem niż on upragnieniem łaknął wiary? I trudno mu wierzyć, gdy upewnia, że znalazł Boga, znalazł prawdę i nazawsze się uspokoił. Zdaje się, że gdy to mówi, najdalszy jest od Boga i od prawdy. Tak, to jest straszne, ale to prawda! Bo on niczego nie znalazł, żadnej wiary, żadnego Boga! Całe jego usprawiedliwienie — to tylko w tem beznadziejnem błaganiu, w żałosnym krzyku, wyrażającym nieskończone osamotnienie i przerażenie.

Dostojewski nie lubi mówić ciągle o sobie, tak jak Tołstoj. Autodemaskowania ma tak mało w sobie, jak narzekań. Dopiero w latach ostatnich, w »Dzienniku pisarza« zwracał się czasami do wspomnień dzieciństwa. Lecz i w nich nie uskarżał się na nikogo, przeciwnie postępował tak, jak gdyby chciał siebie i innych przekonać, że życie jego było szczęśliwsze, niż niem było rzeczywiście. A miałby był o czem Dostojewski opowiadać, bo życie jego rozpoczęło się nędzą, która miała trwać bez przerwy, prawie aż do śmierci jego, i która zależała nie tyle od zewnętrznych okoliczności, ile od wewnętrznych cech jego natury. A przecież ciekawem byłoby porównanie szczodrobliwości Dostojewskiego z oszczędnością Tołstoja. W jednym i drugim są to cechy poza obrębem woli i świadomości pozostające. Takim z nich każdy urodził się, jeden zbieraczem-familiantem, drugi rozrzucającym, zawsze bezdomnym tułaczem. Dostojewski nie potrzebował dowodu, że pieniądze są złem, że przeto należy się ich wyrzec

zupełnie, kiedy tymczasem Tołstoj całe życie marząc o nędzy pomnożył swój majątek. Wprawdzie jest to wszystko drobnostką w życiu takich ludzi, charakterystyczną jest jednak sprzeczność ich co do takiej życiowej bagateli. Zresztą wogóle co do wszystkich wartości świeckich w losie Tołstoja jest jakby jakaś przyciągająca siła, podczas gdy przeciwnie w losie Dostojewskiego siła odpychająca. Niepowodzenia, jakie spotkały w życiu Tołstoja, nie dadzą się porównać z zawodami Dostojewskiego, którego cała działalność literacka była walką z opinią publiczności i krytyki rosyjskiej. Jakżeż mało odpowiednią wydaje się sława, jaką osiągnął przed samą śmiercią, szczególniej jeśli się ją porówna z niebywałem uznaniem, jakie spotkało Tołstoja za życia. Wystarczy przypomnieć, że Dostojewski stał się męczennikiem, omal nie zginął za winę niepopełnioną. Było jednak w nim coś, co go wiodło wszędzie, gdzie działy się okrutne i nieszczęsne rzeczy, on szedł jakby za bezwiednem uczuciem, pragnąc cierpieć, aby dojść do całkowitego rozwoju swoich sił duchowych. A więc wszystko to, do czego dążył Tołstoj i co było może doniosłem i głębokiem w jego światopoglądzie, lecz nie przeszło w czyn, pozbawienie własności, praca fizyczna, zbliżenie się do ludu, wszystko to musiał Dostojewski doświadczyć osobiście i to z taką dławiącą srogością, jaką tylko sobie pomyśleć można. Kajdany i katorga wcale nie stanowiły dla niego symbolu, były rzetelnym znakiem śmierci obywatelskiej i wyrzucenia ze społeczeństwa. Rąbanie drzew dla biednych włościan i praca na roli Tołstoja. to tylko zachcianka, ascetyczne ćwiczenie i gimnastyka. Treść pracy zarówno fizycznej i umysłowej zawiera się w świadomości nie tylko moralnej, lecz i fizycznej konieczności, w istotnej obawie, upokorzeniu i bezsilności, jaką tworzy nędza. To wie pozornie każdy, ale to nie jest zrozumiałem aż do głębi życiowej swej prawdy ludziom z taką przeszłością, jak Tołstoj. Kto nigdy nie doznał bólu, ani prawdziwej nędzy, ten nie zrozumie jej, choćby nie wiedzieć jak długo rozmyślał. Pod tym względem Dostojewski był szczęśliwszy od Tołstoja; los zesłał mu sposobność doświadczenia w katordze, co znaczy praca i nędza ludzi prostych, poznał on strach śmierci nie w abstrakcyjnych myślach o niej, lecz w zbliżaniu się do niej o krok, stojąc na szafocie. Dostojewski nie potrzebował odrzucać w abstrakcyjnych rozumowaniach własności prywatnej i warunków życia cywilizowanego społeczeństwa; on sam został z niego wyrzucony. Tołstoj zrobił całkiem słuszny obrachunek, że powinienby dać 2000 rubli jałmużny biedakowi, gdyby ona miała wyrównać jałmużnę daną przez

biednego cieślę. Wobec tego zwątpił, czy ma wogóle prawo pomagania biedakom. Dla katorżnika Dostojewskiego podobnych wątpliwości nie było: życie samoistnie rozwiązało je za niego, stawiając go w takiej sytuacyi, w której nie wypadło mu już dawać, lecz odbierać jałmużnę. To też pomiędzy Tołstojem a Dostojewskim zachodzi ogromna różnica autentyczności, jeśli nie myśli i zamiarów, to w każdym razie czynów i wrażeń.

W życiu swojem katorżnem miał Dostojewski aż nadto sposobności zetknięcia się z ludem i poznania go do głębi. On nie medytował abstrakcyjnie, ale całem jestestwem swojem odczuwał i rozumiał otchłań, oddzielającą kulturne społeczeństwo od ludu, podczas gdy Tołstoj przez całe życie ślizgał się w artystycznych i moralnych swoich kontemplacyach.

Dla Tołstoja światło śmierci oświeca życie z zewnątrz, gasząc barwy, kolory i obrazy życia; u Dostojewskiego świeciło ono z wewnątrz. Dla Tołstoja cały sens życia religijnego polega na przejściu od życia do śmierci — w innym świecie. Dla Dostojewskiego przejście to nie istniało, on cały czas żyjąc — umierał. Dla Tołstoja tajemnica śmierci poza życiem, dla Dostojewskiego życie samo — było tajemnicą równą śmierci. Dla Tołstoja istnieje tylko wieczna sprzeczność życia i śmierci, dla Dostojewskiego tylko wieczna ich tożsamość. Słowem, życie Tołstoja i Dostojewskiego w czasach autora, są to dwa, do pewnego czasu wydające się sprzecznemi, lecz już dziś pogodzone proroctwa, nieznanego jeszcze, a wyczekiwanego w Rosyi geniuszu, również żywiołowego i narodowego, jak Puszkin, lecz bardziej już świadomego, a zatem bardziej wszechludzkiego.

II.

Część druga dzieła Mereżkowskiego zajmuje się artyzmem Tołstoja i Dostojewskiego. Nie przywiązujemy do niej tyle wagi, co do poprzedniej, ile że oparta jest w znacznej części na dawniejszych przesłankach, które mieliśmy już sposobność poznać dokładnie. Zresztą punkt patrzenia każdego na kwestye ściśle estetyczne może być z zupełną słusznością zgoła odmienny. Z tego też powodu zatrzymamy się nad rozdziałami, traktującymi o tej kwestyi, nieco krócej, bo ich znaczenie wydaje się nam o wiele mniejszem. Jakie są tedy ostateczne wyniki dociekań znakomitego pisarza, jaki sąd wydał on o tych dwu genialnych mistrzach rosyjskiego piśmiennictwa? Nie chodzi tu o to, czy sąd ten jest słuszny pod każdym względem, czyli też nie, bo w tej

mierze mogą opinie być najróżnorodniejsze. Chodzi tylko o to, jak Mereżkowski rozstrzyga tę kwestyę, a przecież warto poznać wyrok i poglądy znakomitego poety, nie mniej utalentowanego, choć może poniekąd stronniczego sędziego.

Podkreśliwszy dodatnie strony artyzmu Tołstoja, zasadzające się przedewszystkiem na umiejętności delikatnymi, a często powtarzającymi się rysami oddawać najsubtelniejsze odcienia psycho-fizyologicznego życia ludzkiego, Mereżkowski wytyka i strony ujemne niepospolitego artysty. Tego rodzaju niedostatkiem jest n. p. brak dziejowej perspektywy i kolorytu w historycznych jego utworach.

Tołstoj, mając sam, jako artysta, wszechświatowe znaczenie, nie ma zdolności do wszechludzkiej kultury. Bez względu na cały rozumowy, pseudochrześcijański kosmopolityzm Tołstoja, żaden z wielkich rosyjskich artystów nie jest tak ograniczony w swej twórczości warunkami miejsca i czasu, granicami swej narodowości i wieku, jak właśnie Tołstoj. Wszystko, co nierosyjskie i niewspółczesne, jest mu wprost niezrozumiałe i nieciekawe. Twórca »Wojny i pokoju«, utworu, pragnącego być historycznym, nie odczuwał nigdy sercem historyi nie uznawał za stosowne wczuć się w duchową stronę życia innych narodów i wieków. Dla niego nie istnieje zachwyt oddalenia, nie istnieje smutek, ani żywa radość przeszłości. On cały do głębi tkwi w spółczesnej rosyjskiej rzeczywistości. Inny brak polega na tem, że rzeczy, wydające się warunkowemi w każdej kulturze, uważa za kłamliwe i sztuczne. Stąd też i proza wydaje się mu naturalniejszą od wierszy. I choć teorya mówi inaczej, Tołstoj decyduje, że każdy utwór wierszowany jest sztuczny, a zatem kłamliwy. Nie uznaje i potępia »nową sztukę« jedynie dlatego, bo jej nie rozumie. Z jeszcze większym brakiem litości zwala Tołstoj niewątpliwe chwały starożytnego Parnasu. Nawet w pogardzie Tołstoja dla swojej własnej twórczości jest coś ciemnego i skomplikowanego, a w jego własnej miłości literackiej widoczne są wahania i niekonsekwencye. Całe życie pozostawał Tołstoj wierny swemu poglądowi na literaturę rosyjską, jako na dom obłąkanych. Całe życie szukał on swego usprawiedliwienia i swej świętości w wyrzeczeniu się cywilizowanego społeczeństwa; uciekał do ludu, do pracy fizycznej, do wszystkiego, tylko nie do tego, do czego powołał go Bóg.

Dostojewski, w przeciwieństwie do Tołstoja i jakoby uzupełniającego, nie tyle zajmuje się w swej artystycznej twórczości malowaniem żywiołowej połowy ludzkiego j a, ile raczej sięga do głębin ducha i żywą

jego analizą, nie zaś »tołstojowskiemi« rozumowaniami pokazuje nam wszystkie możliwości, kryjące się w tych nieprzejrzanych głębiach. On też zarówno swem piśmiennictwem, jak całem życiem swojem dowiódł, że jak bohaterami wieków minionych mogli być królowie, prawodawcy, rycerze, prorocy, pustelnicy i asceci, tak we współczesnej cywilizacyi ostatecznym typem bohatera może stać się bohater słowa.

W końcu drugiej części swego studyum rozpatruje Mereżkowski stosunek sztuki do religii i szuka ziszczenia swych zapatrywań przez Tołstoja i Dostojewskiego.

Zdaniem jego prawdziwe piękno lubi być widzianem, ale nie znosi, ażeby na nie wskazywano palcem. W tym względzie jest ono wstydliwe, może do przesady. Piękno lubi nie tylko, żeby mu służyć, lecz i samo oddaje się na usługi. Jednym z najważniejszych utworów helleńskiego ducha, w którym on wyraził się najjaśniej i najgłębiej zarazem, była tragedya, która wzięła swój początek z tajemnic religijnych i w ciągu swego rozwoju zachowała żywy i nieustanny związek z religią, tak że akcya tragedyi była na poły nabożeństwem, — teatr zaś na poły świątynią. Tak samo całe greckie malarstwo w dobie swego największego rozkwitu służyło religii. Naonczas tylko, gdy ten związek został zerwany wpływem rzymskiej kultury, kiedy bogów zaczęto umieszczać w panteonach i muzeach, wtedy dopiero zaczęto mówić o zasadzie »sztuka dla sztuki«, za czem poszedł bezpośrednio dekadentyzm. Ów związek malarstwa z religią uwidocznił się później w malarstwie symbolicznem katakumbowem. Też same cechy odznaczają epokę włoskiego odrodzenia.

U Tołstoja i Dostojewskiego znajdujemy dwie cechy, zbliżające ich do wielkich twórców wielkiego renesansu. Przedewszystkiem artyzm ich obydwu stoi w ścisłym związku z religią, i to religią nie teraźniejszości, lecz przyszłości, religią — dodajmy nawiasem — polegającą, podług Mereżkowskiego, na zjednoczeniu kultu Ducha z kultem uduchownionego Ciała. Tołstoj z Dostojewskim jakby podzielili między siebie rolę służebną sztuki względem takiej religii. Pierwszy sięgnął swem jasnowidzeniem do tajemnic ciała, okazując się nie mniejszym od Michała Anioła malarzem jego, tylko, że przedstawiał je słowem, nie zaś, jak tamten, barwami. Tołstoj pierwszy poważył się obnażyć ciało ze wszystkich płacht kulturno-historycznych, jednocząc w swojem przedstawieniu obraz Boży ze zwierzęcym. Zarazem też przeczuł on możność ostatecznego zwycięstwa ducha nad ciałem.

Dostojewski zaś wglądnął w bezdeń ludzkiego ducha. Ludzie

obawiali się, iżby rozum nie wytępił uczucia, bijącego z serca, osobliwie religijnego uczucia, żeby świat poznania nie został całkowicie rozjaśniony do najgłębszych tajemnic. Dostojewski wykazał, że mniemanie takie jest najzupełniej błędne i nieuzasadnione, że rozumy są na to bezsilne, za słabe i niedołężne. Ponadto zrozumiał on, że między rozumem a sercem istnieje zupełna zgoda, że wyższy stopień naukowego poznania może podnieść ludzi na wyższy stopień religijnych uczuć.

Wreszcie zastanawia się Mereżkowski nad tem, czy jest możliwą rzeczą, iżby współczesna rosyjska kultura była taka sama, jaka wydała w ciągu półtora wieku tak niezwykłe zjawiska, jakiemi były postacie Piotra Wielkiego, Puszkina, a potem Tołstoja i Dostojewskiego? Trudno nawet przypuścić, ażeby najbliższe ćwierćwiecze dało literaturze rosyjskiej takie arcydzieła, jak: »Anna Karenina« lub »Bracia Karamazowy«. Ze zbytkiem skrajnego pesymizmu sądzi Mereżkowski, że we wszystkich współczesnych objawach rosyjskiego ducha daje się zauważyć bezpłodność filozoficzna i religijna, począwszy od słowianofilstwa do marksizmu, od dekadentyzmu do *narodniczestwa*. Wyrzekaniom tego rodzaju trudno w zasadzie przyznać słuszność, choćby dlatego, że niepodobna każdego czasu żądać ukazania się umysłów genialnych, lub chociażby tylko niepospolitych, powtóre zaś dlatego, że podobny stan rzeczy panuje nie tylko w samej Rosyi, przynajmniej na polu literatury pięknej. Zresztą sam Mereżkowski, z niejakiem wahaniem, widzi, w pewnych najnowszych prądach, zapowiedź możliwego pojawienia się geniusza, mającego we wspaniałej syntezie zjednoczyć antytezy Tołstoja i Dostojewskiego i dać światu nową ostateczną kulturę i religię...

III.

Cały ogromny tom drugi dzieła Mereżkowskiego zajmuje się religią obu tych mocarzy słowa, sądząc ich z wysokości swych religijnych pojęć i pragnień, obszernie wyłożonych we wstępie do tego tomu.

Do najnowszych czasów Tołstoj nigdy nie był wodzem duchowym społeczeństwa rosyjskiego w pełnem znaczeniu tego słowa, nie był jego nauczycielem. I z jakiej to przyczyny? — nasuwa się pytanie. Pomiędzy siłą nieświadomej twórczości, t. j. tem, co nazywamy geniuszem, z jednej strony, a siłą poznania, rozumu, z drugiej, zachodzą najrozmaitsze stopnie zgodności i napięcia siły, podobnie jak między fizyczną objętością ciała, jego wzrostem i siłą mięśni. U Pu-

szkina, Goethego daje się zauważyć wyższy stopień tej proporcyi: ich ustrój duchowy jest podobny do ustroju pięknego ludzkiego ciała. Takiej proporcyi darmo szukalibyśmy u Tołstoja, a jeśli ona nawet istotnie zachodzi u niego, to w niższym stopniu. Tołstoj w swojem rozumowaniu jest tak słabym Goliatem, że go wcześniej czy później musi pokonać maleńki Dawid. Ową niezdolność do bystrego spostrzegania, ciężkość umysłu, zauważył u niego pierwszy Dostojewski. Stwierdza to i sam Tołstoj niejednokrotnie w swoich pismach, czy kiedy mówi, że wszystkie odkrycia współczesnej nauki od Newtona do Helmholtza, wszystkie te, jak się wyraża »badania protoplazm, formy atomów, spektralne analizy gwiazd« — są nic nie warte, czy kiedy porównamy jego zdania, tyczące się nauki o szczęściu ludzkości i o tem, »jakie grzyby są jadalne«, z wyrażeniem, iż cała nauka i sztuka są bańką mydlaną, ujrzymy krótkowidztwo Tołstoja niezrównane. Czy zatem taki krótkowidz może być prorokiem narodu?

A przecież pewna część inteligentnego ogółu rosyjskiego uznała Tołstoja za swego mistrza, powstając zarazem w imię swobody myśli i sumienia przeciwko dogmatyce cerkiewnej i scholastyce.

Ludzie mogą wstępować w związek z innym człowiekiem w imię pozytywnych danych; lecz związek zawarty w imię negacyi jest śmieszny, bo przecież z niczego nie da się nic stworzyć. Właśnie w związku części społeczeństwa rosyjskiego z Tołstojem widzimy wspólną negacyę, w odrzuceniu religii panującej — bez żadnego ogólnego stworzenia jakiejś nowej formy Chrystyanizmu. Stąd jasnem jest, że naród, któryby poszedł śladami Tołstoja w nihilizmie religijnym, stanąłby niewątpliwie nad bezdenną przepaścią. Społeczeństwo takie, myśląc, że walczy z Kościołem, walczyłoby z historyą, z narodem, czyli w rzeczywistości walczyłoby o swoją zgubę, nie o zbawienie.

W imię czego właściwie powstał Tołstoj przeciwko Kościołowi? Oto, powiada Mereżkowski, w imię bezcielesnej duchowości przeciwko Duchowi i Ciału. Odrzuca bowiem wszystkie trzy tajemnice Ciała, zawarte w Chrystyanizmie: tajemnicę wcielenia, przeistoczenia (eucharystyi) i zmartwychwstania. Odrzuca zaś je dlatego, bo upatruje w nich religijny materyalizm, »magię«, ponieważ wierzy tylko w bezcielesną świętość. Bóg jest duchem — tylko tyle pojął Tołstoj z całego historycznego Chrystyanizmu, a nawet wydaje się na pozór w tem być więcej chrześcijańskim od samegoż chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo tedy Tołstoja przeistoczyło się w buddyjski nihilizm, w religię nicości, ubóstwiania niczego. Nauka Tołstoja tem jest niebezpieczniejsza, ile

że jej skrajny spirytualizm który służy za maskę dla skrajnego materyalizmu i nihilizmu, jest niezaprzeczonem następstwem jednostronnego ascetyzmu.

Jedno tylko trzeba zaznaczyć i silnie podkreślić, że mianowicie w odpadnięciu Tołstoja od Cerkwi nie było z jego strony złej woli, złego zamiaru. On czynił wszystko, co było w jego mocy: walczył, męczył się, szukał. Niewątpliwie pożądał on wielce Boga! Tem też straszniejszy jego upadek. I to, że nauka jego znalazła podatny grunt w inteligentnem społeczeństwie rosyjskiem, nie stanowi dziwnego faktu, skoro się zechce zważyć, że między Tołstojem a czytelnikami musi istnieć pewna silniejsza spójnia duchowa.

I Dostojewski, jak i Tołstoj, zdaniem Mereżkowskiego, wypełnił zaledwie część przypadłego nań udziału pracy na rzecz przyszłej oczekiwanej religii. Nie streszczamy jednak poglądów autora w tym przedmiocie, jako mniej aktualnych dla naszych czytelników.

* * *

Jak tedy z tego krótkiego przedstawienia widzieliśmy — sąd, jaki wydał Mereżkowski o Tołstoju, jest bardzo surowy. Surowość ta w dodatku jest zupełnie usprawiedliwiona wobec naukowego charakteru dzieła, wobec nagromadzonych w niem z pism Tołstoja faktów na każde twierdzenie. Mniej surowym, owszem niekiedy może zbyt pobłażliwym jest autor dla Dostojewskiego.

Pomimo swej filozoficznej tendencyjności, wspólnej wszystkim utworom Mereżkowskiego, praca jego o Tołstoju i Dostojewskim posiada ogromną wartość. Pisana na sposób Anatola France'a, z ogromną znajomością przedmiotu i bystrą rozwagą, wytwornym językiem, należy do rzadkich okazów nie tylko w krytyce literackiej rosyjskiej, ale nawet europejskiej. Dowodem jej poczytności trzecie wydanie w stosunkowo krótkim czasie. Dziś każdy, kto chce mówić o Tołstoju i Dostojewskim, powinien dla własnej korzyści poznać tę wspaniałą książkę.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Discours de Combat. *Ferdinand Brunetière.* Paris 1903 i 1904.

Najznakomitszy krytyk i historyk literatury francuskiej F. Brunetière zajmuje się od pewnego czasu coraz goręcej kwestyami filozoficznemi, które doprowadziły go do samej teologii; w czem zresztą

nie ma nic dziwnego, bo, jak słusznie mówi, możemy najzupełniej się obejść bez znajomości gór na księżycu i własności eteru, ale nie możemy żyć bez rozwiązania kwestyi: dlaczegośmy się urodzili? czemu umrzemy? co nas czeka po śmierci? Odpowiedzi na te zagadki szukał Brunetière najpierw w różnych systematach filozoficznych, zwłaszcza w pozytywiźmie Aug. Comte'a, ale bez skutku. Wielkiemu znawcy literatury francuskiej, zwłaszcza wieku XVII nietrudno było znaleźć drogowskaz, kędy szukać prawdy, w dziełach Bossueta i Pascala. To też ją znalazł, a idąc śladami swych mistrzów, nie poprzestaje na zadowoleniu wewnętrznem z uzyskanego spokoju, znalezionej prawdy ale, acz nie teolog z powołania, poczuwa się do obowiązku społecznego porywania i innych na tę samą drogę.

Korzysta on z każdej sposobności, by swą przekonywującą i pod każdym względem świetną wymową głosić potrzebę powrotu do wiary i to tej, jedynie prawdziwej, katolickiej. W tym duchu przemawia na kongresie młodzieży katolickiej w Besanson wobec arcybiskupa tamtejszego, na kongresie katolików północnej Francyi w Lille; słucha go Marsylia, Avignon, Tuluza, Tours, Fryburg szwajcarski, a nawet Genewa, gdzie w samym uniwersytecie wobec najwybitniejszych Kalwinów mówi o ich mistrzu Janie Kalwinie i nie waha się tam otwarcie zbijać błędów tegoż i jego naukę nazwać herezyą, a podnieść i wykazać wyższość katolicyzmu,

Dzieło, o którym chcę mówić, to właśnie zbiór onych przemówień[1] z lat ostatnich (1896—1902), wzbogaconych bardzo licznemi uwagami, w których autor polemizuje z krytykami tych przemówień, nie darując nawet bezimiennym miernotom dziennikarskim.

Ale nie tylko kwestye religijne tu porusza autor; wśród licznych bowiem motywów, dla których pragnie odrodzenia wiary w swym kraju, jest wcale niepoślednim patryotyzm. Ten rys charakteru u Brunetière'a czyni go dla nas zwłaszcza Polaków niezmiernie sympatycznym; przypominają nam jego mowy żywo kazania sejmowe, podobny w nich miejscami potężny zapał, lapidarność wyrażeń, choć wogóle u francuskiego mowcy znać więcej logika, filozofa, który tylko raz po raz pozwala sobie na wybuch uczuć. Jeden z najpiękniejszych, a nam szczególnie do serca przemawiających, wydobywa się z serca tego

[1] Ferdinand Brunetière: *Discours de Combat.* Paris, Perrin et Cie 1903. (Première Série) 1904 (Nouvelle Série).

patryoty, kiedy, mówiąc »o nieprzyjaciołach duszy francuskiej«[1], z przerażeniem patrzy się na rozrost indywidualizmu i jako odstraszający przykład wskazuje — nasz naród: »Niechże przynajmniej wielki przykład nas pouczy. Istniał niedawno — i dziś ledwie go sobie przypominamy — w samym środku Europy wielki naród, naród bohaterów, naród równie sławny świetnością swych obyczajów, wdziękiem swych kobiet, jak odwagą swych mężów. Był to naród dumny i naród zdolny. Cywilizacya zachodnia i całe chrześcijaństwo winne mu były wieczną wdzięczność za to, że przez całe wieki służył im za przedmurze przeciw Turkom. I gdyby przymioty osobiste jednostek, które go składają, mogły uratować wielki naród z upadku, to który, kiedykolwiek naród lepiejby był na to zasłużył, jeśli nie szlachetna i nieszczęśliwa ojczyzna Sobieskiego i Kościuszki? A jednak ona umarła i wiecie z jakiej choroby! to indywidualizm ją zabił, to *Liberum veto*... czyż chcemy stać się Polską? Wiedzmy przynajmniej, że dotąd zmierzamy«!

Z drugiej strony Brunetière nie jest wrogiem tej lub owej formy rządu, nie idzie bynajmniej śladem Bourgeta, który w »Etapie« tak gwałtownie się rzuca na idee rewolucyi, godząc nań bronią najmniej spodziewaną, bo ideą chrześcijańską. (»Chrześcijaństwo różni się zasadniczo od idei rewolucyi, ma ono zupełnie inne podstawy«). Tak na dzisiejsze stosunki conajmniej nietaktycznem zachowaniem się nie grzeszy Brunetière; owszem, o ile absolutne braterstwo uważa w świecie za utopię, to jednak w samej idei rewolucyi widzi poprostu »laicyzacyę idei chrześcijańskiej«. »Tak, wolność, równość, braterstwo przyszły na świat przez chrześcijaństwo«, albo na innem miejscu (II, 36): »Ogłoszenie praw człowieka jest laicyzacyą idei chrześcijańskiej«; ale zarazem tłumaczy, że dla tego pochodzenia swego te prawa mogą tylko na gruncie chrześcijańskim wejść w życie, w przeciwnym razie »oddzielając je od swego gruntu dogmatycznego i mistycznego, zawiesza się je niejako w powietrzu, w próżni, paczy się je, kaleczy, pozbawia możliwości udowodnienia siebie samych«. I tu widzi autor jedną z owych »racyi aktualnych wierzenia«, którym poświęca świetne swe przemówienie na kongresie w Lille.

W imię patryotyzmu więc zwalcza Brunetière przedewszystkiem indywidualizm, który jeśli nie jest identyczny z egoizmem (»prywatą« u Skargi), to do niego wprost zdąża; odnośne ustępy należą do naj-

[1] *Les Ennemis de l'Ame française*, conférence prononcée à Lille le 15 mars 1899.

pięknejszych: »Indywidualiści, to ci, co widzą w państwie, w ojczyźnie, w społeczeństwie jedynie sługi swych próżności, albo narzędzia swych ambicyi; to ci, co uważają siebie samych za świat, albo raczej centrum świata, i którzy — zanim im profesor greki w delirium niemocy i zadowolenia z siebie zarazem (Nietsche) był dał formułkę, praktykowali w życiu codziennem teoryę nadczłowieka«... Temu rozrostowi indywidualizmu przypisuje autor jako skutek między innemi depopulacyę Francyi.

Potępia on ten grzech nie tylko w życiu społecznem ale i w sztuce i literaturze, które — jak pięknie się wyraża — »nie są rozrywkami mandarynów«... Jeśli jaka literatura to francuska była przez trzy wieki prawdziwie społeczną; a indywidualizm w sztuce i literaturze jest paczeniem »duszy francuskiej«, która zawsze była *essentiellement sociable* (I, 208).

To przypominanie patryotyzmu ma we Francyi dzisiejszej swą żywą aktualność, bo niestety grasują tam idee, które, jeśli nie zwią się same kosmopolityzmem, to do niego zmierzają; bo i cóż innego głosi n. p. socyalizm tak dziś potężny we Francyi?

Są naiwni, którzy w tem widzą wyższość kulturalną Francyi, że ta, jak sami mówią, poświęca ideę narodową dla idei ogólno-ludzkiej. Był to autor [1], który całe dzieło poświęcił tego rodzaju zachwytom nad Francyą, na co mu jednak Brunetière w swym organie *Revue des Deux Mondes* [2] słusznie odpowiedział, że każdy najlepiej służy ludzkości, służąc swojej ojczyźnie; a co do sławy, jaką się Francya dziś cieszy za granicą to niestety należy się zastanowić nad tem, czy ona przypadkiem nie na tem polega, że, gdy hrabia lub książe angielski czy moskiewski chce pozwolić sobie na to, czegoby się musiał u siebie w kraju wstydzić, to przyjeżdża do Paryża, albo, gdy cudzoziemiec chce przeczytać powieść niemoralną, jakiej w swojej literaturze nie znajduje, to sięga po książkę francuską — czy to może być racyą do dumy narodowej?

Tak samo i w Discours de Combat Brunetière występuje przeciw kosmopolityzmowi i tym kierunkom myśli francuskiej, które szkodzą idei narodowej. Tu należy ten fałszywy patryotyzm niektórych (i to bardzo licznych) republikanów, którzy w pismach, dziełach naukowych

---

[1] M. J. Novicow: *L'Expansion de la Nationalité française. Coup d'oeil sur l'avenir.* Paris 1903. Armand Colin.

[2] Z dnia 1-go czerwca 1903.

i z katedr głoszą zupełne zerwanie Francyi republikańskiej z przeszłością i na tem zasadzają jej potęgę. Tak myślał Barrière, kiedy wołał w *Convention nationale: Vous êtes appelés à recommencer l'histoire,* a tłum nie inaczej to rozumiał, gdy niszczył groby królów swych w St-Denis. Nietrudno Brunetière'owi udowodnić paradoksalności takich teoryi: »Nie rozpoczyna się na nowo historyi, tak jak się nie rozpoczyna na nowo życia, co najwyżej się je odnawia, odnawia się zaś jedynie, kontynuując, a do tego służy nam tradycya, i stąd najgorszymi nieprzyjaciółmi »duszy francuskiej są nieprzyjaciele tradycyi« (I, 174). Z właściwą też sobie logiką wykazuje autor, że rozmyślne zapominanie o zasługach królów francuskich jest nie tylko niewdzięcznością, ale i paczeniem prawdy historycznej? »Tradycyą dla nas — mówi dalej — to nie to, co umarło, przeciwnie to, co żyje, co z przeszłości pozostaje w teraźniejszości, co przechodzi chwilę aktualną.. początek tej tradycyi sięga nie Klodwika dopiero, ani Karola Wielkiego, ale jeszcze dalej aż do Gallów, Cezara, dalej jeszcze do tego, co powiedział: *duas res pleraque Gallia industriosissime prosequitur, rem militarem et argute loqui;* mamy tradycyę wojskową i literacką, umysłową, i mamy także, odkąd chrześcijaństwo się ukazało, tradycyę religijną, *natio est omnium Gallorum,* mówił już Cezar, *admodum dedita religionibus.* Utrzymanie tej potrójnej tradycyi jest, zdaniem autora, obowiązkiem prawego Francuza.

Ze szczególną ciętością zwalcza wrogów tradycyi militarnej, poświęca jej osobną konferencyę p. t.: *La nation et l'armée* (mianą w Paryżu 1899). »Chcemy armii, mówi tam — po pierwsze, bo chcemy nadal być Francyą i ponieważ armia jest narzędziem czy organem potrzebnym do ochrony, obrony i działania tej osobistości historycznej, która się nazywa Francyą«. Dowody na tę konieczną potrzebę armii są oczywiście w oczy bijące i aż dziwno, że mogą istnieć ludzie oświeceni, którzy tego dziś nie rozumieją. »Po drugie chcemy armii i potrzeba nam jej, ponieważ chcemy nadal pozostać narodem, a nie towarzystwem ubezpieczeń... chcemy armii, ponieważ jesteśmy i chcemy pozostać organizmem żywym«... i dalej autor tłumaczy, że czem w monarchii dynastya, tj. gwarancyą trwałości pierwiastka narodowego, tem dla demokracyi armia narodowa, która jedna jest zdolna utworzyć, utrzymać i zacieśniać ten węzeł jedności — i dalej mówi, że roli tej nie może spełniać żadna inna instytucya, jak n. p. magistratura, bo ta jest nie czem innem, jak »arystokracyą, śmietanką, sztabem jeneralnym bez żołnierzy«; armia zaś, w której wszystkie warstwy

i stopnie oświaty się schodzą w jednym szeregu, najlepiej utrzymuje tę jedność, idei demokratycznej najdoskonalej odpowiada i ją najdzielniej propaguje i to jest trzecia racya, dla której, zdaniem Brunetière'a, Francyi potrzebna jest armia.

Rzecz jasna, że wielki znawca literatury, a więc umysłowej kultury Francyi staje w obronie tradycyi literackiej albo intelektualnej, co też ma swoich wrogów wśród samych Francuzów. Istna epidemia panuje tam w pewnych kołach wywyższania »rasy anglo-saksońskiej« nad własną — zjawisko zresztą i w innych krajach kontynentu europejskiego powszechne. Brunetière nie przeczy bynajmniej świetnym przymiotom Anglików, owszem z zazdrością patrzy na szczęście sprzyjające im w tym wieku i takiegoż dla Francyi by pragnął. »O, zaprawdę, chciałbym, abyśmy sobie byli oszczędzili naszych 8 lub 10 rewolucyi! i by nasze instytucye były tak szanowane przez nas samych, nasze finanse równie dobrze administrowane, nasze kolonie w takim rozkwicie, jak ich!« Ale z tem wszystkiem wyższości ich rasy nie uznaje, a raczej gotów wykazać, iż tę »wyższość« zawdzięczają temu, że zawsze i we wszystkiem pozostali Anglo-sasami i z tego są dumni; w tem też jednem Francuzi mają iść za nimi, a nie niewolniczo naśladować ich zwyczaje, aż nieraz do śmieszności. A być Francuzami i nimi pozostać, to znaczy pielęgnować w sobie te przymioty, które uczyniły Francyę wielką, a których brak ją wiedzie do upadku, to znaczy nie sprzeniewierzać się tej »duszy francuskiej«, której tak wiernym wyrazem jest literatura francuska wieku XVII. Brunetière podnosi jej znaczenie dla rozwoju narodu: z wyjątkiem kilku epikurejczyków, wszyscy pisarze tego wieku uczyli w swych dziełach czynu; oni nie pisali by pisać, ani by urzeczywistniać marzenia piękności oderwanej, ale by działać i, według powiedzenia jednego z nich. «by pracować nad udoskonaleniem życia obywatelskiego«. Najsurowszymi byli dla hasła »sztuka dla sztuki«, które im było obce. »Oni mniemali, że słowo dane nam było, by wyrażać idee, a idee, by służyć za światło i za przewodnika w postępowaniu. I tem zapewnili sobie, iż się tak wyrażę, rozlanie albo promieniowanie duszy francuskiej w świecie [1]. Po nich przyszli inni, którym nie brakło ani popularności, ani sławy, ani geniuszu może, — ale o ileż mniej oni Francuzami!«

---

[1] Genezę tej hegemonii umysłowej Francyi widzi Brunetière w «duchu latyńskim *(génie latin)*, którego Francya jest bezpośrednią spadkobierczynią i najdoskonalszą wyobrazicielką. Autor poświęca osobną konferencyę temu

Świetne są uwagi o posłannictwie sztuki i literatury w narodzie, a między innemi to może zbyt śmiałe powiedzenie, skierowane przeciw czcicielom natury, szukającym w niej wzoru i nauki dla jednostek i narodów: »Natura jest niemoralną, z gruntu niemoralną... do tego stopnia, że każda moralność nie jest w swym pierwszym zaczątku czem innem, jak reakcyą przeciw naukom i radom, które nam daje natura... staliśmy się ludźmi i możemy się nimi stawać coraz bardziej, jedynie, uwalniając się od natury i starając się stanąć wśród niej jak »państwo w państwie« ... Jeżeli nie jesteśmy jako ludzie wyjątkiem w naturze, to jednak ludźmi jesteśmy o tyle tylko, o ile różnimy się od reszty natury«. To samo odnosi się i do życia społecznego, i tutaj trafnie zauważa autor, że wielkie idee rewolucyi są także przeciwieństwem tego, co widzimy w naturze, gdzie niepodzielnie panuje prawo mocniejszego lub sprytniejszego, ale nigdy nie równość, a cóż dopiero braterstwo.

A wreszcie trzecia tradycya: religijna, »która nie najmniej bywa zaczepiana, ale i nie najmniej potrzebna, ani najmniej niezbędna«. Francya, zdaniem autora, jest najściślej złączona z katolicyzmem, bo jeśli Francya oddała katolicyzmowi rzeczywiście wielkie usługi, to i on jej oddał niemniejsze, może jeszcze większe«. I dziś interesy Francyi są złączone z interesami katolicyzmu i jeśli można być żydem, mahometaninem lub wolnomyślnym i Francuzem zarazem, to jednak nie można być Francuzem i antykatolikiem, bo każdy atak na katolicyzm jest zarazem atakiem wymierzonym przeciw samej Francyi.

Kwestyi religijnej poświęca Brunetière większą część tu omawianych konferencyi. Gruntowne omówienie tej strony dzieła byłoby zadaniem teologa. Ograniczę się więc tylko na zaznaczeniu ważniejszych punktów. Brunetière (pod wpływem Pascala) uznaje za kryte-

przedmiotowi i dowodzi wyższości »ducha latyńskiego« nad greckim; charakterystyczną cechą ducha latyńskiego było jego dążenie do uniwersalności, a co za tem poszło, pewna pozytywność, liczenie się z warunkami realnymi, które jedno może tę uniwersalność w czyn wprowadzić. Stąd nie unosił się ten «duch« bardzo ponad ziemią — ale w tem właśnie jego zasługa, że przyjemność albo upojenie niepożytecznemi spekulacyami podporządkował wymaganiom działania, a to znaczy — mówi Brunetière — brać życie na seryo, i to też jest rysem »ducha latyńskiego«. Rzymianie nie myśleli, by życie było im dane, by się niem bawić na sposób wschodni czy grecki, ale by je wykorzystać dla służenia ojczyźnie i społeczeństwu. To też było ideałem Francyi wieku XVII w życiu i literaturze; a pozostanie wiernym tej tradycyi latyńskiej jest i dziś jednym z warunków potęgi Francyi.

ryum prawdy serce i to jest główny ale też i jedyny prawie błąd jego rozumowania; a w dodatku istnieje prawie tylko nominalnie, bo *de facto* Brunetière to nie człowiek serca, ale przedewszystkiem głęboki myśliciel, i konkluzya ostateczna, jaką jest uznanie Prawdy objawionej w kościele katolickim, to nie rezultat funkcyi uczuć, ale przeciwnie długich i głębokich studyów filozoficznych i teologicznych, które przecież są pracą rozumu [1].

Praca ta w tym wypadku zastanawia swoim ogromem. Musiała to być wielka żądza Prawdy, która znakomitemu historykowi literatury francuskiej kazała oddać się tak sumiennym, rozległym studyom, nie wchodzącym w zakres jego zawodu. Od Ewangelii i Ojców Kościoła do encyklik Leona XIII i najnowszych dzieł apologetycznych niema może rzeczy wybitniejszej, z którąby się wprost lub pośrednio nie zapoznał; bogactwo cytat w tym kierunku zdumiewające, zwłaszcza jak na nie-teologa. A zapał do tego studyum bynajmniej go nie opuszcza; owszem zabiera się on (znowu za przykładem Pascala) do dzieła, które może podobnie jak tamtego *Pensées* przynieść niemały pożytek nauce i religii. Ma to być coś w rodzaju apologii chrześcijaństwa, do której chce autor wciągnąć zdobycze wiedzy nowoczesnej i systemata filozoficzne, biorąc z nich ziarna prawdy, których istnieniu przeczyć może tylko umysł płytki lub stronniczy. Chce Brunetière pokazać, ile pierwiastku chrześcijańskiego znajduje się nawet w tych doktrynach, które ich autorowie uważali za najoryginalniejsze, najbardziej oddalone od chrześcijaństwa, a którem to chrześcijaństwem oni sami — tak jak my wszyscy — byli przesiąknięci. Zdaje się, że pierwszy tom tej wielkiej pracy już jest rozpoczęty, bo księgarnia Perrin et Cie ogłasza: *Pour paraître prochainement: Sur les chemins de la croyance. Première étape.* — Miłość prawdy, rozległa wiedza i więcej niż wybitny umysł autora, są gwarancyą, że będzie to dzieło niepoślednie. A choćby w niem i znalazło się trochę fideizmu, to będzie to tylko materyalne zboczenie.

Ale nim tamto dzieło się ukaże, uznajemy wielką doniosłość omawianych tu dwóch tomów p. t. *Discours de Combat.* Manifest to jednego z najwybitniejszych umysłów Francyi, manifest wiary i patryotyzmu. Rzecz charakterystyczna, że w dzisiejszej Francyi ludzie wracający do katolicyzmu wraz z światłem wiary nabywają jakiegoś

---

[1] Omawiał tę kwestyę obszernie ks. W. Ledóchowski T. J. w artykule p. t. »Rozumność wiary« (*Przegląd Powszechny* styczeń 1897).

jaśniejszego patrzenia na sprawy społeczne, narodowe, że się zajmują niemi żywiej, stają się gorącymi patryotami nie tylko w uczuciu ale i w pismach. Tak Bourget, po nawróceniu, w »Etapie« roztrząsa obecne położenie swej ojczyzny, toż czyni Brunetière. Tylko podczas gdy tamten nie odróżnia lichych reprezentantów idei (obecnego rządu) od idei samej, to Brunetière stoi ponad kwestyą demokratyzmu czy arystokratyzmu i nie wynosząc żadnej z form rządu, uważa każdą za zgodną z ideą chrześcijaństwa, byle się na tejże oparła.

Szczególnego zaś wdzięku nabierają konferencye Brunetièra w naszych oczach, i my je jakoś lepiej odczuwamy dla tego podobieństwa, jakie, mimo tylu różnic, widzimy między rolą tego kaznodzieiprofesora a posłannictwem naszego Skargi; bo i Francya dziś — znowu mimo różnic i to znacznych — przypomina dawną Polskę; musi to podobieństwo istnieć, skoro sam Brunetière je dostrzegł. A ostateczny wynik tych uwag nad dolą ojczyzny czy nie ten sam, który mamy w »Kazaniach sejmowych«? Wyrzeczenie się egoizmu (= prywaty) i trwanie przy sztandarze wiary i narodowości: oto jedyny ratunek dla Francyi — i dla nas.

M. P.

Charles de Lorraine et la Cour de Bruxelles sous le regne de Marie Thérèse. *Lucien Perey.* (II edit. Paris. Calmann-Levy Ed. str. 235)

Nowa publikacya p. Lucien Perey stanowi jakoby dalszy ciąg pism p. Boyé, zwłaszcza pierwsza jej część omawiająca losy rodziny książąt lotaryngskich w chwili zaboru i po zaborze ich kraju. Stanowi wszakże do p. Boyé przeciwieństwo o tyle, iż gdy on widzi rzeczy z punktu patryoty Lotarynczyka, składającego winę nieszczęścia na ambicyę francuskiego rządu, L. Perey jako Francuz wini tylko dwór wiedeński i biednego księcia Franciszka II i wychwala dobry stosunek między książętami lotarynskimi a Ludwikiem XV. O Leszczyńskim mało co wspomina, zato o Maryi Teresie przytacza szczegóły ciekawe i mało znane. Rzecz rozpoczyna się wstępem raczej krótkim, niż treściwym zawierającym przypomnienie dziejów Niderlandów do odpadnięcia ich od Hiszpanii, poczem autor przenosi nas odrazu na dwór Ludwika XIV w chwilę małżeństwa księżniczki orleańskiej, siostry przyszłego Regenta, Charlotty z przywróconym czasowo do swego dziedzictwa ks. Lotaryngii Leopoldem synem ks. Karola i naszej królowej Eleonory. Młodą księżnę uderzyć musiała różnica między etykietalną

wspaniałością wersalskiego dworu, a dobroduszną, popularną prostotą Lunevillu: toż wkrótce po przybyciu przyszło jej wraz z mężem kroczyć w pierwszą parę na czele procesyi nowożeńców odbywanej co roku i zwanej *fête des Brandons*. Matka jej, dziwna a sprytna Palatynówna cieszyła się jej oddaleniem od paryskiego zepsucia, obawiając się nawet w czasie krótkich odwiedzin złych dla niej wpływów. Wkrótce jednak pojęła, że nie o żonę należy się lękać, ale o męża: syn bohatera z pod Wiednia nie odziedziczył ojcowskiej cnoty. Losem Charlotty podobnie jak później losem księżny Karolowej de Ligne miało być ciągłe przebaczanie niewierności małżonka oraz usiłowanie spłacania jego długów. Młodszy jej syn Karol, tytułowy bohater książki urodził się r. 1712; był od początku bardzo zabawnem dzieckiem, wielkim ulubieńcem matki. Starszego, idąc za zdaniem ks. de Ligne oraz antypatyą francuską, opisuje autor jako pełnego sztywności i dumy zwłaszcza po niejakim czasie pobytu w Wiedniu dokąd go, gdy wyrósł, powołał cesarz Karol VI na narzeczonego Maryi Teresy. Pobyt ten był przyczyną, iż po śmierci ojca zaszłej w r. 1729 nie mógł objąć rządów księstwa, które przeszły w ręce jego matki wspomaganej przez ks. Karola. Życzeniem rejentki było, by Franciszek temuż Lotaryngii ustąpił. Tymczasem cesarz sprowadził go też do Wiednia, zapewne, aby w ciężkiej sprawie ustąpienia księstw w Lunewillu nie bruździł. Po owym dramacie lotarynskim, stronniczo jak mówiliśmy, skreślonym przez p. Perey odbył się ślub Franciszka z Maryą Teresą; etykieta jednak była tak dziwna, iż brat pana młodego cały dzień w swoim pokoju przepędził, nie biorąc w niczem udziału; siostra panny młodej była w kościele ale nie na uczcie weselnej... Nie było po co wracać do Lunewillu, gdzie już osadzano Leszczyńskiego. Karol tedy wstąpił w służbę austryacką i wraz z bratem odbył kampanię przeciw Turkom. Wynik był niekorzystny i cesarska kamera niechętna książętom lotarynskim na nich winę złożyła, podobnie owa nieszczęsna kamera była niegdyś powodem udręczeń ich dziadka równie jak Sobieskiego. Tym razem wpływ jej podziałał nawet na cesarza, który acz tyle lat namiętnie pracował, by tron córce zapewnić, obecnie pogniewał się na nią i na zięcia tak dalece, iż zamyślał wezwać elektora bawarskiego na dowódcę wojsk, a pono i na następcę (1740), rozbudzając tem jego nadzieje, których przebaczenie udzielone dzieciom przed śmiercią przez Karola VI nie zdołało już rozwiać. Wiadomo, iż tak nasz August III jak elektor bawarski byli mężami dwóch córek cesarza Józefa I, starszego brata Karola. Zanim

jednak wojna wybuchła, Marya Teresa ożeniwszy szwagra z siostrą swą Maryą Anną, wyprawiła ich jako wielkorządców do Niderlandów cesarskich. Tu przyjęto ich z entuzyazmem tem większym, im sroższa w kraju panowała bieda. Ks. Karol bardzo piękny przed ospą, a nawet po ospie nadzwyczaj uprzejmy, pozyskał odrazu serca krajówców, żona zaś jego na zjazd do Brukselli przywdziała strój narodowy brabancki. Wrażenie stąd nie było jeszcze minęło, gdy walka sukcesyjna wybuchła. Karol wyruszył w pole i szczęśliwszy niż w wojnie z Turkami, dokonał zwycięsko przeprawy Renu w granice nieprzyjacielskie. Wieść o tem wszakże stała się przyczyną nieszczęścia. Marya Anna odbyła pieszo długą procesyę dziękczynną, a zmęczenie przypłaciła zgonem swoim i swego dziecięcia. Żal był ogólny, zwłaszcza, iż przy rządach pozostawał przydany jej do pomocy pomocy hr. Kaunitz dbający raczej o wyzyskanie Niderlandów dla wiedeńskiego dworu, niż o dobro samego kraju. Ale i jego przyszło żałować, gdy po dłuższem oblężeniu wkroczył do Brukselli Maurycy saski na czele Francuzów. L. Perey przytacza kilka ciekawych listów pięknego »grafa Moryca« jak go w Polsce zwano. Znać w nich twardą wolę i nieugiętą logikę pod niezmierną ogładą. Charakterystycznym rysem epoki jest sprowadzenie przez niego do obozu teatralnej trupy paryskiej p. Tavart dla podtrzymania ducha w armii. Mniemał, iż zajmując i bawiąc późno w noc oficerów i żołnierzy uchroni ich od zniechęcenia od kart i hulanki: raz nawet kazał bitwę na dzień następny zapowiedzieć w teatrze wierszami wyśpiewanemi przez piękną aktorkę. Jeszcze paradniejszem jest, iż w armii przeciwnej zażądano na pewien czas pożyczenia tej trupy, co najuprzejmiej udzielonem zostało.. Okupacya Brukselli przez Francuzów trwała dwa lata. Gdy po traktacie w Ryswick Karol powrócił, zastał nędzę nie do opisania. Chciał rzucić się odrazu do gojenia ran kraju, miał wszakże ręce związane. W Wiedniu patrzano na Niderlandy, podobnie jak Kaunitz, a Marya Teresa trzymała szwagra pod najściślejszą kontrolą: musiał nawet zdawać sprawę z podziału swoich dni, z czynności każdej godziny. Przytem bezwzględność rozkazów jej rządu wprawiała go w strapienie pomnażając szkody wojną sprawione. Musiały zaś być wielkie skoro sprawozdanie z r. 1774 liczy mimo usiłowań Karola przeszło 106.000 żebraków w trzech belgijskich prowincyach. Część książki poświęcona rządom ks. lotarynskiego w Niderlandach jest najciekawszą, wypadki bowiem wojenne i polityczne można w każdym leksykonie wyczytać. Natomiast opis życia owej stolicy małego państwa

tak bardzo żywotnej i tak, mimo wspólności mowy i blizkiego sąsiedztwa, różnej od miast francuskich, przedstawia dużo nowości. Widzimy typ bardzo dumnej, podobnie jak dzisiaj, a przytem dobrodusznej arystokracyi miejscowej, nazwiska wsławione z czasów Karola V i Filipa II, a obok nich nie mniej dumne, podnoszące się dzięki opiece księcia wielkie domy handlowe, małomiasteczkową mięszaninę pedanteryi w sądach o bliźnich z dość luźną moralnością. Widzimy obraz brukselskiego dworu, którego budżet nigdy nie wystarczający wynosił przeszło 500.000 lb., z czego na opał i inne drobne potrzeby pałacu szło 145.000, na kuchnię 33.268, na stajnie 59.000, na bale, komedye, Msze św. i lekarzy (zapisane razem) 41.200 i t. p. Przyjęcia u dworu miały służyć za środek polityczny w czem walnie dopomagał ks. de Ligne, wyprawiając nawzajem nieprawdopodobne festyny. Zresztą widowiska, ognie sztuczne i allegoryczne pochody były i są w duchu narodu; autor opisuje dziwną procesyę zwaną *Ommegangh*, gdzie w pośród figur religijnych widniały dziwolągi, jak szatan w postaci parskającego ogniem czarnego buhaja, różne zwierzęta na koniach lub pieszo i najdziwniejszy z wszystkiego wóz z małpą, grającą na organach, w których każde poruszenie klawisza pociągało lżej lub silniej za ogon przywiązanego doń kota. Organy pełne były tych kotów, a wrzaski ich miały tworzyć iście kocią muzykę.

Marya Teresa przychodziła często w pomoc szwagrowi pieniężnemi datkami, które szły najczęściej na publiczne cele. Wogóle ks. Karol korespondował z nią raczej, niż z bratem i widział zwolna nietylko wzrost swej powagi i samodzielności, ale i wpływu w sprawach mogących Niderlandów dotyczyć. Rządy jego niemal czterdziestoletnie były dobrodziejstwem dla kraju. Zmarł wśród ogólnej żałoby w r. 1780. Ogromny posąg wzniesiony mu za życia przez wdzięczność poddanych zwaliła Rewolucya. W r. 1840 jednak kazał król Leopold nową statuę wystawić i dziś dobrotliwe oblicze Karola lotarynskiego patrzy znów z góry jak ongi na plac królewski Brukselli.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Szkic literacki. *Przemysław Mączewski.* (Odbitka z »Pamiętnika literackiego«). Lwów 1904. Nakładem Tow. lit. im. A. Mickiewicza. (8-ka, str. 47).

Od krótkiego czasu daje się zauważyć u naszych historyków literatury nader pocieszający zwrot. Dotychczas zwracano się przeważnie w badaniach ku poezyi rozmaitych czasów, podczas gdy o powieść dbał mało kto. A zwłaszcza powieść wieków dawniejszych była upośledzona, bo z XIX wiekiem było jeszcze jako tako dzięki dwutomowej pracy Chmielowskiego i kilku innym drobniejszym szkicom. Dopiero w ostatniem dwuleciu otrzymaliśmy parę rozpraw, poświęconych powieściom, a to: najdawniejszym p. L. Bernackiego (w »Pamiętniku literackim«) i d-ra Br. Gubrynowicza »Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta«. Obecnie mamy najświeższą rozprawę z tego zakresu p. Mączewskiego, który nią zadebiutował w świecie uczonym.

I trzeba mu przyznać, że debiut wypadł dobrze, co było tem trudniejsze, ile że historya powieściopisarstwa naszego jest niwą dziewiczą. Trzeba było tedy stracić niemało czasu na dokładne zaznajomienie się z współczesną literaturą powieściową obcą zwłaszcza, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż »Przypadki Doświadczyńskiego« powstały niechybnie pod wpływem zagranicy. To właśnie, że autor dotarł do właściwych źródeł powieści Krasickiego, że szczegółowo potwierdził niektóre dawniejsze w tej mierze przypuszczenia, inne zaś, jako nieuzasadnione, obalił i odrzucił, poczytuję mu za największe *plus* całej rozprawy. Widoczne zaś z niej umiłowanie prawdy, do której zdążać trzeba, choćby z największemi trudnościami, daje nadzieję, że nauka zyskała w p. Mączewskim wytrwałego pracownika. Takich zaś nigdy nie mieliśmy i nie mamy zbyt wielu.

Oprócz wykazania wspólnych z zagranicznymi motywów tej powieści, przynosi ta praca wyłuszczone najważniejsze rysy obyczajowe i społeczne »Przypadków«. Przedewszystkiem zaś ma ona na ciągłej uwadze wychowawczą tendencyę, jaką włożył w swój utwór Krasicki. Przytem myśl przewodnia »Przypadków« została ustalona, właściwym bowiem zamysłem Krasickiego było — zdaniem autora — odrodzenie przez trud życia realnego, a nie przez spekulatywną chimerę.

Język rozprawy dobry. Tylko powinien się autor wystrzegać jak najpilniej, kładzenia orzeczenia na samym końcu zdania. Pominąwszy, iż jest to dla czytelnika nużące, trzeba pamiętać, że wygląda, jakby tłumaczone z języka niemieckiego.

w. i.

Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce Tom X. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1904. (8-ka wielka, str. 631).

Po kilku latach przerwy wyszedł staraniem komisyi literackiej nowy tom tak ważnego w naszej nauce wydawnictwa. Jak zwykle składa się on z kilkunastu przyczynków. Rozpoczyna się tom omawiany dokładnym i sumiennie zestawionym przez

d-ra R. Abichta życiorysem Andrzeja Zbylitowskiego. Po nim następują »Polskie indeksy książek zakazanych«, przedrukowane z lat 1603, 1604 i 1617 przez pracowitego bibliotekarza Kórnickiego d-ra Z. Celichowskiego. Zajęty nieustannie dziejami szkolnictwa polskiego dr. Karbowiak przedrukował »Protokoły procesu ks. Andrzeja Czarnkowskiego z 1549 i 1550 roku«. W dalszym ciągu napotykamy w wydaniu tegoż pracownika sprawozdanie, złożone przez d-ra Dymidowicza Izbie edukacyjnej o stanie 14-tu szkół gimnazyalnych po-austryackich w r. 1810. Łukasza Górnickiego pięć listów do ks. Radziwiłła Sierotki wydał dr. A. M. Kurpiel, a p. Roman Plenkiewicz akta sądowe do biografii Kochanowskiego, już przez niego wyzyskane w znanej monografii. Resztę tomu, a raczej znaczniejszą jego część zajmuje »Wizyta jeneralna szkół i zakładów edukacyjnych w gubernii mińskiej odbyta w r. 1819», przez Józefa Twardowskiego. Jest to rzecz pierwszorzędna dla historyi szkolnictwa u nas. Oby dalsze tomy »Archiwum» rychlej się, niźli dotąd, pojawiały.

C.

Borowa. Drobiazgi etnograficzne. Podał *Świętek Jan.* (Odbitka z Materyałów antropol.-archeolog. i etnograficznych). Kraków 1903. Nakł. Akademii Umiej. (8-ka, str. 38).

Praca ta, choć drobiazgowa, zasługuje na omówienie z jednego względu. Znany nasz etnograf, autor »Ludu nadrabskiego«, postanowił zająć się opracowaniem monografii wioski Borowej, ale wnet musiał pożegnać się z zamierzonym projektem. Zaangażowanego bowiem do dostarczania materyałów surowych chłopaka wiejskiego sterroryzowała do tego stopnia gmina, że postawiła go nawet przed sąd, który — dzięki zdaje się przypadkowi — nie wydał wyroku potępiającego oskarżonego. Wobec takich okoliczności nie miał p. Świętek nic lepszego do uczynienia, jak wydać bodaj to z tak ciemnej miejscowości, co mu udało się zebrać. Istotnie są to drobiazgi, ale z uwagi na tę okoliczność, że — wobec braku oświaty u Borowian — nie można rychło spodziewać się z tej wsi wiadomości, nabrały one tem większej wagi. Ot! niewielka ilustracya usiłowań jednostki wobec braku zrozumienia ze strony ludu. Przyjąć z wdzięcznością jednakże to, co jest wynikiem niepowodzeń, jest wprost naszym obowiązkiem.

E. N.

Skarbiec poezyi polskiej. Serya pierwsza, tom pierwszy. Stanisław Konarski. Elżbieta Drużbacka. Pod redakcyą A. Langego. Warszawa 1903. Wydawnictwo Alfreda Zonera. (8-ka, str. 200).

Do tego rodzaju wydawnictw zwykło się przywiązywać mało wagi. Na omawiane jednak pragnęlibyśmy zwrócić uwagę szerszego ogółu, jako na publikacyę, prowadzoną umiejętnie, według pewnego planu. Według zapowiedzi całe wydawnictwo składać się będzie z pięciu seryj: pierwsza obejmie poetów XVIII i początku XIX wieku, poezyę ossyaniczną, poezyę legionów, poezyę ludową, poetów przedromantycznych; druga i trzecia poezyę romantyczną; czwarta poezyę od Asnyka do dni dzisiejszych; piąta wreszcie wiek XVI—XVII.

Tom pierwszy zawiera wybór wierszy lirycznych Konarskiego i Drużbackiej, a nadto »Tragedyę Epaminondy« Konarskiego w wyjątkach i streszczeniach, oraz Drużbackiej »Historyę ks. Eufraty« w urywku. Ponadto znajdujemy tutaj jędrne za-

rysy biograficzno-literackie Konarskiego i Drużbackiej pióra redaktora »Skarbca«.

Wobec trafności doboru utworów, jakie weszły w skład omawianego tomu, można mieć zupełną pewność, że zaleta ta będzie stale towarzyszyć następnym tomom, zwłaszcza, że p. Lange dał się niejednokrotnie poznać z energii i wytrwałości w każdem przedsięwzięciu. I nie wątpię, że znajdzie się wielu takich, którzy nie pogardzą tą starzyzną, poezyą XVIII wieku, bo w niej można znaleźć wiele pokarmu dla umysłu i uczucia. Początkowo jednak będzie wydawnictwo musiało walczyć z obojętnością ogółu, któremu smakują tylko rzeczy świeże, najnowsze. Tylko trochę cierpliwości i wytrwania w pięknem przedsięwzięciu.

A. N.

Kilka słów o dawniejszych bożnicach drewnianych w Polsce. *Mathias Bersohn.* Zeszyt 3. Warszawa 1903. (8-ka, str. 29).

Trzeci zeszyt pracy p. M. Bersohna, poświęconej budownictwu drewnianemu w Polsce, zawiera opisy trzech bożnic żydowskich: wołpiańskiej (w pow. grodzieńskim), wzniesionej prawdopodobnie w początkach XVII stulecia; nasielskiej (w pow. pułtuskim) z końca tegoż stulecia i wreszcie uzlańskiej (w gubernii mińskiej) z pierwszego dziesięciolecia XVIII wieku. Ta ostatnia, bardzo skromna, nie stanowi jednak w całej pełni właściwego typu bożnic żydowskich, które cechują wysokie piętrzące się dachy o kilku kondygnacyach i krużganki otwarte, biegnące po większej części wzdłuż frontowej budowli. Takiemi właśnie typowemi bożnicami są: wołpiańska i nasielska. Są to, nawiasem mówiąc, bardzo piękne budowle, szczególniej wyróżnia się pod tym względem bożnica nasielska.

Zaznaczyć należy, iż autor nie poprzestaje tylko na opisie samych budowli, architektonicznym i historycznym, lecz opisuje i przedmioty starożytne, przechowane w owych bożnicach (np. świeczniki i t. p.) Wartość tej pracy podnoszą liczne ilustracye, wykonane podług fotografij owych budowli, ich poszczególnych części, ornamentów, ołtarzy i t. p. A nadmienić też należy, że w niektórych wypadkach ilustracye owe stanowią dziś wszystko prawie, co po tych zabytkach przeszłości pozostało, nie wszystkie bowiem dochowały się w swym pierwotnym stanie do dnia dzisiejszego, inne znikły zupełnie z powierzchni ziemi, np. wspaniała bożnica w Nasielsku. Za utrwalenie tych pamiątek budownictwa drewnianego w Polsce należy się autorowi prawdziwa wdzięczność.

H. U.

Błędy językowe. *Artur Passendorfer.* Wyd. drugie. Lwów 1904. (Str. VIII, 238).

Praca ta p. Passendorfera wielce się różni od podobnej co do treści pracy p. Krasnowolskiego, o której daliśmy sprawozdanie w zeszycie wrześniowym *Przeglądu.* I nie tylko pod względem układu materyału i ilości zebranych »błędów«, lecz właśnie pod względem zasadniczym, metodycznym, pod względem zapatrywania się na owe »błędy« językowe. Wykazaliśmy już we wspomnianej recenzyi, że p. Krasnowolski zajmuje stanowisko błędne, niezgodne z danemi naukowemi, natomiast z przyjemnością zaznaczamy na niniejszem miejscu, iż praca p. Passendorfera dodatnio wyróżnia się pod tym właśnie względem: autor jest wyrozumiały dla t. zw.

»błędów« i umiejętnie korzysta z danych naukowych. »Stanowisko nasze w sprawach językowych — pisze p. Passendorfer w przedmowie — zaznaczamy krótko i jasno: *najwyższym trybunałem w sprawach językowych jest współczesny, powszechnie panujący zwyczaj językowy.* Kształt wyrazów i całe zwroty, powszechnie używane, są *poprawne*, chociażby się wyłamywały z pod jarzma prawideł gramatycznych — i na odwrót: *prawidłowe* kształty wyrazów i zwrotów są *niepoprawne,* jeżeli wyszły z powszechnego użycia«. Tej zasadzie, jedynie słusznej, pozostaje autor wiernym i stosuje ją z całą konsekwencyą przy ocenie »błędów« językowych. Pod tym zatem względem w zupełności zaufać można radom i wskazówkom, w jakie obfituje praca p. Passendorfera.

Co się tyczy układu materyału »błędów«, zebranych przez autora we wcale pokaźnej ilości (238 str. dwułamowych w 12-ce) — to zaznaczyć należy, iż ułożone one zostały sposobem »słownikowym«, w porządku alfabetycznym. Jeśli np. kto wątpi czy *posełać, posełka* są to formy poprawne, znajdzie pod tymi wyrazami (**p—**) odsyłacza do *posyłać, posyłka,* pod tymi zaś ostatnimi wyjaśnienie, że należy mówić *posyłać,* a nie *posełać, posyłka,* a nie *posełka* i t. p. Pod *ręka, książę, kurczę* i t. p. znajdujemy odmianę tych wyrazów; pod *oko* — cały szereg charakterystycznych wyrażeń. Jeśli kto szuka rodzimego wyrazu równoznacznego zapożyczonemu *portjer,* to pod tym ostatnim znajdzie jego rodziny równoznacznik *odźwierny*; pod *gaża — płaca, żołd,* pod *furman — woźnica* i t. p. Liczne odsyłacze zaś przy różnych wyrazach skierowywują czytelnika ku większym artykułom zatytułowanym: »Nazwiska miast«, »Nazwiska panien«, »Nazwiska żon«, »Liczebniki, »Odmiana rzeczowników«, »Czas przeszły«, »Rodzaj rzeczowników« i t. p. Tam znajdujemy krótkie »prawidła« gramatyczne.

Słowem, praca to bardzo pożyteczna, doskonale wykonana. Nie wątpię, że nasze inteligentne warstwy potrafią tę pracę ocenić, że znajdzie ona jak najszersze rozpowszechnienie, na co ze wszechmiar zasługuje. Powinna się też znajdywać w każdej redakcyi czasopisma polskiego. Gorąco więc polecamy pracę p. Passendorfera wszystkim miłośnikom ojczystego języka.

H. U.

Wieś Siedliska-Bogusz. Przez *d-ra Adama Bogusza.* W Krakowie 1903.

Mała, ale krwawa książeczka, rzucająca ponure światło na najsmutniejszą kartę naszych porozbiorowych dziejów. Jakiś srom bratni, pewne omamienie bólem sprawia, iż względnie mało pozostało świadectw pisanych, mniej jeszcze drukowanych o tej strasznej epoce. Względnie więcej wiemy o hajdamaczyźnie Gonty i Żeleźniaka, aniżeli o rzezi galicyjskiej. Oto dzieje jednej wsi, jednej rodziny, w których skrystalizowała się poniekąd krwawa trzydniowa zawierucha i zapamiętanie. Należące do Boguszów Siedliska były zarazem miejscem urodzenia i zamieszkania Jakóba Szeli, głównego oprawcy i sprawcy rzezi. Źle mówimy: był on raczej ślepem narzędziem w cudzym ręku.

»O rękę karaj, nie ślepy miecz!«

Wiersz ten z chorału wciąż w pamięci pobrzmiewa wobec tak wyraźnych i uwydatnionych tu prowokacyj i namów z góry. Trafiły one na duszę ciemną i zawistną, a takich nigdy nie brak w ludzkiej rzeszy. Wódką rozgrzej złe namiętności, rzuć zło-

wrogie hasła, spotęguj drobne urazy czy waśni, a nastąpi niechybnie rozkiełznanie dzikości uśpionej na dnie serc człowieczych... Tak łatwo przyłożyć lont do działa, żagiew do palnego materyału, jedną iskrą rozpłomienić waśń społeczną...

Monografia Siedlisk osobny a długi wypełnia rozdział. Następuje pokrótce objektywna opowieść o przebiegu dni lutowych, przy końcu zaś umieszczono odnośne dokumenty. Najgroźniej się przedstawia kartka wyrwana z ksiąg kościelnych parafii siedliskiej, zawierająca sepulturę »dwudziestu« osób zamordowanych w owej strasznej dobie. Pośród nich widnieją nazwiska aż pięciu Boguszów, z których najstarszy liczył lat 83, najmłodszy 15. Przy wszystkich nazwiskach dodane ponure słowo: *trucidatus*. Ta jedna karta żałobna jużby wystarczyła, aby poruszyć duszę czytelnika na długo. A cóż powiedzieć o szczegółach przywiedzionych w treściwem opowiadaniu, zalecającem się spokojem oraz zupełnym brakiem goryczy. Sprzeczności bratobójczej zawieruchy uwydatniają się tu na każdym kroku. Żony i dzieci pomordowanych szukają bezpiecznej ochrony... gdzie? w domu samegoż Szeli.

Należy wspominać te dni z taką tylko miłością i takim serdecznym bólem, z jakim Ojciec Karol Antoniewicz obiegał wsie splamione krwią bratnią. Listy jego z tego właśnie okresu apostolskiej działalności najdokładniejszy dają obraz tej nieszczęśliwej okolicy, przez którą przeszła krwawa nawałność, a obok tego, najwznioślej do obustronnej nawołują pokuty. Owe to listy dopełniają opowiadanie p. Bogusza obrazem skruchy i rychłego pokajania chwilowo uwiedzionej i rozszalałej kmiecej rzeszy. *M.*

Rodzina. Herbarz szlachty polskiej. Opracował Seweryn Uruski przy współudziale A. A. Kosińskiego, wykończył i uzupełnił A. Włodarski, wydały córki Uruskiego. Warszawa 1904. Tom I. (4-ka, XII, 400).

Otóż zaczęły wychodzić jednocześnie dwa herbarze na wielką zamierzone skalę: Bonieckiego już dawniej wydawany, Uruskiego teraz rozpoczęty. Jak się zdaje, to Bonieckiego, nie mówiąc o innych jego zaletach, będzie większy, obszerniejszy: druk i format prawie są jednakowe; u Uruskiego, w tomie I, od Abakanowicza do Radwana Broniewicza str. 400, a u Bonieckiego od początku do tegoż Broniewicza str. 505, nie licząc dodatków (chociaż są u jednego niektóre nazwiska, jakich nie zawiera w sobie drugi).

Przedmowę napisał p. Rembowski, w której motywuje doniosłość nowej publikacyi heraldycznej (a także znaczenie piśmienniczej działalności Uruskiego), twierdząc, że jest tu spis zupełny szlachty polskiej, wylegitymowanej przed heroldyą Królestwa Polskiego do r. 1894, a przed Radą Stanu do r. 1866, a także legitymacye przed Deputacyami w cesarstwie do r. 1835 i Departamentu heroldyi do r. 1878. Ale to jeszcze kwestya czy owe legitymacye i nobilitacye po r. 1830, mają zawsze związek ze szlachectwem polskiem pod względem heraldyczno-historycznym?

Ale trzeba przyznać, że w herbarzu Uruskiego są takie rody szlacheckie polskie, których gdzieindziej nie znajdujemy wcale, chociaż o ich istnieniu wiedzieliśmy już pierwej. Np. mamy tam Batorskich herbu Strzemię, pomijanych zwykle, lecz co prawda Uruski opuścił niektórych członków tego rodu, znanych ziemian podolskich. Są i Bardeccy herbu

Ostoja, nieznani innym heraldykom, ale i tu brak zupełny gałęzi wołyńskiej, a w powiecie starokonstantynowskim tej gubernii było niemało znanych bardzo posiadaczy różnych majątków z tego samego rodu.

Napotkaliśmy także czasami małe tu niedokładności: pod Bobrami (str. 248) dwóch rodzonych braci Urbana i Teodora (sławnego w swoim czasie marszałka wołyńskiego, pana licznych tam dóbr) zalicza Uruski do dwóch różnych rodów: Gryfitów-Bobrów i Pilawitów-Bobrów, byli oni obydwa Bobrowie-Piotrowieccy h. Pilawa; rzeczy to są wszystkim na Wołyniu dobrze znane, a pisze o tem także Dunin-Karwicki, którego matka 1 voto była za Urbanem Bobrem. O Brońcach mówiąc (str. 399), nie wspomina Uruski, że Adama B. żona, M. Dorpowska, 1 voto była za Ant. Grudzińskim, mając z pierwszego małżeństwa, pomiędzy innemi, córkę Joannę, późniejszą księżnę łowicką.

Ale za to o niektórych rodzinach (np. Brodzkich) są u Uruskiego bardzo wyczerpujące wiadomości. Oczekujemy z upragnieniem wyjścia II t., a do końca dzieła jeszcze bardzo daleko!e...

Zu der Erzählung von der undankbaren Gattin. Nachträge von *Georg Polívka.* (Sonderabdruck aus der Zeitschrift des Vereins für Volkskunde in Berlin. Heft 4. 1905). (W 8-ka, str. 399—412).

W omawianej pracy dorzucił znany slawista praski, najgruntowniejszy dziś znawca podań słowiańskich, sporą wiązankę przyczynków do rozprawy przedwcześnie zgasłego Gastona Paris »O niewdzięcznej żonie«, drukowanej w tem samem czasopiśmie (1903, str. 1 i nast., 129 i nast.). Nie jest praca prof. Polivki jedynie zbiorem materyałów, lecz poza tem szczegółowem badaniem i roztrząsaniem kwestyi, jaką drogę odbywał po Słowiańszczyźnie ów motyw podaniowy, który, jak tego dowodzi rozprawa, rozszerzał się w kierunku z zachodu na wschód. Autor rozpatruje szczegółowo (w myśl własnej teoryi w geograficznem badaniu podań ludowych) cztery wersye czeskie, zapisane w zbiorach Boženy Němcowej, Bayera, Kuldy i Tillego, pięć opowiadań polskich z okolic Kielc, Krakowa, Ropczyc, Wieliczki i z Górnego Śląska, jedną baśń chorwacką, małoruską, białoruską i opowieści rosyjskie (przy tych ostatnich rozbiera dotychczasową literaturę przedmiotu). Ponadto wymienia innego rodzaju opowiadania, w których występuje tenże motyw w odosobnieniu (czeskie, polskie, małoruskie, białoruskie, rosyjskie, litewskie, serbskie i bułgarskie). Wszystkie te z różnych okolic pochodzące podania słowiańskie pochodzą najwidoczniej z jednego i tego samego źródła zachodnio-europejskiego; im dalej ono rozprzestrzeniało się na wschód i południe, tem słabsze były jego oddźwięki.

Dr. St. Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ze statystyki wyznaniowej we Włoszech.

Od dłuższego już czasu rozpoczęły różne wyznania protestanckie wielką propagandę na zewnątrz. Pomijając ruch *Los von Rom* w Austryi, co do którego znaczenia i ostatecznego celu dziś nie może być dwóch zdań, widzimy pastorów i predykantów różnych odcieni ewangelickich we Francyi, w Hiszpanii i we Włoszech, jednem słowem w krajach, gdzie dotąd o protestantyzmie niewiele słyszano. W sprawozdaniach, jakie ci emisaryusze protestantyzmu z tych państw wysyłali, brzmiała zawsze nuta zwycięska: tysiące i tysiące, nie mogąc znaleźć w Kościele katolickim prawdy, zbiegały się tłumnie, by w protestantyzmie u samego źródła jej zaczerpnąć. Liczba więc katolików, opuszczających swój Kościół a przechodzących do obozu protestanckiego, powinna była prędko róść i wzmagać się prawie w nieskończoność. Rzeczywistość zwykle inne dawała świadectwo. Mówiła ona, że na osobach zmieniających swe wyznanie Kościół tak wiele nie tracił, gdyż i bez tego były one martwymi członkami Kościoła; rzeczywistość wskazywała dalej, że powstałe przez odstępstwo luki wypełniały się przypływem tych, którzy w katolicyzmie szukali i znaleźli prawdę; że wreszcie liczba odstępstw nie jest tak wielką, jak ją podają źródła protestanckie, i to ostatnie twierdzenie jest bez zaprzeczenia faktem wielkiej doniosłości.

Fałsze, zawarte w sprawozdaniach protestanckich, wykazano już co do Austryi, Francyi i Hiszpanii, dzisiaj możemy je wykazać i co do Włoch.

Z chlubą wskazywali protestanci zawsze na Włochy, jako na teren niesłychanie odpowiadający ich działalności. Schneidera *Kirchliches Jahrbuch* na r. 1903 tak się w tej sprawie wyraża: »Dzieło ewangelizacyjne we Włoszech postępuje prędko naprzód. ‚Kościół Waldensów', ‚Ewangelicki kościół włoski', Baptyści, angielscy Weslejanie i episkopalni Metodyści pracują od czasu założenia Ewangelickiej rady kościelnej we Włoszech', która obejmuje około 250 gmin w 220 rozmaitych miejscowościach królestwa włoskiego, wspólnemi siłami nad ewangelizacyą Włoch. Kościół Waldensów widzi, że dzisiaj, jak jeszcze nigdy, sprawdza się jego hasło: *lux lucet in tenebris;* podjęte przez niego dzieło ewangelizacyjne wykazuje coraz to świetniejsze rezultaty«. Waldensi potwierdzili te optymistyczne zapatrywania, utrzymując, że w jednym tylko roku 1901 przyjęli do swego grona 1116 nowych członków; mogłoby się więc zdawać, że chyba połowa Włoch będzie już protestancką. Tymczasem całkiem co innego mówi sucha, objektywna rzeczywistość.

Oficyalna statystyka włoska z r. 1871 podaje liczbę protestantów we Włoszech na 58.651; ostatnia znowu statystyka z 10 lutego 1904 r., teraz dopiero ogłoszona, wykazuje protestantów 65.595, tak że przyrost ich w przeciągu trzydziestu lat wynosi tylko 6.944 dusz, przeciętnie więc pomnaża się protestantyzm rocznie o 239 członków. Owszem o ile przyrost ten wzmagał się pod pewnym względem w pierwszych latach, o tyle słabnieje on teraz. W dziesięć lat po pierwszem zliczeniu ludności, a więc w r. 1881 wynosiła liczba protestantów 62.000, urosła więc w tym dziesiątku o 3.349; w ostatnich dwóch dziesiątkach mimo zwiększonej propagandy powiększyła się tylko o 3.595 czyli rocznie o 180 dusz. W tem świetle trochę dziwnie wyglądają cyfry protestanckie, gdyż jeżeliby one nawet były prawdziwe, to jednak dają obraz fałszywy i jednostronny, nie mówiący nic o tem, że jeżeli protestanci dużo zyskują adeptów, więcej jeszcze ich tracą.

Wielką uwagę zwracali protestanci od dawna na Rzym

i prowincyę rzymską; tam też rozwinęli oni największą działalność, wkładając dużo sił i pracy w swą propagandę. Tymczasem tam właśnie owa propaganda przynosi mniej, niż mierne rezultaty. Podczas gdy w Latium było w 1871 r. 4.146 protestantów, w r. 1901 a więc po upływie trzydziestu lat znajduje się ich tam tylko 5.164, przyrost więc w tym długim czasie wyniósł 1018 dusz; przytem trzeba uwzględnić jednakowoż, że ten przyrost nie powstał tylko z odstępstw od Kościoła katolickiego, ale z przypływu protestantów z Niemiec, Anglii, Szwecyi, Danii i Ameryki a także i z przypływu tych, którzy często z jednej prowincyi do drugiej się przenoszą.

Cyfrom tym protestantyzm zaprzeczyć nie może; mógłby zaprzeczyć jedynie tłumaczeniu samego faktu. Ostatnia bowiem statystyka włoska wykazuje między innemi 795.276 osób, które nie podały swego wyznania. Liczba ta jest wprost olbrzymia i może między temi osobami, które żadnego wyznania nie podały, znajduje się większa ilość protestantów. Że się pewna ilość między niemi znajdować może, temu nie chcielibyśmy przeczyć; o większej jednak ilości mowy być nie może. Wyznanie bowiem, które w jakimś kraju jest w mniejszości a przedewszystkiem konwertyci, uważają swoje przekonania religijne za wcale ważne, nie kryją się też z niemi, będą się owszem zapatrywać na nie raczej optymistycznie i dodatnio, aniżeli pesymistycznie i ujemnie. U takich ludzi religia w statystyce podaną będzie. Nie przedstawia się więc wzrost protestantyzmu we Włoszech w różowych kolorach.

Na 31,539.863 katolików a mniej więcej trzydzieści dwa i pół milionów mieszkańców, przypada bezwyznaniowców tylko 36.092, w którą to liczbę wciągnąć potrzeba pewien procent niekatolików, i jak już wyżej wspomnieliśmy 795.276 takich, którzy wyznania swego nie podali. Z tych liczb wnosili niektórzy, że liczba bezwyznaniowych będzie we Włoszech wynosiła około $^3/_4$ miliona. Ten jednak pogląd jest stanowczo fałszywy. W powyższej sumie znajduje się 514.532 dzieci poniżej piętnastu lat i 141.925 kobiet; nonsensem byłoby chcieć twierdzić, że te dzieci zaliczyły siebie z okazyi ostatniej statystyki do bezwyznaniowych, a niemniej nierozumnem byłoby sądzić, że te tysiące kobiet

są bezwyznaniowemi, choć pewna liczba takich i między niemi znaleźć się może. W najlepszym więc razie pozostałoby 138.819 mężczyzn powyżej piętnastu lat, o których możnaby powiedzieć, że nie podając swego wyznania, uważają się tem samem za bezwyznaniowych. Lecz i ta konkluzya nie jest pewną. Bezwyznaniowi nie będą się wogóle ze swojemi zasadami ukrywać — lecz mniejsza o to. Jak we Francyi i Anglii, tak i we Włoszech pojawił się pewien nie bardzo rozumny prąd, skierowany przeciwko podaniu swego wyznania w spisach statystycznych; w takiem podawaniu swoich zapatrywań religijnych widzą niektórzy, nie wiedzieć jakiem prawem, pewne ograniczenie wolności sumienia. We Włoszech pokazuje się nadto wprost celowa agitacya przeciwko określeniu religii, a można tak wnioskować z tego, że owo niepodanie wyznania ogranicza się tylko do pewnych, ściśle ograniczonych środowisk, w pierwszej linii do pewnych miast, w których stosunki religijne w nienajgorszem przedstawiają się świetle [1].

Jubileusz ormiański.

W bieżącym roku obchodzi tak ciężko w ostatnich latach doświadczany naród ormiański rzadki, bo tysiąc pięćsetletni jubileusz wynalezienia przez uczonego kapłana, Mesropa, liter alfabetu ormiańskiego i zastosowania tegoż wynalazku do stworzenia liturgii i literatury ormiańskiej. To dzieło Mesropa stawiło Armenię w szeregu wielkich chrześcijańskich narodów starożytności, dało jej wcale wybitną literaturę, przechowało jej między innemi tłumaczenie Pisma św. pochodzące z V wieku, mnóstwo oryginalnych dzieł teologicznych i historycznych, dużo tłumaczeń z greckiego i syryjskiego, które to tłumaczenia niejedno dzieło, zaginione w oryginale, uratowały dla potomności. Dzieło Mesropa dało Armenii również osobną liturgię i osobny obrządek, a tak stworzyło ono dla Ormian podstawę ich bytu narodowego, kiedy pod jarzmem perskiem i tureckiem utracili swoją niezależność polityczną,

Jubileusz ten ma jednak nietylko znaczenie narodowe; jest on również znakiem i pomnikiem chrześcijańskiej kultury a za-

[1] *Historisch-politische Blätter* t. 134, zeszyt 7, str. 508 i nast.

razem wspaniałem świadectwem, że chrześcijaństwo powołuje do życia i stoi na straży kultury tam, gdzie się rozwinąć może jego działalność i gdzie ze strony narodu na trudności nie napotyka.

Aby uczcić godnie ten jubileusz postanowili uczeni ormiańscy z Etszmiadzin przygotować wydanie krytyczne wszystkich dotychczas w języku ormiańskim od 1500 lat napisanych dzieł, o ile one jeszcze istnieją. Ten sposób obchodzenia jubileuszu jest z pewnością w dzisiejszych warunkach najodpowiedniejszym, gdyż ciężkie prześladowania, jakie rok po roku na nieszczęśliwy naród ormiański spadają, przytłumiają każde żywsze bicie serca, spędzają z ust uśmiech a z oka, nie błysk szczęścia, lecz łzę tylko wycisnąć mogą.

Cała historya Ormian, to jedna karta krwią i łzami zapisana. Prześladowania rozpoczęły się już w VII wieku i ciągną się nieustannie aż do naszych czasów: Saraceni, Persi, Tatarzy, Turcy robili wszystko, co w ich mocy było, żeby i śladu ormiańskiego narodu na ziemi nie zostawić. W ostatnich latach prześladowania te się wzmogły; w końcowych miesiącach jednego tylko r. 1895, padło ofiarą wściekłości Kurdów 82.748 Ormian, w samej Edessie wymordowano 10.000, a według Rohrbacha, bezstronnego a kompetentnego w tej sprawie sędziego, zaciekłość Kurdów i żołnierzy tureckich pozbawiła w dziesięciu latach 250.000 ludzi życia, zniszczyła 2.493 wsi i miast i pogrążyła resztę ludności w nędzy i cierpieniu; swego czasu podawały przecież gazety i pisma sceny z tych prześladowań, od których włosy na głowie stawały. I to wszystko działo się w oczach cywilizowanej Europy, w miastach i miejscowościach, gdzie rezydują przedstawiciele mocarstw europejskich; owszem krew tysięcy polała się na gruncie europejskim, w stolicy i pod okiem sułtana, a co zrobiła Europa dla swych mordowanych współbraci?

I nie wystarczy tu powiedzieć, że źródłem tych smutnych zajść były względy polityczne; ostateczną przyczyną prześladowań była zawsze religia chrześcijańska Ormian i nienawiść chrześcijaństwa ze strony Kurdów i Turków; dlatego i tylko dlatego odmawiano Ormianom zawsze i odmawia im się jeszcze teraz równouprawnienia. Prawda! rozruchy ze strony Ormian wywoływały

czasem represyę, ale te rozruchy są zrozumiałe: rozpacz jest złym doradcą, lecz czyn w rozpaczy popełniony, traci dużo na swej karygodności: zresztą można było ukarać autorów tych rozruchów, czemuż miała się lać krew niewinnych? Żądania ormiańskie co do równouprawnienia i samorządu nie są bynajmniej rewolucyjnemi i stoją na gruncie prawa międzynarodowego. Traktat berliński zobowiązał przecież Turcyę do zaprowadzenia w Armenii tych wszystkich reform i ulepszeń, jakich stosunki miejscowe wymagają; zażądano na pierwszem miejscu chrześcijańskiej administracyi i chrześcijańskich sędziów. Turcya przyjęła ten warunek, Europa miała czuwać nad jego wykonaniem, widzimy natomiast, jak Turcya wymierza policzek po policzku i chrześcijańskiej cywilizacyi i europejskim mocarstwom, które znów muszą powiedzieć sobie, że wystąpieniem swojem na kongresie berlińskim przyczyniły się w pewnej części, choć z pewnością tego zamiaru nie miały, do wytworzenia obecnych, nieznośnych stosunków; obudziły one nadzieje Ormian a gdy ci ostatni ośmieleni temi nadziejami zażądali tego, co im się słusznie należało, mocarstwa patrzały obojętnie na krew płynącą.

Tegoroczny jubileusz powinien na nowo zwrócić uwagę narodów na Armenię, pobudzić je do czynnego zajęcia się losami nieszczęśliwego kraju, do zastosowania w praktyce tych wzniosłych słów wielkiego męża stanu, Gladstone'a: *servir l'Armenie, c'est servir la civilisation* [1].

Protestanci o katolikach w Niemczech.

Od czasu do czasu zajmowaliśmy się w *Przeglądzie* sprawami Kościoła protestanckiego i sądzimy, że jest znowu całkiem na czasie zwrócić dziś uwagę na jeden, nie nowy wprawdzie, ale na nowo się powtarzający objaw w protestantyzmie. Walka, jaka między protestantami a katolikami nieustannie się toczy, staje się powoli dla wielu już na prawdę nieznośną. Nie zdziwią więc nikogo odezwy hr. Ziethen-Schwerina i barona Manteuffla w izbie panów a hr. Duglasa w sejmie pruskim, wzywające do ostatecznego ustalenia pokoju wyznanio-

[1] *Historisch-politische Blätter*, t. 134, str. 517 nast.

wego; wielka część prasy protestanckiej przyklasnęła temu projektowi.

Jak dotąd byłoby wszystko dobrze a katolicy z pewnością chętnieby podali rękę do zgody i to pierwsi, tak jak ją podają już od dawna; zawiść protestancka nie może jednak pozwolić na przyjście do skutku takiego pokoju. Dlatego też nadworny pastor Rogge utrzymuje, że wina jest cała po stronie katolików, z tej pewnie przyczyny, że stoją oni wiernie po stronie Kościoła i odważają się bronić stanowczo i z zapałem swych świętych praw. O tem, jak postępują sobie wobec katolików Związek ewangelicki lub Stowarzyszenie Gustawa Adolfa i niezliczone pisma protestanckie tak stołeczne jak i prowincyonalne, wszyscy ci ludzie nie pamiętają. Pokój wyznaniowy dałby się osiągnąć, gdyby katolicy milczeli na zarzuty i potwarze w twarz Kościołowi ciskane nie odpowiadali a przedewszystkiem, gdyby tłumnie szukali prawdy u źródła czystej ewangelii. Że tak jest, pokazuje między innemi Synod berliński, który orzekł, że walka z katolicyzmem jest dla protestantyzmu konieczną i że ta walka jest stanem normalnym w kościele protestanckim: kiedy pastor Stoecker powstał przeciwko takiemu poglądowi i wzywał do tolerancyi wzajemnej, zerwała się burza protestów ze strony pastorów i prasy, która zachwiała jego powagą i nieomal nie pozbawiła go mandatu poselskiego.

A nietylko pojedyńczy protestanci tak się wyrażają. Osławiony *Kirchenausschuss,* składający się z delegatów trzydziestu dwóch narodowych Kościołów niemieckich uważa za swój cel walkę z katolicyzmem, a Synod Wormski, złożony z członków rozmaitych synodów niemieckich, bez ogródki twierdzi, że jego zadaniem jest zorganizować i wypowiedzieć wojnę katolicyzmowi. I ci ludzie śmią równocześnie utrzymywać, że cała wina wyznaniowych utarczek znajduje się po stronie katolików. Czyż protestantyzm nie ma na prawdę innego pola, na którem mógłby rozwinąć swoją działalność?

O wciąż postępującym rozkładzie protestantyzmu, o zaniku wiary i moralności pisano już tyle i pisze się jeszcze ciągle; byłoby więc bezcelowem tę starą piosnkę na nowo powtarzać.

Warto jednak posłuchać głosu protestanckiego *Der alte Glaube*, który twierdzi, że protestanci nie posiadają już prawdziwej ewangelii ani nie są w stanie przechować ją dla ludu, miotanego burzą niewiary i ducha antychrześcijańskiego. Naród niemiecki, twierdzi autor, żyje w epoce niewiary i nienawiści chrześcijaństwa, ponieważ odpadł od swego Boga, dlatego też wiara nie wywiera żadnego wpływu w życiu a przyczyną tego zła jest zaprzeczenie powagi Kościoła. »Nie znamy dziś żadnej prawdy nienaruszonej, żadnego objawienia nieomylnego, któreby napawało otuchą w życiu i śmierci«. Kościół (protestancki) ogłasza opinie, robi doświadczenia religijne, brak mu jednak najwyższej powagi nieograniczonej, któraby ostatecznie rozstrzygała o kwestyach wiary i wypowiadała ostatnie słowo.

Czyż zreformowanie tych stosunków nie byłoby wdzięcznem polem dla działania protestanckiego kościoła? Pocóż gorliwą opieką otaczać katolików, kiedy oni bez tej opieki się obejdą?

Ze stosunków katolickich w Mołdawii.

Ciekawy obraz ze stosunków kościelnych w Mołdawii roztacza przed nami ostatni, choć dopiero drugi z rzędu, schematyzm dyecezyi jasskiej z roku 1902; ciekawy z tego względu, że wskazuje na ogrom pracy, jakiej się kler tamtejszy oddawać musi. Dyecezya jasska, stojąca pod kierownictwem biskupa, a zależąca bezpośrednio od Propagandy, liczy 77.335 wiernych, rozdzielonych na dwadzieścia siedm parafii i ma do dyspozycyi pięćdziesięciu jeden księży częścią świeckich, przeważnie zakonnych. Na jednego kapłana przypada więc około półtora tysiąca dusz, coby jeszcze nie było tak bardzo nadzwyczajnem, ale trzeba zważyć, że w niektórych miejscowościach znajduje się dla pewnych racyj po trzech i czterech księży, że z tych pięćdziesięciu jeden kapłanów tylko około trzydziestu dwóch zajmuje się duszpasterstwem, że wreszcie katolicy mołdawscy są rozproszeni w 291 miejscowościach, — w tych warunkach stosunki się zmieniają.

Wejdźmy w niektóre szczegóły. Dyecezya rozpada się na cztery dekanaty, z których jasski najmniejszy prawie ilościowo, największy zaś terytoryalnie zaczyna się w północnej części kraju

przy granicy bukowińskiej i idzie przez całą długość wschodnią aż do najdalszego punktu południowego nad Dunajem przy granicy wołoskiej. Rozpada się on na 6 parafii, liczy czternaście kościołów, cztery kaplice i 16.157 wiernych, przebywających w 52 miejscowościach. Do niektórych z tych parafii, jak np. do Botuszan, należy 22 miejscowości, oddalonych od kościoła parafialnego 15—74 kilometrów a drogi tamże prowadzą przez lasy i wyboje; obsługuje tych 22 miejscowości dwóch a obecnie tylko jeden ksiądz, którego wycieczka misyjna do odległych np. 47 kilometrów Storeszt zajmuje całe trzy dni.

Nie lepiej przedstawiają się stosunki i w innych dekanatach. Tak np. parafia bakowska liczy 19 miejscowości odległych do 60 kilometrów; parafia Valeni 24 miejscowości odległych do 42 klm; parafia Dărmanesti 35 miejscowości odległych do 50 klm; parafia Grozesti 17 miejscowości odległych do 45 klm; parafia Pustiana 25 miejscowości odległych do 40 klm. Te wszystkie tak rozległe parafie mają tylko po jednym księdzu, a nie może on się tylko zamknąć w kościele głównym, lecz musi od czasu do czasu a nawet dość często odwiedzać kościoły i wsie filialne. Istnieje wprawdzie w Jassach seminaryum dyecezalne, liczące obecnie 10 słuchaczy teologii, 5 filozofii i 10 uczniów na kursie gimnazyalnym przygotowawczym, ale choćby i więcej było księży, nie znajdzie się dla nich utrzymanie, gdyż parafie przeważnie na to nie wystarczają. Osobną nadto prowincyę rumuńską tworzą OO. Franciszkanie, mający nowicyat z 11 klerykami; działalność ich jest jednak do pewnych terytoryów ograniczona.

Wielką rolę w życiu katolickiem odgrywają i nieocenione usługi mogą oddawać księżom tak zwani *daskale,* odpowiadający katechetom na misyach zamorskich. *Daskal* jest centrum życia katolickiego w kościołach filialnych: zwołuje ludzi na nabożeństwo; gdy księdza niema, przewodzi nabożeństwu przez lud odprawianemu; nabożeństwa wieczorne w niedziele i święta sam odprawia; wciąga do ksiąg kościelnych różne zapisy, grzebie umarłych, jak potrzeba to i ochrzci; służy księdzu do Mszy św., gra na organach a jeżeli tego nie umie, kieruje przynajmniej śpiewem podczas Mszy św. Dobry *daskal* setki utrzyma przy wierze

i sumiennem jej pełnieniu. Do ostatnich czasów niewiele od *daskali* wymagano, dzisiaj już więcej żądają i aby obecnym potrzebom odpowiedzieć, założył ks. biskup Jacquet, i to jest wielką jego zasługą, w jednej z parafij tak zwaną szkołę daskali, która kształci 10 kandydatów tego stanu; niezadługo więc »młodzi« wyprą »starych«; zniknie z nimi typ oryginalny, jakiś urok przeszłości, ale zyska na tem kler i kościół.

Wielką trudnością, ubezwładniającą często działalność kapłana, jest brak kościołów. Na 291 miejscowości jest wprawdzie 133 kościołów i kaplic, ale za to niejedna parafia maleńka ma ich po kilka, inna, licząca trzydzieści i więcej filij, ma ich tylko trzy lub cztery; czasami miejscowość jakaś, posiadająca dwie lub trzy rodziny, ma swój kościół, a inne, w której żyje kilkaset dusz, niema żadnego. Ta okoliczność jest dla księdza tem przykrzejszą, że lud jakiejś wsi, nie posiadającej kościoła, nie pójdzie na Mszę do wsi następnej, choćby miał tylko kilometr drogi. Tym sposobem życie katolickie zamiera, następuje zobojętnienie, kończące się albo zupełną apatyą albo nawet odstępstwem. Temu złu częściowo zapobiegają; w ostatnich dwunastu latach wybudowano około piętnastu kościołów, a kilka buduje się obecnie. Te kościoły są wprawdzie w przeważnej liczbie bardzo pierwotne: ale ten ubożuchny kościółek, w którym ołtarz ubrany chłopskim gustem w jaskrawe papiery, mające przedstawiać kwiaty i którego największą ozdobą są pozawieszane gęsto po ścianach ręczniki, jest mimo to kościółkiem własnym i jako taki środowiskiem katolickiego życia dla całej wsi.

Praca w miastach przedstawia jeszcze większe trudności z powodu aglomeratu różnych narodowości, składających się tam na świat katolicki. Nie najlepsze to przeważnie osobistości katolickie znaleźć po miastach: najczęściej to katolicy z imienia, a gdzie tak źle nie jest, musi znów ksiądz walczyć z trudnościami językowemi. Nieraz jeden słuchając spowiedzi wie on naprzód, że na pięć spowiedzi będzie musiał się posługiwać pięciu językami, a choć tę potrzebę w kształceniu kleru w seminaryum się uwzględnia, nie każdy jednak potrafi jej zadosyćuczynić.

W trzech parafiach mołdawskich odgrywa element polski

wielką rolę. Paszkany składają się prawie wyłącznie z Polaków, w drobnej części tylko z Niemców; w Jassach zaś i Botuszanach są oni w przeważającej liczbie i podczas gdy nabożeństwa w Paszkanach mają prawie wyłącznie charakter polski, w Botuszanach są przeważnie polski, to w Jassach znowu dla różnych powodów są one więcej rumuńskiemi. Kler dyecezalny rekrutuje się z narodowości włoskiej, niemieckiej, rumuńskiej, a w pewnej części także i z polskiej.

Dla młodzieży męskiej niewiele dotąd dało się zrobić; istnieją tylko dwie szkoły katolickie elementarne dla chłopców: w Jassach i Galaczu. Więcej opieki znajdują dziewczęta. W Jassach i Galaczu znajdują się dwa pensyonaty i dwie szkoły elementarne dla dziewcząt, prowadzone przez francuskie zakonnice *N. D. de Sion.* Zakład w Galacu liczy 126 konwiktorek, 68 półinternistek, 74, eksternistek a szkoła normalna 300 uczennic; zakład w Jassach kształci 120 konwiktorek, 22 półinternistek, 101 eksternistek i 137 uczennic szkoły normalnej; oba nadto zakłady utrzymują jeszcze orfelinaty z 27 sierotami. Owoców jednak tych szkół nie dużo widać, pominąwszy inne przyczyny, także i dlatego, że nie tylko do szkoły elementarnej, ale i do samego internatu przyjmują dziewczęta wszelkich możliwych wyznań. Ponadto grozi zakładowi w Galaczu dla niezachowania pewnych przepisów rządowych zamknięcie na jakiś czas a w Jassach dla tej samej przyczyny publiczne upomnienie ze strony rządu, co z pewnością wpływu tych instytucyj nie podniesie.

To wszystko i fakt, że w niedziele i święta księża muszą odprawiać po dwie Msze św., wygłaszać po trzy i cztery kazania, sprawia, że przedewszystkiem kler świecki, mający najtrudniejsze i najrozleglejsze parafie, nie może się tyle poświęcić regularnej pracy duszpasterskiej, jakby tego sam pragnął. Więc też stosunki katolickie przedstawiają się w Mołdawii w nienajlepszem świetle a o pracy nad innowiercami nie może być nawet mowy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903.

Dokończenie.

Tow. dla popierania nauki polskiej. — Kasa im. Mianowskiego. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk. — Tow. naukowe w Toruniu. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Polskie Tow. ludoznawcze w Cieszynie. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Koła konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Klub słowiański. — Tow. filologiczne. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne w Cieszynie. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie i hygieniczne lwowskie, krakowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koło literacko-artystyczne w Krakowie. — Czytelnia katolicka. — Muzeum XX Czartoryskich. — Biblioteka Jagiellońska. — Lwowska Biblioteka Uniwersytecka. — Zakład im. Ossolińskich. — Muzeum im. Dzieduszyckich. — Muzeum Narodowe.

Z okazyi poruszonej przez Towarzystwo dla popierania nauki polskiej myśli zakładania bibliotek prowincyonalnych było obszernie objaśnione znaczenie księgozbiorów i muzeów nie tylko dla podniesienia poziomu kulturalności społeczeństwa, ale także dla samej nauki. Jak zaś dzielnie wspierały ruch naukowy, oprócz bibliotek poszczególnych Towarzystw naukowych i literackich także, a raczej przedewszystkiem, biblioteki publiczne, o tem świadczy wymownie ich działalność w r. ub. Mieliśmy ich nie mało, ale nie w dostatecznej liczbie, a zatem: hr. Tarnowskich w Dzikowie, hr. Działywskich w Kórniku, Ks. Czartoryskich i Jagiellońska w Krakowie, hr. Baworowskich, hr. Dzieduszyckich (Poturzycką), im. Ossolińskich, Pawlikowskich i uniwersytecką we Lwowie, Stacyi naukowej polskiej w Paryżu, Raczyńskich i Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Muzeum narodowe polskie w Rapperswylu, ks. Sanguszków w Sławucie, hr. Branickich w Suchej, Tow. naukowego w Toruniu, hr. Krasińskich, hr. Zamojskich w Warszawie, oraz hr. Branickich w Wilanowie. Wielu też uczonym były pomocne zbiory prywatne, bardzo zasobne i liczne, zwłaszcza w Królestwie Polskiem i w krajach zabranych. O niektórych z tych bibliotek mówiliśmy już przedtem.

Obecnie chcielibyśmy jeszcze chwilę rozpatrzyć się w ruchu bibliotecznem niektórych ważniejszych księgozbiorów.

Muzeum ks. Czartoryskich wykazuje w r. 1903 przybytek 324 tomów i 126 broszur do biblioteki; do działu archiwalnego przybyły dwa rękopisy i tyleż dokumentów; go działu muzealnego: sześć przedmiotów, 32 rycin, trzy albumy, 1 mapa, 1 plan i 10 monet. Z czytelni muzealnej korzystało ogółem 819 osób, na których użytek wydawano z biblioteki: 1507 tomów, 977 rękopisów i 6 dokumentów. Poza obręb muzeum wypożyczono 79 rękopisów, 1 dokument i 66 druków. Muzeum zwiedziło 9079 osób. Ruch to był więc spory, jesli weźmiemy pod uwagę specyalny i ściśle określony cel samejże instytucyi.

Zato *Biblioteka Jagiellońska* bardzo wszechstronna i bardzo bogata, wykazuje ogromny postęp pod każdym względem. Czytelników zapisanych było w r. 1903 6204, profesorów 469. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę, że do książki zapisuje się zaledwo co drugi czytelnik, łatwo zrozumieć, jak nizką jest wyżej podana cyfra. Sądzę, że do jej prawdziwości należałoby ją podwoić, a tak dopiero otrzymalibyśmy ilość zbliżoną do prawdy. Osób, zwiedzających księgozbiór było 4811. Wypożyczono dzieł około 7000 w 15.000 tomach, rękopisów zaś 946. Ostatnie te cyfry są również nieco za nizkie, gdyż były obliczane tylko w przybliżeniu.

Lwowska biblioteka uniwersytecka, której wspaniały gmach, odpowiadający nowoczesnym wymaganiom, zasługa szan. dyrektora, będzie jesienią b. r. oddany do użytku publiczności czytającej, mimo nieustannych przeszkód z powodu przeprowadzki i złączonego z nią porządkowania, spełniała swoje zadanie nadspodziewanie dobrze. Bo podczas, gdy gdzieindziej w takich warunkach są instytucye tego rodzaju zamknięte, lwowska książnica, dzięki niezmordowanej energii personalu, była otwarta tak długo, jak dawniej. Za tę gorliwą pracę należy się zarządowi biblioteki najzupełniejsze uznanie, że potrafił wygodzić czytelnikom, nie uszczuplając im czasu przeznaczonego zazwyczaj na lekturę, Nowa książnica, urządzona na sposób prawdziwie europejski, zaspokoi niewątpliwie nawet najdalej idące wymagania, które są u nas zawsze niemal wygórowane. Ruch w niej przedstawia się następująco: zeszłoroczny budżet wynosił okrągło 23.000 kor., z czego wydano na zakupno książek i czasopism 19.000 kor. resztę zaś na oprawę i wydatki administracyjne. Biblioteka prenumerowała 400 pism peryodycznych, a 176 otrzymała częścią w darze jako egzemplarze obo-

wiązkowe. Stan dzieł w książnicy wynosi obecnie około 180.000 tomów. Przyrost był normalny. Z powodu prac około przesygnowania biblioteki musiały być zmienione godziny urzędowania na mniej dogodne oraz zamknięte niektóre działy zupełnie. Dlatego też frekwencya była znacznie mniejsza, niż w latach ubiegłych: z biblioteki korzystało 14.700 czytelników, na których użytek wydano 45.600 tomów. Poza tem wypożyczano książki poza obręb biblioteki we Lwowie oraz na prowincyę, co jest również znacznem ułatwieniem pracy ludzi oddalonych od głównych ognisk wiedzy. Zajmowała się ponadto biblioteka sprowadzeniem dzieł i rękopisów z wielu bibliotek krajowych i zagranicznych na żądanie ludzi pracujących naukowo. Zastanawiającą jest przy tych wielkich zobowiązaniach, jakie ma spełniać lwowska książnica, niestosunkowo mała dotacya rządowa, która zaledwo pokrywa koszt najniezbędniejszych wydatków i to przy ciągłej oszczędności. Stąd też dział rękopisów jest w niej tak mały, jak w jakiej prywatnej książnicy. Z przeniesieniem się biblioteki do nowego gmachu powinien senat uniwersytecki dołożyć wszelkich starań u właściwych władz, ażeby budżet został powiększony.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich rozwijał się systematycznie, planowo. Bardzo doniosłą sprawą dla dalszego rozwoju Zakładu był ponownie zawarty układ z Ministerstwem oświaty o wydawnictwo książek szkolnych, które Zakład prowadzi od lat dwudziestu w własnym zarządzie, co przynosi mu stałego dochodu 20.000 koron rocznie. Suma ta stanowi ważną pozycyę w dochodach Zakładu, które wynoszą zaledwo około 80.000 kor. rocznie. Zarówno sama ta dotacya, jak nie mniej ogólny majątek Zakładu, są nieproporcyonalnie szczupłe w stosunku do zadań, jakie Zakład spełniać powinien. Majątek bowiem Zakładu składa się z: gmachu bibliotecznego, wsi Rukowca z przynależną doń częścią lasu Ponary, drukarni własnej, tudzież stałej prestacyi od kuratoryi ekonomicznej w kwocie rocznej 12.600 kor., a nadto z kapitałów w sumie 530.000, legatów 12.000 i funduszu rezerwowego około 65.000 kor. To też tylko dzięki ogromnej sprężystości administracyi, której naczelnikiem jest p. Bełza, oraz do skąpstwa doprowadzonej oszczędności należy zawdzięczać, że z małą dotacyą robi się tu wiele. Ale też skutkiem tego nie może Zakład wydawać więcej rocznie na zakupno dzieł i rękopisów, jak około 5500 kor., na prenumeratę czasopism zaledwo 2300 kor. Gdyby nie znaczna ofiarność publiczna — nigdyby biblioteczne zbiory Zakładu nie mogły się pomnażać tak pięknie i szybko, jak to się dzieje obecnie. Ale

i ta ofiarność, jakiej się nie szczędzi dziś Zakładowi, nie wystarcza bynajmniej. Należy bowiem zważyć, że potrzeby zakładowe wzrastają ciągle, z każdym rokiem, na których pokrycie może z czasem nie stać pieniędzy. To też jeszcze wydatniejsza pomoc, niźli dotąd, ze strony społeczeństwa jest nieodzowną! Warto w tej mierze wziąć przykład od Czechów, którzy nie szczędzą datków pieniężnych na instytucyę, zupełnie analogiczną z Zakładem, tj. na *Muzeum Królestwa Czeskiego.* Tam — a wiem o tem z autopsyi — nawet ludzie średnio zamożni składają co miesiąca pewną kwotę na cele *Muzeum,* kwotę stosunkowo niewielką, ot, parę koron. Ale gdy takich ludzi są setki, to suma przez wiek składana, wzrasta do wcale pokaźnej cyfry. Nasze niestety społeczeństwo zadowala się samym faktem, że Zakład istnieje. Jaka jest jednak jego egzystencya, o to nikt się nie troszczy!

Bieżące prace Zakładu posuwały się ciągle systematycznie naprzód. W dziale rękopiśmiennym zajmowano się przygotowaniem materyału do IV-go tomu »Katalogu«, wydawanego przez zasłużonego dyrektora Kętrzyńskiego, a oprócz tego katalogowano nowe nabytki. W dziale bibliotecznym druków zajmowano się, jak zazwyczaj, zaciąganiem do inwentarzy i katalogowaniem świeżo zakupionych dzieł i darów, kompletowaniem czasopism i rewizyę katalogów kartkowych. Muzeum również zostało przyprowadzone do porządku po przebudowie, dokonanej w r. 1901. Obecny stan zbiorów bibliotecznych i muzealnych przedstawia się następująco: dzieł drukowanych, unikatów 113.610, dubletów 12.400, dzieł w czytelni górnej dla młodzieży (cieszącej się ogromną frekwencyą) około 650, atlasów i map 2040, rękopisów 4505, autografów 3022, dyplomatów 1471, podobizn 80, muzykaliów 360, rycin około 27.500, obrazów powyżej 900, okazów w zbrojowni Przeworskiej 673, innych rzeczy muzealnych około 2470, monet około 18.200, (z tych uporządkowanych monet polskich 5344 i monet starożytnych rzymskich 2689), medali 4271 (w tem polskich medali 1292), banknotów około 500, rozmaitości przyrodniczych z epoki przedhistorycznej zwyż 50. Zestawienie cyfr powyższych z cyframi z r. 1901 okazuje, że w przeciągu lat dwu przybyło między innemi: dzieł drukowanych, unikatów 6463, dubletów 1080, atlasów i map 39, rękopisów 107, autografów 3. Jest to więc, jak na skromne fundusze, jakiemi Zakład rozporządza, bardzo a bardzo wiele. Jak zaś ta instytucya jest pożyteczna ludziom pracującym naukowo na miejscu, tego dowodem najlepszym cyfry. W pracowni bowiem naukowej było w latach 1902—1903 czytelników 9222, na których użytek wydano

1267 rękopisów, 30.009 dzieł w 46.734 tomach. Ponadto Zakład wypożyczał książki poza obręb swych murów, oraz licznym bibliotekom krajowym i zagranicznym, dyrekcyom gimnazyów i t. d. W czytelni, przeznaczonej dla młodzieży i szerszej publiczności było w roku 1903 czytelników 11.341 (tj. mniej o 5500 niźli w r. 1901), Muzeum zaś zwiedziło osób 2357 wogóle, w tej liczbie 93 studentów i robotników. Wszystkie wyżej przytoczono cyfry świadczą wymownie, jak dodatnią była praca Zakładu przy tak szczupłej dotacyi i tak małych siłach roboczych.

O *Muzeum im. Dzieduszyckich* we Lwowie — mimo kilkakrotnych próśb — nie mogliśmy się niczego bliższego dowiedzieć. To też z konieczności poprzestajemy na podaniu kilku dat, tyczących się wydatków na cele muzealne. Otóż przychód wynosił 24.000 kor. Z pomiędzy wydatków wymienić należy: zakupno dzieł 1148 kor., zakupno pism i publikacyi peryodycznych 122 kor., nakłady własne 2494 kor., płace urzędników 12.427 kor., współpracownicy naukowi, podróże i wycieczki naukowe 3.975 kor. Zauważyć jednakże trzeba, że niedobór w budżecie wzrasta stale, bo podczas gdy w r. 1902 wynosił 17.000 kor., to w r. ub doszedł do cyfry blizko 19.700 kor. Jeśli tak dalej pójdzie i niedobory jednego roku będą przenoszone na rok przyszły — nie wiem, jak to się skończy. Od czasu objęcia kierownictwa *Muzeum Narodowego* w Krakowie przez d-ra F. Koperę, który z zadziwiająco energią i wytrwałością zajął się postawieniem tej ważnej instytucyi na stopie prawdziwie europejskiej, rozwój Muzeum był tak świetny, jak żadnej innej tego rodzaju skarbnicy pamiątek kulturalnych. Obdarzony rzadką w naszych czasach energią, wytężył wszystkie swoje siły nowy dyrektor, ażeby Muzeum, będące dotąd niemal wyłącznie galeryą obrazów przekształcić na Muzeum historyi kultury. Cel ten, mający nie tylko w rozwoju Muzeum pierwszorzędne znaczenie, jedyna bowiem Galicya ze wszystkich austryackich krajów koronnych nie ma ogólnego Muzeum kulturalnego, został nadspodziewanie prędko osiągnięty. Ażeby zyskać odpowiednie dla pomieszczenia nowych zbiorów miejsce, musiano przedewszystkiem przeprowadzić koniecznie roboty adaptacyjne. Ponadto trzeba było zająć się urządzeniem dwu nowych działów tj. przedhistorycznego oraz etnograficznego. Pierwszy z nich uporządkował znany archeolog dr. Wł. Demetrykiewicz, przyrzekając zarazem opracować szczegółowy jego katalog. Dział drugi porządkowali pp. Udziela i J. Warchałowski. Dział przedhistoryczny wzbogacił się w r. ub. darami: p. St. Czarnowskiego, który ofiarował wykopaliska na gro-

dzisku góry zwanej Okopem pod ojcowem, p. Fr. Pułaskiego (szereg naczyń z wykopalisk na Podolu), d-ra Grobickiego (skarb bronzowy, oraz pięknym skarbem bronzowym, pochodzącym z Błogocic koło Michałowic. Urządzając dział etnograficzny trzymano się systemu grupowania koło siebie przedmiotów bez względu na technikę i rodzaj, o ile pochodzą z jednej miejscowości, starając się dać dokładne i wszechstronne wyobrażenie o twórczości ludu w różnych dzielnicach Polski, o jego ubiorze i życiu codziennem. Zbiory etnograficzne podzielono na cztery główne grupy, z których najkompletniejszą ramę otrzymał dział krakowski. Z pomiędzy okazów tego działu zasługuje na uwagę model chałupy wiejskiej z Bronowic Wielkich, wykonany pod kierunkiem pp. Wł. Tetmajera i Procajłowicza. Ponadto wymienić jeszcze należy model willi zakopiańskiej projektu St. Witkiewicza, będący syntezą artystycznych pierwiastków, tkwiących w ludowem budownictwie Podhala, tkaniny litewskie oraz stroje ludowe z różnych okolic Polski. Otwarto też w r. 1903 dział pamiątek historycznych, z pomiędzy których na uwagę zasługują maski pośmiertne Mickiewicza, Lelewela i Lenartowicza, olejny portret Mickiewicza, malowany przez A. Kamińskiego, rysunek kredkowy Wańkowicza i autografy poety.

Darem wspaniałym, monumentalnym, jakim wzbogaciło się *Muzeum Narodowe*, są zbiory Emeryka hr. Czapskiego, zbiór monet i rycin oraz bibliotekę i starożytności. Zbiory te, tworzące dla siebie osobną całość, znane ogółowi z 10 drukowanych katalogów, mieszczą się w osobnym budynku, na którym fundator położył wymowny napis *Monumentis patriae naufragio ereptis*. Obecnie zajmuje się osobna komisya uporządkowaniem tych drogocennych zbiorów, pomiędzy którymi jest numizmatyczny skarb dawnej Polski.

Zbiory muzealne powiększyły się w r. ub. w niezwykły sposób wskutek ofiarowania zbioru monet, pieczęci i autografów przez p. W. Windyka Wittyga. W dziale monet znajdują się przepyszne brakteaty XII i XIII wieku, najrzadsze okazy monet Mieszka III, Władzsława Laskonogiego, Bolesława Wstydliwego, pochodzące z najnowszych wykopalisk wielkopolskich. Pokaźna liczba tych monet piastowskich, przeszło 300 sztuk wynosząca, z wielu dotąd nieznanemi monetami, powiększyła znakomicie odpowiedni dział w gabinecie muzealnym, a ewentualnie przyczyni się do rozwiązania wielu kwestyi numizmatycznych. Cenny jest też zbiór pieczęci miast polskich tegoż ofiarodawcy w ilości blizko 2000 sztuk, pochodzących przeważnie z XVI

wieku. Trzecim nie mniej ważnym darem p. Wittyga jest zbiór kilku tysięcy autografów. Dokumenty pochodzą z XVI—XIX w. i zawierają akty prawne, dyplomaty Aleksandra Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Anny Jagiellonki, Zygmunta III, Jana Kazimierza, Stanisława Augusta i innych. W kollekcyi dokumentów, pochodzących z XVI w., znajdują się autografy: Reja, Hozyusza, Kromera, Kochanowskiego, ludzi zasłużonych, jak: Bonera, K. Szydłowieckiego, Jana Zamojskiego. Zbiór to tem ważniejszy, że prawie na każdym dokumencie umieszczona jest pieczęć od dużych, majestatycznych począwszy, aż do drobnych sygnetowych szlacheckich i kupieckich, które będą stanowić dla stragistyków szerokie pole do badania. Ponadto otrzymało Muzeum anonimową kollekcyę rycin w liczbie 3000. Bardzo cenne są dalej okazy porcelany z fabryk w Korcu i Baranówce, pochodzące z daru p. St. Męczyńskiego. Są one szczególniej ważne dlatego, że ta gałęź przemysłu artystycznego coraz bardziej pogrąża się w niepamięci. W darze od d-ra W. Lasockiego otrzymało Muzeum bardzo piękną bibliotekę dzieł odnoszących się przeważnie do historyi sztuki, a oprócz tego kollekcyę map, rycin i oryginalnych rysunków wysokiej artystycznej wartości. Wzrost zbiorów muzealnych z darów drobniejszych przedstawia się następująco: dział obrazów wzrósł o 6 sztuk, rzeźb o 14, rysunków, akwarel i miniatur o 7, miedziorytów, drzeworytów, heliograwur o sztuk zwyż 3000, ekslibrisów o zwyż 150, porcelany i szkła o 5, przedmiotów przemysłu artystycznego zwyż 100, dział wojskowości polskiej o 6. dział przedhistoryczny o kilka sztuk, monet, medali, pieczęci, banknotów około 100, dokumentów i rękopisów około 10, książek, broszur, map o zwyż 500, fotografii o 11, rzeczy pamiątkowych o 7, przedmiotów etnograficznych kilkadziesiąt. Ponadto drogą zakupna lub wymiany nabyło Muzeum kilkadziesiąt przedmiotów z różnych działów. Frekwencya Muzeum wynosiła z górą 26.000 osób, dochód zaś ze wstępów przyniósł 11.566 kor. Dochody Muzenm wynosiły niemal 90.000 kor. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że do tego ogromnego wzrostu darowizn, jakie dostały się w r. ub. Muzeum Narodowemu, znamienicie przyczynił się hojny dar hr. Czapskiego. Nie należy też wątpić, że dobry przykład będzie jeszcze długo pociągał za sobą inne jednostki, i nie raz jeszcze stanie się przyczyną wzbogacenia się zbiorów muzealnych. Nie dość przechowywać z pietyzmem pamiątki przeszłości, uprzystępnić je dla ogółu, dla nauki, oto właściwie pojęty obowiązek każdej jednostki.

Podążało też naprzód i wzrastało na obczyźnie *Muzeum Narodowe polskie w Rapperswilu*. Dzięki ofiarności osób prywatnych, zamieszkałych w kraju i na emigracyi, napływ darów do Muzeum w r. ub. był znaczny. Korzystała z nich biblioteka w pierwszym rzędzie, ale i dział prawdziwie muzealny nie świecił pustkami. Grupa przedmiotów pamiątkowych wzbogaciła się między innymi: tablicą pamiątkową z warszawskiej »Kapliczki Trzeciego Maja«. Wyrobiona w marmurze Chęcińskim, na którym wyryty czterowiersz Krasickiego, z gruzów kapliczki skrzętną ocalona dłonią, tułała się, na poły pęknięta, długo, zanim dostała się do Muzeum. Tu zaliczyć należy ryngraf z wizerunkami: Matki Boskiej Częstochowskiej po jednej, Ukrzyżowanego zaś po drugiej stronie blachy miedzianej, srebrem grubo okładanej, wyorany w Gub. Grodzieńskiej. Pamiątką charakterystyczną jest sztandar »Rzeczypospolitej gminowładnej«, pomysłu Szymona Darowskiego z r. 1863. W działach sztuki plastycznej, malarskiej i rysowniczej mamy nabytki poważne, żeby wymienić: jeden portret pędzla Matejki, obrazy Łuszczkiewicza, Pociechy Rybkowskiego, Fabiańskiego, szkice Trojanowskiego, trzy akwarele J. Kossaka, oraz około 800 szkiców Jacka Malczewskiego z lat 1860—1870, pierwociny zatem głośnego dziś talentu, cenny przyczynek do dziejów jego, a zarazem wogóle do dziejów sztuki w Polsce. Dział rzeźb wzmógł się zbiorem kilkudziesięciu medalionów Wincentego Trojanowskiego, oraz dwoma medalionami, ciętymi w bukszpanie, w kość słoniową oprawnymi, a przedstawiającymi Jana III i Katarzynę Jagiellonkę. Drogą wymiany nabyto piękny okaz złotej toruńskiej donatywy Michała Korybuta. Zbiór broni pomnożył się mieczem, opatrzonym w lilie francuskie na rękojeści, 12-ma zaś wizerunkami książąt polskich epoki przedpiastowskiej(?) na klindze. W dziale rozmaitości przybył portret gobelinowy rycerza polskiego, kawalera orderu Ducha św., wizerunek prawdopodobnie jednego z dwu Jabłonowskich, orderem tym ongi oznaczonych. Z nabytków działu rękopiśmiennego wymienić należy kilkaset numerów obejmujące papiery Centralizacyi, tworzące niejako ułamek archiwum Tow. demokratycznego, dalej papiery jenerała Karola Kaczkowskiego, bogaty materyał do dziejów »Spółki wydawniczej żytomierskiej« z lat 1859—1860. Zawierają one setki listów, związanych z ruchem literackim i społecznej danej epoki, a między nimi listy Ignacego Chodźki, Aleksandra Grozy, Juliana Bartoszewicza, Maurycego Dzieduszyckiego, Augusta Bielowskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Ludwika Kondratowicza, Wincentego Pola, Siemieńskiego, Szajnochy, Kraszewskiego·

Szczególniejszego znaczenia są papiery po hr. Okszy Orzechowskim, naczelnym komisarzu Rządu Narodowego na Wschodzie, są zatem odłamem archiwum tegoż rządu i cennym przyczynkiem do jego dziejów. W dziale kartograficznym nabyto 28 map odręcznej roboty, z czasów jeszcze podziału Królestwa Kongresowego na województwa, sporządzonych przez geometrów okręgowych na polecenie rządu, jako materyał przygotowawczy do zamierzonego podziału byłej Kongresówki na gubernie. Kilkadziesiąt rycin Daniela Chodowieckiego, zakupionych przez Muzeum, pomnożyło i tak niezwykle obfity zbiór sztychów tego artysty. Ogółem przybytki w r. ub. wyniosły: przedmiotów pamiątkowych 5, numizmatycznych 533, rzeźb 29, obrazów olejnych 20, akwareli 84, rysunków oryginalnych 728, rycin 361, fotografij 71, nut 21, map 88, rękopisów 1500, druków 2314, rozmaitości 3. Stan Zbiorów przedstawia się następująco: przedmiotów pamiątkowych 1051, przedmiotów numizmatycznych 5504, rzeźb 539, obrazów olejnych 326, akwareli 365, miniatur 99, rysunków oryginalnych 1691, rycin 18.312, fotografij 7558, nut 1110, druków 47.740, rękopisów 7440, rozmaitości 378. Muzeum zwiedziło w r. 1903 osób 3970. Kapitał muzealny wynosi 53.000 franków, nie licząc w to naturalnie funduszów, mające przeznaczenie specyalne.

Dr. Stanisław Zdziarski.

VI kongres międzynarodowy fizyologów w Brukseli,
30 sierpnia — 3 września 1904 r.

Miałem sposobność wziąć udział w tegorocznym zjeździe międzynarodowym fizyologów. Wypada mi przeto podzielić się z czytelnikami *Przeglądu* niektóremi wrażeniami i wiadomościami, jakie tam zebrałem.

Słówko naprzód o historyi poprzednich zjazdów fizyologicznych. Pierwszy kongres międzynarodowy fizyologów odbył się w Bazylei, w zakładzie profesora Mieschera, w dniach 10. 11 i 12 września 1889. Uczestników liczył 129. Drugi kongres z kolei był w Leodyum, w zakładzie fizyologicznym prof. Leona Frédericq'a, 29—31 sierpnia 1892; trzeci w zakładzie prof. Kroneckera w Bernie szwajc., 9—13 września 1895; czwarty w Cambridge, 22—26 sierpnia 1898, w zabudowaniach Physiological Laboratory uniwersytetu, pod przewodnictwem sir Michała Fosster'a.

Przedostatni zjazd fizyologów, a z kolei piąty, odbył się w Turynie, pod przewodnictwem profesora Angelo Mosso, w zakładzie fizyologicznym uniwersytetu, od 17 do 21 września 1901; członków kongresu było 227; 18 mechaników wzięło udział w wystawie przyrządów dla fizyologii.

Zasady, według których urządzać się ma i odbywać zjazdy międzynarodowe fizyologów, postawiono i uchwalono na pierwszym z tych zjazdów, bazylejskim. W dwu tylko punktach zarządzono poprawki i uzupełnienia na zjazdach w Bernie i w Turynie. Główne z tych zasad, mających obecnie znaczenie ustaw, są następujące:

1. Kongres międzynarodowy fizyologów zbierać się będzie co trzy lata. Celem jego przyczynić się do postępu w fizyologii — przez danie sposobności fizyologom różnych krajów przedstawienia osobiście swych doświadczeń i wyników, wymiany wzajemnej i przedyskutowania swych poglądów, zawiązania wreszcie stosunków osobistych ze swymi kolegami.

2. Jako członkowie kongresu mogą być dopuszczeni: 1) profesorowie, docenci i asystenci fizyologii lub nauk pokrewnych, 2) członkowie towarzystw fizyologicznych lub nauk pokrewnych, np.: *Physiological Society*, *Société de Biologie* (Paryż), *Physiologische Gesellschaft* (Berlin), *American Physiological Society* i t. d. 3) Osoby przedstawione przez ich komitet narodowy.

Na posiedzeniu plenarnem każdego zjazdu wybierze się komitet kierujący, którego zadaniem będzie zorganizować zjazd następny; ten komitet ma się składać co najmniej z siedmiu członków. Profesor fizyologii uniwersytetu tego miasta, gdzie będzie zjazd, jest z prawa przewodniczącym owego komitetu urządzającego.

Komitet kierujący wyznaczy dla każdej z głównych narodowości komitet narodowy, który pomagać mu ma w jego czynnościach, a zwłaszcza decydować w sprawie dopuszczenia do kongresu osób, nie wchodzących do kategoryi 1-ej i 2-ej wyżej wymienionych.

3. Posiedzenia kongresu przeznaczone są na referaty i demonstracye fizyologiczne. Nadto, referaty z badań samodzielnych w zakresie anatomii, patologii i nauk przyrodniczych będą dopuszczane o tyle, o ile będą miały charakter ogólno-biologiczny.

4. Należy się starać o to, aby referaty miały, o ile tylko można, cechę demonstratywną i doświadczalną.

5. Z prac kongresu nie będzie się drukowało urzędowych sprawozdań.

6. Następujące przepisy szczegółowe odnoszą się do odbywania posiedzeń:

a) Jako języki urzędowe kongresu uznane są: niemiecki, francuski, angielski i włoski. Każdemu z członków kongresu wolno się wysłowić *(s'exprimer)* w swoim języku ojczystym.

b) Na wniosek przewodniczącego zgromadzenie mianuje na każdem posiedzeniu dwu przewodniczących posiedzenia następnego.

c) Zgromadzenie mianuje zaraz na początku kongresu sekretarza generalnego dla każdego z języków urzędowych, który czuwać ma nad sporządzeniem protokołów z posiedzeń.

d) Protokoły mają być prowadzone w czterech językach urzędowych przez czterech sekretarzy, mianowanych na każdem posiedzeniu przez przewodniczącego. Przewodniczący posiedzenia ma potwierdzić wierność protokołu całego posiedzenia.

e) Czas trwania referatu nie ma być dłuższy nad 15 minut. Po upływie ich ma przewodniczący zapytać się zgromadzenia, czy życzy sobie przedłużenia referatu.

f) Wniosek o zamknięcie, poparty przez trzech członków, ma być w tej chwili dany pod głosowanie.

7. Prasa urzędowo nie będzie dopuszczona do kongresu; każdy jednak z członków może prywatnie posyłać referaty do pism naukowych.

Zorganizowaniem i urządzeniem tegorocznego zjazdu zajął się wedle ustaw komitet międzynarodowy, wybrany na piątym kongresie międzynarodowym. Skład tego komitetu stanowili profesorowie: Bohr (Kopenhaga); Blix, Bowditch (Boston); Cybulski (Kraków); Dastre (Paryż); Einthoven (Lejda); Exner (Wiedeń); Fano (Florencya); Frédericq (Leodyum); Grützner (Tybinga); Heger (Bruksela); Hensen (Kilonia); Kossel (Heidelberg); Kronecker (Berno szwajc.); Langley (Cambridge); Luciani (Rzym); Misławski (Kazań); Nikolaides (Ateny); Prevost (Genewa); Richet (Paryż); Sherrington (Liverpool); Wiedienski (Petersburg).

Na posiedzeniu plenarnem 21 września 1901 kongres turyński uchwalił obrać Brukselę za miejsce następnego zjazdu, termin zaś wyznaczył na początek września 1904. Przewodniczącym tak komitetu urządzającego, jak i szóstego zjazdu międzynarodowego fizyologów,

został, w myśl ustaw, obrany profesor fizyologii uniwersytetu brukselskiego, p. Paweł Heger.

Na przewodniczącego, z natury rzeczy, przypada olbrzymia część całej pracy urządzenia kongresu. Z zadania swego wywiązał się prof. Heger, jak zapewniają ci, co brali udział w poprzednich zjazdach fizyologicznych, znakomicie. Ja, naturalnie muszę tylko wierzyć, bo nie mogę porównać tego kongresu z innymi, na których nie byłem; niezależnie zaś od takiego zestawienia mogę tylko tyle powiedzieć na podstawie własnych mych obserwacyj i wrażeń, że całe zorganizowanie urządzenie zewnętrzne kongresu brukselskiego odpowiadało całkowicie jego zadaniom, potrzebom i regularnemu funkcyonowaniu.

Gościny kongresowi udzieliły zakłady fizyologii, socyologii i szkoły handlowej, noszące nazwę od swego założyciela i obecnego głównego kierownika *Instituts Solvay*. Pan Solvay jest to bardzo bogaty człowiek, z zapałem oddający nauce nie tylko swoje zdolności i swój czas, ale nadto swoje miliony. Onto utworzył przed kilkunastu laty królewską fundacyę, której uniwersytet brukselski zawdzięcza swój, wedle wymagań dzisiejszej nauki utworzony zakład fizyologiczny, i jeszcze od niego hojniej wyposażony zakład nauk społecznych. On zaprosił przed trzema laty uczestników piątego zjazdu międzynarodowego fizyologów na zjazd szósty do siebie, t. j. do stworzonych przez siebie zakładów. On też był obok prezesa, p. Heger, drugim, naturalnym, gospodarzem całego zjazdu obecnego.

Do miejsca zjazdu *(Parc Léopold)* od środka miasta bardzo daleko, ale komunikacya tramowa dobrze w Brukseli urządzona, a jedną linię od *Place Royale* aż do *Parc Léopold* oddano do bezpłatnej dyspozycyi uczestników zjazdu na czas jego trwania.

Zjazd odbył się według następującego programu:

Poniedziałek 29 sierpnia. Otwarcie wystawy przyrządów do fizyologii. Wystawa ta miała być otwartą do 3-go września włącznie. — O godz. $8^1/_2$ wieczór zebranie członków w Kole artystyczno-literackiem. Koncert w Waux-Hall.

Wtorek 30 sierpnia. O godz. 9-ej pierwsze posiedzenie kongresu. O godz. 2-ej drugie posiedzenie. — O $4^1/_2$ zwiedzenie Instytutu nauk społecznych. — O $8^1/_2$ wieczór przyjęcie członków kongresu w ratuszu przez prezydyum miasta i radę miejską.

Środa 31 sierpnia. O godz. 9-ej rano i $1^1/_2$ popoł. posiedzenia kongresu. — O godzinie 4-ej przyjęcie kongresistów u państwa Errera.

Czwartek 1 września. O godz. 9-ej rano i 2-ej popoł. posiedzenia. — O godz. $8^1/_2$ wiecz. przyjęcie u państwa Solvay.

Piątek 2 września. O godz. 9-ej rano i $1^1/_2$ posiedzenie kongresu. — O godz. 3-ej posiedzenie końcowe, — O godz. 7-ej wiecz. bankiet składkowy.

Sobota 3 września. Wycieczka do Antwerpii.

Z posiedzeń kongresu pierwsze i ostatnie było plenarne; inne, sekcyjne, odbywały się jednocześnie w trzech salach. Zapowiadano i ogłaszano utworzenie osobnej sekcyi dla chemii fizyologicznej, osobnej dla psychologii doświadczalnej (tak jak to było na zjeździe turyńskim), gdyż spodziewano się, że wpłynie odpowiednia ilość referatów, do tych działów się odnoszących. Przyznam się, że sam głównie właśnie dla owej sekcyi psychologii fizyologicznej wybrałem się na zjazd do Brukseli. Niestety, pod tym względem nadzieje tak moje, jak panów komitetowych nie spełniły się. Referatów psychologicznych prawie że nie było. Przyczyny tego były dwie prawdopodobnie: jedna, zjazd psychologów niemieckich, jaki się odbył w czasie feryj wielkanocnych w Giessen; druga — zarezerwowanie się na przyszłoroczny zjazd międzynarodowy psychologów w Rzymie.

Uczestniczyli w brukselskim zjeździe przedstawiciele różnych krajów i narodów. Najwięcej było z Belgii, bo aż 89, i to przeważnie z samej Brukseli. Anglia dostarczyła 29 kongresistów, Niemcy 28, Francya 47, Stany Zjednoczone Ameryki 16, Włochy 22, Austro-Węgry 9, Rosya 7, Szwajcarya 9, Holandya 7, Grecya 3, Hiszpania 2, po jednym Rumunia i Szwecya, wreszcie dwu Japończyków przedstawiało swoją odległą ojczyznę. W ogólnej liczbie 270 członków kongresu było 5 Polaków (prof. Cybulski z Krakowa, prof. Beck ze Lwowa; panna Joteyko i panna Stefanowska, obie gorliwe pracownice od 7—8 lat w laboratoryum fizyologicznem Solvay'owskiem).

Referatów zgłoszonych dorachowałem się pokaźnej liczby 152. Wobec niej koniecznem było oczywiście odbywać posiedzenia równocześnie w osobnych sekcyach. Konieczność ta pociąga za sobą jednak tę niedogodność, że nieraz, pomimo najlepszej woli, nie może się być na takich referatach i demonstracyach, którychby się wcale nie chciało stracić.

Nie będę czytelników nużył przytaczaniem choćby samych tytułów referatów, boć zresztą i samo ich wymienienie zajęłoby prawie chyba arkusz druku. Sam byłem tylko na małej części referatów i demonstracyj, wybierałem rzeczy więcej mnie interesujące lub specyalnie

do mego zakresu wchodzące. Sprawozdanie z tego, com widział i słyszał, ograniczę tylko do wzmianki o jednej rzeczy, która może budzić szerszy interes.

Ze szczególnem zajęciem słuchałem referatów odnoszących się do prac, które od szeregu lat prowadzi tak zakład fizyologiczny Solvay'owski, z inicyatywy jego założyciela, jak różni pracownicy po świecie, przejęci ideą Solvay'a. Idea ta polega na uspołecznieniu fizyologii z jednej strony, na biologicznem traktowaniu socyologii z drugiej. Tą ideą kierował się Solvay, fundując zakład dla fizyologii i zakład dla socyologii; dla tej samej idei poświęca nadal swą pracę i swe mienie, rozwijając swe dzieło na coraz większą i obszerniejszą skalę. Nad bliższem określeniem tak samej tej idei naczelnej, jak rezultatów prac, dotychczas w celu jej urzeczywistnienia dokonanych, tem mniej nad krytyką pomysłu i metod stosowanych nie będę się obecnie zastanawiał, gdyż zamierzam osobno o tem do *Przeglądu* napisać. Tu tylko wymienię niektóre z referatów wspomnianej kategoryi:

E. Solvay (Bruksela): Oksydacya, odogeneza, kataliza.

Kronecker i Uhlman (Berno szwajc.): Doświadczenia nad zmęczeniem.

J. Joteyko (Bruksela):

1) Równanie krzywej zmęczenia i jej znaczenie fizyologiczne.

2) Prawo ekonomii wysiłku w dynamice nerwów.

Kipiani (Bruksela): Wpływ cukru na ergogram.

Stefanowska (Bruksela):

1) Krzywa przyrostu na wagę u zwierząt i roślin.

2) Wydatek organiczny rośliny w funkcyi czasu.

Karol Henry (Paryż):

1) O dynamometrze całkowym registrującym.

2) O głównych prawach energetyki.

Karol Henry i Ludwik Bastien (Paryż): Prawa wzrostu człowieka i wzrostu wogóle.

Jaki jest związek między wymienionymi referatami z sobą i jaki z programem, który wytyczył p. Solvay założonym przez siebie instytutom filozofii, a zwłaszcza socyologii? Do czego ostatecznie dąży ten program, o ile już został w życie wprowadzony, — jaka jest wartość naukowa tego wszystkiego? Pytanie to z pewnością nasuwa się niejednemu z czytelników. W swoim czasie, jak wyżej zapowiedziałem, będę się starał o tem wszystkiem do *Przeglądu* napisać. Tymczasem

poprzestać muszę na gołosłownem zaznaczeniu, że związek między tymi tematami a programem zakładów Solvay'owskich jest ścisły, program zaś sam daleko sięga do rzeczy pierwszorzędnej doniosłości.

Z innych referatów, których słuchałem, odnosiłem częściowo wrażenie, że dobry podręcznik fizyologii albo dobry profesor tej nauki na uniwersytecie lepiej tę lub ową rzecz wykłada, niż banalne jej opracowanie kongresowi naukowemu przedstawia.

Więcej, niż z referatów wogóle, byłem zadowolony z tych demonstracyj i doświadczeń, które miałem sposobność widzieć.

Wystawa przyrządów do fizyologii słabiej wypadła, niż na kongresie turyńskim. Z dziesięciu mechaników, którzy przybyli tam ze swymi przyrządami sami lub przysłali je na wystawę, bezsprzecznie pierwszeństwo trzeba przyznać p. Zimmermannowi, mechanikowi precyzyjnemu lipskiego laboratoryum psychologicznego.

Właściwy kongres naukowy skończył się posiedzeniem plenarnem w piątek 2-go września o godz. $4^1/_2$ popoł. Jako miejsce następnego zjazdu po długich dyskusyach i debatach obrano większością głosów Heidelbergę, do której tamtejszy profesor fizyologii, p. Kossel, zaprosił kongresistów serdecznie na VII zjazd międzynarodowy fizyologów. Zjazd ten odbędzie się za 3 lata w sierpniu, w dniach później oznaczyć się mających.

W zebraniach towarzyskich, ucztach, wycieczkach udziału nie brałem, więc nic o nich nie mam do pisania.

Ks. S. Kobyłecki.

Druk ukończono 31 października 1904 r.



PRZEZ LILIOWE POLA

NIEPOKALANA.

We łzach i skrusze szli raju wygnańce,
Z wspomnieniem szczęścia, z bożej klątwy echem...
Szatan wyglądnął ponad świata krańce
Z tryumfu śmiechem...
A wkoło głucha, cierniami zasiana
Ziemia skalana.

Próżno zwracają łzą zalane twarze:
Nie ujrzą więcej rozkosznego kraju...
Pustka złowroga jakby po pożarze
Na miejscu raju,
A w duszach krwawym wyrzutem się sroży
Czarny gniew boży.

Nagle przystali — ponad tym pomrokiem,
Gdzie śmierć i boleść zdradziecko się wiła,
Jasna, przecudna na niebie wysokiem
Gwiazda świeciła.
To ta »Niewiasta«, ta zapowiedziana
Z obietnic Pana!

Więc jak rozbitki ze strzaskanej łodzi
Sród szalejącej burzy i zawiei,

Co się dostali cudem śród powodzi
W arkę nadziei:
Pierwsi hymn nucą tej zbawczej, wybranej —
Niepokalanej.

A gdy po wiekach pokuty i skruchy
Sędziwe starce, gdzieś w odludnej dali,
W ramiona Stwórcy łzą obmyte duchy
Gasnąc składali:
To myśl ich biegła znów za tą kochaną —
Niepokalaną...

* * *

Po nich szły wieki... naród po narodzie
Z pieśnią i pługiem, z mieczem i płomieniem,
Łzami zraszając kroki w swym pochodzie
Lub krwi strumieniem;
A ponad nimi z mgły dziejów wyrasta
Boża »Niewiasta«...

Pięćdziesiąt wieków przeszło po kolei
Ku Chrystusowi bieżąc jak rycerze,
Patrząc w tę cudną zapowiedź nadziei,
Z okrzykiem: »Wierzę«!
I pieśń przez całe płynie ludzkie plemię:
— O, zstąp na ziemię!...

Zstępuje. Przed nią Patryarchów rzesza,
Przy niej Prorocy, jako świt promienny,
Co na obłokach, wsparty głowę zwiesza
Na padoł senny.
Za nimi jasna... ziemio — na kolana!...
Niepokalana!

Od tronu Boga płyną niebian szyki
Z pieśnią i kwieciem krainy świetlistej,

Niosąc swe hołdy i szczęścia okrzyki
Do stóp przeczystej,
Co w swem poczęciu już starła szatana.
»Niepokalana«.

* * *

Już ta przeczysta, co Boga nam dała,
Siadła przy Synu, w gwiaździstej koronie,
Jak Pani Niebios, jako ziemi chwała
W słonecznym tronie.
I wciąż nas dźwiga i wiedzie do Boga,
W nowy raj droga.

Odtąd też idą z tych ziemskich padołów,
Przez łzy i próby, przez zwycięskie boje,
Zastępy dziewic, jak chóry aniołów,
W niebios podwoje.
Przez łan liliowy wiedzie je do Pana
Niepokalana.

Ks. Władysław Czencz.

NIEPOKALANE POCZĘCIE A CHWILA OBECNA.

Myśl, ażeby przypadającą na ten rok 50-letnią rocznicę chwili, w której ogłoszono dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, obchodzić jak najuroczyściej, — myśl ta przybrała rzeczywistą postać. Rok cały był rokiem Bogarodzicy. Swiat katolicki w tym czasie był widownią niezwykłych objawów czci dla Matki Boga, a i Polska niepoślednie zajęła tu miejsce.

Co w takim roku czuje wierzący katolik, zwłaszcza wierzący Polak, mówić nie potrzebujemy. Wystarczy to jedno słowo: »Pierwsza po Bogu«.

Zadajmy sobie raczej pytanie, jakie znaczenie ma rocznica ta dla chwili obecnej. Czy dwa te momenty stoją do siebie w stosunku obojętnym, czy, przeciwnie, z ustawienia ich obok siebie wynika myśl jakaś donioślejszego dla życia znaczenia?

Właśnie, kiedy zaranie dzisiejszej epoki świtać zaczynało, zaszedł w naszej historyi drobny wypadek, który dobrze nas w obecną kwestyę wprowadza. Oto w drugiej połowie ośmastego wieku, zakłada w Warszawie Załuski, dla przedstawicieli nauki i literatury, Akademię, której jedynym celem: głosić i szerzyć cześć Najśw. Panny, *Academia Mariana*. Pomysł nowy, oryginalny, nie miał jednak, niestety, poszczycić się pomyślnym wynikiem. Nie przyszedł w swoją porę. Rozszerzać wtedy zaczęła swoje wpływy filozofia »Oświecenia«, na tronie europejskiej opinii zasiedli Wolter i Rousseau, szybkiem tempem zbliżyła się rewolucya francuska.

Od onej chwili po dziś jesteśmy pod znakiem ustawicznej

walki antyreligijnej, raz silniej, raz słabo uświadomionej, nieraz zupełnie nieuświadomionej w umyśle tych, co ją prowadzą. Wytwarza się poprostu prąd, który, jak każdy duch czasu, ślepym pędem wszystko za sobą porywa. Dzisiaj, po całem stuleciu, kiedy wskutek tysiącznych łamigłówek logicznych, wszystkie prawie wyrazy ogólne utraciły przejrzystość swego pierwotnego znaczenia, kiedy w każdy pogląd syntetyczny na życie i jego zadania wkracza cała maszynerya kółek poprzednich systemów, niejeden człowiek, szukający prawdy, nieraz bywa stropiony przedmiotowością, logicznością nowych kierunków filozoficznych. Same zresztą te nowe kierunki tworzą się niejednokrotnie z najlepszą wiarą, z całą precyzyą naukową; słaba ich strona tylko w podstawie, na której się opierają, w oparciu się na poprzednich systemach. Ale w zaczątku tej epoki, pierwsi jej pionierzy nie kryli się ze swymi zamiarami. Nigdy dość, w tym względzie, nie można przywodzić na pamięć, że wówczas hasło do walki z wszelkim poglądem, z wszelkim trybem życia, wypływającym z religii objawionej wogóle, z katolicyzmu w szczególności, było rzucone otwarcie — co tak wyraziście skrystalizowało się w słynnem wyrażeniu Woltera: *écrasez l'infame.*

W okolicznościowem zagajeniu, jak szkic niniejszy, nie miejsce po temu, by wyróżniać wpływy i zależności, jakie na ten stan umysłów się złożyły i różniczkować jego fazy. Chodzi nam tylko o ideę przewodnią.

Otóż właściwa, systematyczna walka zaczęła się od pozornego szacunku dla wszystkich religij. Wszystkie religie są dobre. Ale że wszystkich razem przyjąć nie można, bo są ze sobą niejednokrotnie sprzeczne, a wybór pomiędzy niemi niemożliwy, bo nie wiadomo, która między niemi jest prawdziwą, więc nic innego nie pozostaje, jak wszystkie usunąć na bok. Znana jest z owych czasów przypowieść o trzech pierścieniach w »Natanie« Lessinga.

W wielu umysłach trwał jeszcze jakiś czas czysto filozoficzny deizm. Wikaryusz sabaudzki w »Emilu« Rousseau'a, odrzucając wszelką objawioną religię, wyznaje jeszcze Boga, uznaje cnotę i nieśmiertelność duszy. Ale pozostałość taka może trwać tylko przez chwilę, przynajmniej dla ogółu ludzi. Religia sprzęga

się bezpośrednio z życiem, ona temu życiu daje nakazy. Cóż, wobec pożądań namiętności i zawikłań stosunków ludzkich, znaczyć może nakaz, płynący z czysto abstrakcyjnego wyrozumowania? To też po ruinie szacunku dla religii objawionej i deizm rozsypał się w gruzy.

Otoczyła teraz człowieka pustka, czy zupełna swoboda. Ustały wszystkie wyższe nad człowiekiem prawdy i prawa, wszelki wyższy cel, nastało zupełne wyzwolenie umysłu, autonomia moralna. A że człowiek, z najgłębszej natury swojej, musi mieć jakiś drogowskaz działania, cel, do którego dąży — że nadto nic, na widnokręgu nie zostało, prócz człowieka samego, prostem następstwem było, że człowiek sam te opuszczone placówki zajął. Człowiek, czy ludzkość, wogóle natura ludzka, stała się teraz najwyższą normą, ostatecznym celem, i jako taka zajęła ołtarz, z którego usunięto Boga.

Ubóstwienie natury ludzkiej, oto sztandar tej epoki.

Sztandar ten, raz wywieszony, powiał wkrótce na wszystkich dziedzinach życia i myśli. Oczywiście, że tak tu, jak i w każdym ruchu ogólniejszego znaczenia, nie można mówić o kierunku prostolinijnym na raz obranej drodze. Wszędzie i zawsze zachodzą ruchy wahadłowe. Najpierw. epoka napoleońska, doba poezyi romantycznej i doba pewnego odrodzenia ruchu religijnego, przerywają ten okres na chwilę, a potem, w samym tym okresie, w dziełach i czynach wybitniejszych jego przedstawicieli, jak w każdem dziele ludzkiem, zależnie od różnych punktów wyjścia, od otaczających warunków, od osobistego temperamentu i wykształcenia, mieszają się najróżnorodniejsze objawy, nieraz ze sobą niezgodne, różne idee, błąd i prawda, jasny zamiar i nieświadomość, powrót częściowy do tego, co inni już zburzyli, wraz z dalszą pracą przy nowem burzeniu.

W tem rozumieniu, w całej dzisiejszej epoce, mnóstwo narzuca się dowodów na stwierdzenie powyższego spostrzeżenia, co do istotnego rysu epoki. Kilka przykładów.

Weźmy system z dzisiejszych systemów jeszcze najpoważniejszy.

Systemem takim, bardzo wpływowym, który, omal, że nie

całą dziedzinę spekulatywną tej epoki zawojował, jest kantyzm. Cały legion epigonów snuje dalej myśl mistrza i o myśl tę tysiące dzieł, w mniejszym lub większym stopniu, opiera się. Otóż kantyzm wchłania w siebie wszystkie główne prądy wspomnianej poprzednio filozofii XVIII wieku i jest ich jakby ostatniem słowem. Odbijają się w nim i odrzucajaca objawienie, krytyczna wiara rozumowa racyonalistów i namiętny zapęd Rousseau'a do zwolnienia jednostki ludzkiej ze wszystkich więzów i przedrewolucyjne teorye społeczne i państwowe, wykluczające autorytet. I rzecz dla historyi ludzkiej myśli znamienna. Nie ucichły jeszcze owoczesne zachwyty nad Bakonem i Deskartesem, że wyrzucili, pomiędzy rupiecie, Arystotelesa i opierającą się o niego filozofię, jako dogmatyzm, narzucający więzy myśli ludzkiej, — a oto z systemem Kanta zjawia się nowy dogmatyzm, jakiś dogmatyzm autonomiczny, który przez swój, zamykający się we własnem »ja«, subjektywizm, właściwe dopiero pęta na rozwój ludzkiej myśli wkłada.

Ale dogmatyzm ten schlebia człowiekowi. Pomijamy niejasności i chwiejności systemu Kanta, między które należy zaliczyć i to, że uznaje istnienie Boga, prawdę zostającą w luźnym zupełnie stosunku z całym systemem. — o czem jeszcze niżej słów kilka. Chodzi nam tylko o to, czy jest w nim to istotne znamię epoki? — a to jest oczywiste. System ten przecież usiłuje rzucić podwalinę pod całkowite wyzwolenie człowieka ze wszelkich zewnętrznych zależności, i w nim samym, w ludzkiem »ja«, w jego rozumie, racyę wszystkiego składa. Głównym dla naszej sprawy momentem to kantowska autonomia i niezależność moralna. Niezależność — więc w samym człowieku, w samym rozumie ludzkim jest złożona ostateczna norma moralności i cały prawny kodeks życia; prawem natury jest to, co rozum praktyczny stanowczo nakaże. Pod ten nakaz rozumu wszystko podpada — bezpośrednio, czyny jednostkowe, także i religia — pośrednio, węzły społeczne, rodzina, państwo, polityka i t. d. Ludzkie »ja« staje na czele wszystkiego i jego wyrok o wszystkiem rozstrzyga.

A i strona logiczna systemu, przez różnicę wprowadzoną przez Kanta między rozumem spekulatywnym a praktycznym

ma dla naszej sprawy doniosłe znaczenie. Człowiek poznaje tylko zjawiskowość rzeczy zewnętrznych, a nie rzeczy same w sobie, nie poznaje ich tak, jak są w rzeczywistości, tylko we własnym wytworze logicznym, ujętym następnie pod pewne, znowu własne, kategorye. Jeżeli dodamy do tego jeszcze szereg ogólniejszych, niezależnych od świata zewnętrznego, pojęć, które mają zaprowadzać ład między myślami, to dojdziemy już do granic poznania i wiedzy ludzkiej. Poza tem jednak, dla względów czysto praktycznych, ażeby można żyć i działać, trzeba przyjąć, że istnieją pewne przedmioty rzeczywiste, jak Bóg, trzeba nadto przyjąć, że mają one pewne swoje przedmiotowe własności. Czyni to już jednak rozum praktyczny, a nie spekulatywny, — ten nic o tych przedmiotach nie wie. Nakazują to poznanie względy życiowe, moralne, dyktuje je właściwie uczucie, serce, ale nie właściwy rozum, właściwa nauka nic o nich nie wie. Sens oczywisty, że tak pojęty Bóg jest tylko złudzeniem życiowem, że w imię rozumu jak najprędzej go trzeba usunąć i w miejsce jego postawić ludzki rozum, człowieka czy ludzkość. W tym duchu też postąpili następcy Kanta.

Idee Kanta, pod ręką jego następców wprost już potoczyły się w tym kierunku. Kiedy Fichte mówi, że to Kantowskie »ja« jest czemś absolutnem, to trzeba to uważać za fantazyę, odnoszącą się do sfery czysto logicznej, ale kiedy pisze, że Boga osobowego niema, że Bóg jest tylko »porządkiem moralnym« w ludzkości, albo, gdy Schelling uznaje tylko panteistyczny świat »wielkiego wszystkiego«, lub, kiedy Hegel dowodzi, że Bogiem jest państwo, to w tych i w mnóstwie pokrewnych doktryn mamy już przed sobą wprost ubóstwienie natury ludzkiej.

Filozofia niemiecka, to jeden z daleko sięgających objawów tej epoki, o nadzwyczajnym wpływie na jej życie całe, objaw ogromnie zróżniczkowany, rozgałęziony, a każda z tych przelicznych gałęzi nowe w tym samym rodzaju rodzi owoce.

Weźmy inny kierunek. Rozwodzić chyba nie potrzeba się nad tem, że to samo, co filozofia niemiecka, w inny tylko sposób robi pozytywizm, drugi system ogromnie wpływowy. Jeżeli odrzuca się wszystko. jako nieistniejące, lub przynajmniej nie wcho-

dzące w rozumną rachubę, co nie podpada pod lndzkie zmysły i metodę eksperymentalną, to temsamem w sferze moralnej nic innego nie pozostaje, jak uznać człowieka, czy ludzkość, celem jedynym moralnego czynu. To też stawia jako zasadę Comte, to ujmuje w system Mill, a za nimi już idzie cała falanga filozofów. Dobrem jest tylko to, co rozszerza życie społeczne ludzkości, co sprzyja jego rozwojowi, co dopomaga mu do osiągnięcia pełni najwyższej, co zwiększa sumę szczęścia ludzkiego — złem zaś, co tamuje rozwój życia i zmiejsza sumę przyjemności. Cóż to innego znaczy, jak nie postawić naturę ludzką na ołtarzu.

O wiele płodniejszym w następstwa od systemów czysto filozoficznych jest system idei, który stał się już systemem prawnopaństwowym. A w takim żyjemy po dziś dzień już od czasów rewołucyi francuskiej. Władza nie pochodzi od Boga, ale od ludu, wola ludu to państwo. Człowiek sam jest sobie najwyższym panem, nie zna żadnego nad sobą prawa, sam podług swej woli, jedne prawa tworzy, drugie zmienia. *L'état est athée,* państwo nic nie wie o jakimkolwiek kulcie, wyznaniu, nie zna zupełnie Boga i jego praw.

Oto wiązanka nowych doktryn, rozwijająca się w tym wieku »Umowy społecznej« Rousseau'a, mniej lub więcej wprowadzona w życie, w kodeksy prawne, w całe urządzenia i administracyę państw. Tam, gdzie nie dosięgną systemy filozoficzne, w najtajniejsze kąty życia codziennego wszystkich warstw ludności, tam dosięga ten system, regulując całą maszyneryę życia społecznego. Głównym regulatorem to liberalizm, idea bezwzględnego wyzwolenia człowieka ze wszystkich więzów, wolność, wolność na wszystkich polach, a jeżeli nie jest to jeszcze wolność bezwzględna, to o tyle tylko, o ile udało się państwom wytargować od rewolucyi pewne ograniczenia, ażeby nie dopuścić do całkowitej anarchii.

I tak możnaby ten spis analogicznych idei, kierunków dzisiejszych, przeciągnąć w długie, bardzo długie szeregi. Dla naszej sprawy wystarczy zaznaczyć tylko przewodnie. Te kierunki i idee wypełniają całą atmosferę, którą wszyscy oddychamy; ze systemów filozoficznych przeszły one w literaturę piękną, w prasę codzienną, w umysły mas, w całe urządzenie życia.

Zapytajmy teraz: jaki wynik? Jeśli dusza ludzka w tej epoce tak namiętnie dążyła do całkowitego wyzwolenia się ze wszystkich więzów, do zajęcia miejsca naczelnego, należnego Bogu, to tylko dlatego, ażeby dojść do pełności rozwoju, doskonałości, dobrobytu, szczęścia. Czy ten wynik osiągnęła?

Prosty rzut oka na życie codzienne co innego mówi. A jeżeli kto oku swemu nie wierzy, lub z życiem niema zetknięcia, tego przekonać muszą cyfry: zwiększona statystyka zbrodni, zwiększona ilość nędzy i ogromny wzrost niezadowolonego proletaryatu, wreszcie zwiększona statystyka samobójstw.

A w sferze wyższej, społecznej i politycznej? Czy ta wolność, tak upragniona, urzeczywistniła marzenia? Nikt oczywiście nie myśli przeczyć dodatnim stronom wolności i innych objawów dzisiejszej cywilizacyi. Chodzi tylko o to, że w te wszystkie objawy ludzkiego życia powinien wchodzić wyższy regulator, którego dzisiaj niema. Otóż, jak przedstawia się sprawa bez tego regulatora? Czyż publiczne ustawy nie przedstawiają najczęściej tylko liczebną siłę jednego stronnictwa, z pokrzywdzeniem innych? A dalej. »Słyszeliśmy — mówi Leon XIII — wysławiających pod niebiosy dobrodziejstwa wolności, ale, w istocie, wolność ta okazała się nieodpowiednią. Podnoszą się wszędzie konflikty ekonomiczne i walki klasowe. Nie widać ani śladu pokojowego życia obywatelskiego. Przeciwnie każdy może poświadczyć, że wolność prawdy i fałszu, prawdziwego dobra i jego przeciwieństwa, doprowadziła tylko do poniżenia tego, co szlachetne, święte i wzniosłe, do otworzenia na oścież drzwi zbrodniom i wszystkim namiętnościom ludu«.

Najjaśniej przedstawia się ta sprawa w dzisiejszych stosunkach międzynarodowych. W stosunkach tych — znowu przytoczmy wymowne słowa, z pod tegosamego płynące pióra, »przyjął się system egoizmu i zazdrości, czego następstwem jest to, że narody spoglądają na siebie, jeżeli nie z nieprzychylną zazdrością, to co najmniej z nieufnością rywala. Dlatego w swych przedsięwzięciach aż nazbyt łatwo ulegają pokusie, aby pominąć wysokie pojęcia moralności i sprawiedliwości, oraz obowiązek bronienia słabych i uciśnionych, i w podążaniu za bezgranicznym przyro-

stem bogactwa narodowego gonią tylko za powodzeniem i opierają się na dokonanych faktach, pewni, że nikt ich nie przymusi do szanowania prawa. To są zgubne zasady, które brutalna siła sankcyonuje, jako najwyższe prawo świata. Stąd postępujące naprzód i bezsilne pomnażanie zbrojeń wojennych, albo także ów zbrojny pokój, który pod wieloma względami można porównać z najnieszczęśliwszymi skutkami wojny«.

To są fakty, tak liczne, tak naoczne, że nawet najgorliwsi wielbiciele tych kierunków gromadnie dotychczasowe stanowisko opuszczają. I pozytywizm i liberalizm i racyonalizm, albo już się przeżyły albo, resztkami sił goniąc, dogasają. Po całem stuleciu, które tyle skądinąd miało dodatnich stron, takie olbrzymie zrobiło postępy na polu wynalazków, techniki, rozwoju szczegółowych umiejętności, pozostaje pod duchowym względem, powszechny żal, że tyle sił, energii, tyle egzystencyi ludzkich, poszło na marne.

Dlaczego?

Odpowiedź częściowa mieści się w całym toku naszego dotychczas rozumowania. Dlatego, że chciano zmienić niezmienny porządek rzeczy, że chciano usunąć Boga a w jego miejsce podsunąć ludzką naturę.

Ale nie jest to jeszcze odpowiedź całkowita. Sama ta nieudana próba wskazuje, że natura ta musi być chromą, że wewnętrznie musi niedomagać, skoro tak łatwo zeszła na manowce i tak długo po nich się błąkała.

Zestawmy ze sobą dla jasności dwa poglądy dwu wybitnych myślicieli, na ludzką naturę, jeden Rousseau'a, drugi Le Play'a — jeden z nich wygłoszony był na początku tej epoki i był jakby jej gwiazdą przewodnią, drugi nakreślony był już w dalszem jej stadyum, kiedy samo nawet doświadczenie naoczne już dość wyraźnie mówiło o zawiedzionych nadziejach:

Myśl Rousseau'a w «Emilu» jest określona tak: Wszystko jest dobre z czem czem człowiek na świat przychodzi i dopiero w rękach ludzkich wyradza się. Niema żadnej początkowej złości w człowieku, żadnej winy w sercu, co do której nie możnaby udowodnić, na jakiej drodze do niej się doszło.

La Play znowu w «Reformie społecznej» tak, w rozrzuco-

nych zdaniach, myśl swoją wyraża: Człowiek z natury jest słabą i niedoskonałą istotą, dziecko długo jest ciężarem, ma skłonności do złego, które należy poskramiać. Mędrcy wszelkich narodów i wieków nazywają ten rys stały ludzkości skażeniem albo grzechem pierworodnym.

I oto pierwsza część dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny. Dogmat ten w całości wzięty, poucza nas, że przez grzech pierwszych rodziców w raju natura ludzka została skażoną, i że grzech ten pierworodny, wraz z wszystkiemi swemi następstwami, przechodzi dziedzicznie na cały rodzaj ludzki. Sama jedna Maryja, jako przyszła Matka Boga-Odkupiciela, dla Jego zasług, była od pierwszej chwili swego poczęcia, szczególnym przywilejem Boga, od wszelkiej zmazy pierworodnej winy uchroniona.

Czyż może być stosowniejsza chwila dla przypomnienia tej pierwszej części tego dogmatu, jak ta, gdy ludzkość cała, przeszedłszy ciężkie chwile wskutek przeoczenia tej prawdy, jasno sama swoje chromanie i skażenie ludzkiej natury spostrzega?

A nadto, czy przypomnienie to mogło być bardziej wyrozumiałe, bardziej niewypowiedzianego wdzięku pełne, jak gdy jest tylko wypowiedziane pośrednio i związane z tą najświętszą postacią, z tym uosobionym wdziękiem chrześcijańskiego świata, z tą najlepszą Matką, która tak niewymownie ciągnie serce ku sobie?

Dziś wiele umysłów nietylko, że spostrzega skażenie ludzkości, lecz nadto szuka na nie lekarstwa, wyzwalającej prawdy i skutecznej pomocy. Rzadko kiedy w nowożytnej historyi daje się spostrzegać takie ożywienie na polu religijno-moralnem i w nauce i w życiu, jak obecnie, w jakiejś ostatniej dziesiątce lat. Wielu wybitnych ludzi, po długiem błąkaniu się przez wszystkie systemy myśli dzisiejszej, przybiło już do przystani katolicyzmu, inni są w połowie drogi, jak neo- chrześcijanie, a wielu, bardzo wielu, rozpoczyna dopiero tę pielgrzymkę. Ci ostatni zazwyczaj przyjmują pewne filozoficzne prawdy, jak istnienie Boga, wolność woli, nieśmiertelność duszy, ale, jeżeli już o objawioną religię chodzi, co najwyżej rozumieją jej znaczenie społeczne. Do zrozu-

mienia tego, że istnieją w niej czynniki nadprzyrodzone, które same jedne tylko ułomność ludzkiej natury uleczyć zdołają, że prawdziwa religia objawiona jest do osiągnięcia celu duszy ludzkiej niezbędną — do zrozumienia tego jeszcze daleko.

I oto druga część tego dogmatu. Dogmat ten nietylko wskazuje na chorobę ale i na lekarstwo na nią. Mówi on o fakcie odkupienia zadłużonej i skażonej ludzkości przez Chrystusa a zarazem przypomina, że istnieje nadprzyrodzony, przez tegoż Chrystusa ustanowiony, porządek, który dla wszystkich ludzi, celem osiągnięcia ostatecznego celu życia, jest niezbędny i nieodwołalnie obowiązujący. Najszlachetniejszym wyrazem tego nadprzyrodzonego świata, najwyżej w nim postawioną z ziemskich istot, jest Najświętsza Panna, której jednej był dany przywilej Niepokalanego Poczęcia i samej jednej w tym stopniu dana pełność łask.

I jeszcze jedno. Wielu pojmuje kult Najśw. Panny w katolicyzmie, jako wyłączny objaw strony uczuciowej. Jest w tym kulcie i to, ale nietylko to jedno. Wchodzi Maryja najbezpośredniej w całą wiarę katolicką, jako jej przedmiot — w całe wewnętrzne życie Kościoła, jako wzór tego życia i jako współuczestniczka w rozdziale łask, temu życiu potrzebnych, i to nietylko łask, dawanych jednostkom, ale i całej społeczności ludzkiej. W tem ostatniem znaczeniu zwraca się Kościół do Maryji z wezwaniem: «Ty któraś wszystkie herezye zwyciężyła».

Znamieniem obecnej chwili, znamieniem rozdzielającem dzisiejszą ludzkość na nieskończoną ilość wrogich obozów, są dwie herezye obyczajowe: socyalizm i szowinizm narodowy. I oto jakby jakaś wskazówka dla obecnej chwili, i pod tym względem, przypomina się ta rocznica dogmatu Niepokalanego Poczęcia.[1] W dogmat ten wchodzi także i ta prawda wiary, że cały rodzaj ludzki pochodzi od jednych rodziców, że zatem wszyscy jesteśmy braćmi, jednej wielkiej rodziny członkami, między którymi zgoda, wza-

[1] Tę myśl poruszył i rozwinął Meschler w Stimmen aus M. Laach 1904, zesz. 6., str. 17.

emne ustępstwo i wzajemna pomoc, miłość, jednem słowem, panować by powinna.

Można mieć niezachwianą ufność, że Ta, co starła głowę węża i wszystkie herezye zwyciężyła, i słabościom dzisiejszej ludzkości przyjdzie z pomocą.

Ks. J. Pawelski.

NIEPOKALANE POCZĘCIE BOGARODZICY

NA TLE DOGMATYCZNEGO ROZWOJU KOŚCIOŁA.

»...quasi lux splendens procedit et crescit usque ad perfectam diem«.

Prov. IV, 18.

Dogmatyczna bulla Piusa IX *Ineffabilis,* o ile wywołała radość wśród katolickich czcicieli Maryi, o tyle, z drugiej strony, nie mogła się podobać ani nowoczesnemu racyonalizmowi, ani konserwatywnemu innowierstwu. Nie była po myśli racyonalistów, bo stwierdzała na nowo niemiłe dla nich prawdy o grzechu pierworodnym, odkupieniu i całym nadprzyrodzonym porządku; nie mogła przypaść do smaku i konserwatywnym innowiercom, gdyż nowy punkt katolickiej nauki ogłaszała, jako pochodzący z boskiego objawienia i obowiązkowy dla wszystkich chrześcijan. Racyonalizm, nie uznający wogóle faktu objawienia nadprzyrodzonego, mógł, konsekwentnie do swoich zasad, orzeczenie Piusa IX poczytać za nowy tylko dowód zabobonu i za zamach na swobodę myśli; innowierstwo zaś, uznając w zasadzie objawienie, lecz spaczywszy pojęcie żywego nauczycielstwa Kościoła, odmówiło papieżowi kompetencyi stwierdzania i orzekania, co mianowicie wchodzi w zakres objawienia chrześcijańskiego. Pomimo zasadniczych różnic między sobą, w tem się jednak zgodziły oba nieprzyjazne katolicyzmowi obozy, że świeżo ogłoszony dogmat

niepokalanego poczęcia poczytały za wytwór czysto ludzkich czynników, działających w łonie rzymskiego Kościoła.

Pisarze katoliccy, w celu uzasadnienia świeżo ogłoszonego przywileju Maryi, nagromadzili dotąd takie mnóstwo historycznego i teologicznego materyału, że zbyteczną i trudną byłoby rzeczą kusić się o dorzucenie czegoś nowego pod tym względem. Celem więc niniejszego artykułu jest określenie tylko dowodowej wartości nagromadzonych zbiorów i wykazanie z nich, jakie koleje i fazy przechodziła w Kościele myśl o niepokalanem poczęciu Matki Bożej, zanim się przyoblekła w formę dogmatycznego orzeczenia. Przed uskutecznieniem jednak tego zamiaru, weźmiemy jeszcze pod uwagę kwestyę ogólniejszej natury, mianowicie o ewolucyi dogmatów, w przekonaniu, że i same wywody nasze o niepokalanem poczęciu zyskają na sile, jeśli dogmat ten będziemy traktowali nie w odosobnieniu, ale na tle ogólnego dogmatycznego rozwoju Kościoła. W pracy tej chcemy zarazem dać uboczną przynajmniej odpowiedź na zarzuty, podnoszone przeciwko rzeczonemu dogmatowi ze strony heterodoksyi. Nie będziemy natomiast uwzględniali zarzutów racyonalistowskich, gdyż to sprowadziłoby nas z poszczególnej kwestyi na teren ogólnej apologii chrześcijaństwa.

I.

Istnieje szeroko rozpowszechniony poza Kościołem katolickim pogląd, podług którego apostołowie całą naukę Chrystusa w gotowej formie rozczłonkowanych twierdzeń przekazali pierwotnemu Kościołowi, jako przedmiot obowiązkowej wiary. Nauka ta miała też wejść odrazu w powszechną świadomość wiernych i za pomocą tradycyi przekazywać się następnym pokoleniom w tymże kształcie i zakresie. Z tego wyprowadza się wniosek, że to tylko, co wyraźnie znajdowało się w owym katalogu artykułów wiary, pozostaje na zawsze obowiązkowym dogmatem, czego zaś tam nie było, to też nigdy przedmiotem obowiązkowej wiary stać się nie może, lecz w najlepszym razie musi pozostać dowolnem prywatnem mniemaniem. W myśl tej teoryi sama nawet działalność soborów powszechnych nie co innego miała za zada-

nie, jak tylko wobec powstających herezyi zaświadczać i na nowo akcentować to, co już poprzednio było obowiązkowym dogmatem, lub co najwięcej przyoblekać powszechnie znane prawdy wiary w bardziej ścisłe techniczne formuły i definicye. Niektórzy zwolennicy tej teoryi dodają jeszcze, że i ta skromna praca technicznego formułowania przekazanych przez apostołów poszczególnych prawd wiary w całości dokonaną została na pierwszych siedmiu soborach powszechnych, a zatem, że obecnie nie może być mowy o żadnem ogłaszaniu za obowiązkowy dogmat zdań dotąd spornych.

Ostatnie twierdzenie jest tak widocznie dowolnem, że nie zasługuje na to, aby je brać pod dyskusyę, lecz i bez niego wyłożona teorya, aczkolwiek mieści w sobie nieco prawdy, jednak w tej redakcyi, w jakiej ją zwykle podają, przyjętą być nie może. Odrzucając stanowczo twierdzenia niewierzącego racyonalizmu, jakoby wszystkie chrześcijańskie dogmaty powstały zwolna dzięki czysto ludzkim czynnikom, musimy jednak, z drugiej strony, przyznać, że w Kościele zawsze istniał dogmatyczny rozwój w daleko szerszem znaczeniu, aniżeli mu zakreślają jak wschodni teologowie, tak i niektórzy z zachodnich, pragnący do *minimum* sprowadzić ów postęp dogmatu. Rozciągłość naszego twierdzenia, zarówno jak jego słuszność, okaże się z przebiegu dowodów. Pierwszy dowód poczerpniemy z pojęcia Kościoła, jako mistycznego ciała Chrystusa, drugiego zaś dowodu dostarczy nam historya, na której kartach Kościół zapisał pochód swojej dogmatycznej pracy.

Zbawiciel, mówiąc o przyszłych losach założonego przez się Kościoła, używał rozmaitych obrazów. Raz przyrównywa swój Kościół do gmachu, mającego być zbudowanym na opoce [1], to znowu do ziarna gorczycznego, rozrastającego się w rozłożyste drzewo [2], to wreszcie do kwasu, ukrytego w trzech miarach mąki, którą powoli przenika, aż skwaśnieje wszystka [3]. Z tych wszystkich obrazów przebija wciąż myśl o jakimś postępie i rozwoju Kościoła. Czy można jednak znaczenie tej myśli zacieśniać do sa-

[1] Mat. XVI, 18. [2] Łuk. XIII, 19. [3] Łuk. XIII, 21.

mego tylko wzrostu Kościoła pod względem terytoryalnym lub liczbowym? Apostół narodów, św. Paweł, który w swych natchnionych listach najgłębiej wyjaśnił istotę Chrystusowego Kościoła, daje nam ideę innej jeszcze jego ewolucyi. Mówiąc o Kościele, jako mistycznem ciele Chrystusowem, wyraźnie wspomina, obok zewnętrznej, ekstensywnej ewolucyi — *ażbyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania Syna Bożego,* — o innej, wewnętrznej, intensywnej — *w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej*[1], *a czyniąc prawdę w miłości, żebyśmy rośli w nim we wszystkiem, który jest głową, Chrystus*[2]. Nietylko rozrost w liczbę i siłę, ale i wzrost nieustanny w miłości i w prawdzie, czyli budowanie ciała Chrystusowego[3] w c w s z y s t k i e m, takie jest zadanie Kościoła po wszystkie czasy jego ziemskiego istnienia. Jeśli zaś Kościół miał wzrastać w prawdzie i miłości, to wzrost swój musiał rozpocząć od skromnych kształtów ziarna gorczycznego; jeśli ma się stać w m ę ż a d o s k o n a ł e g o i dojść do zupełności wieku Chrystusowego, to musiał przejść i swoje dzieciństwo i wiek młodzieńczy. Lecz na czem bliżej polega ten rozwój odnośnie do wiary Kościoła?

Chrystus Pan, Słowo Boże wcielone, przyniósł na ten świat całą pełnię prawdy, jaką spodobało się Bogu objawić ludzkości. zrozumienie jednak tej przedmiotowej pełni objawienia Kościół miał sobie przyswoić stopniowo w miarę swego duchowego wzrostu i dojrzewania, podobny w tej mierze do swej Głowy, Chrystusa, który, jako człowiek, *pomnażał się w mądrości i w leciech i w łasce u Boga i u ludzi*[4]. Zbawiciel i naukę i osobę swoją przedłożył, jako przedmiot wiary, rozumowi ludzkości, lecz wierzący ten rozum miał przejść przez wszystkie stadya naturalnego rozwoju, postępując z światłości w światłość, dopóki nie wyczerpie do dna w dokładnych pojęciach wszystkiej treści danego sobie objawienia. Znakomity teolog. J. Moehler, tak przedstawia tę rzecz w swojej »Symbolice«. »Działalności Zbawiciela w głoszeniu słowa odpowiadała działalność apostołów, sprawiająca, że głoszone słowo stawało się w nich wiarą, ludzką własnością i po

[1] Efez. IV, 13. [2] Ibid. 15. [3] Ibid. 12. [4] Łuk. II, 52.

wniebowstąpieniu nie inaczej istniało dla świata, jak tylko w owej właśnie wierze uczniów pańskich... Skoro jednak boskie słowo stało się ludzką wiarą, musiało ono uledz również i wszystkim ludzkim kolejom. Umysłowe siły ludzkości miały ustawicznie przyjmować one słowo i przyswajać je sobie, jak również właściwym sobie sposobem przechowywać i dalej przekazywać« [1]. Mówiąc krótko, mądrość Boża chciała się liczyć z ograniczonością ludzką.

Jak się z nią liczył sam Chrystus, wiemy z opowiadania św. Jana. *Jeszcze wam wiele mam mówić, ale teraz znieść nie możecie, lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy* [2], tak przemawiał do apostołów w przeddzień swej męki. Lecz jak Jezus z apostołami, tak ci ostatni, oświeceni już przez Ducha prawdy, postępować musieli z pierwocinami chrześcijaństwa. Przekazali oni wprawdzie Kościołowi pełnię prawdy, ale w taki sposób, w jaki ta pełnia mogła być przyjętą przez wierzącą inteligencyę młodocianego Kościoła.

Kto uważnie czytał księgę »Dziejów Apostolskich«, ten może powziąść dokładne pojęcie o wyraźnej zawartości nauki, jaką głosili apostołowie i jaką zostawiali zakładanym przez się kościołom. Darmobyśmy szukali w owej nauce wykończonych traktatów teologicznych, lub choćby krótkiego, lecz wyraźnego i uporządkowanego katalogu wszystkich prawd wiary. Pierwsze kazanie św. Piotra, które nawróciło i przywiodło do natychmiastowego chrztu 3.000 osób, streszczało się w tych słowach: *Niechaj tedy wie za pewne wszystek dom Izraelski, iż go i Panem i Chrystusem uczynił Bóg, tego Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali* [3]. Do przyjęcia chrztu niczego więcej nie żąda apostoł, jak tylko wiary, że Jezus jest obiecanym Mesyaszem, że ukrzyżowany zmartwychwstał i wstąpił do nieba i Ducha swego zesłał. Reszta nauki, którą mówił *wielą innych słów* [4], odnosiła się już do przepisów moralnych. To samo głosi tenże apostoł w parę dni później w świątyni, pozyskując dla Chrystusa 5.000 osób [5]. Filip udziela

---

[1] J. Moehler: *Symbolik*, §. 40. [2] Jan XVI, 12, 13. [3] Dz. Ap. II, 36. [4] Tamże w. 40. [5] Tamże r. III i IV.

chrztu świętego dworzaninowi królowej Etyopii, skoro ten wyznał: *Wierzę, iż Jezus Chrystus jest Syn Boży*[1]. Szaweł w Damaszku głosi również tylko bóstwo Jezusa[2]: w Antyochii opowiada o tymże Jezusie, jako obiecanym zbawicielu, o jego śmierci, zmartwychwstaniu i że *przez tego opowiada się odpuszczenie grzechów*[3]; we Filipach odzywa się do więziennego strażnika: *Wierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony ty i dom twój*[4] i t. d. Nie ulega wątpliwości i nie brak na to dowodów w pismach apostolskich[5], że zakładając nowe gminy chrześcijańskie, oprócz wyraźnej wiary w ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Jezusa, apostołowie pozostawiali im coś więcej. Na treść takich ustnych nauk składały się pewne zasadnicze artykuły wiary, np. zmartwychwstania ciał i eucharystyi, przepisy etyki ewangelicznej ze szczególnym naciskiem na ono n o w e przykazanie bratniej miłości[6], podstawy hierarchicznego porządku w Kościele, określenie wreszcie najważniejszych liturgicznych funkcyi. Przypuścić jednak, że podczas bardzo krótkiego nieraz pobytu w poszczególnych kościołach apostołowie zdołali zaszczepić w umysłach nowo-nawróconych, chrześcijan i ich pasterzy, ludzi przeważnie prostych, dokładne i pełne rozumienie całokształtu dogmatycznej nauki, byłoby rzeczą nietylko dowolną i śmiałą, ale i wprost niezgodną z historyą. Listy apostolskie do założonych i zorganizowanych już kościołów, często pisane z powodu wynikłych w nich sporów na gruncie dogmatycznym, jawnie dowodzą, że nieraz elementarne prawdy wiary, jak kwestya powszechnego zmartwychwstania lub stosunku starego prawa do ewangelii, nie były całkiem jasne dla pierwotnych chrześcijan[7]. Cóż dopiero sądzić o zagadnieniach trudniejszych i zawilszych! Prawda, że głębszemu zrozumieniu prawd wiary dopomagały hojnie tryskające w pierwszych czasach zdroje nadzwyczajnych charismatów Bożych[8], prawda, że listy apostołów raz po raz rzucają bogate promienie światła na najwznioślejsze nawet prawdy objawione, ale z drugiej strony

[1] Dz. Ap. VIII, 37. [2] Tamże IX, 20 [3] Tamże XIII, 23—41. [4] Tamże XVI. 31. [5] 1 Kor. XI, 23; 1 Tess. IV, 2; II Tess. II, 15 i inne. [6] Jan XIII, 34. [7] Cfr. 1 Kor. XV, 12; Żyd. V, 12 etc. [8] Cf. 1 Kor. XIV. 12; 1 Tess. V, 20.

i temu nie można zaprzeczyć, że ani określonego, sformułowanego i rozczłonkowanego w całości depozytu wiary, ani tembardziej pełnego naukowego opracowania dogmatów nie widzimy w historyi czasów apostolskich. Ciekawy zabytek literacki z końca pierwszego wieku, który widocznie zmierza do skreślenia sumy apostolskiej nauki, pozwala nam utworzyć sobie pojęcie, na jakim stopniu rozwoju stała podówczas dogmatyczna świadomość Kościoła.

Διδαχη των δωδεκα αποστολων, bo o niej tu mowa, tak się przedstawia. Naczelne w niej miejsce zajmują wzniosłe przepisy etyki chrześcijańskiej, obejmujące prawie wszystkie przejawy życia religijnego, prywatnego i społecznego [1], po nich idą przepisy liturgiczne, tyczące chrztu [2], eucharystyi [3], postów i modlitw [4]; właściwa zaś dogmatyczna nauka albo kryje się domyślnie, np. jako podstawa etyki, lub funkcyi liturgicznych, albo występuje wyraźnie lecz mimochodem, jak wzmianka o Opatrzności Boskiej w związku z radą rezygnacyi w nieszczęściach [5]. Ustęp *ex professo* dogmatyczny można znaleźć dopiero w ostatnim XVI rozdziale, mianowicie o rzeczach ostatecznych, lecz i tu zakradł się błąd, do którego powód mógł dać list św. Pawła [6], jakoby nie wszyscy ludzie, lecz tylko sprawiedliwi powstać mieli na sąd Boży. Widoczna, że nauka o powszechnem zmartwychwstaniu nie dla wszystkich była jasną, albo przynajmniej nie wszyscy uważali ją za obowiązującą, gdyż w przeciwnym razie błąd autora Διδαχὴς nie byłby do wytłómaczenia. Jeśli do *Nauki dwunastu apostołów* dodamy krótki wykaz prawd wiary, znany pod nazwą *Składu apostolskiego*, pochodzący przynajmniej z pierwszych dziesiątków lat drugiego stulecia i z pewnymi waryantami przechowywany przez pojedyńcze kościoły, to będziemy mieli mniej więcej pełny obraz tego wszystkiego, co się skrystalizowało w powszechnej dogmatycznej świadomości Kościoła pierwszych paru pokoleń.

Gdzie się jednak znajdował ten długi szereg dogmatów, który wypełnia akta soborów powszechnych od pierwszego w Nicei aż

[1] *Doctrina duodecim apostolorum*, r. I—VI; XI—XIII, XV, XVI. [2] Tamże r. VII. [3] Tamże r. IX, X. [4] Tamże r. VIII, XIV, XV. [5] Tamże r. III, 10. [6] 1 Kor. XV, 23.

do ostatniego na Watykanie? Czy powstały one później z niczego? Nie. Kryły się one wszystkie, ale w stanie, że tak powiemy nieświadomym, potencyalnym, już to zawarte w tych dogmatach, które uważano za przedmiot obowiązkowej wiary i wyliczano w symbolu, już to w pewnych faktach i praktykach obrzędowych, np. sakramentach, już to w ogólnym duchu, jakim natchnęli apostołowie pierwszych chrześcijan, np. nauka o istocie Kościoła i obcowaniu Świętych — w miłości i ścisłym związku wiernych między sobą i posłuszeństwie względem prawnie ustanowionych przedstawicieli hierarchii, już to wreszcie w pozostawionych, lecz nie dość wyjaśnionych pismach Starego i Nowego Zakonu. Z tych ziarn, tu i owdzie rozrzuconych, miało z biegiem czasu wzrastać coraz obfitsze żniwo wyraźnych dogmatów.

Przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy możnaby podnieść tę trudność, że Ojcowie i pisarze kościelni po wszystkie czasy nie przestawali twierdzić, iż nie godzi się nic dodawać do tych prawd, które się od ojców otrzymało, i że w kwestyach wiary należy uciekać się zawsze do reguły, przechowywanej w Kościele. Tę zwłaszcza ostatnią zasadę mocno akcentowali Tertulian [1], Ireneusz [2], Wincenty Liryneński [3]. Wydaje się więc, jakoby świadczyli, iż przynajmniej biskupi posiadają g o t o w ą normę, dla rozwiązania wszelkich wątpliwości i odparcia błędów. Tak jednak nie było. Nietylko poszczególni wierni, ale i sam nawet nauczający Kościół mógł się jeszcze uczyć i uczył się w rzeczywistości [4]. Znaczenie zaś przytoczonych z Ojców prawideł zrozumiemy lepiej z dalszej historyi.

Pierwsze dwa stulecia historyi chrześcijaństwa wypełniły się ustawiczną walką Kościoła z gnostyckiemi sektami. Sekt tych było mnóstwo nieprzeliczone: każda co innego twierdziła, ale to wszystkie miały wspólnego, że do treści wiary chrześcijańskiej usiłowały wnieść obce jej elementa, przedstawiające z siebie niezdarny zlepek z filozofii helleńskiej i wschodniej, mitologii

[1] *De praescriptione haereticorum* c. VI, VIII, XIII i in. [2] *Contra haer.* l. IV. c. 26. n. 2. [3] *Commonitorium* r. II. VI. IX. [4] Scheeben: *Dogmatik*, t. I. n. 607.

pogańskiej i okruchy rozmaitych kultów. Były to więc sekty, które z zewnątrz pchały się do drzwi Kościoła, niosąc ze sobą dziwaczne systemy eonów, emanacyi, dualizmu, jako wyższą gnozę, mającą rzekomo rozwiązać wszystkie zagadki bytu. Niezgodność ich nauki z zasadniczymi i od początku wyraźnymi artykułami nauki apostolskiej była tak widoczną, że apologetom wiary kościelnej wystarczało odwołać się do tychże zasadniczych artykułów, jako reguły wiary[1], by odeprzeć kacerzy, a kiedy ci poczęli apelować do sekretnej, rzekomo im przekazanej, nauki apostołów, dosyć było zbyć ich krótką uwagą, że, gdyby apostołowie otrzymali od Chrystusa ich naukę, to nie komu innemu zostawiliby ją, jeno swoim następcom, biskupom, którzy jednak nauki tej nie znają, choć posiadają pewny przywilej prawdy *(charisma veritatis certum)*[2].

Ale metoda walki, używana przeciwko gnostykom, nie mogła wystarczyć w późniejszych czasach, kiedy na samym już gruncie kościelnym poczęły się rodzić coraz częstsze, a subtelne kwestye w rzeczach wiary, rozwiązywane rozmaicie przez samychże wiernych wyznawców apostolskiej nauki. Na odparcie gnostyka Marcyona lub Walentyniana wystarczało wyliczyć artykuły składu apostolskiego i powołać się w tej mierze na zgodność wiary wszystkich biskupów, jak to czynią Tertulian i Ireneusz, ale kiedy wśród samych biskupów wynikły różnice zdań, a symbole, owe reguły wiary, kwestyi same przez się nie rozstrzygały, należało obejrzeć się za innymi probierzami prawdy. Wtedy dla rozwiązania sporu uciekano się albo do istniejących od apostolskich czasów praktyk kościelnych, jak to miało miejsce w kontrowersyi św. Cypryana z papieżem Stefanem co do ważności chrztu u heretyków, chociaż nie zawsze umiano wykazać dogmatyczne podstawy przytaczanej praktyki; albo studyowano pilniej Pismo święte i dzieła poprzednich Ojców, by lepiej wniknąć w ogólnego ducha chrystyanizmu, albo zestawiano jedne prawdy wiary z drugiemi, by przy pomocy rozumowania teologicznego dojść do wniosku, co się trzymać winno w poruszonym sporze.

[1] Tertulian op. cit. XIII. [2] Ireneusz l. c.

Tak postępowano w długich sporach ze zwolennikami Pelagiusza w kwestyi łaski i grzechu pierworodnego, tak na wschodzie w przeciągłych kontrowersyach na polu chrystologii. Spory takie doprowadzały do tego, że prawda stawała się coraz wyrazistszą, zyskiwała na pewności, rozpowszechniała się, aż Kościół nauczający, ustami soborów powszechnych, lub papieży, wypowiadał ostatnie słowo, wzbogacając tym sposobem liczbę wyraźnych i obowiązkowych dogmatów kościelnych.

Weźmy pod bliższą uwagę parę szczegółowych przykładów, a przedewszystkiem naukę o Trójcy świętej. Niema wątpliwości, że od pierwszych dni chrześcijaństwa wyznawano Ojca, Syna i Ducha świętego, bo to wchodziło do formy samego chrztu świętego: wyraźnie również, jak widzieliśmy wyżej, wyznawano boskie synostwo Chrystusa Pana: lecz nie odrazu zagłębiano się w wyjaśnienie i sformułowanie współistotności Syna z Ojcem, czyli numerycznej jedności natury boskiej, o Duchu świętym zaś mówiono zwykle, jako o boskiej sile, przemawiającej przez proroków i uświęcającej dusze wiernych. Chociaż cała nauka o Trójcy świętej tkwiła ukrycie w tych trzech wyraźnie wyznawanych prawdach, że Bóg jest tylko jeden, że pomimo to i Ojcu i Synowi i Duchowi zarówno przysługują boskie atrybuty, i że Ojciec, Syn i Duch różnią się od siebie, o ile że Ojciec rodzi Syna, Syn posyła od Ojca Ducha świętego, — jednak konkluzyę z tych trzech prawd, mianowicie o współistotności osób i ich troistości w jednej liczbowo naturze, nie każdy był zdolny wyprowadzić. Byli tacy, co jak Dyonizy aleksandryjski i Dyonizy papież, dość jasno i blisko podchodzili do tego wykończonego pojęcia Trójcy, jakie się później stało dogmatyczną formułą, ale trafiali się i tacy między pisarzami kościelnymi i obrońcami wiary, jak Justyn i Teofil z Antyochii, których pojęcia Logosu Bożego wiele pozostawiały do życzenia pod względem ścisłości i jasności. Lecz po ukazaniu się krańcowych poglądów tego rodzaju heretyków, jak Pawła z Samosaty lub później Aryusza, w walce z nimi, przez ściślejsze myślenie i starcie zdań, wyrobiło się tak poprawne pod każdym względem pojęcie o Synu Bożym, jak i odpowiadająca temuż pojęciu zewnętrzna formuła współistotności, przyjęta jako

dogmat przez koncylium nicejskie. Że i tutaj jednak doktryna o Trójcy nie doszła do ostatnich granic swego rozwoju i pewności, pokazuje się z nowych sporów, znanych pod mianem schyzmy antyocheńskiej, sporów, które udzieliły się niebawem całemu Kościołowi, wciągając w szranki św. Atanazego, Bazylego, Damazego papieża, Epifaniusza, młodego jeszcze Hieronima [1]. Wśród takich sporów, zanim jakiś punkt nauki został określony przez najwyższą w Kościele powagę, strona broniąca prawdy nie uważała za niemożliwą rzecz trwać w jedności kościelnej ze swymi przeciwnikami, jak to widzimy na przykładzie wielkich doktorów Kościoła: Atanazego, Bazylego [2], Grzegorza Nazyanzeńskiego [3], pragnących pokoju ze szwankującymi w nauce o Duchu św. przed określeniem jej na drugim soborze powszechnym. Podobnym sposobem rozwijała się następnie chrystologia, postępując stopniowo do coraz jaśniejszych i bardziej rozdzielnych pojęć. Najpierw wyodrębnił się dogmat o jedności osoby Zbawiciela, później o dwoistości natur, a wreszcie o dwojakiej woli w Chrystusie. Łatwo byłoby przytoczyć długi szereg analogicznych faktów ze wszystkich wieków Kościoła, ale i te, któreśmy dotąd wskazali, historyczne przykłady, dostatecznie nas przekonywują, że działalność Kościoła, zwłaszcza na soborach, nie ograniczała się ani do stwierdzania tylko powszechnej i obowiązkowej już przedtem wiary chrześcijan co do zaczepionych punktów, ani do wyszukiwania technicznych formułek, któreby lepiej oddawały jasne już przedtem pojęcia, lecz kształciła same pojęcia, coraz jaśniejsze i rozdzielniejsze. Gdyby pierwszym Ojcom Kościoła jasną była czysto duchowa natura aniołów, nie byliby zapewne tak często wspominali o możliwości ich cielesnego upadku z córkami ludzkiemi; gdyby św. Cypryan posiadał był wykończone pojęcie o nieomylności papieskiej, nie byłby tak długo i stale opierał się przy swem zdaniu, wbrew poznanej nauce papieża Stefana o ważności chrztu, udzielanego poza Kościołem. Zważywszy znaną osobistą świętość tego Ojca i gorącą jego miłość jedności

[1] Cfr. Régnon: *Etudes sur la sainte Trinité.* P. I, p. 170 sqq. [2] Cfr. Basilii M. ep. 204 n. 6. [3] *Oratio in Pentecosten M. P. G.* t. 36, col. 437 ss.

kościelnej, tylko wtedy staje się nam zrozumiałą jego opozycya względem Rzymu, jeśli przypuścimy, że świętemu męczennikowi decydująca nauczycielska powaga biskupa rzymskiego nie była dość wyraźną, jak nie była wyraźną prawie ogólnie nauka o niezależności sakramentalnych skutków od wiary i świętości udzielającego takowe. Ze względu na ten ostatni brak jasności w nauce o sakramentach, zanim rzecz dobrze zbadaną i roztrząśniętą została, uniewinnia Cypryana św. Augustyn, pisząc przeciwko donatystom, wznawiającym poglądy wielkiego biskupa Kartaginy.

Prawda, że i na soborach odwoływali się biskupi do wiary swych kościołów i do pism starszych Ojców, lecz w jakiem znaczeniu? Nie apelowali już do zgodności reguły wiary apostolskich kościołów, jak niegdyś Tertulian i Ireneusz, bo tu stawali przed ich sądem nawet biskupi tychże kościołów, jak Dioskor; nie uciekali się również do pism Ojców, jakoby chcieli wyczytać w nich gotową formułkę, ale czynili to, aby zgłębić *ducha ich* nauki i z niego módz orzekać o prawowierności tego lub owego twierdzenia i wydać obowiązujący dla wszystkich wyrok.

Tę zaznaczoną przez nas różnicę między herezyami, cisnącemi się z zewnątrz do Kościoła, a temi, które powstały na gruncie kościelnym, trzeba dobrze mieć w pamięci, aby zrozumieć w jakiem znaczeniu odwoływano się do tradycyi dla ich zwalczenia. Przeciwko pierwszym wytaczano gotowe już dogmaty, podczas gdy przeciwko drugim trzeba było dopiero *wypracowywać dogmaty*, wyprowadzając je z tkwiących w tradycyi zawiązków. Stąd widzimy, że byłoby to niepożądanem wcale pomieszaniem pojęć, gdyby kto, na podstawie pism Tertuliana lub Ireneusza, wyrobił sobie ogólne pojęcie tradycyi, jako gotowego zbioru formuł, nakształt jakiejś encyklopedyi, bez zmiany przechowującej się w skarbnicy Kościoła, do której możnaby było, w razie powstania jakiejś wątpliwości w rzeczach wiary lub wykładu danego ustępu biblii, uciec się jak do słownika dla przekonania się, co trzyma w danej kwestyi Kościół. Jeśliby gdzie istniała taka wyczerpująca i wystarczająca na wszystkie czasy encyklopedya, to nie gdzieindziej byłoby jej miejsce, jak tylko w świadomości i pamięci autentycznych nauczycieli Kościoła, bisku-

pów i papieży. Lecz ani jedni, ani drudzy nie byli świadomi tego rodzaju słownika. Co do biskupów, to wiemy, ilu z nich wygłaszało takie przekonania, jakie potem zostały potępione przez sobory. Że nie stanowił wyjątku i sam papież, co się tyczy braku tego rodzaju wykończonego katalogu dogmatów, przekonywują nas fakta, że nieraz bardzo długo najwyżsi pasterze ociągali się z wypowiedzeniem swego ostatniego słowa, nie mając dość wyrobionego zdania. Taki znowu Honoryusz papież, kiedy go zapytano o zdanie w świeżo powstałej na wschodzie kontrowersyi o dwóch wolach w Chrystusie, nie zrozumiał nawet o co chodzi, i odpowiedział wcale nie do rzeczy, powiększając tem istniejący zamęt pojęć. Jeszcze raz powtarzamy, że nigdy nie było w Kościele wykończonej na wieczne czasy encyklopedyi teologicznej: ona się ustawicznie tworzyła i tworzy pracą zbiorową myślących sił Kościoła pod ostateczną redakcyą autentycznego w nim nauczycielstwa.

Po tem, co się dotąd powiedziało o stopniowym rozwoju dogmatów, łatwą będzie rzeczą dać określenie tradycyi, owej normy wiary naszej. Nie są nią ani jedynie, ani w pierwszym rzędzie martwe pomniki z zamierzchłych czasów, lecz coś, co żyje i ciągle działa. »Tradycya — tak mówi cytowany już autor »Symboliki« — w podmiotowem znaczeniu tego wyrazu jest owo zbiorowe rozumienie, zbiorowa kościelna świadomość... Jest to właściwy, w Kościele trwający i przez wychowanie kościelne następnym pokoleniom przekazywany chrześcijański rozum, który jednak nie da się pojąć, jako pozbawiony treści, lecz owszem jako wykształcony zgodnie ze swą treścią i przez swoją treść, tak iż wypełnionym treścią rozumem nazwać go można. Tradycya to ustawicznie w sercach wiernych żyjące słowo« [1]. Pisma Ojców, wyroki soborów i inne zabytki, czyli cała tradycya objektywna, to tylko pomniki i ślady tych etapów, jakie przebył ów zbiorowy chrześcijański rozum. Pisma Ojców i innych pisarzy, o ile jeszcze wahają się i sprzeczają między sobą, to ślady przeżytych przez zbiorowy rozum Kościoła wątpliwości; też same pisma,

[1] Op. c. § 38.

o ile już zupełnie zgodne w wyznaniu chrześcijańskiej prawdy, a przedewszystkiem orzeczenia dogmatyczne soborów i papieży, to pomniki tych chwil, kiedy ów zbiorowy rozum, po długich wątpliwościach i badaniach, wypowiadał jasną i pewną i na zawsze niezmienną myśl, zyskując tym sposobem nowy pewny punkt wyjścia i oparcia dla dalszego rozwoju.

Lecz jeśli tradycya katolicka waha się niekiedy i wątpi i szuka, to czy może być mowa o jej niezmienności, na co tak nastają Ojcowie i doktorzy Kościoła? Tradycya żyje i rozwija się, a zatem i ulega zmianom, lecz takim tylko, jakim poddany jest żyjący organizm, i to z wyjątkiem starości i śmierci. Zmienia się, bo zyskuje coraz większą wyrazistość i rozdzielność i pewność, lecz, z drugiej strony, nie zmienia się, bo nigdy się nie cofa, ani nie przyjmuje do swego łona obcych sobie pierwiastków. Niezmiennie również trwa w niej ten r o z p ę d i k i e r u n e k, jaki jej nadali apostołowie, a który stanowi jakoby duchową fizyognomię Kościoła. Raz otrzymanego przez Kościół r o z p ę d u do wzrostu i rozwoju nie zdołają powstrzymać ci, co, straciwszy ducha kościelnego, radziby całe rozwinięte jego drzewo zamknąć napowrót w pierwotnym żołędziu, jak nie zdołają spaczyć k i e r u n k u owego progresu ci, którzy pragną przyjęcia przez Kościół wymagań liberalizmu i niewiary, lub z Güntherem obiecują wiarę zastąpić wiedzą i rozumem. Ewolucya dogmatu nie postępuje od wiary ku niewierze, lub wiedzy, lecz o d w i a r y prostszej, ogólniejszej, k u w i e r z e coraz bogatszej, wyraźniejszej, rozdzielniejszej [1].

Równolegle do ewolucyi dogmatów wzrasta w Kościele i rozumienie Pisma świętego. Te ustępy biblii, które przed dogmatycznem określeniem jakiejś prawdy można było rozmaicie wykładać i rozumieć, otrzymują z dogmatycznej formuły swój autentyczny wykład i w tem znaczeniu sprawdza się zasada, że normą interpretacyi natchnionego słowa jest podanie kościelne. Jak niegdyś Chrystus Pan otworzył oczy żydom, aby w tekście: *Jam jest Bóg Abrahama i Bóg Izaaka i Bóg Jakóba* [2] wyczytali obja-

[1] Cfr. Vinc. Lir. *Commonit* n. 28: Conc. Vatic. s. III, cap. IV, sub finem. [2] Mat. XXII, 31, 32.

wioną prawdę nieśmiertelności dusz i zmartwychwstania, tak niemniej i Kościołowi swemu pozostawił możność, by w miarę swego dogmatycznego dojrzewania coraz dokładniej czytał i wykładał te ciemniejsze miejsca Pisma, które nie odrazu dano mu zrozumieć [1]. I dziś jeszcze daleko do tego, by wszystką treść biblii uważać za wyczerpaną: jakie jeszcze ukryte skarby przedstawia dla naszego zwierzęcego umysłu sama taka Apokalipsis św. Jana! Jeśli nie chcemy zgodzić się na myśl, że Pan Bóg zlecił nam bezużytecznie księgę, pełną nierozwiązalnych na zawsze zagadek, to musimy mieć nadzieję, że nieustanny postęp dogmatyczny Kościoła i jego historya dostarczą kiedyś klucza do wyczerpującego odcyfrowania zawartych w niej tajemnic.

Skonstatowaliśmy dotąd fakt dogmatycznego rozwoju w Kościele i wykryliśmy prawa, według których on odbywa się; widzieliśmy również, że nie wystarcza odnieść cały ten rozwój do zewnętrznych przyczyn — herezyi, zmuszających Kościół do obrony swej wiary, lecz że w samym Kościele tkwi wewnętrzna potrzeba coraz dalszego rozwoju [2]. Rodzi się teraz pytanie, czy ten rozwój d o k o n y w a s i ę jedynie ludzkimi środkami, czy też działa w nim i moc Boża, i jeśli tak, to w jakiej mierze występują oba te czynniki?

Kto patrzy na Kościół okiem wiary, jako na *filar i utwierdzenie prawdy* [3], któremu Boski Założyciel przyrzekł swoją obecność *po wszystkie dni aż do skończenia świata* [4], ten z góry przyznać musi, że nie dziełem przemocy fizycznej lub umysłowej jednej partyi nad drugą, ale zwycięskim tryumfem prawdy nad błędem są te wszystkie uroczyste orzeczenia, któremi Kościół znaczył swój dogmatyczny pochód. Lecz czy owo dochodzenie do pełnej prawdy mogło się odbywać ludzkimi sposobami bez p o z y t y w n e g o oddziaływania Boskiej Opatrzności? czyli innemi słowy, czy obiecaną przez Chrystusa Kościołowi opiekę mamy zacieśniać do samej tylko asystencyi, nie dopuszczającej wprawdzie błędu, ale w szukaniu prawdy pozostawiającej ludzi

---

[1] Cfr. Canus: *De locis theologicis* l. III, c. III. [2] Cfr. Scheeben: *Dogmatik* I, n. 610. [3] 1 Tymot. III, 15. [4] Mat. XXVIII, 20.

ich własnym siłom? Odpowiedzi na to pytanie dostarczy nam zarówno natura przedmiotu, jak historya i Objawienie.

Twierdziliśmy wyżej, że rozwój dogmatyczny polegał na wyprowadzaniu na światło dzienne tych prawd, które, albo w innych prawdach, albo w praktykach Kościoła były przedtem ukryte. Otóż cała kwestya na tem polega, jakiego rodzaju było owo zamknięcie jednych prawd w drugich: czy zawierały się one zawsze w ten sposób, że przy pomocy samej analizy pojęcia włączającego lub przy pomocy czysto rozumowego wnioskowania, można było z ukrycia je wyprowadzić? Prawda każe powiedzieć, że niekiedy tak, ale nie zawsze tak się rzecz miała. Gdyby dogmaty tak się wyłaniały jedne z drugich, jak cała geometrya z pewników Euklidesa, zbytecznym byłby szczególny wpływ Boży, ale również niepotrzebnemi byłyby i koncylia i nie wytłómaczalnemi długie przed niemi spory. Wszak do wyprowadzenia dalszych teorematów geometrycznych nie potrzeba ani zjazdu wszystkich matematyków, ani tem mniej, aby Duch święty chronił ich od błędu. Nie widzimy również, aby powstawała kiedyś poważniejsza kontrowersya nad wywodami, dokonanymi choćby przez jednego tylko uczonego w dziedzinie nauk ścisłych. Co innego jednak przedstawia nam historya dogmatów. Nad rozwiązaniem niejednej dogmatycznej kwestyi trudzą się całe pokolenia uczonych teologów: badają Pismo, literaturę patrystyczną, rzeczowe pomniki starożytności, zestawiają powstające opinie z rozmaitymi dogmatami, a pomimo tej pracy, nieraz przy najlepszej woli, rozchodzą się w swych wnioskach we wręcz przeciwnych kierunkach. Kiedy nawet po długich wysiłkach umysłowej pracy zyskają dla swego zdania prawie jednomyślną zgodę, to i wtedy czują, że ich formułce brakuje czegoś do tej pewności, którąby zmusiła wszystkich katolików do przyjęcia ich zdania za słowo objawione. Same nawet sobory i papieże, po długiem zwykle zastanowieniu się nad roztrząsaną kwestyą, wzywają jeszcze światła Ducha świętego, i dopiero wtedy, ufni w pomoc z góry, ogłaszają prawdę nie podlegającą żadnej dalszej dyskusyi. Płynie to wszystko z natury przedmiotu. Albowiem prawdy wiary, w całości swej wzięte, z istoty swej nie podlegają ani zewnętrznemu doświad-

czeniu, ani wewnętrznemu przejrzeniu czysto naturalnych sił umysłu, i dlatego myśl obracać się tu musi, jako w dalekim, mało dla siebie dostępnym świecie. Dalej, prawdy wiary nie dają się wyprowadzić jedne z drugich przy pomocy jednego lub dwóch sylogizmów, lecz często wymagają, by mieć na uwadze całokształt objawienia; stąd nie dziw, że umysł postępuje z pewną trwogą, aby nie stanąć w sprzeczności z jakąś słabiej oświetloną prawdą. Wreszcie, i to może najważniejsza, rozwój dogmatyczny częstokroć dąży nie tyle do wywnioskowania jednych prawd z innych, lecz, mówiąc językiem używanym w logice, do określenia t r e ś c i i z a k r e s u objawionego pojęcia, jak to np. miało miejsce w kwestyi łaski bożej, której potrzebę znano zawsze w Kościele, lecz nie odrazu dogmatycznie rozwinięto, czy do wszystkich bez wyjątku zbawiennych uczynków, nawet do samego początku wiary, łaska boska jest niezbędną. Dopiero długą i mozolną pracą osiągnięto dogmatyczne stwierdzenie właściwego zakresu potrzeby nadprzyrodzonej łaski.

Wobec zaś takiego stanu rzeczy, widoczna, że trudno działalność bożego pierwiastka w Kościele ograniczać do samej tylko biernej niejako obecności. Że nasze wywody nie są dowolne, przekonać się można z odczytanych uważnie tych ustępów ewangelii, w których Chrystus Pan obiecał zesłanie Kościołowi swego Ducha. Zestawmy XIV i XVI rozdziały św. Jana. Żegnając się z uczniami swymi, pociesza ich Jezus, że nie zostawi ich sierotami. *A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby mieszkał z wami na w i e k i, ducha prawdy...*[1] *Lecz pocieszyciel Duch święty, którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego n a u c z y: i przypomni wam wszystko, cokolwiekbym wam powiedział*[2]. *Jeszcze wam wiele mam mówić: ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy... On mię uwielbi: bowiem z mego weźmie, a wam opowie*[3]. Że znaczenia tej obietnicy nie można zacieśniać do prostej tylko asystencyi Ducha św., to widać z użytych przez Zbawiciela słów: *on was nauczy, przypomni* wszystko (ὑπομνήσει παντα), *opowie;* że znowu nie do samych apo-

[1] Jan XIV, 16—17. [2] Tamże, w. 26. [3] Tamże XVI, 13, 14.

stołów odnosiły się te obietnice, to stąd wynika, że obiecany pocieszyciel, w charakterze Ducha prawdy, ma pozostać *na wieki* [1]. Tę prawdę wypowiadano w późniejszych czasach, mówiąc o Kościele obradującym na soborach powszechnych. Jak pisało o sobie pierwsze koncylium apostolskie: *Zdało się Duchowi świętemu i nam* [2], podobnież wyrażają się Ojcowie o działalności następnych soborów. Według Cyryla aleks. źródłem nieomylności definicyi soborowych jest Chrystus, który p r z e w o d n i c z y tym zgromadzeniom, i Duch święty, który przez nie p r z e m a w i a [3]. To samo twierdzi o sobie Sobór chalcedoński w liście do papieża Leona, to samo inne sobory, aż do trydenckiego, który ogłaszał swe postanowienia *nie bez szczególnego przewodnictwa i kierownictwa Ducha świętego* [4].

Żeby nie dać komuś powodu do niepożądanego tłumaczenia naszych twierdzeń, oświadczamy wyraźnie, że tego szczególnego i pozytywnego wpływu Ducha świętego na Kościół nauczający nie bierzemy w znaczeniu udzielania coraz to zupełnie nowych objawień, któreby rozszerzały przedmiotowo depozyt apostolskiej wiary. Taki przyrost objawienia miał miejsce w starym testamencie, powoli przygotowującym ludzkość na przyjęcie Zbawiciela, a nawet w nowym zakonie za życia apostołów i ewangelistów, otrzymujących stopniowo objawienia z góry i natchnienia do pisania ksiąg świętych. Obecnie takiego działania Ducha św., o jakiem marzył u nas Towiański lub Cieszkowski, spodziewać się nam nie wolno. Kościół, któremu obiecano, *że bramy piekielne nie zwyciężą go* [5], nie ustąpi miejsca jakiemuś nowemu porządkowi rzeczy, jak synagoga ustąpiła Kościołowi; tenże Kościół przez wszystkie wieki, począwszy od gnostyków i Montana, odrzuca wszystkie mniemane objawienia, pretendujące na rozszerzenie lub poprawki apostolskiej wiary. Ale pomiędzy tak pojętem działaniem Ducha świętego w Kościele, a prostą jego obecnością, nie dopuszczającą jedynie błędu, mogą być inne pośrednie stopnie

[1] Cfr. Canus: *De locis theologicis* l. IV, c. IV.
[2] Dzieje Ap. XV, 28.
[3] Cfr. Franzelin: *De traditione,* th. XV, 2, 1-o.
[4] Sesya 13. wstęp. [5] Mat. XVI, 18.

pozytywnego wpływu. Objawienia, w ścisłem teologicznem znaczeniu, mają to do siebie, że przez nie udziela Bóg stworzeniu poznania jakiejś prawdy bez wysiłku i powolnej pracy umysłowej odbierającego je, a przytem obdarza umysł zupełną pewnością, że dane oświecenie pochodzi od Boga i dla całego Kościoła jest przeznaczone. Tymczasem pomoc Ducha świętego, jaką widzimy w ewolucyi dogmatycznej Kościoła, nie wyklucza, ale owszem wymaga usilnej pracy i ludzkich ostrożności w dochodzeniu prawdy; nie oświeca nagle umysłów, przez dostarczenie im nieznanej przedtem treści, ani nie zmusza umysłu ludzkiego do niezachwianej pewności, że w danej chwili pozostaje pod osobliwym wpływem z góry [1]. Jeśli mamy jaśniej się wytłumaczyć, sądzimy, że najlepiej uczynimy, stawiając ów pozytywny wpływ Ducha świętego w szeregu innych nadprzyrodzonych wewnętrznych łask, któremi duchowo żyją i działają członki mistycznego Chrystusowego ciała. Bez zadawania gwałtu naszym przyrodzonym władzom, działa mieszkający w nas Duch Boży [2], ilekroć wykonujemy jakikolwiek zbawienny czyn, a działa w ten sposób, że daje nam ową mądrość Ducha [3], wzmacniającą i podnoszącą nasze umysłowe siły, byśmy byli zdolni do takiego pojmowania woli Bożej, jakie przystoi na *synów przywłaszczenia* [4], i usposabiającą nasze serca, byśmy tę prawdę miłośnie i po synowsku przyjęli i według niej życie swe, do boskiego podobne, urządzali. Czemużby nie przypuścić podobnego pozytywnego wpływu Ducha Bożego, kiedy chodzi nie już o dobro duchowe jednostki, ale o postęp i *uświęcenie w prawdzie* [5] całego chrześcijańskiego Kościoła?

Taką nadprzyrodzoną pomoc w pierwszym rzędzie przyznać trzeba przedstawicielom nauczającego Kościoła, papieżom i biskupom, zwłaszcza wtedy, kiedy przystępują do uroczystego aktu definicyi dogmatów. Jeśli kiedy, to wtedy mogą słusznie oczekiwać objawienia się w nich owej łaski stanu, do której mają prawo mocą swego nauczycielskiego urzędu. Ale, dalej, nie można odmówić podobnych łask i tym wszystkim, co swoją sumienną

---

[1] Cfr. Canus, op. c. l. v, c. v. [2] Tamże, w. 9.
[3] Tamże, w. 6. [4] Rzym viii, 15. [5] Jan xvii, 19.

naukową pracą przyczyniają się do tryumfu prawdy w dogmatycznym progresie Kościoła. Że i oni mogą się stać i stają się rzeczywiście uczestnikami szczególnych oświeceń Bożych w swej pracy, o tem byli głęboko przekonani niektórzy Ojcowie Kościoła. Tak św. Augustyn w niektórych trudnych teologicznych kwestyach oświadczał, że rozwiązania ich jeszcze mu Bóg nie objawił, tym zaś, co szwankowali we wierze, również nie wahał się obiecywać oświecenia z góry, byleby dobrą wolą kierować się chcieli [1]. Św. zaś Grzegorz Naz. nie tylko, że podobną pomoc nazywał objawieniem, ale kładł ją pod pewnym względem na równi z objawieniem zawartem w Piśmie świętem. *Tak bowiem rzecz się ma,* pisze ten doktor Kościoła. *Stary Testament opowiadał wyraźnie Ojca, ciemniej mówił o Synu. Nowy zaś jasno nam okazał Syna, a o bóstwie Ducha św. pewnym ciemniejszym sposobem wzmiankę uczynił. Obecnie zaś sam Duch z nami mieszka i samego siebie nam wyraźnie opowiada* [2]. Wreszcie nie są obcy temu działaniu Ducha św. i prości wierni, zwłaszcza dusze czyste i świątobliwe. I ich może używać tenże Duch Boży do utorowania drogi prawdzie. Historya świadkiem, że niejednokrotnie w Kościele bywało, iż podczas gdy uczeni teologowie, może zbyt kierujący się własnym rozumem, powątpiewali lub zwalczali prawdy, mające kiedyś stać się obowiązującymi dogmatami, to lud prosty instynktowo lgnął do prawdy, choć nie był w stanie naukowo jej uzasadnić. Dość wspomnieć historyę nestoryanizmu lub obrazobórstwa. Widocznie działał tu Duch Boży, oświecając umysły i serca maluczkich, by za nimi poszli i wielcy i mądrzy tego świata, i dlatego św. Paulin, biskup z Noli, nie cofnął się przed radą, *abyśmy szli za zgodnym głosem wiernych, gdyż na każdego wiernego tchnie Duch Boży* [3]. W tem się zawiera owo tajemnicze *namaszczenie*, o którem wspomina św. Jan apostoł, że *uczy* nas o *wszystkiem* i *jest prawdziwe, a nie jest kłamstwo* [4]. Cóż dopiero, kiedy jaka nauka, nie tylko się podoba i powszechnie przyjmuje w sercach wiernych, ale nadto

[1] Cfr. Petavii: *de Incarnatione* l. XIV, c. II, n. 11.
[2] *Oratio theol.* V, n. 26. [3] Cfr. Petavii: l. c. n. 10.
[4] 1 Jan II, 27. Cfr. tamże V, 20; 1 Kor. II, 15, 16.

przyczynia się do podniesienia wśród nich pobożności, miłości, świętości? Czy nie widać wtedy ręki Bożej i zrządzenia Opatrzności, byśmy z owoców dobroć drzewa ocenili?

W rezultacie naszego studyum nad rzeczą rozwoju dogmatów, stwierdzamy najpierw, że ewolucya taka istnieje i stanowi jedną ze stron ogólnego postępu i wzrostu Kościoła, jako ciała mistycznego Chrystusa. Następnie, że dokonywa się ona nie przez odbieranie objawień nowej zupełnie treści, ale przez wyjaśnienie tego, co było ciemnem w apostolskim depozycie wiary, przez rozczłonkowanie tego, co w ogólnych prawdach się mieściło. Wreszcie, że praca ta nie jest dziełem czysto ludzkiego pierwiastka w Kościele, lecz że Duch Boży sprawia swą pomocą i kierownictwem, iż oblubienica Chrystusa, Kościół, *przemienia się z jasności w jasność*[1], by przygotować się godnie odkrytem obliczem ujrzeć chwałę Boskiego swego Oblubieńca w niebie.

Przechodzimy już do dogmatu Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy.

II.

Przez kilka wieków, dość liczni katoliccy teologowie, zwłaszcza z pomiędzy tych, co dogmatycznemu rozwojowi Kościoła zbyt ciasne zakreślali ramy, wypowiadali przekonanie, że nauka o wyjęciu Bogarodzicy z pod przekleństwa grzechu pierworodnego nie może stać się dogmatem wiary, jako opinia, zbyt późno powstała w Kościele i nie znajdująca dowodów w biblii i podaniu katolickiem.

Lecz oto 50 lat temu najwyższy pasterz Kościoła, Pius IX, z pełności swej nauczycielskiej władzy, ogłasza uroczyście przywilej Maryi, jako naukę od Boga objawioną, w Piśmie świętem i dziełach Ojców Kościoła zawartą, i każe wierzyć w nią pod karą odpadnięcia od jedności kościelnej. Po tem uroczystem orzeczeniu nie pozostało ani cienia wątpliwości dla wierzącego katolika, że nauka o Niepokalanem Poczęciu rzeczywiście zawierać się musi w źródłach chrześcijańskiego, przez apostołów przekaza-

[1] 2 Kor. III, 18.

nego objawienia boskiego, jak to już głosili, nadługo przed bullą, nie mniej od swych przeciwników liczni obrońcy przywileju Maryi. Ale gdzie się ta nauka zawiera? a jeśli nie występuje tak wyraźnie, iżby ją bez trudności wyczytać było można, to gdzie i jak się kryje? kiedy i jakimi sposobami wydobyła się z ukrycia na horyzont jasnej świadomości Kościoła? Takie pytania nastręczają się teologowi, kiedy przystępuje do badania naszego dogmatu. Będziemy starali się odpowiedzieć na nie na podstawie historycznych danych.

Co się najpierw tyczy Pisma świętego, to sam fakt, że przez kilka wieków nauka o Niepokalanem Poczęciu była przedmiotem długich i gwałtownych sporów w łonie katolickiego Kościoła, zmusza nas do wyznania, że księgi święte nie dostarczają tego rodzaju świadectw, któreby bezpośrednio i wyraźnie dowodziły tego osobliwego przywileju Maryi. Godzili się na to zdanie sami nawet obrońcy Niepokalanego Poczęcia, jak np. Suarez, według którego *temerarium esset petere expressam et affirmativam auctoritatem ex Scriptura* [1]. I słusznie. Pominąwszy bowiem wszystkie ustępy, których znaczenie dla naszego dogmatu płynie jedynie z przenośnego sensu, nadanego tekstom w myśl nauki skądinąd w Kościele przyjętej, pozostaje nam tylko świadectwo księgi Rodzaju o nieprzyjaźni, położonej przez Boga między wężem, a niewiastą, nasieniem jej a nasieniem jego. »Ona (czy też w myśl oryginału ono) zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na piętę jej« [2]. Że ten tekst rzeczywiście zawiera myśl o Niepokalanem Poczęciu, wiemy obecnie z powszechnego kościelnego wykładu; nie jest jednak na tyle jasnym i wyraźnym, aby można było tę myśl wyczytać w nim inaczej, jak po długich wahaniach i wysiłkach, jak to nam pokaże historya dogmatu.

Nie zdarzyło mi się również napotkać teologa, któryby utrzymywał, że nauka o Niepokalanem Poczęciu Bogarodzicy została sama w sobie, jako osobna i wyszczególniona prawda, wyraźnie przekazaną Kościołowi przez apostołów i w tymże kształcie, za pomocą ustnego podania, przetrwała do nowszych czasów. Zarówno

[1] Suarez: *De immac. Conc.* n. 10. [2] Rozdz. III, 14—15.

brak na to dowodów z pierwszych wieków, jak i stan późniejszej kontrowersyi zniewala do wyznania, że ten dogmat został objawiony potencyalnie, czyli podany Kościołowi w innych prawdach chrześcijańskich, z których miał dopiero z czasem wyłonić się jako przedmiot wyraźnej świadomości katolickiego Kościoła.

Jaki czas obudzeniu się tej świadomości założyć? Podług zdania wielu teologów, do których należy Dubosc de Pesquidoux, autor obszernego historycznego studyum nad naszym przedmiotem, zatytułowanego: *L'immaculée conception, Histoire d'un dogme* [1], wyraźna i szczegółowa wiara w Niepokalane Poczęcie Maryi wykwitła dość wcześnie z ogólnej objawionej wiary w wyjątkową, w pewien sposób nieskończoną *(indefinie)* świętość Bogarodzicy, tak iż w IV lub V stuleciu naszej ery miała być już jasno sformułowaną i stać się własnością powszechną [2]. Z wielu jednak względów trudno się zgodzić na to zdanie. Chociaż na jego korzyść wzmiankowani autorzy przytaczają bardzo wiele świadectw z literatury patrystycznej tak wschodniego, jak i zachodniego Kościoła, wszelako świadectwa te, jeśli nie będziemy ich czytali przy pomocy teologicznego słownika nowszych czasów, same z siebie wcale nie mówią o wyraźnej, sformułowanej i powszechnej wierze w Niepokalane Poczęcie Maryi. Jeden lub drugi tekst może świadczyć, że jego autorowi zaświtała już myśl o przywileju świętości, udzielonym Maryi w samem Jej Poczęciu [3], ale by ta myśl przeszła w powszechne wierzenie całego Kościoła, tego w żaden sposób powiedzieć nie można. Nie dowodzą takiej wyraźnej wiary ani epitety, nadawane Maryi przez Ojców i twórców liturgii, jak to najświętszej, wszechświętej (παναγια), najczystszej, niepokalanej i najniepokalańszej, zawsze i w każdym

[1] 2 tomy, Tours-Paris, 1898. [2] Cfr. op. cit. t. I, p. 200.

[3] Tak n. p. w aktach męczeńskich św. Andrzeja niewinność Maryi przyrównywa się do niewinnej ziemi, z której utworzonem zostało ciało Adama (Zob. Pesquidoux op. cit. str. 127); w tekście niejakiego Tesifona z głębokiej starożytności czytamy: *nequaquam angelus diceret: ave gratia plena, si in originali peccato fuisset concepta* (tamże 131), chociaż sam wyraz *originale peccatum* zdaje się zdradzać późniejsze pochodzenie tego tekstu, niż z I w., jak chce zacytowany autor.

czasie czystej i świętej, owszem samej świętości i czystości [1], ani obrazy i symbole, których używano dla wyrażenia świętości i godności Matki Bożej, przyrównywując ją do słońca bez plamy, do nieba, raju, nazywając pałacem Bożym, świątynią nie ręką ludzką uczynioną, miastem, w którem nigdy grzech nie panował, nowem stworzeniem, arcydziełem sztuki Bożej i t. p. Pomimo całej swej siły i wyszukanej piękności te i tym podobne wyrażenia nie są niczem innem, jak tylko natchnionemi przez miłość, przez wzniosły poetycki i oratorski zapał, pochwałami wielkiej, zgoła wyjątkowej, z czystością Boską bezpośrednio graniczącej, czystości i świętości Bogarodzicy, bez jasnego atoli określenia, na czem czystość ta polega i co w sobie mieści. Tem mniej można uważać za bezpośredni wyraz jasnej myśli o Niepokalanem Poczęciu te miejsca, w których Ojcowie, traktując o stanowisku i współuczestnictwie Bogarodzicy w dziele odkupienia rodzaju ludzkiego, mianują Maryę nową Ewą, naprawiającą to, co pierwsza Ewa zniszczyła, lub porównują Ją z arką Noego, ratującą rodzaj ludzki przed potopem ogólnym, stawiają Matkę obok Syna i wyznaczają Jej tak ważną rolę w dziele naprawy, jaką grała Ewa w naszej zgubie [2]. Bezwątpienia są to cenne dla nas świadectwa owego pojęcia, jakie o Maryi miał zawsze Kościół święty, bezwątpienia wiele światła rzucają i na samą kwestyę świętości Maryi w chwili Poczęcia; ale czy przy ich wygłaszaniu przyświecała Ojcom wyraźna idea Niepokalanego Poczęcia, owszem czy była im ona znaną, tego skądinąd dochodzić należy. Nam wydaje się prawdziwszem zdanie przeczące. Gdyby bowiem wyraźne przekonanie o tem istniało podówczas w Kościele, nie można wątpić, że znalazłoby wymowny i ścisły swój wyraz w maryologii Ojców, którego tam jednak nie widzimy. Nie pomoże wybieg, iż milczenie Ojców da się wytłumaczyć brakiem przeciwników, gdyż i godność boskiego macierzyństwa Maryi, za czasów n. p. Jana Damasceńskiego, przeciwników w łonie Kościoła już nie miała,

[1] Porów. Hurter. *Compend. theol. dogm.* II. 485: Palmieri. *De Deo creante* p. 683.

[2] Zob. Hurter, l. cit. str. 488 i nast.

a jednak któż nie wie, jak ustawicznie, jak silnie i wyraźnie ten św. doktor broni rzeczonej godności. Owszem twierdzimy coś więcej. Mianowicie, jeśli weźmiemy pod uwagę ogólny stopień rozwoju, do jakiego myśl chrześcijańska w epoce patrystycznej doszła na wschodzie w dziedzinie innych pokrewnych, t. zw. antropologicznych dogmatów: o grzechu, łasce, odkupieniu i t. d., to bez obawy pomylenia się można powiedzieć, że na samo postawienie kwestyi, czy Najświętsza Panna zaciągnęła lub nie winę grzechu pierworodnego w chwili stworzenia Jej duszy, było wtedy jeszcze zawcześnie. Ojcowie greccy nie mogli jasno i powszechnie wyjmować Maryę z ogólnego prawa, dopóki samo prawo nie było przedmiotem ich uwagi i badań[1]. Z małymi wyjątkami i to niewyraźnymi[2], Ojcowie wschodni nie zajmowali się określeniem i stwierdzeniem samej winy *(reatus culpae)* grzechu pierworodnego, lub wyjaśnieniem sposobu przyczytania *(imputatio)* takowej potomstwu Adama, lecz, mówiąc o grzechu pierworodnym, zwracali uwagę na jego dalsze i bliższe skutki tak w samym Adamie, jak i w całym rodzaju ludzkim. Pisma Bazylego, Chryzostoma, Makarego egipskiego, obydwóch Cyrylów i Grzegorzów, traktujące o tym przedmiocie, dążą ustawicznie do tego, by w żywych kolorach odmalować panujące w świecie i w naturze ludzkiej, dzięki przeniewierstwu Adama, zepsucie i idące za niem przekleństwo i kary boskie. Panująca w ciele i duszy naszej pożądliwość i skłonność do grzechu, którą ustawicznie wprost grzechem[3] zowią, jej źródło w niewierności pierwszego człowieka, jej sposób przekazywania potomstwu przez akt naturalnego rodzenia, zakażonego tą pożądliwością, oto przedmiot parenetycznych pism Ojców greckich[4]. Stąd, jeśli napotkamy u nich wzmiankę o tem, że Marya nie podległa skażeniu ogólnemu, że nie miała lub nie zaciągnęła żadnej plamy i inne w tem rodzaju zdania, będą to, co najwięcej, świadectwa na inną pokrewną prawdę, mianowicie

---

[1] Por. Petawiusza, op. cit. l. XIV, II, 1.

[2] N. p. gdy traktują o odpuszczeniu grzechu pierworodnego przez chrzest św.

[3] Cfr. Rzym. VII, 20.

[4] Cf. Schwane, *Dogmengeschichte der patristischen Zeit*, §§ 56—60.

o przywileju wolności Maryi od nieporządnych poruszeń zmysłowych lub od wszelkich grzechów dobrowolnych, uczynkowych; dla naszej zaś kwestyi szukać w nich należy nie gotowych dowodów, lecz tylko pewnej podstawy do wnioskowania.

Bliżej naszej rzeczy stali Ojcowie zacnodni, a zwłaszcza św. Augustyn, który w walkach z pelagianizmem miał sposobność przypatrzenia się z rozmaitych stron grzechowi pierworodnemu. Widzimy już u tego doktora Kościoła jasne rozróżnienie między winą grzechu pierworodnego, a pożądliwością, będącą jakoby materyalnym składnikiem tegoż grzechu [1]; nie przestaje jednak św. Augustyn nazywać grzechem samejże pożądliwości i dziedziczność grzechu wyprowadzać bezpośrednio z pożądliwości, towarzyszącej funkcyom naturalnego poczęcia potomstwa. Niejednokrotnie nadarzyła się doktorowi łaski sposobność dotknięcia kwestyi właściwie pojętego Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy: co więcej, Pelagiusz i jego zwolennik Julian zmuszali go do wyraźnego wypowiedzenia przekonań w tym przedmiocie: pomimo to, odpowiedzi, jakie im dał Augustyn, nie w zupełności czynią zadość oczekiwaniom. Pelagiusz, zwalczając istnienie grzechu pierworodnego wogóle, dowodził, że przyjmując go, należałoby objąć nim i Maryę, a to wszak uchybiałoby czci należnej Matce Jezusowej. Cóż mu na to św. Augustyn? Odpowiedź brzmi, że nie chce ani słyszeć o Maryi, skoro jest mowa o grzechach. Dlaczego? Bo otrzymała ona łaskę do z w y c i ę ż e n i a grzechu pod każdym względem *(ad vincendum omni ex parte peccatum)*, iż porodziła tego, który nie miał żadnego grzechu. Następnie przechodzi do twierdzenia, że zatem, oprócz Maryi, żaden święty rzec nie może, jakoby był bez winy, z użytych jednak dowodów widać, iż miał tu św. doktor na myśli winy uczynkowe [2]. Na zarzut Juliana, jakoby swą nauką o grzechu pierworodnym i Maryę poddawał szatanowi mocą pochodzenia, odpowiada św. doktor: Nie poddajemy szatanowi Maryi prawem narodzenia, lecz d l a t e g o, że ł a s k a o d r o d z e n i a skazę narodzenia usuwa. *Non transcribimus diabolo Mariam conditione nascendi, sed ideo, quia ipsa conditio solvitur gratia*

[1] *Op. imp.* 1, 71. [2] *De nat. et gr.* 36.

renascendi [1]. Jak widzimy, zamiast wyraźnie uchylić samą supozycyę, w której zarzuty przeciwników miały pewną wartość, mianowicie zamiast wyjąć poprostu Maryę z pod ogólnego prawa, mocą którego w grzechu na ten świat przychodzimy, św. Augustyn raczej obchodzi trudność i przeczy wprost tylko wyprowadzonym z owej supozycyi wnioskom co do grzechów uczynkowych i ciążącego jarzma niewoli szatańskiej, powołując się na otrzymaną przez Maryę łaskę odrodzenia i łaskę do zwyciężenia grzechu. Użycie tych terminów: *renascendi, vincendum peccatum* zdaje się zdradzać, że w myśli św. Augustyna występował w tym razie grzech w postaci pożądliwości, usuniętej już po zaciągnięciu winy grzechu pierworodnego. Być może, że św. Augustynowi sprawiała trudność owa ścisła zależność zaciągnięcia zmazy w poczęciu od pożądliwości, towarzyszącej aktowi generacyi. Jeśli się komu nie spodoba nasz wykład przywiedzionych ustępów św. Augustyna, to w każdym razie wyznać musi, że zbyt ciemno i pobieżnie ten święty doktor dotknął naszej kwestyi, by go uważać z *Pesquidoux* za pierwszego apologetę Niepokalanego Poczęcia; my znowu ze swej strony przyznajemy, że Opatrzność nie dozwoliła, by tak wielki doktor Kościoła stanął w wyraźnej opozycyi do nauki, która się później miała stać dogmatem wiary. Bądź co bądź, ani u Augustyna, ani u innych późniejszych zarówno jak wcześniejszych łacińskich Ojców nie znajdujemy jasnych dowodów na stwierdzenie, że Niepokalane Poczęcie Maryi, samo w sobie, to jest jako rozwinięta i sformułowana prawda, znanem było w Kościele zachodnim, tak jak nie widzieliśmy podobnież rozwiniętej nauki na Wschodzie. Nie zmienia naszego poglądu fakt, że wschodnie kościoły między piątem a siódmem stuleciem, zaprowadziły u siebie święto poczęcia Maryi; owszem istnienie tego święta wyzyskać można na potwierdzenie myśli naszej. Jak wskazuje sam tytuł: *Poczęcie św. Anny, która poczęła Maryę,* lub *Zwiastowanie o Poczęciu św. Bogarodzicy,* miało ono, w myśl swego ustanowienia, być pamiątką cudownych okoliczności, towarzyszących Poczęciu Maryi, a znanych z krążą-

[1] *Op. imp.* IV, 122.

cych na Wschodzie podań o modlitwie małżeńskiej pary Joachima i Anny, o zjawieniu się im anioła i poczęciu Bogarodzicy przez podeszłą i niepłodną Annę. Byłoby to święto analogicznem do święta poczęcia św. Jana przez niepłodną również Elżbietę. Prawda, że wyjątkowa godność i świętość Maryi niezadługo wystąpiły na pierwszy plan w kazaniach i hymnach, przeznaczonych na tę uroczystość [1], lecz i tu niczego więcej się nie dowiadujemy, jak tylko to, że Marya była zgoła niepokalaną, przeznaczoną na pałac dla Syna Bożego, który w ten dzień sam sobie przyrządził mieszkanie, słowem to, co wypowiadano o Maryi przy innych okolicznościach. Brak bliższego określenia poczęcia, jako stworzenia duszy, Maryi odrazu obdarzonej łaską poświęcającą, zdradza, że takiego pojęcia nie znano. Co się tyczy zachodniego Kościoła, to szybkie rozpowszechnienie w XI i XII stuleciu rzeczonej uroczystości zaważyło wprawdzie na szali naszej kwestyi, jednak nie w ten sposób, jakoby miało swiadczyć o istniejącej już przedtem wyraźnej wierze w wolność Maryi od winy pierworodnej, lecz przeciwnie tym sposobem, że wywołało w swoim czasie prawidłowe postawienie samej kwestyi.

Kiedyż więc nauka o Niepokalanem Poczęciu Bogarodzicy doczekała się po raz pierwszy jasnej i wyraźnej affirmacyi?

Pominąwszy wieloznaczne świadectwa dawniejsze, pierwszą wyraźną wzmiankę o uświęceniu Maryi w łonie matki spotykamy w IX wieku u benedyktyna Paschazego Radberta, który twierdzi, że Marya nie zaciągnęła grzechu pierworodnego i winy zepsucia nie miała, ale który jednocześnie, całem swem rozumowaniem przeciwko przeczącym wiecznego dziewictwa Maryi, zdaje się zmierzać ku temu, by dla obrony dziewictwa przy wydaniu na świat Zbawiciela wykluczyć u Matki Bożej skazę pożądliwości. Zresztą wspomina, że przed poczęciem Słowa Duch św. oczyścił Pannę, aby była świętszą nad gwiazdy niebieskie *(totam defaecavit a sordibus virginem et decoxit, ut esset sanctior quam astra coeli)* [2]. Gdy święto poczęcia Maryi zaczęło przyjmować się szerzej naj-

[1] Por. homilię Jana Eubeeńskiego i hymny Andrzeja z Krety (M. P. G. t. 97).

[2] *De partu Virginis M. P. L.* t. 120, str. 1369—1372.

pierw we Włoszech, później w Anglii, Francyi i innych krajach, powstał cały zastęp autorów, którzy bronili świętości poczęcia Bogarodzicy nawet w osobnych temu przedmiotowi poświęconych traktatach. Tak np. bezimienny autor dziełka: *De conceptione B. Mariae Virginis,* przypisywanego niegdyś św. Anzelmowi. Lecz z tych właśnie traktatów, pisanych przedewszystkiem w obronie wprowadzonego już święta, jak również z pism strony świętu przeciwnej, dowiadujemy się dwóch, dla przedmiotu naszego doniosłych rzeczy. Najpierw, że zwolennikami i święta i nauki o poczęciu niepokalanem byli przedewszystkiem ludzie świątobliwi, ale prości [1], podczas gdy wybitni teologowie niemal powszechnie należeli do opozycyi, a powtóre, że jak jedna tak i druga strona nie pojmowała jeszcze przyrodzonej strony aktu poczęcia tak, jak tego nasz dogmat wymaga. Tak wtedy, jak i znacznie później poczęcie oddzielano od stworzenia duszy dziecięcia, wskutek czego uświęcenie w poczęciu musiano brać w znaczeniu uświęcenia przed wlaniem duszy do ciała. Uczeni teologowie, jak św. Bernard, zżymali się na samą myśl o uświęceniu płodu jeszcze nie ożywionego przez duszę rozumną i twierdzili, że poczęcie nie mogło się obejść bez grzechu; na co znowu odpowiadali pobożni dogmatu zwolennicy, że jeśli był w poczęciu Maryi jaki grzech, to tylko osobisty rodziców, nie zaś poczętej *(illud propagantium et non propagatae prolis fuit)* [2]. Inni, jak Piotr Comestor, antagonista Bernarda, dowodzili, że ciało Maryi nie potrzebowało nawet uświęcenia, gdyż powstało było z tej cząstki materyi, która w Adamie nie została dotkniętą skazą i poprzez wszystkie pokolenia przekazywała się bez zmazy, jako materya, z której miały być utworzone ciała Maryi i jej Boskiego Syna [3]. Widoczna, że tu chodziło nie wprost o obronę dogmatu, ale o obronę święta, któremu odmawiali racyi bytu tak poważni pisarze, jak św. Bernard. Powoływano się w tym celu na rozmaite prywatne objawienia, na zwyczaj gdzieniegdzie już istniejący; żeby jednak uroczystości tej dać pewne teologiczne uzasadnienie, starano się wykazać, że poczęcie Maryi, jako wyjątkowo świętej, zasługuje na cześć wy-

[1] *De conceptione,* n. 1. [2] Ibid. n. 9. [3] Scheeben op. cit. t. 3, 1705.

jątkową. Dziwna jednak rzecz, że długi czas obracając kwestyę na wszystkie boki, nie zdołano wpaść na właściwą drogę. Pytano, czy uświęcenie Maryi stało się w żywocie matki, lub po przyjściu na świat, czy przed ożywieniem, czy po ożywieniu; sprzeczano się o to i konsekwentnie broniono lub zaprzeczano zaciągnięcia winy pierworodnej przez Maryę, w ramach zakreślonych przez niejasne pojęcia ówczesne. W tem wszystkiem niepoślednią rolę odgrywała wciąż fałszywa wyobraźnia o sposobie dziedziczenia grzechu pierworodnego, jak również pojęcie samegoż grzechu, na sposób jakiejś *qualitatis morbidae*, która najpierw ciało dziecięcia zarażać miała, a po ożywieniu płodu udzielać się i duszy. Oczywista, że jeśli uświęcenie Maryi poprzedziło chwilę wlania duszy do jej ciała, to i winy grzechu pierworodnego nie zaciągnęła, lecz jeśli owo uświęcenie nastąpiło dopiero po ożywieniu ciała przez duszę, w takim razie i grzech pierworodny przynajmniej na chwilę znalazł w niej panowanie. Byli jednak i tacy, jak św. Tomasz [1], a przed nim i z nim razem św. Anzelm, Bonawentura, Albert Wielki, którzy, wychodząc z zasady powszechnego odkupienia i pewnych racyi filozoficznych, stawiali jako pewnik, czasem jako artykuł wiary, że Marya winę pierworodną zaciągnęła, by dopiero stąd wywnioskować, że uświęcenie jej w żywocie matki dokonanem zostało już po wlaniu duszy do ciała *(post animationem)*.

Dopiero subtelny umysł słynnego przeciwnika św. Tomasza, franciszkanina Duns Skota, wytknął prawdziwą drogę kontrowersyi, pokazując, że pomiędzy przeciwnemi supozycyami antagonistów: *ante animationem et post animationem*, znajduje się pośrednia możliwość uświęcenia *in animatione*, w samem stworzeniu i wlaniu duszy do ciała. Dodawał Scotus, że takie uświęcenie, znosząc, z jednej strony, a raczej nie dopuszczając zaciągnięcia skazy grzechowej, da się, z drugiej strony, pogodzić i z zasadą powszechnego odkupienia przez mękę Jezusa, któremu, jako najdoskonalszemu Odkupicielowi przystało nawet ze wszechmiar zastosować przynajmniej względem swej Rodzicielki najdoskonalszy sposób odkupienia, aby Matkę swoją od winy, nie oczyścił do-

[1] p. III, qu. 27, a. 2.

piero, ale uchronił. Ten błysk subtelnego metafizycznego myślenia rzucił sporo światła i na naukę o istocie grzechu pierworodnego i na opinię o niepokalanem poczęciu Bogarodzicy. A chociaż sam Duns Scotus podawał swoje wnioski, jako prawdopodobną tylko opinię, jednak dostarczył prawie wszystkich elementów, z których po pięciu przeszło wiekach złożyć się miała dogmatyczna definicya Piusa IX. Z historycznego przebiegu kontrowersyi o uroczystość Poczęcia Maryi, a następnie o chwilę jej uświęcenia widzimy, że nauka o Niepokalanem Poczęciu w naszem rozumieniu datuje się dopiero z pierwszych lat XIV stulecia[1]. Jeżeli jednak jest ona objawioną, to gdzież się kryła przez trzynaście wieków?

Ktoś, nie znający praw przyrody motyla, widząc go opuszczającego powijaki poczwarki, łatwo chwilę wylotu poczyta za pierwszy moment życia i egzystencyi. Lecz nie tak patrzeć się będzie na tę rzecz badacz przyrody. On wie, że ten motyl istniał już dawno, przechodząc rozmaite fazy i rozmaite kształty przyjmując, zanim, otrzymawszy skrzydła, dobiegł do kresu swego rozwoju. Zadaniem przyrodnika nie tylko podziw nad wylotem motyla, lecz i wykrycie praw wszystkich poprzednich jego przemian.

Zastosujmy przykład do naszego przedmiotu. Daty wystąpienia subtelnego doktora nie można wprost i bez zastrzeżeń uważać za dzień narodzenia nauki o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Dziewicy. Był to tylko dzień, którego nauka ta, jak uskrzydlony motyl z poczwarki, wyzwoliła się z więzów niejasnych, niewyrobionych pojęć. Przedtem żyła ona ukrycie w sercu Kościoła, w onej wyjątkowej czci, jaką Kościół oddawał Najświętszej Bożej Rodzicielce, w onej dziecięcej miłości, którą serca wiernych względem niej pałały, a przedewszystkiem w onej wierze w zgoła wyjątkową pod każdym względem świętość Maryi, o której świadczy bogata przez wszystkie wieki literatura kościelna, wysilająca się wszelkimi możliwymi sposobami na uczczenie tej Bożej Matki. Wzniosłe to i bezprzykładne pojęcie o świętości Maryi

[1] Duns Skot umarł r. 1308, w 34 roku życia.

spotykamy od pierwszych wieków, wśród rozlicznych nacyi chrześcijańskich, rozsianych po wszystkich miejscach, gdziekolwiek zabłysło światło ewangelii, a ta potrójna powszechność: czasu, miejsca, zgody, zmusza nas, w myśl Wincentego Lirynońskiego, do uznania, że nie co innego, jedno apostolska nauka musi być źródłem owego pojęcia, owej wiary w możliwie najwyższą świętość i czystość Matki Dziewicy. W tej, zaszczepionej przez apostołów w umysłach i sercach wiernych, ogólnej idei przedmiotowo zawierały się wszystkie przywileje, zalety, przymioty osobistej świętości Maryi, jakie Kościół kiedykolwiek miał ogłosić w dogmatycznych swych wyrokach. W miarę duchowego wzrostu Kościoła, w miarę dojrzewania jego zbiorowego wierzącego rozumu, wyłaniały się z owej ogólnej idei, jeden po drugim, rozmaite szczegółowe przywileje Maryi, począwszy od tych, które były przystępniejsze pojęciu, i postępując ku coraz trudniejszym i subtelniejszym.

Wyłonił się najpierw i przeszedł w wyraźną świadomość myśli kościelnej przywilej wiecznego dziewictwa Bogarodzicy. Treść jego to fakt zewnętrzny i jako taki w zupełności dostępny młodocianej inteligencyi Kościoła. Przyjął się on też w umysłach wiernych od dni samych apostołów i kiedy godzili weń heretycy Ebionici, Cerynt, Jowinian, Helwidyusz, samym faktem powszechnej wiary ich zamachy odpierano.

Na drugiem miejscu wystąpił na horyzoncie myśli chrześcijańskiej płynący z tejże ogólnej idei nieograniczonej świętości Bogarodzicy przywilej, wyjmujący ją od wszelkiego grzechu uczynkowego, lecz ten miał się już spotkać z pewnem wahaniem w łonie samego Kościoła. Tacy nawet czciciele Matki Boskiej, jak Bazyli, Chryzostom, Cyryl aleksandryjski, nie mówiąc już o Tertulianie i Orygenesie, dali się uwieść pewnym egzegetycznym względom i blask świętości Maryi przyćmili swemi przypuszczeniami niektórych lekkich popełnionych przez nią uchybień, jak ciekawości, niedowierzania, zgorszenia pod krzyżem Jezusa [1]. Lecz skoro szkolne pod tym względem trudności zostały usunięte, uczucie i zmysł chrześcijański nie dozwoliły dłużej rzucać ani cienia

[1] Zob. Petawiusza, op. c. l. XIV, c. 1.

podejrzeń na osobistą świętość Bożej Rodzicielki, tak iż Pelagiusz, chcący wyzyskać owo uczucie chrześcijańskie w swej własnej sprawie, mógł się już śmiało odwołać do powszechnej wiary Kościoła. Sobór Trydencki[1] nie miał już nic pod tym względem do czynienia, jak tylko autentycznie stwierdzić wiarę całego Kościoła.

Następnie przyszła kolej na trzeci przywilej świętości Maryi, przywilej wolności od wszelkiej pożądliwości grzechowej. Wyżej mieliśmy sposobność wspomnieć, jaką rolę odgrywała kwestya o pożądliwości w nauce o łasce, grzechu, uświęceniu. Jeszcze bliżej tyczyła ona naszego dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Maryi, który jeśli miał z czasem wystąpić we właściwej postaci — wolności Matki Bożej od tego, co stanowi samą istotę grzechu pierworodnego, musiał wpierw znaleźć przygotowaną myśl chrześcijańską przez rozbiór kwestyi dostępniejszej dla umysłu, mianowicie, czy Marya wyjętą została z pod ogólnego jarzma pożądliwości grzechowej, owej niejako materyalnej, widocznej strony, a raczej skutku pierworodnego upadku. Jakoż, skoro, według Augustyna, wolność od pożądliwości należy do doskonałości człowieka *(ad perfectionem iustitiae)*, a Marya była najdoskonalszą z istot stworzonych; skoro powszechność grzeszenia w pożądliwości ma swoje źródło, a Marya nigdy nie zgrzeszyła; skoro z zakażonego pożądliwością drzewa tylko chory owoc zrodzić się może, a Marya najczystszego Jezusa na świat wydała, — to musiało się dojść do jasnej i nieuniknionej konkluzyi, że i tego przywileju — wolności od pożądliwości nie brakło Matce Najświętszej. W jaki sposób zachował ją Pan Bóg od powszechnej tej skazy, o tem długo jeszcze rozprawiano, ale sam fakt wyjątku z powszechnego prawa, zwłaszcza po rozpowszechnieniu święta Poczęcia Maryi, nie ulegał już żadnej wątpliwości, ani wśród wiernych, ani teologów, choć dogmatycznego określenia jeszcze się nie doczekał, aż do dnia dzisiejszego.

Wreszcie po takiem przygotowaniu gruntu przez tyle poprzednich kwestyi, przyszła kolej i na to, aby ogólne pojęcie o niezrównanej świętości Maryi zrodziło i wydało ze siebie wy-

[1] Ses. 6, can. 23.

raźną już wiarę w ostatni przymiot, na którym t a k i e j świętości zbywać nie mogło. Zrodziło się jasne zrozumienie, że Marya samej winy pierworodnej zaciągnąć nie mogła. Przedmiotowo była ta prawda źródłem i podstawą wszystkich innych poprzednio wyjaśnionych przywilejów, ale podmiotowo, w świadomości Kościoła, miała wystąpić na końcu, gdyż wymagała skupienia myśli na jednym momencie istnienia Maryi, jak również subtelnych precyzyi w określeniu grzechu pierworodnego, do których nie prędko doszła myśl teologiczna. Skoro wszakże Duns Skot wskazał najlepszy i najłatwiejszy sposób uświęcenia Maryi, skoro usunął nastręczające się teologiczne trudności, czerpane z nauki o powszechnem odkupieniu, chrześcijański zmysł nie pozwolił już dłużej powątpiewać, że i ta najwyższa łaska Niepokalanego Poczęcia nie została odmówioną tej, która jako *łaski pełna* od anioła pozdrowioną była. Godność macierzyństwa boskiego i stanowisko Maryi zgoła wyjątkowe, jako pomocnicy Syna w dziele odkupienia, parły myśl chrześcijańską wciąż naprzód w kierunku coraz pełniejszego rozumienia i zgłębienia i wyczerpania do dna tej ogólnej idei świętości, jaką Apostołowie zaszczepili od początku w sercach pobożnych i wiernych synów Kościoła, a więc i synów Maryi. Ten prąd myśli chrześcijańskiej, który znalazł swój dosadny wyraz w formule św. Anzelma: *quod decuit, quod potuit, hoc et fecit*, co przystało Maryi, co było w sobie możliwem, to Bóg dla niej uczynił, prąd ten stawał niekiedy przed zaporami teologicznych lub filozoficznych trudności, lecz stawał tylko tak długo, dopóki nie usunięto zapory, poczem rozlewał się już bez przeszkody, obejmując coraz szersze koła wszystkich warstw, narodów, szkół teologicznych różnych odcieni.

Nauka o Niepokalanem Poczęciu Bogarodzicy, w wyraźnem znaczeniu nie zaciągnięcia przez nią samej nawet winy pierworodnej, od czasów Duns Skota znajduje coraz liczniejszych obrońców. Przyjmują ją za swoją całe zgromadzenia zakonne: franciszkanów, potem jezuitów; liczne uniwersytety przysięgą zobowiązują swych mistrzów do bronienia jej przed zarzutami. Opiera się jeszcze długo pewna teologiczna szkoła, nie tyle dla wewnętrznych racyi, ile z przywiązania do domowych tradycyi, ale i ta opozycya, do-

prowadzająca niekiedy do poważnych starć w łonie scholastyki (Jan Segowia franciszkanin i kardynał Turrecremata), ten tylko odnosi skutek, że nauka o Niepokalanem Poczęciu coraz bardziej się upowszechnia wśrod wiernych, coraz goręcej jest brońioną. W XVII stuleciu mógł już Vasquez następujące zapisać świadectwo: »W czasie obecnym nie tylko wszyscy profesorowie i doktorzy teologii, z wyjątkiem dominikanów, lecz wszyscy nawet, którzykolwiek imię chrześcijan noszą, zdanie to zgodnym umysłem i sercem podzielają, tak iż przeciwnego twierdzenia nikt nie może wygłosić w kazaniach, by wielkiego zgorszenia ludu nie wywołać«[1]. Stąd nic dziwnego, że i Stolica święta, widząc w owem pobożnem przeświadczeniu całego niemal chrześcijaństwa wyraźny *sensus ecclesiae*, myśl podyktowaną przez zmysł katolickiego serca, czytającego tę prawdę w ogólnych zasadach objawienia, wzięła ją również w obronę. Papieże wzbogacali święto Niepokalanego Poczęcia Maryi licznymi odpustami; Sykstus IV, Pius V, Paweł V, Aleksander VII, nie stawiając wprawdzie ostatecznej definicyi w tej sprawie, powściągali jednak nieraz surowemi karami tych, którzyby ośmielili się publicznie zwalczać przywilej Maryi. Lecz nastał wreszcie czas uroczystej definicyi dogmatu. Przez kilka wieków dopraszali się o nią królowie, biskupi, kler i lud katolicki[2]. Resztki opozycyi topniały pod ciepłym powiewem ogólnej wiary. Nauka o Niepokalanem Poczęciu wydawała coraz więcej wspaniałych owoców w postaci bractw, zgromadzeń zakonnych i innych chrześcijańskich instytucyi, podnosiła pobożność ludu i dobre obyczaje. Patrząc na te owoce, Pius IX papież, nagłony przytem, jak sam świadczy, wewnętrznym głosem Ducha świętego, osądził, że nadeszła pora, by wypowiedzieć ostatnie słowo z wyżyn katedry Piotrowej. Zapytani o zdanie biskupi całego świata jednogłośnie oświadczyli się za wiarą w przywilej Niepokalanego Poczęcia i wszyscy, z wyjątkiem dwóch tylko, błagali Ojca św. o przyśpieszenie dogmatycznej definicyi.

8 grudnia 1854 r. stało się zadość pragnieniom katolickiego

---

[1] In. 3. disp. 116, c. 2.

[2] Cfr. J. Malou, *Histoire de la definition* s. I. a. 3 i nast.

świata, a w parę lat potem zdarzenia w Lourdes stwierdziły, jak miłym Bogu i Maryi był ten akt nauczającego Kościoła.

Jak rzucony na wstępie krótki zarys ogólnych praw dogmatycznej ewolucyi Kościoła dopomógł nam do skreślenia kolei, które przechodził dogmat Niepokalanego Poczęcia, tak, naodwrót, historya tego dogmatu wskazuje na słuszność naszego poglądu na ogólny rozwój prawd wiary. Widzieliśmy, jak ogólne, zaszczepione przez apostołów pojęcie o nieporównanej z niczem świętości Matki Bożej, z biegiem wieków i ze wzrostem wierzącej inteligencyi Kościoła, rozkładało, różniczkowało się w poszczególne, podrzędne pojęcia, razem stanowiące przedmiotowo pełną treść idei objawionej. Widzieliśmy, jak w tej pracy działały czynniki ludzkie, przez ciemną pomrokę niewiadomości, wątpliwości, wahania się, nawet błędnych wyobrażeń przebijając się ku światłości prawdy. Ale nie mogło ujść naszej uwagi i to, że oprócz ludzkich czynników działał w tej mierze nieznacznie, powoli ale potężnie, czynnik nadziemski, co w głębi ludzkich serc i umysłów pracą wieków buduje królestwo Boże. Obiecany przez Zbawiciela Duch prawdy, wyzyskując historyczne okoliczności i same nawet niedostatki ludzkie, przygotowywał w umysłach odpowiedni grunt dla zaszczepienia wyraźnego pojęcia przywilejów Maryi; światłem swej łaski wewnętrznej wspierał myślące siły w Kościele, by z ziarna objawionej nauki wykiełkowała rozwinięta roślina; ciepłem swego tchnienia ogrzewał serca, by rozwiniętą naukę pokochały i wzrost i rozszerzenie jej zapewniły. Kto na kartach historyi dogmatów nie umie dopatrzyć się tych jasnych promieni, którymi Duch święty działanie swe zaznaczył, temu życie dogmatów musi pozostać historycznie zarówno jak psychologicznie nierozwiązalną zagadką. A przeciwnie, nawet jeszcze w przeddzień definicyi, kto popatrzył okiem wiary na owe wspaniałe zjawisko powszechnej zgody nie tylko prostaczków, ale i najgłębszych teologów, nie tylko ludu, ale i jego pasterzy; kto zastanowił się, że przez kilka stuleci (od XV wieku) nie znalazła się ani jedna z tych dusz czystych, które Boga oglądają [1], i które Kościół wyniósł na swe

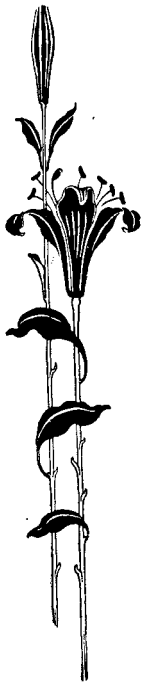
[1] Mat. v, 8.

ołtarze, coby nie pokochała i nie broniła przywileju Maryi; kto zważył błogie owoce, jakie wydała nauka o Niepokalanem Poczęciu, ten nie mógł nie powiedzieć: *digitus Dei est hic,* palec Boży jest w tej sprawie, nie mógł nie uwierzyć całem sercem, że to nauka z nieba, a nie z ziemi.

Że w swoich wyraźnych kształtach powstała ona bardzo późno, nic to nie szkodzi. Dla chrześcijanina, wierzącego, że jak Chrystus, tak i Kościół, żywe mistyczne jego ciało, zawsze jest ten sam, wczoraj i dziś i na wieki [1], kwestya czasu nie posiada zasadniczego znaczenia. Istnieje ona tylko dla tych, co odmawiając Kościołowi wiecznie działającego i rozwijającego się r o z u m u każą mu żyć samą tylko p a m i ę c i ą dawno minionych czasów. Lecz, jak dotąd, tak i na przyszłość, aż do skończenia wieków, prawdziwy Kościół Chrystusowy będzie *jako jasna światłość, która wschodzi i rośnie aż do doskonałego dnia* [2].

[1] Żyd. 13, 8. [2] Przyp. IV, 18.

Ks. J. Urban T. J.



PIERWIASTEK NADPRZYRODZONY

A DZISIEJSZA DOBA POLSKI.

Kult Najświętszej Panny jest najkrótszem streszczeniem i zamknięciem świata wiary.

Kto wyznaje Boga-Rodzicę, ten tem samem stwierdza, iż wierzy w Boga-Człowieka Chrystusa Jezusa, wyznaje Trójcę Najświętszą, Kościół powszechny i żywot wieczny.

Całe nasze *Credo,* choć tak niedługie, jest jeszcze streszczone i ukrócone aż do jednego wyrazu — Marya.

To też jubileusz Maryański, będąc hołdem dla Maryi, jest zarazem świątkowaniem i uczczowaniem świata wiary i życia nadprzyrody.

Hołd publiczny, złożony niedawno na kongresie lwowskim Boga-Rodzicy przez naród cały, w swych reprezentantach z trzech dzielnic zastąpiony, jest tem samem publicznym tryumfem życia nadprzyrodzonego w całem społeczeństwie.

Jeżeli tedy tegoroczny obchód Maryański jest przeglądem stosunku Królowej Polski do Jej narodu, stosunku tak w całej naszej historyi żywego, to niemniej także nasuwa on myśli o związku życia wiary i życia nadprzyrodzonego ze społeczeństwem.

I uważałbym, iż uświadomienie znaczenia świata nadprzyrodzonego dla życia narodu w dzisiejszej właśnie chwili i dzisiejszej epoce będzie zarówno przyczynkiem a nawet podstawą do

pogłębienia czci Najświętszej Panny, jak wywyższeniem i ożywieniem ideału religijnego w jego oddziaływaniu na cały naród i całe społeczeństwo.

* * *

W pierwszej epoce dziejów porozbiorowych dusza narodu, nie mogąc się uczepić o umykającą z pod rąk jej rzeczywistość, a targana najpotężniejszemi uczuciami rozpaczy i nadziei, weszła pod skrzydła wieszczej poezyi, gdzie też jej jądra szukać należy.

W tej to epoce, rzecby można, nie istniała mowa, tylko śpiew wieszczej gęśli. Słowo zdało się być za potoczne i za słabe do wyrażenia siły i napięcia duszy. A że to napięcie było powszechne i stałe, więc też i słowo potoczne wyszło z obiegu i rachunku, a weszła tylko poezya. Śpiewali pieśni nie sami poeci, ale też i działacze społeczni i wychowawcy i sami politycy. To też poeci układali plany kampanii, poeci obliczali konstelacye polityczne, poeci, których wodzem była wyobraźnia, a symbolem pieśń i nuta niebiańska, budowali królestwo doczesne narodu.

I rwała tę pieśń nadzieja aż do bierności czynu: uczuciem naród przepełniała, a zabijała wolę; nastrój mistyczny nią władnął aż do zerwania poczucia z chwilą.

Ale była jednak w tej pieśni jedna wielka realna prawda i siła: Chrystus Jezus.

Słyszałem opowiadającego syna Mickiewicza o swym ojcu, iż ten nieraz biadał na to, że chrystyanizm wprawdzie wszedł w sumienie jednostek, a nawet rodzin, jednak nie władnie jeszcze dzisiaj ustrojem społeczeństw i nie jest normą polityki jednego względem innego.

Powiedzenie to jest kluczem do serc wieszczych Mickiewicza, Krasińskiego, a nawet po części Słowackiego.

Pragnęli oni wcielić Chrystusa Jezusa i inkrustować w piersi swego narodu; a potem radziby Go, przepełniającego duchowo Polskę, obnosić przez jej pośrednictwo między wszystkie narody.

Jeżeli tedy poezya messyańska stała się duszą narodu, to

znowu świat nadprzyrodzony, którego żywiołem jest Chrystus, duszą był natchnionej pieśni. Rzecby można, że pieśń natchniona o tyle tylko dotykała ziemi, o ile było tego potrzeba do rozwinięcia skrzydeł w lot ku niebu.

Poezya, uosabiająca Chrystusa Jezusa, była zaś tak potężną, a naród uderzony boleścią bezgraniczną i rozpaczą, jak kołysany nadzieją bezgraniczną, tyle w poezyi tej pomieszał swego życia, tyle pochował w niej »swych uczuć przędzy i swych myśli kwiatów«, iż pieśń, rzucona na gęśli wieszcza, przeniknęła już nietylko właściwą sobie sferę, bo serce narodu, lecz nadto uformowała jego głowę. Z poezyi messyańskiej wykwitają, niby kłosy z ziarna, ówczesne systemy polityczne i socyalne, poezya też ta snuje przewodnią politykę narodową.

Messyańskie zaś pojęcia tak się rozpowszechniają, iż udzielają się w rozczynie tym nawet, którzy przeciwko samej doktrynie występowali. Ale nie już w samej zdrowej krynicy poetycznego natchnienia, lecz chociażby w obłędzie nawet nauki, znanej dobrze pod nazwą Towianizmu, musimy widzieć w tym ostatnim, acz nie zdrową, jednak głęboko odczutą potrzebę życia nadprzyrodzonego.

Bo i gdzież szukać psychicznego podkładu dla doktryny towiańskiej, jeśli nie w tem, iż wieszcze, ci przewodnicy duchowi, zbyt głęboko wniknęli w ów świat nadprzyrodzony, by mogli chadzać po nizinach życia, a znów nazbyt mało byli obznajomieni z prawdziwemi drogami tego świata, by, chadzając po nim, zdołali się ustrzedz błędu.

A jednak te drogi ducha, choć obłędne, jakie jednak wyższe od odradzającego się idealizmu czasów naszych. Gdy buddyzm, neochrystyanizm dzisiejszy wspiera się na egoiźmie, a z Boga skorupę bez ziarna ostawia, messyanizm ma za korzeń wyrzeczenie, a za kierunek pragnienie gorące najsilniejszego zespolenia się duszy z Bogiem żywym, w niej działającym.

* * *

W drugim okresie życia narodowego pieśń i natchnienie ustępuje miejsca szarej codziennej prozie, jaka zda się być szatą

pracy narodowej w obecnej chwili. Okres dzisiejszy jest nietylko różny, ale w niejednym względzie sprzeczny z poprzednim.

Naprzeciw Messyaństwa, które odwracało się od trudnych warunków życia narodu, a szukało polotu dla siebie w konstelacyach dla Polski w stosunku do Europy, staje program pracy narodowej, która po złudzeniach przeżytych każe przedewszystkiem wspierać się na sobie.

Naprzeciw nienawiści uczuciowej, bujającej jednak w przestworach i połączonej dlatego z pewną niedbałością w bilans zdawkowy, polityczny czy socyalny, staje program pracy, w którym uczucie ustąpiło miejsca wyrachowanemu rozsądkowi, który oblicza na sucho, co w danych warunkach uzyskać a czego bronić należy.

Naprzeciw kierunku, którego siła tkwi w wielkich porywach, ale dlatego samego rzadszych, a niekarnych, staje prąd, co woła o chleb codzienny powszedni i pracą też codzienną powszednią zdobywać go musi.

To wszystko, coby przedłużało żywot peryodu pierwszego, szkodziłoby tu i tam okresowi drugiemu. Pierwszy był pełnym życzeń tej duszy melodyjnej narodu, która ziemski ton tłumaczy na arye i melodye, drugi potrzebował tej strony duszy, duszy geometrycznej, dla której luźna gra uczucia była przeszkodą trzeźwości, wylew zaś porywu zagradzał drogę czynom, które po wyczerpaniu się serca w słowie i haśle, już miejsca dla siebie nie miały.

Z narodem jest jak z człowiekiem. Jeżeli ktoś, będąc poetą czy mówcą, i długo służąc i wyłącznie powołaniu głoszenia słowa, potem naraz musi zmienić swe zajęcie, i zejść z wyżyn idealnych do jakiegoś dzieła realnego, — wówczas nieraz przychwyci się na tem, że to samo, co wolno mu było w epoce kaznodziejskiej, poetyckiej czy oratorskiej, wprost szkodliwem się stać może w zawodzie nowym realnym.

W epoce jego poetyckiej otwieranie swych uczuć i ścielenie ich przed świat cały było nietylko potrzebą jego serca, ale nadto potrzebą i wyrazem posłannictwa.

Tymczasem przy zawodzie praktycznym wynurzanie się

zbytne, jak łatwo zostanie przez równych ludzi wyzyskane, jak łatwo broń z tego przeciw niemu samemu ukują.

Podkład zaś sam żywych uczuć, który był do niedawna żywiołem jego posłannictwa w zetknięciu się z suchem życiem, jakże często popchnąć go może do zmrożenia się i zniechęcenia, lub też osłabić w działaniu.

Nawyczka zaś do mierzenia swych zadań bujną i bogatą wyobraźnią, która jest szatą promiennego ideału, jakże go sparzyć może w obrachunkach życiowych i horoskopach budowanych na przyszłość, w których, jeśli przed czem, to przed przewagą wyobraźni bronić się należy.

Stajemy teraz przed wielkiem pytaniem: czy mistycyzm także i życie nadprzyrodzone w narodzie stało się może czynnikiem jeśli nie zbytecznym, to nie tak ściśle koniecznym w epoce realnej jak nasza?

Czy nie wolno mówić tak do narodu jak to się dzisiaj często w świecie mówi do kapłanów: »Jesteś kapłanem przy ołtarzu tylko — a po za tą chwilą bądź dla świata?« Czy nie może sobie powiedzieć dziś wytrzeźwiony i realny naród: »Przy ołtarzu, przy nabożeństwie, przy manifestacyi religijnej wspólnej stanę przy Bogu — ale ażebym miał światem nadprzyrodzonym się krępować w moich życia kierunkach i drogach — to zbyteczne i niepotrzebne?«

Odpowiem na to:

W każdej epoce historycznej jest coś, co stanowi charakter przejściowy i co jak łuska odpada, gdy innym czasom miejsce uczynić należy, a jest znowu korzeń sam myśli przewodnich, które wyrastają z całego ustroju przeszłości. Mieszanina pierwiastku messyańskiego, który opanował polityczne nawet myśli, była wybujałością przejściową, ale samo gorące życie wiary, skupiające się u serca tej Matki, co »Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie«, w tej epoce pieśni nie było stworzone, ale tylko gotowe z przeszłości zaczerpnięte. Wiara ta wiązała się w przeszłości z ustrojem narodu, jak cement z murem nierozdzielnie. Wchodziła w jego ustrój cały, i zdawała się nawet

tam być niezbędną, gdzie kiedyindziej wystarczą przyrodzone czynniki.

Życie nadprzyrodzone, stając się formą życia przyrodzonego narodu, musi być koniecznością dla każdej epoki. Bez niego dusza narodu żyłaby życiem niekompletnem: zostałaby pozbawioną swej głównej arteryi.

Lecz dla całkiem jeszcze szczególnych, tej właśnie naszej epoce właściwych przyczyn, życie nadprzyrodzone jest jej nieodzownie potrzebne dla jej realnej i nawskróś życiowej strony.

* * *

Odwróćmy na chwilkę uwagę od naszego steru i naszej łodzi, a popatrzmy po za siebie na starą Europę i świat dzisiejszej kultury. To tak dobrze nieraz pouczyć się cudzym przykładem.

Gdy u nas strzelał wysoko ku niebu szczytny idealizm, który naród zawdzięczał zarówno swoim wieszczom jak swoim cierpieniom, wonczas świat cywilizowany przygotowywał podkład pod życie realne przez doktrynę materyalizmu i pozytywizmu.

Człowiek dzisiejszy chciał się ożenić z przyrodą i materyą i wejść z nią w związek tak ścisły, iż był zeń wykluczony ktoś trzeci, choćby tym miał być Bóg i świat nadprzyrodzony; upojony hasłami problemów socyalnych, politycznych, ekonomicznych, rolniczych, w których widział tylko rozprzestrzenienie własnej siły, uważał w swem złudzeniu za zbędne to wszystko, co go od tego świata realnego odrywało, a zwracało w świat duchowy i w warsztat pracy wewnętrznej. I zdawało się temu człowiekowi, że ta olbrzymia maszyna, która znojną a gorączkową pracą przetapiała i przerabiała w sobie problemy postępu i zewnętrznej cywilizacyi zdoła mu zastąpić duszę. Tymczasem pokazało się, iż epoka realna ma jednak swoje niebezpieczeństwa i bardzo poważne dla ducha ludzkiego, i to już z czysto filozoficznego, chociażby nie samego religijnego punktu patrzenia. Ucisk duszy przez materye wywoływać począł protesty i reakcyę, a przeróżni koryfeusze myśli ludzkiej i obrońce duszy poczęli bić na alarm.

I cóż nam oni powiedzą? Francuski filozof Brunetière jest

tylko wyrazem wewnętrznych prądów przebiegających przez duszę dzisiejszego świata, kiedy podniesie światłe hasło: *Vers l'idealisme.*

Ale nawet ciężka filozofia niemiecka przemówi przez usta jednego ze swych koryfeuszów, Euckena, który zatrwożony o królestwo ideału zagrożone dzisiejszem zapracowanem życiem, wezwie świat do walki i do zapasów — o duszę.

Hasłem jego, słowo: *Der Kampf um einen geistigen Lebensinhalt.*

Jeżeli Brunetière jest przedstawicielem tych aspiracyi dzisiejszej duszy, które tkwią w jej uczuciu i w jej pragnieniach i wylewają się z przesytu i przeciążenia bryłą materyi, jeżeli hasło jego jest hasłem syntezy, to filozof niemiecki pójdzie za geniuszem swojego narodu, rozbierze skrupulatnie wszystkie składowe części dzisiejszego skomplikowanego życia i jego maszyneryi, i z nieubłaganą ścisłością i systematycznością raz po raz będzie wołał: »dzisiejsza maszyna zagraża nam, bo w maszynę przemieni naszą myśl, uczucie i wolę«.

Ale jeszcze przed temi świeżemi hasłami znacznie wcześniej padły podobne słowa z ust myśliciela i syna tej części świata, która tak długo naprzód wyprzedziła innych w znajomości i postępie zużytkowania i przystosowywania do praktycznego życia wszystkiego, co wiedza i problemy dzisiejsze ze sobą niosą.

Emerson, filozof amerykański, pół wieku naprzód wypowiedział słowa, które tu choćby z tego względu przytoczę, iż je cytuje Mickiewicz w swoich wykładach na uniwersytecie paryskim.

»Przyznajemy — mówi on — że życie, do jakiegośmy teraz przyszli, jest pospolite i nizkie, że pewne obowiązki, którym powinnibyśmy czynić zadość, pewne powołania stanowiące główny cel bytu człowieka, stały się tak niezwyczajnemi u nas, iż zaledwie pamięć o nich przechowuje się w starych księgach i zamierzchłych podaniach, że nikt z nas nie jest prorokiem, poetą, pięknym i doskonałym mężem, a nawet żeśmy tak obdarzonych ludzi nie widzieli, że pewne źródła prawdziwie człowieczeńskiej mądrości, zaniedbane i zawalone, w końcu z imieniem swojem zaginęły między nami, że społeczność, w pośród której żyjemy,

zaledwieby dała mówić sobie o tem, że każdy człowiek powinien duszę swoją czynić przystępną objawieniom Boskiego światła i powszednią drogę codziennego życia podnosić wyżej przez zetknięcie się z krainą ducha. A gdy to wszystko jest prawdą, którą wyznać musimy, któż ze słuchaczy moich, któż z ludzi poczciwych i myślących zaprzeczyć może, że jest obowiązkiem naszym tak urządzić nasz żywot i bieg jego ku temu skierować, abyśmy zdołali wejść w bliższe stosunki ze światem duchowym i wysłużyć sobie dotykalniejsze wskazówki z góry«.

Zbierzmyż wszystkie te wypowiadania się i spowiedzi publiczne duszy dzisiejszej, a przekonamy się, że niczem innem one nie są, jak tylko odwiecznem stwierdzeniem maksymy ewangelicznej, iż »nie samym chlebem żyje człowiek«. Zarówno dusze, jak narody, jak pokolenia, jak epoki dziejowe muszą wejść w prąd tej tak prostej, tak krótkiej, a jednak tak nigdy nie wyczerpanej dewizy.

Takie to nauki odbieramy od obcych: my nowicyusze uczmy się od weteranów, my ubodzy i odarci słuchajmyż tych nauczycieli, którzy takie prawdy głoszą, mimo, iż ich kierunek pracy realnej, w którym się tworzą, mieści w wnętrzu swem te zasoby, na których nam zbywa, boć mają oni i byt państwowy, boć posiadają wyrobione uzdolnienie praktyczne, boć nieraz są mniej wrażliwi, mniej odczuwający, a więcej zahartowani niźli my.

Oni mimo to wszystko jednak się lękają niebezpieczeństwa porażki wśród pozornego zwycięstwa natury, oni już mówią: »iż cały rozwój techniczny kultury niezdoła jednak życia wypełnić: iż pośród tego mechanizmu dzisiejszej pracy, która wypycha duszę na zewnątrz, pozostaje zawsze wrodzony ruch duchowy ku wnętrzu; niezaspokojony, a nieraz przez pierwszy uciśniony. Co też ma człowiek dzisiejszy wyczerpujący się z pracy, z całej tej siły i całej tej potęgi dla swej duchowej strony i dla siebie? jeśli zaś kto powie, iż należy mieć wrażliwość na granice przyrody i z nią związane życie, to i ten przyznać musi, iż z drugiej strony nie wolno zapomnieć, że po za nią posiadamy jeszcze życie, które nam obok niej albo naprzeciw niej rozwijać należy i potrzeba. Jeśli zaś przyroda i mechanizm nasze duchowe życie na uwięzi

trzymać będą, wówczas zginęliśmy i przepadli, a jeśli mechanizm dzisiejszej pracy wniknie w nasze usposobienie i wtargnie w sferę naszych ideałów i wysuszy je i zabierze, to wonczas tryumf mechanizmu będzie sygnałem porażki najstraszniejszej dla ducha, jak to odwieczna mówi prawda: »litera zabija, duch jest, który ożywia«.

Lecz i my coś mówić możem o naszem doświadczeniu. Wszakże i myśmy mieli u siebie produkt obcy, który próbował przeszczepić się na nasz grunt, a był tylko sztuczną kombinacyą zdrowych problemów ekonomicznych wraz z negacyą ideałów duchowych i życia nadprzyrodzonego.

Znamy dobrze jego nazwę: to pozytywizm. Choć wchodził w społeczeństwo nasze nęcącemi hasłami potrzebnej nam pracy ekonomicznej, to jednak został odtrącony przez ducha narodu, który nie mógł znieść i ścierpieć na sobie tego wyjałowienia duszy, jaki zrządzał pozytywizm swym duszącym i suchym powiewem.

Od nauk ekonomicznych i życiowych przejdźmy do poezyi. Ta poezya, odcięta dziś od nadprzyrodzonego życia, a niezdolna się nasycić realnemi hasłami, wydobywa w sobie cudne kaskady stylu i języka, które jednak podobne są bogatej szacie narzuconej nieraz na szkielety. Albo poezya ta śni i marzy miasto żyć i myśleć, i przesuwa przed oczy same fantasmagorye w miejsce żywotnych ideałów, albo też wśród żywszych i żywotniejszych przebłysków ozwie się zgrzytem zwątpienia i naraz społeczeństwu, pytającemu o program, w miejsce jego wiecheć słomiany postawi, wołając: oto twe bożyszcze.

Biada nam, gdybyśmy się stawali trzeźwiejszymi, zimniejszymi, wyrachowańszymi, lecz równocześnie duchowo uboższymi i nędzniejszymi; biada nam, mówię, bo na dnie tych haseł, zwiastujących odrodzenie ekonomiczne i socyalne i polityczne, drzymać będzie zamaskowane zwątpienie.

Biada nam, bo w pogoni za chlebem i problemami realnego życia gotowiśmy zatracić to, co ważniejsze jest, — duszę.

I to życie nowe, tej drugiej epoki, źle skierowane, będzie tylko uciskać lub wypędzać duszę.

Życie zewnętrzne spowoduje posuchę i wyczerpanie duszy wewnętrznej. Dusza, wycieńczona bez rosy ożywczej nadprzyrodzonego ideału, bez wyrobienia wnętrznego, będzie uciekać od pracy zewnętrznej w świat niezdrowej fantasmagoryi, w ułudę marzeń albo w niewolę rozpętanych zmysłów. Ideałem zewnętrznym zubożałego ducha albo się stanie spoczynek apatyi, lub też samolubne karyerowiczostwo. I wszędzie duszy zabraknie. Życie narodowe usunie duszę przez maksymę samolubną, zapożyczoną z Europy: iż w stosunkach nad narodami nie ma słuszności i krzywdy, ale tylko jest siła i słabość.

Życie polityczne wypędzi tę duszę, stając się frymarką osobistych albo partyjnych korzyści, życie socyalne znów usunie duszę, zacierając linie pomiędzy partyami ładu i porządku społecznego a partyami wywrotu: rządzący będą się dopatrywać nie siły moralnej, ale siły zewnętrznej i organizacyjnej i choćby ta ostatnia rozbrat wzięła ze sprawiedliwością i prawdą, użyją jej za narzędzie.

* * *

Nie występuję bynajmniej przeciwko samemu kierunkowi realnemu, owszem uznaję konieczność jego rozwoju.

Jeśli już w epoce mistycyzmu narodowego brak czynów był jej winą, z której nie wymówiły jej nawet spętane ręce: to tem bardziej w epoce działania czynów potrzeba, i to czynów realnych, jak chwila jest realną; więc ruch przemysłowy, więc kierunek socyalny, więc polityka narodu, więc ruch agrarny, te i inne formy haseł realnych domagają się wciąż, i to w wielkiej sile, i środków i energii i inicyatywy czynów. Tylko niechaj w tej walce o rzeczywistość, nie przepada dusza i jej wyrobienie. W epoce messyańskiej dusze się podnosiły, nawet te, które od samego chrystyanizmu były dalekie. W epoce zgiełkliwej, naszej, nawet dusze wyznające Chrystusa, przybierając zapożyczone formy i taktykę, obniżają się.

Trzymajmy się wiernie szlaków historycznych. Historya Polski zawsze podwójnym szła torem: zewnętrznym, którym szły dzieje nazwane, spisywane na pamięci, na kamieniu ryte: i wewnę-

trznym, którym postępowały czyny bezimienne. Z tysiąca przeszło miejsc cudownych Matki Boskiej, twierdz, biorących w nie cały naród, biły wciąż a wciąż w pielgrzymów — uderzenia fali życia nadprzyrodzonego, która przeistaczała myśli, budziła serca, i te poddawała potem pod światło zewnętrznej historyi.

Dziś żyjemy co prawda w innej epoce. Lecz pytam — ta dzisiejsza praca realna nie mająca czasu na wielkie i szerokie myśli przewodnie, w jakiż inny sposób duszę przy ideale przytrzyma, jeżeli nie przy pomocy ciągłego, przez życie nadprzyrodzone płynącego a żywego i konkretnego ideału, którym jest Jezus Chrystus?

* * *

Lecz nietylko dla obrony duszy przed realizmem, ale nawet dla zdrowego życia praktycznego, potrzeba nam niezbędnie nadprzyrodzonego czynnika.

»Szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana« są słowa Ewangelii w szczególniejszem przystosowaniu do dzisiejszej gorączkowo czynnej epoki. Wpadła mi w ręce książka, która, w formie napół humorystycznej na pół gawędziarskiej, wypowiada wiele trafnych myśli. Amerykański król dolarów, których się dorobił na wielkim handlu trzodą, podaje w listach różne wskazówki swojemu synowi, uzbierane długoletniem doświadczeniem.

Między innemi opowiada o synu bogatego Amerykanina, który po bankructwie nagłem ojca tuż po ukończeniu wysokich studyów wyrzucony na bruk, puka do króla dolarów o miejsce; myślałby kto, że domaga się posady odpowiednej jego uniwersyteckiemu wykształceniu.

Ale gdzież tam: zadowoli się posadą najniższą, a że nasz kupiec nie wielkie ma zaufanie do ludzi uczonych, więc też i da mu posterunek umyślnie taki, by go tylko odstraszyć i zniechęcić.

Oto ma być on jednym z pomocników przy wyładowywaniu trzody do wagonów. Nasz Amerykanin krótkim *All right* bez namysłu miejsce ofiarowane bierze i zaraz na wstępie wynajduje

dźwignię pomocniczą, która mu jego pracę ręczną ułatwia. Nasz kupiec rad nie rad musi go dla tego wynalazku posunąć wyżej i wyawansowuje młodego człowieka na agenta zbożowego. Lecz i tutaj taką przejrzy odrazu starą i zacofaną metodę reklamy, tak potrafi przekonać ociężałego ale praktycznego milionera o dobroci swojego systemu, że ten nagina się do jego rad i znowu rzecz naturalna, posuwa go wyżej.

Tak to talent i myśl, idąc w parze z wielkiem wyrzeczeniem i wytrwałością, jak i z rozumieniem ważności rzeczy małych, wybić się umiały wszędzie, i choć zwolna ale systematycznie zwyciężając trudności zewnętrzne i wewnętrzne, w końcu palmę odniosły zwycięską nad życiem realnem.

My, którzy w stosunku do innych narodów w hasłach życiowych, społecznych, politycznych dopiero początkujemy i gdy tamci mniej lub więcej bitymi idą gościńcami, nam zostają do dyspozycyi twarde, nieużyte, prawdziwie polskie drogi; my w tej sylwetce prawdziwej czy zmyślonej dopatrzymy łatwo metody, jaka nas jedynie doprowadzi do realizowania programów narodowych, socyalnych, politycznych, ekonomicznych i innych.

Nie gardzić drobiazgami, nie lekceważyć małych kółek dlatego, iż są niepokaźne, nie tyle myśleć jaki będzie mój posterunek, więcej zaś przemyślać o tem, co ja weń włożę, program swój rozwijać od małych początków, ale przeprowadzać go konsekwentnie, budować wpierw suteryny zanim się postawi piątro — oto mniej więcej metoda, która prowadzi do celu.

I każdy prawie z nas znał kogoś w życiu, któremu się jakieś dzieło udało, ale właśnie dlatego udało, iż mu nie brak było powyższych znamion.

Ot, niedawno byłem na otwarciu takiego udałego dzieła filantropijnego. Mieściło się w wspaniałym gmachu; zgromadziło się we wnętrzu osób wiele; nie była to jednak ciekawa rzesza gawiedzi, ale elita tych osób, których założyciel i twórca dzieła umiał dla owej idei pozyskać. Ba! ale jakież to były tego dzieła początki? Oto jeden człowiek ze śmiałą myślą i kochającem sercem, bez wielkich zasobów, można rzec, bez żadnych nawet ludzi, wydobywa z swej duszy posiew żywotny i zaczyna. Zaczyna

od początków najmniejszych i najskromniejszych, ale przez 25 lat wydeptuje tę jedną, jedyniuteńką drożynę. Powoli gromadzi koło siebie ludzi, powoli znajdują się i pieniądze i w końcu duch zwycięża zapory materyi i święci swój tryumf.

Inny znowu przykład tu podam z dziejów wychowania. Kapłan ubogi gromadzi przed laty około siebie biedne i opuszczone dzieci. Gorące jego serce umie dla swej sprawy pozyskać człowieka ofiarnego, który, choć majętny ale samotny w życiu, zapłonął dla myśli, zdolnej jego biedną duszę wypełnić.

Tych to dwóch ludzi zabiera się do założenia zakładu wychowawczego. Po śmierci ofiarodawcy ów kapłan poświęca swe siły Zakładowi, ale z takiem zaparciem i oddaniem siebie, że przez lat 50 nie znał innej drogi, jak tylko tę, która się wiła pomiędzy jego mieszkaniem a instytutem. Można się było może nie zgadzać w tem i owem z jego systemem wychowawczym, ale każdy musiał się ukorzyć przed wielkiem sercem i przed mrówczą wytrwałością, która dla instytucyi trwałe postawiła fundamenta. Zdwoił i potroił pierwotny kapitał i wprowadził w społeczeństwo zastęp prawych i wybitnych ludzi. A to wszystko uczynił jedyniusieńki literalnie bez żadnej obcej pomocy; do 80 roku życia załatwiając bez pomocnika wszystkie agendy administracyjne, jak i prowadząc cały kierunek wychowawczy i pedagogiczny.

Albo znowu inny przykład.

Drobny bardzo, powszedni, ale dałby Bóg, żeby był przykładem jednym z wielu. Oto na małym skrawku dzierżawionej ziemi gospodarzy obywatel; uczciwy, sprawiedliwy, ojcowski dla ludu, surowy dla siebie, poprzestający na najmniejszem, chwyta tę twardą jałową skibę oburącz i ugniata ją formalnie i użyźnia swym znojem i potem.

Po 25 latach ten człowiek, zacząwszy z niczego, gospodarzy już na własnym i to znacznym pasie ziemi. A choć usłużny, ba! nawet ofiarny dla swoich sąsiadów, choć nie szczędzi na wychowanie dzieci, drobiazgową prawie i wytrwałą pracą, obok ziemi zdobywa i kapitalik. Jakże mu czule ściskali twardą dłoń sąsiedzi składając życzenia z okazyi uroczystości rodzinnej. Czuli bo-

wiem i poznali się na tem, iż z ciemnej i chropowatej skiby dobyć umiał kwarzec złoty, i gdy się obok niego waliły większe majętności i tyle zamożniejsze, on utrzymał i przetrzymał posterunek ziemi a zarazem przytułek obywatelskiego i narodowego ducha i tradycyi. A przecież słotne dnie biły tak samo w innych jak i w niego. Lata posuchy i ciężkie suszyły zarówno jego rolę jak i sąsiadów, dlaczegoż inni pokruszeli a on się ostał? Rozwiązania tej zagadki szukać można tylko w jednem — w idei uczepionej o maluchne kółeczko machiny społecznej, ale konsekwentnie, ale wytrwale, ale z drobiazgową ścisłością przełożonej na codzienne, szare życie.

Znowu inny przykład już z szerszego warsztatu. Przebywając w Lublanie, zachwycony byłem znakomitą organizacyą socyalną, dzięki której w przeciągu kilkunastu lat oczyszczono kraj z partyi wywrotowych a zapewniono na długo żywotność i rozwój wszystkim zdrowym kierunkom.

Kiedy pytałem o początki tej organizacyi, odpowiedziano mi, że były dziwnie skromne i nieznaczne. Zaczęły się one od lichej i starej drukarskiej maszyny, zapisanej w testamencie pewnemu towarzystwu.

Kilku ludzi, ożywionych jednym planem długo naprzód przemyślanym, zamieniło go w czyn, który na ziemi skalistej, zdawałoby się, nigdy już dla posiewu zdrowego niedostępnej, wskrzesił ziarno, co takie bogate wydało owoce.

Znowu podglądając tutaj kurtynę, przesłaniającą sceneryę wewnętrzną, dostrzegłem rezultat olbrzymi, jaki zawdzięczał ten kraj szczęśliwy wysiłkom na oko bardzo drobnym, ale bardzo konsekwentnym, bardzo wytrwałym, idącym z jednej realnej idei w nieprzerwanym tępie przez lata całe, bez pominięcia choćby najpowszedniejszej okazyi, by snuć dalej i osnuć przędzę delikatnych, pajęczych prawdziwie nici organizacyjnych, które lekceważone przez wrogów naraz mi się okazały jako ogniwa stalowego łańcucha, którego już przegryźć nie byli więcej w stanie.

Tych kilka pobieżnie szkicowanych sylwetek, które każdy własną obserwacyą uzupełnić i rozszerzyć potrafi, już wystarczy, by nam pokazać, iż tam, gdzie realne hasła są dopiero w pielu-

chach, podwójnie wiele zależy na człowieku, a więc podwójnie na duszy i jej wszechstronnem wyrobieniu.

W postępie tedy i rozwoju samych już haseł technicznych i realnych nie rozstrzyga szali zwycięstwa sama scenerya bogata, sam materyał pieniężny, sama płodność planów, ale raczej jedna myśl, uczepiona o jedno gorące i kochające serce, słowem jednem, szale w dzisiejszej epoce czynu utrzymuje w ręku dusza, która szuka najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego; która przy tem ze swego zasobu wewnętrznego wnosi do kółek zębatej machiny, obracającej się pod jej tchnieniem, takie na oko powszednie, a wzięte razem tak niepowszednie przymioty. Bo i jakież wymogi stawia taka praca ludzkiej duszy! Domaga się wszakże od niej przytroczenia, ledwo nie niewolniczego, do obowiązku o obliczu suchem i zimnem, nad którem zawisło niebo płowe, ołowiane, nierozświecone ni przez sztuczne ognie bengalskie, ani nawet nieraz przez jasne, świetliste dnia promienie. Boć obowiązek taki masz spełniać przy małem a może przy żadnem uznaniu; a może...? na przekór samej opinii. Jak gdyby to nie było dosyć walki z trudnościami życiowemi, jakie się kryją w samej sprawie; zwyciężyłeś je i myślisz, że to koniec, a to raczej początek. Masz jeszcze pokonać i nadto własną swoją apatyę, przeczulenie swej duszy, a potem staniesz do walki jeszcze trudniejszej, bo do walki z niezrozumieniem, czy złą wolą, czy biernością innych. Taka zaś praca, taka gonitwa w zapasach, taki ciężar, nałożony twojej myśli i twojej miłości trwa nie dzień jeden czy drugi, ale może nieubłaganie i tygodnie i miesiące i lata. I idźże tu wciąż jak gdyby w ciemnym jakim tunelu, nieraz nie mając nawet ożywczej nadziei, czy się też jego przebicia doczekasz. Czyż więc nie widać tu odrazu jak czyny realne dzisiejsze zawieszają się o idealne strony ludzkiej duszy; jak, co więcej, domagają się od niej takich potężnych sprężyn i pobudek, takiej siły, wytrwałości, takiej mocy wewnętrznej, jakiej dusza z samej siebie i z swej organizacyi wydać nie jest w stanie. I sięgnąć dopiero musi po nie w świat wiary, wiążący życie zewnętrzne i przypadkowe ze światem nadprzyrody, sięgnąć dalej potrzebuje w świat taki, co

niesie moc duszy z jej spojenia ze swym Stwórcą — by tak opancerzona mogła wytrwać i dotrwać.

Zapewne nie każde dzieło aż takich wysiłków się domaga.

Ale tam, gdzie nowych posterunków potrzeba, bez takich ofiar często się dzieła nie udają.

Ten rodzaj wyrobienia duszy, jeśli sam w sobie jest trudny, to dla nas jest jeszcze trudniejszy.

Nasza wyobraźnia kocha się w wielkich łukowych światłach, które spływają szeroko na ulicę w tłum gęsty: ten zaś rodzaj pracy, o którejby rzec można, jak ongi o mowach Diogenesa, iż je czuć łojówką charakterów, wyobraźni narodowej jest przeciwnym.

Nasze miękkie i miałkie uczucie, zmienne przytem i kapryśne, nie łacno idzie w obręcz żelazną, skutą przez powinność, która z pedanteryą monotonną a uporczywą bierze w posługę swoją duszę.

Wola pod wpływem miękkości uczucia jest w nas więcej bierna, do produkcyi czynów nieskora: dla spokoju świętego a w gruncie dla wygody i lenistwa, gotowa nieraz raczej coś ze swego poświęcić, aniżeli praw swoich słusznych dochodzić.

Czyż więc obręb naszej duszy nieomal nie wyklucza tych przymiotów, jakich się epoka czynów dzisiaj od nas domaga? I zdaje się nam, że maszyneryę czynu ścisłą, powolną a głęboką zdołamy w naszej narodowej pracy przeskoczyć albo hasłami zastąpić.

Tymczasem to się zrobić nie da, a chcąc mieć czyny bez potu myśli i znoju rąk, upajamy się złudzeniami.

Myślimy przedewszystkiem o sceneryi zewnętrznej albo maszynie czynu, pod którą rozumiem czy to pieniądz zebrany, czy też ludzi zgromadzonych. I nam się zdaje, że dla czynu czy to ekonomicznego czy socyalnego wystarczy uczynić jeden wysiłek, by stworzyć techniczną stronę działalności — a potem można swobodnie już zasnąć, gdyż dzieło maszyna sama dorobi. Nam się zdaje, że gdy maszyneryę dopełnimy statutem nowego stowarzyszenia, jakimi udziałami spółki zarobkowej, jakimi ogłoszeniami dziennikarskiemi, nazwiskami, zdobytemi na-

prędce dla firmy samej — to już uczyniliśmy wszystko. I już w rachunku narodowego życia realnego figuruje, ale niestety tylko w wyobraźni naszej, pozycya gotowa i wykończona, najczęściej imponująca dużym zakrojem, a większą jeszcze nadzieją. Tymczasem dzieło tak szybko poczęte najczęściej równie szybko kruszeje, zostawując za sobą jedno nieudanie się więcej, a co jeszcze smutniejsze, jedno rozczarowanie więcej. My przeoczamy zbyt łatwo, że każdy ząb machiny czynu czy to socyalnej czy ekonomicznej, czy politycznej, czy przemysłowej, czy innej — że każde kółko tej machiny uczepia się i porusza pod wpływem sił psychicznych; tych jest cały legion, jedne się zwą pracowitością, inne karnością, inne ścisłością myśli i działania, inne wytrwałością, a wszystkie one razem płyną znowu z jednego źródła, które się zwie miłością. W bardzo realnym naszym bilansie porzuciliśmy duszę jako zbyt idealistyczny czynnik; tymczasem duch pogwałcony mści się psując koła maszyny czy to przez brak energii, czy przez apatyę i obojętność, czy zmienność swoją, czy wreszcie znikczemnienie.

W epoce messyańskiej przynajmniej wołano, jak wołał wieszcz poeta, pod wpływem przekonania, że po kwiatach uczuć owoc czynów ma nastąpić: »zginście pieśni, wstańcie czyny moje«.

I wołanie podobne świadczyło o duszy, co zna swoje braki. Ale u nas dziś słychać wszędy o pogrzebaniu zupełnem pieśni, a o królestwie wszechwładnem działań i czynów. Jeśli jednak czynom naszym bliżej się przypatrzę, jeśli ze skalpelem krytyka śledzę te przeróżne nasze organizacye miłosierdzia czy społeczne, czy kombinacye polityczne, czy stosunki międzynarodowe, jakżeż to nieraz pokusa mię bierze zawołać: »Widzę tylko pieśni w miejsce czynów«. Widzę przędzę poezyi, oplatającej wyobraźnię i uczucie w miejsce ścisłych kontur, zakreślonych trzeźwą przetrawioną myślą i męskich czynów z tej myśli zrodzonych. I jeżeli patrzę w przyszłość naszą, to właśnie tego jednego się lękam, obfitości programów przy ubóstwie treści; lękam się wyładowywania uczuć w słowach, ale tak zupełnego, że czyny już po wyczerpaniu zupełnem — a więc zapóźno — przychodzą; lękam się tej powodzi całej manifestacyi, które są wtedy tylko usprawiedliwione i dobre,

jeżeli są świętem po znojnej pracy. Lękam się — że praca narodowa, mająca hasła szczytne i realne, wyrodzi się i wypaczy i właśnie sama w niezdrowy idealizm popadnie, dla braku pogłębienia dusz.

* * *

Gdzie dla nas ratunek?

Tam, gdzie i dla całej dzisiejszej epoki — w Chrystusie Jezusie. Tylko, że dla nas noszenie w sobie Królestwa Bożego jest tem niezbędniejszym i rygorystyczniejszym warunkiem życia czynów, o ile mamy ustrój duchowy mniej wyrobiony i bardziej oddalony od wymagań realnej chwili.

W innych narodach życie przyrodzone społeczeństwa i cnoty z nim związane, jak obowiązkowość, jak prawość, jak ścisłość, już płyną ściśle z ustroju samego duchowego, albo przynajmniej przez długą tradycyę zostały nabyte i stały się drugą naturą.

U nas, gdzie i tradycyi i wrodzonego popędu w tym kierunku jest brak, musi w niejednem cnota czysto przyrodzona być dopiero wyrabianą przez cnoty nadprzyrodzone, lub pobudki nadprzyrodzone, obawą grzechu, albo miłością Bożą.

Jeżeli jednak ci pierwsi, mimo swej techniki, mimo tradycyi, mimo osobnych zdolności wyrobionych, mimo hartu życiowego nabytego, jeszcze do czynów potrzebują Bożej miłości, która dopiero zimny, twardy obowiązek przez miłość przepromieni, podniesie, użyźni, to cóż dopiero powiedzieć o nas.

Charakter narodu poczęty w pieśni, podniosły, ale i jak pieśń nierównomierny, a miękki a pieszczony. Myśl jego w miejsce liczby kładzie swą symfonię, a w miejsce obliczeń melodyę marzącą nieobliczalnego piękna, ten charakter ma dziś ukołysać twardą mowę życia — a na imię jej — czyn. Jakże inaczej zdoła taki naród z rzeczywistością i jej twardymi warunkami dać sobie radę, jeżeli nie w ten jeden jedyny sposób, iż wpierw jakąś wielką, przewodnią, nadprzyrodzoną myślą i nadprzyrodzoną miłością całą swą duszę obejmie. Ktoś powiedział, iż są myśli, które idą z głowy do serca, ale są także myśli, które naodwrót z serca idą do głowy, tożsamo powiedzieć można i przy-

stosować do czynów. Są jedni, u których zimny czyn dopiero rozgrzewa duszę; ale znowu są inni, u których w szczególniejszy sposób najpierw rozpłomienić się musi dusza, by się zdobyła na czyn. My do tej rasy ostatniej należymy.

Wprzód więc nam melodya niebiańska musi rozegrać się w duszy, jakby w wielkim organie, zanim wstąpimy na pole bitwy do zapasów z realną chwilą i jej postulatami.

A nie tylko natchnienia do czynu, lecz i do jasności idei, która za czynem się kryje, potrzeba narodowej duszy nadprzyrodzonego światła.

W obecnej naszej dobie, ile to razy patrząc w nasze stosunki, komplikujące się poważnie; patrząc w ich kontury, załamujące się w półmroku, nieraz gubiące się w ciemnościach, przypominać sobie mimowoli potrzeba słowa ewangelii, że tu »tylko jednego potrzeba«. Temu chaosowi potrzeba większego i głębszego rozbudzenia życia nadprzyrodzonego i wewnętrznego ducha, a w tem życiu dojrzałyby wyższe formy, wygładziłyby się w lot linie i wyokrągliły, a końce by się zeszły.

Życie zaś wewnętrzne, chrystusowe, dałoby na różnych polach naszego realnego i zbiorowego życia tych przewodników, o których powiedział Mickiewicz, iż »są podobni tym ludziom na statku, którzy mało się ruszają i chodzą, a za to wpatrują się w przestwór, ale oni właśnie pokierują statkiem«.

A więc i cóż nam da oryentacyę w tysiącznych kwestyach dzisiejszych, które na dnie haseł i czynów spoczywają? Co, pytam, da nam poznanie jasne przy naszej myśli męskiej, idącej za powszechnem uczuciem, skłonnem do uczuciowych czy oportunistycznych kompromisów, jeśli nie zasada chrześcijańska, jeśli więc nie ta myśl nadprzyrodzona, która nam będzie stróżem w rozstroju?

Dziś, gdy o wejście do salonu narodowego dobijają się żywioły wywrotowe, jak i ludzie o etyce niższej, co nam naciągnie silny mur graniczny, broniący i strzegący ideałów naszych, jeśli znowu nie ta sama chrześcijańska idea?

A w życiu narodowem, w tej zwłaszcza epoce, gdzie stawiamy wszędzie dłuższą obronę praw swoich, co nas obroni od

kierunku oportunistycznego, a nawet od zasady oportunistycznej? Czem usmiemy w prawowaniu się niechęci, zapamiętałości, namiętne i ślepe nienawiści, jeśli nie wyrobieniem wewnętrznem, płynącem ze życia nadprzyrodzonego?

A skąd zaczerpiemy siły i wytrwałości nam zbywających, jeśli nie ze życia nadprzyrodzonego, z łaski Chrystusowej, która spływa przez kanały Sakramentów? Co nam da wytrwałość i niezrażenie się przy naszem wrażliwem usposobieniu, pytającem za każdą chwilą »czy warto dla ludzi pracować«, jeśli nie myśl nadprzyrodzona, skierowująca wszystko do chwały Bożej?

A przy naszej próżności, przy naszej powierzchowności co nas zawróci w głąb rzeczy i sprawy, jeśli nie powiązanie tejże ze sprawą Bożą i ze służbą Bożą? Powiedział Mickiewicz, że »głównym dogmatem, na którym polega narodowa Polska w szczególności, a w ogólności narody słowiańskie, jest wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy«.

O tej myśli nietylko nie wolno zapomnieć w naszej epoce realnej, ale raczej za węgieł ją wziąć musimy wszelkiej budowy życiowej.

* * *

Rozumiem to dobrze, że w pracy nadprzyrodzonej nie należy zaniedbywać wyrobienia przyrodzonych cnót. I możnaby tutaj na tem miejscu wiele mówić o potrzebie i konieczności wyrabiania duszy przez wychowanie i wyszkolenie odpowiednio do czynu. Możnaby nawet na przykłady się powołać wpływu podobnego wychowania. Oto np. w każdym z 3 rządów zaborczych inaczej się formuje charakter Polski. W Poznańskiem pod pruskim rządem ugniata się duszę narodu we formę, która najwięcej jeszcze jest zbliżoną do tej potrzebnej nam miary.

Ćwiczenie, przykład, taktyka, przymus pracy wpływają i na urobienie pojęć i na wyszkolenie się duszy, która się wyzbywa złych nałeciałości, a znów nabywa brakujących jej przymiotów w stosunku do wymogów realnej chwili.

Jednak nie wziąłem sobie za zadanie dzisiaj o tej kwestyi osobno mówić, potrzebowałaby ona bowiem sama dla siebie wy-

kładu. Jednak przypuściwszy nawet, iż wyszkolenie zewnętrzne udaje się nam, to jeszcze wobec wszystkich trudności, tkwiących w nas, będzie ono w czemś nie domagać i w czemś, zbiorowo mówiąc, utykać.

Rasa poetów nie da się tak zupełnie przerobić i bez szwanku w rasę geometrów i architektów życiowych.

W poprzednim rozdziale tłómaczyłem potrzebę życia nadprzyrodzonego dla realizacyi życia przyrodzonego; teraz w przyczynku ogólnie naszkicuję potrzebę dopełnienia — przez żywioł życia wewnętrznego i dzieła z niego płynące, — naszych niedomagań w życiu realnem.

Praca programowa wychowawcza narodu, winna być ekonomiczną. Znając własną piętę achillesową, dopełnijmy niedobory, odkręcając ten kurek, który zamyka prąd idealistyczny, wychodzący z życia nadprzyrodzonego. Gdy niedobory przynosi jakie przedsiębiorstwo nie dosyć żywotne i nie dosyć się rentujące, wówczas w dobrem i dużem gospodarstwie pokrywają je ze źródeł innych, które w danej miejscowości, czy danym systemie gospodarczem okazały się płodnemi.

Wszakże tak było i w przeszłości.

Niedobory ustroju państwowego czy narodowego, niedomagania pojęć i zdolności realnych miały pokrycie, mówiąc językiem handlowym, w funduszu rezerwowym narodu — a tym były wielkie ideały, złożone w wierze katolickiej i życiu wiary.

W przeszłości zawsze tak było, iż życie nadprzyrodzone dopełniało braki przyrodzonego życia, a nawet zastępowało je nieraz i kluczem było do zrozumienia zacnego ustroju narodowego.

Jeżeli z jednej strony naród władzę królewską wśród pokłonów lekceważył, jeśli, jak mówiono za Rejem, »król« jest to niby matka pszczoła, która sama jedna nie pracuje i żądła niema; jeżeli przeto władza królewska staje się iluzoryczną prawie, jeśli żywioły rozprzężenia leżą w przywilejach rozmaitych stanów i w nieograniczonych wolnościach ich nadużywania; jeżeli ustawodawstwo karne podobne nieraz do dziurawego rzeszota, jeżeli nie brak takiego *Liberum Veto* i innych podobnych ustaw, to z drugiej strony, wszystkie te wybujałości były równoważone

tym potężnym żywiołem nadprzyrodzonym, który przywileje powściągał, do ogólnych kierował je celów i z ducha swobód ducha ładu i żywotności wyprowadzał, i dopiero kiedy te uczucia zaczęły wątleć, Rzeczpospolita zwątlała istotnie.

Dziś co prawda mamy inne niedobory, bo i chwila i jej wymogi są inne.

W szczególności są niemałe w stosunku do organizacyi czynów i działalności.

Dusza nasza w zetknięciu się z tyloma hasłami realnemi, uprzemysłowienie, uspołecznienie etc. etc., objawia mniej wrażliwości naturalnej, zmysłu objęcia całości, niż chwila obecna się domaga.

A jeśli do tego dodamy to, cobym nazwał obciążeniem dziedzicznem, jakiem jest niedocenienie pracy i znaczenie czasu, lekceważenie handlu, nieścisłość i nieakuratność, a przytem wszystkiem brak zmysłu socyalnego jak i prawnego — to zrozumiemy łatwo, jaki duży niedobór nam pozostanie nawet po wyszkoleniu się w maszyneryi czynu.

Pokryjmyż je z tych samych zasobów, które nigdy nie zawiodły w przeszłości.

Aplikacya inna, ale struktura duszy narodowej w swoim rdzeniu zostaje ta sama.

I skoro pod wpływem wiary i Chrystusowej miłości nagromadzą się w duszy narodowej i poglądy i zasoby moralnej energii, przeleją się w czyny poświęcenia, to choćby nawet przez naszą nieścisłość, czy nierównomierność, czy brak prawnego zmysłu, jedno czy drugie oczko kanwy pracy społecznej wymknęło się z pod ręki naszej, braki te jednak i szare strony zostaną zrównoważone i dopełnione przez blaski i ognie, idące z własnej żyły narodowego talentu i skłonności — z życia nadprzyrodzonego i spowitego z niem idealizmu.

W ten sposób epoka czynów zostanie dopełnioną, sama zaś nie odbierze narodowi przewodniego znaczenia jego duchowego charakteru.

Jedne bowiem narody są w dziejach ludzkości powołane do

przedstawienia na sobie karności prawa, inne do przedstawienia na sobie miłości i poświęcenia.

Te ostatnie muszą sobą pozostać i wierne swojej misyi nawet wówczas, gdy się zabiegają o cnoty pierwszych. Inaczej tamtych nie ściągną, a siebie i swoje *ja* zagubią.

Mówimy dziś tyle o potrzebie nowego typu w narodzie, a mianowicie typu realnego, który akuratnością, sumiennością, wytrwałością, przedsiębiorczością i inicyatywą, wreszcie szerokością pojęć winien zastąpić ten typ, któremu często idealizm, szerokość serca były tylko zamaskowaniem lenistwa, a gotowość do ustępstw wypływem obojętności czy apatyi, pokojowe zaś usposobienie wyrazem braku potężnych namiętności.

Zgoda na to; już dawno Pismo św. powiedziało o narodach: *gentes mutabunt fortitudinem suam*, życie narodu przesuwa w różnych epokach siłę swego ciśnienia duchowego; jak w szybach wiertniczych, których raz siła eksploatacyi słabnie i domaga się wiercenia w innych nowych miejscach.

Ale droga do przemienienia siły narodowej, do wydzielania jej z jak najlepszą ekonomią, droga taka prowadzić musi przez te kanały duchowe i przez te pokłady wewnętrzne, które się okazały i są żywotnemi i miarodajnemi. Z nich to będą się opędzać niedobory i przez nie przepłynie główna arterya siły moralnej, z jakiej już potem pracą osobną indywidualną dorobią się przewody do przeróżnych gałęzi dzisiejszego realnego życia.

Życie nadprzyrodzone i życie z wiary i praca wewnętrzna z niem się kojarząca, oto są rezerwoary tej duchowej mocy, co ma być kołem rozpędowem dla skomplikowanej, drobiazgowej, różnolitej maszyneryi dzisiejszego narodowego i politycznego ustroju, dzisiejszych ekonomicznych i socyalnych postulatów.

Ledwośmy więc tylko odeszli od epoki messyańskiej, ledwo się nam zdało, iż wznieśliśmy się wysoko ponad nią, aż oto ona przytrzymuje nas na nowo. Oderwaliśmy się od jej złudzeń, lecz poza niemi kryją wieszcze natchnieni duszę i ideały duchowe pod skrzydłami Chrystusa. My wycieńczeni, zziajani, zziębnięci chciejmy przekąpać w tej krynicy nasze dusze; wielkie kontury myśli Mickiewicza, które snuł po ustaniu śpiewania i skruszeniu

gęśli, myśli o potrzebie pracy wewnętrznej, o jej znaczeniu dla życia rodzinnego i społecznego, weźmy za program wychowania naszej młodzieży i całego naszego społeczeństwa.

Idźmyż a raczej spieszmy, pogońmy, ku ideałom, które spływają z życia wiary i światła nadprzyrody.

Ku Chrystusowi...

* * *

Voltaire, otrzymawszy w darze serwis od Fryderyka w służalczym i pochlebnym tonie, pisze podziękowanie, gratulując zarazem podziału Polski: »bodajto módz posyłać piękne porcelanowe serwisy, a równocześnie jak ty, o królu, rozpraszać konfederacye i senaty w ciągu dwu dni, a nadrwić się przytem do syta z konfederatów i z ich Matki Boskiej Częstochowskiej, a w końcu jednem pociągnięciem pióra rozpłatać całe prowincye, bo powiadają, o królu, iż podział Polski, to tylko twój pomysł; a ja tej opowieści wierzę, bo pomysł podobny może stworzyć tylko geniusz«.

Fryderyk nie usuwa komplementu od siebie, przyjmuje go jednak z pewnego rodzaju wahaniem i odpowiada na ów liścik Voltaira słowy, które zdradzają zaambarasowanie, jakiś niepokój i potrzebę umycia rąk od plamy, jaka osiadła na karcie historyi.

A obok tego wszystkiego znać jakieś drżenie przed przyszłością, »drobinka atramentu przy pomocy pióra i ot wszystko się stało: i Europa będzie uspokojoną przynajmniej w jej ostatnich zaburzeniach.

Co się tyczy jednak przyszłości, to zato w niczem odpowiedzialnym być nie chcę i nie będę«.

Czuł instynktownie Fryderyk, że jest jeszcze jedna siła w życiu narodu, która po zdławieniu wszystkich, niezwyciężoną zostaje, niezwyciężona, a przytem nieobliczalna. W języku filozoficznym drwiącego króla ten czynnik nieobliczalny, to siła przyszłości; w języku chrześcijańskim przyszłością, panem przyszłości, Bóg. W Bogu, w Chrystusie jest źródło ideałów życia nadprzyrodzonego i życia z wiary, które zasila chwile dzisiejsze:

ale jest także w nim przyszłość i nadzieja. O tej jedno już tylko słówko.

Nadzieja łączy się i kojarzy z pracą wewnętrzną i zewnętrzną, i to stosownie do epoki, jaką ożywia.

Jeżeli nadzieje w epoce pierwszej porozbiorowej szły za wartko ku niebu, na zbyt lekceważąc ziemią, to teraz w tej drugiej epoce znów odwrotnie, zbyt się nachylają ku ziemi, na zbyt wiele oczekują od własnych sił, a na zbyt mało od Boga. Droga nadziei zdrowej idzie pośrodku. Ideał jej nie jest w nadziei hr. Henryka z »Nieboskiej Komedyi«, bo ta związana jest z rozpaczą tego, »co nic nie kocha, nic nie czci«, oprócz siebie i myśli swoich; nie jest także nadzieją epoki messyańskiej, bo zbyt oderwaną od życia, zbyt kipiącą i nazbyt złudną wyobraźnią mamiąca.

Wypadkową tych dwu kierunków jest ta nadzieja, jaką przedstawia postać Kordeckiego, który niczego nie przepomni, co do obrony twierdzy należy, ale zarazem tak w niebo patrzy, jakby stamtąd wszystko czerpał i wszystkiego się spodziewał.

Taka nadzieja potrafiła przedzierżgnąć konające już życie narodowe, w pełne i rozwinięte i zwycięskie; a potrafi to zawsze uczynić, ilekroć właśnie do tej drogi się zwrócimy i łącząc w sobie ducha idealnego z epoką realną, z epoką czynów, gdzie obowiązek, gdzie wytrwałość, gdzie przemyślenie jest jej kierunkiem, pójdziemy pod sztandarem Maryi, »co Jasnej broni Częstochowy«, aby zaśpiewać pieśń nadziei.

Arcybiskup Teodorowicz.

CZEŚĆ DLA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY

W POEZYI POLSKIEJ [1].

Niniejsza praca jest krótkiem streszczeniem rozprawy mojej która kilka dni temu ukazała się na półkach księgarskich, a ma tytuł: »Najświętsza Panna w poezyi polskiej«.

Pierwsze słowo poezyi polskiej jest zarazem pierwszem słowem czci w rodzimej mowie dla Najświętszej Panny w Polsce. Jest to fakt niezmiernie znamienny dla poezyi polskiej, jest to jakby wróżba, że poezya ta w przyszłości, w osobach najznakomitszych swych przedstawicieli, ma obrać Królowę Niebios za swoją patronkę, muzę i mistrzynię.

Tem pierwszem słowem jest pieśń »Bogarodzica«, która, jak kropla rosy w promieniach słońca, skupia już w sobie blask aureoli unoszącej się nad postacią Najświętszej Panny. Kolebkę tej pieśni otacza tajemnica dotychczas niewyjaśniona. To tylko pewna, że na horyzont dziejowy wypłynęła nagle, jako pieśń wojenna w pamiętnej bitwie pod Grunwaldem i że poprowadziła rycerstwo polskie do zwycięstwa, które wyniosło Polskę do wysokości pierwszorzędnej potęgi europejskiej. Od tej chwili stała się ona sławną i nabrała tak wielkiego znaczenia, że Jan Łaski, kanclerz państwa, wydając w r. 1506 Statut praw polskich, umieścił

[1] Praca ta była czytana na Kongresie Maryańskim i pojawi się w »Księdze Pamiątkowej« Kongresu. *Redakcya.*

ją na czele Statutu, nazwał ze wszystkich najpobożniejszą i jakby wyrocznią Królestwa Polskiego, a kierując się zapewne czechizmami i archaizmami, jakie w niej znajdował, więcej jeszcze myślą, że pieśń tak dostojna z niezwykle dostojnego źródła pochodzić musiała, przypisał jej utworzenie świętemu Wojciechowi.

Wogóle wiek XV w Polsce aż do pierwszych dziesiątków XVI wieku, jest wiekiem gorącej czci dla Najświętszej Panny. Swiadczy o tem oprócz Statutu obfitość pieśni pobożnych ku Niej zwróconych, szczególne nabożeństwo ku Niej świętego królewicza Kazimierza, najznakomitszy wiersz świecki tego wieku, którego autorem był niejaki Złota, wreszcie takie utwory, jak »Kazania o Maryi Pannie czystej« magistra Jana z Szamotuł, »Żywot Pana Jezu Krysta« przez Baltazara Opecia i »Różany wianek Panny Maryey«, zbiór modlitw do Najświętszej Panny z zastosowaniem do Niej myśli zawartych w Psałterzu.

W chwili gdy ten modlitewnik, naiwny wyraz głębokiej wiary i czci dla Bogarodzicy, wychodził z pod prasy Wietorowej (1531), już dwa różne, a poniekąd przeciwne sobie prądy, przenikając do Polski, zaczynały ostudzająco wpływać na kult Maryi, naturalnie w warstwach wyższych, na owe prądy wystawionych. Mowa tu o humanizmie i reformacyi. Humanizm nie występował jawnie przeciw temu kultowi, ale krzewiąc epikureizm i indyferentyzm religijny, osłabiał go w najgłębszych podstawach. Wyobraźnia humanisty, z lubością zamieszkująca świat mitów klasycznych, stroniła od legend pobożnych, które się jej wydawały owocem ciemnoty i barbarzyństwa. Protestantyzm działał inaczej i inny miał punkt wyjścia. Występując w obronie religijności, jak ją sam pojmował, występował też przeciw uczuciu i wyobraźni w sferze religijnej i stąd wrogie jego usposobienie dla szczególnego kultu, jaki się był w wiekach średnich wytworzył dla Najświętszej Panny.

To też poezya polska Złotego okresu nosi na sobie wyraźne piętno prądów, które ją powołały do życia: nie znaleźć w niej kultu Bogarodzicy. Nie mówiąc już o protestancie Reju, nie ma go ani u Kochanowskiego, ani u Szymonowicza. Hasło *carpe diem*, przejęte przez Kochanowskiego z epikurejskiej mądrości, a roz-

brzmiewające w jego poezyi, nie godziło się z kultem najwyższej czystości. Najwyższy ideał niewieści, do jakiego mógł wznieść się Kochanowski, to polska Penelopa, »najpewniejsza podpora domowi«, na której »rząd wszystek«, która »dziateczki podobne ojcowi rodzi«, która »mężowym kłopotom zabiega«. Niema w niej nic z tego blasku, który pada z postaci Najśw. Panny na rodzaj niewieści, a który już w XV wieku, w jednej z pierwszych prób świeckiej poezyi polskiej, jaką był wspomniany już wiersz Złoty, aureolą otaczał »cne panie«;

Boć jest korona cna pani...
Od Matki Bożej tę moc mają,
Iż przeciw Książęta wstają
I wielką im chwałę dają.

Był jednak w okresie panowania humanizmu i reformacyi w Polsce poeta, i to wysokiej miary, który zwracał się myślą i uczuciem ku Boskiej Dziewicy i to już nie w obcej, łacińskiej, jak jego poprzednik z pierwszej połowy wieku XVI, Janicki, ale w złotej polskiej mowie XVI wieku. Był to przedwcześnie zmarły Mikołaj Sęp Szarzyński. Humanistyczny epikureizm nie zatarł w nim tęsknoty do najwyższego ideału piękności i czystości dziewiczej, wcielonego w postaci Najśw. Panny. Jego sonet »Do Najświętszej Panny« jest jedynym, ale wysoce pięknym hołdem, jaki w polskiej mowie złożył Bogarodzicy humanizm polski. Aż do Mickiewicza nikt z poetów polskich nie potrafił piękniejszego wyśpiewać hymnu na cześć Najśw. Panny.

Pod koniec XVI wieku zaczęła się przesilać w Polsce burząca moc reformacyi, gdy do walki z rojącem się od sekt inowierstwem stanął, opancerzony niezłomną energią wiary, zakon Jezuitów. Naprzód Wujek, potem Skarga w postyllach swoich uderzyli z całą siłą gorącego przekonania na tych, co chcieli Najśw. Pannę ściągnąć z wyżyn, na które Ją wyniosła cześć średniowieczna. Kazania Skargi na święta Bogarodzicy stały się jakby drogowskazem dla kunsztownej poezyi polskiej, w której od końca XVI wieku coraz częściej zaczęły się odzywać głosy czci dla Najświętszej Panny. Ale Skarga — rzecby można — cały ogień natchnienia, na kilka pokoleń danego, skupił w swojej piersi, bo

tego ognia bardzo niewiele znajdziemy u współczesnych mu i potomnych poetów dwu następnych wieków.

Niema go ani u Grochowskiego, ani u Miaskowskiego, którego »Rotuły na Narodzenie Syna Bożego« dobrze charakteryzują tę chwilę, kiedy zapał humanistyczny ulotnił się, ale martwe jego formy zostały i miały jeszcze długo służyć za niezbędną okrasę literacką bez względu na temat. U Sarbiewskiego w licznych pieśniach na cześć Najśw. Panny jest wiele wdzięku w malowaniu Jej postaci z Boskiem Dziecięciem na ręku, ale poezya Sarbiewskiego, jako pisana w obcej mowie, pomimo doskonałego naśladownictwa Horacego, jest kwiatem sztucznym bez świeżości i woni. Najwięcej tych ostatnich zalet posiadają Bartłomieja Zimorowicza »Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy«; są one najbardziej harmonijnym wyrazem kultu Najśw. Panny w wiązanej mowie polskiej XVII wieku.

W drugiej połowie tego wieku, kiedy nad Polską zawisły czarne chmury i grom uderzał po gromie, kiedy już obie stolice były w ręku Szwedów, a król Jan Kazimierz zmuszony był szukać schronienia za granicą i zdawało się, że nadszedł dla Polski ostatni dzień jej politycznego bytu, tonącą nawę państwa ocaliła Jasna Góra z cudownym obrazem Najśw. Panny. Od tego czasu cześć dla Niej szerzy się nieustannie, zwłaszcza, że ją podsycają, nadając pewien odcień rycerski, ciągłe walki z półksiężycem. Ale w miarę coraz gęstszych mroków, spuszczających się na Polskę, coraz gorszego wychowania, coraz smutniejszego jałowienia dusz, ta cześć staje się coraz więcej poziomą, coraz płytszą i coraz bardziej materyalną. Odbija się to w utworach głównego przedstawiciela tej czci w poezyi tego okresu, Wespazyana Kochowskiego. Ten sam, który w »Psalmodyi« umiał dobyć głębokich a nawet wieszczych tonów, w obfitych lirykach, ku czci Najśw. Panny napisanych, okazał się przeważnie niezręcznym i pozbawionym natchnienia wierszokletą, którego czasem tylko od zupełnej trywialności ratuje szczerość i naiwność wyrażenia.

Wiek XVIII nie sprzyjał kultowi Najśw. Panny w poezyi polskiej. Jedynym krzewicielem jego był zacny i zasłużony ks. Józef Załuski, biskup kijowski. Idąc zapewne za przykładem Le-

szczyńskiego, który w r. 1751 założył Akademię nauk w Nancy, Załuski we dwa lata potem (t. j. 1753 r.) założył także Akademię w Warszawie, ale obrał dla niej szczególne zadanie: głosić cześć dla Najśw. Panny i stąd nazwał ją *Academia Mariana*. Wszystkim uczonym i literatom był wstęp do tej Akademii otwarty, jeżeli tylko chcieli czy to mową pochwalną, czy wierszem uczcić Najśw. Pannę.

Ale daremne były zabiegi zacnego Józefa Załuskiego, aby ożywić kult Bogarodzicy w warstwach oświeconych w Polsce. Duch wieku kultowi temu był przeciwny. Nadchodziły czasy, kiedy wpływ Ferneyskiego patryarchy, głównego przedstawiciela wieku, coraz szersze zataczał kręgi w Polsce, a jego dwa hasła: ubóstwianie rozumu i epikureizm, coraz więcej znajdowały zwolenników. Na tronie polskim zasiadł najwierniejszy wyznawca tych haseł, wychowaniec filozoficznych salonów paryskich i wielbicieli Woltera, a ten król był słońcem, za którem się obracały wszystkie słoneczniki naszej literatury. Nic też dziwnego, że w poezyi, która od takiego słońca otrzymywała promienie ożywcze, niema ani promyka czci dla Dziewicy-Matki, najwyższego ideału czystości, miłości i pokory.

Konfederacya barska, w której rozbłysły iskry rycerskości, przygasłej od czasów Jana III, była protestem nie tylko przeciw poniżającemu stanowisku króla i jego stronnictwa wobec obcej przemocy, ale i przeciw niedowiarstwu, indyferentyzmowi religijnemu i epikureizmowi warstw rządzących. I oto wraz z ocknięciem się ducha rycerskiego budzi się i poezya religijna wśród mas szlacheckich, wirem konfederacyi ogarniętych, poezya, która jest antytezą współczesnej dworskiej poezyi rozumu, gładkiej, poprawnej, niekiedy świetnej i wytwornej. A w tej poezyi barskiej górującym tonem była ufność w pomoc Najśw. Panny i cześć dla Niej, tak przylegająca do ducha rycerskiego, jak przylegał ryngraf z Jej wizerunkiem do piersi rycerza.

Konfederacya barska upadła przy trzasku walącej się budowy państwa, a jej kult dla Najśw. Panny zgasł, jak pochodnia rumowiskiem zasypana. Od tej chwili upłynęło pół wieku, pełne tragicznych przejść dla narodu, nadziei, uniesień i zawodów. Przed

zdziwionymi i zachwyconymi oczyma przesunęła się olśniewająca glorya Napoleońska, jak cudowne zjawisko i zasunęła się w mrok legendowy. W legionach obudził się i duch rycerski Polaków, ale nie przewodniczyła mu tym razem cześć dla Najśw. Panny i wiara w Jej pomoc, tylko wiara w tego »boga wojny«, co »od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych« i nieograniczona cześć dla niego. Jeżeli wśród legionistów znalazł się jaki *Sodalis Marianus, defensor Mariae,* to zawdzięczał ten charakter nie nowemu duchowi rycerskiemu, ale dawnej tradycyi barskiej.

I we współczesnej literaturze polskiej, która, utraciwszy satyryczny charakter czasów Stanisławowskich, stała się bladą, bezbarwną kopią francuskich wzorów, darmo szukać motywu czci dla Najśw. Panny. Ale nadeszła chwila, kiedy z Zachodu nadpłynął wiosenny powiew romantyzmu i przynosząc z sobą wiele ożywczych pierwiastków, przyniósł także i wskrzeszone tchnienie czci średniowiecznej dla Najśw. Panny, a ten, który pierwszy wystąpił u nas z hasłem otwierającym nową epokę poezyi: »Miej serce i patrzaj w serce!« był też pierwszym heroldem na nowo zakwitającej u nas czci dla Dziewicy-Matki.

Cześć Mickiewicza dla Bogarodzicy ulegała, w ciągu różnych okresów jego życia, ewolucyi, w której odróżnić można trzy główne fazy, trzy sposoby przedstawienia Najśw. Panny, dobrze znamionujące odpowiedni okres prądów nurtujących duszę poety.

Do pierwszej fazy należy »Hymn na dzień Zwiastowania«; pochodzi on z okresu obudzenia sił twórczych, zapędów romantycznych fantazyi i marzycielskiej miłości dla Maryli. Swoją energią młodzieńczą, swoim dumnym i górnym polotem przypomina »Odę do młodości«. Zgodnie zaś z romantycznym nastrojem młodego poety, zgodnie z jego uwielbieniem dla wdzięków »niebieskiej Marylki«, Najśw. Panna w tym hymnie pojętą i przedstawioną jest, jako piękność dziewicza.

W drugiej fazie, to jest w wierszu »Do matki Polki«, w III części »Dziadów« i w »Panu Tadeuszu« nie o dziewiczą piękność już chodzi, nie Dziewica sama, ale Dziewica-Matka tu występuje. Ale i między tymi trzema utworami zachodzą różnice w przedstawieniu Bogarodzicy. W wierszu »Do Matki Polki« obraz Jej

jest tylko klasycznym wzorem cierpienia, zjawia się na to, aby wtórować wallenrodycznym cierpieniom poety. W »Dziadach« występuje Ona nie tylko jako pocieszycielka i opiekunka, ale i jako Królowa kwiatów (w sennej wizyi Ewy). W »Panu Tadeuszu« do wszystkich tytułów, jakie się Jej w »Dziadach« należą, przybywa jeszcze jeden, który Jej tradycya narodowa przynosi: tytuł Królowej Polski i Litwy, opiekunki już nie cierpiących jednostek, ale całego cierpiącego narodu.

W trzeciej fazie, która przypada na okres mistycyzmu w życiu Mickiewicza, mianowicie w utworze p. t. »Słowa Najświętszej Panny«, wszystkie rysy i barwy dawniejszych obrazów Bogarodzicy, piórem poety kreślonych, znikają zupełnie, Ona zaś występuje jako dziewica, tak przejęta bolami narodu, westchnieniami i nadziejami jego proroków, że staje się żywem usposobieniem misyi swego narodu, a jako taka, której całe serce napełniło się miłością dla idei zbawienia, może stać się Matką Boga-człowieka, zbawiającego ludzkość. Jest Ona najwyższym wzorem, idealnym typem matki bohaterów, patronką, dającą natchnienie lub pokrzepienie każdemu, kto chce być rycerzem zbawczej idei lub prostym żołnierzem dobrej sprawy.

Wogóle kult Mickiewicza dla Najśw. Panny ma ogromne znaczenie pod względem etycznym. Rozlewa on w jego poezyi i w całej współczesnej literaturze polskiej, w Mickiewicza zapatrzonej, tę czystość i świeżość moralną, która jest podstawą zdrowego życia rodzinnego, a bez której nie ma szczęśliwej przyszłości narodu.

Z pomiędzy tych, co za Mickiewiczem podnoszą głos ku czci Maryi, najznakomitsi są trzej: Zaleski, Krasiński i Słowacki.

U Zaleskiego kult Maryi i wogóle nastrój religijny objawia się poraz pierwszy w »Złotej dumie«, której pomysł powstaje pod skombinowanym wpływem III części »Dziadów« i »Pana Tadeusza«. W tym poemacie bohater jest sługą Maryi, a że z bohaterem poeta się identyfikuje, więc i sam on obiera dla siebie tę służbę za powołanie i zgodnie z tem powołaniem tworzy cały szereg modlitw i hymnów ku czci Najśw. Panny, z których najbardziej harmonijnym, wogóle najpiękniejszym hołdem, złożonym

przez poetę Swojej Boskiej Pani, jest pieśń p. t. »W dzień gromniczny«.

Zdawało się jednak poecie, że w hymnach nie dość się jeszcze wypłacił swojej Pani i dlatego postanowił uczcić Ją większym, epickim poematem. Tak powstała »Przenajświętsza Rodzina«. Utwór ten zwyczajnie za nizko jest ceniony.

Wprawdzie można żałować, że poeta przekraczał w nim niekiedy granice tego, co muza jego zdolna była wyśpiewać, ale w całości wzięty poemat jest pełen wdzięku, świeci blaskiem naiwnej, napoły dziecięcej, napoły ludowej wiary, maluje się w nim czysta, słodka i religijna dusza poety.

U Krasińskiego cześć dla Najśw. Panny znajduje wyraz w »Przedświcie« i »Psalmie dobrej woli«. W pierwszym utworze Najśw. Panna występuje w znaczeniu cudownej niewiasty, której walkę ze smokiem Apokalipsa opowiada, to jest jako przewodniczka narodu polskiego na jego drogach chrześcijańskich, w jego walce z poganizmem polityki europejskiej. Poeta wierzy, że ten pochód narodu z Królową niebios na czele jest już blizki swego celu, to jest zwycięstwa nad szatanem, wcielonym w stosunki społeczne i międzynarodowe.

Inaczej jest w »Psalmie dobrej woli«. Powietrzny pochód ojców z Królową na czele z heroicznego i zwycięskiego zamienia się tutaj na błagalny. Wprawdzie i tutaj Krasiński nie przestaje wierzyć w mesyaniczne powołanie narodu, ale nie zapatruje się już na niego, z tak bezwzględnym optymizmem, jak w »Przedświcie«, i ustami Bogarodzicy pragnie dla niego wymodlić u Boga to, w czem Mickiewicz widział pierwszy i konieczny warunek dźwignięcia się z politycznego upadku: powiększenie dusz, oczyszczenie ich z egoizmu, napełnienie ich dobrą wolą.

U Słowackiego, jak życie dzieli się na dwa odłamy, bardzo do siebie niepodobne, tak i w poetycznem traktowaniu z jego strony Bogarodzicy można odróżnić dwa okresy bardzo odmienny mające charakter: okres przed nagłem przeobrażeniem duchowem, które nastąpiło w nim wskutek zetknięcia się z Towiańskim i okres od czasu tej transfiguracyi.

W pierwszym okresie kult Najśw. Panny w poezyi Sło-

wackiego — z nielicznymi wyjątkami — występuje tylko jako motyw dekoracyjny, charakteryzujący pewne osoby lub wypadki i traktowany jest ciężko humorystycznie, a niekiedy nawet ironicznie. Tu należą takie utwory, jak »Mindowe«, »Żmija«, »Podróż na Wschód«, »Preliminarya peregrynacyi do Ziemi Świętej«, »Złota Czaszka«, »Beniowski« (dramat i poemat), poniekąd »Lilla Weneda«. Szczęśliwy wyjątek z poezyi tego okresu stanowi hymn do Bogarodzicy, wyraz tego zapału, który ogarnął Warszawę w pierwszych chwilach po wybuchu powstania listopadowego.

W drugim okresie, kiedy wirtuoz i sceptyk przeobraził się w mistyka, przekonanego o swojem wysokiem powołaniu apostolskiem, zmienia się stosunek poety do Najśw. Panny, która przybiera w poezyi jego szczególny, apokaliptyczny charakter. Za wskazówką Krasińskiego, Słowacki zwrócił uwagę na ten ustęp »Apokalipsy«, gdzie występuje cudowna niewiasta, w słońce obleczona, z księżycem pod nogami i dla fantazyi jego, mistycznie nastrojonej, a szczególnie lubującej się w malowaniu eterycznych postaci niewieścich, obraz tej niewiasty w słońce i miesiąc ustrojonej, miał ogromny urok. Stała się ona dla niego symbolem wielorakiego znaczenia, przedewszystkiem zaś, jak dla Krasińskiego, symbolem duchowego odrodzenia ludzkości, a także, równie, jak dla Krasińskiego, obrazem Najśw. Panny. Odtąd Bogarodzica w poezyi Słowackiego występuje najczęściej w postaci niewiasty ze słońcem na głowie, z księżycem pod nogami.

Naprzód pojawia się Ona w takiej postaci w mistycznym wierszu bez tytułu, który jest jakby parafrazą wskazanego wyżej ustępu »Apokalipsy«; potem we fragmencie wspaniałego dyalogu, który znany jest pod tytułem: »Poeta i natchnienie«. W księdzu Marku jest inaczej. Kult Najśw. Panny wyraził się tutaj w dwóch momentach: w pieśni konfederatów, od której się dramat zaczyna i w cudownym stosunku księdza Marka do Bogarodzicy. Pieśń ta osnuta na motywach różnych pieśni konfederackich, z tak doskonałem zachowaniem ich tonu, rytmu i kolorytu, że powszechnie jest uważaną za pieśń ułożoną i śpiewaną przez konfederatów, a tymczasem jest to własność poetycka Słowackiego. Co się tyczy stosunku księdza Marka do Najśw. Panny, to opiera się on na

tradycyi o cudotwórczości berdyczowskiego karmelity Jest to najsilniejsza scena w dramacie i wogóle można powiedzieć, szczyt dramatycznej twórczości Słowackiego, kiedy ksiądz Marek wobec skupionej szlachty gromi i piętnuje palącemi słowami warchoła Kossakowskiego, a potem wygania z baru piorunami, których mu Najświętsza Panna użycza.

W wierszu: »Do autora trzech psalmów«, Bogarodzica jest znowu inną: jest patronką rewolucyonizmu, który Słowacki brał w obronę przeciw konserwatyzmowi Krasińskiego, i który poczytywał od tych czasów za powszechną, twórczą i zbawczą zasadę. Różowa symbolika, otaczająca postać Madonny w tym obrazie, ma oznaczać, że wolność, do której dążyła ówczesna propaganda demokratyczno-rewolucyjna, nie jest wolnością zwierząt, o jakiej pisał Krasiński w »Psalmie miłości«, ale wolnością, która przyniesie wszystkim szczęście i harmonię społeczną, wróżba, która jak wiadomo, o kilka miesięcy tylko wyprzedziła rzeź galicyjską.

W wierszu »Do autora Skarg Jeremiego« znowu w odmiennym charakterze występuje Najśw. Panna. Jest Ona tutaj uosobieniem ojczyzny, nie tylko jako duszy, idei narodowej, ale i jako ojczystej przyrody.

Ale najgodniejszym uwagi pod względem przedstawienia Bogarodzicy jest ostatni, największy i choć nieskończony, górujący jednak nad całą twórczością Słowackiego poemat »Król-Duch«. Nigdzie ruchliwość i giętkość wyobraźni tego poety, nigdzie mglistość i rozwiewność postaci przez niego stworzonych nie dochodzi tak wysokiego stopnia, jak w tym poemacie, a stosuje się to przedewszystkiem do postaci Najśw. Panny. Rola Jej jest tam tak zmienną, tak mieniącą się różnymi blaskami, że co chwila niemal Jej eteryczna postać przybiera inne znaczenie, zwłaszcza jeżeli pod uwagę weźmiemy nietylko drukowane strofy »Króla-Ducha«, ale i te, które w autografach czekają jeszcze na wydanie. Więc oprócz zwykłego znaczenia, jako Matki Boga, wziętej z tradycyi katolickiej, występuje Ona jako wcielenie idei narodowej, przybiera niekiedy znaczenie twórczej siły przyrody, to znów jest jakby wcieleniem pierwiastku żeńskiego, *des ewig Weiblichen*, gdzieindziej ukazuje się jako uosobienie piękności, bar-

dzo często występuje w znaczeniu muzy, mistrzyni, natchnienia poety, a zawsze przypomina obraz niewiasty, wzięty z Apokalipsy.

Jeżeli tych czterech głównych przedstawicieli naszej poezyi romantycznej porównamy pod względem przedstawienia Najśw. Panny, to bardzo wyraźne i charakterystyczne zarysują się w tym względzie różnice. U Słowackiego jest Najświętsza Panna przedewszystkiem eteryczną pięknością, przedstawicielką zewnętrznej piękności dziewiczej. Wszystkie inne szczegółowe Jej znaczenia za tło mają to znaczenie ogólne. U Krasińskiego Bogarodzica jest przedewszystkiem Królowa Polski; krolewska powaga i dostojna miłościwość biją z Jej postaci. W poezyi Bohdana Zaleskiego jest jakaś ludowa serdeczność i prostota w postaci Najśw. Panny; jest to przedewszystkiem Matka, cicha, pokorna, bolejąca. Matka Chrystusa, jako dziecięcia potrzebującego opieki i Matka wszystkich cierpiących. U Mickiewicza, ponad wszelkie znaczenie, z jakiem Ona występuje w jego poezyi, wybija się bohaterski Jej charakter: to Matka bohaterów, współtwórczyni ich czynów zbawczych, wcielona żądza zbawienia ludzkości.

U następców tych poetów, za obniżeniem się wogóle polotu poezyi, obniża się i kult Najśw. Panny. Prawda, staje się on powszechnym, znaleźć go można niemal u wszystkich wybitniejszych poetów polskich z połowy przeszłego wieku, u Ujejskiego, Pola, Syrokomli, Lenartowicza i innych, znaleźć go można również w bujnie krzewiącej się powieści naszej tak obyczajowej, jak historycznej, ale nigdzie już nie stanowi tonu tak silnego i oryginalnego, jak u czterech przodowników naszego romantyzmu.

Najgorętszy, najbliższy duchem swoim poprzednikom romantycznym, jest niewątpliwie Ujejski: jego śpiew »Do Bogarodzicy«, rytmem naśladujący młodzieńczy hymn Słowackiego, ma ton wysoki i wielką siłę i zwartość wyrażenia. Z pomiędzy innych współczesnych poetów najwięcej danych w naturze swego talentu, aby się stać śpiewakiem Najśw. Panny, miał Lenartowicz. Muza jego śpiewnością i słodyczą przypomina muzę Bohdana Zaleskiego, ale niestety! wirtuozostwo zbyt często bierze w niej górę nad szczerością uczucia

Po burzy politycznej 1863 roku zaczął się nowy okres poezyi, okres, w którym uczucie i fantazya odeszły pokornie na plan dalszy, a na pierwszym rozsiadła się refleksya, czasem poważna i głęboka, częściej płytka i jałowa. Dla takiego kwiatu, jakim jest kult Najśw. Panny, który bez rosy uczucia, żyć i rozwijać się nie może, nastała niepomyślna pora. To też ani w poezyi Asnyka, głównego przedstawiciela tego okresu, ani w twórczości dwu poetek, które obok Asnyka wysuwają się na czoło poezyi: Deotymy, więcej w przeszłość zapatrzonej i Konopnickiej, nerwowo rwącej się ku przyszłości, cześć dla Najśw. Panny nie odgrywa nigdzie wybitnej roli.

Ale obok tych dwóch poetek świetnych i głośnych, była w tym okresie inna jeszcze poetka, której poezya nie zdobyła sobie rozgłosu, a której należy się tu wspomnienie. Nazywała się Marya Bartusówna. Natura dała jej czułe serce i talent poetycki; los wybrał dla niej żywot krótki, obdarzył sieroctwem, ubóstwem, chorobą piersiową i ciężkiem zadaniem nauczycielki ludowej wśród ubogiego i ciemnego ludu. Ona to w wieku pozytywizmu, naturalizmu i oziębłości religijnej w literaturze była prawdziwą przedstawicielką poetycznego kultu Maryi. W jej »Modlitwie majowej« odmalował się smutek sierocy i religijna rezygnacya, w wierszu »Zdrowaś Marya«, błogie ukojenie, jakie religia i przyroda przynoszą sercu człowieka.

Dzisiejsza poezya polska, która się dopiero przed kilkunastu laty urodziła, jako niedojrzała do historycznego traktowania, nie wchodzi w zakres tego szkicu. Tyle tylko można o niej powiedzieć, że pomiędzy wizyami, które się w jej tajemniczym mroku, tak nastrojowo działającym na młode wyobraźnie, ukazują, a które mają symbolizować nastroje, najgłębsze tajnie duchowe poetów, — nie znajdujemy obrazu Przeczystej Dziewicy. I owszem, prędzej, niż ze czcią dla Niej, dla najwyższego ideału czystości, miłości i pokory, — możnaby tu się spotkać z kultem tego »starodawnego węża«, któremu ona głowę starła, i to — rzecz dziwna — w pismach człowieka, który wielbi Słowackiego, jako proroka i ojca symbolizmu polskiego. Zaiste Słowacki, którego cała filozofia jest

apoteozą czystości, nie przyznałby się do takich, jak ów jego wielbiciel, dzieci.

Ale poezya dzisiejsza, jakkolwiek wydała wiele prób oryginalnych i efektownych, nie wyszła jeszcze z chaosu, a przynajmniej nie wypowiedziała — tak się należy spodziewać — swego najwyższego słowa. Któż wie, czy w tem słowie nie znajdzie się miejsce dla najwyższego ideału miłości, czystości i pokory, który świeci takim blaskiem w naszej poezyi romantycznej?

Do takiej nadziei upoważnia pogląd na przemiany, jakim ulegał kult tego ideału w poezyi polskiej. W rozwoju tego kultu dostrzegamy pewnego wahadłowego ruchu. Wiek XV, w którym pieśń »Bogarodzica« prowadziła rycerstwo polskie do wielkich czynów, do wielkiego zwycięstwa, jest wiekiem gorącej czci dla Najśw. Panny i w życiu społeczeństwa polskiego i w jego poezyi, piewsze nieśmiałe kroki stawiającej. Wiek XVI, wiek humanizmu i reformacyi, nie sprzyja temu kultowi i tylko jakby ukradkiem oblicze Dziewicy-Matki ukazuje się w sonecie Sępa Szarzyńskiego. W wieku XVII, wieku rozpaczliwych i bohaterskich zapasów znowu cześć dla Najśw. Panny i w życiu i w poezyi rośnie i potęguje się aż do obwołania Jej Królową narodu polskiego. W literaturze wieku XVIII, z upadkiem rycerskiego ducha, widzimy znowu ruch wsteczny tego kultu, na chwilę tylko przerwany konfederacyą barską. Wreszcie w wieku XIX, w dwu okresach, które on obejmuje, romantycznym i pozytywistycznym, znajdujemy znowu ruch wahadłowy kultu: naprzód gorące uwielbienie, potem milcząca obojętność. Otóż jeżeli ten ruch wahadłowy nie jest tylko grą przypadku, ale głębsze ma źródło, to na nowy, to jest dzisiejszy okres poezyi naszej, na wiek XX, przypada nowe ożywienie się tego kultu.

A że ta wahadłowość ma głębsze źródło, do tego prowadzi nas zastanowienie się nad przyczynami zmian, jakim kult Bogarodzicy ulegał. Jego wznoszenie się lub upadanie zależne było zawsze od stosunku pomiędzy intellektem a uczuciem w danym okresie, w danym nastroju społeczeństwa. Kiedy rozum bezwzględnie panował, wtedy ów kult blednął i znikał. Kiedy uczucie wracało do praw swoich, kult się ożywiał, a kiedy górowało nad

rozumem, występował w poezyi z całą siłą, jak to było u naszych mesyanistycznych poetów [1].

To zaś ważenie się między intellektualizmem a uczuciowością, ta kolejność przewagi jednej i drugiej strony ducha ludzkiego, zdaje się być powszechnem prawem jego rozwoju; od tego wahadłowego ruchu posuwają się wskazówki na zegarze ludzkości.

Jeżeli tak jest, w takim razie i ruch wahadłowy kultu Najśw. Panny w poezyi naszej nie jest grą przypadku; w takim razie na dzisiejszy okres poezyi musi przypaść nowe ożywienie się tego kultu.

Ale może poezya dzisiejsza nie ma takiego znaczenia, jakie miał romantyzm w stosunku do racyonalizmu XVIII wieku, może nie jest wyrazem połączonej reakcyi uczucia i fantazyi przeciw intellektualizmowi, ale tylko reakcyą krępowanej w poprzednim okresie fantazyi?

To przypuszczenie wydaje się prawdopodobnem. W poezyi dzisiejszej więcej fantastyczności, niż ciepła; więcej nastraja ona wyobraźnię, aniżeli wzrusza serca. Możnaby o niej powiedzieć, że jeszcze nie obudziło się w niej serce.

Czekajmy, aż się obudzi, a wtedy i kult Najświętszej Panny na nowo zakwitnąć w niej musi.

Ale spełnienie tej wróżby zostawiając przyszłości, rzućmy raz jeszcze okiem na przeszłość, aby na zakończenie jeden górujący w niej fakt uprzytomnić sobie. Najświetniejszy moment naszej poezyi jest zarazem chwilą, w której najwspanialej rozkwita poe-

---

[1] Zdaje nam się, że prawo to w rzeczywistości będzie bardziej złożone, że więc inne jeszcze czynniki wejśćby w nie powinny. Przedewszystkiem, jak sam przedmiot wskazuje, rozstrzygającą rolę w tej sprawie gra wzrost lnb upadek religijności, która nie polega na samem uczuciu, ani na przewadze uczucia, owszem zdąża do harmoni wszystkich władz duszy. Nadto, uwzględnić tu możeby trzeba rodzimość i wpływy obce. Ile razy poezya nasza jest czysto rodzimą, kult maryański w niej kwitnie, ile razy przychodzą wpływy obce, kult ten upada. Gdyby spostrzeżenie to dało się w zupełności uzasadnić, wyniknąłby wniosek, przez naszych myślicieli z innych względów stwierdzony, że duch narodu jest rdzennie katolicki, że na duszy polskiej spełnia się w szczególniejszy sposób to, co powiedział Augustyn o każdej duszy ludzkiej, że jest *naturaliter christiana*.

Redakcya.

tycki kult Bogarodzicy. Najwyżsi nasi wieszczowie wkładają na Jej czoło najpiękniejszą koronę poetycką, na której płoną najświetniejsze dyamenty, świecą najdroższe rubiny, szmaragdy, szafiry, topazy i ametysty naszej poezyi. Odbywa się, rzec można, uroczysta poetycka koronacya Najświętszej Panny. To też do mnóstwa tytułów, którymi Ją od wieków narody z osobna i cały świat chrześcijański obdarzał, śmiało możemy dodać jeszcze jeden, śmiało obwołać Ją możemy Królową poezyi polskiej.

Dr. Józef Tretiak.

MATKA BOSKA

W PODANIACH NASZEGO LUDU.

MISTRZ TWARDOWSKI.

Jak wybitną rolę odgrywa Najświętsza Panna w poezyi naszej ludowej, w podaniach i legendach ludu, stwierdziły to niejednokrotnie wydawnictwa etnograficzne, a dla szerszego ogółu, przed kilku laty, wydawnictwo: »Królowa niebios«. Poza osłoną baśni kryje się w tych podaniach gorąca wiara i ogromna cześć ludu naszego dla Najświętszej Panny.

Podajemy poniżej jedną z takich legend w artystycznem ujęciu Lucyana Rydla. Jest to wyjątek z obszerniejszego poematu p. t. »Mistrz Twardowski«. Poemat ten jest pierwszym w seryi corocznych gwiazdkowych wydawnictw tegoż autora. Wydawnictwo nosić ma tytuł: »Klechdy i baśnie polskie«. »Twardowski« ukaże się w połowie bieżącego miesiąca z licznemi ilustracyami znanego artysty A. Procajłowicza.

Wyrażamy w tem miejscu podziękę ruchliwej księgarni D. E. Friedleina, za której zezwoleniem niniejszy fragment umieszczamy.

Redakcya.

. . . . . .

. . . . . .

Twardowski widzi, że bieda:
Godzina śmierci już blizka.

Dyabeł zbyć się sztuczką nie da,
Coraz nań srożej naciska.
Uciekł tedy do alkierza,
Gdzie stała w kącie kołyska
Małej karczmarzów dzieciny
I myśl go zbawcza uderza,
Iż dziś właśnie były chrzciny;
Przeto do tego dziecięcia
Przystępu nie ma dziś piekło.
Porwał niemowlę w objęcia,
Aby czarta złość zaciekłą
Ubezwładnić choć na chwilę.

Bies na cztery nogi kuty
Wrzasnął: »Gdzież *verbum nobile?*«
Twardowski pobladł, jak struty
Stoi, myśli coś i szepce,
Ale nie wszczyna dysputy
I dziecko składa w kolebce —
— »Ha, bierz mnie dyable... i kwita!«
Dyabłu iskra z oczu strzeli
Jedną łapą u gardzieli
Drugą za głowę go chwyta
I... kominem wylecieli.

Hen w dole ziemia się bieli;
Oni lecą czarną nocą,
Szlachcicowi koło uszu
Pęd szalony wichrem śwista
I wyloty się trzepocą...
Zbył wszelkiego animuszu,
Boć to zguba oczywista.
Lecą. lecą w mroczne dale
Chyba gdzieś na koniec świata.

Bies w głuchym wściekłości szale
Skrzydłami wichry zamiata...
Aż tu z ziemi niespodzianie
Jakiś cudny dźwięk wylata
W te przestwory, w te otchłanie...
Coś jak śpiew, coś jakby łkanie:
A! to na Maryackiej wieży
W Krakowie grają hejnały.
Myśl grzesznika nagle bieży
W owe dawne dobre lata,
Gdy z niego żaczek był mały
A w żaczku dusza skrzydlata.
Te trąby, co tam zagrały
Tyle w nim budzą wspominek!
Widzi kościół, Sukiennice
I krakowski śliczny rynek.
Tam niegdyś i rym Godzinek
Składał i Bogarodzicę
Wielbił, opiewając święcie
Jej chwalebną tajemnicę,
Niepokalane Poczęcie.
A teraz?! Czart jego duszę
Wlecze w piekielne podwoje
Na wiekuiste katusze —
I łkając zaśpiewał w skrusze
Pieśń: »Zacznijcie wargi moje...«

* * *

Co to?... Przystanęli w locie?...
Gdzie czart?... Zniknął?... Już go niema!...
Co to za kula, w pozłocie
Blasków swych promieniejąca?
Pod nogami ją obiema
Poczuwszy — do niej się tuli...

Lekki wietrzyk mgły roztrąca,
Co po tej niezmiernej kuli
Błąkały się w złotobladej
Światłości — a tam w przestrzeni
Dookoła gwiazd miriady
Mrugają rzęsą z promieni...
Twardowski, choć nie wie jeszcze
Gdzie jest? co to znaczyć może?
Ale zrozumiał to jedno,
Że straszne dyabelskie kleszcze
Wypuściły duszę biedną.
Ukląkł, i w niebios przestworze
Wyciągnął drżące ramiona
I wołał: »Chwała Ci Boże!
»Matko! bądź błogosławiona«.
Tak Bogu oddawał chwałę
I bił się w piersi w pokorze
I płakał, jak dziecko małe.

Kiedy tak łzami zalany,
W modlitwie żarliwej klęczy,
Nagle jakiś blask różany
Olśnił go... Widzi anioła,
Co skrzydła o barwach tęczy
Rozpiąwszy, zlatuje z góry
I wśród gwiazd ogromne koła
Zatacza lotnemi pióry,
Zleciał i rzekł mu te słowa:
— »Nad gwiazdami tronująca
Anielska nasza Królowa
Wyrwała cię z szpon szatana
I tu na tarczy miesiąca
Osadza cię — ubłagana
Twą pieśnią, skruchą i wiarą.
Kto Jej ufa — nie zaginie!

— Grzeszyłeś nad ludzką miarę
I długo trwałeś w swej winie,
Przeto z Bożego wyroku
Masz tutaj, póki czas płynie
Kajać się do końca świata
Z żalem w sercu, ze łzą w oku,
Aż w Ostatecznej Godzinie
Na Dolinie Józefata
Grzechy twoje Sędzia zmaże«.

To rzekłszy, anioł odlata.
Odtąd na wieków zegarze
Lata mijają i lata,
A Twardowski z klechą w parze
Siedzi na tarczy księżyca
Kając się rzewną pokutą.
Zrazu chciał mu ludzkie lica
I ludzką przywrócić postać,
Ale dotąd jeszcze mu to
Nie udało się — i klecha
Musiał już pająkiem zostać.
Lecz i tak dla pokutnika
Niemała z niego pociecha:
Pająk mu na dłoni siada
A pan przed sługą odmyka
Serce swoje, wypowiada
Wspomnienia, smutki, tęsknoty,
Ma w nim druha i sąsiada
Na księżyca tarczy złotej.
Czasem na cieniuchnej nici
Pająk spuszcza się na ziemię.
Tu, tam, wiadomość pochwyci
I po nitce pajęczyny
Wraca — i tęsknoty brzemię
Tem swojemu panu słodzi,

Że mu przynosi nowiny.
Ale teraz rzadko schodzi,
Bo na co? Wszak coraz gorzej
Kłamstwo, pycha, gwałt się sroży
I urąga Woli Bożej.

Lucyan Rydel.

MATKA BOSKA W MUZYCE POLSKIEJ[1].

Naród polski, kochający całą swą rycerską duszą Królowę Maryę i od pierwszych lat przyjęcia chrześcijaństwa jako Matce Bożej cześć Jej oddający, musiał mieć chwilę, w której ani uczucie, ani słowo na wyrażenie tej miłości, tej czci mu nie wystarczyło. Wtedy to z piersi jego wypłynęła pieśń radosna, na ustach jego zabrzmiał potężny hymn uwielbienia na cześć Najświętszej Panienki. To też nie dziwmy się, że mamy w naszej muzyce kościelnej polskiej, od XIII w. począwszy, nader liczne utwory czci Matki Bożej poświęcone. Niepodobną jest rzeczą wyszczególnić w przeznaczonym na referat czasie wszystkich kompozycyi kościelnych i pieśni do Matki Boskiej w Polsce ułożonych. Ograniczymy się na wyliczenie i ocenę utworów najcenniejszych, dzieląc cały materyał na dwie części, tj. 1) na rzecz o pieśniach ludowych i 2) na rzecz o muzyce figuralnej, tj. o kompozycyach kilkugłosowych do tekstów polskich i łacińskich.

I.

Pieśni ludowe.

Najstarszą pieśnią polską do Matki Boskiej jest »Bogarodzica«. Melodya jej z dwóch części się składa. Pierwsza część w I tonie kościelnym do wyrazów: »po żywocie rajski przebyt,

[1] Praca ta była czytaną na Kongresie Maryańskim i pojawi się w Księdze Pamiątkowej Kongresu. *Redakcya.*

Kyrie eleison«, pochodząca z XIII wieku, ułożoną została według najnowszych badań Brücknera [1] i Polińskiego [2], przez błogosławionego Wojciecha (Alberta) Wielkiego, biskupa ratyzbońskiego, uczonego profesora kolońskiego, ur. 1193 r., zmarłego 1280 r. i przez Boguchwała spowiednika królowej Kingi w Starym Sączu ok. r. 1280. Do ułożenia melodyi posługiwali się oni motywami wziętemi z t. zw. *tonus paschalis* hymnów w kościele katolickim w czasie wielkanocnym śpiewanych [3] i z sekwencyi tegoż bł. Wojciecha Wielkiego: *Ave praeclara maris stella.*

Druga część melodyi w XII tonie kościelnym (hypojońskim), wzięta żywcem z hymnu wielkanocnego: *Triumphat Dei filius*, lub z równobrzmiącego: *Rex Christe primogenite* znacznie później, prawdopodobnie w XVI wieku, do pierwotnej t. zw. laisowej pieśni dodana została.

W śpiewanej dzisiaj w niedzielę przed sumą w katedrze gnieźnieńskiej, w Dąbrowie i w Łowiczu melodyi do »Bogarodzicy« przechowała się z małemi zmianami, tylko wspomniana codopiero druga część dawnej melodyi z XVI wieku. Natomiast pierwsza jej część z wieku XIII znacznej uległa zmianie.

Już na początku XIII stulecia wkradały się widocznie dodatki i zmiany do pierwotnej melodyi, skoro *Reformationes generales* z r. 1621 napominają rządców Kościoła, by *haec cantilena* (»Bogarodzica«) była *bene reformata.* Dzisiaj lud nasz śpiewa ją wyłącznie prawie według wspomnianej codopiero melodyi gnieźnieńskiej [4]. Śpiew »Bogarodzica dziewica« brzmiał na ustach rycerzy polskich przed bitwą [5]. Za Zygmunta III dopiero począł iść w zapomnienie.

[1] Aleksander Brückner: »Literatura religijna w Polsce średniowiecznej« I, Kazania i pieśni. Ob. »Biblioteka dzieł chrześcijańskich«. Warszawa 1903, zeszyt 18.

[2] Aleksander Poliński: »Pieśń Bogarodzica pod względem muzycznym«. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1903. Str. 68—86.

[3] Ob. Ks. Józef Surzyński: »Śpiewnik kościelny«. Część I. *Laudate Dominum.* Hymn *Ad regias Agni dapes.* Wyd. I, str. 167.

[4] Ob. *Cantionale ecclesiasticum etc.* auctore Ios. Surzyński. Editio tertia. Posnaniae apud Jarosław Leitgeber. 1904. Str. 174.

[5] *Quod canticum olim Regibus quoque et universis Regni proceribus (ex praecepto et consuetudine laudabili) approbantibus initio bellorum, in regno Po-*

»Straszny to był głos kiedyś w bitwach«, mówi ks. Fabian Birkowski[1] w jednem ze swych kazań obozowych z r. 1623, »który wychodził z ust polskich, gdy pogaństwo gromili mężni oni chrześcijanie, straszny i po dziś dzień, lub to on w namieciech samych przy kapłanach zostaje obozowych. Wielka otucha zwycięstwa, gdy ten okrzyk zagrzmi w uszach żołnierza chrześcijańskiego, gdy się nie wstyda starej wiary, która ze świętymi obyczajami weszła była do Polski zaraz z tą pieśnią Bogarodzicą wielmi ukochaną. Jaka wiara bywała w starych Polakach, ten testament św. Wojciecha pokazać może i pokazuje. Nie była jedno katolicka rzymska, z Rzymu do Polski od Wojciecha św. zaniesiona, cudami wsławiona, rosą błogosławieństwa z nieba po kropiona«.

Najstarszą pieśń łacińską na cześć Matki Boskiej napisał Jan z Kempa Łodzia, biskup poznański, († 1346). Jest nią pieśń o Wniebowzięciu Najśw. Maryi Panny *(prosa de assumptione Mariae)* zaczynająca się od słów: *Salve salutis ianua,* a przechowująca się w bibliotece katedralnej na zamku krakowskim.

Muzyka jednogłosowa »prozy« tej, napisana artystycznie wedle prawideł, jakiemi w XIV wieku przy układaniu sekwencyi w kościele katolickim się rządzono, składa się z 16-tu zwrotek, a z ośmiu rozmaitych melodyj w transponowanej o kwartę wyżej tonacyi jońskiej. Dwie po sobie następujące zwrotki mają tęż samą melodyę.

W piętnastym wieku śpiewano już u nas godzinki o Matce Boskiej. Tekst ich znajduje się w Pamiętnikach Maciejowskiego[2]. Przypominają one treścią swą dzisiejsze godzinki — opracowaniem jednak tekstu i melodyą zupełnie od tych ostatnich się różnią. Zaczynają się od słów »Zdrowa bandz Naszwyacza królewno«.

---

loniae praeponi consuevit. Cofr. Joh. Laskus in Statutis Regni Poloniae. Cracoviae, 1506.

[1] Birkowski, W. X. D. Fabian: »Kazania obozowe o Bogarodzicy. przytem nagrobek Osmanowi Cesarzowi Tureckiemu i insze kazania o św. Jacku i B. Kantym«. Kraków, wyd. Kaźmierza Józefa Turowskiego. 1858.

[2] Maciejowski Wacław Aleksander: »Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian« i t. d. Petersburg i Lipsk, w księgarni Eggersa i Hinrichsa, 1839, t. II, str. 359.

Przetłumaczone zostały z czeskiego. Tekst ich łaciński ogłosili Feifalik [1] i Dreves [2]. Melodyę poddał ks. Konrad w swych dziejach kościelnego śpiewu staroczeskiego [3]. Znajdują się one także w kancyonale Walentego z Brzozowa z r. 1554 [4].

Melodya ma tonacyę frygijską — jest bardzo poważna i pobożnego nastroju pełna.

Śpiewane po dziś dzień w kościołach naszych »Godzinki o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi Panny« dopiero na końcu XVI wieku do Polski, staraniem OO. Jezuitów wprowadzone zostały. Przetłumaczono je z łacińskiego tekstu, zaczynającego się od słów *Salve mundi Domina,* którego autor nieznany. Żadnej one nie mają styczności z *Officium parvum B. V. Mariae,* t. j. z »Godzinami Błogosławionej Panny Maryi«, które jezuita ks. Wujek według brewiarza rzymskiego na język polski przełożył, a których śpiew prędzej, niż śpiew Godzinek o Niep. Poczęciu N. Maryi Panny u nas się przyjął [5]. Melodya do tych ostatnich przechowała się w księgach roranckich na Wawelu [6]. Przed rozpoczęciem godzinek śpiewa się jedną z najpiękniejszych pieśni naszych: »Zawitaj ranna jutrzenko«.

* * *

Ks. Stanisław Serafin Jagodziński umieścił jej tekst łaciński i polski w swym śpiewniku [7] z r. 1695 między pieśniami o Matce Boskiej na pierwszem miejscu. Tekst łaciński zaczyna się od słów: *Ave stella matutina.* Prześliczna melodya pieśni tej przechowała

---

[1] *Untersuchungen über altböhmische Vers- und Reimkunst.*

[2] M. G. Dreves S. J. *Cantiones Bohemicae.* Str. 144.

[3] Konrad Kar.: *Dejiny posvatneho zpevu staroceskeho.* V Praze, 1882, str. 141.

[4] Fol. M. XVI.

[5] Ob. Ks. J. Surzyński: »Polskie pieśni kościoła katolickiego XVI stulecia. Z dodaniem kilkudziesięciu starych melodyj kościelnych«. Poznań, Jarosław Leitgeber. 1891. Str. 172.

[6] Ob. tegoż śpiewnik kościelny, II, str. 306.

[7] Ob. »Pieśni katolickie nowo reformowane z Polskich na Łacińskie, a z Łacińskich na Polskie przełożone, niektóre też nowo złożone«. Cantiones Catholicae nunc recens reformatae. Et ex Polonicis Latinae, ex Latinis Polonicae factae, nonnullae noviter compositae. Opera S. S. J. W Krakowie, w drukarni Franciszka Cezarego etc. R. P. 1695, str. 105.

się w rękopiśmiennym kancyonaliku po Klaryskach gnieźnieńskich z XVII w.[1]. W roczniku religijnym pod tytułem *Alleluja* z r. 1843 czytamy następne nader ciekawe podanie o powstaniu tej pieśni: W krwawych zapasach z Turkami za Jana Sobieskiego III, trzydziestu wojowników naszych, odciętych od swojej chorągwi, musiało wraz z kapłanem szukać ochrony w jednej skale Karpat, co dzielą Węgry i Wołoszczyznę od Galicyi. Tu ukryci, otoczeni w krótce od przemagających Bisurmanów, dzielny stawiali długo opór. Ale głód i pragnienie, straszniejsze od miecza, zaczęły dokuczać mężnym. Wonczas pobożny kapłan ułożył pieśń nową do N. M. P., ażeby z tym śpiewem świętym na ustach, oddać czystą duszę Bogu. Zabrzmiały nadedniem jej odgłosem skały i góry, spłynęła daleko po rosie kroplistej, i na pianie burzliwych potoków karpackich. Pieśń »Zawitaj ranno Jutrzenko« wyśpiewana piersią gotowych na śmierć, a pobożnych rycerzy, brzmiała powagą straszną pohańcom. Turcy, zdziwieni, przerażeni, pewni, że nadeszły posiłki oblężonym, uciekli, pierzchając w nieładzie.

Wspomniane wyżej »Godziny błogosławionej Panny Maryi«, przełożył ks. Wujek na język polski »za naleganiem wielu Polaków i z koniecznej potrzeby zapobieżenia wpływowi, jaki wywiera śpiewanie hymnów heretyckich«[2]. Melodye wzięto z hymnarza rzymskiego. Ułożone przez Diomedesa Catona melodye do tychże godzin nie przyjęły się u ludu. Zdaje się przecież, że melodye do pieśni pierwszej na nieszpór »Zdrowaś Gwiazdo morska« i do pieśni na *Laudes:* »O gospodze uwielbiona«, przez polskiego kompozytora ułożone zostały. Pierwszą z nich śpiewa się po dziś dzień na pogrzebach dzieci[3], druga zaś umieszczona jest na końcu tabulatury muzyki Jana Aleksandra Gorczyna z r. 1647[4] w na-

[1] Wydał ją także zasłużony badacz starożytności muzycznych polskich Aleksander Poniński w swych »Śpiewach chórowych« z XVI i XVII wieku, na str. 18. Melodya, jako cantus firmus w tenorze, ma inny tekst. Warszawa 1890 r. Nakładem redakcyi *Echa muzycznego.*

[2] Ob. Jocher Adam: »Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce« i t. d. u Zawadzkiego, 1842, tom III, str. 145.

[3] Ob. *Cantionale ecclesiasticum* ks. Surzyńskiego. Ed. tertia. Str. 296.

[4] Rękopisy Biblioteki Jagiellońskiej.

der prostym, znacznie od dzisiejszej melodyi różniącym się układzie.

Pieśń »O gospodze uwielbiona« cieszyła się zawsze wielką popularnością u pobożnego ludu naszego. Przy jej odgłosie Władysław IV wjeżdżał do Częstochowy. Brzmiała ona przy koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej w kościele Dominikanów we Lwowie 1750 r. Grywano ją razem z hejnałami z wieży Maryackiej w Krakowie.

Z początku XVI w. przechowała się śliczna pieśń »Zdrowa bucz Maria«, dzisiejsza pieśń adwentowa »Zdrowa bądź Marya«, przełożona prawdopodobnie z czeskiego tłómaczenia hymnu łacińskiego: *Ave hierarchia.* Stara melodya tej pieśni znana jest z rękopisu malborskiego [1], tudzież z śpiewnika braci czeskich Walentego z Brzozowa 1554 r.

Jedną z najstarszych i najpiękniejszych pieśni polskich na cześć Matki Boskiej jest krótkie, ale nader treściwe wezwanie pomocy Najświętszej Panny w smutku i boleści zaczynające się od słów: »O Marya czysta (cna) dziewica« [2], śpiewana po dziś dzień przez zakonników na Jasnej Górze w Częstochowie. Za wielką jej starożytnością przemawia melodya w szóstym tonie kościelnym (hypolidyjskim) nader umiejętnie złożona, tudzież ostatnie słowa pieśni »tako Boże day«.

Lud dodaje zwykle do pieśni tej dwie zwrotki, pierwszą do św. Jana Ewangielisty, drugą do św. Anny »samotrzeciej«.

Po dziś dzień śpiewa ją lud polski powszechnie przed kazaniem i przed rozpoczęciem różańca w dni powszednie.

Jedną z najbardziej i najdawniej u nas rozpowszechnianych pieśni do Matki Boskiej jest t. zw. hymn św. Kazimierza: *Omni die die Mariae.* Ułożony on został przez św. Tomasza z Akwinu pod tyt.: *Soliloqium soliloquiorum S. Thomae de Aquino ord. praedic* [3].

---

[1] Podanego na końcu »Słownika muzyków polskich« Sowińskiego. Dodatek B.

[2] Ob. *Graduale pro exercitatione studentium.* Vilnae, Typogr. Societatis Iesu. 1693.

[3] Ob. Mone F. J.: *Lateinische Hymnen des Mittelalters aus Handschriften* etc. Freiburg im Breisgau 1853—1855. II, str. 258 i nast.

Przy otworzeniu trumny św. Kazimierza r. 1604 znaleziono w niej część tegoż hymnu, stąd świętemu królewiczowi polskiemu autorstwo jego przypisano. Pierwsze tłumaczenie polskie hymnu *Omni die* wydał ks. Stanisław Grochowski zaraz w dwa lata po odkryciu ciała św. Kazimierza.

Muzykę dorobił Diomedes Caton [1]. Biblioteka hr. Czarneckiego w Rusku pod Borskiem posiada pierwsze i drugie wydanie z r. 1606 i 1607 tegoż rzadkiego dziełka. Także Ambros w swej »historyi muzyki« [2] znał je z biblioteki Ossolińskich we Lwowie, posiadającej niekompletny egzemplarz drugiego wydania (1607) bez nut, które widocznie wydarte zostały, gdyż to samo wydanie, przechowane w Rusku, ma na końcu nuty.

Najpiękniejsza melodya do hymnu *Omni die* przechowała się w rękopiśmiennym kancyonale po Klaryskach gnieźnieńskich z XVII wieku. Była to melodya wówczas także i w Niemczech powszechnie używana [3], choć obok niej kilka innych stare śpiewniki podają.

Także i dzisiaj żadna chyba pieśń kościelna u nas wedle tylu rozmaitych melodyi i z tylu odrębnymi tekstami się nie śpiewa, co *Omni die*. Największą popularnością cieszy się pieśń: »Już od rana rozśpiewana chwal o duszo Maryę«, dla swego zbyt wesołego rytmu »walcem Maryańskim« zwana, z Niemczech do nas przyniesiona. Także i cztery antyfony Matki Boskiej, *Alma Redempto-*

---

[1] »Rytmy łacińskie dziwnie sztuczne, y nabożeństwem swym a starodawnością dosyć wdzięczne: uczynione niekiedy od królewicza polskiego Kazimierza: y przy ciele jego w Wilnie znalezione: których on w każdy dzień (jako to znać z samego ich początku y w Rusku od dawnych lat tychże Rytmów Egzemplarz w kościele zawieszony tytułem swym tego poświadcza) za Modlitwę używał. Z obudwu pomienionych Egzemplarzów poprawne y iako mogło być najwłaśniej takimże Rytmem Polskim wyrażone y na trzy części dla śpiewania rozdzielone. Przydane są hymny z Godzinek (które zowiem Officium) o tejże Pannie Najświętszej. Przekładania X. Stanisława Grochowskiego. Wszystkie te Rytmy, które tu są z nutami nowemi, y z tabulaturą na Lutnią Diomedesa Catona«. W Krakowie. Bazyli Skalski drukował. Roku Pańskiego 1606.

[2] Ambros: *Geschichte der Musik*. Tom III, str. 440 i 441.

[3] Ob. Wilhelm Bäumker: *Das kathol. deutsche Kirchenlied etc.* Freiburg im Breisgau. Herder. 1883. Tom II, str. 94.

ris, Ave Regina, Regina coeli i *Salve Regina,* a zwłaszcza tę ostatnią od XV w. począwszy w polskim przekładzie u nas śpiewano.

Najstarszym jest układ polskiego *Salve Regina* w kancyonale Przeworszczyka z r. 1435: »Zdrowa Gospodze milosty«. Maciejowski[1] w swych pamiętnikach dwa podaje przekłady tejże antyfony — jeden prozą, drugi wierszem. Także i w »Żywocie Pana Jezusa« przez Baltazara Opecia[2] w r. 1522 wydanym dosłowny jej przekład umieszczony został. W Harfie duchownej, książce do nabożeństwa ks. Marcina Laterny z r. 1588 piękny jej przekład rymowany znajdujemy.

Melodyi do polskiego *Salve Regina* z wieku XVI dotąd nie znaleziono. Dzisiaj »Witaj królowo« stało się pieśnią najpopularniejszą. Śpiewamy ją w kościele, śpiewamy na pielgrzymkach, śpiewamy ją w radosnych chwilach, śpiewamy przy pogrzebie. Wszędzie ona polskiemu ludowi towarzyszy — zawsze tułaczom jest pociechą »na tym łez padole«.

W czasie morowego powietrza w XVII wieku często używano pomocy Matki Boskiej. Z licznych pieśni przeciw tejże zarazie ówczas śpiewanych pozostały: »Gwiazdo morza« i »Gwiazda niebieska śmierć wykorzeniła«, przełożona z łacińskiego hymnu: *Stella coeli extirpavit.* Rzewne melodye ich przechowały się w księgach roranckich na Wawelu.

W książce pod tyt. »Owczarnia w dzikiem polu«[3] na początku ośmnastego wieku przez ks. Stanisława Brzeżańskiego we Lwowie wydanej, przeszły do nas melodye i teksty trzech starych pieśni do Matki Boskiej:

---

[1] L. c. III, str. 39 i 126. Ob. także: »Polskie pieśni Kościoła katol.« Ks. Surzyński, str. 176 i 177.

[2] Opeć Baltazar: »Żywot Pana Jezusa Chrystusa Stworzyciela i Zbawiciela rodzaju ludzkiego wedle Ewangelistów świętych, z rozmyślaniem nabożnem doktorów pisma świętego krótko zebrany«. Kraków. Haller. 1522.

[3] »Owczarnia w dzikiem polu, część jej pierwsza (ze trzynastu). Posiłek jako najprędszy owieczkom Chrystusowym, zgłodniałym y zemdlonym. Wzruszeniem owczarni Pańskiej przez lata teraźniejsze znędznionym i rozproszonym to jest katechizm polski. Z przyczyn w informacyi wyrażonych. Pieśniami wydany przez X. Stanisława z Brzeżanki-Brzeżańskiego». W drukarni kol. Lwowskiego Soc. Iesu. R. P. 1717.

a) »Witaj królowa nieba,«

b) »Witam Cię, witam królowo niebieska«, i

c) »Bądź pozdrowiona Panienko Marya«.

Układ ich wyborny — szczególnym zaś wdziękiem odznacza się druga pieśń, nie mająca chyba obok siebie piękniejszej w muzycznej naszej literaturze kościelnej.

Rychło przyjął się także i u nas śpiew wzniosłej sekwencyi Jakopona da Todi: *Stabat mater dolorosa*, w polskim przekładzie. Stara jej melodya przeszła do polskiego nabożeństwa pasyjnego. tj. do »Gorzkich żali« ze skarbca melodyi powszechnego kościoła.

Mamy przecież inne jeszcze z polskiej piersi wyśpiewane żale Maryi nad śmiercią Syna Boskiego w niezrównanej pieśni postnej: »Wszyscy mieszkańcy dworu niebieskiego«[1], którego piękny tekst i pełna przejmującego do głębi bólu melodya przechowała się w rękopiśmiennym kancyonale po Klaryskach Gnieźnieńskich z XVII wieku.

Mówiący o pieśniach polskich na cześć Maryi, nie może pominąć śpiewu różańcowego, przez XX Dominikanów w Polsce zaprowadzonego. O. Melchior Mościcki, prowincyał Dominikanów, polecił ks. Antoninowi z Przemyśla przetłumaczenie tekstu różańcowego z pism Ludwika z Granady. Przekład ten wyszedł w Krakowie, w drukarni Łazarzowej, roku 1583, bez melodyi. Jak dzisiaj tak i wówczas bowiem śpiewano pieśni różańcowe według znanych powszechnie melodyi do »O Gospodzie uwielbiona«, »Raduj się ziemio«, »Boska dobroci« i »Zwycięzca śmierci«. Żadne nabożeństwo tak się u nas nie rozpowszechniło, jak śpiew różańca. Powstały t. zw. bractwa literackie w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie i po wszystkich prawie większych parafiach, których członkowie chwałę Matki Boskiej Różańcowej rano i wieczorem po kościołach naszych przez cztery przeszło wieki wyśpiewują.

Że nabożeństwo do Matki Boskiej Niepokalanie poczętej u nas już dawno wśród ludu się przyjęło, świadczą stare

[1] Ks. Surzyński: »Śpiewajmy Panu«, str. 184.

pieśni: »Zawitaj córko Ojca przedwiecznego« i »Ty, któraś pięknie dni swoje kończyła«. Pierwotna ich melodya przechowana w księgach roranckich na Wawelu w pieśni łacińskiej: *Insignis Mater incarnati Dei,* z małemi zmianami i w kościołach naszych po dziś dzień bywa śpiewana. Także i antyfonę: *Tota pulchra es Maria,* z jej rzewną melodyą dorycką od kilkuset lat na chórach naszych kościołów, zwłaszcza zakonnych, często wykonywano. Nie brak jej w żadnym prawie kancyonale polskim z XVII wieku.

Prócz powyższych, najbardziej dzisiaj śpiewamy następne pieśni do Matki Boskiej Niepokalenie poczętej:

1) »Ciebie na wieki wychwalać będziemy«.

2) »Honor Marya, sława Marya«.

3) »Matko niebieskiego Pana ślicznaś i niepokalana«.

4) »Witaj święta i poczęta niepokalanie«.

5) »W pierwszym momencie bez zmazy poczęta Panno niepokalana«.

6) »Wzmocnij usta Twoje«.

7) »Zdrowaś Maryo, Boga Rodzico«.

8) »Perło droga, Matko Boga«.

Także i jedna z niewiast polskich uplotła wieniec pobożnych melodyi na cześć Matki Boskiej. Była nią Filipina Brzezińska. Napisała muzykę do »Zdrowaś Marya, Syrokomli i do pieśni »Niebieskiego dworu Pani«. Największą jednak popularnością cieszy się jej melodya do pieśni ks. Antoniewicza: »Nie opuszczaj nas«.

Kończąc rzecz o pieśniach ludowych na cześć Matki Boskiej w Polsce, nie mogę pominąć milczeniem dwóch szczególnie ulubionych pieśni ułożonych przez ks. Antoniewicza — wspomnianej co dopiero pieśni: »Nie opuszczaj nas« i pieśni »Serdeczna Matko«. Wyśpiewane są one z duszy i z piersi ludu naszego. Lud śpiewa je z wielkim zapałem, są one przecież świetnym wyrazem naszych bólów, naszych nadziei, przedewszystkiem zaś głośnym objawem tej samej wiary w potężną opiekę Maryi, z jaką błagaliśmy ją o ratunek Częstochowy i jaka nas rzuciła pod przewodnictwem króla, do stóp Królowej Polski we Lwowie.

Tak te ostatnie pieśni, jak i wszystkie nasze tak liczne,

a tak piękne, tak tkliwe, tak przytem poważne pieśni do Matki Boskiej, to niezrównany skarb poezyi i muzyki kościelnej, którym się raduje każda szczera polska dusza katolicka. Tem są te pieśni dla wykształconych, a dla prostaczków są wszystkiem. Chłop polski może nie umie czytać; — ale gdy ze słuchu nauczy się pieśnią głosić sławę Maryi, to w duszy jego silniej drgają tętna religijnych uczuć, niż u wykształconych wiernych innych narodów. O wiernych palestyńskich chrześcijanach piątego wieku pisze Hieronim św., że oracz za pługiem wyśpiewuje Dawidowe psalmy, a właściciel winnicy obcinając krzywym sierpem obwisły winograd z radosnej piersi wykrzykuje *Alleluja*, a góry i doliny odbrzmiewają świętą pieśnią. Polak nawet wśród boju chwali Maryę — śpiewa o niej w radości, śpiewa w smutku, śpiewa na pielgrzymkach, śpiewa przy grobie, a odgłosem tych pieśni odbrzmiewa niebo i razem z nami chwałą swej Królowej się cieszy.

II.

Muzyka figuralna.

Muzyka Kościoła katolickiego złączona jest ściśle z jego liturgią. Kompozytor katolicki, piszący dla Kościoła, winien stosować się, tak pod względem tekstu swej kompozycyi, jak i pod względem jej charakteru do przepisów liturgicznych. Rozumiejąc to dobrze, kompozytorowie polscy w wiekach XVI, XVII i XVIII brali do swych utworów tekst łaciński z rzymskiego mszału i brewiarza; rzadko słyszano wówczas w kościołach naszych śpiewy kilkagłosowe z polskim tekstem w czasie mszy św. i nieszporów. Polski śpiew ograniczał się na procesye i na t. zw. nabożeństwa dodatkowe, a więc na godzinki, różaniec, suplikacye i t. p. To też i kompozycye kilkugłosowe na cześć Matki Boskiej w Polsce aż do początku XIX wieku mają prawie wyłącznie łaciński tekst liturgiczny, albo przynajmniej tekst łaciński przez Kościół aprobowany.

W liturgii Kościoła katolickiego jedno z pierwszych miejsc zajmuje nabożeństwo do Matki Boskiej. W katedrach i kollegiatach co dzień na Jej cześć śpiewają kapłani mszę roratną. Wszyst-

kie pacierze kapłańskie kończą się antyfoną do Matki Boskiej. Podczas licznych świąt Maryi w ciągu roku Kościół wzniosłymi hymnami chwałę Jej głosi. Katolicki na wskroś naród nasz, kochający gorąco Maryę, nie mógł pozostać w tyle za innymi narodami Matkę Bożą ustami najdzielniejszych muzyków swych wielbiącymi. Najstarszy nasz kompozytor polski ks. Sebastyan z Fulsztynu, profesor uniwersytetu krakowskiego, pierwsze napisał pieśni kilkugłosowe na cześć Maryi. Są niemi: antyfona *Felix es Virgo Maria,* introit *Rorate coeli,* graduał *Ave Maria* i proza *Virginis Mariae laudes.* Utwory te świadczą o wielkiej erudycyi muzycznej ks. Felsztyńskiego. Jest to muzyka jakby z innego świata. Trzeba się w nią wsłuchać, by odkryć jej piękność tajemniczą. Potęga tonów Felsztyńskiego dlatego tak jest wielką, że melodya gregoryańska jakoby nić złota w tenorze przez utwór się wije, podczas gdy reszta głosów kontrapunktycznie jej towarzyszy [1]. Omyliłby się jednak, ktoby w melodyach Felsztyńskiego szukał prostych linii, ktoby w muzyce jego chciał znaleźć przejrzyste harmonie i jasne formy. Pamiętajmy, że stoi on jeszcze pod wpływem zawiłych reguł kontrapunktycznych szkoły niderlandzkiej, i że dopiero w pięćdziesiąt lat po nim zakwitła szkoła rzymska pod kierunkiem Palestryny, którego dzieła na zawsze pozostaną wzorem dla muzyki figuralnej kościoła katolickiego.

Polskim Palestryną nazwać można Mikołaja Zieleńskiego, organistę i dyrygenta kapeli prymasa Baranowskiego.

Wielki ten mistrz napisał między wielu innemi dziełami także kilka motetów na cześć Matki Boskiej. Są to istne perły polifonii klasycznej. Jego *Magnificat* na 12 głosów śmiało obok podobnych dzieł ówczesnych mistrzów weneckich i rzymskich stanąć może. W motecie *O gloriosa Domina* [2] wspiął się na wyżyny kościelnej sztuki muzycznej. Komunia jego na Wniebowzięcie Matki Boskiej *Optimam partem elegit sibi Maria,* to jakby podsłuchany chór aniołów Maryę w niebie witających. Cóż dopiero powiedzieć o jego wspaniałych siedmio- i ośmiogłosowych ofertoryach na

[1] Ks. Surzyński: *Monumenta musices sacrae in Polonia.* Poszyt II.
[2] Ob. »Muzyka kościelna«. Rok XVIII. nr. 10.

święta Matki Boskiej, z towarzyszeniem orkiestry? Jakaż cudna w nich architektonika muzyczna, jaka forma ścisła, jakie oryginalne i wyraziste melodye! Trudno opisać wrażenie, jakie one na słuchaczu pobożnym wywierają. Nikt ich naśladować, nikt przewyższyć dzisiaj nie potrafi.

* * *

Dzieła Zieleńskiego wydane zostały w drukarni Jakóba Vincenzo we Wenecyi r. 1611[1]. Są one chlubą imienia polskiego, budzą uwielbienie za granicą, a zarazem zdziwienie, że tak długo w pyle bibliotecznym zagrzebane były.

Sprowadzony do Polski przez Stanisława Kostkę, podskarbiego ziem pruskich, mistrz wenecki Diomedes Caton napisał prześliczną muzykę do kilku pieśni o Matce Boskiej, ks. Stanisława Grochowskiego, wydanych r. 1606 w Krakowie[2]. W dedykacyi przekładu pieśni *Omni die* pisze Grochowski:

Dyomedes służąc rad dziewicy Maryi,
Ten tekst ozdobił głosami wdzięcznej harmonii
Włoch Diomedes Caton, który wieku tego
W słodkim graniu i śpiewaniu nie ma podobnego
A rzekłbym Orfeusza celuje swem pieniem
Celuje Amfiona łagodnych strun brzmieniem,
Bo on leśnym, ten wodnym śpiewał duszom
Cato rozumnych ludzi dosyć czyni uszom!

---

[1] ***Offertoria totius anni, quibus in Festis omnibus Sancta Romana Ecclesia uti consuevit, septenis et octonis vocibus tam vivis, quam instrumentalibus accommodata. His accesserunt aliquot sacrae simphoniae cum Magnificat vocum XII.*** Auctore Nicolao Zieleński Polono organario et capellae Magistro Illustrissimi Reverendissimi Dni. Dni. Alberti Baranowski Dei gratia Archiepiscopi Gnesnensis etc. Venetiis apud Iacobum Vincentium MDCXI.

Communiones totius anni, quibus in solemnioribus Festis Sancta Romana Ecclesia uti consuevit ad cantum organi per unam, duas, tres, quatuor, quinque, sex voces tam Instrumentis musicalibus, et vocis resolutione, quam Itali Gorgia vocant, decantandae. His accesserunt aliquot symphoniae quatuor, quinque et sex vocum et tres Fantasiae Instrumentis musicalibus accommodatae. Auctore Nicolao Zieleński Polono organario et capellae Magistro Illustrissimi Reverendissimi Dni. Dni. Alberti Baranowski Dei gratia Archiepiscopi Gnesnensis etc. Venetiis apud Iacobum Vincentium MDCXI.

[2] »Rytmy łacińskie« i t. d., ob. wyżej, str. 53.

Polski Orlando Lasso, Bartłomiej Pębiel, drugi dyrygent kapeli nadwornej w Warszawie, najdzielniejszy kompozytor polski XVII wieku [1], pisał także dzieła na cześć Matki Boskiej, przeważnie na męskie głosy [2]. Jego *Sub Tuum praesidium* wstrząsa duszą słuchacza, a motety *Assumpta est Maria* i *Conceptio tua Dei genitrix virgo* przechowane w księgach roranckich, są tworami geniuszu muzycznego, są pieśniami miłującej gorąco Maryę duszy.

Dramatycznem nadzwyczaj jest przeciwstawienie chóru anielskiego w pierwszym z nich, przy słowach *Gaudent Angeli, laudates benedicunt Dominum,* chórowi ziemskich wielbicieli Maryi: *Nos quoque mortales gaudeamus, iubilemus dicentes: vivat Maria.* Okrzyk radosnej jubilacyi *vivat Maria* ośm razy z rosnącą siłą się powtarza. Zdaje ci się, jakby śpiewy ziemian echem odbijały się u stóp Maryi Wniebowziętej i łączyły się w zgodną harmonię z chórami anielskimi w niebie.

Najwięcej utworów muzycznych na cześć Matki Boskiej napisał ks. Grzegorz Gorczycki, penitencyarz i dyrygent katedralny krakowski z końca XVII i początku XVIII wieku, zwany na nagrobku swym, w katedrze na Wawelu, *gemma sacerdotum.* Pomijając jego wyborną harmonizacyę do pieśni z Godzinek o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny, wyszczególniam motety: *Tota pulchra es Maria, Ave mundi spes Maria, Ave Maria* i sekwencyę *Stabat Mater* na cztery głosy mieszane. W utworach tych maluje się tkliwe nabożeństwo ks. Gorczyckiego do Matki Boskiej. Pierwszy z nich *Tota pulchra* jest istną perełką kościelnej muzyki polskiej. *Ave mundi spes Maria* cieszy się i dzisiaj jeszcze wielką wziętością na chórach naszych, tyle w nim prostoty, tyle przytem melodyjnych motywów, że nigdy one się nie zestarzeją. Jego *Ave Maria* mimo swego zawiłego opracowania kontrapunktycznego, brzmi wspaniale. Tenor śpiewa melodyę t. zw. *tonus peregrinus* z psalmodyi kościelnej jako *cantus firmus,* a reszta głosów mu wtóruje. *Stabat Mater* ks. Gorczyckiego składa się z czterech krótkich i odrębnych części. W pierwszej części tenor

[1] Mikołaj Zieleński sięga jeszcze i duchem muzyki swej i twórczością swą w wiek XVI.

[2] Właściwie na alt (który śpiewali falsetyści), tenor. baryton i bas.

śpiewa melodyę jako *cantus firmus,* w drugiej części tę samą melodyę ma sopran, a tenor melodyę sopranu z części pierwszej. Głosy te są napisane w t. zw. podwójnym kontrapunkcie oktawy. Reszta głosów wypełnia harmonię. Przenikającem duszę do głębi jest zakończenie drugiej części przy wyrazach *pertransivit gladius,* malujące tonami zagłębianie się miecza boleści w zasmuconą i bolejącą duszę Maryi.

Z drugiej połowy XVIII i z pierwszej połowy XIX wieku żadnych prawie zabytków muzyki kościelnej nie mamy. Była to epoka jej największego upadku. Jedynie w murach klasztornych, zwłaszcza wśród oddanych na służbę Bożą dziewic zakonnych, mianowicie wśród Klarysek i Benedyktynek, stare utwory klasycznej muzyki z nabożeństwem wykonywano. Świadczą o tem pozostałe po tych klasztorach kancyonaliki.

We wspomnianych kilkakrotnie rękopisach po Klaryskach gnieźnieńskich przechowały się liczne pieśni do Matki Boskiej z łacińskim i polskim tekstem. Są tam hymny, litanie, pieśni na cztery głosy mieszane, nawet sztuczny kanon do słów: *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum.*

Daleko bogatszy, zwłaszcza w polskie pieśni trzy i cztero głosowe do Matki Boskiej, jest drugi kancyonał Panien Benedyktynek w Staniątkach. Na wewnętrznej stronie okładki czytamy tamże: »Anna Kiernicka z R. O. S. B. (zakonnica Reguły Ojca świętego Benedykta). Ten Kancyonał sporządzony Roku Pańskiego 1754«. Pieśni napisane są przeważnie na trzy głosy żeńskie. Najniższy głos ma cyfrowany bas do towarzyszenia pieśniom na organach. Pośród trzydziestu pieśni do Matki Boskiej odznaczają się i tekstem i melodyą następne trzy:

a) »Wszystkaś wszystka piękna jest«.

b) »Najświętsza Panna, śliczna Marya«.

c) »Bądź wesoła Panno czysta« [1].

Pierwsza z nich jest przekładem starożytnej antyfony: *Tota pulchra es Maria.*

---

[1] Ob. »Muzyka kościelna«, r. 1901, w nutowym dodatku do nr. 3, str. 15 i nast.

Podaję cały jej tekst według rękopisu:

Wszystkaś wszystka piękna iest kochanko moia
Wszystkaś wszystka wdzięczna iest iedyna moia,
Podz-ze podz z Libanu zetrzeć łeb szatana
Jedyna moia, kochanko moia.

Wszystkaś wszystka czysta iest kochanko moia
Wszystkaś wszystka miła iest iedyna moia
Słońcem przyodziana, za Matkę obrana
Słowu wiecznemu, Bogu naszemu.

Wszystkaś wszystka bez zmazy miłeńka moia
Wszystkaś wszystka bez skazy kochanko moia
Miesiąc pod nogami, by swemi rogami
Bronił cudnego Poczęcia twego.

Wszystkaś wszystka śliczna iest kochanko moia
Wszystkaś wszystka iasna iest iedyna moia
Gwiazdy masz w koronie, by zdobiły skronie
Oblicza twego Niezmazanego.

* * *

Muzyka do pieśni tych z dziwną prostotą łączy wysoki polot myśli i niebiańskie iście natchnienie. Mimo swej skromnej szaty harmonicznej silne ona wywiera wrażenie na pobożnym słuchaczu.

Ruch kompozytorski w kościele polskim ożywiać się zaczął na początku dziewiętnastego stulecia, gdy geniusz Mozarta niestety także i na naszych muzyków wpływ swój wywierać zaczął.

Mówię »niestety«, gdyż kościelna muzyka Mozarta zbytnio duchem świeckiej aryi przesiąknięta, zeszła z podstawy, na której Kościół katolicki muzykę swą ugruntował — odstąpiła od śpiewu gregoryańskiego, zerwała ze szkołą rzymską, a wprowadziła do świątyń Pańskich lekką muzykę teatralną. Wszyscy znakomitsi kompozytorowie nasi z początku XIX wieku, a mianowicie Elsner, Stefani, Kurpiński, Krogulski, Nowakowski, Sowiński, z późniejszych Moniuszko i Zientarski pisali dla Kościoła w opisanym co dopiero duchu świeckiej muzyki. Że jednak tak pisali, nie ich wina, lecz wina epoki, w której żyli.

Ułożyli oni także liczne pieśni na cześć Matki Boskiej. Kompozycye te świadczą o dobrej intencyi autorów, a intencyą tą

było uczczenie Maryi, królowej Nieba i naszej. Można je śpiewać na koncertach religijnych w salach i teatrach — nie zaś w kościele.

Z epoki tej wymieniamy następujące kompozycye:

Elsner. Op. 93. Sekwencya *Stabat Mater* 4 gł. z orkiestrą.

Klonowski Teofil w dziele: »Szczeble do Nieba« umieścił kilkadziesiąt pieśni do Matki Boskiej swego układu.

Krogulski Józef. Kantata o narodzeniu N. Panny z organami.

Krogulski Michał. *Ave Maria* duet na alt i tenor; hymn błagalny do Matki Boskiej na 4 gł. męskie.

Lubomirski Kazimierz. Op. 54. »Zdrowaś Marya« duet na sopran i tenor z organami.

Łodwigowski E. Op. 46. »Zdrowaś Maryo« na 4 gł. mieszane z organami.

Moniuszko St. a) Cztery litanie do Najśw. Panny Ostrobramskiej na 4 głosy, solo, chór i orkiestrę.

b) Modlitwa do Bogarodzicy na jeden głos z organami (»Głos mój podnoszę«).

c) Hymn do Matki Boskiej na 2 głosy (alt i bas) z organami (»O Królowo pełna łaski«).

d) Pozdrowienie anielskie na 4 gł. z org.

e) »Pod Twoją obronę« na jeden głos z organami.

f) Zwiastowanie na mezzosopran lub baryton z org.

g) Modlitwa »O Maryo bądź pozdrowiona«.

Nidecki N. T. *Salve Regina* na 4 głosy męskie.

Nowakowski Józef. a) Hymn do Bogarodzicy na 4 gł. mieszane.

b) *Ave Maria* z tow. org. i wiolonczeli.

Roztworowski I. N. »Hymn do Bogarodzicy« na 4 gł. m. z or.

Rudkowski M. »Nie opuszczaj nas« na 1 głos z organami.

Sowiński Wojciech. a) op. 57 *Ave Regina* i *Ave maris stella* na 3 głosy z organami.

b) *Inviolata* i *Salve Regina* na sopran, tenor i bas.

W oratoryum swem »Św. Wojciech«, opracował Sowiński melodyę pieśni »Boga Rodzica« na głosy i orkiestrę.

Stefani Józef. *Ave Maria* na sopran, skrzypce i organy.

Studziński Karol. Op. 10 »O święta Bogarodzico«. Modlitwa do Matki Boskiej na jeden głos z organami.

Troszel. »Zdrowaś Marya« na jeden głos z organami.

Wieniawski Józef. Op. 16 »O Maryo Wilna obrono«.

Zarzycki Alex. Op. 27 a) *Ave Maria* na sopran i baryton z organami, i b) *Salve Regina* na chór męski.

Zientarski Romuald. W dziele swem »Muzyka kościelna, choralna i figuralna«, wydał harmonizacyę wszystkich prawie hymnów do Matki Boskiej w kościele podczas nabożeństwa używanych.

Złotaszewski J. a) »Modlitwa do Bogarodzicy« na jeden głos z organami.

b) »Zdrowaś Maryo« na 4 głosy mieszane.

* * *

Dopiero od ćwierć wieku zaczęto i u nas naprawiać muzykę kościelną, opierając się na właściwym jej fundamencie, tj. na śpiewie gregoryańskim. Prawie wszyscy najnowsi kompozytorowie kościelni w naszym kraju kształcili się w kościelnej szkole muzycznej w Ratyzbonie na wzorach Palestryny, Orlanda, Wittorsi, a z nowszych: ks. Witta, Mitterera, Hallera i innych.

Kompozycye tych nowych, polskich mistrzów drukowane były w miesięcznikach: »Muzyka kościelna« w Poznaniu i »Śpiew kościelny« w Płocku, tudzież w czasopismach i zbiorach zagranicznych, a mianowicie we francuskiem *Cantica Sion*[1] i w osobnych wydaniach.

Otóż ich wykaz:

A) Kompozycye do tekstów polskich.

Nowialis Józef. »Gdy bez dzieciny oglądam Cię Panno« hymn do Najśw. Panny Maryi. Słowa M. Sarbiewskiego, tłom. Wł. Syrokomli, na mezzosopran lub baryton.

---

[1] *Cantica Sion. 220 Chants Latins anciens et nouveaux a 2, 3, 4 voix égales, parfois mixtes, reueillis* par le P. G. Jung S. J. directeur de l'oeuvre

Surzyński Józef ks. dr. t. Cztery pieśni do Matki Boskiej na 4 głosy męskie i mieszane. 1) »Nie opuszczaj nas«, 2) »Zdrowaś Maryo«, 3) »Najśw. Panno«, 4) »Gwiazdo jasności«; »Nie opuszczaj nas« i »Serdeczna Matko« na chór mieszany; »Zawitaj Córko Ojca Przedwiecznego« na jeden głos z organem lub na 4 gł. mieszane; trzy pieśni do Matki Boskiej na chór mieszany: a) »Pieśń pokutującego grzesznika«, b) »Pieśń o błogosławionej Pannie i o błogosławionym Jej Synie«, c) »Królewna wieczna«; pieśni do Matki Boskiej z rękopisu z r. 1754 na chór mieszany à capella i na 3 głosy z organem: a) »Najświętsza Panno, śliczna Maryo«, b) »Bądź wesoła Panno czysta«.

Surzyński Mieczysław. Cztery pieśni do Matki Boskiej na chór mieszany (słowa ks. Antoniewicza i ks. Arciszewskiego): a) »Maj przeminie«, b) »Bogarodzico przeczysta Panno«, c) »Matko potężna«, d) »Zdrowaś Marya«: Dwie pieśni do N. M. P. na dwa głosy z organami (poświęcone pamięci Szymona Kozłowskiego, arcyb. mohilewskiego: a) »Tysiąc razy pozdrawiamy«, b) »Serdeczna Matko«.

Surzyński Stefan. Wianek majowy ku czci N. M. P. zawierający 15 pieśni na 4 głosy mieszane:

Walczyński Fr. ks. Pieśni o N. M. P. Nieustającej pomocy na 4 głosy mieszane: a) »Matko pomocy nieustającej«, b) »Panno święta, my sieroty«, c) »Witaj gwiazdo morza«, d) »O Maryo wspomnij na mnie«; »Weź w swą opiekę nasz Kościół święty«, modlitwa do N. M. P. za Kościół św. i Ojca św. na chór mieszany. Dwanaście pieśni do N. M. Panny Królowej Korony Polskiej na chór mieszany: 1) »Bądź pozdrowiona Panno nieskalana«, 2) »Bogarodzico Przeczysta Panno«, 3) »Bogarodzico Tyś świadkiem mej doli«, 4) »Bolesna Matko«, 5) »Królowo Polska«, 6) »Maryo, Bogarodzico«, 7) »Najświętsza Panno«, 8) »Nie opuszczaj nas«, 9) »O prześliczna Panienko«, 10) »O wielka Matko«, 11) »Perło droga, cna Panienko«, 12) »Witaj jutrzenko«.

Wiele pieśni do N. M. P. znajduje się w śpiewnikach Gra-

---

des Alsaciens-Lorrains a Troyes. III édition Strassbourg. F. X. Le Roux C-ie 34 rue des Hallebards. Paris, Réné Haton 35 rue Bonaparte, 1890.

bowskiego J. p. t. »Pieśni Kościoła rzymsko-katolickiego«; Dietza L. p. t. »70 pieśni religijnych i świeckich na 4 głosy mieszane i męskie«; Muthwila E. K. p. t. »Melodye«, »Kancyonał dla ludu katolickiego«; ks. Soleckiego L. p. t. »Zbiór pieśni (100) dla młodzieży i ludu«; Kiewicza T. op. p. t.: »Wybór szczególniejszych pieśni kościelnych na 4 równe głosy«.

Antyfonę »Pod Twoją obronę« opracowali na chór jednogłosowy z organami: ks. Józef Mazurowski, Teofil Klonowski, Ryszard Gilar i Stefan Surzyński; zaś ks. dr. Józef Surzyński ułożył nową oryginalną melodyę do tej antyfony i sharmonizował ją na 4 głosy mieszane *à capella.*

»Litania loretańska«. Najużywańsze melodye kościelno-ludowe do litanii tej używane, sharmonizowali ks. dr. Józef Surzyński, ks. Mazurowski Józef, Klonowski Teofil i Ryszard Gilar (4 melodye).

B) Kompozycye do tekstów łacińskich.

Surzyński Józef ks. dr.: 1) *Ave Maria,* na chór mieszany; 2) *Ave Maria,* na 2 głosy z organami; 3) *Salve Regina,* na 2 głosy z organami; 4) *Regina coeli,* na 4 głosy mieszane *à capella;* 5) *Salve Regina,* na chór męski; 6) *Litaniae Lauretanae,* na chór dwugłosowy z organami; 7) *Litaniae Lauretanae,* na 4 męskie głosy; 8) *Vesperae de B. V. M.,* na chór mieszany z tak zwanemi *falsi bordoni;* 9) *Ave maris stella,* na chór mieszany; 10) *Tota pulchra es Maria,* na 2 głosy z organami; 11) *Tota pulchra es Maria,* na 2 chóry jednogłosowe z organami; 12) *Stabat Mater,* na chór 3 głosowy z organem.

Surzyński Mieczysław: IV. *Antiphonae Marianae: Alma Redemptoris, Ave Regina, Regina coeli, Salve Regina,* na chór mieszany; *Ave Maria,* na chór męski.

Surzyński Stefan: *Ave Maria* na 4 głosy mieszane.

Walczyński Fr. ks.: 1) Op. 16 *Quatuor Antiphonae Marianae: Alma Redemptoris, Ave Regina, Regina coeli, Salve Regina* na 1 głos z organami lub 4 głosy mieszane, 2) Op. 13, *Quatuor Antiphonae...* jak wyżej, na 4 głosy mieszane *à capella;* 3) Op. 27. *Laudes Marianae* na 3 głosy równe *à capella:* a) *Omni die,* b) *Ave maris stella,* c) *Ave Mundi spes,* d) *Maria, Mater gratiae,* e) *O glo-*

riosa Domina, f) *Ave Maria,* g) *Stabat Mater,* h) *Sub Tuum praesidium;* 4) Op. 32. *Carmina ad B. V. M.* na 4 głosy mieszane: a) *Ave Maria,* b) *Ave maris stella,* c) *O gloriosa Virginum,* d) *O Maria, Virgo pia;* 5) Op. 47. *In honorem B. V. M. Cantilenae sacrae,* na 4 głosy mieszane: a) *Ave maris stella,* b) *Ave mundi spes,* c) *Ave Maria;* 6) Op. 50. *Invocatio et laudatio B. V. M.* na 4 głosy mieszane: a) *Inviolata et integra;* b) *Tota pulchra es Maria;* 7) Op. 24. *Ave Maria* i *Maria mater gratiae* na chór 3 głosowy; 8) Op. 27. *In honorem B. V. M.:* a) *Ave Maria* i *Ave maris stella,* na 3 głosy równe; 9) Op. 35. *Cantilenae Marianae:* a) *Ave maris stella* i b) *Ave mundi spes,* na chór męski; 10) Op. 36. *O gloriosa Domina, Ave mundi spes,* na 3 głosy równe; 11) Op. 49. *Ad Mariam, Virginem et Matrem:* a) *O Maria, Virgo pia,* b) *Omni die dic Mariae,* c) *Virgo Virginum,* d) *Ultima in mortis hora,* na 3 głosy równe z organami.

Żeleński Wład: *Salve Regina,* na chór męski.

W operze »Konrad Wallenrod«, tegoż mistrza, śpiewa chór prześliczną litanię do Matki Boskiej z tekstem polskim.

* * *

Gdy porównamy pieśni i kompozycye muzyczne na cześć Matki Boskiej w Polsce ułożone, z takiemiż pieśniami i utworami innych narodów katolickich, widzimy najpierw, że literatura nasza kościelna daleko bogatsza jest w tego rodzaju pieśni — niż którakolwiek inna literatura zagraniczna. Pod względem zaś układu i formy tychże kompozycyj, zauważamy, że tchną one dziwną tkliwością i rzewnością, że czuć w nich synowskie przywiązanie narodu do swej Matki i Królowej. Wypłynęły one z duszy kompozytora polskiego, prawdziwie w Jej potężną opiekę wierzącego. Muzycy polscy, choć trochę jadem reformacyi zarażeni, na cześć Matki Boskiej nic nie pisali. Podobnie jak na próżno w dziełach Jana Kochanowskiego szukałbyś hymnu do Matki Boskiej, tak i współczesny mu Mikołaj Gomółka, twórca melodyi na psałterz Jana z Czarnolesia, Matce Bożej ani jednej nuty nie poświęcił. Z podnoszącym się dzisiaj duchem wiary katolickiej w narodzie rośnie także kult Królowej nieba Maryi, a z nim coraz lepsze i coraz liczniejsze płyną z piersi piewców polskich melodye i har-

monie na cześć Matki Boskiej. I dobrze nam z tem! Dawniej brzmiała pieśń do Bogarodzicy z ust rycerstwa przed bitwą z pohańcami — i dzisiaj już nie rycerstwu tylko i nie z zewnętrznym nieprzyjacielem walczyć przychodzi — ale wszyscy stoimy w szyku bojowym przeciw wewnętrznym nieprzyjaciołom, przeciw synom przewrotu społecznego. Dopóki w walce tej hasłem będzie imię »Bogarodzicy«, przed którem drżą książęta piekielni, dopóki w pieśni do Matki Bożej czerpać będziemy siłę i męstwo, dópóty zwycięstwo po naszej będzie stronie.

Dawniej w licznych pieśniach wzywaliśmy pomocy Maryi w czasie morowej zarazy. Dzisiaj duch bezbożności chciałby zatruć starą naszą wiarę w Jezusa Chrystusa Boskiego Syna Maryi. Przeciwko tej nowoczesnej zarazie pieśń do Maryi będzie skutecznem lekarstwem i niechybną ochroną.

Ks. dr. Józef Surzyński.

KONKURS MARYAŃSKI
„PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

WYROK SĄDU KONKURSOWEGO
I UTWORY NAGRODZONE.

WYROK SĄDU KONKURSOWEGO.

Na ogłoszony, rok temu, konkurs *Przeglądu Powszechnego*, nadesłano trzydzieści jeden utworów. Tytuły następujące:

»Z pod świętej ziemi« — »Krwawy wieniec« — »Wspomożenie wiernych«* — »Łzy« — »Legenda pól« — »Itaque redeamus« — »Święty Jan Chrzciciel« — »Cud Najświętszej Panny« — »Do Najświętszego Dzieciątka« — »Legenda« — »Do Matki Przenajświętszej« — »Niepokalana« — »Immaculata« — »Bohdan Chmielnicki« — »Jutrzenka« — »Hyena« — »Żłobek« — »Znak wielki« — »Idea dziewiczego macierzyństwa« — »Polski zabobon« — »Gwiazda morza« — »U portu« — »Lilia« — »Ad te levavi oculos meos« — »Głos z pod Sandomierza« — »Era nowego roku« — »Na cześć Niepokalanej« — »Raj odzyskany« — »Zmierzch wśród raju« — »Przed obrazem« — »Cud Madonny«*

Po rozpatrzeniu nadesłanych rękopisów, sąd konkursowy uznał, że żaden z utworów nie mógł otrzymać najwyższej nagrody.

---

* Przy dwu utworach, oznaczonych gwiazdką (»Wspomożenie wiernych« i »Cud Madonny«), nie było koperty z nazwiskiem i adresem autora. Celem porozumienia się, prosimy obydwu autorów o łaskawe nadesłanie nam adresu.

Redakcya Przeglądu Powszechnego
Kraków, Kopernika 26

Połowę całej kwoty konkursowej rozdzielił sąd w sposób następujący: za utwór sceniczny »Żłóbek« 300 koron — za nowelę »Przed obrazem« 150 koron — za utwór liryczny »Ad te levavi oculos meos« 100 koron — za nowelę »Gwiazda morza« 100 koron — za nowelę »Hyena« 100 koron.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami utworów w wymienionym porządku są: Lucyan Rydel, Irena Mrozowicka, Krystyna Saryusz-Zaleska, Ludwik Stasiak, Jakób Hodur.

Pozostała kwota wejdzie w nagrodę nowego konkursu, który w swoim czasie ogłosi Redakcya *Przeglądu Powszechnego.*

Sąd konkursowy:

Julian Klaczko *Kazimierz Morawski* *Józef Kallenbach*
Antoni Mazanowski *Ks. Jan Pawelski T. J.*

GODŁO:

Witaj Pani!
My poddani,
Do nóg Twoich padamy...

Stara pieśń.

ŻŁÓBEK[1].

SCENY Z POLSKICH JASEŁEK.

(Przeczysta polska noc zimowa, bielejąca śniegami, wysrebrzona miesiącem. W głębi rysują się wyraźnie ciemne sylwety wieżyc i kopuł Krakowa, wyżej piętrzą się potężne masy Wawelu. Ponad wieżą Zegarową świeci złocista, samotna gwiazda z długim, promiennym warkoczem: błyszczą w jej blasku dachy królewskiego zamku i katedry, iskrzy się wieży Maryackiej korona, majaczeje na lewo mogiła Kościuszki, bielą się zręby Zwierzynieckiego klasztoru.

Cały ten głęboki widnokrąg ujmują z obu stron, jak w ramy, wysuwające się z boków gałęzie poblizkich drzew, gęstym puchem okiści obarczone.

W pośrodku, zgarbiona, waląca się prawie szopa, śnieżnymi zwałami zawiana, stoi na wyniosłym zbrzeżku. Stara słomiana strzecha gnie się pod ciężarem śniegu, który wszystko przysypał dokoła i bieli się w błękitnawej księżycowej poświacie.

Szopa ma tylko trzy ściany z chrustu, brak czwartej pozwala zajrzeć do wnętrza, skąd bije olśniewający złoty blask od główki DZIECIĄTKA, złożonego w żłobie na sianie. Blask ten szeroką, złocistą smugą kładzie się na śniegu pod szopą.

---

[1] Przesyłając niniejszą pracę na konkurs *Przeglądu*, zaznaczam, że jest to część »Jasełek«, które z natury rzeczy, oparte być muszą na materyale ludowym, jakiego dostarczają kolędy i szopka. Wskutek tego »Żłóbek« nie może być uznany za owoc wyłącznie indywidualnej twórczości, ale raczej za organiczne powiązanie przewodnią, narodowo-religijną, myślą motywów tradycyą uświęconych. Z tego względu może niezupełnie odpowiadać on będzie warunkom konkursu, który oczywiście w pierwszym rzędzie domaga się samoistnej twórczości. *Autor „Żłóbka“.*

Żłóbek półkolem otaczają ANIOŁOWIE z trefionymi kędziorami włosów i złotemi obręczami na czołach; odziani w drogocenne kościelne kapy i dalmatyki, rozpościerają tęczowe skrzydła, w rękach dzierżąc multanki, tryangułki, skrzypki, fletnie i organki, lub srebrne kadzielnice dymiące wonnością; INNI, także z muzycznymi naczyniami i długimi zwojami nut, unoszą się nad szopą; INNI obsiedli dachu skłon i girlandy świeżych kwiatów opuszczają ze strzechy, u której, na kształt szklanej frendzli, zwisają lodowe sople.

Z boku, na progu szopy siedzi MATKA BOSKA, od stóp do głów okryta zwojami powłóczystej szaty; na lewo stoi Ś. JÓZEF, ubrany w ubogą opończę i przepasany skórzanym fartuchem; wspiera się na ciesielskiej pile, a w ręku trzyma kwitnącą łodygę białej lilii).

CHÓR ANIOŁÓW
(z podniesieniem kurtyny śpiewa kolędę)

Lulajże Jezuniu, moja perełko,
Lulaj ulubione me pieścidełko,
Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj,
A Ty Go matuniu z płaczu utulaj.
Lulajże różyczko najozdobniejsza,
Lulajże lilijko najprzyjemniejsza,
Lulajże Jezuniu... i t. d.
Lulajże najmilsza oczom gwiazdeczko,
Lulajże najczystsze swiatła słoneczko,
Lulajże Jezuniu... i t. d.

(Równocześnie zdala dolatuje stłumiony zrazu, potem coraz potężniejszy śpiew PASTERZY).

CHÓR PASTERZY (za sceną)

W żłobie leży
Któż pobieży
Kolędować Małemu
Jezusowi
Chrystusowi,
Dziś nam Narodzonemu.
Pasztuszkowie przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako Panu naszemu.

(Śpiew zbliża się stopniowo i rośnie. Wchodzą PASTERZE. Przodem wiejskie NIEDOROSTKI niosący na kiju dużą sześciokątną gwiazdę, wylepioną z kolorowego papieru, w niej zapalona świeca. Za nimi WIEJSKA MUZYKA:

kilkoro skrzypiec, basy, dudy, klarynety. Za muzyką wysypują się gromady ludu z wszelkich ziem polskich: WIELKOPOLANIE i ŚLĄZACY, KUJAWIACY i KRAKOWIACY, GÓRALE i HUCUŁY, LUBELSKIE i ŁOWICKIE w samodziałowych tkanicach, RUSINI, ŻMUDŹ, LITWINI, KASZUBY, MAZURY. Mężczyźni i kobiety, dzieci i starzy, wszyscy postępują powoli śpiewając. Każda ziemia niesie swoje płody).

CHÓR PASTERZY

My zaś sami
Z piosneczkami
Za wami pospieszymy,
A tak tego
Maleńkiego
Niech wszyscy zobaczymy:
Jak ubogo narodzony,
Płacze w stajni położony
Więc Go dziś ucieszymy.

(Klękają i dary kładą na wyniosłości pod progiem szopy. MATKA BOSKA i Ś. JÓZEF dziękują uśmiechami i skinieniem głowy).

CHÓR PASTERZY

Naprzód tedy
Niechaj wszędy
Zabrzmi świat w wesołości,
Że posłany,
Jest nam dany
Emanuel w niskości.
Jego tedy przywitajmy
Z Aniołami zaśpiewajmy:

CHÓR ANIOŁÓW razem z PASTERZAMI

Chwała na wysokości!

CHÓR PASTERZY

Witaj Panie,
Cóż się stanie,
Że rozkoszy niebieskie
Opuściłeś,
A zstąpiłeś
Na te niskości ziemskie?

CHÓR ANIOŁÓW

Miłość moja to sprawiła,
Że człowieka wywyższyła
Pod nieba Empiryjskie.

CHÓR PASTERZY

Czem w żłóbeczku,
Nie w łóżeczku
Na sianku położony?
Czem z bydlęty,
Nie z panięty
W stajni jesteś złożony?

CHÓR ANIOŁÓW

By człek sianu przyrównany,
Grzesznik bydlęciem nazwany
Przezemnie był zbawiony.

CHÓR PASTERZY

Twoje państwo
I poddaństwo
Jest świat cały, o Boże
Tyś polny kwiat,
Czemuż cię świat
Przyjąć nie chce, choć może?

CHÓR ANIOŁÓW

Bo świat doczesne wolności
Zwykł kochać, mnie zaś w swej złości
Krzyżowe ściele łoże...

(Hejnał z wieży Maryackiej — od strony Krakowa słychać nowy zbliżający się chór. Wchodzą RZEMIEŚLNICY z chorągwiami cechowemi, ale ubrani jak zwykle przy pracy, każdy z narzędziami swego zawodu).

CHÓR RZEMIEŚLNIKÓW

I my też przychodzim, ubodzy ludzie,
Pokłon Panu oddać w tej lichej budzie:
Szewcy, krawcy sukiennicy,
Kuśnierz, piekarz, powroźnicy,
Cieśla z kowalem.

(Pasterze rozstępują się i stają na wyniosłości po obu stronach szopy, zostawiając przed progiem wolne miejsce w smudze złotego blasku).
(Chorągwie cechowe żniżają się do ziemi).

KRAWIEC

Ja Tobie przynoszę, niebieski Panie,
Jedwabiem podszyte śliczne ubranie
I koluszek pół tuzina,
Żeby nie ziębła Dziecina
Na takim mrozie.

CHÓR RZEMIEŚLNIKÓW

Piekarzu z kuśnierzem, a wy co macie?
Jakie podarunki Panu oddacie?

PIEKARZ

Ja bochenek świątły chleba...

KUŚNIERZ

Kożuszka Mu też potrzeba,
Bo w zimie leży.

SZEWC

I ja też przychodzę, szewczyk ubogi,
Przynoszę trzewiczki na twoje nogi,
Serce moje Ci otworzę;
Co kto może, przyjmij Boże
Tu utajony!

CIEŚLA i STOLARZ

Ja, cieśla z stolarzem krzyżyk Ci zrobię...

POWROŹNIK

Ja, powroźnik, powróz Ci przysposobię...

KOWAL

Ja, kowal gwoździ nakuję,
Tobie Jezu podaruję
Na ręce, nogi.

(Dzwon Zygmuntowski zaczyna bić wśród nocnej ciszy. Wszyscy pozierają za scenę).

CHÓR PASTERZY i RZEMIEŚLNIKÓW

Mędrcy świata, Monarchowie
Gdzie spiesznie dążycie?

Powiedzcież nam trzej Królowie,
Chcecie widzieć Dziecię?
Ono w żłobie nie ma tronu
I berła nie dzierży.
A proroctwo jego zgonu
Już się w świecie szerzy.

(Rzemieślnicy ustawili się na bokach, z chorągwiami cechowemi).

(Wśród bicia Zygmuntowskiego dzwonu wchodzi orszak trzech królów: przodem dwaj biali ARCHANIOŁOWIE wiodą **Piasta**, który toczy przed sobą koło i przechodzi w milczeniu na przeciwną stronę sceny. W ślad za nimi MIECZYSŁAW I z krzyżem i BOLESŁAW CHROBRY z Szczerbcem, obaj tak, jak na poznańskim pomniku. Za nimi ŁOKIETEK z chorągwią, na której wyszyty biały orzeł piastowski. Wreszcie w płaszczu królewskim i koronie KAZIMIERZ W. niosący złocisłą puszkę (jako Kasper). Podszedłszy ku progom szopy Aniołowie Piasta rozdzielają się i stają po dwóch stronach u wnijścia do szopy; KAZIMIERZ W. klęka).

KAZIMIERZ W.

Niechaj będzie pochwalony
Chrystus, niebieski Królewic,
W onej szopie urodzony
Z Królowej matek i dziewic.

Jak w Piastowe progi kmiece
Posłałeś swoje anioły,
A Piast witał je w pasiece
I sadzał za swoje stoły —

Tak dziś, gdy Twa gwiazda świeci,
Chłopów król, wnuk Piasta dziada,
Wita Cię, Boże, wśród kmieci
I myrrhę wonną Ci składa.

(Matka Boska przyjęła szkatułę z myrrhą i oddała św. JÓZEFOWI; KAZIMIERZ W. podnosi się i odstępuje na bok. W szacie, na której połączone herby Korony i Litwy, postępuje JADWIGA wiodąc za sobą JAGIEŁŁĘ-MELCHIORA, w purpurze i w koronie, z naczyniem, w którem złota ruda błyszczy. Sama na bok usunąwszy się, przepuszcza JAGIEŁŁĘ przed szopę, za nim kroczą ZYGMUNT I w złotym czepcu na włosach i ZYGMUNT AUGUST w kołpaku W. Ks. Litewskiego z aktem Unii w ręku. Rozstąpił się na boki, a JAGIEŁŁO klęka).

JAGIEŁŁO

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie:
W gloryi złotej długie panowanie,
I Apostolstwo świętej Twojej wiary,
I zwycięstwami szumiące sztandary,
I w jedną złotą związałeś Koronę
Narody bratnią miłością złączone —
Przez ten wiek złoty naszego żywota —
Dziś od nas, Panie, racz przyjąć dar złota.

(Złożył złoto u stóp Najśw. Panny i powstawszy usuwa się trzeciemu królowi, który nadchodzi poprzedzony orszakiem: BATORY w węgierskim kopieniaku i krągłej czapce z kapłonią kitą, idzie obok WŁADYSŁAWA IV i JANA KAZIMIERZA, ubranych w stroje szwedzkie i czarne kapelusze z piórami strusiemi. Za nimi zbliża się JAN III (Baltazar) w płaszczu królewskim, narzuconym na długi kontusz i w koronie na głowie. W ręku pozłocista puszka z kadzidłem. Podchodząc ku szopie zdejmuje koronę z głowy).

SOBIESKI (klęka)

Ciebie Boga chwalimy
I Panem wyznawamy;
Z kadzidlanymi dymy
Serca i miecz bez plamy
Do Ciebie podnosimy.

Przeciwko pohańcowi
Twa Moc nas powołała,
Rycerze my Krzyżowi;
Nie nam, nie nam bądź chwała,
Lecz Twemu Imieniowi.

Kadzidło woni drogiej
Niesiemy Tobie w dani,
A księżyc złotorogi
Niebieskiej naszej Pani
Rzucimy dziś pod nogi.

(Złożywszy kadzidło, podnosi się i odstępuje na bok, dając znak ręką HUSARZOWI, który stał w głębi poza nim. W orkiestrze przygrywka starego tryumfalnego marsza z pod Wiednia. Husarz w takt muzyki postępuje ku szopie).

HUSARZ SKRZYDLATY

(z kopią w jednej, z zieloną wezyrską chorągwią w drugiej ręce)

Bogarodzico Dziewico,
Polskiej Korony Królowo,
Miecza mego błyskawicą
I krwią moją purpurową
Służyłem Ci, sługa wierny,
Skrzydlaty Husarz pancerny.

(Chorągiew wezyrską z potrzaskanem drzewcem i wielkim srebrnym półksiężycem ściele do nóg Najśw. Panny).

W Twe Imię, Dziecino Boża,
Gromiłem Turki, Tatary,
Polski od morza do morza
Broniłem i świętej wiary:
Jam chrześcijaństwa straż przednia
Z pod Chocima i z pod Wiednia.

(Podczas pierwszych słów husarza ANIOŁOWIE w szopie wzięli DZIECIĄTKO ze żłobu na ręce i podali je MATCE. Na ramiona i głowę Najśw. Panny zarzucili olbrzymi płaszcz, drogimi kamieniami sadzony, poczem Jej i Dzieciątku na głowy nałożyli korony, tak, że nim Husarz ustąpił, przemieniła się w Bogarodzicę Częstochowską).

(Z przygrywką starej pieśni konfederackiej wchodzi KONFEDERAT BARSKI w kontuszu i delii. Na głowie konfederatka, którą zdejmuje przed szopą, w garści szabla Augustówka).

KONFEDERAT.

Otom z tych, co byli w Barze,
Konfederaccy rycerze,
Przy ojczyźnie i przy wierze
Stałem i przy tym sztandarze,
Gdzie z krzyżem pańskim wyszyty
Był herb Rzeczypospolitej.

Na schizmę i na gwałt carski
Podniosłem tę karabelę,
A dziś. konfederat barski,
W proch się przed tym żłóbkiem ścielę —
Polak, defensor Mariae,
Błagam niech Patria odżyje!

(Pochylony kornie, karabelę dorzuca do darów leżących u progu szopy i ustępuje na bok. Przygrywka na nutę: »Raz pamiętam z wieczora«; wchodzi KOSYNIER KOŚCIUSZKOWSKI z chorągwią N. M. P. Częstochowskiej i z kosą).

KOSYNIER
(przykląkł na oba kolana)

Przenajświętsza Panieneczko
Chcę ci ucałować nóżki
Bom Twoje krakowskie dziecko,
Twój Kosynier z pod Kościuszki.

Oj, Częstochowska Panienko
I Ty Dziecino Najsłodsza,
U Racławic ja tą ręką
Moskwę kosił, jako potrza.

Przed zbójcami moskiewskimi
Naszej zagrody domowej
Broniliśma i tej ziemi
I Ciebie naszej Królowej.

Oj siekliśmy, co się zmieści,
Aże krwią spłynęło pole —
Dziś ty nas pociesz w boleści,
Wejźryj na polską niedolę.

(Czerwoną krakuskę kładzie, jako dar, pod stopy Matki Boskiej i na klęczkach usuwa się o parę kroków).

(W takt przygrywki »Marsza Legionów« wchodzi LEGIONISTA z pod Dąbrowskiego).

LEGIONISTA

Pani niebieskiego dworu,
Pod Dąbrowskim jenerałem
Z mieczem w' garści twardo stałem,
Broniąc polskiego honoru.

Jak tej Ojczyzny, co marła
I Twoim byłem żołnierzem,
Tak nam daj, niechaj odbierzem,
Co nam obca moc wydarła

(Zniżywszy szablę do ziemi, salutuje, poczem ustępuje na bok, czyniąc miejsce UŁANOWI z 1831 r., który wkracza przy dźwiękach melodyi: »Grzmią pod Stoczkiem harmaty«).

UŁAN z 1831

Ułan z polskiego powstania
Z pod Wawru i Ostrołęki
Do stóp Najświętszej Panienki
I Jezusa szablę skłania,
Prawy Syn dawnych Polaków
Z pod Orła Białego znaków.

Pani, która w Częstochowie
Królujesz i w Ostrej Bramie,
Jam dał tę szablę i ramię
I krew i serce i zdrowie
Ojczyźnie mojej i Tobie
I Synowi Twemu w żłobie.

Ty, co zrodziłaś na sianie
Boga w Betleem, w stajence,
Do Ciebie podnoszę ręce,
Usłysz Ty moje wołanie:
Niech się odrodzi na nowo
Twój Naród, Polska Królowo!

(Odstępuje na bok. Z przygrywką na nutę »Boże coś Polskę» podchodzi do szopy POWSTANIEC z 1863 r., ubrany w czamarkę obszytą barankiem i rogatywkę czarną. Pałasz w ręku, strzelba na ramieniu. Przyklęka)

POWSTANIEC z 63 r.

Na walkę orężną my wstali ostatni
Za polskie Królestwo Twoje,
Pierś nagą na ogień stawiając armatni,
Twe imię-śmy mieli za zbroję.

Z Imieniem Twem szliśmy pod knut, w kazamaty,
Nie bledli i pod szubienicą,
Ty duchy męczeńskie, swych ziem krwawe kwiaty,
Zbierałaś, o Bogarodzico.

O policz je Matko, te męki, te klęski
I pokaż je swemu Synowi,
Niech Twemu ludowi da woli hart męski,
Niech serce w nim chore uzdrowi!

(Odstąpił. Przygrywka na nutę: »Dręczy lud biedny«. W szarej kapocie, mnąc w ręku czapkę wysuwa się ku szopie, UNITA PODLASKI, pada na twarz, jak podczas podniesienia, i ręce podnosi)

UNITA

W Polsce dziś radość wszędzie,
Wszyscy łamią opłatek,
Więc ja też po kolędzie
Przychodzę na ostatek:
Sam Pan Jezus mnie wita,
Bom z Podlasia Unita.

Ani na mnie pancerze,
Ani błyszczą kontusze,
Lecz trwam w ojców mych wierze
I w niej oddać chcę duszę;
Co po mieczu i tarczy
Boska pomoc wystarczy

Przyszedłem do Betlejem,
Przed Panem się uniżę,
Bo w udręczeniu mdlejem
I marznięm na Sybirze!
Udziel Matko swej łaski,
By lud wytrwał podlaski.

(Na kolanach zbliża się do Matki Boskiej, która mu kładzie rękę swą na głowie. Z przeciwnej strony weszła MIESZCZKA Z KSIĘSTWA POZNAŃSKIEGO, ubogo ubrana kobiecina z chustką na głowie. Przystąpiła do szopy, klęka i ręce wyciąga błagalnie).

MIESZCZKA Z POZNAŃSKIEGO

Zdrowaś Maryo, co królujesz w chwale,
Tobie na progu betlejemskiej stajni
Składamy krzywdy, jęki, łzy i żale,
My, co ucisku od dziecka zwyczajni.

Jam jak Ty matka! Idę z pod Poznania:
Prusak nam dzieci dręczy męką szkolną,
Mowy i pieśni polskiej nam zabrania,
Modlić się nawet po polsku nie wolno.

Niczem w Betlejem była rzeź dziecięca,
Bo tam pod mieczem niewinniątka marły,
A nad naszemi dziećmi wróg się znęca,
By się Ojczyzny i Boga wyparły.

Zlituj się matko i wejrzyj na Księstwo,
Ubłagaj za nas Boskie Swoje Dziecko,
Niech naszym dzieciom siłę da i męstwo
Niech skruszy przemoc i butę niemiecką.

(Z płaczem przypada obok Unity do nóg Bogarodzicy)

(Za Mieszczką wpada kilkanaścioro DZIECI SZKOLNYCH w wieku od 6—12 lat).

DZIECI SZKOLNE
(padając na kolana przed szopą)

Jezu, Maryo,
Niemcy nas biją!

I. DZIEWCZYNKA (z płaczem)

Matko Jezusa kochana,
W szkole skatował mnie trzciną...

I. CHŁOPCZYK

I mnie, Najświętsza Dziecino!
Patrz, na głowie jaka rana...

II. CHŁOPCZYK

Mnie kopał, targał za włoski...

II. DZIEWCZYNKA
(starsza, do małej, sześcioletniej, która nieśmiało klęczała na boku)

Chodź Zosiu do Matki Boskiej (prowadzi ją)
Pokaż Najświętszej Panience
Pokrwawione swoje ręce.

(mała dziewczynka pokazuje ręce)

III. CHŁOPCZYK (sześcioletni, płacze)

Nie daj nas, mały Jezusku!

III. DZIEWCZYNKA

Broń nas, Matko Jezusowa!

I. CHŁOPCZYK

Każą modlić się po prusku...

II. DZIEWCZYNKA

A po polsku ani słowa!

IV DZIEWCZYNKA

(najstarsza, klęczała w tyle za innemi, wstaje, podchodzi do szopy i wyciąga trzymany w ręku przez fartuszek — niemiecki katechizm)

Katechizm niemiecki mamy!

(wyciąga rękę z książką ku N. M. Pannie)

(Aniołowie, którzy weszli byli z Piastem i stanęli po obu stronach szopy, płaczą słuchając skarg Dzieci Szkolnych).

I. ANIOŁ

(ze łzami w głosie)

Na książce czerwone plamy...
Dziewczynie krew z ręki ciecze!

II. ANIOŁ

(do dziewczynki z katechizmem)

Złóż między największe dary,
Między bohaterów miecze,
Między zdobyte sztandary!

(DZIEWCZYNKA kładzie niemiecki katechizm obok chorągwi wezyrskiej, u stóp Matki Boskiej. BOGARODZICA podnosi się na progu szopy i stojąc, oddaje DZIECIĄTKO ANIOŁOM PIASTOWYM, którzy je podnoszą w górę i trzymają wysoko, na tle rozpiętych białych skrzydeł. N. PANNA oburącz rozpościera swój olbrzymi, drogimi kamieniami naszywany płaszcz, pod który cisną się i tulą UNITA PODLASKI, MIESZCZKA POZNAŃSKA, DZIECI SZKOLNE; garną się podeń KRÓLOWIE, SZLACHTA, RZEMIEŚLNICY, PASTERZE. Zwrócona ku Dzieciątku, klęka przed Niem u progu i wówczas widać na płaszczu perłami szytego białego orła).

(Wszyscy klękają)

MATKA BOSKA

(klęcząc wyciąga ręce)

Synu mój, Boże, oto ja na czele
Poddanych moich padam na kolana,
W proch się przed Twoim Majestatem ścielę,
Łzami zalana!

Królową swojej Korony mnie zowie
Naród mój biedny, co mi służy wiernie,
Lecz ta korona złota na mej głowie
Rani jak ciernie!

(Zdejmuje koronę i w obu rękach wzniesioną, trzyma przed Dzieciątkiem).

Bo z łez jej perły, ze krwi jej rubiny,
Złoto jej ciężkie, jak kajdan żelastwo...
Synu Niebieski, ziemskie moje syny
Są wrogów pastwą!

(kładzie koronę na głowę)

Patrz cała Polska pod mój płaszcz się garnie
I z pochyloną w jarzmie wrogów szyją,
Jękiem się skarży na swoje męczarnie:
Matko! Maryo!

A ja, bolesna, jako na Golgocie,
Słucham ich płaczu, serce krwią mi broczy
I żebrząc dla nich łaski, zwracam do Cię
Błagalne oczy...

Grzeszni są, Panie, lecz w piekielnej pysze,
Stokroć są gorsi ciemięzce zuchwali,
Ich serce jadem nienawiści dysze
W piersiach ze stali.

Grzeszni są, Panie, lecz sto lat pokuty,
Sto lat niewoli przetrwali za karę,
A duch wynieśli jadem niezatruty
I żywą wiarę!

Grzeszni są, Panie, lecz Ty, co przyrzekasz:
»Ja nadłamanej trzciny nie dołamię!« —
Na prośbę Matki już ich dłużej nie karz,
Powściągnij ramię!

Na żywot Matki, na piersi matczyne,
Które Cię karmią, na krzyż Twój i mękę —

Błagam: Odrodzin przybliż im godzinę!
Podaj im rękę!

(z płaczem całuje stopy Dzieciątka)

CHÓR WSZYSTKICH LUDZI
(przy dźwiękach organu i dzwonów krakowskich w oddali)

Podnieś rączkę Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą —
W zdrowiu ducha, w mężnym bycie,
Wspieraj jej siły swą siłą,
Dźwignij i okryj ją chwałą
Między wolnymi ludami...

CHÓR ANIOŁÓW
(przy wtórze anielskiej muzyki)

A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

(Dzieciątko rączkę podnosi do błogosławieństwa).

Lucyan Rydel.

GODŁO:
Maryo! drogo błądzących!

PRZED OBRAZEM.

— Sztuka! sztuka! wielki frazes do małych interesów — burczał Niedzielski, z hałasem odsuwając wypróżnioną, szóstą z kolei filiżankę »czarnej«. — Życie, bracie! życie to co innego. W tem jest coś — w tem jestem ja, jest moja kobieta, jest bracie, jej .....

— Wiemy, pojmujemy — przerwał niecierpliwie Chleboga.

— Uznajemy — wtrącił ze sztuczną powagą Klimek, a Niedzielski, nie zważając na przerwy, wykańczał systematycznie:

— Życie to jest ta boska »czarna«, bez której nie potrafiłbym osuszyć ani pół butelczyny koniaku. A sztuka co?... Kiepskie zwierciadło, w które każdy pseudo-artysta łapie z życia, co mu się uda złapać, i pokrzywione niemiłosiernie, połatane ni w pięć ni w dziewięć, oddaje na *da capo* do użytku publicznego. Może nieprawda? co?

— Ma się rozumieć, że nieprawda! Łżesz, mecenasie, jakby ci od wiersza płacili! A zresztą co ci nadało zęby sobie sztuką wycierać? Filister jesteś, laik, urzędnik od paragrafu — wara ci od naszych misteryów.

— Naturalnie! filister jest! worek ze skóry człowieczej, klątwa społeczeństw, czerw na drzewie wszechbytu! — wołali zgromadzeni, stukając w marmurowy stół szklankami i łyżeczkami.

— Powoli, powoli, nie zaogniajmy się, bo jeszcze całą knajpę z dymem puścimy — mitygował Klimek. — Ty, Chleboga, workami

ze skóry człowieczej nie kłuj, bośmy wszyscy śmiertelni, tą samą cielesną powłoką obleczeni. A ty, kochany mecenasie bez kancelaryi i klientów, przyznaj ze skruchą, że choć czasem kupujesz książki i obrazy — za co cię niezmiernie szacuję — ale znasz się na jednych i drugich, jak wół na karecie, którą mu kazali z błota wyciągać. Chcąc rozumieć sztukę, trzeba przedewszystkiem mieć coś tu i tu, — dotknął ręką głowy i serca — a ty masz głównie tu i tu — tu poklepał Niedzielskiego po brzuchu i kieszeni. — Niech cię to nie martwi, bo trudno być na wszystkie strony jednako wyładowanym.

— Życie to kuryer, na który nie warto brać za wiele pakunków — mruknął filozoficznie Chleboga, więcej do siebie, niż do drugich, ale Machryniewicz podchwycił go za słowo i podkreślił złośliwie:

— Ho! ho! komu to kuryery po głowie jeżdżą! musisz od kogoś fachowego w sprawach kolejowych lekcye brać. Ale wiesz, te kuryery, *luxus-cugi, orient-expressy,* to nie zawsze bezpieczne; jabym myślał, że zwyczajnym osobowym najdalej zajedzie.

Chleboga bryznął jadowitem spojrzeniem:

— Nie twoja rzecz! ciebie i tak na *zugsführera* nie wezmę.

— O, rozumie się!... Ja myślę, że ci nawet zwyczajny konduktor nieraz w drogę wchodzi — zarechotał Machryniewicz, znany ze swej niedyskrecyi i złośliwości.

Na tak wyraźną aluzyę, obecni mimowoli parsknęli śmiechem. Chleboga zbladł i porwał się z krzesła, ale nim zdołał słowo wymówić, Klimek, wielbiciel pokoju, zażegnał burzę, przerywając bieg rozmowy:

— Patrzajcie! — zawołał z ożywieniem, pochylając się nad stołem, na którym Czerniak, karykaturzysta, szkicował jakieś typy zwęglonym końcem zapałki. — Patrzajcie, nie szkoda to takiego arcydzieła pod ścierkę panny Joasi? Przecie toby mogło do potomności przejść, Europę obiegnąćby mogło w jakim *Fliegendzie!* Ot, mecenasie, co tu puste słowa na wiatr rzucać? masz czarno na białem, co to jest sztuka, co to jest talent, co to jest wyższy stopień uczłowieczenia!

— A ja sobie kpię ze wszystkich talentów — rozparł się obu

łokciami Niedzielski — i nie przyznaję wcale, żeby to był wyższy stopień uczłowieczenia. — Przeciwnie! każdy talent to jest tylko małpiarstwo, więc człowiek z talentem bliższy jest naszego darwinowskiego przodka, niż przeciętny, kulturalny...

— Osioł — domówił zcicha Chleboga, a Marczański zapytał:

— Słuchaj, poniedziałek, dużo ty już dziś wypiłeś?

— Co miałem wypić? pół butelki koniaku i trzy pipermenty, moja zwyczajna porcya.

— No to wiesz: teraz punkt i kropka — na nadzwyczajności się nie puszczaj w żadnym kierunku, bo to nie twój fach. Najlepiej po dobremu idź spać, a jutro przed pipermentem będziemy mówić o Darwinie i talentach.

— A cóż wy myślicie? że ja mam w głowie? co? — postawił się Niedzielski — mam w głowie? — powtórzył, wodząc po obecnych wyzywającem spojrzeniem.

— Ale co masz mieć w głowie? co? nie masz nic — nic a nic! uspokajał go z naciskiem Chleboga. — Ot, idź do domu, bo ci klienci pouciekają.

Kancelarya i mecenasostwo Niedzielskiego były czysto teoretyczne.

— Otóż właśnie, że idę, ale nie do domu. A wam powtarzam raz jeszcze, i to tłustym drukiem, że sztuka to jest małpowanie życia i nic więcej — prawda, boska Joasiu?

I Niedzielski kierując się niezbyt pewnym krokiem ku wyjściu z kawiarni, rzucił uśmiechnięte spojrzenie usługującej dziewczynie.

— No, poszedł przecie? krzyżyk na drogę! — westchnął z zadowoleniem Klimek. — Strasznie się robi... kulturalny. Ale teraz chłopcy, gadajcie: czy ten boski... idyota, ten najszlachetniejszy z mecenasów, który kupuje i płaci walutą koronową to, czego i za psie pieniądze nikt brać nie chce, czy on w swoich pijanych majaczeniach o sztuce miał ćwierć, pół czy trzy ćwierci racyi?

— Miał cztery ćwierci — zawyrokował stanowczy głos od okna i wygolona, klasyczna twarz Owidzkiego ukazała się z poza płachty rozłożonego *Figara*.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, z najrozmaitszem

stopniowaniem wrażeń. Klimek uśmiechnął się dobrodusznie, Marczański rzucił zdziwione *et tu Brute?* — Machryniewicz wydał lekkie gwizdnięcie z domyślnikiem, Czerniak zaczął szkicować sytuacyą, a Chleboga porwał się z miejsca i naprężył, jakby chciał Owidzkiego spiorunować ruchem i spojrzeniem.

— Czy ty kpisz, czy o cholerę pytasz? — rzucił ze zwykłą brutalnością.

— Przedewszystkiem, daruj mi swoje ekspresye — a gdy się uspokoisz, wytłumaczę ci całkiem ładnie, grzecznie, na czem opieram swoje twierdzenie: Otóż powtarzam za mecenasem, że sztuka jest tylko zwierciadłem, lub — jeśli kto woli taki zwrot retoryczny — małpowaniem życia — i to, życia autora czy artysty w najsubjektywniejszym zakresie. Czego nie przeżyjesz, nie przeczujesz, nie przecierpisz sam, tego i nie wypiszesz, żebyś miał sto talentów i półtora geniuszu.

— Łgarstwo, zasyczał Chleboga, a jego mdławe w miedzianych rzęsach głęboko schowane oczy, trysnęły dwoma błękitnymi płomykami. Poetą jestem, a więc: twórcą jestem, Bogiem jestem, panem jestem wszystkiego na ziemi i niebie i w piekle i na księżycu! Wszystko, czego duszą dosięgnę, mojem jest — mogę brać wiele chcę i rozrzucam tłumom ile mi się podoba — a nie, żebym miał czekać na te nędzne okruchy życia, które znajdę we własnem korycie.

— Otóż to właśnie: »wszystko czego duszą dosięgnę« — cedził spokojnie Owidzki. — A dosięgniesz duszą tylko tego, co odczuć potrafisz, czyli co ci życie przyniesie — w korycie czy na półmisku z sewrskiej porcelany, to już zależy od gustu i własnego wyboru.

— Nieprawda! nie to, co odczuć potrafię, tylko to, co odczuć zechcę — co mi się podoba zaimprowizować sobie w duszy, własnym kosztem i nakładem. Dziś mi potrzeba dla mojego dzieła czuć i myśleć jak kiep — będę kpem — a jutro potrafię tak samo być Cesarem, albo dewotką od Kapucynów, albo szesnastoletnią dziewczyną idącą na pierwszą schadzkę. Jeżeli mam talent to w chwilach tworzenia nie mam charakteru, nie mam zasad, nie mam indywidualności — mam tylko talent — i basta!

— Pii! ze straszną paradą nam to »basta rzuciłeś — podkreślił Marczyński. — Coś tak, jakbyś powiedział: Nie mam lisiurki, nie mam baranicy, mam tylko gronostaje i basta!

— A nastrój, hę? o nastroju zapomniałeś — zauważył Machryniewicz — bez tego przecie dziś, żaden szanujący się wieszcz, czterech wierszy nie wykrztusi. — Oprócz talentu i nastrój musisz mieć.

— Tak, naturalnie — i pióro i atrament także, gdy chcę pisać. Jedno narzędzie warte drugiego — tylko, że po pióro muszę chodzić do sklepu, a po nastrój w głąb własnych myśli, i dobywam sobie z tego magazynu, co mi potrzeba. Nie ma takiego drgnienia w eterach duszy wszechczłowieczej, któregobym nie mógł wzbudzić na zawołanie we własnej jaźni... jeżeli mam talent.

— Słusznie! wspaniale! możemy ci tylko pogratulować. — Ale powiedzno wieszczu, dlaczego wszystkie drgnienia twojej jaźni płyną zawsze jednym, stałym prądem, jeśli nie mają wspólnego źródła i prawem przyrodzonego ciążenia wskazanego kierunku? — Czemu wszystkie twoje dzieła — przepraszam: arcydzieła — są zawsze owiane tą samą barwą, tym samym, że tak powiem — »zapachem duszy«? — Jeśli w procesie tworzenia twoja indywidualność tak cię nic nie krępuje, czemu po »Dniach ohydy« piszesz teraz »Święto grzechu«. a nie: misteryum religijne na konkurs *Przeglądu Powszechnego*«?...

— Czemu?... powtórzył Chleboga i stanął jak koń osadzony w biegu tuż nad brzegiem urwiska. — Czemu?... No, bo oczywiście nie chce mi się — a gdyby mi się chciało, tobyśmy zobaczyli!...

— To niechże ci się zechce! rozśmiał się jadowicie Machryniewicz — pisz, co ci szkodzi? zafunduj sobie!

— Nie, to nie dla niego — rzekł poważnie Czerniak. — Ja wprawdzie nie jestem poetą, ale zdaje mi się że są pewne uczucia, których »wyobrazić sobie«, wysnuć z duszy na zawołanie, nawet poeta nie potrafi. — I może lepiej nie tykać się ich myślą, gdy się ich w sercu nie nosi.

— Skarga się odezwał! — sarknął Chleboga.

— Pisz! pisz! wołali inni, podnieceni oryginalnością tego projektu.

— Chcesz? ja ci dam temat — cudowna legenda! wygrzebana z pod dębu podlaskiego.

— Lepiej kup sobie kantyczkę majową — nastrój się!

— Dajcie spokój — on przecie nie potrzebuje tematu ani nastroju — taki gronostajowy magnat! wszystko z siebie będzie brał.

— Własne łapy będzie dla natchnienia ssać — jak niedźwiedź.

— A przecież na finał »Święta grzechu« miał nam gwoli nastrojowi sprawić ucztę przy katafalku.

Chleboga nie słyszał — twarz mu się skupiła, zmięła w dziwne fałdy, które zdały się drgać oddechem myśli — mdławy błękit ócz, od chwili do chwili wytryskał złotawą iskrą, nad którą powieki zaciskały się nerwowo, jakby żywym ogniem sparzone, a równocześnie z ust padały mu urwane, zupełnie bezświadomym szeptem rzucane wyrazy. — Biała, niesłychanie wytworna ręka, nieprzypominająca w niczem niedźwiedziej łapy, przegarniała gorączkowo kędziory bujnej, miedzianej czupryny, piętrząc je w coraz to bardziej fantastyczną piramidę.

— Nieboga! słyszysz?! Kiedy będziemy pić twoje zdrowie przy katafalku?

Chleboga drgnął, przygasił twarz i wydmuchnąwszy z cygarnicy na stół spopielałą resztę papierosa, zaczął się żegnać.

— Odchodzisz? ja idę także — odezwał się Owidzki powstając.

— Judasz z Janem Ewangielistą — zauważył Machryniewicz, patrząc na słodki, zawsze jak w ekstazie podniesiony profil Owidzkiego, odcinający się pastelowo na tle kamiennych rysów Chlebogi, który o narzuconym fantastycznie płaszczu, z grubym kosturem w ręku nie robił wcale wrażenia średnio-europejskiego zjawiska.

— Na Judasza wygląda, ale talent bestya ma, ja myślę, że... da sobie radę.

— Z czem?... ah, z konkursem? — no, nie wiem — dużo rzeczy można zaimprowizować własnym nakładem, ale ostatecznie

nie wszystko. Na niektóre uczucia, trzeba mieć w duszy, bodaj zadatek.

. . . . . .

Do rogu ulicy Chleboga z Owidzkim szli milcząc — Chleboga marszczył brwi i poruszał ręką jakby rozmawiał sam z sobą. Na towarzysza nie zwracał uwagi,

— Pójdziesz na przechadzkę?

— Nie.

— To bądź zdrów, bo ja idę w świat, w błonia — szkoda mi takiego zachodu.

Niebo na zachodzie pełne było złota i krwi, ale łuny zwolna gasły już, jakby zatapiały się w cichym, kojącym błękicie.

Owidzki zatrzymał rękę kolegi i rzekł z namaszczeniem:

— A co do tego konkursu, wiesz, nie radzę ci... to... nie dla ciebie.

— Dlaczego? rzucił naprężając się Chleboga.

Dla... wielu powodów. Przedewszystkiem od »Święta grzechu« do... Et, nie wiedzieć co! Ja nie neguję ci wielkich zdolności, broń Boże — ale na takiem *salto-mortale* nawet i twój talent może najpospoliciej kark skręcić.

— Pogrzebiecie go z honorami... w fejletonach — rozśmiał się szyderczo Chleboga i zawrócił w boczną ulicę.

Biegł prędkim, równym krokiem, nie patrząc w okół siebie, jak puszczony w ruch automat. Nawet zapachy perfum i szelesty kobiecych sukien muskających go w przechodzie, nie dochodziły w tej chwili do jego świadomości; szedł cały skupiony w sobie, niesiony własnemi myślami.

— Nie radzi mu! taki Owidzki! autor stu pięćdziesięciu fejletonów o Goszczyńskim, donaszający sławę dawno zmarłych poetów, jak przydeptane pantofle odziedziczone po nieboszczyku — on, co własną mocą nie potrafi nic stworzyć, nic zbudować, tylko po cegiełce rozbiera gmachy budowane przez innych — on mu nie radzi!...

Nagle przypomniał sobie Chleboga, że o konkursie *Przeglądu* słyszał coś, kiedyś, dość niewyraźnie. Nie pamiętał bliższych określeń ani terminu — nie obchodziło go to dotąd.

Wszedł do biura dzienników i zażądał dostarczenia możliwie najprędzej odnośnego numeru *Przeglądu Powszechnego.*

— Ten z konkursem mamy właśnie pod ręką — przez omyłkę posłaliśmy na zamówienie dwa egzemplarze, i dziś zwrócono nam jeden — odparł właściciel biura.

Podał Chlebodze zeszyt miesięcznika — na okładce zanotowane ołówkiem czerniło się nazwisko zamawiającego — Chleboga okiem rzucił i błysnął zjadliwym uśmiechem:

— Wachlewicz! i ten będzie startował! a j e m u Owidzki nie »nie radzi«!

Zapłacił i wyszedł — raczej uciekł, chowając głęboko zeszyt.

Na ulicy ciekawość zmogła go — podstąpił pod okno wystawy księgarnianej i odczytując niby tytuły książek, przejrzał chciwie ogłoszenie konkursu.

288 wierszy — bagatelka! dzieciństwo! dla niego starczy na jeden haust — nawet dwóch wieczorów nie będzie się miał koło czego zabawić.

Ma się rozumieć! dziś napisze od jednego rozmachu, a jutro zaniesie do kawiarni i przeczyta kolegom — zachwyci ich, uniesie! — A nie! czytać nie będzie — to przecież konkurs — tajemnica. — Ale wejdzie do kawiarni, gdy wszyscy będą już zebrani, popatrzy po nich i powie krótko: Napisałem.

I tak jeszcze nie — lepiej każe sobie podać kawy, będzie żartował, naciągał Owidzkiego i Machryniewicza, aż dopiero, gdy któryś z nich zapyta go o utwór konkursowy, odpowie od niechcenia: Tak, naturalnie, napisałem — już posłałem do redakcyi.

I poszle — no i oczywiście... weźmie nagrodę — co do tego nie ma wątpliwości — któżby ją mógł wziąć — przed nim?!

Znowu upędzał w kółko czworobokiem ulic, jak to zwykł był czynić, gdy go jakaś uparta, silniejsza od niego myśl, okręcała wokoło swej osi.

Koledzy nazywali tę jego bieganinę, gonieniem za niewiadomą.

A gdyby... nagrodę wziął kto inny? ukłuła go nagle niewiadomo skąd powstała wątpliwość. — Gdyby w sprawozdaniu

konkursowem nie wyczytał swego nazwiska na pierwszem miejscu — i koledzy wtajemniczeni w bieg rzeczy dowiedzieli się, że on stawał do wyścigu i dał się wyprzedzić innemu — może lada jakiemu pismakowi od bezpłatnych fejletonów, albo »sympatycznej nowelistce«, co pisząc, łzy rozczulenia roniła nad własną pracą?...

Niepodobieństwo — tę nagrodę musi wziąć on właśnie — musi przekonać świat jaka jest cudotwórcza moc talentu — jak ona w dziedzinie ducha wszystko, wszystko zastąpić zdoła.

Gdyby to był jakikolwiek inny temat, nie chodziłoby mu tak o palmę pierwszeństwa — ale właśnie dlatego, że to będzie istotnie takie *salto-mortale*, taki koncert na strunach, których jeszcze nigdy ręka jego nie tknęła — dlatego on do tego wyścigu stanie — i zwycięży.

— Muszę, bo chcę — chcę, bo muszę — powtarzał od chwili do chwili machinalnie, zaciskając za każdym razem coraz to mocniej wąskie, dziwnie różowe, wiecznie jakby namiętnym pocałunkiem podrażnione usta.

Ale prócz tych paru jednostajnych słów, bezświadomie wymykających mu się z mózgu, natężone władze jego czucia i myślenia na nic innego zdobyć się nie mogły. Daremnie prężył się, skupiał wolę, naciskał nią mózg aż do odczucia fizycznego prawie bólu — nie mógł dobyć ani jednego obrazu, ani najniklejszego cienia pomysłu z tej czarnej próżni, którą po raz pierwszy w życiu odczuł w sobie taką bezdenną, taką wnikającą w każdy atom, że mu się wydawało, jakby nawet fizyczna jego istota była tylko najcieńszą tkanką włókien, osnuwających nietrwale tę zwycięską, coraz bardziej rozszerzającą się próżnię.

— Cóż, na Belzebuba, ja nie mogę tworzyć, gdy chcę — ja słabnę, omdlewam jak histeryczka, zamiast plunąć w garść i wziąć za pióro! Urzekł mnie Owidzki, czy jakie licho?!...

Zegar wieżowy wybił siódmą godzinę — Chleboga machinalnie liczył uderzenia i nagle przypomniał sobie jak kiedyś — niedawno — latał tym samym kręgiem ulic i tak samo bicie siódmej godziny obudziło go z zadumy. Tylko, że dziś, uderzenia zegaru padały ciężkie, olbrzymie w głuchą próżnię, która go ota-

czała — a wtedy dźwięk ich ledwie słabem echem przedostał się do niego przez ten chaos skłębionych obrazów, postaci, zgrzytliwych śmiechów, łkań, przekleństw i zaklęć, któremi wzbierała mu wyobraźnia.

Co to było takiego?... Co to się z nim działo owego wieczoru?

Aha! wszakże to wtedy tworzył drugą pieśń »Święta grzechu«, a piersi i mózg omal nie pękały mu od naporu tego wrzątku tworzenia, który czuł w każdej kropli krwi, w każdym atomie mózgu.

Gdy powróciwszy późnym wieczorem zasiadł do pisania, palące, niby z piekielnej lawy utoczone strofy pieśni sypały mu się z pod pióra, jak rozerwany raptownie sznur czarnych pereł. Pisał noc całą i nad ranem nie czuł się jeszcze ani o jedną myśl uboższy, ani jednym wysiłkiem wyczerpany. Nie potrzebował biczem woli popędzać swej wyobraźni do owocniejszego trudu — owszem, borykał się z nią, aby mu dała chwilę folgi, aby mu pozwoliła choć odetchnąć, obejrzeć się wstecz na pracę minionych godzin, upoić poczuciem własnej potęgi, radością posiadania tego skarbu, który sobie dobył z własnej duszy.

Wszak to wszystko było tak niedawno — więc dlaczego, dziś?..

Przenerwowali go, rozdrażnili głupią dyskusyą — nasłuchał się oklepanek, jak banalnego ćwierkania wróbli na dachu. Trudno mieć nastrój po takiej »konferencyi literackiej«, w której przewodniczy Owidzki z Machryniewiczem.

. . . . . .

A zresztą z wielu względów był już od kilku dni mocno zdenerwowany — takie oczekiwanie co wieczoru, takie nasłuchiwanie przez ścianę każdego szelestu, każdego budzącego ciszę kroku — kilka godzin takich codziennie i w rezultacie: nic — to najsilniejszego musi wyszarpać.

A może właśnie dziś?!...

Bladą twarz oblała mu ciemna łuna — tęcza obrazów, któremi upajał się już całe tygodnie, błyskawicą przemknęła mu przez mózg. Dziś?... może dziś?...

— Wszystko jedno — teraz nie pora o tem myśleć — uciął nagle, z wysiłkiem odrywając się od rozkosznego widzenia. Tamto — b y ć m o ż e — zwycięstwo na konkursie — b y ć m u s i.

Musi! powtórzył z zaciekłością. Nie ma czasu do stracenia — termin konkursu za trzy dni. Ale nie on przecie, będzie rozliczał godziny i drżał strachem czy mu wystarczą. — Jednej chwili mu potrzeba — jednej chwili takiej, w którejby odszukał swoją moc, swój talent — samego siebie.

Byle siebie odnaleźć - - byle się poczuć tym samym co zawsze. Wszak na jego drodze nigdy jeszcze nie stanęła nieudolność — nigdy jeszcze nie rozbił sobie głowy o tę zaporę nieugiętą a twardszą od skalnych murów — więc dlaczegoby dziś?...

Czyżby... temat właśnie?...

Temat zresztą jak każdy inny — dla niego był obcy, niemy, bo echa majowych pieśni i kościelnych dzwonków rzadko dobiegały do środowiska, w którem wzrastał on, wychowanek ulicy, w dzieciństwie otoczony nędzą i zepsuciem, w młodzieńczych latach usunięty ze szkół za bluźniercze uchylenie się od spowiedzi, wykreślony niejako ze społeczeństwa — a później, mocą własnego talentu wyrzucony nagle w górę, w światło, opromieniony aureolą sławy, zwieńczony uwielbieniem kobiet — a jednak, nawet w dniach najbujniejszych powodzeń zwichrzony wieczną urazą do ludzi, jakiemś żywiołowem pragnieniem deptania wszystkiego i wszystkich, tryumfowania brutalnością swoich instynktów nad szarym, znienawidzonym tłumem »porządnych ludzi«.

Tak — nie dla niego był ten temat kryształowy, w którym jaśniały poranne rosy, majowe kwiecia i łzy rozmodlonych źrenic. Nie pod jego pióro, maczane w ogniu i żółci, niepokalana biel szat usianych gwiazdami, przepasanych szarfą z błękitu, owianych tchnieniem anielskich skrzydeł! — A jednak, choć wywołując w myśli tę przejasną Postać nadaremnie silił się na wzbudzenie w sobie dreszczu pokory, uczczenia, umiłowania — choć jedynie po to pragnął na mgnienie życia uwierzyć w nią, aby po tej wierze wspiąć się o stopień wyżej w dziedzinie twórców — jednak jako artysta pojmował, że skala tych uczuć mogła być piękniejszą od wszystkiego, co zdołał wyrazić dotąd — że ci, dla których ta Postać była czemś, mieli świat blasków jaśniejszych od promieni słońca, który dla niego był zamknięty i ciemny.

Gdyby jedna sekunda nastroju! jeden błysk jasnowidzenia tych uczuć, podsłuchania ich głosu jeśli nie we własnej to cudzej piersi! — Czemu teraz nie maj, nie nieszpory, nie procesye — czemu kościoły wszystkie pozamykane — wid ekstazy religijnej musi się błąkać po ciemnych nawach, tam najłatwiej byłoby go podchwycić i spojrzeć mu w twarz. Ale... zamknięto...

I miał uczucie, że naprawdę stoi przed zamkniętą, żelazną bramą i napróżno kołacze do niej i wstrząsa żelaznym wrzeciądzem — tyle dusz najpospolitszych, pełzających z mozołem w błocie powszedniości, bez najmniejszego wysiłku przechodzi tam .. na drugą stronę — a jego nie stać na taki poryw — dla niego... zamknięto.

Minął narożny rzęsiście oświetlony sklep — obejrzał się i zawrócił. Chwilę stał pełen wahania przed ladą, z poza której kupiec i dwaj subjekci patrzyli na niego wyczekująco.

— Proszę mi dać... wykrztusił wreszcie niepewnym głosem, wskazując kapeluszem.

— Pan dobrodziej życzy sobie?... co? czem mogę służyć?

— No, przecież obraz — o ten, z tych na górze — wskazał wyraźniej, z silniejszem zniecierpliwieniem. Brwi miał ściągnięte i oczy zwrócone w bok — wydawał się sam sobie nienaturalny i śmieszny z takiem żądaniem. — Co też ci subjekci mogą myśleć?

Kupiec sprężyście wyskoczył na schodki i wyciągnął rękę ku obrazom: — Kochawińską czy Częstochowską? zapytał.

— Wszystko mi... Częstochowską.

— W formacie mniejszym czy większym?

— W średnim.

— Ach, słusznie! w średnim rameczki najlepiej są dobrane — ogromnie wiele sprzedajemy takich właśnie. Choć i te na blasze rozchodzą się także w olbrzymiej ilości...

Wskazał na przeciwległą ścianę i zatrzymał wzrok na twarzy gościa, niepewny czy ma pokazać bliżej inną seryę obrazów. — Chleboga milczał chmurnie, więc kupiec wziął się do zawijania.

— Czy może dodać i lampkę?

Chleboga nie zrozumiał zrazu o co chodzi — potem zoryentował się.

— Tak, naturalnie — potwierdził z pewnem ożywieniem.

— Najlepiej pąsową, stojącą; bardzo przyjemne światło i przed obrazem Częstochowskim zwykle... bo nawet w kaplicy Jasnogórskiej także taka pąsowa lampa zawsze się pali. Pan dobrodziej był w Częstochowie?

— Nie.

— Warto, panie dobrodzieju, warto! Ja byłem i powiadam panu dobr. przed śmiercią jeszcze muszę być, żeby tam niewiem co. to muszę! — I każdy powinien, choć raz w życiu, bo to przecie... Zresztą i mówić nie ma co — toć wiemy wszyscy: Częstochowa! — Padam do nóżek pana dobr., polecam się łaskawie.

— Ten z pewnością dostanie astmy na starość, jak się tyle nagada przy każdych pięciu złr. — sarknął w duchu Chleboga, zamykając za sobą drzwi.

. . . . . .

— Hm, Częstochowa... rzeczywiście miał racyą — w tej Częstochowie musi coś być, skoro tylu... Przecie i Reymont... no i inni. Szkoda, że nigdy tam nie wstąpiłem — to musi być ogromnie plastyczne i ciekawe — te kompanie na kolanach, te chorągwie, śpiewy... Naprawdę szkoda — w Częstochowie mogłoby się coś dziać... Gdybym choć miał pod ręką Reymonta — albo ostatecznie i Sienkiewicza — to...

— Mógłbym przetrząsać cudze tobołki literackie i ostatecznie zawsze bym się czegoś doszperał — ma się rozumieć! gdy własna kieszeń pusta, niech cudza odpowiada — dla Chlebogi ogromnie zaszczytna praca! — rozśmiał się jakimś złym, kipiącym śmiechem, którego echo zapiekło go w duszy. — No, dość tego! dość tych monologów i podziwiania się nad własną bezmocą, jak nieboszczyk Płoszowski. — Do roboty!

Zerwał się z szezlongu — umieścił obraz na rzeźbionej, zakopiańskiej półeczce nad biórkiem, czerwoną lampkę zaświecił i umieścił poniżej, wreszcie z czołem wspartem na rękach zasiadł przed biórkiem — patrzył i myślał.

Po chwili obejrzał się niecierpliwie: — Eh, idyotyzm! przy

takiej dekoracyi postawić sobie na stole zwyczajną, filisterską lampę — aż nerwy bolą od takiego szablonu.

Wstał i dmuchnął w lampę tak gwałtownie, że knot strzelił w górę płomieniem i zgasł, dymiąc. Pokój odrazu zasnuły cienie, rozjaśniane w jednej stronie blaskiem rubinowej lampki, w drugiej światłem żarowej latarni, padającem z ulicy na przeciwległą ścianę, niby płatem bardzo silnego, księżycowego blasku. W najdalszych kątach czarnymi twardymi konturami czaiły się sprzęty.

Chleboga odetchnął.

— Tak — teraz lepiej — o wiele lepiej! w tem jest przecie coś — ta krwawa lampka i ten czarny krzyż padający od ramy okna na płat oświeconej ściany... coś, jak nieujęte tchnienie nastroju zaczyna ogarniać go, zaczyna upowijać mu duszę w mgłę przeźroczą, subtelną, która kładzie się pomiędzy nim a lichą powszedniością życia.

Powrócił na dawne miejsce i patrzy znów ze skupieniem na pozłocisty obraz, osnuty krwawymi blaskami lampki.

Zesztywniałe powagą, uśpione spokojem rysy nie mówią do Chlebogi nic, tylko na niego patrzą wzajem — patrzą tak uporczywie, tak cicho, jakby mu się wtapiały w duszę i trzymały ją na uwięzi tego niemego porozumienia. Nie mówią mu nic — tylko wzięły go i trzymają.

Dziwne, jasno niebieskie oczy wyzierające z ciemnego oblicza — Chleboga przecież pewien jest, że w obraz taki patrzy po raz pierwszy w życiu, że się z nim nigdy jeszcze wzrokiem nie zmierzył — a przecież przysiągłby, że spojrzenia tych oczu już kiedyś czuł na swojej duszy, że ślad ich nawet poniósł w życie — może na kilka godzin — może na jedno mgnienie tylko.

Dziwne!

Daremnie teraz usiłowałby ulecieć myślą w inny krąg zaświatów — daremnie przymyka powieki i próbuje zasunąć pomiędzy siebie a ten ciemny obraz przesłonę innych widm, nieme oblicze częstochowskiego obrazu przenika każdą przesłonę — idzie wskroś każdej myśli i kładzie mu się na duszy takie ciche, tajemnicze, takie... że Chleboga drżeć zaczyna, drżeć trwogą przed niepojętem.

Nastrój? czy to ten nastrój, co miał mu dać moc twórczą, uskrzydlić jego myśli, upotężnić je do lotów w nowe, szersze, światlejsze widnokręgi?... Oto zamiast tego czuje tylko w sercu dziwny niepokój, coś nieujętego — jakby do niego dobiegały echa pytań, których dosłuchać nie może a odpowiedzieć na nie musi — jakby się w nim budziły pragnienia i żale nieznane mu, niezrozumiałe, niemające nigdy znaleźć zadośćuczynienia, a takie krwawiące jak żar tej lampki, który stygmatem kładzie mu się na czoło.

Gdzie, kiedy te oczy już patrzyły na niego? jakiem budzą mu duszę przypomnieniem? On przecież nigdy, nigdy nie stawał przed niemi, nie mówił do nich — nie słyszał nawet jak inni mówili.

— Nigdy! powtarza z uporem i zacina się w tem przeczeniu, a jednak, gdy tak mówi, gdzieś na samem dnie duszy, daleko, daleko, poza cieniami tylu mętnych lat, tylu brudnych godzin życia, w tej najtajniejszej głębi, do której sam już zapomniał drogi, jawi mu się niewyraźne, błękitnawe światełko — rąbek wspomnienia, które przeczy temu «nigdy», i cichym głosem szepcze mu: Dawno, dawno...

. . . . . .

Wielka, ogromnie brudna izba, cztery rodziny mieszka w niej kątem — moc wrzasków, kłótni, moc głodnych, wiecznie poniewieranych dzieci, i ich płaczu i śmiechu.

Najcichsza ze wszystkich, najmniej płaksiwa, to Blada Marynia. — Odebrał ją ojciec od Sióstr z ochronki, bo mówił, że chce z córki mieć wyręczenie, żeby mu choć szmaty uprała. Ale Ignac Gątowicz, najstarszy i najmądrzejszy w gromadzie dzieci, ten, co to potem poszedł do warsztatów kolejowych na ślusarza, i okradłszy magazyn, uciekł — od razu, zobaczywszy dziewczynę, ręką machnął i zasądził:

— Niedługo tu ona będzie popasać.

— Albo co?

— Zamrze... moja siostra też taka była blada i tak samo kaszlała... no i co? może nie umarła? Jeszcze ją z Harmateryi za darmo pochowali! — kończy z tryumfem.

Wyrok wydany przez Ignaca, zadzierzgnął pierwsze ogniwo

zbliżenia pomiędzy Marynią a Józkiem Chlebogą — zaciekawił go, podrażnił jego myśl, której już i wtedy nie zaspakajały hałaśliwe gry i bijatyki z innymi chłopcami. Lepszym się od nich czuł, bo i matka mu mówiła, że na dobrą sprawę... ho, ho! I nie kłamała, bo jak zaczęła później rozbijać się po sądach, taki wyprawowała mu opiekuna, co go do szkół musiał pchnąć i zajmował się nim aż póki go za tę spowiedź z gimnazyum nie wydalili.

Ale wtedy, gdy pierwszy raz zobaczył Marynię, nie znał jeszcze opiekuna ani szkół, ani książek, a jednak coś mu się już gotowało w piersi, coś go rwało poza tę brudną izbę, do innych ludzi, innych słów, innych myśli. Wiadomość, że Marynia zamrze prędko, zaciekawiła go ogromnie. Jak jej też będzie potem? lepiej czy gorzej? czy całkiem nic?... Wpatrywał się uporczywie w bladą twarz dziewczynki, którą choroba, smutek i wychowanie, jakie odebrała u pobożnych Sióstr, wyrzeźbiły inaczej zupełnie, niż te otaczające ją, wpół dzikie twarze dzieci rozwłóczonych po rynsztokach ulicy. Marynia na każde jego spojrzenie odpowiadała cichym uśmiechem, może myślała, że on na nią patrzy z przyjaźni, z życzliwości, nie z zaciekawienia, co to z nią będzie po śmierci.

Tak czy tak, wkrótce poprzyjaźnili się naprawdę, sam już los zbliżał ich; ona miała ojca pijaka, on matkę... Łatwiej im było obojgu o razy i złorzeczenia, niż o chleb; dwie dziecięce niedole wspierały się i ratowały wzajem.

Jednego letniego poranku bawili się w gromadzie towarzyszy «na bramie». Jakaś pani przeszła mimo, niosąc olbrzymi bukiet róż.

— Proszę pani! mnie kwiatek, mnie różę, mnie jeden pączek! — zaczęli na wyścigi wołać mali obszarpańcy, biegnąc za nią z wyciągniętemi rękami.

Czy to, że Józiek najnatarczywszy był w tym pościgu, czy innym jakim trafem, dość, że jemu właśnie i Maryni, którą, jak zwykle, ciągnął za rękę, dostały się dwa purpurowe kwiaty. Dzieci stały chwilę olśnione zachwytem i radością.

— Chodź, zaniesiemy do kościoła — rzekła nagle Marynia.

— Do kościoła? na co?...

— Bo tak... bo trzeba... położymy na ołtarzu przed Matką Boską. W ochronce zawsześmy rwały kwiaty dla Matki Boskiej.

— Poszli. Józiek oporny trochę, ale równocześnie ciekawy tej nowej przygody, nowych wrażeń. Jeszcze nigdy nie kładł kwiatów na ołtarzu. I w kościele bywał rzadko — nigdy prawie. Nikt go tam nie prowadził, a Ignac, którego raz przytrzymano za rękę, gdy sięgał do kieszeni jakiegoś pana, nastraszył go, że »w kościele za byle co haresztują«.

To też gdy weszli w mroczną, głęboką nawę, w chłopcu serce trzęsło się trochę, ale Marynia szła przodem tak spokojnie, jakby nic, i od chwili do chwili odwracała się ku niemu z uśmiechem. A przed każdą kaplicą klękała i żegnała się powolnym, szerokim znakiem krzyża, schylając pobożnie głowę.

Józiek robił, jak ona; przeżegnać umiał się przecież, nie chciał zdradzić się przed Marynią, że nie wie, jak się tu zachować, a zwolna, zwolna, niepokój i oporna niechęć przemieniały się w jakąś ciszę i zadowolenie, które budziły w nim chłód i cisza kościoła i piękno gotyckich łuków, złoconych ołtarzy i barwnych okien kościelnych, działające bezwiednie na wrażliwe uczucia chłopca.

Przed kaplicą większą od innych, przybraną w zieleń i kwiaty, Marynia zatrzymała się, wyjęła mu z ręki róże i postąpiła tuż do samego ołtarza. Józiek nie szedł już za nią; nie śmiał jakoś. Na ołtarzu malowana, a przecież jakby żywa, wychylała się ku nim. Postać w długiej, białej sukni, jakaś niby ludzka — ale nie: insza i piękniejsza, niż wszyscy ludzie, których Józiek widział kiedy w życiu. Naokoło głowy miała jakby promienie słońca a stała na sierpie księżycowym i wyciągała ręce do dzieci.

Józiek przeżegnał się z własnej ochoty, a potem stał trochę zalękniony, trochę smutny a trochę wdzięczny, jakby mu kto coś dobrego rzekł albo i dał. Nie przykrzyło mu się nic a nic, zamyślił się i Marynia musiała go aż za rękę szarpnąć na znak, że odchodzą. Dopiero w przedsionku kościoła oprzytomniał jakoś i zrobiło mu się żal róż, które Marynia położyła na samym kraju ołtarza, bo dalej dosięgnąć nie mogła.

— Ej, co tam po nich! kiedy tam i bez tego więcej kwiatów, niż u ogrodnika — on swoją weźmie.

— Nie można, byłby grzech! z ołtarza nie można odbierać, broń Boże! — mówiła Marynia z przejęciem.

— To czemuś dała?

— Jakiś ty! to przecież dla Matki Boskiej. Ona się przez całe życie wstawia za nami i nawet jak będziemy umierać, weźmie nas pod swoją opiekę, żebyśmy poszli do nieba.

— Ii... nim będziemy umierać, to się taka rzecz zapomni.

— Ona nie zapomni!

Józiek nie rzekł już nic, słowa Maryni wstrząsnęły go; myśl, że jest ktoś, co przez długie lata pamiętać będzie o tej jego róży złożonej na ołtarzu, co mu za jeden kwiatek odpłaci opieką przez całe życie i w godzinę śmierci, przejęła go dziwnem wzruszeniem. Nagle, nie mówiąc słowa, zawrócił do kościoła, pędem prawie dopadł do kaplicy Matki Boskiej i ukląkł tuż przedł ołtarzem. Ponsowe róże krwawiły się na białym obrusie, jasna postać wychylała się z obrazu, patrzyła na nie i wyciągała ręce do Józka.

Przeżegnał się od ramienia do ramienia, patrząc w obraz; potem z rozmachem uderzył się w piersi i ucałował kamienną posadzkę.

Robił to wszystko pośpiesznie; bał się, czy go kto nie zobaczy, zwłaszcza Marynia. Skończywszy, odetchnął głęboko i odszedł dziwnie rad i uspokojony. Przez kilka dni potem było mu jakoś jaśniej i weselej na świecie, choć matka poniewierała nim gorzej, niż kiedy. Potem Marynia zachorowała i umarła i z mieszkania ich wyrzucili, bo komorne było niezapłacone i... wszystko poszło w zapomnienie.

. . . . . .

Krwawa lampka przed obrazem rozświetla się coraz to jaśniej, a równocześnie dusza Chlebogi zapływa zwolna blaskiem cichego wspomnienia z dzieciństwa, które zmartwychwstało nagle w jego pamięci. Pomiędzy owym porankiem letnim a dzisiejszą wieczorną godziną tyle lat spiętrzyło się wałem; tyle wrażeń i uczuć deptało po jego duszy, wszystko w niej głusząc i przei-

staczając, a przecież Chleboga poczuł się nagle tym samym chłopakiem, podnoszącym lękliwe, zdumione spojrzenie na cudowne, zaświatowe zjawisko, i choć to poważne, jakby z bronzu odlane oblicze, które ma przed sobą, tak odmienne od przejasnej twarzy białej Dziewicy, co strzegła kościelnego ołtarza, jemu się zdaje, że dziś patrzą na niego z ciemnego obrazu te same, co wówczas, pełne miłosierdzia oczy.

Dziś?... czy dziś tylko?

Dreszcz niepojętego wzruszenia przenika duszę Chlebogi, i oto ogarnia go poczucie, że te oczy szły za nim nieprzerwanie przez wszystkie dni, wszystkie godziny życia. Nie z ram obrazu, ale gdzieś z zaświatów te same oczy dniem i nocą patrzyły na niego, na każdy jego czyn, patrzyły... na to wszystko — i czekały, czekały.

Pochylił głowę i zacisnął twarz w dłonie, przejęty nagłym lękiem, a spojrzenie Maryi spoczywało wciąż na nim, takie jasne, takie miłosierne.

. . . . . .

— Można?... można wejść?

Usłyszał stuknięcie klamką i lekkie skrzypnięcie drzwi. Zerwał się z twarzą wpół przytomną, jakby znalazł się tu nagle zrzucony z innych światów. W progu, objęta płatem światła padającym z ulicy, stała dziewczyna w jasnej perkalowej sukni i fartuszku, z głową trochę pochyloną i rzęsami tak w dół opuszczonemi, że się powieki wydawały prawie zamknięte.

Była bardzo młoda, raczej dziecko jeszcze, dziecko z postawy, układu i niewykończonych rysów twarzy, kobiecość miała tylko na wpół rozchylonych ustach i w opuszczeniu tych rzęs, które na dziecinne policzki rzucały cudowne, młode zawstydzenie.

Chleboga na jej widok wydał cichy okrzyk, twarz mu się rozedrgała ruchliwą falą sprzecznych wrażeń. Wyciągnął ręce jakimś niepewnym, niewykończonym ruchem, jakby zapragnął i objąć ją i odtrącić.

Chwilkę stali naprzeciw siebie niemi, potem dziewczyna podniosła na niego spojrzenie i uśmiech, w którym był cały czar, cała moc kochania.

Pociągnięty tem spojrzeniem Chleboga gwałtownie posunął się ku niej.

— Anielcia!... dobra, droga Anielcia! — szeptał zmienionym głosem, biorąc ją za obie ręce i wciągając w głąb pokoju. Dziewczynka nie opierała się. Nie znała jeszcze przeczuć ani lęków.

— Przepraszam pana, że tak późno... pan się już może nie spodziewał; ale ojciec teraz dopiero co poszedł na dworzec i dzieci musiałam pousypiać, więc dlatego...

— Więc to już bardzo późno? — rzucił znów usuwając się Chleboga, a pierś podnosiła mu się szybkim, zdyszanym oddechem kogoś, zmaganego ciężką walką.

— O, późno; ale przecież jeszcze będziemy mogli obejrzeć te książki i obrazki, które mi pan obiecał pokazać, ja się już tak cieszę cały tydzień! Ale ani razu nie mogłam przyjść; doprawdy, ani razu. Przy dzieciach zawsze tyle roboty — strach! Za to dziś mamy czas; ojciec pojechał z nocnym pociągiem, dzieci śpią a ja już wszystko w domu porobiłam.

Postąpiła sama parę kroków i stanęła rozglądając się po pokoju, plecami zwrócona do biurka.

Czerwona lampka przeświecała niby kręgiem zorzy jej rozrzucone, jasne włosy; złote ramy obrazu zdały się ją obejmować i brać w siebie.

Chleboga bezwiednie postępował za nią; nagle wstrząsnął się i zmienił na twarzy: ponad główką Anielci patrzyły na niego znów błękitne oczy Częstochowskiego obrazu.

— Anielciu... proszę iść stąd, już późno, już za późno...— zaczął głosem stłumionym, wskazując dziewczynie drzwi. — Proszę iść do domu, tu nie trzeba przychodzić.

Anielka zaczerwieniła się, a potem pobladła, rozświetlone oczy przyćmiły się, w gardle miała już łzy.

— Pan mi sam kazał przecież — wyrzekła z trudnością. — Pan się gniewa na mnie, ja wiem!... o to, że pan czekał, że tyle czasu nie przychodziłam, i teraz tak późno... Ale ja przecie nie mogłam wcześniej przyjść.

— Nie, nie o to... ja się nie gniewam; to dla Anielci...

nie trzeba nigdy tak robić... nie trzeba nigdy chodzić do... obcych ludzi.

— Albo to pan obcy?... spytała z dziecinną, figlarną zalotnością i nim się Chleboga opamiętał, chwyciła go za rękę i przycisnęła ją do ust.

— Ot, jaki pan obcy dla mnie! — roześmiała się z czułością. — A pan mnie wypędza, jak psa! — dodała ciszej z głęboką wymówką.

Chleboga wyrwał jej rękę i obiema dłońmi ścisnął skronie. Anielka postąpiła ku niemu i spojrzała z niepokojem.

— Co panu jest? pan taki inny dzisiaj... Może pan chory? na prawdę pan chory!

— Nie, nie! mnie nic. Może jestem inny... może... ale to nic. Proszę iść stąd... proszę!

— Kiedy ja się boję pana zostawić samego, pan tak dziwnie wygląda, a ja przecież... pan przecież nie ma na świecie nikogo oprócz mnie. Pan sam mi to przecież powiedział. Prawda?— dodała, dopraszając się spojrzeniem tkliwszego słówka.

— Prawda... nie, nieprawda! to tylko tak... takim rzeczom nie trzeba wierzyć, Anielciu... tak się zawsze mówi... każdemu.

— Nie! nie każdemu! — wybuchnęła Anielka z rozżaleniem wpółdziecinnem a wpół po kobiecemu już namiętnem. — Nie każdemu, tylko takim... których się kocha... a pan mnie... ja wiem, pan mnie już wcale... nie lubi, choć ja panu nic, nic!... — szlochała coraz gwałtowniej, a czerwona lampa rzucała rubinowy blask na jej złotą, schowaną w dłoniach główkę.

Chleboga wichrzył włosy ręką i milczał. W zestawieniu z purpurowem światłem oblewającem Anielkę, twarz jego w tej chwili zdawała się bardzo bladą.

Po chwili dziewczynka uspokoiła się.

— To mam już iść?... całkiem iść stąd? — spytała błagalnie a nieśmiało, jakby zawstydzona własnym wybuchem miała ochotę wyprosić się od kary.

— Tak, Anielciu... proszę całkiem iść... na zawsze.

— Tylko się obejrzę, jak u pana jest. Pan mi obiecywał, że... tak nam tu dobrze będzie, ile razy przyjdę. Ja wiem, że

to już nie — dodała pośpiesznie — ja już nigdy nie chcę tu przyjść i zaraz odejdę... zaraz...

Spłakanemi oczyma obejmowała pokój, sprzęty, cały ten kącik świata, z którego wypędzano ją na zawsze, choć tu zostawało jej pierwsze kochanie.

— Jaka śliczna Matka Boska! — zawołała nagle zauważywszy obraz. — Pan się przed nią modli codzień?

— Nie... nigdy.

— Dlaczego?!

— Bo... nie umiem... nie umiem... modlitwy do Matki Boskiej.

— Jakto?!... Ja pana nauczę, przepowiem panu, prawda to przecież można? potem już zaraz pójdę. To taka krótka modlitwa!

Spojrzała błagalnie, mokremi od łez oczyma. Taka ją nagle ogarnęła gorąca chęć pomodlenia się tu za niego, z nim! Nie rozumiała wcale, co się z nim stało, czemu on się tak nagle zmienił dla niej, czemu ją wypędzał, ale posłuszna usuwała mu się z drogi, i tylko tak chciała jeszcze coś zrobić dla niego, czemś mu okazać, że on dla niej zawsze jest i będzie tym samym, tym drogim jedynym! Niechby ją choć wspomniał czasem, i niech mu tu będzie dobrze szczęśliwie, niech go Matka Boska ochrania.

Uklękła przed biurkiem i złożyła ręce, podniósłszy oczy na obraz.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko — brzmiał jej cichutki głosik, tłumiony łkaniem.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko — powtarzał szeptem Chleboga.

Irena Mrozowicka.

Ad Te levavi oculos meos.

WSTĘP.

Na kościół zapada
Godzina ponieszporna, przyszłym mrokiem blada.
Godzina, co się jeszcze blaskami dotyka
U szczytów, okien smukłych, gonnego gotyka,
Godzina, co w barwionych szkłach jeszcze się mieni
Ogniem głuchym, zepchniętym w głąb, drogich kamieni
I na smudze niknącej i mglistej kadzidła
Pokłada swoje złote, mdlejące już skrzydła.
A za nią pomrocz śledzi idąca,
Raz wraz blask który przetrąca:
Najprzód go topi w bladość opala,
Potem go coraz ścisza, oddala,
Aż go zupełnie w przeszłość odżenie
I w zapomnienie.

Na kościół zapada
Godzina dnia ostatnia, mętnem światłem blada.
Godzina, co się mrokiem pochyla i waży
Nad państwem zaciszonem gotyckich ołtarzy —
Godzina, co rozprasza w mętny blask złotawy
Postacie z nich patrzące na zamarłe nawy,

Że już ni dziejów czytać, ni odgadnąć twarzy,
Któremi o Maryi mistrz sen wieczny marzy.

Godzina taka cieniem zasłania nam oczy,
A duszę w nas samotną podnosi z pomroczy
Z myślą wschodzącą na dnie, i z pieśnią poczętą...
. . . . . .
»Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę świętą«...

ZWIASTOWANIE.

. . . i odszedł od niej Anioł.
Łukasz I, 38.

I odszedł od Niej Anioł i została sama
W światłości ścian swej białej, dziewiczej komnaty.
Tylko w oknie stojące schyliły się kwiaty,
A w miejscu, gdzie stał anioł, drży słoneczna plama.

A Ona na modlitwie została klęcząca
Ze złożonemi na krzyż, jak była, rękoma.
Duszę złożyła w Bogu i trwa, nieruchoma
Pokorą, której żaden niepokój nie trąca.

Cichy mrok przeźroczystą nakrywa zasłoną
Jasnej Pani przedziwną postać pochyloną,
I tylko woń a złotość w sen idącej ziemi,
Pod oknem Świętej grają słowy anielskiemi.

I tylko chmura zorzą wieczorną ogniowa
Na loty swe anielskie pochwyciła słowa,
I nad przypadłą w mrokach ku ziemi Judeją
Surmami zórz i ognia potęgą goreją
Do Maryi mówione w tajemnicy słowa:
»Bądź pozdrowiona, Ty łaski pełna, Pan z Tobą«!

I tylko wieków przeszłych nawała gradowa,
Która gniewu Bożego pomstę rychłą chowa,
Runęła w przepaść spchnięta. — Zstąpić się nie ważą
Na ziemię wieki przyszłe — nieruchomą twarzą
Patrzą na gorejące nad Judeją słowa;
»Bądź pozdrowiona, Ty łaski pełna, Pan z Tobą!«

NAWIEDZENIE.

A błogosławionaś, któraś uwierzyła.
Łukasz I, 45.

Więc usłyszawszy oną wieść w rodzinnem mieście
Odziana w własnoręcznych rąbków białość zgrzebną
Maryja szła, by córką stać się i służebną
Elżbiecie samotniczej, podeszłej niewieście.

Z południa zbiegło słońce — kraj skalisty, szary,
Na którym blask zadrzemał utajonej tęczy.
Idzie sama drożyną wyniosłej przełęczy,
Wkoło Niej i w Niej samej niewymowna dźwięczy
Pozaczasowa, wieczna w swem trwaniu dziewiczem
Pieśń ciszy kryształowej, niezmącona niczem.

Przegiął grzbiet, i kark ugiął góry olbrzym stary
I leży dech wstrząsając, aby mogła Święta
Bezpiecznie swe dziewczęce postawić nóżęta.
A nad Nią, gdzie głąb nieba w nieruchomość ścięta,
Płyną anioły, białych obłoków rozednią
I cieniem skrzydeł kornie upadają przed Nią.

Z dolin, które już srebrne zasnuły opary,
Wybiegają pagóry ciekawe na zwiady,
A na nie cyprysowe wstąpiły gromady,
Żałobę porzuciwszy, biorą uśmiech blady

I tak już wychylone na wieki zostały
W stronę, gdzie chwilę mignął rąbek szat jej, biały.

Jej dusza za przejrzystą zasłoną skupiona
W macierzyńskiej miłości zapatrzeniu błogiem
Klęczała przed wschodzącym w Niej milczącym Bógiem.
Czasem, na chwilę, światu stanęła nad progiem,
Aby uśmiechem pełnym miłosiernej łaski
Przytulić te garnące się do stóp Jej blaski.

I w jedną objąć miłość długiego spojrzenia
Na horyzoncie siwym bezmiar dali siny,
Gór olbrzymy i korne u Jej stóp doliny,
I szat się czepiające malutkie byliny,
Bo jest już macierzyństwem wszystkiego bogata,
Odkąd Matką nazwana Stworzyciela świata.

Podnóża gór już wieczór idący ocienia.
Już blizkim cel. Marya posłuszna ścieżynie,
Która się giętka, biała wśród kamieni winie,
Schodzi ku czekającej ją w mrokach dolinie,
A z dolin patrzą ku niej wydarte z pomroczy
Mieszkań ludzkich broczące światłem krwawe oczy.

Od końca wązkiej ścieżki woła ją z daleka
Domek białością ścian swych i tęsknotą swoją,
Za nią w ostatnim blasku dnia wierzchołki stoją,
A cienie je liljowe ściszają i koją —
Nad szczytem, gdzie w seledyn blednie nieb osnowa,
Wypływa z dna cichości gwiazda wieczorowa.

Na progu drzwi podsienia, które mroczne czeka,
Swiatłość księżyca słodka nieruchoma spała,
Gdy po stopniach Marya Panna wstępowała,
Aż się ku Niej z milczenia porwie postać biała,

Do stóp jej upadając obejmie kolana;
»A skądże mi, że przyszła matka mego Pana?«

Przystanęła Maryja — wzbierając jak rzeka
Co wstecz powracająca podnosi się z łoża,
Wróciła na nią nagle cała miłość Boża,
Która przez dzień ów długi lała się z przestworza
I w piersi się nie mieszcząc, z ciszy rozkowana
Wybuchła pieśnią: »Wielbi dusza moja Pana!«

STAJENKA.

Maluczki się narodził nam . . .
Izajasz IX, 6.

Śpi Józef, na swej lasce wsparty, w drzwiach stajenki,
Śpi Matka, wyśpiewawszy już wszystkie piosenki,
Śpi Jezus, owinięty w rąbek Matki cienki.

Przez strzechę naderwaną, wśród dwóch snopków słomy
Księżyc w ciemną stajenkę świeci nieruchomy,
A aniołkowie drobni oną mleczną drogą
Ześlizgują się jeden za drugim ku ziemi,
I cicho, cichuteńko stopkami lekkiemi,
Że i Józefa nawet obudzić nie mogą,
Podkradają się jeden za drugim, gdzie Pana
Piastuje Matka święta, snem sama owiana.
Jeden z nich, rożek cienkiej podnosi zasłony
A wszystkie, koła jasne przygasiwszy prawie,
W gromadkę zbite zwartą, patrzają ciekawie
Jak Pan i Bóg wygląda, dzieciną zrodzony.

Śpi, stojąc czujny Józef, przed progiem stajenki,
Śpi Matka, tuląc dziecię swoje w rąbek cienki,
Śpi Jezus, uśmiechnięty jak w czasie piosenki.

Tylko przy dawno pustym zapomniane żłobie,
W bydlęcem zadumaniu stojący przy sobie,
Brat osioł stary, łysy, wiecznie utrapiony
Otwiera swe cierpliwe, wpółzmrużone oczy.
A brat wół, wzrok powolny ócz okrągłych toczy,
I patrzą, co się dzieje w stajni z tamtej strony.

Śpi Józef, strażujący wciąż u drzwi stajenki,
Śpi Matka, przez sen składa Dziecięciu piosenki,
Śpi Jezus, otulony w rąbek Matczyn cienki.

W DOMKU NAZAREŃSKIM.

A jako baranek... nie otworzył ust swoich.
Iz. LIII, 7.

Nad domek Nazareński anieli przynieśli
Błogosławieństwo Boże słodkiego wieczora.
Z domku, miarowy hebla głos Józefa cieśli
Słychać — jak będzie jutro i jak było wczora.

Wkoło, jedna za drugą zgrzybiałe oliwy
W bezruchu piastujące liść swój gęsty, szary,
Gną, ciężką pracą wieków, pień schromiały krzywy.
Słońce pod oliw nizkie rzuca się konary
Po trawie między stare, spracowane drzewa
Potokiem szmaragdowo-złotym się rozlewa.
Wśród oliw, w słońcu owiec pasące się stada
Z jagniętami; czasem z nich które wśród zbawy
Stanie i główkę myśląc na drugiem pokłada.
Od pni oliwnych w słońcu, w łąk wzięte oprawy,
Ich runa biorą odblask ciepły i złotawy.

Maryja na swym progu w tej cichej godzinie
Z kądzielą srebrną stoi... furkocze wrzeciono
Zwinne w jej ręce lekkiej, pracownej. Nić winie,

Milczy, a twarz i duszę całą ma zwróconą,
Gdzie Jezus Dziecię stanął od niej kroków kilka,
Patrzący przed się, zwolna wrzeciono umilka.
A Jezus Dziecię patrzy, liczy i pamięta,
Wśród jagniąt, obok matek, na złotej murawie,
Na rzeź świąteczną rychłą znaczone jagnięta.
Jagnięta półróżowe gonią się w zabawie,
Z paluszkiem na usteczkach patrzy Jezus łzawie.

Maryja drżąca, czuje chłód nagły wieczora,
A trwożnie szepczą wargi: »Panie! toż nie pora!«

POD KRZYŻEM.

Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił?...
Pieśń kościelna.

Z krzyża odjęte owinięte biało
Chrystusa jasne, przeźroczyste ciało
W ręce Maryi oddane zostało.

Więc Matka wziąwszy z rąk ich swego Syna,
Ostatnią pracę dla Niego zaczyna.
Cierniem po cierniu z Jego świętej głowy
Ostrożnie wieniec wyjmuje cierniowy,
I z cierpliwemi, bolesnemi usty
Krople krwi ściera, krajem białej chusty —
Anioły trwożnie poklękały wkoło —
Patrząc jak w zimne Chrystusowe czoło
Cierń zapędzony, głęboko się wbija,
Nieśmiało krzepią Ją: »Zdrowaś Marya!«

Pomrok gęstnieje — Matka boleściwa
Ciało Synowe z chust białych rozkrywa.
Spojrzały na nią posiniałe rany,
Patrzy żałośnie każdy raz zadany,

A Ona drżąca, milcząca i blada,
Swojemu sercu nic nie odpowiada.
Ręce Chrystusa rozpięte do krzyża
Na piersiach składa ostrożnie i zbliża. —
Anielskich skrzydeł mdłe jęły się blaski,
A mrokiem idzie szmer: »O pełna łaski«...

Chrystus na rękach Jej ciąży bezwładnie,
Najświętszą głowę na łonie Jej kładnie,
I po tej długiej nieskończenie męce,
Znowu w matczyne oddaje się ręce. —
W powietrzu cichem, przejętem żałobą
Anieli kończą pacierz swój: »Pan z Tobą«...

Przez cichość słychać, jak płacze, narzeka
Gromadka niewiast stojących zdaleka,
W milczeniu mrocznem, nizko rozciągniętem,
Ich płacz się bije kobiecym lamentem.
Ani się zbliżyć do Matki nie śmieją!
Dusze w nich zlękłe i serca im mdleją.

A do Maryi powraca echami:
»Błogosławiona jesteś między niewiastami!«
I łkaniem nagła dokończa tęsknota:
»I błogosławion owoc Twojego żywota!...«

Śmierć dookolne zaciąga bezdroża,
Ciało Synowe żegna Matka Boża.

Śmierć ponad Kalwaryjską zapada pustoszą,
W niej ciche echa jęków zlitowania proszą
I próżne drzewo krzyża wyciąga ramiona...

Módl się samotna, w cieniach opuszczona,
Nad wyprężonem wśród mroków zbielałem
Syna Twego ciałem.

Wiatr ponad Kalwaryjską przeciąga pustoszą,
A w nim się echa wrzasków dalekich unoszą.
Od tej okrutnej, tępej i nieszczęsnej ziemi...
Módl się nad nami grzesznemi!
Ręce złożywszy nad nim, o módl Twego Syna
Niech nie wraca, gdy przyjdzie nam śmierci godzina.
Niech nie wraca z Tą siną, pokrwawioną twarzą,
Na której tylko T w o j e oczy stać się ważą,
Ani tą obumarłą niech nie wraca ciszą,
W której jęki, a wrzaski, obok siebie wiszą,
Ni z temi sądzącemi, krwawemi ranami!
Bośmy tacy nieszczęśni, strwożeni i sami,
Bo nie zdzierżymy Matko! o módl się za nami!

WNIEBOWZIĘCIE.

Kiedy usnęła ziemią nietknięta,
Panienka święta,
W skrzydłach anielskich w niebo jest wzięta.
Apostołowie stoją strapieni
Patrząc, że to ich biała ksieni
Do nieba wzięta! do nieba wzięta!

Troskliwie wiążą jej aniołowie
Skrzydła w podgłowie,
Niech się o śmierci swojej nie dowie,
Aż Ją, przeczystą Matuchnę Bożą,
U stóp Jej Syna Bożego złożą,
Wtedy się dowie! wtedy się dowie!

Kiedy się dowie cieniem nietknięta,
Panienka święta,
Mąk nie pamięta, łez nie pamięta,
A w ręce Boskie ująwszy dłonie,
Usta Matczyne opiera o nie
Syna pamięta! Syna pamięta!

Jezus synowskie rozwarł objęcie
Na Jej przyjęcie,
I rzekł: O Matko! przy naszem święcie
Za Tobą tęskno było, królowo.
Dziś się dwór cały przybrał godowo,
Przy nowem święcie! przy nowem święcie!

Za Synem idąc święta Panienka
Przed Ojcem klęka,
Wszechmocna nad Nią wzniesiona ręka
A Ona schyla pokornie lica,
I mówi: »Otom Ja służebnica!«
A nad Nią ręka, wszechmocna ręka!

I Pan Ją złotą z gwiazd uplecioną,
Zdobi koroną.
Jezus się patrzy w Królowę oną
I słodko Matce Swej się uśmiecha,
Że Ją już wreszcie doszła pociecha,
Z radością oną! z radością oną!

Gdy tron zasiadła stawiony z chmury,
Śnieżnemi pióry,
Pokłon Jej biją anielskie chóry:
»Iżeś szła przy nim ścieżką podobną,
»Gdy nam go nosić nie było wolno!«
Dziękują chóry! anielskie chóry!

Przez łan niebieski powoli kroczy
Orszak proroczy,
W Królowę starcze podnosząc oczy!
Co jeden klęka u stóp Panience.
Co jeden święte całuje ręce,
Podnosząc oczy, dziękczynne oczy.

A smutny Adam, smutniejsza Ewa
Łzami się zlewa.

»Już że się Pan nasz na nas nie gniewa
»Boś go przebłagać stała się godną!«
Pani twarz czyniąc bardzo łagodną:
»Już się nie gniewa! już się nie gniewa!«

Królowo Matko! cieniem nie tknięta
Panienko święta!
Idziem za Tobą, choć ciążą pęta.
Idziem i prosim, byśmy trafili
Tam, gdzie nas czekasz po zgonu chwili,
Gdy spadną pęta, życiowe pęta!

ZAKOŃCZENIE.

Tron Twój Pani postawion jest w przytułku słońca
Od końca do końca.
Przed nim się morze skrzydeł anielskich kolebie,
Atoli na tę ziemię szukającą Ciebie,
Pomnij, Pani słońca.

A każdy przy luteńce w Ciebie zapatrzony
Co najsłodsze tony
Wybiera i piosenkę złotoskrzydlną wije
Atoli nas zatrważa, sieroty niczyje,
Dwór w Ciebie wpatrzony.

O niebieskich lutnistów królewskie kochanie,
Jak przed Tobą stanie
Ubogiej mowy ludzkiej, najuboższe słowo?
Atoli, miej wzgląd na nie, aniołów Królowo,
I lutni ich kochanie!

Krystyna Saryusz-Zaleska.

GODŁO:
ἰχθύς

GWIAZDA MORZA.

Obaj są górnikami z dziada pradziada. W księgach parafialnych zapisane, że, jak długo ludzka pamięć sięga, przodkowie ich żupy pilnowali, kruszakami byli, ze świętej soli żyli. Gdzie dziad miał chleb, tum go i wnuk szuka.

Do pracy idą.

Ojciec i syn ze wschodem słońca przyszli do królewskiego szybu. Zraźny szyb otwarł, górnicy w stopnie poszli. Kilkadziesiąt stopni ledwie miniesz, szyb się w wielką kaplicę rozszerzył. Stara jak świat ta królewska kaplica; królewską się dlatego zowie, bo panowie najjaśniejsi ją wyrąbać w caliznie hałdy kazali, bo ile razy Piast czy Jagiellon żupę zwiedzał, królewskim szybem w ziemię szedł, zawsze w tym podziemnym kościele klękał, aby pokłonić się Bogu. Starzy górnicy od dziadów i pradziadów słyszeli, że był w tej kaplicy chłopski król Kazimierz, który sierotom i wdowom górniczym sąsiek pełen złotych dukatów darował. Darowałeś królu Kazimierzu kruszakom i wozakom sąsiek dukatów; pięćset lat już w grobie leżysz, gwarectwo daru twego jako oka w głowie strzeże, grosz twój cały i nienaruszony wdowom łzy ociera, sierotom chleb do ust daje. W proch się rozsypali wielcy, zwycięscy królowie, próchno się świeci w trumnach zaborczych hetmanów. Tyś chłopski królu nie próchnem, ani prochem, ty dziś żyjesz, bo dziś chleb do ust sierocych podajesz...

Dwaj kruszacy, ojciec i syn, do królewskiej kaplicy zeszli. Na środku wielkie dzieło ludzkiej ręki. Oto z niezmiernej calizny

kryształowej soli posąg Najświętszej Panny wyrzeźbiono. Matka Zbawiciela wyciąga do górników białe rączki przejrzyste, jakby te ręce z toni chciały człowieka ratować, jakby ten posąg mówił: jam ratunkiem dla żeglarzy zbłąkanych, których okręt tonie. Wielka zaprawdę myśl snycerza, który posąg ten wykonał. Wszak tu, gdzie dziś sól, było niezmierne morze, słońce paliło, warstwy soli spadły, wody wyparowały, niezmierne masy calizny solnej zostały. Dziś górnik się w nie wkopał, niechże mu z pomocą idzie Ta, która żeglarzowi ręce podaje, niech błogosławieństwo Panny świętej idzie w to skamieniałe morze... Zmówili pacierz kruszacy, w próg kaplicy się cofają, ojciec szepce do syna:

— Snycerz sławnego dzieła dokonał.

— Solna Najświętsza Panna niby żywa.

— Rzeźbiarz królewski ten posąg robił.

— Ten sam, w którego dzieła krakowska kaplica Zygmuntowska strojna.

— Ożyć temu posągowi!

— Ręce do nas wyciąga!

— Pani nasza gwarecka!

— Matka górników.

— Ucieczka zbłąkanych.

— Gwiazda morza!

Wyszli, z otrokiem schodami w głąb ziemi idą, a w duszy posąg święty, a w myśli ręce białe ku pomocy wyciągnięte, a na ustach tłumu ludzkiego pieśń, całe ostrzysko śpiewa:

Gwiazdo morza, któraś Pana
Mlekiem swojem karmiła,
Tyś śmierci szczep, który wszczepił
Pierwszy rodzic, skruszyła.
Odwróć od nas głód, mór ciężki,
Zachowaj krwawej wojny...

Zeszli górnicy w ziemię. Półlemnikowy, młody chłopak ojcu drogę świeci, idą szybko Zygmuntowską zdłużnią, mijają szyby i szybiki, to schodami wykutymi w hałdzie w głąb ziemi idą, to znowu bieżnią na swe działo śpieszą.

Przeszli koło rząpia pełnego surowicy, już są w sztolni,

która do ociosu przytyka. Stąd ciasne, wązkie wejście na słupach sosnowych wsparte; drzewo smulec i sypki żuber wspiera przesmyk wąziutki, jeden człowiek ledwie się przeciśnie. Wśliznął się kruszak, syn za nim...

. . . . . .

Przed nimi działo. Wielka, pusta jama, hałdy solne iskrami się świecą, na caliznie zwisła olbrzymia ława soli, którą od ściany odwalić trzeba. Ociosany zboj ma dziesięć miar, z tego ogromnego bałwana sto kruchów soli będzie. Jeno go zbankować, kruchy wywieźć, kłopcie w półsolówki zabić, prasołom i frochtom wydać. Powała działa na słupach drewnianych podkasztowana, gdy dębiny brakło, górnik kolumnę z calizny hałdy zbudował; na rusztowaniu drzew sukmany swe górnicy złożyli, stary kruszak silniej kaganiec rozjarzył, półlennikowy ujął kilof w ręce...

— Jamę jakąś widzę, ojcze panie.

— Pierwszy raz ujrzałeś?

— Pierwszy.

— Od wieka ci tu ona była. Wejście w stare góry. Zasłaniały je spiże, ziemia wczoraj kominowała, odsłoniła jamę.

— Co jest w tej jaskini?

— Bóg to jeden wie. Za mego dziada panwiowy ciągnął stąd wodę do karbaryi, dzień i noc tu pracowało górnictwo szelężne. Potem wody puszczono innem korytem, przestrzenie wyschły...

— Ja tam wejdę.

— Niech cię Bóg zachowa. Bańskiem prawem to zabronione. Przez tę paszczę w stare góry droga, w przestrzenie, gdzie przed wiekami za królów Piastów sól kopano. Dziś tam ludzka noga nie postoi, co krok śmierć górnikowi grozi, w rząp wpadniesz, burt i rumówka na łeb zleci, ratunku tam ni pomocy, prawo narażać się na śmierć górnikowi nie pozwala.

— Przecie zajrzę, ojcze...

— Nie zajrzysz. Kliny mi podasz, ocios zaklinujem, zrąb zbankujem. Dej żelazo...

— Co to, ojcze panie? Czy widzisz?

— Matko Boska! Hałda słup złamała.

— Gruby pień sosny prysł.

— Powała się wali.

— Gdy runie, śmierć nam.

— Czekaj. Zobaczę. Jeden słup prysł... Ale pięć pniaków cało stoi. Słup z twardej hałdy. Wytrzyma. Nic nam się nie stanie

— Boję się czegoś, ojcze.

— Do pracy. Weź żelaza. Ocios zbankujem.

Ujął kruszak klin żelazny, między ścianę soli a ocios go wbija. Syn trzyma w rękach żelazo, kruszak całą siłą kilofem w klin bije. Idzie stal zwolna w sól i idzie.

W pół dnia wbito klin drugi, trzeci, dziesiąty...

Jakby komora zadygotała...

— Na bok!!

— Sól pryska...

— Ściana się rysuje...

— Wnet zrąb spadnie. Czekaj. Ja go odważę.

Chwycił stary w ręce długi, żelazny drąg, w rysę go głęboko włożył, gdy ćwierć siąga żelaza w otwór weszło, obaj górnicy dźwignię ujęli, żylaste ręce całą siłą otok podważają.

Posypał się piarg zydzu, niezmierna calizna soli zachwiała się, jakby ten ogromny ciężar westchnął... górnicy uciekli...

— Huk pioruna...

. . . . . .

Huk ten zgasił światło...

. . . . . .

Gdy kaganiec nanowo kruszak rozjarzył, gdy spojrzał na to, co się stało... krew w żyłach się ścięła...

. . . . . .

Otok runął, powała połowy działa runęła, straszliwy ciężar pnie sosnowe jako wióry połamał, wzdłużna się zapadła, sypki smulec się ścisnął, przesmyk niezmierną mocą ziemi zasypany, odwrót odcięty...

— Matko Boska, ratuj nas!

— Wyjścia stąd niemasz.

— Śmierć z głodu.

Pobiegł kruszak do zwaleniska, patrzy, wszystko stracone, spojrzał, zapłakał...

— Śmierć z głodu...

— Nie masz dla nas wyjścia?

Myśli stary kruszak chwilę...

— Jest wyjście, jest.

— Dokąd?

— W stare góry.

— Mówiłeś przecie, ojcze, że tam śmierć, że tam co krok rząp, że tam hałda nad głową śmiercią grozi...

— A czyć lepsza tu śmierć z głodu?...

. . . . . .

Wcisnęli się w jamę, poszli w nieznane przestrzenie. Bóg wie jak długo tułać się trzeba, Bóg wie jak długo drogi szukać przyjdzie. Dwa kagańce w rękach ich płoną, zagasili jeden, aby światła na dłużej starczyło.

Szli, bez końca szli. Nie wiedzą, ile godzin upłynęło. Zmorzyło ich utrudzenie, zgasili szczupłe światło i upadli na ziemię. Zasnęli. O gdybyś ty śnie trwał wiecznie! Gdyby nie wstać, gdyby nie zbudziła się ta myśl, że...

. . . . . .

Zbudził się kruszak, powstał, skrzesał ognia, rozjarzył kaganek, budzi syna.

— Chodź! Chodź!

Przetarł chłopiec oczy, długo na ojca patrzył, usta otwarte... przypomniał sobie... żywiołowym płaczem wybuchnął.

— Pocoś mię budził, ojcze panie?!

— Drogi nam szukać...

— Śnił mi się dom nasz wśród wiśni i jabłonek.

— Chodź.

— Po śmierć przecie idziem.

— Prędzej chodź.

Co chwilę staje górnik. Węszy. Węchem drogę bada. Może poczuje powietrze ze szybu, może ciepłe, słoneczne powietrze wskaże mu dokąd iść, aby życie ocalić. Znowu idą, znowu stają. Zapomniany świat przed nimi. Piece zawalone, wzdłużnie w rui-

nie. Oto bieżnia rzędem dębowych słupów wspartą była, drzewo kilka wieków ogromy dźwigało, ciężar wgniótł słupy w ziemię, wzdłużnia siadła, powała do podłogi przypadła, tam, gdzie niegdyś ludzie chodzili, otwór dziś taki, że ledwie pleząc się na brzuchu przebyć go można. Wplózł się kruszak, za nim dziecko, dziesięć latrów się pleźli, znowu wielka przestrzeń, znowu otwarta przestronna komora. Usiedli na kamiennych kłopciach, resztę chleba zjedli...

Błąkają się po labiryntach i błąkają. Bóg wie jak dawno tu ludzka noga nie postała. Na szarych ścianach hałdy osiadł już kwiat solny, porosty solne wyprawy komor pokryły. Na firszcie komory woda kilkaset lat ciekła, sople solne ogromne u powały wiszą, cały strop mokrych przestrzeni najeżony iglicami stalaktytów. Oto przez wieki w rząpiu wody sól się ścięła, w ogromne czworoboczne kształty się skrystalizowała: po klepisku ludzka noga idzie jako po mchu, ten mech to igliczki delikatne, wykwitłe z solnej wilgoci, to nowa sól się rodzi. Weszli do jakiejś zapadłej komory, kruszak idąc klepiskiem potknął się, omal nie upadł, gdy kaganiec rozjarzył, aby ujrzeć zawadę, strach śmiertelny zdjął zbłąkanych ludzi...

Oto białe kości ludzkie na ziemi leżą, zbrodniarz snać tu umarł, którego za kradzież lub mord sąd ławniczy na śmierć głodową w starych górach skazał [1].

* * *

Śmierć idzie. Kilka dni minęło. Ile? Jeden Bóg wie. Nie ludzie, jeno zgłodniałe cienie po pustkach się wloką. Przecież idą choć głód z nóg ich wali, straszliwy głód szarpie trzewia i kąsa wnętrzności...

. . . . . .

Gorączka przyszła głodowa, krew płonie w żyłach, wszystkie zmysły płoną. Spojrzał kruszak na wychudłe lica dziecka, na mętne chorobą jego oczy...

[1] Takie wyroki wydawano za żupnictwa Jana Odrowąża Pieniążka, wojewody sieradzkiego.

— Co ci dziecko?

— Jeść, ojcze panie, jeść.

Zawył płaczem stary górnik, rozdarł rękaw giezła, przedręcze synowi do ust niesie...

— Jedz dziecko!!

— Co ty mówisz?...

— Jedz!!

— Jakto?

— Jedzże ciało moje...

. . . . . .

Swiatła kagańców resztę tłustości wypiły, ogień zagasł. Ciemność straszliwa w oczach króluje, a przecie gorączka ludzi niesie w nieznane przestrzenie. Idzie na oślep kruszak, ciągle idzie, rozpacz go niesie, idzie, łbem o skałę uderzył i runął na ziemię.

Słyszy chłopak łomot upadającego ciała.

— Gdzieście wy, ojcze?!

Milczenie głuche.

— Odezwij się, ojcze!!

Cisza. Postąpił młody górnik, potknął się na ciele ojca, upadł, ręka jego wsparła się na drżącem zimnicą ojca ramieniu...

— Przemów, ojcze!!

Znowu cisza.

— A więc idziesz, ty śmierci...

. . . . . .

Gorączka straszna. Gorączka duszy chore skrzydłą przypięła w dalekie światy ją niesie. Leci dusza, na światło leci. Słoneczko jasne. Dom wśród jabłonek i wiśni, dom wśród pszenic, pszenice kwietne miedze, jakoby barwne pasy słuckie przecinają...

— Gwiazdo morza! — szepcą rozpalone usta.

— Gwiazdo morza!! — woła łkająca rozpaczą dusza.

Znowu chore skrzydła przypięła gorączka, znowu marzenie, znowu dom w wiśniach, znowu przebudzenie...

To nie dom, to nie pszeniczne łany. Straszna, czarna otchłań przed oczami, nie, nie — oczy jego nie widzą nic, nawet otchłani. Tylko piekło ciemności bezbrzeżnej...

— Idziesz śmierci...

Zebrał chłopak siły, ukląkł na hałdzie. Żegna życie swoje młode pozdrowieniem gwareckiej Pani, te trupie, głodem wykrzywione usta łkają i płaczą pieśń:

Gwiazdo morza, któraś Pana
Mlekiem swojem karmiła...

Przebij ludzka rozpaczy tę ciemność straszliwą, przebij tę niezmierną przestrzeń czarnej ziemi, wyrwij się na świat, poleć do Niej, doleć do Niej! Jej tron promienny wśród gwiazd... Przecie Ona widzi, jak głodem wykrzywione usta łkają. Widzisz, o Jasna! Oto człowieka zmógł płacz, oto rozpacz wyssała przytomność i wszystkie siły...

. . . . . .

Opamiętał się stary kruszak, zemdlonego syna budzi...

— Dziecko!

Chwycił nieprzytomnego w ramiona, skronie jego dłonią trze, ręce jego ujął, tętno obudzić się stara.

— Dziecko!!

Z ust dziecka czuć gorączkę, usta szepcą:

— Śmierć idzie...

— Oprzytomnij, na miłosierdzie Boskie, oprzytomnij.

— Śmierć idzie. Na łany pszeniczne mię niesie, tam dom wśród wiśni i jabłonek...

— Ulituj się! Zbierz zmysły!

— Co to?

— Patrz!!

Z trudem chłopak dźwignął głowę.

— Jak tu jasno!

— Ogień...

— Kwiecie...

— Z calizny ciemnej lilia...

— Lilie białe jasnością niezmierną płoną.

— Z pośrodku lilii gwiazda wschodzi...

— Blask jutrzni zarannej...

— Morze światła...

Zjawisko niesłychane wstrząsło ludzkiem jestestwem, wskrzesiło siły umierających z głodu ludzi. Zerwali się obaj...

Komora niezmierna światłem zalana. Oto z ziemi mgławica jakaś błyskawiczna, taka pogodna i taka czysta, jako ta zorza ranna, która wschód słonka wyprzedza. Światło niezmierne wstaje, z łanu lilii słońce się rodzi, wstała jasność słoneczna, ludzkie oczy oślepia, a przecie te ludzkie oczy w morzu światła postać kochaną ujrzały...

Z białości liliowej Ona zakwita, dobre, miłosierne oczy na górników zwrócone. Wyciąga przeczyste ręce do nieszczęśliwych ludzi, jakby dawała te ręce żeglarzowi, który w skamieniałem morzu ginie. Poszaleli górnicy...

Ona...

— Gwiazda morza!!

— Gwarecka Pani!!

— Ręce nam podaje!!!

Przypadli do Matki po ratunek, patrzą zdumionemi oczy... Niesłychane rzeczy... niewidziane... Kwiaty żyją... Oto lilie, które wieńcem przeczystym stopy Matki otoczyły, pochyliły przed Nią swe korony, długi kwietny korowaj przed Gwiazdą Morza idzie; idą te lilie, jakby pochód poprzedzały dwa szeregi jutrznianych aniołów. Wyciągła Najświętsza Panna rękę do biednych ludzi.

— Za mną!... — — — — — — — — — — — — — —

Przez wzdłużnie, zapadłe komory i sztolnie Marya ich prowadzi, przepaście mija, w drodze czarną paszczę szybu widać; przepaść lilie żywą calizną zakryły, przez bezdenny szyb przeszli szczęśliwie ludzie. Znowu pajęczyna krużganków i sztolni, komora niezmierna, co to — w pochodzie stanęła w poprzek kamienna ściana. Przyszła do hałdy solnej Najświętsza Panna, podniosła w górę liliową rękę i rzecze do kamienia:

— Ustąp się... — — — — — — — — — — — — — —

Szaleją ludzkie oczy. Oto pęknął na dwoje ocios ściany, zboj się w górę dźwiga, w caliznie ściany czarną czeluść widać, rośnie ta czeluść, już jest jako gotycka brama, za bramą w dali światła kaganków majaczeją...

— Idźcie..... — — — — — — — — — — — — — —

Wypadli górnicy, idą jak obłąkani, wszak to ludzie, kaganki

płoną, ludzi widać, brać górniczą widać, pan żupnik, pan warcabnik i pan bachmistrz stoi, nie wiedzą co począć, — chcieli się zwrócić, przed Matką na twarz upaść... — — — — — — —

. . . . . .

. . . . . .

Sciana się zawarła.

. . . . . .

Padli zemdleni na ręce górniczej braci.
Ludzie co tchu na świat ich niosą żywych... całych...

* * *

A gwarectwo pojąć nie może, co się to dzieje. Oczom nie wierzą, na sól, szczerą sól, która ludzi wydała, patrzą. Idzie ciżba do ściany, rękami jej dotyka, sól i sól. Ujął kruszak w ręce żelaza i na gładkim zrębie wyciosał krzyż, aby pamięć dzieła Bożego przetrwała w późne pokolenia.

Ludwik Stasiak.

HYENA.

— Hej, państwo, powiem wam nowinę!

— Stul gębę, nie wrzeszcz!

— Dajcież spokój — wtrąca się jedna z dam — lepiej niech który co zafunduje, będzie większa ochota, ciemno już, niedługo rozejść się trzeba będzie.

— Mądrze mówi — potwierdził jeden.

— I ty mądrze mówisz, ale cóż z tego, kiebyś tylko pił, a do fundy cię niema.

— Czekaj, przyjdą i na mnie lepsze czasy, mam napięty złoty interes...

— Chyba pod Telegrafem, albo na Wiśniczu...

— O wa, i tobie Wiśnicz nie dziwny...

— Nie macie się o co kłócić — rzekł »Dyplomata«, i posuwistym krokiem, naśladując lekkiego amanta, zbliżył się do jednej z damulek, której był »narzeczonym», a strzepnąwszy palcami, co było jego zwyczajem, przysiadł się obok niej z gracyą, godną pierwszego salonowca i rzekł:

— Daj dowód, »Muszko«, że należymy do wyższej sfery, niech ta hołota wie, że nam nie zależy na kilku koronach. Czy mam zawołać Grabarza?

— Ej, ty urwiszu, ty mój urwiszu, ty wiesz, że ci niczego nie odmówię.

Wydobyła z ręcznej torebki kilka sztuk drobnej monety

i wręczyła je uśmiechniętemu »Dyplomacie«, który złożył za to na ręce narzeczonej gorący pocałunek.

— A co, czy on nie wart zasiadać w jakim gabinecie?

A on protekcyonalnie skinął na obok stojącego:

— Niech da tej mocnej...

— Innej nie piję.

— Możeby starczyło na jaką przekąskę, bom wściekle głodny.

— I jabym co skłapnął.

— Dobrze, bądźcie spokojni.

— Dodać mu asystenta, dla pewności...

— Co za rozumy mają ci chłopcy — zawyrokował stary jakiś, który dotychczas mały brał udział w rozmowie. Teraz w nadziei, że go dopuszczą do kieliszka, przepychał się pośpiesznie pomiędzy stołami, starając się zająć miejsce najbliżej »Dyplomaty«.

— Jest »Twardy«! — i z podniesioną w górę flachą, biegł jeden z oberwańców prosto ku stołowi, przy którym znajdowała się fundatorka. — Potrawy niesie mój pomocnik.

— Dawać tutaj, to drogocenne naczynie, w niem cała mądrość się mieści.

— To dziwne, że tak często pijesz z tego naczynia, a mądrości u ciebie dopatrzyć się trudno.

— Bo mądrość, nie padlina, nie na twój nos!

— Rozprawiajcie dalej, my pić będziemy — zawołał najbliżej »Dyplomaty« stojący.

— Tyś się tam wcisnął, »trupia główko«.

— Panowie! — woła jeden z oberwusów, wyskoczywszy na stół z butelką w ręku — mam doskonałą myśl, ubawimy się wybornie i — dodał ciszej — obłowimy. Posłuchajcie. Tam w szynku widziałem całą bandę żebraków podochoconych; wracają podobno z odpustu z ponapychanemi torbami. Chłopcy, co myślicie, czy nie dobrzeby było zaprosić ich tu do kompanii?

— Czyś oszalał? ja, z dziadami w towarzystwie?! — krzyczy ktoś z kąta.

— Prawda — ciągnie dalej mowca — że my należymy do klasy uprzywilejowanej, do arystokracyi, że tak powiem, mamy

bowiem w gronie naszem rozmaite znakomitości, mamy szlachetne damy...

— Kończ, lub daj flaszkę!

— Pchnij go w bok, aż kark skręci!

— Czekać, hołoto — zaryczał mowca chrapliwym głosem, bo... Zgadzacie się na mój wniosek?

— Zgoda! — zawołało kilka głosów.

— Będzie heca — odezwał się »Moręgowaty». — A może się da co tak... — Tu zrobił znaczący ruch ręką.

— To mądrze powiedziane — rzekł projektodawca, a zeskoczywszy ze stołu, wychylił kielich trunku i postawił resztę na stole. Kilkanaście rąk wysunęło się naraz.

Teraz wstał i »Dyplomata«, który przez cały czas zajęty był swoją sąsiadką »Piegatą« i biegając pomiędzy zgromadzonymi, uciszał ich ruchami rąk, mówiąc przyciszonym głosem:

— Musimy urządzić się tak, by nie odgadła ta hołota o co chodzi. Udajmy więc ludzi... »porządnych«. Wy dziewczęta zróbcie skromniejsze miny, a wy, koledzy, jak się da, bierzcie się do tych starych ropuch. Co to szkodzi zawrócić im we łbie.

Powstał gwar.

— Cicho! ja plan układam. Najprzód poczęstuje ich się wódką, następnie piwem z arakiem; wiara się rozochoci, my do bab, a wy, panny, gdybyście się tak do starych dziadów umizgnęły...

— Cha, cha, cha! pyszne! — rozśmiali się wszyscy.

— Ty, »Moręgowaty«, przeszukasz ich gałgany, które niezawodnie poodkładają, jak im zacznie być gorąco, o co się postaramy, a ty, »Gnilcu«, wartujesz na ulicy. Teraz baczność, siadać za stołem. Ja idę ich zaprosić a »Lis« niech się zajmie poczęstunkiem, masz tu pieniądze.

W tej chwili otwarły się drzwi i weszła do spelunki znajoma obecnym towarzyszka, tak zwana »Hyena«.

— Hyena, Hyena! — odezwało się naraz kilka głosów. — A gdzież się ty obracasz? Tyle dni cię nigdzie nie widać. Myśleliśmy, żeś już przepadła. A chodźże, napij się, teraz Piegata sprawia fundę.

Hyena odpowiadała niechętnie, na żarty nie zwracała uwagi. Znać było na niej ogromne zmęczenie, ból jakiś wyrył na jej twarzy swe piętno. Elka zauważyła tę zmianę, więc podała jej rękę, uścisnęła ją mocno i pociągnęła z sobą w róg izby.

— Siądźmy tu obydwie, bo widzę, że większe towarzystwo przykrość ci sprawia.

— O tak.

— Co ci jest?

— Sama nie wiem, co mi jest.

— Przyznaj się... możeś chora?

— Tak, chora jestem... nie ciało jednak... Nie śmiej się, Elko, ty nie wiesz, jakie ja męki przechodzę już od dłuższego czasu.

. . . . . .

— No, mówże... co?

— Skąd się to wzięło, nie wiem...

— Raz szłam ulicą na wyznaczone mi miejsce. — Tu drgnęła jej twarz nerwowo. — Pamiętam dzień ten, było to święto. Z przeciwnej strony zbliżała się procesya z chorągwiami. Chciałam się cofnąć, skręcić w bok, obejść, było już zapóźno. Coś mię przykuło w miejscu.

— Stanęłam więc... procesya płynie... w górze widzę krzyż, posuwa się ku mnie, za nim dziewczęta w bieli niosą figurę Matki Boskiej... ubrana w kwiaty... wyciąga przed siebie ręce. W promieniach od tej figury bijących zobaczyłam mą duszę... czarna, skalana i przeraziłam się sama siebie... Elko! tak samo ja nosiłam Ją, tam w wiosce mej rodzinnej, tam przy odgłosie dzwonów, wśród zieleni pól, niosłam Ją... a dziś...

— Uczułam w sercu ból. Strach mię porwał, chciałam uciec, nie mogłam. Przymknęłam oczy. Widziałam Ją jednak i przez przymknięte powieki, lecz nie miłośnie uśmiechniętą, ale groźną, zdawało mi się, że się odwróciła ode mnie.

— Elko, od tej chwili poczułam taki wstręt do swego życia, że znaleźć sobie miejsca nie mogłam. Próbowałam pić, by zapomnieć o wszystkiem, lecz i to nic nie pomagało. Widziałam wtenczas jeszcze jaskrawiej całą ohydę położenia. Darłam na sobie

ubranie kupione za pieniądze w tak nikczemny sposób zarobione, błyskotki rzuciłam w śmietnik.

— Poszłam szukać służby... Czy uwierzysz, Elko, trzy dni chodziłam o głodzie, jak pies odpędzana od progu. Nie ustawałam, prosiłam prawie na klęczkach, obiecywałam, że pracować będę szczerze, uczciwie... Śmiano mi się w oczy, zbywano żartami, kpiono z mej skruchy, a w niektórych miejscach wypchnięto.

— Rozpacz mię brała... nie wiedziałam co począć... wrócić tam, do wsi?... jak się pokazać... nie mam odwagi... tyle lat nie dawałam znać o sobie.

— Przecie cię przyjmą...

— Nie... nie... nie... Ja myśleć o tem nie mogę. Czy ty wiesz Elko?... Nie, to okropna myśl... Czy ty wiesz... ale sza... czy tu nikt nas nie usłyszy?

— Wszyscy zajęci pijatyką, nie zwracają na nas uwagi... mów... będzie ci lżej.

— Miałam dziecię... takie maleńkie pisklątko. Było mię wstyd, szydzono ze mnie... w domu mię bili. Raz wybrali się wszyscy do kościoła... niedziela była... była pogoda... świeciło słońce... świat się śmiał z rozkoszy... ja byłam w domu sama... Wyszłam za wieś z dzieckiem. Tam płynęła rzeczka... Pobiegłam przez łąki nad brzeg rzeczki... dziecię tuliło się do mnie i uśmiechało. Porwałam je w ręce... i rzuciłam w wodę.

. . . . . .

— Potem uciekłam, słyszałam za sobą płacz dzieciny... Pędziłam, co sił przed siebie, a za mną leciał płacz mego dziecka i ścigał mię zawsze... I ten płacz jęczy mi w duszy... i teraz go słyszę...

— Poszłam do kościoła, ale to nie tak łatwo spojrzeć na ołtarz niewinnego Baranka temi oczyma, które przywykły patrzeć tylko na grzech...

— Aż przyszłam tu... przywlokłam się głodna, zziębnięta, a w głowie czuję szum, zamęt, a w piersiach ogień, nogi mi drżą...

— Napij się wódki, rozgrzejesz się.

— Nie... nie... nie...

Wstała i zawróciła ku drzwiom, lecz w progu spotkała się z tłoczącą zgrają żebraków, a na ich czele »Dyplomatę«.

— Prowadzę całe towarzystwo.

I rzeczywiście tuż za nim weszła czereda żebraków i żebraczek, którym towarzyszył żyd, szynkarz, niosący kilka stołków.

— Ja szanownym gościom niosę siedzenia, bo u mnie każdy gość musi wygodnie siedzieć... proszę, jeżeli nie wystarczy, dać mi znać, ja przyniosę więcej... Ej, co ja widzę, to i panna Hyena tu? Oj, tak dawno nie widziana... hm, gdzież to panna przebywała... Coś mi źle panna wygląda, pewnie powietrze nie służyło... to nie tak jak u nas, prawda?...

— Przekąski są?

— Są gorące i zimne. Ja już wiem kiedy dać gorące a kiedy zimne, żeby te delikatne żołądki nie obrazić. — I mrugając, wysunął się za drzwi.

— Zaprosiliśmy was, żeby się wspólnie ubawić, lubię towarzystwo rozmaite, zwłaszcza, że wracając z odpustu, macie w zapasie dużo nowin... Aby jednak czasu nie tracić na darmo, zaczniemy od wódki. Podać tu butelkę... napiję się a conto naszej znajomości do najznamienitszej pomiędzy wami.

I tu zwrócił się Dyplomata do stojącej obok grubej jak dynia żebraczki i podał jej wódkę.

— Ja nie piję wódki... przysięgałam — odparła zcicha zagadnięta.

— Żadna z nas nie pije — odezwała się druga — my biedne, żyjemy z jałmużny, na wódkę nas nie stać...

— Ha, ha, ha! wybornie! Baranki! niewiniątka! Nie bójcie się, my nie fryce... my was nie zdradzimy... przy nas nie udawajcie... my zresztą tak jak i wy chleb z jednej jemy roli... tylko inaczej przyrządzony...

— Naturalnie!... Nie ociągajcie się, bo widzimy, że macie ochotę, a zresztą nam się także śpieszy, a przed wami pić nie będziemy.

Dziady popoglądały jeden po drugim, ruszyły ramionami, dały sobie oczyma znaki przyzwalające... i rozpoczęła się pijatyka.

— Siadajmy! — zawołał »Gnilec«.

— To się wie — odparł Kolka — ale jabym był zatem, aby siadać przeplatanego.

— Przeplatanego, to lubię, swoboda. W ręce sąsiadki, duszkiem... dobra... co?

— Wyborna!

— A nie chcieliście pić...

— Bo nie wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia, trzeba być ostrożnym... ludzkie języki... człowiek musi się oglądać...

— Zupełnie słusznie, my tak samo...

— Zdrowie mojego sąsiada — zawołała jedna z damulek, zwracając się do obok siedzącego grubachy dziada, z gardzielą szeroką, i z jednego boku tak narosłą, że wyglądała, jak kobza góralska.

— Panna żartuje ze mnie, ja stary.

— Nic nie mówić dziaduniu... żeby tylko która z waszych nie była zazdrosna...

— E... e... e... to nie.

— Ha, ha, ha, ale wam niewygodnie w tym płaszczu, zdejmcie go, będzie nam przyjemniej...

— Czy ja wiem... ja ta mam... czyli ja nie mam tam nic. — Tu język mu się już zaczął plątać.

— Ja was rozepnę, dobrze?

— Nie wiem czy inni ..

— Co inni, zresztą tak samo zrobią...

— Piwa wrzasnął jeden z biesiadników...

Skoczył jeden do szynkwasu i w parę minut szklanki stały na stole.

— Ja funduję — zawołała Elka.

— Wiwat fundatorka.

— A ja jeszcze po kieliszku każę — wybełkotał rozochocony dziad.

— Znakomicie! hura!

I powstał rozgwar, śmiechy, wrzaski pijącej bandy, aż nareszcie jeden z żebraków wyciągnął z pod szuby lirę, na której wygrywał przy kościołach nabożne pieśni.

— Ja wam zagram.

— Będą tany...

— My obydwoje — dobrze dziadziu?

— Wzięła go pod ramię i wysunęła się z nim z za stołu. Całe towarzystwo wstało także.

Co żwawsi, powyskakiwali na środek izby, wykrzykując głośno i wymachując rękami, to zataczając półkręgi taneczne — to znów w komicznych podskokach podchodzili ku sobie, biorąc się wpół zupełnie zbratani, zrównani.

Twarze czerwone, płonęły jak żagwie — oczy zaszłe krwią, ruchy gwałtowne, rozpasane, świadczyły o podnieconych humorach. Tu nie było różnicy i ten, który wyciągał rękę po jałmużnę, jako nędzarz, kaleka, jak również i wabiąca przechodnia »ćma nocna« i dybiący na cudzą własność niebieski ptak — wszyscy wspólnie oddali się rozpasaniu.

Na lirze gra muzyk... pary suną się w takt. Jak grono wiedźm z bagna, wylazły na środek pijane dziadówy, zeszpecone, spodlone długą włóczęgą, chorobami, brudem i wyuzdaniem.

— Ha, ha, ha, zaśmiała się jedna, jak klacz do źrebięcia... chodź tu bliżej... ty... ty... chłopaku... nie chcesz tańczyć ze starą?

Ja stara, ja ci mówię, nie pożałujesz... Co lubisz? lubisz pieniądze? Dam ci, bo mam ich huk. Ale będziesz mój — lub nic nie dostaniesz.

Wysunęła przed siebie ręce i starała się ułowić »Moręgowatego«, który co sił starczyło, umykał.

Pijanica wpadła w szał.

— Co uciekasz? Niech cię...

— Cicho matko, on tylko udaje, wtrącił uspokajająco »Gnilec«, który stał obok...

— Udaje? dobrze, pójdź ty...

Zatoczyła się i runęła pod stół.

— Leż wiedźmo, tylko nie na tym boku, bo tam masz monetę — szepnął do siebie »Moręgowaty« i starając się niby to podnieść dziadowinę, przewrócił ją tylko jak baryłkę z kapustą na inny bok.

W tej chwili »Dyplomata« stanął na środku, a zwracając

się do grajka kazał mu grać krakowiaka i puścił się w taniec. Za nim posunęli się inni. I zaczął się taniec podobny do weseliska potępieńców, dziki, bezładny, szalony, wstrętny. — Przez chwilę słychać było tylko tupanie nóg i sapanie, jakby z dziesięć miechów kowalskich było w ruchu.

— Ha, ha...

— Prędzej graj... ścierwo.

— Suń... mocniej.

W spelunce powstał taki pył, że całe towarzystwo wirowało jak we mgle. Oprócz pyłu tumany dymu zalegały izbę, a wyziewy z wódki i rumu i śledzi wypełniały powietrze i czyniły dusznem. Z ram obrazu wiszącego na ścianach wychylał się Bachus, siedzący na beczce i trzymał w ręce kufel z musującym napojem.

W rogu izby, pomiędzy rupieciami, siedziała bez ruchu Hyena. Głowę oparła o ścianę, po której sączyły się strugi wilgoci, tworząc fantastyczne linie. Oczy miała przysłonięte... myśl jej pracowała widocznie z ogromnym wysiłkiem, gdyż wyraz twarzy zmieniał się prędko; to gniew, to rezygnacya, rozpacz lub żal, opanowywały jej duszę, aż nareszcie chwycił ją strach... Podniosła powieki i bezmyślnie obejrzała się po sali — zdawało jej się, że nie rozumie nic z tego, co się przed jej oczyma dzieje.

Z pod stosu worków i szmat walających się w kącie, podniosła się głowa mężczyzny, z zaspanemi oczyma, głowa w nieładzie, o twarzy obrzękłej, przedwcześnie zniszczonej, choć niepozbawionej śladów dawnej inteligencyi.

— Hyena! szepnął... Hyena! powtórzył znowu, a kiedy nie odwróciła nawet głowy w jego stronę, wstał leniwie, wziął ją za rękę i pociągnął silnie.

— Hyena, cóżeś tak zbaraniała? Tyś głodna, prawda?

— Głodna — wyszeptała.

— Zimno ci?

— Zimno, potwierdziła jak echo.

— Zaraz, czekaj... I poszedł ku jednemu z stołów, wziął flaszkę, stojącą na nim, potrząsł nią a przekonawszy się, że nie próżna, zabrał ją i stojący obok kieliszek. Koło stołu leżał jakiś

pijanica, który chwycił go za nogę. Kopnął go więc, jak drzewo i wrócił na swoje miejsce.

— Napij się wódki, rozgrzejesz się, wzmocnisz, rozweselisz. — Wetknął jej kieliszek w rękę, a kiedy ta nie podnosiła go do ust, podsunął jej go sam.

— Pij...

Jakby zbudzona ze snu, spojrzała na niego z przerażeniem.

— Co nie rozumiesz mię? — pij!

— Nie.

Głupiaś jest, pij, jak ci mówię.

Przemocą prawie wcisnął jej do ust pewną ilość wódki.

— Nie chcesz, a to cię skrzepi.

Mogłabyć inaczej ze mną się obejść. Prawda nie znasz mię dobrze, ale to nic nie szkodzi, zato ja cię znam lepiej, a nawet, powiedziałbym ci coś ważnego, ale mię słuchać nie chcesz. Ale niech tam, ja i tak ci to powiem, może się rozerwiesz, boś djablo zblazowana. Czekaj niech no się trochę odświeżę. — Przy tych słowach, podniósł flaszkę do ust i pił... pił długo aż do dna — poczem rzucił nią w kąt.

— A teraz słuchaj... ja słyszałem wszystko coś Elce opowiadała.

— Wiesz — rzuciła się ku niemu, wiesz, wyksztusiła — o czem ty wiesz? na Boga — cicho. Jakby w febrze trzęsła się cała, oczy jej wyszły z orbit i wpatrywała się niemi w śmiejącego się szyderczo Antka.

Cóż tak dziwnego, że wiem — leżałem tu spokojnie, kiedyś opowiadała swoją historyjkę koleżance — odparł, wskazując ręką na stos próżnych worków. Zresztą nie widzę nic w tem dziwnego... stare historye, zwykłe rzeczy. Takie wypadki zdarzają się pospolicie i nie wiem, czego się niemi tak przejmujesz.

Hyena stała osłupiała, przerażona, wpatrując się w niego, jak wpatruje się skazaniec w szubienicę, na której ma zawisnąć.

— Ty nie powiesz nikomu?

— Nie unoś się, bo nie tylko, że nie powiem, ale śmieje się z całej tej historyi... albo z tej twojej... procesyi.

— Milcz — o tem milcz.

— Kiedy cię to razi... dobrze. Hm, jakaś ty wrażliwa, ty dziewczyna wiejska, takeś nerwy wydelikaciła — widać, że życie wielkomiejskie miało na ciebie wpływ ogromny. Żal mi cię tylko, żeś niepotrzebnie tułała się po domach, żebrząc u ludzi niejako rozgrzeszenia, przebaczenia za twoje życie. Widać niedoświadczenie u ciebie, nieznajomość ludzi, życia.

Ty nie wiesz, że ludzie nigdy nie są zdolni przebaczać bliźnim.

— O Jezu...

— Cicho — nie jęcz — dam ci naukę, radę, idź się utop, powieś, jeżeli nie chcesz lub nie możesz żyć tak, jak żyłaś dotąd. — Patrz, jak się ludzie dobrze bawią; jak tańczą, śmieją się — czy ty myślisz, że im nic nie dolega? Każdy z nas ma taką mniej więcej, jak ty bolączkę i wysila się tylko, by tego wrzodu nie potrącić, nie urazić... starą się jak najdalej odbiedz od rzeczywistego życia... a kiedy to rzeczywiste życie zanadto się mu naprzykrza, to przenosi się tam, w wieczność.

Hyena słuchając tych słów, wypowiedzianych prawie szeptem, uspakajała się powoli...

— Widzę, że przychodzisz powoli do rozumu; to mnie cieszy, że moje słowa odnoszą skutek. A możebyś ty teraz się napiła ze mną, jabym ci coś więcej opowiedział. Jestem ogromnie gadatliwy, zwłaszcza, gdy mam pilnych słuchaczy. Lubię prawić morały... ba! ty nie wiesz, że ja miałem być księdzem. Tu począł się śmiać sam do siebie, śmiechem tak suchym, tak ostrym, że mróz przeszedł po kościach Hyenie.

Aby przyjaźń nasza była całkowitą, musisz wysłuchać mojej historyjki, sprawię się krótko, skoczę tylko jeszcze po jedną flaszeczkę, bo widzę, że moi koledzy dzisiaj szczególnie hojni — ta banda także rzuca pieniądzmi wydrwionymi od dewotek. Wrócił za kilka sekund.

— Twoje zdrowie.

— Nie, nie.

— Co to znaczy nie? Ty mnie nie drażnij! — syknął — patrzysz przed siebie, przewracasz oczyma — czy myślisz wstąpić do prowincyonalnej trupy teatralnej?

— Szatanem jesteś — dręczysz mię.

— Moja duszko, szafujesz wyrazami zupełnie niepotrzebnie, lepiej słuchaj.

— Będzie temu dziesięć lat, kiedy ze szkół przyjechałem na święta do rodziców na wieś, jako student. Mówili wszyscy, że mam szalone szczęście do kobiet, i nie dziw, miałem około 20 lat, byłem śmiały i zawsze szybko dążyłem do celu. — Raz wyszedłem w piękny wiośniany dzień na polowanie... rozumiesz mię, bez strzelby. Pod lasem, przez łąki, płynął strumyk-rzeczka, tak samo, jak tam, koło twojej wsi...

— Do pioruna, ta hołota za głośno krzyczy, ja muszę głos natężać, byś mię zrozumiała.

— Chodźże bliżej... ot tak... siadaj tu...

— Zaczyna mię irytować to wrzeszczące bydło. Wstanę i porozpędzam tę zbieraninę...

— Ale nie... aha... teraz widz[illegible]obrze...

Patrz Hyena, co za sprytne chłopaki. Biorą się do tych obrzydliwych ropuch, a nasze dziewczątka... Ha, ha, ha, patrz no, co za wyborna scena. Ten potwór stary nadstawia mordę parszywą do pocałunku. Nie, skonam ze śmiechu ha, ha, ha... Com ci to opowiadał... Nad rzeczką w gaju pasła... ale ty mię nie słuchasz...

Hyena przez cały ten czas siedziała skulona, założywszy ręce w tył głowy, splotła kurczowo palce, a wzrok wbiła w podłogę, usta tylko drżały nerwowo. Po chwili jakby sama do siebie szeptała.

— To nie on... to inny, może podobny... tamten... tamten był piękny jak drzewo, kiedy kwitnie, jak słońce gdy wzejdzie, jak piękny poranek wiośniany.

— Ja już dawno nie widziałam wiosny. Nie miałam wiosny od chwili tamtej...

— Franiu moja.

— Antoś, tak, Antoś! Boże, co ja mówię, o czem ja marzę... Matko Najświętsza przebacz... Rzuciła się na ziemię i płacz wstrząsnął nią, jak wstrząsa wiatr samotną drzewiną, stojącą na rozdrożu.

— Franiu, podnieś się, wstań, opamiętaj, będziesz dalej moją... jeszcześ młoda, przyjdziesz do siebie... użyjesz jeszcze życia... Nachylił się nad nią i począł jej szeptać do ucha.

— Precz odemnie!

— Scena wstrząsająca... jak widzę... Obrażona niewinność odpycha pokusę... ha, ha, ha... Wybornie! ja bohaterem dramatu!

— Mamo! mamo... czekaj Antoś, słyszysz ten płacz dziecka, widzisz, jak czepia się rączkami gałązek wierzbiny, jak błagalnie patrzą jego oczęta, patrz, jak biegnie jego matka, zbrodniarka przez łąkę, ucieka, rzuciwszy dziecko...

— Ha! przez szatana! nie męcz mię! Kto ma prawo mię sądzić, czynić mi wyrzuty... Zrobiłam tak, bo tak chciałam. Bili mię, popychali, szydzili, wytykali palcami... Daj Antoś wódki... dużo wódki... Pochwyciła flaszkę z rąk Antka, wypiła jednym duszkiem całą jej zawartość.

— Tak, teraz jestem można... chodź Antoś!

— Nareszcie... widzisz, mówiłem ci, zapanuj nad sobą, to historya zwykła.

— Zwykła historya prawda, zabicie dziecka, to zwykła historya... życie w kale i brudzie, też nic nadzwyczajnego, wspomnienia z lat młodych, wyrzuty sumienia... męka duszy, rozpacz. O Antoś, to nie jest zwykła historya... Idź, odejdź, opuść mię, niedotykaj... Zostaw mię własnemu losowi... ja pójdę tam, gdzie znajdę mego syna, gdzie znajdę spokój.

I zarzuciwszy na siebie szal, który jej był spadł na podłogę, rzuciła się ku drzwiom.

Antek, zrobił ruch lekceważący, a kiedy Franka znikła za drzwiami, zwrócił się do swoich towarzyszy.

* * *

Na ulicy było ciemno, wiatr mroźny snuł się po zaułkach, okrążał stojące drzewa, grał swe tajemnicze melodye na drutach telegraficznych... to znów rzucał się za przechodniami, nacierał na nich, miotał im w twarz pyłem ulicznym, lub szczypał policzki.

Hyenę napadł z impetem, spostrzegł że licho ubrana, więc tak ją omotał, że trzęsła się wkrótce z zimna jak w febrze. Lampy, stojące w tej dzielnicy daleko jedna od drugiej, rzucały mdłe, żółto-blade światło, kołyszące się także od wiatru.

Hyena stała chwilę bezradna na bruku.

Wiatr pchał ją w dół ulicy poza miasto, jak łódkę zostawioną na falach bez steru. Poddała się mimowoli tej sile i szła prosto przed siebie, szła coraz szybciej. Czuła instynktownie, że potrzebuje ruchu do rozgrzania się.

Lampy już znikały, domy pochowały się gdzieś w ciemnościach... stały tylko przy drodze drzewa i wydawały tak żałosne głosy, iż Hyenie zdawało się, że to jej współcierpiące siostrzyce. Myśl ta sprawiła jej pewną ulgę.

Podniosła oczy w górę i spostrzegła nad sobą miliony gwiazd. Ucieszyła się niezmiernie temi gwiazdami. W duszę jej spłynęła z tej bezmiernej dali drobniutka kropla spokoju, ukojenia. Tam tyle światów, a każdy z nich krąży, jak kazał mu Bóg... czyż żaden z nich, nigdy nie sprzeniewierzy się Jego woli? A gdyby tak było, to cóż by się z nim stało? Pewnie uległby zatraceniu...

Jakże przecudownie błyszczą na niebie te jasne gwiazdy. W mieście rzadko kiedy przypatrywała się niebu... tyle lat dusza jej nie kąpała się w tych promieniach, które płyną stamtąd....

Na wspomnienie miasta dreszcz szarpnął nią całą. Obejrzała się ze strachem poza siebie. Znikło za nią w ciemności to piekło, w którem szargała się tyle lat... dlaczego? Jeden grzech tak duszę jej zczernił... Zdawało jej się, że ktoś woła ją, że biegnie za nią tłuszcza pijana i wyje... Hyeno! To miano Hyena było dla niej wstrętnem. Słyszała, że tak nazywa się zwierzę drapieżne, wykopujące trupy z ziemi. Trupy... brr... Ona ma wstręt do trupów. Jakże muszą pod ziemią ludzie wyglądać, gdyby tak który wstał... jakby tak wstało jej dziecię z pod ziemi i wyciągnęło do niej rączki i chwyciło się jej szyi i przypięło do piersi...

Włosy poczęły jej stawać na głowie, za gardło chwytał ją kurcz, nie mogła złapać tchu... O-o tam stoi ktoś, wyciąga suche piszczele... tam znowu jęczy duch... tam śmieją się szatani...

Gdzież ucieknę? któż mię obroni? I poczęła się rozglądać w śmiertelnej trwodze i wodzić dokoła rozszerzonemi źrenicami...

— Możeby lepiej było w las... tam ciszej, ukryje się w gąszczu.

Rzuciła się w bok i na przełaj, przez pola zmarznięte na grudę, biegła w stronę szarzejącego się lasu. Głuchy odgłos kroków potęgował w niej strach, zdawało się jej, że ziemia dlatego tak dudni, bo wewnątrz jest pusta. Co mogła przyspieszała biegu, leciała jak martwica blada z hulającym po polach wiatrem.

Pot kroplisty wystąpił jej na czoło, oddech stawał się coraz szybszy, w piersiach czuła nieznośne gorąco, a pomimo to trzęsła się cała, nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Trzeba spocząć. Przystanęła więc i obejrzała się raz jeszcze.

Las był już niedaleko, westchnęła ciężko, doznawała pewnego rodzaju ulgi. Przecie tam schroni się w gąszczu, spocznie, do rana poczeka, a potem... a potem powlecze się dalej... ale gdzie?

I tu zadawała sobie tysiące pytań i na żadne odpowiedzi znaleźć nie mogła. Gdzieś w głębi jej duszy drzemała maleńka iskierka nadziei, którą przez cały czas swego nieszczęsnego życia pielęgnowała, że dziecię jej może jakim cudem zostało wyratowane, że żyje, że może kiedy myśli o swojej matce... Lecz choćby i tak było, choćby dziecię jej żyło, to wie napewno, że matka jego jest zbrodniarką.

To nic, ona nie pójdzie do domu samego, ona dowie się przedtem, ludzi wypyta, a potem podsunie się pod okna, jak duch cichutko wślizgnie się pomiędzy opłotki, zajrzy do wnętrza izby i zobaczy swe dziecię.

Weszła nareszcie na kraj lasu. Tutaj było ciszej, cieplej... Las był zupełnie głuchy. Górą tylko przeganiał wiatr, lecz do głębi, pod gałęzie drzew nie docierał.

Zato jakaś przerażająca ciemność. Choćby na kolanach czołgać się miała pomiędzy gęstwiną, to już stąd nie wyjdzie... A gdyby tak... przeżegnać się... pomodlić... Modlić się... ona... ona taka wielka grzesznica modlić się chce...

Raz zrodzona myśl obudziła w jej duszy tysiące strun.

Dawne wspomnienia jedne po drugich cisnęły się, wydoby-

wały na wierzch, toczyły walkę z temi ohydnemi gadzinami, które w jej mózgu miały siedlisko, które oplątały i wypełniły jej serce... Modlić się... szeptała... modlić się... wypowiedziała głośniej... modlić się do Boga... jęknęła tak głośno, że zbudzony ptak zerwał się z gałęzi drzewa... Modlić się... odezwało się echo, w głębi ciemnego lasu...

Ha! ktoś woła... Boże... ratuj mię.

Straciła przytomność i upadła na miękkie, ciepłe posłanie z mchu, a gałęzie świerka otuliły ją całą, jak tuli skrzydłem ptak swoje pisklęta.

Po pewnym czasie, otwarła oczy, nie mogła jednak przez długą chwilę zrozumieć, gdzie się znajduje, panowała bowiem dokoła nieprzenikniona ciemność. Kiedy nareszcie uczuła przejmujący chłód, a gałązki świerka dotknęły jej twarzy, oprzytomniała zupełnie. Wcisnęła się jeszcze głębiej w gęstwinę, nagarnęła rękami igliwia, poobścielała się niem, obtuliła głowę w podarty szal, przymknęła oczy i starała się zasnąć.

Lecz sen nie przychodził. Zato dziwne mary poczęły ją trapić. Najpierw zdawało się jej, że zagląda na nią jakiś potwór, wlepił w nią straszne ślepia i patrzy nieruchomo. Przysłoniła oczy dłońmi, gdyż nie mogła znieść tak obrzydliwego wzroku. Ale potwór nie ruszał się z miejsca... odwraca więc oczy w przeciwną stronę... tam pełza wąż z rozwartą paszczą... za nim drugi, trzeci, dziesiąty, nieprzerwany sznur wężowy ciągnie się bez końca... Nareszcie posłyszała muzykę... węże poczynają się wyginać, kłębić i podrzucać swe cielska w górę w takt muzyki... taniec wężowy. Nagle węże zamieniają się w istoty ludzkie, rozeznaje znajome twarze. Słyszy śmiechy, wrzaski, przekleństwa. Jeden z tańczących zbliża się do niej... i podaje jej flaszkę... ona broni się, ten jednak przemocą napój wlewa jej w usta... lecz zamiast wódki z flaszki bucha ogień... Z boku wyskakuje szatan z rozpalonem żelazem...

Znajomi zniknęli... szatan wbił jej żelazo w skroń... posłyszała skwierczenie palącego się ciała i poczuła nieznośny ból... szatan stał nad nią i śmiał się. Chciała się bronić — nie mogła, chciała krzyknąć — nie mogła wydobyć głosu... Przyszło jej na

myśl, że znakiem Krzyża św. odpędziłaby tego dręczyciela, lecz ręką ruszyć nie była w stanie...

Szatan usiadł jej na piersiach i począł dusić... czuła, że szpony jego wpijają się w gardło... naraz uczuła ulgę... Z oddali nadciąga procesya... przodem posuwa się krzyż... słychać śpiew... Grono dziewcząt jasno ubranych z świecami w ręku; ubrane w kwiaty niosą Niepokalaną Dziewicę... Dokoła Jej głowy błyszczą gwiazdy, chór Aniołów asystuje swej Królowej... Ona z wzniesionemi oczyma w niebo... wyciąga swe przeczyste ręce przed siebie... Bije od Niej blask. Kiedy procesya zbliżyła się do niej, chciała się podnieść, uklęknąć, upaść na twarz... była jednak bezwładną. Pochód się zatrzymuje... Matka Boska zstępuje z wysokości, zbliża się ku niej... nachyla się, uśmiecha litośnie, bierze za rękę i podnosi.

O Panienko Najświętsza... litujesz się nade mną Matuchno moja...

I wyciągnęła ręce przed siebie... otwarła oczy, wsparła się potem na łokciach... Widzenie znikło.

Wstała, w lesie ciemność już zrzedła, zaczynał się ranek, ranek niewesoły. Nie słychać świegotu ptasząt... cisza taka sama jak w nocy... martwota zalega las...

Wyszła z ukrycia... rozprostowała członki... dniało. Czuła w całem ciele wielkie zmęczenie. Głowa jej ciężyła... nogi skołczały, lecz w sercu poczynało się rodzić uczucie radosne, zdawało jej się, że znalazła drogę, po której ma dążyć.

Powoli, ostrożnie, odchylając gałęzie świerków, przedzierała się przez gęstwinę. Tymczasem robiło się coraz widniej. Nareszcie dostała się na jakąś ścieżkę. Nogi nabierały coraz więcej elastyczności. Było jej zimno, nie zwracała jednak na to uwagi. Zostawała ciągle pod wrażeniem snu przebytego. Byle prędzej wyjść z lasu. Przed nią, na polach, szereg drzew: to gościniec bity, obsadzony drzewami. Gościniec wije się pod górę.

— Trzeba się tam dostać jak najprędzej, a będzie mogła rozejrzeć się po okolicy i rozpoznać, gdzie się znajduje.

Zapomniała o zmęczeniu, rwała się naprzód, niosła ją jakaś siła nadzwyczajna. Dusza jej nabrała mocy. Znalazła się wkrótce

na szczycie wzgórza. Długo rozglądała się dokoła siebie, aż nareszcie przyszła do przekonania, że znajduje się o jakie dwie mile od swojej wsi. W pierwszej chwili roztliła się w jej oczach radość, wkrótce jednak zgasła zupełnie, a natomiast bolesne uczucie napowrót nią owładnęło. Na polach wiatr dawał się więcej we znaki, aniżeli w lesie. Dął też teraz coraz silniej, coraz natarczywiej. Podróżna jak mogła, tak opierała się jego mocy, lecz przychodziło jej to z coraz większą trudnością.

Utykała co chwila, przystawała, by zaczerpnąć powietrza i szła dalej. Pola przedstawiały dziwnie smutny obraz. Zima sucha, mroźna, bezśnieżna obdarła ziemię z jej uroku. Oziminy zczerniałe, krzaki bezlistne, gdzieniegdzie tylko badyl suchy sterczy na roli. Wszędzie widać martwotę... śmierć. Ziemia cała wygląda jak trup nagi, zsiniały, zapomniany. Zdawało się, że i ona odczuwa przejmujące zimno, że i ona cierpi...

Podróżna dobywa resztek sił, by nie upaść, nie stoczyć się w rów, gdzie czekała ją niezawodna śmierć.

— Jeszcze mila, przecie dojdę — myślała w duszy.

Niebo coraz więcej czerniało, przyjmowało barwę siną, ołowianą, a z za widnokręgu nadciągały wały ciężkich chmur. Robiło się coraz ciemniej. W serce Hyeny wciskało się zwątpienie, czy potrafi dowlec się do upragnionego celu... musi... przecie już niedaleko, poznaje z daleka swoją wieś po koronach drzew, które wychylają się z za wzgórza. Tak, tak... ta topola rośnie przed domem jej ciotki... dąb widać... dąb znajomy... przypomina dom sąsiada, a kilka lip okrąża kościół. Za pół godziny, skończy się droga... jeżeli jej nie przyjmą w domu, to umrze na progu... ale na progu swej chaty a nie w rynsztoku... Jakże tam miło musi być w chacie u nich, bielutko, ciepło... tam rodzice krzątają się po izbie, bracia i siostry żartują wesoło... a ona...

Droga skręcała się w las... zna go doskonale... ileż to razy biegała tu dzieckiem po poziomki. Tam za laskiem płynie strumyk... łąka... Oh, to przypomnienie... po co tu idzie... przez Boga żywego!... po co tu idzie... w to miejsce... zbrodniarka... Ale nie zajrzy tam, gdzie spełniła ohydny czyn...

choć tam się popatrzy... dalej już nie pójdzie. Dowiedzą się ludzie, kto przyszedł... zwołają wieś całą. Będą krzyczeć... dzieciobójczyni! Już niema siły uciekać. Najlepiej będzie... tak najlepiej, jak radził on... ludzie przebaczyć nie potrafią... dobrze, uczynię tak!... Lecz nie tu... nie tu...

Zwróciła się w stronę, skąd, jak była pewną, dostanie się na łąkę, przez którą płynie rzeczka, tam skończy się jej męka... może natrafi na miejsce, gdzie jej dziecię umarło... może złączy się z niem po śmierci... Złączy się?! Dziecię niewinne, pewnie w gronie aniołków. — Tu straszny ból wykrzywił jej usta, wyglądała, jak człowiek torturowany.

Nagle staje, jak wryta. Przy drodze stoi figura Matki Boskiej. Długo oniemiała, zdrętwiała, wpatruje się w tę postać Boga-Rodzicy. Tak samo, jak dzisiaj we śnie, jak wówczas na ulicy podczas procesyi, wyciąga miłościwie ręce przed siebie i patrzy niebiańskim wzrokiem... Ileż to razy przynosiła tu kwiaty polne i słała je pod święte stopy. Oh! wtenczas była czystą... wtenczas, jak te lilie, miała duszę białą.

Uśmiechała się też Matuchna Boża do niej, bo miłą Jej była ofiara od niewinnego dziecka... Ona pamięta dobrze te czasy...

— Pani! to ja, ta sama Frania... ta pastuszka ze wsi, tylko bardzo, bardzo biedna...

— Ja dzisiaj nie mam kwiatów... mam tylko starganą, bólem przeżartą duszę... Lekarko święta! przyszłam błagać o wskazanie mi drogi do Syna Twego... ja sama nie trafię do Niego. Nie odtrącaj mię, bo nie mam nikogo na świecie, prócz Ciebie... Pozwól zbliżyć się do stóp Twych... skalane są usta moje... ręce moje splamione... pierś splugawiona... nie godnam dotknąć Ciebie... Wiem, żem niegodna, niegodna... Przeczysta Dziewico! Prosi Cię jednak nie ta nędzarka, ale ta dziecina, do której uśmiechałaś się dawno, dawno...

Dalej modlić się nie mogła. Przyszła na nią wielka niemoc, na nogach utrzymać się nie była w stanie, więc zachwiała się, potoczyła parę kroków ku figurze Matki Boskiej i obsunęła się do Jej stóp.

Miała jednak zupełną świadomość, więc z trudem podniosła

głowę, chwyciła się rękami krawędzi muru, podniosła się nieco i wsparta na jednej ręce, poczęła długo, długo całować stopy Bożej Rodzicielki. Nie skarżyła się już więcej, sparła czoło o zimne, jak ona sama głazy i tak trwała długo, spokojna, cicha.

Na niebie zgasły już ostatnie promienie słabego dziś światła słonecznego, a noc ciemna rozpościerała ciemne opony.

Zwały chmur wysunęły się zwolna z za widnokręgu i wisiały nizko nad ziemią, jakby chciały ją otulić swym ciepłym płaszczem. Wiatr mroźny ustawał, słabnął, łagodniał. Czasami tylko jeszcze zakołysał wierzchołkami drzew, poruszył gałązkami brzozy i ułożył się do spoczynku, naszamotawszy się dosyć, nadokuczawszy wszystkim do woli.

Od stóp Niepokalanej, spływał do serca grzesznicy balsam ukojenia... Zdawało jej się, że zrzuca z siebie suknię brudną a ciężką, suknię wgryzającą się w całą jej istotę, a przybiera szaty lekkie i białe. Ona w tych szatach ustrojona nie będzie się bała szukać Baranka niewinnego... ona Go znajdzie, i będzie Go błagać tak długo, tak gorąco, aż zlituje się nad nią.

Podniosła się na kolana i skierowała wzrok przepojony nieokreślonem szczęściem, na oblicze jaśniejące niebiańskiem światłem wśród ciemności nocy.

W wzroku tym przebijała się ufność bez granic, wdzięczność bezmierna, uwielbienie i nadzieja.

— Uśmiechasz się, Matko moja, jak dawniej... przebaczasz mi... o jakże jestem szczęśliwa... wiem teraz, że zaprowadzisz mię do swego Syna, że nie pozwolisz mi zginąć...

Objęła raz jeszcze stopy Najświętszej Panienki i ucałowała je czule.

— Jakże od Ciebie odejść mam, kiedy tak dobrze mi u Twych stóp... ale trzeba... już niedaleko...

Jak dziecko do matki uśmiecha się przed odejściem i zapewnia ją, że nie na długo się rozłączają, tak uśmiechała się biedna tułaczka do swojej Pocieszycielki. W duszy czuła Frania nadziemską radość, lekko jej było w sercu, i błogo tak, że zdawało jej się, że skrzydła jej wyrastają, że na tych skrzydłach wzleci i do chaty rodzinnej podąży... tam rzuci się w objęcia

rodziców... wypłacze na piersiach matki, jak tu u stóp Królowej niebios przebaczenie. — Jednak, kiedy postąpiła kilka kroków, zaniepokoiło ją, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, że w całem ciele uczuła wielkie osłabienie.

Chciała podnieść ręce w górę, by je złożyć do modlitwy dziękczynnej, ręce opadły jej bezwładnie. Czuła, że ziemia przykuwa ją do siebie, a z tych ciemności nocnych idzie do niej wysłanka Boża... śmierć.

Nie ulękła się teraz tego widma... chciała tylko pokończyć jeszcze rachunki ze sumieniem, chciała dowlec się choćby do wrót kościelnych, a po drodze, możeby zajrzała do izby rodziców...

Szła pomaleńku, przystawała co kilka kroków, wsłuchiwała się, czy w ciszy nocnej nie doleci jej głos ludzki, czy nie dojrzy światełka jakiego. Nie omyliła się... tam już niedaleko... słyszy nawoływania, śmiechy... to pierwszy dom od lasu, tam za tem światłem migoce drugie, trzecie, dziesiąte... światełka jak błędne ogniki... ze wsi dolatuje gwar... ludzie nie śpią... o Boże! przecie mię wysłuchasz... tak, tutaj ścieżka prowadzi do mego domu... przejdę przez ten ogródek... Poznaję okna naszego domu z daleka... w oknie ktoś mignął... może matka... może ojciec. Matko moja... jak też wygląda biedna moja matusia... siostry już pewno powyrastały...

Aha, kogóż to jeszcze pragnęłabym zobaczyć?... myśli mi się plączą... to nic... ogarnia mię senność. Wiem, że to wstęp do wrót, któremi raz się tylko przechodzi... Jeszcze chwileczkę... ogródek... jabłoń... są... matusia, tatuś, Zosia, Józia, to Józia tak urosła... a tam obok niej... chłopczuś taki... Boże! moje serce! mój syn!... Nie, nie opuszczaj mię, Matko, dodaj mi sił... ja nie zemdleję... ja tam pójdę... zajrzę jeszcze, co oni robią. Wszyscy przy stole... biały obrus... ojciec bierze do rąk opłatki! Wigilia!...

. . . . . .

Czepia się rękami ściany, słania ku ziemi, posuwa z wysiłkiem ku sieni. W progu spostrzega cudną postać, całą w blaskach, z wzniesioną ręką w stronę kościoła.

— Matko Najświętsza... dobrze... pójdę tam...

Przybyło jej sił, i szła drożyną wijącą się pomiędzy chatami rzęsiście oświetlonemi, prosto do kościoła. Szła z oczyma wzniesionemi w górę nieruchomo, jak we śnie, jak napół martwa. Już jest u wrót bramy kościelnej. W kościele cisza.

W zagięciu muru stoi krzyż z rozwartemi ramionami, a na nim wisi rozpięte ciało Syna Bożego.

Tam skierowała swe kroki, tu jej kres...

W powietrzu zamigotały białe płatki śniegu i poczęły powoli, prostopadle opadać na ziemię, i stroić ją w szatę godową.

U stóp krzyża, jakby stanowiła z nim nierozerwalną całość, klęczy skulona, nieruchoma, martwa postać. Śnieg okrywa ją całą białą oponą, zaciera jej kontury, ona jakby się rozpływała powoli, nikła. Tylko ramiona krzyża wznoszą się nad nią i biorą ją w opiekę... ją zbłąkaną owieczkę.

W kościele rozbłysły światła, wszczął się ruch, ludzie gromadzili się tłumnie.

Naraz zabrzmiał głos organów a za nim popłynęła radosna pieśń:

Anioł pasterzom mówił:
Chrystus się nam narodził.

Jakób Hodur.

KONGRES MARYAŃSKI WE LWOWIE.

Nie zapowiadał się ten kongres niczem nadzwyczajnem, nie rokował wielkich nadziei. Ledwo go oznajmiono, a już spotkać się można było z niejedną wróżbą niepomyślną i z nieprzychylną krytyką. Poza tem zdawało się, że pierwsza wieść o nim przeszła niespostrzeżenie, zrzadka tylko, tu i tam, odbijając się sympatycznem echem.

Wogóle kongresy i wiece coraz mniej budzą już w siebie wiary. Jeden mają niezaprzeczony rys, który im na jakiś jeszcze czas zapewnia powodzenie, to ten, że są bezpośrednim wypływem obecnego ducha czasu. Płyną po pierwsze z demokratycznego ustroju społeczeństw, a powtóre, co za tem idzie, są objawem idei, przejawiającej się coraz wyraźniej, jako idea kierownicza wieku, idei społecznej solidarności. Ale też cierpią na jeden brak istotny: brak im ustrojonej prawidłowo władzy wykonawczej. Roztrząsają się na wiecach najdonioślejsze sprawy, przychodzą pod obrady najwspanialsze wnioski, zapadają uchwały — i na tem koniec. Bezowocne całkiem takie wiece nie są, bo popychają opinię ogółu w pewnym kierunku, ale bezpośredniego skutku nie mają. O wykonaniu uchwał, najczęściej mało kto poważnie myśli, a jeżeli myśli, to po prostu niema w ręku dość środków po temu, aby je wprowadzić w życie. To też bodaj, czy doba kongresów nie przekroczyła już swego zenitu. Nie straciły jeszcze uroku i do-

niosłości kongresy naukowe, a z kongresów, o społecznym charakterze, utrzymują się na dość wysokim poziomie wiece katolików niemieckich. Co do innych, to coraz bardziej ucierać zaczyna się zdanie, że nie przynoszą one żadnej rzeczywistej korzyści, że, jeżeli nie pomagają raczej do rozstroju, jak międzynarodowe wiece socyalistyczne, to w każdym razie są tylko niewinnym rodzajem bardzo miłej, kilkudniowej rozrywki, osobistej przyjemności tych, co udział w kongresie biorą. Oczywiście, że jeżeli raz taka opinia się utrze, jeżeli nie wynajdzie się wczas skutecznego środka dla umocnienia i wprawienia w ruch władzy wykonawczej, to w tak praktycznej, realnej, szukającej tylko namacalnych korzyści, dobie, jak obecna, oznaczać to będzie, że na zegarze kongresów szybko ostatnia godzina wybije.

Kongresy maryańskie, prócz pomienionej, jeszcze inną nasuwają trudność. Za krótko istnieją, aby mogły dojść do ściśle określonej formy, któraby tym kongresom nadawała oddzielną, im tylko właściwą racyę bytu. Na większą skalę odbyły się dotychczas dwa tylko takie kongresy, w Lugdunie i Fryburgu. Cel główny przyświecał oczywiście jasno obydwu kongresom, ażeby za pomocą uroczystości religijnych, odczytów, mów, roztrząsań, przyczynić się do wzmożenia kultu maryańskiego i objawów z tym kultem związanych. Ale w tego rodzaju sprawach chodzi głównie o sposoby, jakimi do tego celu się dąży, o formę wykonania. Otóż ta forma, powiedzmy otwarcie, nie imponuje.

Mamy przed sobą dwa spore tomy aktów kongresu lugduńskiego i wierzyć się nie chce, jak ci ludzie przez szereg dni potrafili nic innego nie robić, jak tylko opowiadać sobie historye, jak kwitnie kult maryański w każdej poszczególnej dyecezyi francuskiej, jak w Hiszpanii a jak w Japonii, jakie losy przechodziły cudowne obrazy we Francyi i t. d. Rzecz w sobie dobra, ale sama, jak na kongres, nie wystarcza. Poza tem prawie ani śladu jakiegoś związku z życiem, z piekącemi sprawami dni dzisiejszych, jakby religia była tylko jakiemś uczuciem i wspominaniem przeszłości a nie wkraczała bezpośrednio we wszystkie

sprawy życia prywatnego i społecznego. Czysto francuskie nabożeństwo.

Kongres fryburski był już krokiem naprzód w tym kierunku akcyi żywotnej. Ale tu znowu nasuwa się trudność, aby tak pociągnąć granicę, żeby kongresy maryańskie zachowały swoją oddzielną racyę bytu, a nie przeszły w tak zwane katolickie wiece.

Te i tym podobne teoretyczne trudności nasuwały się myśli, obijały się o uszy. Czy to nie będzie tylko jakaś dewocya, z teatrem, rautem, z rozprawami sekcyjnemi, dość niezręcznie w jedną całość złączona?

Tymczasem, jak nieraz w życiu bywa, teorya z zarzutami i z wątpliwościami, poszła swoją drogą, a życie z kongresem swoją.

Im bliżej było kongresu, tem bardziej obojętność i uprzedzenie znikały; czuć było, że zainteresowanie się tą sprawą rośnie, że kongres coraz szersze kręgi przyszłych uczestników zagarnia. Jak się to działo, dlaczego — nie można było sobie na razie zdać dokładnie sprawy.

Dobrze był zorganizowany dział reporterski kongresowego komitetu przygotowawczego i dobrze powiadamiał przez dzienniki publiczność o szczegółach przygotowań do uroczystości. To mogło wpływać na rozbudzenie opinii i wpływało, ale samo przez się nie tłumaczy dostatecznie tego dość wysokiego stopnia natężenia opinii.

Wreszcie zbliżyły się ostatnie dni przed kongresem. Do Krakowa, po drodze, zjeżdża mnóstwo zakordonowych gości, a równocześnie z przeciwka, ze Lwowa, przychodzi od przygotowawczego komitetu wiadomość, dla nowych gości niemiła, ale świadcząca o żywotności kongresu, że karty wstępu wyczerpane. Mimo tej wiadomości, do pociągu nocnego do Lwowa, jakim jechałem w przeddzień kongresu, wsiada wielu nowych uczestników bez kart wstępu, tu jakiś obywatel w polskim stroju, tam gromada ludu. Co kilka stacyi nowi przybysze. Gdzieś za Przemyślem stanął pociąg na stacyi. Na pogodnym wschodzie błękitu zaczynała świtać jutrzenka, z mroku jęły świecić jasno białe ściany

chat, a równocześnie, na ten pierwszy znak idącego dnia, rozległa się z okien pociągu, zrazu cicha, coraz silniejsza, pieśń: »Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę świętą« — prześliczne nasze Godzinki o Niepokalanem Poczęciu. Już ta pieśń nie cichła, przy wtórze turkotu żelaznych kół płynęła pod sam Lwów.

We Lwowie odrazu wpadała w oczy mądra organizacya i olbrzymia pracowitość i zabiegliwość kongresowego komitetu. U drzwi pociągu mnóstwo komitetowych z odznakami, w przedsionku dworca biuro informacyjne, takież biuro w śródmieściu, całe miasto w odświętnym a bardzo świetnym stroju flag i rozlicznych ozdobień. To ostatnie, to już dobra wola i wyraz katolickich uczuć rady miejskiej i mieszkańców Lwowa, ale tamto wraz z tą wielką pracą, jaka te uroczystości przygotowała i doprowadziła do końca, to wielka zasługa członków komitetu. Z kilku przelotnych rozmów można było odrazu poznać, ile bezsennych nocy i niespokojnych dni spędzili ci ludzie przy pracy przygotowawczej. Ale też znowu, kiedy co krok przebijać się trzeba było przez tłumy przybyszów, nasuwała się myśl: czy wy biedacy dacie sobie radę z tą armią, jaka na Lwów nadciągnęła. Tu dla porządku trzebaby chyba, jakiej wojennej intendantury.

Przebieg kongresu opisywały dość dokładnie wszystkie nasze główne dzienniki. Uwalnia to nas od powtarzania znanych rzeczy, chcemy natomiast określić w kilku rysach istotną fizyognomię tego zjawiska, które się lwowskim kongresem nazywało. Że było w tym kongresie coś, co pod pewnymi względami przeszło wszelkie oczekiwania, przyznają wszyscy dość powszechnie, chodzi o to, co to było.

Otóż, najpierw, co wpadało w oczy, to był ten ogromny napływ uczestników kongresu. Niedawno temu odbywający się we Lwowie wiec narodowy liczył około siedmiuset uczestników — nazywało się to powszechnie bardzo licznym zjazdem. Tu, na maryańskim kongresie wszelkie liczenie przechodziło możność, wszędzie snuły się rzesze tysiączne. Sami twórcy kongresu patrzyli na ostatnie fale napływających gości z szeroko otwartymi

od zdziwienia oczyma. Było w tych tłumach coś żywiołowego, coś, co nie da się już ująć w żadne karby. Wszędzie też przelewały się te fale ludzkie ponad brzegi. Wstępne zgromadzenie towarzyskie było nie bardzo towarzyskim ściskiem — w katedrze, na wstępnem nabożeństwie ścisk, w salach, gdzie odbywały się obrady sekcyjne, takie mnóstwo ludzi, że o wyjściu i o wejściu do sali w ciągu referatu nieraz ani mowy nie było. Tam zaś, gdzie jak na procesyi, na rynku przyłączyła się jeszcze publiczność lwowska, napływ ludzi i tłok tak był ogromny, że można się było bać o katastrofę.

A rzesza ta, to nie był tylko lud, który u nas w religii zawsze dopisuje — to były warstwy inteligentne. Lud brał tylko udział w uroczystościach kościelnych, w innych działach kongresu, wieśniaków można było na palcach policzyć. Możnaby mieć nawet o to żal, gdyby nie to, że dla wszystkich wszędzie brakowało miejsca. Na czele tej rzeszy stali prawie wszyscy arcypasterze, najwyżsi reprezentanci rządu i kraju, wielu posłów do parlamentu i sejmu, wielu wybitnych przedstawicieli z różnych dziedzin publicznego życia. Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że na dzień ten Bogarodzicy stawiła się Polska cała. Niezapomniany to widok ten pochód z obrazem Matki Bożej. Sformowane w szóstki szeregi z samych przedstawicieli różnych dostojeństw, urzędów, stanowisk, stowarzyszeń, w cieniu różnobarwnych sztandarów, godeł, odznak, ciągną się przez ulice w nieskończoność, aż wreszcie zapełniają wielki rynek lwowski, głowa przy głowie, jak jedno sfalowane, szumiące, morze.

Co najważniejsze to to, że tak licznie zgromadzone warstwy inteligentne, w każdym kroku zaznaczały, iż nie tylko rozumieją znaczenie uroczystej chwili, ale przedewszystkiem, że z tą chwilą najściślej się łączą. Nie mówimy już o przemówieniach, zupełnie niezwykłej miary, XX. Biskupów: Bilczewskiego, Teodorowicza, Pelczara, bo ci stanęli tylko na swoim posterunku, ale taka mowa marszałka kraju, tak głęboko w samą treść katolickiego życia sięgająca, tyle innych wybitnych przemówień ludzi świeckich,

cały szereg referatów panów i pań o kulcie Najświętszej Panny, głębokim ciepłem owianych, to wszystko stwarzało jakąś dziwnie podnoszącą atmosferę, jaką tylko szczerze i rdzennie katolickie społeczeństwo stworzyć może. Była to atmosfera, w której przyznanie się do wiary, do Kościoła, było czemś naturalnem, czemś, co nie wymagało trudu wyznawstwa — płynęły też prześliczne, nieraz porywające cały zgromadzony ogół, wyznania Te dni kilka kongresu to było panowanie wiary żywej, powrót na widownię tej dawnej wiary, jaka cały nasz naród tak głęboko ożywiała. Wracał duch narodu, wierzący duch. I jeżeli kiedy w ostatnich dziesiątkach lat naszych dziejów była podniosła chwila, gdzie o zgromadzonych przedstawicielach kraju możnaby powiedzieć: tam jest duch narodu — to jest nią przedewszystkiem ta, w której wobec kilkudziesięciu tysięcy, z różnych stron kraju, z różnych warstw zebranych, a jedną ożywionych myślą, składał arcybiskup przed obrazem cudownym Matki Bożej, pod otwartem niebem, ślubowanie, w imieniu całego narodu, dawnych ślubów Jana Kazimierza odnowienie.

Oto fizyognomia kongresu: odnowiony we wierze duch narodu, który z żywiołową siłą dąży do właściwego sobie środowiska.

Ten wyraz, ten rys kongresu, wybijał się na każdym kroku na pierwszy plan, wszystko inne grało tylko rolę tła, na którem rys ten się zaznaczał. Oczywiście, że miało to i swoją ujemną stronę. Takie obrady sekcyjne, które istotę każdego kongresu stanowią, z których wykwitnąć powinien trwalszy owoc, nawet one nie miały donioślejszego znaczenia — rezolucye kongresu przedstawiają się bardzo skromnie. Trochę już w samym programie kongresu zostawiała ta strona do życzenia: sekcya, naprzykład, społeczna pomijając już to, że zbyt szczupły miała zakres, wyglądała raczej na zbiór przypadkowo zebranych referatów, niż na celowo obmyślany plan. Ale w wielkiej mierze powodował to ten żywiołowy prąd, który przez wszystko przepływał. To była siła, której trudno wytyczać koryto i ująć ją w formułę. Na wszelką

spokojną, celową, uplanowaną pracę brakowało po prostu miejsca, czasu, dobrej sposobności.

A więc miał ten kongres tylko znaczenie zwykłej manifestacyi?

Gdy obejmie się myślą ostatnie dziesiątki lat, kiedyto pod wpływem haseł zachodnich wielka część naszej oświeconej warstwy odeszła daleko od wiary i Kościoła, gdy wspomni się na te tysiące smutnych objawów, które z tego rozłamu płynęły, jakich i dziś nie brak — i zestawi się to wszystko z tym objawem, którego widownią był kongres, to można dość dokładnie znaczenie tego objawu określić. Z jednej strony niema się co łudzić, że rozłam już zupełnie usunięty, że poza katolicyzmem innych obozów w Polsce niema, ale z drugiej niepodobna nie widzieć, że w ostatnich tych latach nastąpiła dość wielka zmiana na lepsze, dość znaczny przełom, że katolicyzm zwolna i u nas wraca do dawnej świetności. Kongres ujawnił, że w ostatnich latach pole moralno-religijne nie leżało u nas odłogiem, że miało pilnych pracowników, że ta praca dość pomyślne miała wyniki — a ujawnił to z taką intenzywnością, że siłę tych wyników utrwalił. Był to nowy etap społecznej instalacyi katolicyzmu u nas.

Oczywiście, że byłoby lepiej, gdyby kongres ten, prócz tego moralnego znaczenia, przyniósł także jakąś namacalną korzyść, gdyby bezpośrednim jego skutkiem była jakaś wielka instytucya, jakieś wielkie dzieło na dalszą metę. Po temu była to chwila jedyna i prędko taka chwila nie powróci. Całkiem jednak i tego znaczenia kongres może nie był pozbawiony. Dzień trzeci kongresu był poświęcony wyłącznie obradom sodalicyi maryańskich. Prawda to instytucya na naszej ziemi, weszła nawet w tradycyę narodową i obywatelską, tak zwłaszcza dziejami konfederacyi barskiej upamiętnioną. Po długoletnim zastoju, w kilku latach ostatnich, w których tyle rodzimych pierwiastków, w najrozmaitszych dziedzinach życia, z taką wybujało siłą, że dobę tę niektórzy nowym renesansem polskim nazywają, odrodziły się z wielką żywotnością i sodalicye. W obradach trzeciego dnia kongresu chodziło o to, ażeby sodalicyom dawną świetność przywrócić,

znaczenie i działalność społeczną wzmóc — żeby sodalicye rozszerzyły się na kraj cały, objęły miasta i wsi, wszystkie zawody i stany, zwłaszcza zaś, żeby przyłożyły usilną rękę do katolickiej pracy społecznej.

Gdyby tą drogą poszły przyszłe losy sodalicyi, to dalsze nasze kongresy maryańskie nie miałyby przed sobą tak ograniczonego zadania, jak francuski kongres maryański w Lugdunie. Wtedy też pierwszy kongres maryański we Lwowie stałby się zawiązkiem nowej epoki u nas i jako taki nabrałby historycznego znaczenia.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
KONGRES MARYAŃSKI WE LWOWIE. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—8*
POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ: PAPIESTWO JAKO WSZECHWŁADZA PAŃSTWOWA. Przez. *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	1, 234
ZE ŚWIATA AGITACYI WŚRÓD MŁODZIEŻY ŻYDOWSKIEJ. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	20
DENIFLE I JEGO DZIEŁO O LUTRZE. Przez *ks. Augustyna Arndta T. J.*	41
NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA. Antoni Czechow. (Dok.) Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	50
ROZDZIAŁ I UŻYCIE DOCHODU. Przez *d-ra Józefa Milewskiego*	75
Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH: NĘDZA DZIECI. Przez *d-ra Bronisława Olearskiego*	173
Z NEAPOLU. Przez *ks. Włodzimierza Piątkiewicza T. J.*	194
NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. IX. Z panowania Jana Kazimierza. Przez *d-ra Feliksa Konecznego*	216
JEZUICI W KAMIEŃCU PODOLSKIM. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	252

Numer jubileuszowy

PRZEZ LILIOWE POLA. Heliograwura według obrazu *Piotra Stachiewicza.*

NIEPOKALANA. Przez *ks. Wł. Czencza T. J.*

NIEPOKALANE POCZĘCIE A CHWILA OBECNA. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*

Niepokalane Poczęcie Bogarodzicy na tle dogmatycznego rozwoju Kościoła. Przez *ks. Jana Urbana T. J.*

Pierwiastek nadprzyrodzony a dzisiejsza doba Polski. Przez *ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza.*

Cześć dla Najświętszej Panny w poezyi polskiej. Przez *d-ra J. Tretiaka.*

Matka Boska w podaniach naszego ludu. Mistrz Twardowski. Przez *Lucyana Rydla.*

Matka Boska w muzyce polskiej. Przez *ks. d-ra J. Surzyńskiego.*

KONKURS MARYAŃSKI „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

Wyrok sądu konkursowego.

Żłóbek. Sceny z polskich jasełek. Przez *L. Rydla.*

Przed obrazem. Przez *Irenę Mrozowicką.*

Ad Te levavi oculos meos. Przez *Krystynę Saryusz-Zaleską.*

Gwiazda morza. Przez *Ludwika Stasiaka.*

Hyena. Przez *Jakóba Hodura.*

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta. Bronisław Gubrynowicz. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 103

Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem. Przez Deotymę. Część I i II. *(W. Gostomski)* 114

Ananke. Baśń dramatyczna w sześciu obrazach. Mieczysław Hertz. *(W. Gostomski)* 116

Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, wydawane staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiej. w Krakowie. Tom VI. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 117

Polska literatura agrarna w XX wieku. *(Dr. A. Krzyżanowski)* 271

Siena. Kazimierz Chłędowski. *(K. M. M.)* 282

Z piśmiennictw obcych.

Un Divorce Paul Bourget. *(T. Wodzicka)* 121

Treu zur Kirche und Papst. Vorträge und Erwägungen. Georg Fell S. I. *(K. Konopka T. J.)* 130

Les Nations apôtres. Vieille France, Jeune Allemagne. Georges Goyau. *(M. Harsdorf)* 133

Str.

Tołstoj i Dostojewski: Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie. Mereżkowski D. — Życń i tworczestwo L. Tołstawo i Dostojewskawo. Tenże. — Religia L. Tołstawo i Dostojewskawo. Tenże. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 286

Discours de Combat. Ferdinand Brunetière. *(M. P.)* 297

Charles de Lorraine et la Cour de Bruxelles sous le regne de Marie Thérèse. Lucien Perey. *(T. Wodzicka)* 305

Zapiski bibliograficzne.

Pamiętniki Jana Weyssenhoffa. Wydał Józef Weyssenhoff. *(G.)* . . 137

Światowit. Rocznik poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. Tom V. *(B. U.)* 139

Materyały etnograficzne, zebrane w różnych okolicach Galicyi zachodniej. Część druga: Wierzenia i przesądy. Dr. Władysław Kosiński. *(B. U.)* 140

Pamiętniki Jul. Ursyna Niemcewicza o czasach Księstwa Warszawskiego; wydał A. Kraushar. *(G.)* 140

Polskie podania i powiastki dziejowe. Spisał Jan Tworzymir. *(A. R.)* 141

Dějiny české literatury, napsal Vlček Jaroslav. Zeszyt XIV, tomu drugiego część II-ga. *(A. O.)* 141

Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Szkic literacki. Przemysław Mączewski. *(w. i.)* 309

Archiwum do dziejówoświaty i literatury w Polsce. Tom X. *(C.)* 309

Borowa. Drobiazgi etnograficzne. Podał Świętek Jan. *(E. N.)* 310

Skarbiec poezyi polskiej. Serya pierwsza, tom pierwszy. Stanisław Konarski, Elżbieta Drużbacka. Pod redakcyą A. Langego. *(A. N.)* 310

Kilka słów o dawniejszych bożnicach drewnianych w Polsce. Mathias Bersohn. *(H. U.)* 311

Błędy językowe. Artur Passendorfer. *(H. U.)* 311

Wieś Siedliska-Bogusz. Przez d-ra Adama Bogusza. *(M.)* 312

Rodzina. Herbarz szlachty polskiej. Opracował Seweryn Uruski przy współudziale A. A. Kosińskiego, wykończył i uzupełnił A. Włodarski. (γ) 313

Zu der Erzählung von der undankbaren Gattin. Nachträge von Georg Polivka. *(Dr. St. Z.)* 314

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAZDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Skąd Polacy czerpią swą siłę? — Głos niemiecki o obowiązkach katolików francuskich. — Dalszy ciąg walki religijnej we Francyi. — Upadek pisma *La Voce de la Verità*. — Ze zjazdu w Ratysbonie. Przez *ks. Wiktora Wiećkiego T. J.* . . 142

Str.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 152

Kronika ekonomiczna. Walne zgromądzenie Towarzystwa Kółek rolniczych. — Kółka rolnicze na Śląsku austryackim. — Dziesięciolecie Towarzystwa ogrodniczego. — Wystawa metalowa.— Posucha. Przez *A. K.* 164

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Ze statystyki wyznaniowej we Włoszech. — Jubileusz ormiański. — Protestanci o katolikach w Niemczech. — Ze stosunków katolickich w Mołdawii. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 315

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1903. (Dok.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 326

VI Kongres międzynarodowy fizyologów w Brukseli, 30 sierpnia — 3 września 1904 r. Przez *ks. S. Kobyłeckiego T. J.* 334

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J..

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Wrażenia z podróży do Egiptu. *Ks. dr. Trzeciak.* Poznań 1904. Drukarnia i księgarnia św. Wojciecha. Str. 114.

Arya. Poemat w sześciu pieśniach. *Tomasz A. Lisiewicz.* Kraków 1902. Księgarnia Gebethnera i Sp.

Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk 1800—1832. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych. Przez *Aleksandra Kraushara.* Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Z ilustracyami. Kraków. Gebethner i Sp. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 501.

Sprawozdanie z krakowskiej Sodalicyi Maryańskiej za rok jubileuszowy dogmatu Niepokalanego Poczęcia 1903/4. Kraków 1904. Nakładem Sodalicyi. Str. 24.

IX Sprawozdanie zarządu centralnego „Związku katolickich Towarzystw i Zakładów dobroczynnych" we Lwowie za czas od końca czerwca 1903 do końca czerwca 1904. Lwów 1904.

Sen. *Lukianos* (Epizod z życia Lukianosa). Tłumaczył z języka greckiego Michał Konstanty Bogucki. Kraków 1904. Nakład autora,

Извѣстія отдѣленія русскаго языка и словесности Императорской Академіи наукъ 1904 г. тома XI-го книж. 2-я. С.-Петербургъ 1904. Str. 390. Въ книжномъ складѣ Императорской Акад. наукъ.

Сборникъ работъ по невропатологіи психіатріи 1896—1904. Кіевъ 1904. Типографія Т-ва И Н. Кушнеревъ и Комп. Str. 800.

Historye cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Zebrał według autentycznych źródeł *Ks. Alojzy Fridrich T. J.* Tom II. Kraków 1904. Wydawn. Tow. Jez. Str. 504.

W Tunisie i na Malcie. *Stanisław Bełza.* Wyd. II. illustr. Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Sp. Poznań. Leitgeber i Sp. 1905. Str. 171.

Kwestya alfabetu litewskiego w państwie rosyjskiem i jej rozwiązanie. *J. Baudouin de Courtenay.* Kraków 1904. G. Gebethner i Sp. Str. 44.

Kwiateczki duchowne. *Ludwik Blozyusz.* Wyd. II. Warszawa. Nakład i druk synów St. Niemiry. 1904. Str. 216.

Studya w sprawie przymusowego wychowania zaniedbanej młodzieży. *Dr. Józef Serkowski.* Lwów 1904.

Polski socyalizm utopijny na emigracyi. *Witold Narkiewicz-Jodko* i *Szymon Dyksztejn.* (Dwie rozprawy). Kraków. Nakładem Spółki Nakładowej »Książka«. Str. 106.

Mrok. Powieść na tle historycznem XVII w. z cyklu o »O tron«. *Adam Krechowiecki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1905. Str. 355.

Przed burzą. Powieść historyczna z XV wieku z cyklu »Półksiężyc a krzyż«. *Stanisław Nałęcz-Ostrowski.* Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Spółka. Str. 342.

Lourdes. Wspomnienie z pielgrzymki. *Ks. dr. J. Górka.* Tarnów 1904. Str. 44.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Biblioteka krakowska: **Kościół św. Krzyża w Krakowie.** *Dr. Klemens Bąkowski.* Z illustracyami. Kraków 1904. Str. 46. Tow. Miłośników hist. i zabyt. Krakowa.

Biblioteka krakowska nr. 26. **Bielany.** *Stanisław Tomkowicz.* Z illustracyami. Kraków 1904. Str. 59. Tow. Miłośników historyi i zab. Krakowa.

Rocznik krakowski. Redaktorowie: Leonard Lepszy i Stanisław Tomkowicz. Tom IV. **Kraków, jego kultura i sztuka.** Kraków 1904. Tow. Miłośników hist. i zabytków Krakowa. Str. 308.

Historya literatury polskiej. *Tarnowski Stanisław.* Tom III. Wydanie nowe. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 566.

Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego i korespondencya jego z cesarzem Aleksandrem I. Z francuskiego przełożył K. Scipio. Tom I. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. XV, 268.

Rywale. Powieść. *Abgar Sołtan.* Kraków. Spółka Wyd. Polska. 1904. Str. 248.

Żona paralityka. Zarys powieściowy. *Mysłowska Sabina.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 114.

Za oceanem. Powieść historyczna dla dorastającej młodzieży. *Teresa Jadwiga.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 179.

Tum Ryski i jego ciekawsze zabytki. *Manteuffel G.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 69.

Julian Klaczko, rys życia i prac. *Hoesick Ferdynand.* Nakład autora. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej. 1904. Str. 246.

Posłannictwo katolickiej niewiasty. *Ks. Ventura de Raulica.* Tłumaczył z francuskiego St. Koźmian. Tom II, część II. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 210.

Dzieje Polski. *Maryan z nad Dniepru.* Wydanie trzecie. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 280.

Bilans handlowy gubernij Królestwa Polskiego. *Żukowski Władysław.* Zeszyt III. Warszawa. Nakład *Słowa.* 1904. Str. 100.

Huculszczyzna. *Szuchiewicz Włodzimierz.* Tom III. Kraków. Nakładem Muzeum Imienia Dzieduszyckich we Lwowie 1904. Str. 298.

Pod obcem niebem. Szkice i obrazki. *Dr. Józef Siemiradzki.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 146.

Nastroje. *Sterling Kazimierz.* Warszawa-Kraków. W. L. Anczyc i Sp. Str. 96.

Ironia. Tragedya. *Stan. Kobyliński.* Kraków. Gebethner i Spółka. Str. 94.

Beati. Tragedya. *Stan. Kobyliński.* Kraków. Gebethner i Sp. Str 66.

Ucisk i tryumfy Kościoła katolickiego w dobie obecnej. Kazanie wygłoszone na kongregacyi Duchowieństwa dekanatu poznańskiego. Przez *ks. Józefa Kłosa.* Poznań. Drukarnia i księgarnia św. Wojciecha. 1904. Str. 27.

Nasza młodzież szkolna. *Ks. dr. Adam Kopyciński.* Odbitka z *Gazety Kościelnej.* Lwów 1904.